

ANNA JÖRGENSDOTTER

Córki gór

Przełożyła Alicja Rosenau

Być może właśnie w czasie próby piękny kwiat w
jasnych kolorach wplata się w deseń naszego życia.

Tygodnik *Allers*, nr 11, 1940

Nie mogę być sam na sam z tym,
Co ciągle rzuca mi się do gardła.

Stina Aronson

Hush now,
Don't explain

Billie Holiday

Wrzesień 1938

To może się zacząć od bajki. „Był sobie raz...” Może się zacząć od tego, że Karin podkręciła pęłgający płomyk lampy naftowej.

A teraz posłuchaj, mówi. W jej głosie jest tyle śmiechu, że Sofia też czuje w sobie banieczki chichotu, ona też, chociaż jest taka zmęczona.

Był sobie raz, mówi Karin, pewien bardzo mały chłopiec... może książkę... który miał na imię... Milton!

I teraz śmiech wybucha w Sofii.

Ale to prawda, mówi Karin, udając niewiniątko. On się naprawdę nazywał Milton, ale nie był takim księciem, jakim widzieli go inni ludzie w królestwie, był tylko małym zalęknionym i biednym chłopcem. A prawdziwym księciem mógł się stać dopiero wtedy, kiedy... dowiedzie swojej odwagi... poprzez... Karin zastanawia się, ma przebiegłą minę... Poprzez wyznanie miłości śnieżnej księżniczce Sofii!

Sofia zasłania dłonią usta, chichot musi teraz przeciskać się między palcami, wymykać bokami. Bardzo się boi, że obudzi mamę. Sen mamy jest cienki jak jedwab albo jak bardzo kruche szkło. Sofia ucisza Karin, ale niezbyt surowo, a Karin odrywa jej palce od ust.

Och, czy zechce pani za mnie wyjść, najdroższa, najłaskawsza panno Steen?

Sofia się śmieje. Przestań!

Przestać?, mówi ze zdziwieniem Karin Milton. Nie mogę wszak przestać, gdyż tak bardzo pannę miuję.

Karin posyła w powietrze całusy.

Sofia odwraca głowę, łatwiej jest wytrzymać, kiedy nie patrzy na siostrę.

Księżniczka Sofia, mówi dalej Karin, była najprawdziwszą, autentyczną księżniczką. A biedny Milton... no cóż, on nigdy nie zostałby prawdziwym mężczyzną, gdyby nie...

Nie możesz tak mówić o Miltonie, protestuje Sofia.

Ale to tylko bajka, bagatelizuje Karin.

Musimy już spać.

Ech, a nie mogłybyśmy nie spać dzisiejszej nocy? Może wyjdziemy na dwór? Kto wie, co się dzieje w naszym Norrby, kiedy człowiek myśli, że wszyscy śpią...

Karin, mówi Sofia nieco surowiej, musimy spać.

Och, ale nudna piła z ciebie.

Mama przecież ma taki lekki sen, przecież wiesz.

Ale to raczej nie nasza wina.

Karin z westchnieniem wślizguje się do łóżka. Jej ciało jest miękkie i ciepłe, Sofia chce ją objąć, ale Karin odwraca się, naburmuszona. Przez dłuższą chwilę jest cicho. Potem rozlega się jej śmiech.

A tak w ogóle to on mi się dzisiaj oświadczył. Max.

Sofia przetyka ślinę. Chce udawać, że śpi.

Słyszałaś, co powiedziałam?

Mmm.

Oświadczył się!

Przecież już to robił tyle razy.

Wiem. Właściwie to głupie. Wszyscy wiedzą, że będziemy razem przez całe życie, więc nie rozumiem, po co ten pośpiech. Poza tym chciałabym, żeby to był podwójny ślub. Byłoby cudownie, Sofio, to byłoby prawdziwe przyjęcie.

Sofia wzdycha.

Ja nigdy nie wyjdę za mąż.

Nie martw się. Przecież będziecie parą, tylko Milton jest trochę opieszawy... Max też tak mówi. I tchórzliwy.

Tak, tak, mówi Sofia. Śpij już.

Karin wstrząsa poduszkę, kładzie się najpierw na plecach, potem na boku. Odwraca poduszkę. Wzdycha. Postękuje. Odwraca się jeszcze raz. Sofia znów prawie chichocze. Co ona wyprawia, ta Karin. Śpij wreszcie!

Karin uspokaja się, przysuwa się bliżej do Sofii; bardzo, bardzo blisko. Odsuwa pasmo włosów z ucha Sofii, nachyla się tuż nad nim.

Tym razem, Sofio, powiedziałam „tak”.

I

Jest noc 29 września 1938 roku i dom panny Filipsson stoi w płomieniach.

Niech to diabli, ogień jest naprawdę piękny, myśli Otto w samym środku działań ratunkowych. Podaje wiaderka wody w łańcuchu ludzi. Hej raz! Hej raz! Hej raz! Zgrane głosy mężczyzn, ich ruchy. Ale ta odrobina wody nie da rady ogniewi. Przypomina sobie, jak wcześniej tego samego dnia robił przed stodołą sztuczki na rowerze; chciał rozbawić siostry w białych bluzkach i czerwonych spódnicach; krowy porykiwały, dzień był jasny, świeciło słońce po dwóch dniach szarego nieba. I Karin się śmiała. Emilia uśmiechała się i klaskała. Sofia marudziła trochę, jak zwykle: Uważaj, żebyś się nie wywalił.

Cholera, płomienie prawie sięgają nieba. Właściwie trudno powiedzieć, jaki kolor ma ogień, a niebo ma tę samą trudną do nazwania barwę. Perta gdzieś na przedzie potrząsa głową, ten ruch rozchodzi się po ludziach, ktoś dodaje wzruszenie ramion, które też się przenosi, dociera do Ottona, ale Edwin, który stoi najbliżej, przy samym ogniu, pracuje dalej, rzuca tylko do tyłu jakieś przekleństwo w stronę Perty. Otto próbuje przechwycić spojrzenie Edwina, chce mu pokazać wzruszenie ramion, chce pokazać, że też jeszcze by chciał, ale już nie ma sensu. Chce mieć spojrzenie, które mówi, że już jest za późno, musisz to zrozumieć, braciszku, tutaj nikt nie zostanie bohaterem. Ale Edwin nie patrzy w jego stronę. Patrzy na Pertę i potrząsa głową z innego powodu – i Otto czuje, jakby skóra go paliła... jak gdyby był... tchórzem. Jakby się nie wysilał! Potem on znów uparcie spogląda w ogień, Edwin. Podchodzi Svarten i kładzie dłoń na jego ramieniu. Janne Örnebrandt staje kilka kroków za nimi, Otto widzi, że coś powiedział. Chodź już, Edwinie, domyśla się Otto.

Wtedy Edwin rzuca wiaderko z wodą na ziemię. Rzuca je tak, że ochlapuje Svartena i Örnebrandta. Strząsa z siebie dłoń Svartena.

Posłuchaj, nie traktuj tego osobiście, mówi Örnebrandt, kiedy Edwin odchodzi szybkim krokiem.

Edwin mijają wozy strażackie i ambulans wjeżdżające do ogrodu panny Filipsson.

Dlaczego, do jasnej cholery, przyjeżdżają dopiero teraz, mówi Otto, który właśnie dogonił brata. Ale też nic by nie... To wcale nie twoja wina.

Wie, że to Edwin wyciągnął ciało. Svarten mu o tym opowiedział, kiedy przyszedł na miejsce. Jak ciało się tliło, a wtedy on, Edwin, nakrył swoją skórzaną kurtką jej, Malvy Filipsson, twarz. To musiało być okropne. Otto myśli, że chciałby i nie chciałby się tam wtedy znaleźć.

Słuchaj, braciszku, chodźmy już do domu. Zrobiliśmy, co się dało.

Ale Edwin nie odpowiada. Idzie tak szybko, że Otto ledwie za nim nadąża.

Przecież już wcześniej mało brakowało, mówi Otto do starszego brata. Kurnik, pamiętasz chyba. Była nieostrożna. Pamiętasz, jak paliła. To przecież niczyja wina.

Zamknij się wreszcie, mówi Edwin.

Pierwszy raz Edwin podnosi głos na Ottona. W ogóle pierwszy raz Otto słyszy Edwina mówiącego podniesionym głosem.

Pozwala bratu się oddalić.

Wzrusza ramionami, kiedy widzi, że Edwin puszcza się biegiem, ale nie do domu, tylko w stronę lasu i góry.

Mówi, jakby ktoś stał obok: Co w niego wstąpiło. Hmm, dodaje jeszcze, potrząsając głową.

W tle słyhać syreny. Widzi plecy brata. Czuje, jak jego ciało przebiega dreszcz złości, ale szybko go przewycięża i rusza do domu, zostawiając za sobą spalony dom panny Filipsson.

Po podwórzu biega Silver, na przemian szczeka i wyje. Fredrik Steen budzi się na dźwięk szczekania – a może to raczej coś mu się przyśniło, coś jakby szczekało w jego śnie. Szczekanie przechodzi w dziwny trzask; zastanawia się, czy to się bierze z jego głowy, a wtedy widzi przez okno płomień strzelający w niebo i chwiejnym krokiem idzie do kuchni.

Tym razem to szopa?, pyta żonę, która siedzi nieruchomo przy kuchennym stole, z rękami na kolanach.

To cały dom, odpowiada Aina drżącym głosem. I panna Filipsson też.

O, do czorta, mówi Fredrik. Ale tego można się było spodziewać.

Sofia zerka na matkę, która kiwa głową; dłonie ma splecione; Sofia wie, że modli się za duszę panny Filipsson. Malva Filipsson wiodła grzeszne życie. Co do tego wszyscy są zgodni, choć nie ma na to konkretnych dowodów i choć jej grzech nie został wyraźnie zdefiniowany.

Byłoby lepiej, gdyby przeprowadziła się z powrotem do Uppsali, mamrocze matka. Albo przynajmniej zachowała pracę. A najlepiej, jakby w ogóle tu nie przyjeżdżała.

Ogień trzyma się w obrębie ogrodzenia. Ziemia jest wilgotna. Nie ma jak się przenieść. Zresztą nie ma powodu, żeby przenosić się na sąsiednie zagrody, Perty i Svartena.

To Svarten najdłużej przygląda się pożarowi – aż do chwili, kiedy strażacy zrobili swoje i pozostało jedynie uporczywe migotanie żaru w głębi drewnianych bali. Przynajmniej tak mu się wydaje. To niesamowite, że dom może tak po prostu zniknąć. Choć z drugiej strony wcale nie, nie ma w tym nic dziwnego. W lesie są stare szałaszy. Było ich o wiele więcej, świadczą o tym sterty nadpalonych desek i kamienne podmurówki. Ale że to idzie tak szybko...

Svarten pamięta, jak to było, kiedy ona się tu wprowadziła, ta Filipsson. Odziedziczyła dom po śmierci ciotki Elisabeth, którą nazywano Elis, bo czasem chodziła w spodniach z szelkami, miała jakiegoś guza w piersi i zaledwie tydzień po jej śmierci zjawiała się bratanica. Ludzie złościли się na hodowlę pszczoł Elis – ale nie on, nie Svarten oczywiście, on się nie wkurza na zwykłych ludzi, na niezwykłych też nie, on tylko klnie i pluje na tych zamożnych, którzy nieuczciwie się bogacą, którzy chcą decydować, jak inni mają żyć. Gorzałkę zabraniają pędzić, ale wyrzucić kogoś z roboty, bo ze dwa razy pospał trochę dłużej albo się na coś wkurzył, przed tym się cofają. Svarten ma zwykle dobry nastrój. Śpiewa. Na pewno mógłby dojść do czegoś w śpiewie, gdyby tylko chciał. Ale potem ludzie nie dają człowiekowi żyć, aż w końcu odechciewa się śpiewania. Lepiej więc bronić swojego. Nie chodzi tu o jakąś tarczę czy coś w rodzaju granicy, trzeba tylko wiedzieć, gdzie się jest samemu, a gdzie są inni ludzie.

Panny Filipsson nigdy tak naprawdę nie poznał, chyba nikomu to się nie udało. Kiedy zlikwidowała ule i zaczęła hodować kury, ludzie też nie byli zadowoleni.

Precz, o tęskna słabości z piersi mej, śpiewa Svarten, choć jest noc i wszędzie panuje cisza, albo właśnie dlatego.

Na drzewach, stojących na baczność przy schodkach do sieni, zamontował głośniki. To była cholerna robota, żeby je tam umieścić, ale teraz w każdą sobotę płynie stamtąd muzyka. Skrzypcowa polka, walc z Mory; Svarten lubi te pieśni, ich melodie są tylko z pozoru proste, odwrotnie niż bywa z jazzem, pozornie skomplikowanym. Czasami nachodzi go ochota, żeby włączyć muzykę w środku nocy w tygodniu, ale to tylko taka myśl, nie ma ochoty nikogo prowokować; jeśli się chce robić coś wyjątkowego, to po to, żeby sprawiać innym radość albo spowodować jakieś zmiany. Albo kiedy człowiek po prostu musi.

Jeśli chodzi o Malwę, to mogło się wydawać, że ona się popisuje.

Człowiek wcale nie musi paradować w cytrynowożółtym szlafroku (Emilia od Steenów nazywała go „kimonem”), cienkim jak z jedwabiu, po całym ogrodzie. Nie musi palić długich papierosów, w dodatku w lufce, jak jakaś damulka, w samym środku Norrby. Przejęła też po ciotce przyjaźń z Sarą Andersson, żoną Szalonego Frassego; ona i Elis były dość blisko, często się spotykały, były jak matka i córka, ale przyjaźń nie pomoże na mrok w duszy.

A tam, on nie z tych, co się wtrącają. Plotami niech się zajmują baby, dość miałą ozorami, aż za bardzo. Sara Andersson założyła mały ogródek, miała w nim prawie same białe i różowe kwiaty; pojedyncze plamy fioletu. Ona i panna Filipsson były zatrudnione w Zakładach Wełnianych, ale żadna z nich nie zabawiła tam długo. Malva siedziała przeważnie w domu, nikt nie wiedział dlaczego. Wszyscy mówili, że powinna częściej wychodzić do ludzi. Gawędzić. Opowiadać coś o sobie. Niekoniecznie zaraz o podróżach do Afryki czy innych wielkich rzeczach. Mogła przynajmniej od czasu do czasu poprosić o pomoc, ale nie, nigdy, nawet Svartena, choć jej okna wyglądały jak wyglądały, potem, kiedy spalił się kurnik, też nic z tym nie zrobiła. A kury miała dorodne, rasa skańska o nakrapianych złocistożółtych piórach i jasnoczerwonych grzebieniach. Ktoś powiedział złośliwie, że dobrane do jej koszuli nocnej, ale to nie całkiem prawda, jej szlafrok był o wiele jaśniejszy.

Na początku chyba nikomu nic nie przeszkadzało.

Dopiero potem... Tamta straszna noc z dziesiątego na jedenastego września... To chyba będzie już siedem lat? Kiedy Sara Andersson weszła w nurt Lillån. To było głupie miejsce, żeby się utopić. Szeroka i płytką część Jädraån? Ale kawałek dalej prąd staje się rwący, a ciało, które mu się nie opiera, łatwo daje się unieść, zwłaszcza po ciemku. Lasse z Nerigård to było co innego, on wpadł prosto w wir, a ciała pewnie nigdy by nie znaleziono, gdyby on, Svarten, nie miał tamtego przeczucia: Poszukajcie poniżej Nydammen, gdzie rzeka robi zakole. Z czegoś takiego też mógłby mieć trochę grosza. Ale przecież, do diabła, nie potrzebuje pieniędzy. Przeznaczyłyby je na wódkę, a z tym jakoś sobie radzą we wsi, kiedy jednemu się kończy, drugi ma trochę na zbyciu; nigdy nie opłaca się skąpić, wszystko dostaje się z powrotem. Svarten nie myśli tu o niebie czy piekle, ale o tym ziemskim życiu.

Kiedy odeszła Sara Andersson, ona była nieznośnie samotna, Malva Filipsson. Prawie nie dało się na nią patrzeć. Chociaż on, Svarten, próbował nawiązać kontakt, owszem. To była taka straszna historia, tamto z synem Sary i całą resztą, a miało być jeszcze gorzej. Ale ona go nie zauważała. Pewnie była zbyt wytworna. Miała hortensje, które rosły po obu stronach żwirowanej ścieżki do domu, jarzyły się ostrym błękitem tak samo jak jej samotność, odcinały się od innych ogródków w Norrby, ich spokojnych dzwonek i orlików.

Potem znalazło się kilku chłopców ze wsi, oczywiście żaden z młodych Anderssonów czy Steenów, którzy zaczęli się paskudnie zachowywać. Zwłaszcza synowie Örnebrandta, Jompa i Krister. Byli jeszcze mali, nie ma co nazywać tego agresją, coś takiego może się przykleić na całe życie, takie tam zwykłe psikusy, właściwie można je porównać z tamtą historią, kiedy Ingbritt Karlsson raz zawołała za panną Filipsson „kurwa”, choć raczej „kujwa”, miała wtedy ze trzy, może cztery lata, oczywiście trochę inaczej wygląda, kiedy takie rzeczy wołają chłopcy, ale panna Filipsson chyba jednak przesadziła, kiedy po tym zaczęła jeszcze rzadziej wychodzić z domu.

Bóg jeden wie, jak jej się udawało związać koniec z końcem przez ostatnie lata. Krążyły plotki, że dostawała klejnoty od książąt, czy może to byli szejkowie. Krążyły plotki o mężczyznach, którzy zachodzili do niej nocami, ale nikt nie powiedział niczego otwarcie. A Svarten Granlund nigdy by nie pisnął ani słowa na ten temat. On nie jest taki.

Pogorzelnisko będzie się dymić przez całą noc, o ile nie spadnie deszcz, wygląda jak dziura w krajobrazie, ale leży na uboczu, a nie na środku, jak dom Örnebrandtów, nie był też specjalnie duży. Svarten widzi, że coś się rusza w krzakach po drugiej stronie, patrzy w tamtym kierunku, to chyba znowu ta dziewczynka, wzdycha, ale to równie dobrze może być kot, zresztą wszystko jedno, on nie zamierza się wtrącać.

Ale to jednak jest straszne, mówi Aina i wyswobadza palce z cichej modlitwy. Mówcie, co chcecie, ale śmierć jest zbyt okropną karą.

I ty niby jesteś religijna, Fredrik uśmiecha się szyderczo. Czy śmierć nie jest karą za to, że nie przestrzegało się wszystkich praw i nakazów Boga?

Prawdę mówiąc, to Fredrik narzekał o wiele bardziej niż Aina na poczynania panny Filipsson. Ale to można wyjaśnić tym, że pani Steen jest równie małowówna, jak jej najstarszy syn, Edwin.

Właśnie Otto, najmłodszy, wpada do kuchni.

Edwin wyciągnął ciało, mówi zdyszany, a potem poszedł na górę.

Jest takim samym wariatem jak Frasse, mówi Fredrik. A na razie dostał tylko klucz do chałupy. Znów się uśmiecha, chce się roześmiać, dumny ze swojego żartu, ale Sofia rzuca mu takie spojrzenie, że rezygnuje.

A gdzie jest Karin?, pyta. Chciałby wziąć ją na kolana. Przydałoby się wyjść do drewnutni, sięgnąć do tajnej skrytki, w stercie polan; inaczej nie będzie mógł zasnąć.

Poszła spać, odpowiada Aina. Zawsze potem jest taka zmęczona.

Sofia chce zapytać Ottona, czy Edwin poszedł do chaty, jak się zachowywał, czy naprawdę powinien być sam po czymś takim. Nawet jeśli nikt nie znał dobrze panny Filipsson, to jednak nie jest taka najzwyczajniejsza w świecie rzecz, wyciągnąć martwe zniekształcone ciało. Przy słowie „zniekształcony” przechodzi ją zimny dreszcz.

Biedny Edwin, myśli.

Edwin da sobie radę, mówi mama, jakby słyszała myśli Sofii. Sofia uśmiecha się do niej, ale spojrzenie mamy jest skierowane na Ottona, podsuwa mu półmisek żytnich podpłomyków, potem masło.

A Emilia? Też śpi?, pyta Otto, zabierając się do jedzenia.

Jest na dworze. Szła w stronę domu. Bóg wie po co. Nie widziałeś jej?

Nie, mówi Otto. Ale jest ciemno jak w kominie.

Wygląda, jakby niebo przejęło kolor, mówi Sofia i pokazuje za okno.

I rzeczywiście. Niebo jarzy się czerwienią i złotem, z kilkoma smugami czerni, które powoli bledną i znikają.

Właśnie, Emilia biegnie w stronę domu panny Filipsson, biegnie i biegnie, ale tam nie dociera, przez całą noc aż do rana Emilia biegnie jak przez wodę. Śpiesz się, Emilio. Widzi płomienie. Słyszy krzyki. Podchodzi tak blisko, aż widzi, że nikogo tam nie ma, nikt nie udziela pomocy. Jest noc i ogień, a Emilia biegnie, biegnie, kiedy nagle jakaś dłoń dotyka jej ramienia.

Emilio! Obudź się!

Otwiera oczy i widzi przed sobą Sofię. Stoi z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, wygląda na rozzłoszczoną, ale i przestraszoną.

Minęła ósma, a Edwin jeszcze nie wrócił do domu.

Emilia czuje, że jej poduszka jest mokra. Chce być teraz sama, chce, żeby Sofia sobie poszła, ale ona wciąż stoi i patrzy na nią nagle, jakby Emilia wiedziała coś o Edwinie, czego Sofia nie wie.

I musiałam ugotować śniadanie i pozmywać potem... A mamę znów bolą palce.

Dobra, dobra, mówi Emilia i wygrzebuje się z łóżka. Mogłaś mnie przecież obudzić, myśli.

Kiedy ty właściwie wróciłaś?, pyta Sofia. I co tam robiłaś tak długo?

Chciałam pomóc, odpowiada Emilia.

Przecież było za późno. Zresztą od samego początku. A co ty mogłaś tam zrobić, jak myślisz?

Sofia nie czeka na odpowiedź, pierwsza idzie na dół. Emilia powoli się ubiera i schodzi do kuchni. Wie, że nie ma sensu, żeby tam wchodziła i mówiła dzień dobry, mama i Sofia i tak myślą tylko o Edwinie. Co ty tam robiłaś, kiedy i tak się nie opłacało? Dlaczego biegłaś, kiedy wiedziałaś, że nie zdążysz?

Właśnie, myśli Emilia. Nie będę sobie nimi zawracała głowy. Bo one i tak nie rozumieją.

Wychodzi na podwórze, gdzie Silver śpi z pyskiem opartym na łapie. Emilia bierze rower, prowadzi go przez furtkę, a kiedy jest na drodze, widzi Edwina, jak schodzi w dół z boczem od chaty Szalonego Frassego. Ma zapadnięte oczy, jest nieogolony i wymięty.

Spałeś tam na górze?, pyta Emilia przede wszystkim po to, żeby móc jechać dalej i nie stać dłużej w jego milczeniu.

Tak. Tak było.

Oni odchodzą od zmysłów, nikomu nie przyszło do głowy, że mógłbyś się ukrywać sto metrów od domu.

Ty też tak zrobiłaś, kiedy uciekałaś, mówi Edwin. Mógłby się uśmiechnąć przy tych słowach, to byłyby taki ich wspólny żarcik. Mógłby szturchnąć ją lekko, jak to robią inni starsi bracia, ale on tylko stoi i się gapi, a ona chce jechać dalej.

Bardzo było okropne, to z ciałem? To dlatego nie wróciłeś do domu?

Edwin patrzy na nią, jakby wszystkie jego uczucia zebrały się w tym spojrzeniu i chciały już, natychmiast, z niego wystrzelić, tak szybko, żeby nie można było się dowiedzieć, o co chodzi.

A ty?, pyta. Kiedy ty poszłaś do domu? Stałaś do końca, aż przestało się dymić, prawda?

Ech, mówi Emilia. Nikt z nas specjalnie nie przepadał za panną Filipsson, nie musimy niczego udawać.

Z tymi słowami przeciska się obok Edwina. Czuje w gardle dławiącą kluchę, musi przed nią uciec na rowerze.

Słuchaj, mówi Edwin, kiedy już go zostawiła za sobą. Emilia odwraca się i rzuca mu zmęczone spojrzenie. A ty dokąd się wybierasz?

Gdzieś daleko, odpowiada siostra.

Czyli jak zwykle, mówi Edwin i rusza w stronę domu.

Emilia pedałuje przez Norrby. Wieś nie jest duża. Kilka pagórków, most. Drogę tyle, że trzeba jeździć tam i z powrotem. Jeśli się nie wyjeżdża na Kungsforsvagen. Jeśli się nie skieruje nosa w stronę Sandviken, jakby to było jakieś o wiele lepsze miejsce, a tak ludzie myślą. Przy drodze krajowej i tak zawsze zawraca. W dół zboczem, kilka szałasów, stodoły. Z drzew pada złoto, obsypuje ją jak deszcz. Chłodny wiatr kąsa policzki, ale gdy wyjeżdża się na słońce, ono ciągle jeszcze grzeje. Jompa i Otto budowali tratwy na rzece. Kawałek dalej w górę rzeka płynie jak przez dżunglę, stuletnie gałęzie zwieszają się nisko nad wodą; często tam przesiadują, budują szałas w gęstwinie, udają, że słyszą egzotyczne ptaki albo wręcz dzikie zwierzęta. Jest tam wiele podmokłych miejsc i bajorek, w których jaśnieją żółte i białe lilie wodne.

Jädraån przyływa tutaj aż z lasów Dalarny, wypełnia kanał w Sandviken, wpada do Storsjön, łączy ze sobą wiele różnych punktów. Akurat w Norrby rzeka rozlewa się szeroko, zajmuje więcej miejsca. Emilia mija dom panny Filipsson. To, co było jej domem. Musi jechać bardzo powoli albo bardzo szybko. Wybiera powolność, choć to przychodzi z większym trudem. Tak wolno, że rower prawie stoi w miejscu. Musi patrzeć albo odwracać wzrok. Patrzy, ale tam nie ma nic do oglądania. Skrajem działki Malvy Filipsson przepływa rzeka, na brzegu stoi stół i krzesło. Dom zasłaniał to miejsce. Nagle kot przebiega przez drogę, Emilia traci równowagę, musi podeprzeć się nogą. To jeden z kotów Karlssona. Chudy, ze zmierzwioną sierścią. Emilia próbuje go jednak przywabić. Bo strasznie jest tak stać tu w całkowitej samotności przed domem, którego nie ma.

Gdyby się odważyła, poszłaby usiąść na tamtym krześle.

Tylko bez tych spojrzeń dokoła.

Kot ostrożnie podchodzi do jej ręki, dziewczyna głaszcze go niechętnie, czuje wrzody przez futerko, kot mruczy donośnie. Emilia rusza dalej, prosto przed siebie, góra jest zielona i żółta, potem skręca w prawo, na drogę, która prowadzi do zagrody; jedzie coraz dalej i dalej, ma wrażenie, że nie istnieje żadne inne miejsce, które leżałoby tak daleko jak Norrby, tak ukryte i odległe. Wyżej, przy chałupie Szalonego Frassego, którą wkrótce przejmie Edwin, jaśniejają ostrą żółcią korony brzoź, ich liście szeleszczą, jakby były zrobione z cienkiego papieru. Róże kwitną po raz drugi, kwitną biało, są piękne, ale nie tak jak hortensje. Sofia uważa, że hortensja to wulgarny kwiat, one nie wyglądają jak prawdziwe, mówi, ale właśnie to jest piękne, że nie wyglądają na prawdziwe, a jednak są.

Dom Frassego stoi kawałek w górę na zboczu Kungsberget. Po zachodniej stronie widać ziemny garb, pamiątkę czasów, kiedy cała okolica była zalana. Kościół w centrum Järbo byłby sto metrów pod wodą. Emilia wyobraża sobie taki obraz: biała kościelna wieża stopniowo znika, jak maszt tonącego statku. Ale ziemia się podniosła, okoliczne tereny, Järbo, najpierw płasko, potem wypiętrzyło się faliście i pagórkowato, z pęknięciami, które zamieniły się w rzeki. Jädraån wije się przez liściaste lasy i łąki zalewowe, na których rośnie turzyca i wierzba. Emilia nigdy nie wchodzi na górę, jak Karin czy Sofia. Nie żeby się bała, po prostu najbliższe otoczenie nie interesuje jej specjalnie. Przyroda – to nie dla niej. Nie zna ani jednej nazwy ptaka, no, może poza tymi oczywistymi, jak wrona, wróbel czy dzięcioł. Nie zna się na drzewach ani roślinach. Gdyby miała wędrować po górze, to jakby poruszała się w jakiejś mgle... Albo nie, to nie mgła... Wszystko byłoby tam tak krzycząco oczywiste, ale bez wiedzy i odpowiednich słów, wcale by do niej nie należało.

Czuje silny sprzeciw ciała, kiedy wjeżdża znów na podwórze i widzi twarz mamy majaczącą w oknie, przesuwaną się po szybie, jak cień.

Aina ma dużo roboty. To ona musi zająć się prawie wszystkim, dopilnować, żeby Fredrik wyszedł do lasu, czasami nawet musi zadbać o to, żeby wrócił do domu. Jeśli tylko siądzie, zajęta swoimi myślami, zaczyna odczuwać niepokój. Dłonie nie lubią bezczynności, czują się pozbawione sensu, i jeśli nie znajdzie niczego, co trzeba umyć albo naprawić, musi zająć się modlitwą.

Mówiło się, że panna Filipsson była pół-Żydówką. Może dlatego sprawiała inne wrażenie, że pochodziła z innego gatunku ludzi. To mogło być takie proste.

Ojciec panny Filipsson miał jakąś firmę, która handlowała książkami i egzotycznymi przyprawami. Tak mówiła Kajsa Örnebrandt. Nawet знаła kogoś, kto tam był. W Uppsali. Draperie, które pobrzękiwały paciorkami, kiedy się wchodziło do sklepu. Kajsa porównywała go do sklepu Johana Lindbloma na Florellvagen i jego surrealistycznych lamp – Aina nie wie, co to takiego surrealistyczne lampy, ale domyśla się, że to musi być coś tak samo zbędnego jak książki czy egzotyczne przyprawy.

Świat ma tak niewiele wspólnego z Norrby.

Krowy trzeba wygonić na pastwisko, przyprowadzić, nakarmić i wydoić. Mleko trzeba przecedzić. Wygotować pościel. Przyrządzić jedzenie, po południu pozmywać. Zacerować pończochy. Zagnieść ciasto. Upiec chleb. Wypastować podłogi. Zanim się skończy, trzeba zaczynać od nowa. Trzeba zasiać na polu. Opleć. Zebrać plony.

Steenowie mają gospodarstwo. Örnebrandtowie też. Perta ma zakład kamieniarski. Do Svartena chodzi się z każdą możliwą sprawą, tylko że wtedy trzeba znosić jego bolszewickie gadanie (ale ludzie chętnie się na to godzą, byle naprawił im światło przy rowerze czy odbiornik radiowy; jak mawia Kajsa: można zamknąć uszy tak, że tego nie widać). Większość pracuje w lesie. Znakują, ścinają i wypalają. Synowie Anderssona, Milton i Max, to nie osiłki, ale są wytrwali i pracowici; jednak to Edwin, syn Ainy, najlepiej zna się na lesie.

Jeździ zielonymi ciężarówkami, w zimie saniami, jest silny i obowiązkowy, budować też oczywiście potrafi, ale nie tak jak Perta; ależ się tam, w jego domu, wszystko wiję i wygina, to wygląda prawie po babsku, z tymi zakrętami. Otto uważa, że to ładne, na nim tak łatwo zrobić wrażenie; pracuje ze wszystkimi w lesie, ale nieobecny duchem, drzewo mogłoby upaść prosto na niego; nie żeby był roztargniony, po prostu jego to nie interesuje, ale ma za to niesłychane szczęście we wszystkim, jest śmiały i otwarty. Raczej nie zagrzeje miejsca na górze. Jeśli chłopak może spać tylko cztery godziny w nocy, „bo jutro jest tyle psikusów do zrobienia, mamó”, to chyba może robić, co zechce.

Wszyscy we wsi mają swoje określone funkcje. Niektóre sięgają aż do Järbo. Valter Jansson pracuje w fabryce waty, Georg Andersson, Hanna Örnebrandt i troje z rodziny Karlssonów w Zakładach Wełnianych. Janne Örnebrandt jako jedyny jeździł aż do Sandviken, był szoferem w fabryce karoserii, odkąd Hilding dostał pozwolenie na kursy swoich busów własnej konstrukcji na trasie Järbo-Sandviken. Teraz fabrykę kupił K.P. Persson, Hilding umiał budować, ale nie miał ręki do pieniędzy. Chyba tylko funkcja K.P. Perssona sięga aż do Gavle. Hanna Örnebrandt ma narzeczonego w Kungsgården, ale to nie jest szczególnie daleko.

Norrby jest przyzwyczajona do strasznych zdarzeń, płonący dom nie niepokoi jej tak bardzo jak dziewiętnastolatka krążąca na rowerze – niczym mała dziewczynka – po drózkach, która powtarza: Niedługo stąd wyjadę, wyjadę stąd.

Rower, który zdaniem Emilii mieni się brązowo, a według pozostałych jest zardzewiały, Edwin znalazł w szopie u Szalonego Frassego; kiedyś należał do Sary Andersson, i teraz drażni ludzi, pytają Ainę, czy jej córka nie ma nic lepszego do roboty.

Ona musi mieć pracę!, mówi Kajsa Örnebrandt.

Pomaga w gospodarstwie, poza tym wygląda na to, że teraz nie ma pracy, próbuje tłumaczyć Aina. To nieprzyjemne, kiedy Kajsa tak potrząsa głową. Jakby Aina popełniła jakiś błąd. Ale oczywiście jest tak, że postępowanie dzieci rzutuje na rodziców, to niesprawiedliwe i niefortunne, bo dziewczynie nigdy niczego nie brakowało.

Słyszałam, że krawiec potrzebuje dziewczyny do pomocy, a przecież ona jest zręczna, ta wasza Emilia, może nawet trochę artystycznie uzdolniona? Kajsa uśmiecha się życzliwie.

Artystycznie? Nie bardzo... Ale oczywiście, mówi Aina z naciskiem (jak zwykle, kiedy próbuje wysokich tonów, głos jej się załamuje), oczywiście potrafi szyć.

No to w takim razie, mówi Kajsa Örnebrandt, jakby właśnie załatwiła sprawę, rozwiązała problem.

Kiedy Aina przedstawia propozycję swojej najstarszej córce, ta wzrusza tylko ramionami. Nie, Aina nie przedstawia tego jako propozycji, mówi: Krawiec potrzebuje dziewczyny do pracy, pojedziesz tam jutro. A mimo to, choć to nie jest propozycja ani nawet pytanie, Emilia tak się zachowuje. Jakby miała jakiś wybór. Może dostała za dużo?, myśli Aina. Może to był mój błąd?

Kiedy Emilia widzi rozczarowanie na twarzy matki, zmienia zdanie, mówi, że właściwie to mogłaby tam pojechać. Ale wyraz rozczarowania nie znika, bo przecież to nie było pytanie wymagające odpowiedzi. To było postanowienie, jeszcze zanim słowa zostały wypowiedziane.

Emilia chce wstać od stołu, ale twarz matki się nie zmienia, zawsze są miliony rzeczy, które można zrobić, o których się nie wie, o których powinno się wiedzieć. Zwłaszcza kiedy ma się dziewiętnaście lat. I nie lata się z narzeczonym tak jak Karin, która ma powód, żeby wychodzić z domu i późno wracać.

Emilia wie, co mówi twarz matki. Jeśli dziewczyna została w domu, ma przydawać się w inny sposób. Jako obywatelka społeczeństwa i posłuszna córka. I każda rzecz, której się nie robi, to wstyd. A każda rzecz, którą się robi, to oczekiwanie kolejnej rzeczy i kolejnej, to nigdy się nie kończy.

Stok Edwina (I)

Nie, to się nie kończy. Edwin na chwilę wpada do domu, łapie coś do jedzenia, je na stojąco i zaraz wraca do lasu, do karczowania. Na zboczu góry, między jodłami, Edwin buduje wieżę. Jest listopad, pracuje sam; jego gorączkowe ruchy trzymają ludzi na odległość. Svarten Granlund i Płomień Andersson, to znaczy Milton (syn Georga Anderssona i brat Maksa Anderssona, narzeczonego Karin), są pierwszymi, którzy do niego podchodzą, ostrożnie, jakby Edwin nie był człowiekiem, a niedźwiedziem.

Co takiego robisz, Edwinie? Budujesz.

A co takiego budujesz, Edwinie? Buduję trasę narciarską. A niech to. Może ci pomóc?

Nie trzeba. Chętnie sam przy tym popracuję. Można by pomyśleć, że zwariował, ale w okolicy określa się go słowami takimi jak „wytrwały”, „uparty”, „zapaleniec”, pastor używa słowa „ekstraordynaryjny” i nie każdy rozumie, co to oznacza. Fredrik nie rozumie, jak syn daje radę ciągle pracować przez tę resztę czasu, którą ma na odpoczynek, pomrukuje niezadowolony, zwłaszcza kiedy widzi dumny wzrok Ainy, ale żadne z nich nie rozumie, że to nie jest kwestia wyboru. Trudno to wytłumaczyć, coś w nim się rozpada; rozgląda się i wydaje mu się, że widzi smutek; słyszy, jak tamci, Svarten i Płomień, pytają: Co masz na myśli, Edwinie? O co ci chodzi z tym smutkiem? Nikt by się nie przyznał. A może to tylko on tak czuje. Ale przecież ludzie w okolicy potrzebują mieć coś do roboty oprócz tego, co wszyscy muszą robić, chyba on może im coś dać.

Edwin da im stok narciarski.

Przedtem góra była dla motorów. Miały na niej miejsce wyścigi motocykli, pojazdów z przyczepą boczną i aut. Ludzie zjeżdżali się z najdalszych okolic i odbywał się wielki festyn. Znowu może tak być.

I kiedy spadnie pierwszy śnieg – czyli w połowie listopada, pada już wtedy solidnie – przyjadą goście. W ciągu kilku tygodni trasa zjazdowa stanie się popularnym celem wycieczek, choćby tylko po to, żeby popatrzeć, zobaczyć innych, odważniejszych, jak rzucają się stokiem w dół. Ludzie zabiorą ze sobą dzieci i bułki, termosy i koce, sanki i plecaki. Ludzie będą przyjeżdżać z daleka na stok Edwina. Edwin wcale się nie chwali, ale plotka rozchodzi się szybko, a wraz z zadowolonymi pojawiają się też tacy, którzy potrafią zepsuć każdą radość, z niecierpliwie wyczekującymi – nieżyczliwi i podejrzliwi. Zaledwie kilka tygodni po uroczystym otwarciu pojawiają się inspektorzy, badają konstrukcję, pytają o autora. Ludzie radośnie wskazują Edwina, wypychają go na przód. A ten, co badał i pytał, patrzy na Edwina, potem na stok, na zadowolonych ludzi, potem znów na Edwina i pyta, czy ma pozwolenie.

Pozwolenie?, odpowiada pytaniem Edwin i drapie się po krótko ostrzyżonej głowie.

Mężczyźni spoglądają po sobie, śmieją się rubasznie.

Musi mieć pozwolenie na budowę, powinien chyba to wiedzieć.

A czy tu miało być coś innego?

Coś innego?, pytają mężczyźni.

Tak, czy były plany, żeby wybudować tutaj coś innego?

Mężczyźni znów wymieniają spojrzenia.

Nieeee..., mówi jeden z nich.

Ale to tutaj nie może stać, mówi drugi.

No właśnie, mówi pierwszy. Bo potrzebne jest zezwolenie na budowę, a jeśli Edwin go nie ma, musi wszystko rozebrać.

Edwin mógłby się wściec, ale on nie jest taki, przynajmniej na trzeźwo.

Czy naprawdę o to wam chodzi?, pyta. Czy mam rozwalić to, co właśnie zbudowałem?

Taaak, odpowiadają obaj mężczyźni jednym głosem.

Kiedy minie zima, o to chodzi?

Teraz!, mówią chórem mężczyźni.

Edwin patrzy na stok i na ludzi, ktoś macha ręką, ktoś inny właśnie się śmieje. Trzeci akurat nalewa kubek parującego kakao.

Czy na to też potrzebuję zezwolenia?

Mężczyźni patrzą pytająco na Edwina. Drapią się pod kapeluszami z okrągłą główką.

Żeby rozebrać – czy na to też muszę mieć zezwolenie?

Mężczyźni zaczynają się śmiać, poklepują Edwina po ramieniu, i odchodzą.

Edwin rozbiera wieżę. Potem stara się o pozwolenie i ją odbudowuje – teraz fundamenty są położone, już wie, co ma robić, wszystko idzie raz dwa. Dość niechętnie przyjął też pomoc braci Anderssonów i Hugona Lindbloma, który jest lewoskrzydłowym w klubie sportowym Järbo i bratankiem Johana Lindbloma, fryzjera, który pojechał do Hiszpanii walczyć. Potem składa podanie o jeszcze jedno pozwolenie, żeby zbudować trasę alpejską w Kungsberget. Dwie trasy za jednym zamachem! Ludzie nie wiedzą, co mają myśleć.

Dłonie Edwina chcą budować. Rozbiórka była ciosem. Musiał przez to leżeć na kanapie cztery dni. Sofia się niepokoiła i poszła do niego z jedzeniem, ale Edwin siedział akurat w kuchni w chałupie Szalonego Frassego i sam sobie przygotował posiłek, kisiel owocowy z mlekiem i kawałkami chrupkiego chleba. Kawa, kromka chleba. Niezbyt obfity, ale absolutnie wystarczający, przynajmniej według niego. Troska mu przeszkadza; irytuje go, kiedy ludzie się martwią. Leży na sofie i odbywa spotkania... z nią. Bo on nadal tam chodzi. Można pójść w jakieś miejsce, nie ruszając wcale nogami. Można iść w jakieś miejsce, chociaż go już nie ma. A kiedy ona otwiera, wpuszcza go i siadają, on właściwie wcale nie chce jej prosić o radę, chce tylko na nią patrzeć, dotykać jej, wie, że potem ona wypchnie go z całusem i uśmiechem. Poradzisz sobie z tym, Edwinie. Kto, jeśli nie ty.

Dla rąk Edwina nie istnieje nic innego. Budowanie to sposób dotykania rzeczy. Ogrzania dłoni, nawet jeśli chodzi o coś tak zimnego jak sport narciarski. Człowiek oddaje się czemuś, co istnieje, staje się szlachetniejszy, jest czymś więcej, jest szczęśliwszy.

Ręcznymi narzędziami i ładunkami wybuchowymi buduje się stok. Przy wsparciu finansowym entuzjasty Nicklassona, posiadacza sklepu w Kungsfors (K.P. Persson pod presją dorzuca trochę od siebie, bo nie chce być gorszy), przy pomocy braci Anderssonów, braci Örnebrandtów, Hugona Lindbloma, do tego Sixtena Linda.

Sixten Lind przed kilkoma laty postrzelił podczas kłótni chłopaka. To było na Björkvallen, Sixten był za młody na więzienie, i tak wstrząśnięty, że to, co było przerażeniem, uznano za skruchę. Wypadek został określony jako „nieumyślne postrzelenie”, chłopak, który był ofiarą, wyszedł z tego tylko z zadrapaniem i szokiem, potem miał reakcje lękowe na głośne dźwięki. Bracia Örnebrandt pomrukiwali, że jeśli on też ma tu być, to wszystko pójdzie w diabły, ale przecież człowiek nie może ciągle cierpieć z powodu swojej przeszłości, ma prawo się zmienić. Edwin się ucieszył. Sixten jest silny, poza tym potrzebuje jakiejś wspólnoty, powiedział sam do siebie Edwin, kiedy przyszedł na miejsce wczesnym rankiem w niedzielę i zastał Sixtena, który już zdążył się zabrać do karczowania.

Kiedy trasa jest prawie gotowa, ręce Edwina nie mogą przestać budować. Trzeba rozebrać szalasy pasterski Jana-Oli na Björnbacken i przenieść na trasę slalomu. Idzie do Milтона Anderssona – pod wieczór, jakby poufnie – i pyta, czy ten ma ochotę mu pomóc przenieść szalasy. Pożyczył konie Örnebrandtów i sanie, przez cały dzień pracują, chata będzie ciągle w użyciu, mówi Edwin, kiedy widzi drobnego Milтона, jak ugina się pod ciężarem desek. To będzie miejsce do odpoczynku, a podczas zawodów możemy w niej mieć bufet.

Słyszając to „my”, Milton się prostuje.

Wobec tego „my” wszystko staje się możliwe.

I kancelarię, mówi Edwin, ma poczucie humoru. Stawiają szalasy u stóp stoku narciarskiego, Edwin Steen i Milton Andersson.

Córki Ainy

Sofia siedzi z książką, wciśnięta w boks Róży. Ciepło od krowy. Tylko kilka minut. Potem zaraz wróci do domu. Na wewnętrznej stronie okładki koślawe litery: Milton Andersson. Okładka błyszcząca. Singoalla¹ wyrywa więdnący kwiat z dłoni Erlanda i mówi, że chce mu dać świeże kwiaty; zrywają je, Singoalla cieszy się z bukietu Erlanda, choć jest żałośnie byle jaki. Musi wracać, a Erland mówi: „Możesz odejść, Singoallo, lecz chcę, abyś tu przychodziła co dnia, bym mógł na ciebie patrzeć”.

Jeszcze tylko kilka linijek. Tylko do końca rozdziału. I zacząć następny. Słońce, które zachodzi za skałami...

SOFIO! Czy już kończysz?

Sofia szybko odrzuca książkę.

Aina widzi, jak książka znika pod sianem. Sofia, rozkojarzona, podnosi wzrok, jakby obrazy się skrzywiły i musiały się naprostować. Aina sama wie, jak głęboko można wpaść w bajki Karin, jak trudno się uwolnić, ale wtedy to jest opowieść, którą się z kimś dzieli. Nie niezrozumiały tekst w książce, w którym chowa się nos i myśli. To, że Sofia robi coś takiego – chowa się – matce trudno jest znieść. I kto w ogóle wie, o czym one są, te wszystkie książki, które pożyczają od Milтона Anderssona. Poza tym oczy się psują, kiedy człowiek za dużo czyta.

1 Tytułowa bohaterka powieści Viktora Rydberga (1828-1895), przedstawiciela późnego romantyzmu.

Milton Andersson. Potrafi pożyczać książki, a nie umie się oświadczyć.

Aina wzdycha.

Nigdy nie da się zrozumieć ani zaplanować dorastania córek. Tak łatwo jest się za nie wstydzić. Tak łatwo myśleć, że powinny być inne. Z jakiegoś powodu z chłopakami jest inaczej. Nawet jeśli Edwin czasami za dużo pije, a Otto jest lekkomyślnym bałamutem, to jest to jakoś uzasadnione. Wobec dziewczyn ma się większe oczekiwania i wtedy może uwierać, kiedy one nie starają się naprawdę. Aina tak się boi, że będą chodzić z rozmarzonymi spojrzeniami. Choć o Karin nie trzeba się martwić. Jeśli chodzi o jej ślub, jest tak obrotna i pomysłowa, że Aina nie musi nawet kiwnąć palcem. Co zresztą może być sprawdzianem dla jej cierpliwości, bo jak matka ma się czuć, kiedy nie może decydować w kwestii ślubu własnej córki?

Widzi Edwina w drodze na górę, z narzędziami i przyjaciółmi; wzdycha z ulgą.

Wrócił, mówi.

A skąd?, pyta Fredrik, który właśnie wszedł do kuchni.

Aina nie wie, co odpowiedzieć. Nawet Sofia nie wie, gdzie Edwin był, ale używa tego samego słowa: „powrót”. Edwin jest z powrotem. Chciała zapytać, ale on i tak by nie odpowiedział... Za co należy go podziwiać, bo przecież nie powinno się wywlekać tego, co kogoś gryzie, wystarczy już samo gryzienie. Słowa nic tu nie pomogą. Ona też tak myśli, choć on nic nie powiedział.

Sofia lubi chodzić do lasu i patrzeć, jak Edwin pracuje; bierze ze sobą jedzenie; on wygląda, jakby się irytował, ale ona wie, że to tylko koncentracja. Jego krzaczaste brwi ściągają się u nasady nosa, można to łatwo wziąć za gniew, jeśli się go nie zna tak jak ona. Czasami są tam chłopcy Anderssona, wtedy Sofia zostawia picie i kanapki i pośpiesznie zawraca. Właściwie nie ma z nich żadnego pożytku, myśli czasem, zwłaszcza z Milтона, całe szczęście, że on jej nie chce; co ona miałaby robić z takim chudziakiem? I jeszcze te włosy, rude i bujne.

Jasne, że on cię chce, upiera się Karin; odkrawa kromki z bochenka, a Sofia miesza w garnku z zupą serową, który stoi na kuchence i bulgocze. Ale to jest głęboko ukryte, mówi dalej Karin przyciszonym głosem, żeby mama i tata nie słyszeli. Oni są trochę opóźnieni, ci chłopcy, szepcze Karin, a potem zaczyna się śmiać. A jej śmiech jest jak plaster – chociaż trudno powiedzieć, czy to w ogóle była jakaś rana.

Popatrz tylko na Emilię, szepcze Karin i pokazuje za okno, popatrz tylko na nią i ten jej ukochany rower. Ona już chyba nikogo nie znajdzie.

Tak myślisz?, odpowiada szeptem Sofia. Ale ona ma przecież talie osy.

No i co z tego, mówi Karin; wzdryga się, aż jej wielki biust się kołysze. Widocznie to nie od figury zależy. Szczypie się w pasie i wybucha śmiechem.

Sofia patrzy, jak Emilia odstawia rower i drapie Silvera za uchem. Kiedy wchodzi do kuchni, zaczynają chichotać, obydwie. Zaczyna Karin, ale tego nie słychać, bo Sofia szybko się dołącza. Aina jest ucieszona, ale ponieważ radość jest dla niej czymś tak nieznanym, może się tylko wykrzywiać do dziewczyn. Aż trudno uwierzyć, mówi, że wkrótce będziecie całkiem dorosłe. Słyszac słowo „drosłe”, Karin śmieje się jeszcze bardziej (widzi w myślach drzewo, które nigdy nie przestaje rosnać).

Oczy Karin błyszczą – mężczyźni wrócili z lasu, a ona lubi sposób, w jaki na nią patrzą; tata z dumą i wzruszeniem, Max z dumą i oddaniem... Siada w samym środku, podwija rękawy bluzki, to niesłychane, jak ona umie opowiadać. Ale Sofia nigdy nie jest zazdrosna. Trzyma się w cieniu, ale mimo to jest w polu widzenia Karin, w samym słońcu.

Milton i niedźwiedź

Był sobie raz – zaczyna Karin, kiedy wspinają się na górę; śnieg prawie stopniał, choć powinien jeszcze leżeć w zaspach – książę...

Nie, nie znowu tamto, protestuje Sofia.

Nie, to jest inna historia. O innym księciu – o księciu, który kochał tak bardzo, że serce wyskoczyło mu z ciała, nie słyssałaś o czymś takim, co?, ale tak się może zdarzyć. Serce wypadło z jego ciała i potoczyło się w dół po zboczach, jak kula, do stóp góry, a on pobiegł za nim i nagle serce stało się... się... wilkiem, który zwrócił się przeciwko księciu i zaczął go gonić, aż w końcu go zjadł. Pomyśl tylko! Serce, które zjada człowieka!

Obie się śmieją. Są już na miejscu. Śmiech mógłby się odbijać od głązów i pni drzew, ale cichnie na widok mężczyzn.

Karin patrzy na Maksa. A może to Max patrzy na Karin. Patrzy i nie może oderwać oczu. Jak on w ogóle ma pracować, kiedy Karin tam stoi i świat naokoło przestaje istnieć? Właśnie, chyba jest tak, że to Max patrzy, a Karin musi odwzajemniać spojrzenie, bo inaczej powstałaby nierównowaga.

Kochasz mnie?, woła jego wzrok sponad narzędzi, pni i głązów.

Karin kręci się zakłopotana. Czy to udawane zakłopotanie? Tak, na pewno, Max tak myśli, nie, on to wie, musi wiedzieć. Karin posyła mu uśmiech, od którego głąz zaczęły się toczyć, gdyby to była bajka naprawdę, a serce Maksa fika koziołki; po prostu musi jej dotknąć, jeśli tego nie zrobi, chyba się rozpadnie.

Muszę cię objąć, moja Karin, woła jego wzrok sponad pni, głązów i narzędzi, muszę cię pocałować, muszę zaraz się z tobą przespać.

Karin znów się kręci, ale Max biegnie do niej przez wykroty i korzenie, o mało się nie przewraca, kilka razy, a Karin się śmieje, to nie jest śmiech zażenowania, Max o tym wie, kiedy tak biegnie, to śmiech udawanego zażenowania, bo ona kocha go tak bardzo i tęskniła za nim nieopisanie przez tych jedenaście godzin, kiedy byli z dala od siebie, jedenaście zupełnie bezsensownych godzin.

Kiedy jest przy niej, nie wie, co ma zrobić. Bo tam stoi też Sofia. A kawałek z tyłu jest Edwin. A jeszcze dalej słychać pogwizdywanie Milтона.

Karin szturcha Sofię. Max wie, że chodzi jej o to, żeby Sofia poszła do Milтона, ale ona nie rusza się z miejsca i gdyby nie purpurowa twarz, wyglądałaby jak krnąbrna jałówka. Max wcale jej nie rozumie. Nie rozumie nikogo oprócz Karin. I chce jej pomóc, więc woła swojego brata. Ale kiedy Milton do nich podchodzi, robi się jeszcze gorzej.

No, czego chciałeś?, pyta Milton i patrzy spode łba.

Och, Max chciałby tylko dotknąć swojej Karin, przynajmniej pogłaskać ją swoimi wielkimi ciepłymi słowami, jest poirytowany przez Milтона i Sofię, którzy tylko tak stoją i nic... głupi osioł, krnąbrna jałówka... tylko przeszkadzają. Gdyby choć mieli dość rozumu, żeby się razem śmiać, kochać się, jak on i Karin, żeby wszystko dzięki temu mogło być ciepłe, jasne i piękne. Ta miłość to chyba największa miłość, jaka jest możliwa, myśli Max i ujmuje dłoń Karin. To za mało, ale przynosi ulgę, a jej śmiech podnieca go tak, że nie może się doczekać wieczora, kiedy znów będzie mógł się na niej położyć, przykryć całe jej miękkie ciało swoim.

A teraz coś zjemy, mówi Karin. Takie proste, zbawcze słowa. Jakie tylko Karin potrafi powiedzieć. Potem znajduje pozbawione śniegu miejsce pod dwiema jodłami i rozkłada koc, który przyniosła ze sobą. Sofia woła Edwina, ale on krzyczy w odpowiedzi, że nie ma czasu. No chodźże, woła Sofia. Zostaw go w spokoju, mówi Karin. Sofia jest zła. Karin nie zna Edwina tak dobrze jak ona. Edwin to taki typ, trzeba go ciągnąć siłą; człowiek musi mu się niemal narzucać, żeby Edwin nie czuł się samotny.

A siedzieć tak z Miltonem jest nie do zniesienia, kiedy Karin i Max gruchają i wymieniają całusy, aż robi się niedobrze. Wszystko się zmieniło, myśli; rozdaje kubki i nalewa kawę. Przedtem całą czwórką siedzieli razem, ale teraz wygląda to tak, jakby tamci dwoje siedzieli sami, na swojej wyspie. Przedtem mogła wziąć Milтона za rękę, mogli popędzić do lasu, latem budować szałas, zimą jeździć na narciarskie wyprawy i o wiele za długo być poza domem. Raz wydało się Sofii, że coś mignęło między gałęziami, coś dużego, ciemnego i żywego, powiedziała, że to z pewnością był niedźwiedź, a Milton tak się wystraszył, że popędził naprzód, aż się kurzyło, zostawił ją daleko w tyle, a kiedy go dogoniła, zdyszani i roześmiani wrócili do Maksa i Karin, żeby opowiedzieć coś, co przypuszczalnie wcale nie było prawdą.

Pamiętasz niedźwiedzia?, chciałaby zapytać. Ale boi się, że on pokręci głową i powie: Co takiego? Jakiego niedźwiedzia? O czym ty mówisz?

W plecaku ma książkę. Ostatnie dwadzieścia stron przepłakała. Nie znajduje dobrego sposobu, żeby ją zwrócić. Nie będzie tak jak przedtem. Już nie będzie tak, że o niej porozmawiają. A co ty sądzisz o tej książce? Co myślisz o tym jasnowłosym chłopcu na końcu? Przecież to jego syn, to jasne! No tak, oczywiście, ale chodzi mi o to, że nic nie mówił. A zresztą, mam w domu jeszcze inną książkę i wydaje mi się, że ty mogłabyś... Po prostu musisz ją przeczytać, Sofio.

Tak jak było jeszcze całkiem niedawno, a jednak jakby sto lat temu, co najmniej.

Mógłby wziąć ją za rękę.

Ona wzięłaby jego. To nie znaczyłoby nic oprócz: Teraz biorę cię za rękę, Miltonie. Albo: Chodź, idziemy.

To nie znaczyło nic. Przynajmniej do czasu, kiedy Max i Karin zaczęli się trzymać za ręce w ten inny, wykluczający sposób... Nagle dłonie, które się trzymały, zaczęły znaczyć coś więcej niż samo trzymanie.

Milton je swoją kanapkę, ona swoją. Dokoła, dokoła, obgryza ją koliście, wie, że to głupio wygląda, ale nie może się powstrzymać; najlepszy jest sam środek, chce go sobie zostawić na koniec. Czuje przez skórę, że on nawet na nią nie zerka, więc ona też nie patrzy. Kiedy kanapka jest zjedzona, Milton zaczyna gwizdać i to jest nie do zniesienia. Nie ma w tym żadnej melodii.

Edwin!, woła Sofia. Na pewno nie chcesz nic zjeść?

Edwin nie odpowiada.

Edwin!, woła Milton. Chodź tu i napij się kawy!

Wtedy Edwin przychodzi, z ociąganiem, powoli, niechętnie. Wciska się na koc między Milтона i Sofię. Sofia próbuje wymienić spojrzenia z Karin, ale ta akurat wyciera Maksowi usta chabrowoniebieskim rękawem kurtki.

Pójdę już do domu, mówi Sofia.

Karin tego nie słyszy, bo właśnie wtedy Max szepcze jej coś do ucha. Milton i Edwin rozmawiają o trasie, następny etap budowy czy rozbiórki, czy jak to się nazywa. Milton mówi z zapalem, niemal piskliwie.

Pójdę już, mówi Sofia jeszcze raz.

Karin macha jej ręką, jakby roztargniona. Dziękuję za kawę, mówi Edwin. Milton podnosi na nią wzrok, kiwa głową, znów zaczyna gwizdać.

„Żegnaj, Erlandzie! Mówi Singoalla. Żegnaj chłopcze nad strumieniem! Żegnajcie. Po policzkach Erlanda spływały łzy; załamywał rękę i wołał jej imię; lecz ona odeszła”.

Sofia w lesie

Powiedzieli, że pójdą aż na szczyt, do wieży pożarowej, ale Max i Karin zostawali coraz bardziej w tyle. Ścieżka biegnie między leszczyną i sosnami. Na wielkich blokach skalnych rośnie zimoziół i podkolan. Latem spod chrustu i mchów wygląda jeszcze siódmaczek.

Max i Karin coś mówią, ale jest za daleko, żeby mogła cokolwiek zrozumieć; odwraca się i próbuje uśmiechnąć.

Co mówiliście?, woła.

Nic takiego, odpowiada Karin. A potem znów patrzą na siebie w ten sposób. Sofia nie może wytrzymać, nie chce iść tak wolno, przyśpiesza kroku, tak że oni zostają całkiem w tyle. Udaje, że przygląda się czemuś szczególnemu. Udaje, że słucha odgłosu ptaka; sójka, myśli. Rzuci spojrzenie wysoko między korony drzew.

Pójdę lepiej do Edwina, woła, kiedy oni nawet nie próbują jej dogonić.

Dobrze, idź, odkrzykuje Karin.

Sofia idzie między jodłami i krzewami olszy, zaraz za brzeziną mający czerwien chaty; żeby tylko był w domu. Między Stocksbovagen i chatą Edwina jest wydeptana ścieżka. Jeśli idzie się bardziej od strony góry niż wioski, należy iść właśnie tędy, tą drogą idzie zawsze Edwin po pracy przy trasie. Brzozy spoglądają z góry na Sofię, na wpół dumnie i z wyższością, na wpół z czułą troską.

Edwin dopiero co wrócił do domu i jest zmęczony.

Szłam z Karin i Maksem, mówi Sofia, zgubiłam ich.

Widziałaś stok?

Nie dotarliśmy tak daleko. Chcieliśmy wejść na wieżę i sprawdzić, czy widać morze.

Powietrze nie jest dość przejrzyste, wyjaśnia krótko Edwin. Opowiada, że trasa wkrótce będzie gotowa. Chcę, żebyś była na otwarciu. Chciałbym, żeby to wyglądało uroczyście, a ty najlepiej jeździsz na nartach.

Ech, mówi Sofia. Wcale nie.

Nie chcesz?

Ależ tak, oczywiście, mówi z ociąganiem; dreszcz rozchodzi się powoli od żołądka do gardła i ust, czuje go nawet na skórze.

Od przyjścia do domu Edwin marzył o tym, żeby się położyć na sofie i zamknąć oczy. Chce się położyć i marzyć, jak zwykle, kiedy wraca do domu i całe jego ciało jest ogromnie zmęczone, cała głowa też. Jest tak zmęczony, że prawie zasypia na sofie, ale tylko prawie, i właśnie na tym pograniczu przychodzi ona, żeby z nim być – to chwila tak samo ważna, ale o wiele bardziej ulotna niż praca na górze. W każdym momencie ona może zniknąć i zostanie tylko on, leżący na sofie i wpatrzony w sufit, w rysy do zaszpachlowania, farbę, którą trzeba zeszkrobać.

Tylko tutaj, przy chacie Edwina, są brzożowe zagajniki z tak cienkimi i jasnymi pniami, że wyglądają niemal na przezroczyste. Stoją grupkami, jakby miały wspólny korzeń; jedna wielka gruda, z której wyrastają wszystkie drzewa. Działka wokół chaty Edwina ma dużo światła, na wiosnę Sofia ma pomóc przyciąć róże i wyciąć chwasty. „Na wiosnę” – te słowa tak szybko przelatują przez jej ciało, nawet nie zdążyła pomyśleć, że to jeszcze tyle czasu i nigdy nie wiadomo. Niepokój nie znajduje dobrego gruntu w chacie Edwina.

Sofia myśli o tym, że brzozy teraz patrzą na pocałunki Karin i Maksa. Oni na pewno cieszą się, że poszła, nie jest już tak jak w lecie, kiedy obie z Karin biegły przodem, wszędzie było pełno konwalii, śmiały się z Maksa, który człapał z tyłu. Karin, zaczekajże! Ale Karin biegła jeszcze szybciej, ciągnęła Sofię za sobą. Czy to była tylko zabawa? A może już wtedy było tak, że to Karin i Max bawili się ze sobą, a nie Sofia i Karin?

Przyciska nos do obicia sofy, kiedy Edwin nie patrzy. Jego kraciaste koszule i skórzana kurtka też pachną podobnie. Zdejmuje z oparcia koc, żeby owinąć sobie nogi, jak zwykle. Edwin krząta się po pokoju.

Mógłbyś pomalować ściany, mówi Sofia.

Podoba mi się tak, jak jest.

Mógłbyś wybrać jaśniejszy odcień. Tak zrobili u Franków, w paradnej izbie, bardzo ładnie wyszło; ja wprawdzie nie widziałam, ale Marianne mówiła, że to jak zupełnie nowy pokój, jakby o wiele większy.

Edwin nie odpowiada. W chacie nie jest ciemno. Ludzie tylko tak myślą, bo ktoś umarł w środku.

Mam rano słońce w kuchni, mówi; myśli, że w ten sposób postawił kropkę. Ale Sofia nadal błądzi rozmarzonym wzrokiem po ścianach.

Dobrze się tu czujesz?, pyta, a on sam już nie wie, ile razy musiał odpowiadać na to pytanie.

Nie trzeba się bać umarłych, mówi tak życzliwie, jak tylko potrafi. Nie ma żadnego powodu.

Kiedy wygląda przez kuchenne okno, spodziewa się zobaczyć orliki sięgające do parapetu. Tak było, kiedy chodził tutaj jako chętny na dom (właściwie nie było nikogo innego, ale chciał się rozejrzeć). I tamtym razem, kiedy siedział w kuchni i czekał na Simona, bo mieli pójść razem do lasu. Miał piętnaście albo szesnaście lat i na drodze zobaczył kogoś idącego w stronę domu. To była wysoka kobieta i coś w jej sposobie chodzenia sprawiło, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Nie tyle uroda, ile duma; prawie jej nie rozpoznawał. Albo tego nie chciał. Choć widział ją przedtem tyle razy, to było jak pierwszy raz. Bez mamy czy taty, bez Önnbrandta czy Karlssona Koszuli w pobliżu. Na własne oczy, z pustej kuchni, przez jasnorożowe łądźki, tak delikatne, że zdawałoby się, może je złamać wiatr, widział, jak ona podchodzi coraz bliżej i bliżej do chaty. Miała na sobie cienką sukienkę i na pewno mógłby dostrzec zarys jej piersi, jej bioder, gdyby tylko tam patrzył. Ale on szukał jej spojrzenia. I napotkał je. Gdyby ona się do niego uśmiechnęła, szybko cofnąłby wzrok. Gdyby pomachała. Ale ona tylko wytrzymała jego spojrzenie, póki Sara nie wyszła na schodki; razem poszły kawałek w dół z boczem, odeszły.

Z Emilii nie ma w domu właściwie żadnego pożytku, mówi Sofia, wzdychając. Jak myślisz, dlaczego ona taka jest? Taka... dziwna?

Chyba nie jest bardziej dziwna niż ktokolwiek inny, odpowiada Edwin, a jego głos nagle brzmi twardo.

Sofia myśli o jednej rzeczy, którą Krister Örnebrandt kiedyś powiedział: że pewnego wieczora widział, jak Edwin wszedł do panny Filipsson i minęło dużo czasu, zanim wyszedł. Tak głupio się przy tym uśmiechał, kiedy to opowiadał; nigdy go nie lubiła, powiedziała wtedy, że może panna Filipsson potrzebowała pomocy przy czymś. Edwin już taki jest, że chętnie pomaga innym. To obrzydliwe, że Krister rozpowiada takie kłamstwa, a sam przecież wcale nie jest niewiniątkiem. Ale teraz, kiedy Edwin odwrócił się od niej, a jego plecy jakby rosły i rosły, teraz przypomina sobie jednak tamte słowa... I to, jak się zachowywał po pożarze. Edwin stoi i majstruje przy fajce – nie chce się zapalić. Sofia strząsa z siebie tamte myśli; Malva Filipsson była przecież starszą kobietą, prawie w wieku ich matki, nawet ktoś taki jak Krister powinien zrozumieć, że to niemożliwe.

No dobra, mówi Sofia, próbując dodać sobie animuszu. Najlepiej pójdę już do domu, zanim mama zacznie się niepokoić.

W sieni on dalej jest taki sam – taki odległy.

Wiesz, że oni mają się pobrać, mówi Sofia. Max i Karin.

Tego można się było domyślić. Edwin wyszczerza się, zadowolony; wreszcie tytoń się zajął; pali krótkimi pyknięciami, a zapach sprawia Sofii przyjemność.

Nie ma chyba nikogo, kto pasowałby do siebie tak jak ci dwoje, mówi Sofia i otwiera drzwi.

Tylko nie idź drogą przez las, rzuca Edwin, szybko się ściemnia.

W ciemnościach, około dwustu metrów od chaty Edwina, Max ciężko leży na Karin i pokrywa ją pocałunkami.

Jest cholernie zimno, mówi Karin ze śmiechem.

A ty jesteś zawsze taka ciepła, Karin, moja Karin, dyszy Max, dłońmi ugniatając jej piersi.

Zamarznę na śmierć, mówi Karin i nadal się śmieje.

Nasza miłość jest większa niż niebo, dyszy Max; lubi mówić takie rzeczy. Już kiedy byliśmy mali, unosiła się nad czubkami drzew, ale byliśmy za mali, żeby to zobaczyć. Ale teraz muszę wejść w ciebie, Karin, natychmiast.

Nie czeka na przyzwolenie, wie, że ona też tego chce, czekał tylko wtedy, kiedy robili to pierwszy raz; zaczekał, aż podwinie spódnicę i ściągnie majtki, i powie, no dobrze, to zrób to, i już jest w niej, i nie ma nic piękniejszego.

O, Karin, moja Karin, jęczy, teraz wypełniam cię swoją miłością, czujesz to?

Karin się śmieje.

Kamień wbija mi się w plecy, mówi.

Max odrywa się od niej, pada na bok. Ona uśmiecha się i poprawia ubranie.

Ty mnie wykończysz, mówi i cała się trzęsie. W środku zimy.

Przecież nie możemy się powstrzymać, mówi Max.

Kiedy wracają przez las do domu, Karin przytula się do niego i mocno trzyma go za ramię. Max prostuje się. Gałązka pęka z trzaskiem gdzieś w głębi lasu, a on myśli, że przez niedźwiedzia, nawet przez wilka nie zadrżałby ze strachu, ale wtedy Karin kładzie głowę na rękawie jego kurtki i mówi jedyną rzecz, jaka wywołuje w nim niepokój:

Pomyśl, co to będzie, jeśli zacznie się wojna, mówi Karin. Jeśli będziesz musiał iść... A gdybyś tak jeszcze zginął?!

Nie mów tak... Jego ciało przebiega dreszcz.

A co będzie, jeśli wojna dotrze aż do nas?, pyta Karin; zatrzymuje się, Max widzi jej oczy lśniące w ciemności. I Niemcy będą stali tu w środku lasu, wycelują do nas, a my nawet ich nie zauważymy... Właśnie tutaj... Obserwują nas. Jeśli będziemy całkiem cicho (zaczyna szeptać) ćśśś!... to może usłyszymy ich oddechy...

Max nasłuchuje. Wokół nich panuje całkowita cisza. Słyszy tylko bicie swojego wielkiego serca. Oczy Karin płoną.

Pang! Pang!, krzyczy zniecka Karin, Max wzdryga się, ona odrywa się od niego, biegnie. Biegnie tak zwinnie i lekko, mimo wagi ciała. Max nie nadąza, dopiero kiedy wydostają się na drogę, dogania ją; Karin się śmieje, on też chce się śmiać, ale jego serce bije za szybko, więc obejmuje ją w pasie, od tyłu, żeby nie widziała jego twarzy.

Wszystkie jego listy, Maksa. Oczywiście są bardzo piękne, ale zbędne. „Najdroższa moja Karin, nie mogę spać w nocy z miłości, jeść zresztą też nie mogę”. Karin takich problemów nie ma, śpi jak suseł i je ze smakiem wszystko, co jest na stole. Jeśli Sofia nie zje swojej porcji (ona potrzebuje tak niewiele), chętnie bierze i od niej.

Kiedy się pobierzemy, chcę, żebyś był dla mnie dobry, mówi, leżąc na piersi Maksa w skrzydle domu; rozpalił w kominku, aż ogień trzaska i strzela.

Chcesz powiedzieć, że nie jestem dla ciebie dobry teraz?

Wiem, jak to jest z wami, facetami, kiedy się ożenicie; na każdym kroku słyszę takie historie – o pijaństwie, że robicie się nudni i głupi... Wtedy nie będziesz mógł przychodzić do mnie wieczorem.

Będę dobry, żebyś mógł przychodzić do ciebie rano i w południe, i wieczorem.

Karin się śmieje, a on zawsze jest tak samo uszczęśliwiony, kiedy uda mu się skłonić ją do śmiechu, choć to wcale nie jest trudne.

A kiedy pojawi się dziecko, Max, wtedy, musisz mi obiecać, będziesz kochał je tak samo, jak kochasz mnie.

Max całuje ją w ramię. Potem całuje ją w pachę. Potem w zagłębienie szyi. Ale takiego czegoś nie może obiecać. Więc chce to zatrzeć pocałunkami. Całuje i całuje, aż ona zanosi się od śmiechu, jak mała dziewczynka. Potem on patrzy jej w oczy tak głęboko, jak tylko się da.

Wiesz przecież, Karin, że nie mógłbym bez ciebie żyć.

Ależ tak, mógłbyś, mówi Karin.

Tyle razy pisał to już w listach, to jest męczące i nudne, Karin miałaby ochotę wytargać go za to za nos. *Najdroższa moja Karin, życie byłoby puste i bezsensowne bez ciebie. Po prostu niemożliwe. Czy Ty to rozumiesz, moja Karin?*, pisze Max. A potem co najmniej dziesięć idiotycznych pytań na koniec.

Czasami chciałbym, żebyśmy umarli razem, mówi Max i patrzy jej w oczy tak głęboko i poważnie, jakby to, co mu się marzy, było piękną i szlachetną rzeczą.

Na te słowa Karin siada. W takim razie już nie chce więcej całusów.

Jeśli będziesz mówił takie rzeczy, Maksie Anderssonie, to nie chcę mieć z tobą dzieci, nie chcę też twojego pierścionka, usunę dziecko i znajdę sobie kogoś innego, albo osiedlę się na górze, bo czegoś takiego, Maksie Anderssonie, nie wolno sobie życzyć, bo życie jest wszystkim, a śmierć jest niczym, czy ty tego nie rozumiesz?

Teraz Karin widzi, jaki jest zdruzgotany, więc uśmiecha się i przechyla głowę.

A jak moglibyśmy się całować, jak moglibyśmy spać ze sobą, gdybyśmy nie byli przy życiu?

Tu Karin ma rację. Max kuli się, zwija, musi znaleźć jakiś sposób, żeby znów się wyprostować, żeby znowu położyła się na jego piersi, próbuje ją przyciągnąć, ale ona się opiera i w końcu uwalnia z jego objęć, mówi, że musi do domu, że matka zwariuje, jeśli jej córki ciągle będą się tylko włóczyły poza domem.

Zakłada pończochy i spódnice. On dalej próbuje pociągnąć ją na dół, obejmuje jej nogi. No, zaśmiejże się, Karin – ale ona stoi mocno i niezachwianie, choć on ciągnie i ciągnie.

Prześnię już, Max, mówi wreszcie Karin. Zapina guziki bluzki. Wkłada płaszcz. Jest tak cicho między nimi. On próbuje ją łaskotać. Łaskocze ją w pasie, wie, że tam jest najbardziej wrażliwa, a wtedy ona wreszcie zaczyna się śmiać.

Zobaczymy się jutro, mówi Max.

Karin przytakuje, skłania przy tym głowę i to jest takie piękne, że Max czuje mrowienie w środku.

Kiedy poszła, coś się zepsuło, więc on zaraz siada i pisze długi list, żeby to naprawić.

Błękitna hortensja

Na początku lutego mężczyźni mogą wreszcie ogarnąć wzrokiem swoje dzieło w całości. Milton Andersson, zwany Płomieniem, z najbardziej poetycką duszą ze wszystkich, naprawdę uważa, że stok Edwina jest jak obraz. Choć jeszcze pusty, on już widzi ludzi, wszystko, jak wyglądało w zamierzeniach: na nartach, w ruchu. Widzi śnieg, który wygląda tak, jak śnieg powinien wyglądać: jaśniejący w białych zaspach, z kryształkami jak małe migoczące gwiazdki.

Ale potem widzi tylko Edwina. I widzi siebie. Są sami, pracują w milczeniu, ramię w ramię, z radością w każdym ruchu, w ciele Milтона jest tak dużo radości.

Dobrze to zrobiliśmy, mówi i odwraca się do Edwina.

No, rzeczywiście, mówi Edwin, ale w jego głosie nie słycać prawdziwego zadowolenia, jedna z jego dłoni szybko kładzie się na ramieniu Milтона.

Dwa dni przed uroczystym otwarciem śnieg jest ledwie cienką warstewką pudru, przez co Emilii łatwiej jest dojechać do krawca i z powrotem. Niebo jest ciemne, kiedy przejeżdża obok wypalonych fundamentów, które były domem panny Filipsson. Bez problemu może zobaczyć dom taki, jaki był, i ogród, żółte kury, jak się zatrzymywała przy furtce, dotykała kwiatów, błękitnych hortensji, które wychylały się nad białym płótem. Fantazjowała, że idzie po żwirowanej ścieżce, puka do drzwi, ale kiedy się otwierają, ona nie wie, co ma powiedzieć.

Widzi, jak Malwa krząta się w środku. Widzi tylko kontury. I nagle kontury innego ciała, które porusza się przy Malvie. Wyższe, masywniejsze, ale to zaledwie cień, światło na zewnątrz jest za jasne. Przenosi się szybko w zarośla po drugiej stronie drogi, naprzeciwko domu panny Filipsson jest dziki teren, pięćdziesiąt metrów dalej Emilia widzi zawijasy na werandzie Perty, z drugiej strony głośniki na drzewie u Svartena. Powietrze jest ciepłe, nieruchome, Emilia czeka. Czekala na pewno z godzinę. Widziała tylko czarne wachlarze w oknie panny Filipsson. Zrobiło się późno. Komary wirowały przed nią w powietrzu. Dopiero wyprowadzając rower z zarośli, zauważyła, że w zaciśniętej dłoni trzyma błękitną hortensję.

Pojechała do domu. To było latem.

Jedzie do domu. Zima. Niebo nie tylko jest ciemne, ale i ciężkie, nabrzmiałe, za chwilę pięknie, spadnie śnieg.

Śnieg pada obficie na chatę Edwina. Jakby na zamówienie u Boga, które On realizuje. Zsyła śnieg w takiej ilości, że niebo jest całkiem białe.

Edwin jest szczęśliwy, kiedy brnie do domu przez las w świeżym śniegu, jest kwadrans po czwartej, zmierzcha się, a jutro będzie otwarcie trasy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy coś sprawia mu radość. Wchodzi do domu, rygluje drzwi i z uśmiechem na ustach kładzie się na sofie. Za godzinę dokona jeszcze ostatnich poprawek i zrobi przegląd, może namówi Sofię na próbny zjazd, ale przez tę najbliższą godzinę będzie tylko leżał z zamkniętymi oczami i opowiadał Malvie o tym, że pada śnieg i że znowu czuje radość.

Idzie na spacer do jej domu.

Zwykle przemykał się, kiedy wszyscy zasnęli. Nauczył się zwyczajów sąsiadów tak dobrze, że mógł chodzić otwarcie albo w ukryciu, zależało od okazji.

Wie, że Svarten późno chodzi spać i widzi prawie wszystko, ale wie też, że Svarten jest ostatnią osobą, która by cokolwiek na ten temat powiedziała. Jeśli jest coś oprócz faszystów, czego Svarten nie znosi, to są to rozplotkowane baby. Czasami spotyka Valtera Janssona, ale tylko kiwają sobie głowami, jest za późno, żeby stawiać pytania.

Kiedy jest na miejscu, chciałby jeszcze przez chwilę zwlekać przy furtce, popatrzeć na jasnożółtą tynkowaną fasadę, stare ramy okienne; prosił, żeby pozwoliła mu je naprawić. Chce zobaczyć jej cień wewnątrz domu, przyglądać się jej tak, żeby ona go nie widziała (wie już, że jego obecność ją zmienia; jej naturalne ruchy stają się inne). Ale jak się umówili, idzie szybko ścieżką do drzwi, które są otwarte, ona zdążyła go zauważyć, wychodzi mu na spotkanie do sieni. Wejdz, mówi, chociaż on już jest w środku. Napijesz się likieru?, pyta, a on kiwa głową. Niektórzy nazywają to babskim trunkiem, ale jemu smakuje. Jak zwykle siada w fotelu, ona na sofie. Jak zwykle siedzą tak przez chwilę, każde z likierem w dłoni.

Patrzą na siebie. Uważnie.

Chodź tu, prosi ona po chwili. Jest tak zimno.

Nieważne, czy to lato, czy zima. To nie jest żart. Ona naprawdę marznie. Dygocze. On szybko dopija likier, by jego ręce odważyły się wejść pod jej szlafrok. Przy kilku pierwszych spotkaniach jego ręce zdawały się za duże i brudne; drżał, drży nadal. Ona chce, żeby się przybliżył – „jeszcze bliżej” – jakby nigdy nie było dość blisko, ale robi się ciepłej, on jej pomaga, to jest coś, w co on niemal boi się uwierzyć.

To taki rodzaj miłości, którego nikt nie nazwałby miłością, ponieważ jest tylko z ciał, bez żadnych słów. Kochają się, a potem leżą długo w ciszy. Słyszą jedynie tykanie budzika. Jakiś szmer z zewnątrz. Serca – jej i jego. Lecz we wnętrzu Edwina coś krzyczy, tak głośno, że to aż dziwne, jak ona może tego nie słyszeć:

Potrzebuję cię. Potrzebuję cię. Potrzebuję cię.

Papierosa?

Kiwa głową i ona wyjmuje swoją papierośnicę, częstuje go i każde zapala długiego białego papierosa.

Jeszcze trochę likieru?

Kiwa głową i ona wyciąga rękę po butelkę (to zwykle jest śliwka albo czarna porzeczka), nalewa do dźwięczących kryształowych kieliszków, które on trzyma w dłoniach, bardzo ostrożnie, ze strachu, żeby nie popękały.

Ty to masz dobre życie, mówi Malva, masz pełno ludzi, którzy się tobą opiekują.

Wystarczy, że my wiemy, mówi i głaszcze jego dłoń. Wystarczyłoby, gdybym tylko ja wiedziała.

Dopiero po jej śmierci Edwin rozumie te słowa. Gdyż tak dużo znaczy ją kochać. Tak dużo znaczy tęsknić za nią, nawet jeśli ona o tym nie wie. Był naiwny, kiedy czasami miał ochotę wykrzyczeć swoje uczucia całemu Norrby, całemu cholernemu Járbo, bo jeśli coś się rozgłasza, wtedy zostaje także wystawione na ludzkie spojrzenia i dotyk, a potem – jeśli było za bardzo obmacywane – jest podrażnione i obolałe, staje się raczej źródłem cierpienia niż ulgi, a zresztą Edwin i tak nie jest człowiekiem, który w ogóle cokolwiek wykrzykuje.

Dłonie pod cytrynowożółtym szlafrokiem. Próbuje sobie przypomnieć, jakie było w dotyku jej ciało pod jego dłońmi lub w nich. Próbuje przywołać tamto ciepło na skórze, które w końcu się pojawiało. Pamięta fałdki, znamiona, bliznę i trzydzieści dwa pieprzyki. Dwa włoski na jednej brodawce piersi. Linie, po których wodzi palcami wokół jej ust. Drży. Widzi, ale nie może czuć. Nie może czuć dokładnie tego, co było. A może jest odwrotnie: czuje, do diabła, jeszcze jak czuje, ale nie może zobaczyć. I kiedy otwiera oczy, robi się pusto, więc chce wejść w to z powrotem, jak Szalony Frasse, żeby oszaleć, wtedy człowiek czuje się lepiej, a ludzie zaczynają go leczyć, przekonani, że rzeczywistość, ta cholerna rzeczywistość jest jedynym miejscem, w jakim wolno żyć, a gdy człowiek znów zaczyna pojmować, co się stało, szaleństwo ustaje i po prostu nie da się wytrzymać. Edwin wie, że to niezręczne porównywać swoje przeżycia z historią Frassego, ale chyba potrafi, jak mu się wydaje, poczuć tę pustkę, która przenika każdy sens jak nóż. I w nim w środku coś krzyczy żałością, im bardziej żałością, tym głośniejsze, krzyczy coś w środku daremnie, a im bardziej daremnie, tym mocniej: Na co mi życie, jeśli ciebie nie ma?

Wstaje, wkłada okrycie, odryglowuje drzwi. Zrobiło się ciemno, teraz słyszy drzewa. Wszystko, co może stać się pociechą, musi być pociechą. Także i to, że widzi Milтона idącego pod górę. Macha do niego ręką i wskazuje ciężkie płatki, które wirują w powietrzu jak białe złoto.

Popatrz tylko, mówi. Jutro będzie wspaniale, zobaczysz.

Klepie Edwina w ramię, i coś jest takiego w tym ruchu – ponieważ Edwin jest wyraźnie wyższy – co jakby przynosiło ulgę.

Pomyślałem, że możesz potrzebować pomocy przy ostatnich przygotowaniach.

Milton spogląda rozradowany na Edwina, a ten nie może się powstrzymać od śmiechu. Kładzie ręce Miltonowi na ramionach. Niebo w górze jest równocześnie ciemne i jasne.

Przed nadejściem śniegu Karin i Sofia idą, trzymając się pod ramię, przez wilgotną trawę, kartoflisko, liście. Gdyby tylko Max nie stał na drodze albo w samym środku krzątany, gdyby nie przeszkadzał. Najlepiej było, kiedy znikają wysoko na górze, wspinały się po skałach i zwalonych pniach, szukając wejścia do pieczary Hillberga, złodzieja, który ukrywał się na górze i nękał całą okolicę – ale to było dawno temu. Wgłębienie jest tam nadal, i opowieści o ludziach, którzy weszli do wnętrza góry; Sofia też chciałaby być tak odważna. Nie chodzi o to, że się boi ciemności tam w środku. Boi się, że już nigdy więcej nie zobaczy Karin.

Z początkiem jesieni Karin i Sofia stały na górze i patrzyły w dół, na osuwisko głębokie na kilkaset metrów, trzymały się za ręce, przyglądały się zdumione paprociom wczepionym w szczeliny skalnej ściany. Jesień była przecież tak niedawno, ale zawartość czasu tak szybko się zmienia, że już nie da się wziąć Karin pod rękę, wyciągnąć jej na przegody.

Miłość między Karin i Maksem trwa od dawna, ale nigdy przedtem nie miała takiego wpływu na wszystko. Opowiadały bajki, śpiewały piosenki, w noc, kiedy Sofia nie mogła zasnąć, trącała tylko Karin zimnymi palcami stóp i Karin, niemal pogrążona we śnie, odwracała się, otaczała ją ramieniem, nuciła coś albo tylko leżała, przyciskając swoje duże rozgrzane ciało do Sofii.

Nawet gdy Max stał na środku drogi, był gdzieś z boku. Figurował tylko. Stawał się zabawną postacią z ich bajek, raz jako domowy duszek, innym razem klaun, kiedy indziej Karin zrobiła z niego księcia, a Sofia zdecydowała, że będzie Księciem Księżycowego Blasku i nie wolno mu pokazywać się za dnia, bo wtedy traci swoją moc. Mógł żyć tylko w nocy. W snach Karin. Gdyż niektórzy ludzie po prostu nie powinni znajdować się gdzie indziej, bo wtedy psują życie tych, którzy prawowicie byli tam przedtem.

To były głupiutkie bajki, jak na dziewczyny, które nagle były duże.

Księżę Księżycowego Blasku, jak się wkrótce okazało, wcale nie tracił sił w świetle dnia, wręcz przeciwnie, zdawał się coraz potężniejszy, im bardziej był w centrum, światło słońca, które nie mogło go zniszczyć, utknęło za chmurą, chmura utknęła na gałęziach olszy, a Max podchodził coraz bliżej, wchodził dokładnie w sam środek, wręcz jakby położył się w łóżku między nimi! A ponieważ Karin już nie zbywała go śmiechem, Sofia też nie potrafiła pozbyć się go opowiadaniem.

Jest noc przed otwarciem trasy, Sofia słyszy, jak Karin wraca do domu, przemyka się niezgrabnie, wzdycha, sapie, wstrząsa poduszkę i z głębokim westchnieniem opada na materac. W łóżku robi się ciasno, Sofia ma wrażenie, że jest coraz ciasniej, jakby ciało Karin wciąż się rozrastało. Ma tłusty podwójny podbródek i ramiona, które trzęsą się, gdy chodzi. Powinna nosić gorset, myśli Sofia. Powinna więcej się ruszać. A przede wszystkim powinna oczywiście mniej jeść, ale nie można jej tego powiedzieć, bo Karin zawsze się z tego śmieje, jakby to był żart, a nie poważna sprawa.

Przez chwilę leżą w całkowitej ciszy.

Karin na pewno słyszy, że Sofia nie śpi, a jednak nic nie mówi.

Ty..., mówi Sofia po chwili, nie wie nawet, co ma powiedzieć dalej.

Trąca stopą Karin.

Mmm, mruczy Karin w poduszkę.

Był sobie raz...

Nie, Sofio, proszę cię, jestem za bardzo zmęczona.

Karin chrząka i zwiija się w kłębek, chce się odsunąć od ciała Sofii. Sofia zasypia i śni jej się, że jest sama na górze, na trasie Edwina, że znalazła dziurę w ziemi, do której się wślizguje i pełznie coraz dalej i dalej labiryntami góry.

Stok Edwina (II)

Edwin Steen, najstarszy syn Ainy i Fredrika Steenów, buduje podstawy rozwoju sportów zimowych na Kungsberget przy Norrby w 1938 roku. Pierwszy stok narciarski nosi oczywiście nazwę Stok Edwina.

Wielka była nieufność do wytyczonych szlaków, zarówno wśród narciarzy, jak i widzów. Jak trzeba jeździć zakolami, to ja wolę zostać w domu, powiedział jeden stary narciarz terenowy z okolicy.

Jako pierwsza na stoku Edwina staje jego młodsza siostra, Sofia. Jest już gotowa. Na samym dole, jak słyszała, jest długa wstęga zawiązana między dwoma drzewami, ma przejechać prosto przez nią, a ludzie będą bić brawo. Niezupełnie jej, ale z okazji faktu, że góra i ludzie otrzymali trasę do slalomu.

Na końcu trasy stoi Karin ze swoim narzeczonym, Maksem Anderssonem, i młodszym bratem Maksa, Miltonem (zwanym także Płomień z powodu rudych włosów); synowie Georga Anderssona, magazyniera w Zakładach Wełnianych. Na końcu trasy stoi też obcy nazwiskiem Arvid Roslund. Pochodzi z Upplandii i przeprowadził się do Sandviken z rodzicami i starszym rodzeństwem, kiedy miał pięć lat. Arvid najchętniej jeździ na nartach biegowych, ale zaczął interesować się też narciarstwem zjazdowym, a jeśli Arvid się czymś interesuje, to z reguły jest potem w tym świetny. Przygląda się trasie z miną kupca. Unosi lekko podbródek. Prostuje swoją i tak już wysoką sylwetkę. Widzi małą figurkę na samym szczycie, nie może się doczekać, żeby zobaczyć ją w ruchu; chodzi też o dźwięk: narty trące o śnieg z wielką szybkością.

Serwus, Mors, mówi ze śmiechem ktoś za jego plecami. Arvid odwraca się i widzi dawnego kolegę ze szkoły; najpierw się cofa, potem, jakby sobie przypomniał, robi kilka solidnych kroków w stronę mężczyzny, cała jego twarz jest jednym szerokim, choć nieco krzywym, uśmiechem.

Serwus, mówi; ściska dłoń tamtego i długo nią potrząsa. Wymieniają kilka grzecznościowych formułek.

Przydomek został wprawdzie wypowiedziany ciepło, ale w Arvidzie rośnie chłód. Przez sekundę widzi wyraźnie zniszczone zęby ojca. Czuje odór z jego ust. Arvid kaszle.

Na zdrowie, mówi niemądrze szkolny kolega.

Ależ mamy sakramencką pogodę, mówi z podziwem i spogląda ku czarnej plamce, która zaraz zacznie spadać.

Sofia się nie boi. Edwin stoi za nią. Za Edwinem stoi Nils-Ake i Krister, oni są najlepsi w okolicy. A jednak to Sofia zjeżdża pierwsza. Odwraca się i widzi, jak Edwin podnosi kciuk do góry w swojej nieprzewiewnej rękawiczce z jednym palcem.

Sofia z wiatrem we włosach. Nie, włosy w czapce, ale wiatr na twarzy, wiatr przeciw niej i z nią.

Swisz swasz, swisz swasz – między bramkami – swisz swasz – szybciej niż wiatr – swisz – szybciej niż wzrok – swasz.

Czy myśli, że może się wywalić? (Wywalić się to coś zupełnie innego niż upaść – upaść to jak latanie! Upada się bez gruntu pod nogami, dotyku ziemi. A wywała się nagle i ciężko, i niezgrabnie, i zawsze na ziemię.)

Nie, ona w ogóle nie myśli.

Czy to prawda? Nie, to nieprawda.

Myśli o tym, żeby już nigdy nie musiała się zatrzymywać, nie musiała znaleźć się na dole.

Przepełniona dumą, zjeżdża trasą Edwina. („Uwodzicielska, zachęcająca”, napisze *Sandvikens Tidning* przed pierwszymi zawodami.) Nie widać tych, co stoją na samym dole. Są mrówkami, czarnymi jak węgiel, może nie tyle się roją, ile są raczej jak pojedyncze czarne owady, które poruszają się flegmatycznie, prawie niezauważalnie.

Trasa o długości sześćsiuset metrów, dwadzieścia metrów szerokości. (*Trasa slalomu leży jak wielki wąż wyrąbany w lesie i jest naprawdę imponująca.*)

U podnóża góry stoi Milton Andersson. Około dwudziestu metrów od niego Arvid Roslund. Obaj mają spojrzenia utkwione w opadającą czarną kropkę.

I wszystko idzie o wiele, o wiele za szybko. Podjechać bliżej, zatrzymać się, zobaczyć twarze, usłyszeć wełniane rękawice z jednym płacem, skórzane rękawiczki. Klep, klep, klep.

Kiedy Sofia odpina narty, czuje czyjąś rękę na ramieniu; widziała już Milтона, spodziewa się, że on teraz wykorzysta okazję, żeby podejść i coś powiedzieć, to przecież nic trudnego, wystarczy powiedzieć: Było świetnie. Ale kiedy się odwraca i widzi obcego, bardzo wysokiego mężczyznę, który stoi przed nią, myśli, że to głupie, tak powiedzieć do kogoś, kto tylko opadał bardzo szybko w dół.

Zgrabnie pani jechała, mówi mężczyzna.

Dziękuję, odpowiada Sofia.

Jestem taki zaskoczony... myślałem..., tutaj urywa. A zresztą, przepraszam.

Wyciąga rękę. Cofa ją dokładnie w chwili, gdy Sofia wyciąga swoją, jeszcze raz przepraszają, ze śmiechem, jakby z nią żartował, wyplątuje palce z rękawicy i ujmuje jej dłoń. Zdecydowanie, ale nie mocno.

Arvid Roslund, mówi.

Sofia Steen, przedstawia się ona.

Steen?, powtarza Arvid. To znaczy, że jest pani spokrewniona z budowniczym trasy?

Tak, to mój brat. Edwin.

Niesłychanie to wszystko imponujące, mówi Arvid. Wykonuje dłonią zamasztysty gest nad stokiem, nad nią.

Kiedy Arvid Roslund odszedł, Karin zaraz jest przy Sofii.

Kto to? Czego chciał?

Był zainteresowany...

Ach tak, był zainteresowany? Karin przerywa jej i śmieje się głośno, aż Sofia zaczyna się obawiać, że ten wysoki nieznajomy może je usłyszeć.

Trasą, znaczy się... slalomem...

Doprawdy, tak uważasz...

Karin nie przestaje się śmiać. Max dołącza do nich i chce wiedzieć, co było takie śmieszne. Nic takiego, mówi Karin, szturcha Sofię w bok, a potem skinieniem głowy wskazuje z tyłu Milтона, który stoi tam i wygląda, jakby na kogoś czekał. Sofia jeszcze ma w sobie wiatr. Łatwo tam podejść, ale kiedy już jest przy nim, uznaje, że to on powinien coś powiedzieć, ona nadal ma na sobie narciarskie buty, spodnie, a tamten, Arvid, on przecież potrafił... choć wcale nie musiał. Ale Milton nic nie mówi. Nic poza: Czołem. Potem patrzy w górę na trasę, choć wszyscy już zjechali i ludzie rozchodzą się do domów.

Mam twoją książkę, mówi Sofia.

Ach tak... no właśnie... Wiesz, możesz ją zatrzymać. Uśmiecha się przelotnie, jedna skroń mu drga, jasnorude włosy wystają spod szarej czapki. ...

Sofia ma w sobie wiatr, chce jeszcze spadać, a nie tak utknąć w Miltonie, jakby był dziurą w ziemi.

Czy grasz jeszcze na skrzypcach?, pyta chłopaka, a jej głos jest wysoki, sztywny, ale on patrzy gdzie indziej, na trasę, prawie jej nie zauważa.

Tak, odpowiada. Gram jeszcze. Ale ostatnio przeważnie pomagałem Edwinowi.

Sofia myśli, że tej pomocy tak dużo znów nie było.

A zresztą, widziałas go?, pyta Milton.

Jest tam na górze.

Milton przystawia wyprostowaną dłoń nad oczami, lekko się odchyła.

Nie widzę go.

Pewnie zejdziesz wkrótce, jeśli idziesz do domu, możemy pójść razem?

Chciałem zapytać Edwina, czy nie potrzebuje jeszcze jakiejś pomocy.

Sofia nie rozumie, co jeszcze można by zrobić, przecież wszystko jest gotowe. Nawet nie wiadomo, czy Edwin wciąż tam jest, zna leśne i górskie ścieżki lepiej niż ktokolwiek inny, prawie lepiej od niej. Sofia chce odejść stąd jak najszybciej, ale buty narciarskie są ciężkie i niezgrabne, musi do tego nieść narty i kijki. Kiedy odeszła kawalek, odwraca się jeszcze. Milton nadal stoi w tym samym miejscu i przytupuje, żeby rozgrzać stopy. Głupio wygląda w tej czapce.

W sobotę są tańce w Domu Ludowym, woła do niego Sofia. Będzie zbiórka pieniędzy na zawody. Przyjdiesz?

Jasne, odkrzykuje Milton. Sofia widzi, że Edwin schodzi w dół zboczem, a Milton rusza mu na spotkanie.

Synowie Ainy

Edwin mieszka rzut kamieniem od domu swojego ojca (który właściwie jest domem jego matki); wystarczy przejść przez drogę, a potem wspiąć się trzydzieści metrów pod górę. Niewielka czerwona chatka, latem otoczona bujnym ogrodem. Z tyłu brzoźowy zagajnik. Im dalej w górę, tym więcej drzew iglastych, to tendencja, którą widać też w całej wsi, jarzębiny i wierzby ustępują miejsca sosnom i jodłom.

Jego dom to chata Szalonego Frassego, niezręczne określenie, ale tak się właśnie mówi, kiedy w pobliżu nie ma Milтона czy Maksa (choć niektórzy twierdzą, że słyszeli, jak Max – pijany – mówił tak samo). Szalony Frasse nazywał się właściwie Frans Andersson, był bratem bliźniakiem Georga Anderssona, który jest ojcem Maksa i Milтона. Właściwie bardzo niewiele się mówi o Frassem. Przez wzgląd na rodzinę, oczywiście, ale też z powodu braku informacji. Ludzie mówią, że Georgowi przypadło wszystko, co jasne, a Frans dostał tylko ciemność, i że stało się to już w czasie porodu albo nawet jeszcze wcześniej. Dla drugiego brata nie zostało nic. Przez pierwszy rok życia Frans darł się co wieczór między piątą i dwunastą w nocy, i to był pierwszy znak. Potem miał napady nieposkromionej wściekłości nocą, to był znak drugi. Trzeci pojawił się podczas trzecich urodzin chłopców, widziało to pół wsi, kiedy obaj dostali od Karlssona po kociaku, a Frans zaczął bardzo płakać. Może został ugryziony albo podrapany, ale takie maleńkie ząbki czy miękkie pazurki to nie był powód do płaczu. Georg zaś gonił za swoim kociakiem, ciągnął go za ogon, w taki właśnie sposób, jak powinni to robić mali chłopcy.

Uznano, że z powodu swojej melancholii Frans jest skazany na samotność. Ale pewnego razu w Järbo pojawiła się obca kobieta i na tańcach w Björkvallen narodziło się uczucie. Potem wszyscy twierdzili, że nie wiedzieli, skąd ona przybyła, chciano widzieć w niej jakąś obcą istotę, ale przecież każdy głupi wiedział, że Sara przyjechała do Järbo ze Svardsjo, żeby podjąć pracę w Zakładach Wełnianych, a jej brat dostał pracę kowala w Zakładach Kolejowych w Sandviken.

Darem Sary Andersson dla potomnych był ogród przed chatą. Później dostrzegano w tym paradoks, że miała tak dobrą rękę do ziemi i kwiatów, ale najwyraźniej już nie do ludzi. Gdyby tylko nie przyjechała do Järbo i nie uwiodła Fransa, nie zrobiła mu nadziei i nie dała syna...

Tak ludzie mówili. Że rzuciła na niego urok, że gdyby zostawiła go w spokoju, mógłby dalej żyć w swojej zwykłej posępnej chmurze. Bo kiedy Sara była obok niego, Frans się prostował, a nigdy przedtem nie widziano, żeby to robił. Nigdy nie widziano go z takim wyrazem twarzy; jakby był zadowolony z życia, zadziwiająco radosny.

Doczekali się syna. Simona. On też urodził się z mrokiem w duszy. Ale nikt tego nie zauważył, zanim nie było za późno. W środku lata, w swoje piętnaste urodziny, zażył truciznę. Mówiono, że to z powodu złamanego serca. Choć nikt nigdy nie widział go z dziewczyną.

Dwa miesiące po śmierci syna Sara Andersson weszła do rzeki z kamieniami w kieszeniach. W ogrodzie kwitła wtedy w najlepsze róża o nazwie Madame Hardy, i przez trzy kolejne jesienie Frans Andersson kładł kwiaty z tego krzaka na miejscu ostatniego spoczynku swojej żony. Jakże nienawidził tego określenia! „Miejsce spoczynku”. „Spoczywać”. Mógł jeszcze wybaczyć Sarze i Simonowi, że zabrali mu radość i sens, ale nie mógł wybaczyć tym, którzy mówili, że oni wreszcie odnaleźli spokój. Przecież to nie o to chodziło! W jego synu i żonie mrok wyrwał takie dziury, że nie mogli wytrzymać w swoim wnętrzu; jakby już nie było tam dla nikogo miejsca. Smutek może być śmiertelną chorobą, zwłaszcza dla tych, którzy nie potrafią wytrzymać sami ze sobą.

Przez trzy lata chodził Frans z szaleństwem jako najwierniejszym kompanem. Ono go prowadziło. Opiekowało się nim. Pozwalało mu drzemać i żyć. Ale w czwartym roku nagle miał iść na leczenie (chyba coś zrobił albo czegoś nie zrobił, nikt już tego nie pamięta). I kiedy dostał swoją pierwszą przepustkę, wtedy właśnie się powiesił, właśnie gdy się mówiło – przynajmniej tak twierdzili lekarze – że czuje się o wiele lepiej.

Frans Andersson, brygadzysta leśny, powiesił się na belce powały w sieni. To Svarten go znalazł. Svarten był jednym z niewielu, którzy w ogóle mieli odwagę zachodzić do jego chaty. Nie żeby Szalony Frasse był szczególnie groźny, ale ten, kto przeważnie rozmawia sam ze sobą, może czasem powiedzieć coś dziwnego.

Edwin chodził do szkoły z Simonem, lubił Sarę i zawsze lepiej się czuł w towarzystwie Fransa niż Georga, który nieustannie żartował i się droczył. Podobał mu się ten dom, a zwłaszcza jego położenie. Po śmierci Simona czuł się zagubiony. Po śmierci Sary był zrozpaczony. Ale kiedy umarł Frans, dwudziestodwuletni wówczas Edwin poczuł ulgę. To nie była myśl, że wszyscy może są teraz razem. Nie wierzył w takie rzeczy. Ale wiedział, że ból, który odczuwał Frans, nareszcie go opuścił, odleciał wysoko ponad górę.

Kiedy Edwin trzy lata później przejął klucze, złowieszcze kruki zaczęły krakać i wróżyć nieszczęście: Co ci przyszło do głowy, żeby tam zamieszkać? To gniazdo smutku! Przeklęte miejsce! Siedlisko śmierci!

Karin i Sofia tak samo drżały ze strachu; niektórzy zarzekali się, że nigdy nie przyjdą tam odwiedzić Edwina. Otto uważał, że w pewien sposób jest to ekscytujące, ale Edwin tylko wzruszał ramionami. Większość ludzi mieszka w domach po zmarłych, nawet nie podejrzewając, jakie straszne zgony, jakie okrutne losy się tam rozgrywały; wystarczy tylko trochę odmalować fasadę, cieszyć się kwitnącymi bylinami, własnym domem – inaczej przecież trzeba by ciągle budować nowe mieszkania.

Trzeba też móc zapomnieć, myśli Edwin.

Ale też trzeba móc pamiętać.

Kiedy Kajsa Örnebrandt trzęsa się nad swoimi synami, gdy byli mali, Aina kręciła tylko głową i wzdychała.

„Nie podchodź za blisko do krów, mogą cię zdeptać! Nie za blisko rzeki, możesz się utopić!” Aina nigdy taka nie była. Będzie, co ma być. I to wynika przede wszystkim ze zdrowego rozsądku, a nie z wiary w Boga. Jeśli coś się stanie, to się stanie, nie można tego udaremnić ani zmienić. Od życia nie można wymagać, żeby było łatwe czy wygodne; to jakby oczekiwać od krowy, żeby dawała tylko śmietankę albo żeby kura zносиła jajka na twardo. To też egoistyczne, ciągle tak wykrzykiwać jak Kajsa: „Jompa! Nie tak szybko! Czekaj, Jompa, nie idź tam! Wracaj! Nie podchodź tak blisko, nie oddalaj się za bardzo!”. Kiedy człowiek się boi, że straci kogoś, wtedy myśli nie tyle o tej osobie, ile o własnym bólu.

Aina widzi Edwina, jak schodzi z góry, zbliża się do zagrody, idzie lekko pochylony, z rękami w kieszeniach.

Jej najstarszy. Jej własny cud.

Nie ma poczucia, że do niej należy. Jakby to nie ona go urodziła, choć pamięta, jak leżała na kuchennej podłodze, Fredrik był u Svartena, jeszcze długo potem musiała wycierać krew.

Edwin w kuchni Ainy to takie uczucie jak szemrzący strumyk. Czuje się zaszczyczona. Chłopiec ma jej gęste i ciemne włosy. Choć ona tak nie myśli: moje włosy. Przecież to jego własne.

Edwin Olaus Steen. Powód cichej dumy Ainy. Już kiedy miał dziesięć, jedenaście lat był filarem domu. Ścianą nośną. Małe paluszki Sofii wbijały się w jego nogi. Karin rozbawiał łaskotaniem, zawsze tak łatwo było ją doprowadzić do śmiechu; to, że Karin tak często się śmieje, zawsze dużo znaczyło dla domowego spokoju. Otto chciał siedzieć na jego ramionach jak na koniu, latem wychodzili wcześniej rano na ryby i kiedy Edwin coś złapał, a Otto nie, i tak udawali, że to połów Ottona.

Emilia jako jedyna nie wyciągała do niego rąk.

Edwin widzi ją przez okno. Kopie nogą w żwir.

Emilio!, woła.

No, co tam?

Zaraz będzie obiad.

Przecież wiem.

Dalej stoi w miejscu, ale po jej ciele widać, że gdzieś się wybiera i właściwie wcale nie tylko tam i z powrotem przez podwórko, jak nieraz, albo tam i z powrotem w obrębie bardzo małej wsi.

Słońce przebija się przez chmury, świeci prosto na jej twarz. Emilia mruży oczy w stronę Edwina.

Chciałeś coś jeszcze?

Emilia jest w drodze dokądś, ale nikt tego nie widzi. Jest niedziela i w izbie jeszcze śpi Fredrik; trochę ciężko, trochę lekko; śni. Widzi psy, które biegają po wypalonych polach i łąkach; to powracający sen. Psy są ciemnobrązowe, podpalane, biegają najpierw w stadzie, potem rozpierzchają się, on odwraca się to w jedną, to w drugą stronę, niebo jest czerwone, on chce, żeby przestały biegać, nie widzi, przed czym uciekają, chce przenieść wzrok, ale on jest jak przyklejony do psa na samym końcu, kiedy stado się rozproszy, będzie jedynym, który dalej biegnie prosto na górę.

Aina miesza zupę, łyżka jest lekka, potrawa pachnie smakowicie cebulą i mielonym mięsem. Nuci nieokreśloną melodię, decyduje się w końcu zaśpiewać psalm *Kto się w opiekę Pana...* Sofia nakrywa do stołu. Wchodzi Karin i zajmuje się szklankami. Aina czuje, że Bóg zwraca ku nim swoją zadowoloną twarz.

Będzie mleko, mamó?

Tak, będzie, odpowiada Aina.

Otto przebiega szybko przez pokój. Aina wzdycha w środku psalmu, wyciera dłonie w fartuch. Edwin wygląda na oklapniętego, Aina musi sięgać bardzo głęboko, żeby mieć siłę dalej śpiewać. Emilia przychodzi następna, nie wie sama, co ma ze sobą zrobić, chciałaby dalej kopać, w nogę od stołu, w nogę Karin. Na szczęście właśnie wbiega Otto, wpada na nią, ona zatrzymuje go, trzyma mocno, ona ma dziewiętnaście, on piętnaście lat, on nie lubi być zatrzymywany, chce się uwolnić.

A Fredrik hałasuje w izbie. Pewnie dlatego, że potracił i zrzucił miedziane naczynie ze ściany, gdzie wisiało.

Co za cholerny łoskot!, mówi Fredrik. Aina o mało co nie upuszcza garnka z zupą. Bóg wreszcie na nich spojrział. A teraz wszystko popsute. Poza tym Emilia zastygła jak lód, Aina nie lubi, kiedy taka jest. Otto jest czerwony na twarzy. Fredrik podchodzi do nich. Jeszcze lekko zaspany i zły. Żeby tylko teraz do czegoś nie doszło. Nie opuszczaj nas!, modli się niemądrze. Garnek przepala łąpki. Aina wstrzymuje oddech. Edwin robi krok w kierunku ojca.

Znowu śniły mi się te diabelne psy!

Mówi to bezpośrednio do Emilii. Drapie się w wąsy.

To czerwone niebo, co ono znaczy? Co znaczy to wszystko?

Nie wiem, ojczy, wydusza z siebie Emilia.

Nie, skąd miałybyś to wiedzieć? Poklepuje po głowie najpierw Emilię, potem Ottona.

Karin zaczyna się śmiać, szturcha lekko Sofię, ale Sofia potrzebuje więcej czasu, żeby poczuć radość; obecność taty sprawia, że w pomieszczeniu robi się ciasno. Karin się nie poddaje, poszturchuje ją tak zawzięcie, że Sofia w końcu musi się roześmiać, nawet ona. I Fredrik się śmieje. Aina już chce się przeżegnać, ale w dłoniach nadal trzyma garnek. Bóg znów zwraca ku nim twarz i wreszcie mogą zacząć jeść.

Johan Otto Steen, najmłodszy Ainy, ćwiczy sztuki, salta, podciąga się na drzewie, wspina się tak wysoko, jak tylko gałęzie wytrzymują. Gałązka za gałązką trzaska i się odłamuje, na dole stoją siostry i patrzą na niego. Widzi ich tak różne twarze i to go bawi. Ponura Sofii, wesoła Karin (choć prawie wygląda, jakby się z niego śmiała), oddana Emilii. Otto wspina się coraz wyżej i myśli, że są marynarze, artyści cyrkowi, awanturnicy, alpiniści, żeglarze opływający świat, badacze dna mórz, piloci, rzecz jasna, ale nie na wojnie, nie na wojnie, której naprawdę nie ma. Jompa mówi o wojnie, która może nadejść, że wtedy trzeba będzie też pójść, wtedy trzeba będzie zabrać swoje manatki, Otto. Otto wysila się, żeby zobaczyć to, co najwyraźniej widzi Jompa. Ale kiedy myśli słowa, które powtarza Jompa – WOJNA ŻOŁNIERZ KARABIN – wtedy widzi tam tylko szarość, a chciałby widzieć kolor niebieski lub zielony, a do tego słowa PRZESTRZEŃ HORYZONT WIECZNOŚĆ.

Otto nie myśli, że ma zostać tym czy tym. On nie jest taki jak Jompa, który naprawdę chce zostać żołnierzem (a jeśli nie będzie wojny – spawaczem). Najważniejsze, żeby żył, żeby to, czym się zajmuje, dawało mu to oszałamiające uczucie w brzuchu, to przyjemne łaskotanie. To może być akrobatyka, ale też wspinaczka na drzewa; w głosie Sofii brzmi złość, powinien wiedzieć, że może stracić oparcie pod stopami, spadnie i się zabije, ale Otto o tym nie wie, ten dreszcz nie wynika ze świadomości, że może spaść, tylko z przekonania, że można wspiąć się jeszcze wyżej. A kiedy już nie będzie się dało wejść wyżej, wtedy oczywiście zejdzie na ziemię.

Będzie podróżował, to jedno, co wie z całą pewnością. Oglądanie tych samych obrazów codziennie od rana do wieczora jest zabójcze. On poszukuje nowych obrazów. Niedawno był w fabryce worków w Järbo, żeby zobaczyć elektryczną prasę, torebki z chlebem, z woskowanego papieru, ale to nie wystarczy. I obrazy w najbliższym otoczeniu zaczynają się wyczerpywać.

Krister powiedział, że jak mu się znudzi w lesie, to w browarze zawsze potrzebują nowych gości, słodowe piwo według własnej receptury jest popularne. Georg uważa, że Otto świetnie by się nadał na sprzedawcę w Zakładach Wełnianych. Mówić rzeczy w rodzaju: „sportowy tweed”, „monty dress”, „czarne palto”? Nigdy w życiu! On wie, do czego jest stworzony. Należy do całego świata, nic nie musi ani nikomu nie jest nic winien.

Kiedy wyjeżdża rowerem na szosę, wie, że mógłby po prostu ruszyć dalej w świat, gdyby zechciał. Choć najpierw powiedziałyby coś chyba mamie i siostrze, ale cokolwiek by powiedziały, ile by wylały łez, nic by to nie zmieniło – nikt i nic nie byłoby w stanie go zatrzymać. Widział w kinie Johnny’ego Weissmüllera, widział Errola Flynna. Ale wie, że to są aktorzy i filmy, nie jest taki jak Sixten Lind, który najpierw zobaczył w kinie film wojenny, a potem wyjął pistolet i zastrzelił chłopaka, z którym się pokłócił. Ale Otto wie też, że rzeczywistość i filmy są podobne. Film jest opowieścią o rzeczywistości, w której nikt naprawdę nie odnosi ran i gdzie granice się zacierają.

Schodzi spokojnie na dół, a Sofia robi mu awanturę. Karin już poszła (jest z tego powodu rozczarowany, ale też nigdy nie umiał jej wybaczyć, że raz się wtrąciła, kiedy taki jeden z Ivantjarn dusił go przy Björkvallen, drapała tamtego po twarzy, aż zwolnił uścisk). Emilia pyta, czy nie pojechaliby rowerami do Järbo na film i właściwie on miałby na to ochotę, ale trochę się wstydzi iść do kina z siostrą, zwłaszcza że ona jest o cztery lata starsza i Otto wie, że Jompa uważa ją za dziwaczkę, a Krister boi się poprosić do tańca, bo zawsze wygląda, jakby była o coś zła. Otto nie uważa, że ona jest zła. Lubi ją najbardziej ze wszystkich siostr. Ale choć Emilia mówi, że może go zaprosić, bo dostała wypłatę od krawca, on odmawia, mówi, że musi iść do Jompy.

Jaki ty nudny jesteś, mówi Emilia.

Ale jeśli jest coś, co śpiącego cztery godziny chłopca nie dotyczy, to właśnie nuda! Mówi więc, że jeśli jej zależy, to może z nią pojechać.

Jompa też może się z nami wybrać, mówi Emilia.

I Krister też, co?, pyta Otto i poszturchuje siostrę. Wtedy przypomina sobie słowa Kristera, że ona nie ma wcale odpowiednich kształtów, przynajmniej u góry; teraz Otto niechętny patrzy w to miejsce i myśli, że przecież ma wszystko, co trzeba, nagle jest zły na Kristera i Jompę, zażenowany też, bo oto pierwszy raz pomyślał o tym, że ma trzy siostry i one wszystkie mają piersi, takie same jak te, o których Krister ciągle myśli albo na nie patrzy!

Najpierw zostanę chyba marynarzem, mówi Otto. Pomyślałem, że można pojechać do Norwegii i zaczepić się na jakimś statku rybackim, póki się nie uda dostać na większe statki. Statki towarowe na przykład. Do Indii, do Chin. Czy słyszałeś o Zakazanym Mieście? W Pekinie jest pałac i mówi się, że ma dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć i pół pokoju, bo pałac z dziesięcioma tysiącami pokoi mógłby się znajdować tylko w niebie.

Emilia uśmiecha się, ale nie wie, co powiedzieć. Ja też chcę zostać marynarzem? Ja też chcę obejrzeć Zakazane Miasto? Otto tylko by się śmiał. Ja też chcę zobaczyć świat? Ale czy ona tego chce? Czy Otto naprawdę będzie się śmiał?

On nie pyta: A ty, siostrze? Czy ty zamierzasz zostać u krawca? Nie pyta, czy ona się tam dobrze czuje, czy krawiec jest dla niej miły. Emilia nie ma okazji opowiedzieć, że jest nieprzyjemny, że wolałaby tam nie chodzić, ale nie ma co ze sobą zrobić, mama byłaby rozczarowana, i Sofia, i tata chyba też. A jednak myśli, że gdyby odważyła się powiedzieć to młodszemu bratu, wtedy Otto by to zrozumiał, kto, jeśli nie on, on jest jedynym, który czegoś chce, który wie, że istnieje świat poza Norrby i Järbo.

Słyszałeś, ludzie mówią, że Malva Filipsson była w Afryce.

Mhm, mruczy Otto, mogła tam być.

Wierzysz w to?

Dlaczego nie?

Emilia chciałaby go za to uściskać, za to, że nie myśli tak jak wszyscy inni, że ona tylko zmyśla i chce się wyróżnić.

Miała też apaszkę, która wyglądała tak... chińsko... i to kimono, które zawsze miała na sobie! I wachlarze w oknach!

Ona była zresztą całkiem niezła, śmieje się Otto. Tak ładnie wygląda w swojej kraciastej sportowej marynarce.

To piękne, mieć marzenia, mówi odważnie Emilia. Ich nikt ci nie może zabrać.

To prawda, przyznaje Otto.

Przez chwilę milczą.

Ale marzenia, z których nic nie wychodzi, mówi Otto, są do niczego.

Modlitwa Sofii

Sofia lubi myśli innych ludzi, ale nie swoje własne, nigdy nie lubiła się modlić, gdy tylko próbuje, robi jej się głupio. Nikt, nawet Bóg, nie mógłby potraktować poważnie tych modlitw. Wie, że żona Frassego pisała dziennik, znaleziono go na stole w kuchni, kiedy Frasse umarł, kartki były pomięte, poplamione. Niektóre strony były nieczytelne, bo atrament rozmył się od łez. Berggren, policjant, który był najbliższej sprawy Anderssonów, opowiedział, mimo obowiązującej go tajemnicy, że nie było tam nic specjalnego, niewiele oprócz pogody... różnych zajęć syna... kwiatów (były tam małe karteczki z krzyżykami i cyframi: 1. Ostróżka 2. Serduszka 3. Jarzmianka). I tak samo Sofia wyobraża sobie modlitwy. Właściwie nie są skierowane na zewnątrz, tylko do środka. I robi się coraz gorzej, im częściej się powtarza Ja. Jest wtedy tylko coraz bardziej głupio i coraz trudniej wytrzymać ze sobą. Ja sobie życzę... Ja chcę... Dobry Boże, pozwól mi... Lepiej to wygląda, kiedy się mówi: Dobry Boże, pozwól mojej rodzinie... Albo coś o wojnie, albo o ciotce Torze z Kungsfors, która jest tak biedna, że zebrze u dzieci szkolnych, albo cokolwiek innego, o czym czytała w gazecie czy słyszała od Svartena, czy Valtera Janssona, coś, co absolutnie nie ma nic wspólnego z nią. Wtedy jest to mniej wstydlive. Ale wtedy też jest tak, że nie sięga się tak naprawdę głęboko. I to jest okropne. To jest coś, czego woli o sobie nie wiedzieć. Że z niej taka egoistka. Może więc powiedzieć tak: Kochany Boże, skoro już jestem taka straszna, mogę równie dobrze życzyć sobie, żeby brzoza się przewróciła, upadła na głowę Maksa i go zabiła.

Ech, to jest modlitwa pięciolatki, a nie kogoś, kto już na przyszlą wiosnę skończy osiemnaście lat! Próbuje odwołać to za pomocą kolejnej modlitwy. Wybacz, Boże, nie o to mi chodziło. Myślałam... Właściwie to lubię Maksa. Boże! Ja tylko... Ja chciałam... Ja chcę... No i znów pojawiły się te wszystkie JA. I już zupełnie się pogubiła.

Karin wraca do domu późno i niecierpliwie zabiera się za haftki i haczyki przy ubraniach. Śmieje się sama z siebie. Nigdy dobrze sobie nie radziła z takimi drobnymi rzeczami. Nienawidzi polerowania srebra i miedzi, nienawidzi szycia. Wszystko się rwie, kiedy potrzeba cierpliwości, ale rwie się w taki sposób, że łatwo się z tego śmiać. Ona specjalnie podkreśla swoje niepowodzenia: O Boże, ależ ze mnie niezdarą; albo: Ja to chyba jestem głupia. Uwielbia zwierzęta. Śpiewa dla krów, oczywiście wszystkie mają swoje imiona – Róża, Gwiazda, Korona, jest i Silver, ciemnoszary sznaucer, od początku należał do niej. Dostała go od taty, kiedy skończyła dziesięć lat, ale nikt już o tym nie pamięta, Silver w naturalny sposób należy do podwórza albo przeważnie do taty, jako pies myśliwski i stróż domu. Ale to Karin nadała mu imię, a wzięła je od księżycy, z bajki, którą wymyśliły razem z Sofią (przeważnie to raczej Sofia wymyśla, a Karin opowiada).

Był sobie raz księżyc, który nie chciał dłużej być księżycem, a kiedy Bóg go zapytał dlaczego, księżyc powiedział, że boi się ciemności, ale kiedy Bóg zrobił z niego psa, noce stały się jeszcze czarniejsze i pies tego pożałował; poprosił Boga, by ten znów zamienił go w księżyc, ale Bóg odrzekł, że już jest za późno, potem jednak pomyślał, że może był dla psa zbyt surowy i dał mu srebrzyście lśniąca sierść, która mogła świecić w ciemnościach i pomagać wszystkim zbłąkanym dzieciom trafić do domu, bo od kiedy zabrakło księżycy, w lasach zaroilo się od zagubionych dzieci.

Karin była jedynym dzieckiem, któremu ojciec nie potrafił się oprzeć, jedynym dzieckiem, które miało odwagę prosić go o cokolwiek. Więc kiedy bajka została opowiedziana, oczy Karin rozbłysły, głowa przekrzywiła się na bok... Mój kochany tatusiu... Pojawił się pies, który dostał imię Silver, bo Księżyc przecież nie mógł się nazywać.

Sofia pomaga Karin zapleść jej gęste włosy w dwa warkoczki. Ma najmocniejsze włosy ze wszystkich sióstr, i najciemniejsze. Są do siebie podobne, Sofia i Karin. W Järbo ludzie czasem je mylą. A czasami Sofia ma sprzeczne uczucia, bo w środku chciałyby być podobna, ale nie z wierzchu, a ludziom właśnie chodzi o wierzch.

Wiesz co?, mówi Sofia.

Ale to nie będzie kolejna bajka?, przerywa jej Karin.

Nie, to rzeczywistość.

No to opowiadaj.

Pytali mnie, czy wystartuję w zawodach.

Ściagałyby się z mężczyznami?

Nie, będzie osobny bieg dla kobiet, na krótszy dystans.

Dlaczego macie mieć krótszą trasę?

Sofia spodziewała się, że Karin ucieszy się z jej powodu. Głaskała Karin po ciemnych włosach, ale teraz straciła na to ochotę.

Ale chyba rozumiesz, że nie możemy startować...

Bzdura, mówi Karin. Nic z tego nie rozumiem. Ty mogłabyś ich wszystkich pobić.

Wcale bym nie mogła. Nilsa-Ake raczej nie, a ten Arvid Roslund podobno jest bardzo dobry, choć przeważnie biega na nartach. Arvid Roslund!, prycha Karin. Przecież to ty masz największy talent ze wszystkich!

Sofia chciałaby, żeby Karin uśmiechnęła się albo zaśmiała, kiedy tak mówi, ale siostra wpatruje się z powagą w lustro. Ogląda różne ujęcia swojej twarzy. Obejmuje dłońmi okrągłe policzki, jakby je pieściła, by nagle oderwać się od lustra.

Jestem taka zmęczona, mówi.

Zawsze jesteś zmęczona, odpowiada Sofia. To miało zabrzmieć jak troska, ale kiedy wyrzuca z siebie te słowa, niemal z irytacją, wtedy uderza ją ta myśl, to, co wiedziała przez cały czas, wiedziała, bo zawsze były tak blisko ze sobą, że wszystko, co jest w Karin, jest i w niej, i Sofia wykrzykuje: Chyba nie jesteś w ciąży? Potem widzi spojrzenie Karin, poprawia się, mówi: Ty jesteś w ciąży!

Nie, nie jestem.

Właśnie, że tak, jesteś.

Nie, przecież mówię! Karin wstaje i odsuwa na bok Sofię. Nie!, mówi jeszcze raz.

Karin... Ty?...

Chce mówić łagodnym głosem, ale jej to nie wychodzi, a Karin osuwa się na brzeg łóżka.

Ja nie chcę. Nie prosiłam o to. Myślałam, jak by to było, a teraz się stało... Uważam, że on jest bezmyślny i że powinien... a ja... Nie wiem sama, Sofio, ty i tak tego nie zrozumiesz, nawet jeśli spróbuję ci wytłumaczyć. W pewnym sensie to dobrze, a z drugiej strony to bardzo niedobrze, ale nie wolno ci pisać ani słowa mamie czy tacie, bo już nigdy w życiu się do ciebie nie odezwę, wyjdę za mąż i urodzę to dziecko, okaże się potem, że to był wcześniak, to wszystko, czytałam o tym w *VeckoRevyn*, że jedna tak zrobiła... Ja...

Milknie. Siedzi i chce, żeby Sofia ją pogłaskała, ale się nie doczeka. Sofia zaczyna ścielić łóżko, nie ma siły patrzeć na Karin, ale musi, bo tamta jej przeszkadza, Sofia szarpie za narzutę, Karin musi się przesiąść.

Sofio. Może jednak coś na ten temat powiesz?

Sofia składa w kostkę łataną narzutę tak powoli, jak tylko może.

Sofio?, prosi Karin.

A czego się spodziewasz? Co mam powiedzieć? Bo chyba pogratulować nie mogę. Nie mogę też powiedzieć biedactwo, bo chyba wiedziałaś, co robisz... Bo jeśli nie wiedziałaś, to... (Sofia bierze głęboki oddech.) Ale przecież wiedziałaś. I zrobiłaś to, chociaż wiedziałaś. A na to nie mogę nic powiedzieć.

To dobrze!, mówi Karin. Bo wcale nie chcę słuchać!

To dobrze!, mówi Sofia. Wślizguje się do łóżka. Karin też się kładzie, ciągnie do siebie koldrę, a Sofia ciągnie w swoją stronę, choć właściwie nie ma siły i po chwili daje za wygraną, leży i słyszy, jak Karin mamrocze:

Ja też może chciałam opowiedzieć coś z rzeczywistości.

Ja, ja, ja, myśli Sofia i prycha pogardliwie. Pomyśl czasem o kimś innym, nie tylko o sobie. Ale potem słyszy, że Karin zasnęła. Sofia marznie, myśli i myśli, to jest jak klej pod myślami, potrząsa głową, klej jest pod brzydkimi obrazami, i to jest wina Karin, i Sofia myśli, żeby pozbyć się tamtego życzenia: Dobry Boże, spraw, żeby to dziecko nie przeżyło. Potem splata dłonie i modli się, naprawdę, o wybaczenie tych wszystkich strasznych rzeczy w sobie, których nie rozumie.

Bóg patrzy na ślalom

Człowiek nie decyduje o swoim urodzeniu, nie wybiera też, jak umrze, o ile sam nie przyłoży do tego ręki. Ale wtedy to chyba też nie jest prawdziwy wybór?

Edwin nie wierzy w Boga i nie wierzy też w żaden raj. Myśli o kimś takim jak Sixten Lind – gdyby istniał Bóg i święty Piotr przyjrzał się uczynom Sixtena, musiałyby uznać, że w niebie nie ma dla niego miejsca. Postrzelenie człowieka jest, obiektywnie patrząc, czynem, który waży więcej niż pomoc przy budowie trasy narciarskiej. Edwin zna wielu, którzy staliby tam przed świętym Piotrem, wijąc się ze wstydu, a potem musieliby odejść z kwitkiem. Nie można przyglądać się postępkom ludzi w ten sposób i wyobrażać sobie potem, że się coś wie. Trzeba patrzeć ludziom w oczy.

Bezbożność to cecha całego rodzeństwa. Ale także Fredrik często mówi – o wiele za głośno, zdaniem Ainy – o tym, jak łatwo jest przejrzeć Wszechmogącego. Nic nie pomoże nadstawianie drugiego policzka, wtedy człowiek dostaje tylko podwójne lanie, zresztą na świecie jest tyle niesprawiedliwości, że słowa Boga wydają się w porównaniu z tym niesłychanie naiwne. Kiedy on mówi coś takiego, Aina go ucisza, ale o wiele za cicho, dzieci nawet nie zauważają jej protestów; czasem matka sama siebie za to przeklina. Że przez te wszystkie lata dorastania dzieci nie uciszała go głośniej. Tak, żeby jej uciszanie, czyli także i Bóg, zwyciężyło niewiarę. Żeby dzieci mogły mieć lepsze, bardziej bogobojne życia.

Nie narzeka. Niech ktoś powie, kiedy Aina Steen na coś narzekała! Nikt niczego takiego nie słyszał, a jeśli ktoś mówi, że słyszał, to znaczy, że kłamie. Wzdychanie to inna sprawa. Nie można go porównywać z narzekaniem. Westchnienia są przepastnie głębokie, ale to coś cielesnego. Tak jak kaszel, kiedy się jest przeziębionym albo przy trzepaniu dywanów.

Aina nie należy do najwierniejszych sług Boga, ale nigdy nie przyznałaby się do tego, bo wtedy musiałyby spojrzeć na siebie w lustrze (co robi tylko z okazji świąt). Chodzi do kościoła raz na pięć tygodni (ale to dlatego, że jest daleko), a w okresie zimowym jeszcze rzadziej (ale wtedy jest przecież o wiele za zimno!), zdarzają się nawet dni, kiedy wcale nie myśli o Bogu; czasami po prostu pada na łóżko wieczorem, zanim zdąży odmówić pacierz. Kiedy więc wreszcie przychodzi do kościoła, chce wszystko nadrobić i mocno, mocno splata dłonie, próbuje szeptać *Ojciec nasz* głośno i z uczuciem. Tak jest, odkąd na świat przyszły dzieci. Zaangażowanie i wysiłek Ainy miały służyć ich nauce, ale jej głos nie ma odpowiedniej siły. Wszystko w niej jest słabe. Przecież jej ciało sięga zaledwie stu czterdziestu ośmiu centymetrów nad ziemię.

Zaraz po mszy mają się rozpocząć zawody, kościół wypełnia oczekiwanie. Przez dumę z powodu Edwina tu przyszła, brnąc w śniegu właśnie tego dnia; duma z powodu własnych spraw nigdy nie powinna konkurować z błogością w obliczu Boga, ludzie powinni się cieszyć widokiem Jezusa na ołtarzu, zamiast tylko siedzieć i czekać na to, co się ma wydarzyć potem. Jest to nieuczciwe. Przynajmniej wobec Norrströma, pastora, który wygłasza kazanie.

Ojciec Nasz, któryś jest w niebie, zaczyna Aina, lecz zaraz myśli jej uciekają.

I nie w górę czy w dół narciarskiej trasy jej syna, tylko do kuchni, do drewnutni spiżarni stajni, za krowy i klacz, potem robią nagły zwrot i hajda na pole, które jest białe i niczego od niej teraz nie wymaga, ale jednak będzie wiosna i praca w polu, gęsty deszcz, który wszystko zatapia, wrzawa ptaków przedtem (jakby chciały ostrzec). Wraz z latem nadejdzie perz i maruna, które będą się wpychać między żyto i źdźbła owsa, milczenie ptaków przy palącym słońcu, i w samym środku tego wszystkiego pojawią się flaszki, puste na wpół pełne pełne w schowkach w drewnutni szopie stajni, w sianie trawie śniegu, wszędzie flaszki, dławiący zapach wódki, zapach rąk Fredrika, które wyciągają się do flaszki – jakby chciwie – i do niej, diabelska baba... Daj tu, chodź tu... próbuje trzymać butelki, odrywa ręce od modlitwy, od niech się święci imię twoje, ale przez nieuwagę upuszcza jedną flaszkę i szkło rozbija się na podłodze, echo odbija się od ścian kościoła, odpuść nam nasze winy, Fredrik krzyczy, żeby nie robiła takiej nieszczęśliwej miny, kątem oka widzi, że Emilia biegnie najpierw do niej, do matki, a potem do spiżarki, między dzbanki jagód i bochny chleba: Tata, ja chcę, żeby tata wrócił! Aina próbuje ją uspokoić: Cicho, niemądra dziewczynko, ale Emilia zaczyna płakać, aż całe jej ciało się trzęsie, Fredrik jest głośny i wściekły, siorbie ustami pełnymi tytoniu do zucia i smrodu – i Sofia, choć jest młodsza, wyprowadza Emilię, jakby ta była owcą, na podwórko, a potem do kuchni przychodzi Edwin, całkowicie spokojny, i mówi: Teraz ojciec odpocznie, a ja się zajmę resztą. Zmiata szkło i zbiera drewno. I Fredrik się uspokaja, człapie do siebie, bardziej posłuszny niż Silver po upomnieniu. Chciałem tylko, mówi, a Sofia otacza ramionami nogę Edwina. Nie płacze, ale widać po jej pobielających dłoniach, jak mocno je zaciska. Edwin podnosi ją, i Aina nie wie sama, co ma tu jeszcze do roboty. W swojej własnej kuchni. Wtedy Sofia

mówi tym swoim cichym głosem, który niczego nie wie: My się tym tutaj zajmujemy, mamó. My się zajmujemy wszystkim. Ale Aina nie rozumie, o co małej chodzi. I złości się. Ale nic w niej nie wychodzi na powierzchnię. Rosół, myśli. Przecież dziewczynka nie wie, jak się gotuje rosół. Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi... Amen.

Pastor Norrström wchodzi na ambonę i musi upłynąć dłuższa chwila, nim Aina zda sobie sprawę, że kazanie dotyczy Edwina, zawodów, a nie Jezusa, którego tak potrzebuje i za którym tęskni. Aina zaczyna się wiercić. Twarze wiernych zwracają się ku niej, Harriet Frank – matka Marianne – uśmiecha się leciutko i naprawdę trudno zrozumieć, o co jej chodzi.

Zawody

Wysokość bieli i radość spadania. Łaskotanie w żołądku. Sofia trzyma kijki blisko ciała, skórzane pętle oplatają przeguby rąk, nachyla się lekko, kolana ugięte, spojrzenie skoncentrowane. Nie chce zjeżdżać na dół, ściągać nart, przeciskać się wśród nieoczekiwanie dużej widowni, nie chce przygotować się na komentarze, nie chce niczego słyszeć, nie chce być ponura, jeśli nie usłyszy komentarzy. Chce, żeby zaczęło się odliczanie i tyle.

Szczyt bieli i radości Sofii ze spadania.

Marzenie o skrajnej bieli. Powierzchni, gdzie ciało jest tylko czarną kropczką. Widzicie, nadjeżdża rozpędzony czarny punkcik. Z tej odległości nie widać szybkiego zjazdu, tylko upadek. Spójrzcie, teraz czarna kropczka spada, jeszcze jeden czarny punkt.

Śnieg jest doskonały. Słońce stoi wysoko, nie oślepia. Ale to nie spojrzenie jest ważne, tylko technika. Idealna równowaga między ciężarem i nieważkością. Stałością i pędem. To jest technika i radość. Nie myśleć tak dużo, nie myśleć o tym, co na dole. Czas, wynik nie są ważne, ale ona nikomu by tego nie powiedziała. Jeśli czas i wynik by się nie liczyły, to ci, którzy wątpią, wątpiliby jeszcze bardziej. Więc Sofia mówi: Chyba nawet jestem takim typem, co lubi współzawodnictwo. To ważne, żeby było „chyba nawet” i „taki typ”. To ważne, żeby wzruszyła ramionami. Nie powinno tu być śmiertelnej powagi. To musi być gdzieś między naiwnością i niewzruszonym przekonaniem. Jak mogłaby wytłumaczyć, że jest to zarówno radość, jak i śmiertelna powaga? Jak mogłaby sprawić, żeby inni zrozumieli, że nie musi być między nimi granicy? Różnice tak, ale nie granica.

Ech, mówi do siebie. Skąd mogę wiedzieć. Może to jest jedyne, w czym jestem dobra. Nie mówić o szybkości, nie mówić: Ach, to uczucie spadania. Nigdy, przenigdy nie opowiadać, że nie chce dotrzeć na dół. Tłum ludzi i spojrzenia. To jest krótka trasa, Karin ma rację. Gdyby tylko mogła, śmignęłaby obok nich i zostawiła w tyle. Gdyby tam dalej było białe, zapierające dech spadziste zbocze.

Uzyskała dobry czas, pierwsze miejsce wśród kobiet; niektórzy poklepywali ją po ramieniu, żeby zaraz zwrócić oczy na zjazd mężczyzn. Widzowie zaczynają się tłoczyć, przyszło sześciuset ludzi, reporterzy z aparatami fotograficznymi, błyski do nieba, na trasę Edwina, na Kristera, który zjeżdża pierwszy. Kiedy dociera do mety, łatwo jest wyliczyć, że Sofia jechała szybciej, ale nie ona to wylicza, tylko Karin.

Ech, wzdycha Sofia. Sama nie wiem.

Ale ja wiem, mówi Karin z naciskiem. Potem Max zaczyna ją łaskotać i Karin ginie gdzieś w tłumie ludzi, zostaje połknięta; Sofia słyszy ich śmiechy, zostaje sama i przygląda się, jak Arvid Roslund dojeżdża do mety.

Mnóstwo wywrotek. Niebezpieczny kamienisty odcinek w środku trasy. Sprzedawca kielbasek wspiął się aż tu i ma niezłe zarobki. Wygrywa Nils-Ake Nilsson. Na drugim miejscu jest jakiś chłopak z Gavle, Arvid Roslund przyjeżdża jako trzeci.

Sofia zbiera się na odwagę i podchodzi do niego.

Gratulacje, mówią oboje równocześnie.

Dziękuję, odpowiada Sofia. Arvid się śmieje. Reporter z *Arbetarbladet* podchodzi i chce zadać kilka pytań.

Ale zaraz dostanie go pani z powrotem, wyszczerza się do Sofii. Dziewczyna się śmieje. Arvid się śmieje. Obaj odchodzą na bok, a Sofia nie wie, co ma ze sobą zrobić. Dostrzega Milтона. Ma kraciatą czapkę z osłoną na kark, rękawice z jednym palcem i spodnie pumpy. Wygląda jak mały chłopiec. Macha do niej ręką, ona macha do niego.

Kiedy Arvid wraca, okazuje się, że śpieszy się na autobus; właściwie mógłbym też pojechać do domu na nartach, mówi, zwykle tak robię, ale skoro i tak jest autobus, będę w domu za trzy kwadransy.

Sofia kiwa tylko głową. Cieszy ją, że Milton widzi, jak stoją razem i rozmawiają. Podoba jej się wysoki wzrost Arvida. I to, że głośno pyta, czy ona wybiera się na tańce w sobotę. Mówi, że sam zamierza przyjechać.

Aż tutaj?

Arvid marszczy brwi.

Dlaczego nie? Nie jest wiele dalej niż każde inne miejsce, a tutaj znam Nilsa-Ake, zresztą nie tylko jego.

Potem znów się uśmiecha.

No to może się wtedy spotkamy, mówi Sofia z uśmiechem.

Pewnie tak, odpowiada Arvid.

Sofia patrzy chwilę za nim, jak idzie do Eskilsbron i do autobusu, potem ogląda się, żeby sprawdzić, czy Milton jeszcze stoi, ale już go nie ma.

Kiedy Sofia dogania Karin, dostrzega Maksa, który rozmawia z Kristerem, słyszy, jak Krister mamrocze... to wygląda tak dziwnie... żeby kobiety... Potrząsa głową. Max powinien powiedzieć, że to żadna różnica, to tylko czarne kropeczki, które opadają, i dopiero kiedy podjeżdżają bliżej, widać, że to są ludzie, ale nawet wtedy nie widać chyba żadnej różnicy? Narciarskie spodnie, czapka, kijki. Max poklepuje Kristera po plecach.

Nie przejmuj się tak, mówi.

Ech, do diabła tam, rzuca Krister.

Sofia bierze Karin pod ramię. Karin chodzi bardzo powoli. Nie powinny się gniewać na siebie. Nigdy więcej już tego nie zrobię. Sofia nie zamierza myśleć o tym, co się stało, co Karin zrobiła, ani przez sekundę nie zamierza myśleć o tym, co rośnie w brzuchu Karin, zresztą i tak jeszcze upłyną całe wieki, zanim to wyjdzie.

Karin idzie tak wolno, że ktoś mógłby pomyśleć, że ma problemy z nogami. Sofia się niecierpliwi.

Pójdziemy dzisiaj wieczorem na film?, pyta.

Wiesz co, ja chyba nie dam rady, mówi Karin. Trzeba iść tak daleko.

Chyba nie dalej niż zwykle.

Karin, się krzywi.

Ale są inne rzeczy, które się zmieniły, odpowiada.

Dobiega je głos Maksa. Karin się zatrzymuje.

Idź przodem, mówi. Wyciąga rękę spod ramienia Sofii. Ty masz szybkie nogi. Ty masz tyle siły, dodaje. Kiwnięciem wskazuje swój brzuch. Który wcale nie jest widoczny, a dziecka prawie nie ma i to wszystko jest takie bezsensowne. Max je dogania. Sofia ma wrażenie, jakby wyścig się jeszcze nie skończył, a ona przecież, jak mówiła, nie jest zainteresowana współzawodnictwem. Prostuje kark, odgina ramię i wyciąga się na całą długość.

Nic nie szkodzi, że Karin z nimi nie poszła, bo w kinie była Ulla Marklund i Klara Lilja z narzeczonym, i jeszcze Marianne Frank w towarzystwie Nilsa-Ake! To ją trochę zdziwiło, Marianne jest taka ładna, przecież mogłaby mieć każdego. Usiadła obok Ulli i jej młodszej siostry, której imienia nigdy nie pamięta. Wkrótce w sali zrobiło się gorąco. Ramię Ulli Marklund przy jej ramieniu. Delikatne szturchnięcia: Patrz! Patrz tylko, jaka ona jest piękna!

Zarah Leander!

Do domu jest jeszcze ponad cztery kilometry, ale to nie ma znaczenia. Świat jest biały. Sofia zostawia ślady za sobą. Przed nią śnieg leży nietknięty, więc ostrożnie stawia stopy. Powinna chyba iść szybciej, żeby utrzymać ciepło. Szalik na usta, wilgoć wokół warg, czapka porządnie naciągnięta na uszy. Dłonie zimne mimo rękawic, stopy zimne mimo ocieplanych butów. Koncentruje się na ciepłych miejscach: usta, uszy, szyja. Za plecami Sofii, aż do samego kina, ziemia jest naznaczona jej śladami, nie pada śnieg, który mógłby je zatrzeć.

Zarah Leander!

Melancholijna i magiczna!

Droga jest ciemna.

Drzewa jej strzegą.

Dotarła do wzgórza, z którego schodzi się prosto do wioski, już nie czuje nóg, nawet łatwiej się tak idzie.

Mija kąpielisko. Wysoką lipę, na którą Otto zawsze się wspina. Mija dom Svartena i ruiny domu panny Filipsson, werandę Perty, całą jakby w lokach, a potem gospodarstwo Önebrandta, skromną chałupę Valtera Janssona i dom Karlssonów z ich wszystkimi dziećmi. Zaczyna płakać i nawet łyż są ciepłe. Nie chce patrzeć w stronę, gdzie mieszka rodzina Anderssonów, nie chce widzieć światła w głównym budynku; spogląda w górę na dom Edwina, ale jego chata skryła się za drzewami, to wygląda trochę niesamowicie – ciemność w tamtym miejscu.

Karin leży w łóżku z ręką na brzuchu. Nic tam jeszcze nie ma, a to maleńkie coś jest delikatne i może w każdej chwili obumrzeć. Sofia postanawia myśleć o sobocie i tańcu. Wynajduje szczególne mrowienie w brzuchu, które jest niemal jak prawdziwe, jest większą tajemnicą niż tamto w brzuchu Karin, największą ze wszystkich tajemnic. Starannie planuje, co na siebie włoży, choć zwykle nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Pozwala myślom odpłynąć w najczystsze fantazje – cienkie jedwabne pończochy i długa błękitna spódnica z zakładkami. Tak, właśnie to zauważyła, jest łatwiej zasnąć, kiedy myśli mogą wić się wokół wzorów, kolorów czy nawet koronek u gorsetu.

No to śpij dobrze, mówi Karin.

Śpij dobrze, odpowiada Sofia.

Jednak Arvid Roslund tańczy lepiej niż Milton Andersson

Prawie całkowicie nowy Dom Ludowy to imponująca budowla jak na Järbo. W tym samym budynku, ale z osobnym wejściem, znajduje się nowe kino, Grand; w części środkowej dominuje przestronny ganek z bezpośrednim wejściem do sali zebrań, służącej też jako sala taneczna. Najpierw wchodzi się do przedsionka z okienkami biletowymi z każdej strony. Potem szatnie i bufet. Sklepiony sufit sali tanecznej stwarza poczucie lekkości i przestrzeni, ściany mają przyjemny jasnozielony kolor, pomieszczenie może pomieścić co najmniej pięćset tańczących osób. Dzisiejszego wieczora nie ma aż tylu ludzi, sala sprawia wrażenie raczej pustawej, orkiestra robi, co może, żeby przestrzeń między tańczącymi ciałami wypełnić muzyką. Dwa z tych ciał należą do Arvida Roslunda i Sofii Steen. On w sportowym garniturze, ona w marszczoną bluzce. Jest duszno, jednak Arvid Roslund umie tańczyć lepiej od Milтона. Trzyma się bardziej prosto, prowadzi pewniej. I jest taki wysoki, Sofia nie musi się męczyć jak z Miltonem, który jest jej wzrostu. Ponadto Arvid potrafi konwersować, zadaje pytania, na przykład: Jeszcze jeden taniec? Wyjdziemy na powietrze? Może jeszcze coś do picia?

Arvid pije napoje gazowane, najchętniej pommac. Nie spożywa niczego mocniejszego, jego rodzice byli zielonoświątkowcami, opowiada Sofii, no, matka jest nadal, ale ja nie jestem aż tak zainteresowany kościołami, mam nadzieję, że to pani nie zaszokowało?

Nie, ależ skąd, odpowiada Sofia, nie rozumiejąc, co w tym miało być takiego szokującego.

To wspaniale, że pani tak lubi jazdę na nartach, mówi Arvid wesoło. Uważam, że to nie tylko zapewnia ruch, ale daje też siłę życiową.

Właśnie, przytakuje Sofia. Tak to jest.

Miło się tak stoi z Arvidem, ale Sofia zauważa, że budzi zainteresowanie także innych osób w sali, bo on jest interesujący, bo jest obcy, a może wręcz nie powinno go tu być.

Krister i najstarszy syn Karlssona uważają, że ona zdradza Milтона, to przecież najprawdziwsza w świecie niewierność. Nie żeby jakoś szczególnie przejmowali się Płomieniem Anderssonem, ale dlatego, że to, co już widzieli jako zaplanowane, musi się stać, bo inaczej można się pogubić, a kiedy człowiek się pogubi, łatwo wpada w złość.

Stoją i dyszą w kącie sali, Krister Örnebrandt i Joel Karlsson. Dyskretnie popijają ze swoich piersiówek. Są coraz bardziej nabuzowani.

Tamten gość, co nie, mówią.

Myśli, że jest nie wiadomo kim, co nie.

No, niech go diabli.

Śmiech Arvida drażniąco dźwięczy im w uszach. Niewielu jest tu takich, których się nie zna z widzenia. W dodatku jest wysoki. I dobry na nartach. Szukają Milтона, czekają na coś w rodzaju przyzwolenia. Niech tylko on się dowie, mówią. Oj, oj, oj.

Niech to diabli.

Krister pije potężny łyk, parska, a potem podchodzi do Arvida, udając mocne, odważne kroki.

Słuchaj no ty, mówi; patrzy spode łba, chwije się lekko w przód i w tył na piętach; za jego plecami zjawia się Joel Karlsson.

Słuchaj no ty, mówi Krister jeszcze raz, podchodzi całkiem blisko, ale nagle odwraca się do Sofii.

A ty, co ty sobie myślisz, że co ty jesteś, Sofio Steen? Prycha. Wydaje ci się, że jesteś kimś, tak?

Arvid staje między nimi.

Hej, chyba masz na imię Krister, mogę do ciebie mówić na ty? Uważam, że twój ostatni zjazd był fantastyczny... Naprawdę się rozwinąłś. W przyszłym roku będziesz wyjątkowo groźnym przeciwnikiem, chłopie.

Kpisz sobie ze mnie?

Nie, broń Boże! Arvid śmieje się i klepie Kristera po plecach. Jesteś jednym z najlepszych, to przecież każdy widzi.

A niech to...

Krister gapi się na Arvida.

Naprawdę tak myślę, mówi Arvid.

I wtedy on się prostuje, Krister Örnebrandt, jego twarz rozjaśnia uśmiech. Joel Karlsson też jakby zapomniał, po co tu przyszedł. Podaje piersiówkę Arvidowi, ale ten odmawia. To powinno ich rozdrażnić, ale Arvid ma taki uśmiech, który rozbraja. Przerzuca się z Kristerem i Joelem żartami, których Sofia nie rozumie, ale potem Krister klepie go w rewanżu po plecach i sala się zmienia, już nie są w centrum uwagi. Dziewczyny stoją pod sceną i wpatrują się z podziwem w perkusistę orkiestry Seymoura Österwalla. Słowa wyfruwają z ust Arvida. Wcale nie są nieprzemyślane, wręcz przeciwnie, są czarujące, jakby zdążył jeszcze każde z osobna wypolerować, zanim je wypowie. Jak nowe srebro błyszczą słowa Arvida, a Sofia zastanawia się, co powiedziała by tata. I Karin. Czy on nie wydałby się im trochę zarozumiały. Obserwuje go, kiedy tak gawędzi z Kristerem, teraz dołącza do nich też Jompa, i jeszcze Otto, wszyscy się śmieją, a ona się uśmiecha, bo chyba powinna być zadowolona. Jego włosy są jasne i puszyste. Nie jest może elegancki jak jakiś gwiazdor filmowy, ale ma styl, można by nawet pomyśleć, że wywodzi się z wyższych sfer, kiedy tak stoi w tym swoim brązowym melanzowym garniturze i wyglansowanych butach.

I wtedy Sofia zauważa Milтона przy szatni. Właśnie wchodzi do sali, samotny, trochę przygarbiony, odstające uszy i rude kręcone włosy – Sofia nie rozumie jego spojrzenia; oczy ma jasnoniebieskie i intensywne, wygląda w tej wielkiej sali jak schwytane w potrzask zwierzę. Gapi się tylko. Przychodzi na tańce, choć nigdy nie tańczy. Sofia znów uśmiecha się do Arvida, który dzięki Bogu, odwzajemnia uśmiech. Gdyby teraz podszedł Milton i poprosił ją do tańca, powiedziałaaby: Nie, dziękuję. Powiedziałaaby to jak do kogoś obcego. Może nawet z dygnięciem. Dziękuję bardzo, ale ja... Nie, nie musi się tłumaczyć. Tylko podnieść wzrok na Arvida, a ten spojrzałaby na nią, potwierdził. Krister i pozostali wciąż są koło nich. Ich śmiech jest naprawdę bardzo głośny. Arvid stoi na wpół odwrócony do niej plecami, nie usłyszałaby, gdyby powiedziała Miltonowi „tak”. Tak, dziękuję, chętnie zatańczę. Nie zauważyłby nawet, gdyby Milton wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet. Choć potem pewnie by zauważył. Musiałby. Po chwili. Zobaczyć ją tam z innym. Wirującą. Co u licha. Podbiegłby i oderwałby ją od Milтона, grzecznie, ale lodowato, jak filmowy bohater. Ten taniec przecież należał do mnie. Milton gapiłby się tylko jasnoniebiesko i puściłby ją, ale nie poddałby się, tylko stanąłby z boku i zbierał się na odwagę, jak Krister przed chwilą, potem wróciłby na parkiet. To jednak ja poprosiłem panią jako pierwszy. Wyrwałby ją Arvidowi. Ani trochę grzecznie. Brutalnie. To jednak ja... pierwszy. Pociągnąłby ją w drugi koniec sali, jak najdalej od kompletnie oniemiałego Arvida, który już nie umie być grzeczny; rzuca się za nimi, szarpie zdecydowanie – nie Sofię, tylko Milтона, wysoki Arvid przeciwko Płomieniowi Anderssonowi. Mój Boże, Sofia zawsze uważała, że to urocze przewisko, choć to miała być kpina. Przynajmniej na początku. Potem on sam zaczął tak mówić, a wtedy nie można się już

było śmiać. Arvid, który jest szerszy w ramionach, powinien mieć przewagę, ale Milton jest sprytny, wie, jak robić uniki i zmyłki. Ludzie gromadzą się wokół nich, ona nie wiedziałaby, czy ma być przerażona, czy oburzona, czy zakłopotana, większość pewnie zagrzewałaby Milтона, choć to nie jest pewne, Krister i Joel na przykład mieliby duży problem z wyborem, po czyjej stronie stanąć.

Milton nawet na nią nie patrzy z drugiej strony sali. Jego spojrzenie się ślizga, nigdzie nie zatrzymuje. Arvid pyta, czy może mieć zaszczyt zatańczyć z utalentowaną panną Steen, a Sofia dyga, kiwa głową i wirując, przesuwa się obok Milтона, wiruje po całej sali, a on niech sobie tam stoi.

Na uboczu Emilia ze swoją talią osy w swojej wspaniałej wełnianej sukience bordo. Edwin obok niej. Podchodzi do nich Milton w grubej kraciatej marynarce, choć jest tak ciepło, a on ma pod spodem odświętną koszulę. I tak tam stoją. Ponure milczące trio.

Nie wiem sama, mówi Emilia, chyba już pójść do domu.

Już?, dziwi się Edwin.

Siostra wzrusza ramionami.

Ech, zostań, zatańczymy.

Milton podnosi rękę.

Chciałeś powiedzieć, my zatańczymy?

Lepiej to, niż tylko stać, mówi Milton. Trochę już wypił.

Lepiej, niż tylko patrzeć.

Nie wiem, mówi Emilia.

Milton bierze ją za rękę.

Żebyś nie przyszła tu na darmo.

Śmieje się zawadiacko. Jest taki niepodobny do siebie. Szelmowsko uśmiecha się do Edwina.

Idźcie tańczyć, mówi Edwin, ale oni już są na parkiecie. Emilia tańczy lepiej niż większość dziewcząt na sali, Milton wywija nią po parkiecie, rozkręceni, wpadają na Arvida i Sofię, wygląda, jakby Sofia coś powiedziała, jej usta są małe i zacięte, Emilia ma wrażenie, że ona też jest pijana, nie może powstrzymać się od śmiechu. Milton mocniej ujmuje ją w pasie. Tańczy szybko, szybciej od muzyki, tańczą tak, że zwracają na siebie uwagę. Nie, tak to się robi, śmieje się Emilia, kiedy on znów myli krok. Milton patrzy w stronę Edwina, który uśmiecha się i macha do nich ręką, jak do dzieci, które nadspodziewanie dobrze się bawią.

Żony z Norrby

Emilia ma szary beret i pedałuje szybko, szybko po zwirowych drózkach. Żadna z mijających ją czasem żon z Norrby nie wie, jak ma rozumieć jej uśmiech, nie wie, czy jest zalękniony, czy arogancki. Że też te dwa bardzo różne stany mogą wyglądać tak podobnie! Szybkie, sztywne poruszenie kącika ust. Ona wcale nie jest brzydka, ta dziewczyna, może trochę patykowata, ale wyższa od swoich sióstr, ma dobre kości, bardziej wdała się we Fredrika, o ile można to uznać za coś korzystnego.

Żony z Norrby wskazują ją swoim nieżonatym synom, choć niechętnie.

Żony z Norrby prawie wszystkie mają tak samo ułożone włosy i podpierają się dłońmi w pasie, kiedy mówią.

Wieszają pranie na długich sznurach, a pranie trzepocze ku niebu, to brzmi jak wciąganie żagli na statku. W błękitne dni to imponujący widok, te wszystkie prześcieradła, koszule i halki, które wrywają się do nieba.

Żony mają zawsze dzieci; żywe i martwe. I mają mężów; żywych i martwych. To właśnie oni robią z nich żony.

Kim można by zostać, gdyby się nie było jedną z żon?

O żonach z Norrby można mówić życzliwie albo nieżyczliwie, ale nigdy z pogardą czy troską. Żony z Norrby potrafią sobie radzić. To te pozostałe nie dorastają. Niezaradne i przekwitłe, i takie, których nie da się zrozumieć – jak panna Filipsson czy Sara Andersson. (Chociaż Sara Andersson przynajmniej umiała się zająć domem i ogrodem.) Wtedy w środku pojawia się taki niepokój, który musi znaleźć ujście:

Widziała pani, ona ma pawia z tyłu na szlafroku!

Słyszała pani, ona miała w Afryce czarnego kochanka!

I do tego te długie białe papierosy – dlaczego ona musi je palić tak powoli?

No i jeszcze Emilia, jej też nie da się zrozumieć. Teraz została już tylko ona, żeby mogły zarzucać na nią swój niepokój jak sieć.

I właśnie o wilku mowa: akurat nadjeżdża na swoim rowerze, o wiele za wcześniej jak na powrót z tańców.

Czy ona nawet nie umie się porządnie zabawić?

Żony z Norrby wzdychają i potrząsają głowami. Biedna Aina Steen, myślą jednogłośnie. Zamartwianie się jest prawie tak przyjemne jak oburzenie. Współczucie i niechęć do kogoś mogą czasem leżeć tak blisko, że nawet się nie zauważa, kiedy jedno zastępuje drugie.

Aina Steen siedzi w ten wieczór na początku marca przy kuchennym oknie i szyje suknię ślubną dla Karin. Światło jest niewystarczające. Materiału też nie wystarczy. Musi dołożyć trochę ze swojej własnej sukni i od Anny-Clary Andersson, białe to białe. Próbuje uszyć rękawy nietoperze, podobno dobrze wyglądają przy dużym biuście. Od początku było planowane, że Sofia dostanie jej suknię. Karin miała dostać nową. Wyobrażała sobie, że wyprawia podwójne wesele – tak myślały wszystkie żony z Norrby. Kiedy ta czwórka zaczęła się spotykać, wszyscy się z tego śmiali; jasne było, do czego mogą doprowadzić tego rodzaju znajomości. Milton i Sofia zapuszczali się głęboko w las, na górę, i wracali z jagodami, grzybami i opowieściami o sowach włochatych i leśnych jeziorkach, raz nawet wypatrzyli niedźwiedzia. A Max i Karin przeważnie przesiadywali na skałach i nad rzeką i nikt nie wiedział, co oni tak naprawdę robili, tylko łaskotali się, chichotali i wyrwali trawę, kiedy było lato, łaskotali się, chichotali i robili kulki ze śniegu w zimie.

Nie było miło?, pyta Aina, kiedy Emilia wchodzi do kuchni.

Nie, było, odpowiada Emilia.

Tak wcześniej wróciłaś.

Aina sądzi, że zadała pytanie, ale Emilia nie odpowiada.

Piękna będzie, mówi, choć w żaden sposób nie może dojrzeć więcej niż tylko kłęb białego materiału. Ani modelu, ani szczegółów, ani jak szeroka będzie spódnica.

I jakie piękne perły! Bierze jedną ze stołu, ale Aina wyjmuje koralik z jej dłoni, szybko przyczepia do tkaniny na gorsecie.

Pomogę ci, mówi Emilia.

Chyba mogę wszystko zrobić sama, mówi Aina.

Pomyślałam tylko..., zaczyna Emilia, wykrzywia się. I milknie. Widać, że już chce wyjść z kuchni.

Słyszałaś, że Margareta Frank wyszła za mąż?, pyta matka. W Ameryce. Za gwiazdora filmowego. Spotkałam Harriet w sklepie, a Mariannę jest właściwie prawie zaręczona z przyszłą gwiazdą sportu. Tak, z Nilsem-Ake, wiesz. Była taka dumna, taka dumna, Harriet.

Aha, mówi Emilia. Ja w każdym razie pójdę się położyć.

To Fredrik przyniósł do domu te perły. Położył je przed nią na stole. Powiedział, że są od jego matki i chce, żeby Aina je naszyła na suknię. Nie wie, dlaczego się wtedy zaczerwieniła. Może dlatego, że to zrobił. Że powiedział to tak szorstko, choć jego dłoń była pełna pereł, ciepłych, musiał mocno je ścisnąć.

Perły na sukienkę Karin, dla Karin, jego słońca.

Wolno jej było przesiadywać na jego kolanach i może od tego stała się pogodniejsza. Może z tego bierze się radość, kiedy dziecko tak siedzi, jak na tronie. Żadnego policzkowania. Fredrik spokojniejszy. Karin była potrzebna. Poza tym jako jedyna z całej piątki dzieci interesuje się gospodarstwem, zwłaszcza zwierzętami.

Aina wyobrażała sobie, że w tym wieku mogłaby mieć wnuki. Kajsja Örnebrandt ma już dwójkę, trzecie jest w drodze, a ona przecież jest o rok młodsza od Ainy. Cała nadzieja w Karin, choć jest środkowym dzieckiem, u Sofii też pewnie coś się pojawi w swoim czasie, ale chyba z tym Miltonem coś jest nie tak, przecież on i Sofia to było już tak samo pewne jak z Karin i Maksem. Pozostałe żony z Norrby również się użalają, zadają jej pytania... sugerują, że może coś jest nie tak z Sofią. Karin ze śmiechem opowiadała coś o jakimś innym facecie, przez co ta sprawa wygląda jeszcze mniej pewnie. Otto mówił, że widział Sofię z facetem z Sandviken; wysokim i przystojnym – czyż nie powinna czuć ulgi z tego powodu? Albo pozostałe żony? Czy one się nie przyjrzały Miltonowi, czy niczego się nie domyślają?... Przynajmniej powinny zwrócić uwagę na te jego włosy! Takich płomienistych wnuków chyba żadna by sobie nie życzyła, dlaczego ona miałaby chcieć? Poza tym pereł nie wystarczy na dwie suknie, szkoda, że pozostałe żony nie mogą tego zobaczyć.

Odkłada suknię, bo już kilka razy przysnęła nad materiałem. Robi wieczorny obchód domu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest, jak powinno. Jak zwykle próbuje w tym czasie rozmawiać z Bogiem. Rozradowanie z powodu pereł w dłoni Fredrika jest trochę zakłócone z powodu odległości między nią a Bogiem. Oczywiście to jej sprawa próbować się zbliżyć, ale to takie trudne, kiedy Ten, do kogo się sięga, jest tak niezmiernie daleko. Że On jest w każdym człowieku, jak mówi pastor, w to Aina nie może uwierzyć, tym bardziej w to, że jest we wszystkim. Potrzebuje czegoś bardziej konkretnego. Potrzebuje wiedzieć, że Bóg jest człowiekiem, który ma ręce i może je wyciągać, żeby wesprzeć. Wyobrażenia nie pomagają. Fantazje też nie. Dawno temu mogła jeszcze z Fredrikiem rozmawiać o Bogu, a on nie tylko się uśmiechał, uważał nawet, że to jest piękne, kiedy mówiła, że Bóg widzi wierzch tkaniny, jaką jest ludzkie życie, podczas gdy człowiek widzi tylko tę splątaną drugą stronę. Fredrik był bardzo pomocny w tym trudnym czasie po śmierci matki, ojciec bardzo go chwalił, a ona widziała w nim pewne podobieństwo, coś, co rozpoznawała, choć nie potrafiła do końca określić, co to było. Wtedy wszyscy uważali, że on jest człowiekiem, na którego można liczyć. On, Aino, on będzie przy tobie na dobre i na złe, powiedział ojciec, kiedy się pobierali. I to prawda, został. Choć tak wyszło, że przeważnie na złe.

Zamiast poufalej rozmowy z Bogiem, której pragnęła, pojawia się pieśń. Pojawia się często, bez słów, Aina nie wie, skąd ją ma. Kiedy miesza w garnku albo robi ser, albo sładzi żurawiny, albo obcina głowy kurom czy dzieli prosiaka na wigilijny stół. Pojawia się, kiedy chodzi wokół domu i sprawdza – nie to, co jest jej, ale czy to, co jest, jest tam, gdzie powinno. Każdy dzień jest darem i trzeba wykorzystać go, jakby był pierwszym; a może ostatnim? Zegar kuchenny pokazuje dziesięć po jedenastej. Fredrik śpi. Emilia śpi. To mógłby teraz być jej dom, ale ona nie patrzy na świat w ten sposób, nie myśli „moje” i „mój”, nie myśli „dla mnie”. Wstawia półmisek. Wyciera stół. Starannie myje twarz i ręce w emaliowanej miednicy. Gasi światło. Fredrik chrapie. Nie ma odwagi położyć się na sofie w kuchni, choć tam śpi jej się lepiej. Klęka przy łóżku i splata dłonie pobożnie jak uczennica. Dziękuje za wszystko, co ma, co jest dobre, bo właśnie wdzięczności Bóg wysłuchuje, a nie narzekań i żalów. Mówi Bogu, że nigdy nie biła swoich dzieci, takich rzeczy Bóg chyba też chętnie wysłucha, czasami tylko trzepnęła ręką, a Ottona szarpnęła za włosy, zastanawia się, czy mogła zrobić coś inaczej. Prawie słyszy, jak Bóg szepcze za jej plecami w sypialni: Jest jak jest. Zrobiłaś, co mogłaś. Kiedy dzieci płakały, brała je na ręce. Nie głaskała ich po plecach, gdy nie mogły spać. Prędzej czy później dzieci i tak zasypiają. Prędzej czy później przestają płakać. Kiedy mimo to zaczyna wątpić w siebie, czasem myśli o biednym Fransie Anderssonie i jego rodzinie. Choć wtedy jest trochę rozdarta, bo wprowadzie nadal modli się za ich dusze, ale jest przekonana, że człowiek ma wobec życia zobowiązanie, żeby przeżyć je z wdzięcznym sercem. Samobójcy wyolbrzymiają swoje znaczenie. Życie staje się bardziej niebezpieczne i bolesne, kiedy człowiek zachowuje się tak, jakby miał jakąś szczególną wartość, lecz kiedy opadną ją wątpliwości, chętnie zwraca się w myślach

do Anderssonów, tych nieszczęsnych ludzi, zamiast myśleć o Örnebrandtach czy Frankach, bo wtedy pojawia się w niej uczucie, którego nie lubi. Splata swoje powykrzywiane palce. Mocno. Chciałaby usłyszeć dźwięk dzwonów kościelnych zapowiadających ślub albo pogrzeb – moc tego dźwięku to coś wielkiego, pod nią życie staje się takie, jak powinno być.

Bóg spogląda na nią z góry. Aina lubi myśleć o jego twarzy. Lubi wyobrażać ją sobie jako łagodną i surową zarazem. Ale nie słyszy, co On mówi. Nigdy nie słyszy, co On mówi. Potem na to nakłada się twarz Harriet, to jest irytujące, ale to dlatego, że twarz Boga jest tak niewyraźna, a twarz Harriet Frank bardzo wyraźna – tak wyglądała w sklepie, kiedy opowiadała o swoich córkach, tak wyglądała w kościele, kiedy się do niej odwróciła. Kościelne dzwony powoli wybrzmiewają. Jeden po drugim. Aż całkiem cichną.

Siostra wychodzi za mąż

To jest dzień, kiedy siostra wychodzi za mąż.

Jest marzec. Siostra ma na imię Karin. Karin Elisabeth Steen, urodzona w 1920 roku. Cechą wyróżniającą Karin jest spiczasty nos. Nikt inny w rodzinie takiego nie ma. Nosy pozostałych są szerokie. Ale całe rodzeństwo odziedziczyło pięknie wygięte brwi swojej matki, które robią się ciemniejsze u nasady nosa. Kości mają grube. Tylko Emilia ma trochę szczuplejszą i wyższą sylwetkę. Wszyscy mają gęste włosy i niebieskie oczy. Karin jest o centymetr niższa od Sofii i kilka centymetrów okrąglejsza. Nawet jej ciało jest radosne.

Jest wczesny ranek i Karin jest córeczką tatusia. Tata stoi przed ozdobną toaletką, przesuwa dłonią po zarośniętym podbródku. Czuje ssanie, ale przysięgał. Przysięgał nikomu innemu, tylko sobie. Łóżko pachnie ciepłem, na niebie wiszą nieruchome ciemne chmury – choć każdy by powiedział, że dzisiaj – dzisiaj, kiedy Karin wychodzi za mąż – słońce będzie świecić z błękitnego nieba. Koszula jest świeżo wyprasowana, garnitur pachnie kulkami na mole. Naprawdę czuje ssanie, szaloną pustkę w środku, jak głód, jak głód, kiedy nie jadło się od bardzo, bardzo dawna.

Smocze ornamenty na toaletce. Fredrik wyjmuje brzytwę. Podśpiewuje sobie coś. Nie znosi melancholii. Szorstkość to co innego, ta jest potrzebna. Od ponurych pomruków się nie ucieknie, kiedy człowiek pracował całe życie i widział, jak jego rodzice zapracowują się na śmierć. Ciało jest zgarbione, ale z tego powodu dusza nie musi się chylić ku czarnej ziemi. To obowiązek robotnika, zachować dumę, nigdy się nie poddawać sprawom, na które człowiek i tak nie ma wpływu – nie, do diabła, Fredrik nie jest socjalistą, on gwizdże na politykę, Svarten próbował zabierać go na różne spotkania, ale tak samo, jak nie znosi ponuractwa, tak i nie potrafi znieść przesadnego entuzjazmu. Pragnienie, żeby zmienić świat! Ha! To przecież śmieszne. Wychwalanie lumpenproletariatu! Nie ma nic pięknego w byciu biednym. Trzeba widzieć swoje ograniczenia, co nie znaczy, że człowiek ma tylko chodzić i wyć. Jeśli życie jest inne niż człowiek sobie wyobrażał, jeśli bycie dorosłym nie jest tak ciekawe, jak się oczekiwało, jeśli granice, które istniały, kiedy się było dzieckiem, nadal są, choć w innej formie, i to o wiele surowsze – tak, że czasem człowiekowi się wydaje, że nie może oddychać – nie można przecież od tego stracić chęci do życia. Tutaj przyznaje rację Ainie. Jest jak jest i do diabła, trzeba sytuację wykorzystać najlepiej, jak się da.

A najlepsze, co Fredrik może teraz zrobić, to sięgnąć po flaszkę. To nie jest mierzenie za wysoko, nie usiłuje być kimś więcej, niż jest. Wódka jest w zasięgu ręki, nie dalej niż w drewnutni, najdalej u Svartena. Ta ulga i jasność, jaką przynosi. Otwarcie na inny świat. Nagle dom zaczyna mienić się kolorami. Nawet dzieci, zwykle tak nudne, nabierają jakiegoś blasku, który sprawia, że wręcz można je pokochać. Jakby stawały się przezroczyste, a on może widzieć ich serca; jak szybko biją. Na trzeźwo to dla niego tak cholernie trudne, wyobrazić sobie, że ludzie noszą serca w swoich ciałach, że on sam ma serce, czerwone i miękkie.

Dłoń drży, ale on się powstrzymuje, nie zamierza prosić o pomoc, nawet jeśli brzytwa raz za razem się ześlizguje i krew zaczyna się sączyć tu i tam; Fredrik klnie, bierze głęboki oddech, ssanie wiruje w nim. Najtrudniej mu się przekonać do Edwina i Sofii, u nich blask siedzi za głęboko, są tak sakramencko porządni. A Otto się zgrywa. Pajacuje. Ma zajęte serce. Emilia chyba ma w sobie coś, co w lepszych momentach Fredrik potrafi rozpoznać, ale przeważnie jest zbyt zagadkowa i cicha, żeby mu się chciało zawracać nią głowę. Jeśli człowiek czymś się zajmuje, to niech to robi na całego, a nie zerka nerwowo na innych. To chciałby jej powiedzieć, gdyby się na to zdobył. Ale Karin – Karin z jakiegoś powodu mu się udała. Jej blask jest wyraźny, w nim się może ogrzać, nie potrzebuje do tego ani kropli alkoholu. To dla niej jest trzeźwy tego ranka. Dzisiaj ona wychodzi za mąż za jednego z synów Georga Anderssona. Nie jest dość dobry, ten Max. Młokos. Boi się prawdziwej pracy. Ale już lepszy Max niż Milton. Milton, właśnie, o Jezusie... Jeśli gra się w piłkę nożną, nie wolno być takim mięczakiem. Drużyna nie powinna tego akceptować, choć przynajmniej piłka nożna to dla niego okoliczność łagodząca. KS Järbo. Bez piłki nożnej byłby nikim, ten Milton. Tylko skrzypce. Zgrzytliwy, nachalny instrument. Jeśli chce się grać na skrzypcach, trzeba to robić bezbłędnie, a jak nie, to lepiej wcale.

Próbuje sobie wyobrazić jakiegoś mężczyznę, który byłby godzien jego Karin, choć wie, że już jest za późno i to od dawna. Nie widzi nikogo, kto choćby się zbliżył do tego ideału. Nie widzi nikogo, kto rozumie, jak wspaiała Karin jest dziewczyną, w środku i na zewnątrz.

Twarz ma pozacinaną, ale jest ogolony, ma na sobie kamizelkę i kieszonkowy zegarek, przygląda dłońmi swoje rzadkie rudawe włosy.

Przy porannej kawie Fredrik widzi, jak Aina biega wokół, przejęta i wyraźnie nieszczęśliwa, śpiewnie lamentując z cicha: Jak my to zrobimy? Jak my, na litość boską, mamy zdążyć? I ten jej nawyk nadużywania słówka „my” – mówiłaby tak nawet, gdyby była jedynym człowiekiem na kuli ziemskiej... Fredrik rozlewa kawę na obrus, to wina jego rąk – jej cichy lament zaczyna w nim drążyć jak ból, w jego pustce, odbija się w niej echem, czuje tam, że będzie nie w porządku wobec Karin, jeśli to miałoby tak wyglądać. Zabiera ze sobą filiżankę do spiżarni, nalewa gorzałki, tylko kilka kropli, tylko żeby dłonie przestały się trząść. Potem wraca do kuchni i może się śmiać na widok płamy na obrusie, walczy z całą tą sztywnością, nie przejmując się tym, że ma być ładnie, już dawno to przejrzał, widzi, że tu chodzi tylko o to, co sobie pomyślą inni. Aina wynosi dywaniki do trzepania, to przecież mogliśmy zrobić wczoraj, mruczy do siebie, Fredrik się śmieje.

Z kim ty rozmawiasz? Czy masz kontakt z samym Bogiem Wszechmogącym?

Ona milczy. Ma bardzo brzydką twarz; kiedy się taka stała? Taka zamknięta i twarda. Oczy wpadnięte głęboko, usta jak prosta kreska, która dzieli twarz na dwie części. Włosy ma gładko zaczesane do tyłu, on pamięta jeszcze, jak kręciły się na skroniach, kiedy była młodsza, widać to też na ślubnej fotografii, ale ona tak przyciska lilię do piersi, jakby się bała, że ją zgubi, a on nie może sobie przypomnieć, dlaczego się w niej zakochał, czy w ogóle był w niej zakochany, tego też już nie pamięta.

Aina jest zakurzona od trzepania dywanów, a jej głęboko schowane spojrzenie zdradza takie zdenerwowanie, że Fredrik ma ochotę na nią krzyknąć. Może ona sobie wyobraża, że to, co spotkało jej matkę, tłumaczy jej nieustające niezadowolenie, ale żaden człowiek nie ma łatwo; jedno jest pewne, chciałby ryknąć jak lew, że są ludzie, którzy mają więcej powodów niż ty, żeby obnosić się ze swoim smutkiem. Matki umierają, a nawet jeszcze gorzej, powiem ci, ojcowie też umierają, a dzieci muszą na to patrzeć, mogą mieć o wiele mniej niż szesnaście czy siedemnaście lat, czy ile tam ty miałaś, kiedy twoja matka okazała się taką niezdarą, że spadła z tamtej cholernej drabiny.

Jeszcze tylko pięć albo sześć kropelek, albo siedem. To jest lekarstwo, jeśli tego nie wiesz, ty jęzdo. To po to, żebym mógł z tobą wytrzymać.

Fredrik Lew. Tylko osiem albo dziewięć kropli. Najwyżej dziesięć. Tak jest przepisane, wyobraża sobie. To chyba nie ma znaczenia, że sam to sobie przepisałem, bo doktorom i tak nie można ufać; pasą się tylko na cudzym nieszczęściu.

Aina wygląda na zrozpaczoną, to jest odpowiednie słowo. Zrozpaczona. Jakby świat zawalił się jej na głowę.

O Boże, przecież nawet jeszcze nie zaczęliśmy...

Zlitujże się, kobieto, ryczy Fredrik, nie zniszcz chociaż tego! Wpuść trochę światła, do diabła!

Aina spogląda w dół na swój fartuch, z jej ust wydobywa się ciche przepraszam. To go jeszcze bardziej rozdrażnia. Idzie znów do schowka, już nie potrzebuje filiżanki na usprawiedliwienie, pije prosto z butelki, mógłby tak pić nawet na jej oczach, co by to zmieniło, już ma dość tych wszystkich schowków. Gdyby tylko ludzie mogli żyć całą pełnią, bez ograniczeń. Sam nie wie, o co mu chodzi. Jest, jaki jest, prostuje się. Ranki od brzytwy są jego częścią, i wódka, i pustka, i Karin! Będzie szedł po kościelnych schodach wyprostowany jak struna i pewnym krokiem, Karin będzie z niego dumna, nie jest takim idiotą jak Karlsson Koszula, żeby nie wiedział, co alkohol z nim robi.

Aina wyobrażała sobie kwiaty. Dekoracje w jasnych kolorach, nic nadmiernie wystawnego, może same margerytki. Myślała, że będzie lato, wesele na świeżym powietrzu, ale tak im się śpieszyło, oni już tacy są, Karin i Max, mają w sobie życie, to piękne, ta miłość – tak, ona to zauważyła, że między nimi jest miłość, tego nie można oczekiwać ani żądać, ale też nie powinno się myśleć, że miłość jest lepsza niż życie bez niej. Miłość nie jest żadną gwarancją szczęścia i trwałości, to trochę irytujące, jak Max patrzy na Karin, kiedy wchodzi do kościoła. Żeby tylko się nie rozplakał, myśli Aina i wierci się na swoim miejscu. Małżonkowie są po to, żeby sobie nawzajem ułatwiać życie. Rodzice Ainy pomagali sobie nawzajem w gospodarstwie, na nic innego nie było czasu. Oczywiście widziała kilka razy, jak ojciec uderzył matkę, ale zakładała, że matka musiała coś nabroić, zepsuła wspólną pracę. Byłoby z pewnością jeszcze gorzej, gdyby w grę wchodziła miłość, wtedy iskry są o wiele większe, bardziej parzące – dlatego Aina niepokoi się o Karin.

W kościele jest dużo ludzi. Wiele twarzy zwraca się ku wejściu, żeby zobaczyć Karin Steenów. Od razu widać, że suknia źle na niej leży, ciało Karin o mało nie rozsadza jej w szwach. Ale ona zdaje się tego nie zauważać, uśmiecha się tylko swoim zwykłym szerokim uśmiechem. Aina wolałaby odwrócić głowę, ale jej wzrok jest wbity w ciało Karin. Nie może biadolić jak inne żony i pomyśleć: Mój ty Boże, i tak to zostawić. Bo to chyba tak nie zostanie. Harriet i Kajsja się użalają. Zmartwione. W dodatku Fredrik się potyka, nawet na to Karin nie zwraca uwagi, ale Aina zauważa wszystko i to sprawia, że nagle czuje przypływ gniewu na Boga, a potem wstydi się tego gniewu, wstydi się Fredrika i swojej córki.

No, żeby tylko nie potknąć się jeszcze raz. To się zdarza też trzeźwym. Ale nikt nie ma tak pięknej córki jak Fredrik Steen, i on prowadzi ją do ołtarza z ogromną powagą. Naprawdę widzi w tym przekazanie w obce ręce. Myśl o jego Karin na kolanach Maksa Anderssona wprawia go w stan przygnębienia. Jeśli zacznie płakać, ludzie powinni dać mu spokój. Chyba, na Boga, można się wzruszyć na ślubie własnej córki? Rudera w Järbo, którą Max właśnie remontuje, pomagał mu Edwin, ale i tak wyszło krzywo. Tam będą mieszkać. Jego Karin i Max Andersson.

Kiedy Fredrik myśli o miłości, przedstawia ją sobie jako nadmiar i wymysł bogaczy. Coś, na co można sobie pozwolić, jeśli kogoś stać.

Światło w kościele jest szare i przytłumione.

Kiedy wprowadza do środka Karin, wprowadza NADZIEJĘ.

Karin nie jest córką, niemal nie jest człowiekiem, jest NADZIEJĄ.

Słuchajcie, jak ona się śmieje, może powiedzieć do Svartena i reszty: Słuchajcie tego śmiechu! I oni słuchają, a on mówi: Czyż to nie jest nadzieja, ten śmiech? A oni kiwają głowami, ich podbródki niemal dotykają blatu stołu, z dłońmi zaciśniętymi na wszystkim, co gospodarz Steen może im zaproponować z napitków, a nie ma tego dużo, bo większość chce mieć dla siebie.

Nooo, kiwają głowami. Ledwie go słuchali, ale o gospodarzu Fredriku Steenie można powiedzieć choć tę jedną dobrą rzecz, że widzi światło nie tylko na dnie flaszki. Na dnie flaszki jest tylko wzmocnienie światła. Wzmocnienie, na które on, zawsze pracujący ciężko i w znoju, niewątpliwie sobie zasłużył. Lecz to jasne i prawdziwe światło pochodzi od słońca i pochodzi od Karin, i jak wszystkich innych rzeczy, których nie da się kontrolować (tak jak można mieć pod kontrolą flaszkę i jej zawartość), tak i tego światła właśnie najbardziej potrzeba na ziemi i w człowieku.

No i już jest przy ołtarzu. I oddaje swój najcenniejszy skarb jakiemuś cholernemu pajacowi.

Fredrik jest (przynajmniej sam tak twierdzi) prawie trzeźwy, ale Edwin nie jest.

Ślub był przyśpieszony i wielu pewnie domyśliło się przyczyny, ale nikt nie mówi o tym głośno. Wszyscy zawsze wiedzieli, że Karin z Maksem to już nawet nie jest sprawa, na którą się trzeba oburzać, przecież są i tacy, co nawet mieszkają razem bez ślubnych obrączek. Nie, gorsze jest to, że Sofia siedzi z innym, a Milton jest sam; przynajmniej Kajsa Örnebrandt z tego powodu kręci się niespokojnie na krześle. Czy naprawdę musiała pokazywać im to w ten sposób?

Wesele odbywa się w domu panny młodej. Wynieśli meble z paradnej izby, położyli lniany obrus na trzy zestawione razem stoły, Emilia poskładała serwetki, w wazonie świerkowe gałązki, na których Sofia zawiązała kokardki, białe i niebieskie. To wygląda jak w bogatym domu, myśli Otto. Odświętny serwis, srebra wyczyszczone. Na stół idzie wszystko co najdroższe. Choć goście dobrze się znają i nie ma nikogo, komu można zaimponować. Może tylko Arvidowi Roslundowi, temu przyjezdnemu z Sandviken, co siedzi tu teraz i wygląda trochę nie na miejscu w swoim garniturze szytym na miarę, z najmodniejszymi wyłogami. Otto patrzy na niego z podziwem i poczuciem wspólnoty. Arvid Roslund jest w jego oczach kimś lepszym od pozostałych. Lepszym nawet od pastora Norrströma wraz z żoną i córką (w romantycznym kwiatowym kapeluszu z woalką). Lepszym od Örnebrandtów i z całą pewnością lepszym niż Janssonowie czy Karlssonowie, Svarten i Perta czy cała rodzina Anderssonów. Otto wie, że w gruncie rzeczy Arvid nie jest nikim specjalnym, nikim wytwornym, ot, chłopak z robotniczej rodziny, jak on sam, ale może tu chodzi o to, że wystarczy tylko spojrzeć na Arvida, żeby wiedzieć, że on nie zostanie w tym miejscu, gdzie teraz jest, nigdy w życiu.

Arvid nakłada sobie z półmiska pieczeni z łosia, nawet bierze więcej (choć półmisek jeszcze nie zrobił drugiej rundy wokół stołu). Kajsa Örnebrandt traktuje to wyrozumiale. On jest taki przystojny, ten Roslund. Ma o wiele lepszą sylwetkę niż Milton, jeśli już trzeba ich porównywać – ależ tak, pewnie, że trzeba. Dziwne, że Milton zdaje się tym nie przejmować. Kajsa zna się na ludziach.

Jej spojrzenie przesuwają się na Emilię, wygląda uroczo w swojej perłowoniebieskiej odświętnej sukience (choć odrobina rouge by jej nie zaszkodziła), trudno wyobrazić sobie, kiedy się tak na nią patrzy, że mogłaby pozostać bez przydziału, zostać starą panną, ale czas leci, Kajsa słyszała rozmowy chłopaków, że nikt nawet nie prosi jej do tańca. Ona ma spojrzenie zwrócone do środka, tak określił to kiedyś genialnie Janne, jej mąż, kiedy poprosiła go o opinię (choć nie sądziła, że ją usłyszy). Próbowła powiedzieć to Ainie, ale nie znalazła dobrego sposobu. Wiesz, co Janne ostatnio powiedział... To nie mogło brzmieć triumfująco, Kajsa rozumie, że to drażliwe sprawy. W dzisiejszych czasach kobieta nie może tylko siedzieć i czekać. W pewien sposób to szkoda. Niektóre dziewczyny aż za bardzo wysilają się w tę drugą stronę. Zachowują się nienaturalnie i przesadnie stroją. Nawet w tym pokoju jest jedna taka. Jenny Björklund umie pięknie śpiewać i Krister jest zakochany w niej po uszy, ale Kajsa nie chce mieć takiej latawicy w domu. Szczęrzy się do każdego, kto nosi spodnie, brwi smaruje czarnym tuszem. Kajsa jeszcze nie jest do końca zdecydowana, jaki typ kobiet uważa za najgorszy. Ale kiedy tort dociera do jej części stołu i w tej samej chwili do jej filiżanki nalewają kawę, decyduje, że jednak wolałaby mieć za synową Jenny Björklund – ta przynajmniej śmieje się i mówi, choć podobno i tak nie ma tam dużo do słuchania. Tort idzie dalej w stronę Dorotei Norrström, która też oddaje się rozmyśleniom na temat Emilii (głównie dlatego, że uderzyło ją, jak bardzo jej córka była zaprzyjaźniona z Emilią w dzieciństwie, a teraz wydają się takie różne) – jakby Bóg o tej dziewczynie zapomniał. Z niektórymi ludźmi tak się dzieje. Trzeba tylko dziękować opatrności, że człowiek sam nie został zapomniany. Choć, myśli żona pastora, tu chodzi o zasługi; że się idzie wytyczoną przez Boga drogą, najlepiej nie rozglądając się przy tym na

boki.

Podają koniak, a Fredrik nakrywa kieliszek dłonią (ale czasem wychodzi do spiżarni albo do sieni, ma tam dwie ze swoich licznych kryjówek).

No, jak myślicie, mówi Valter Jonsson i odrywa kawałek migdałowego ciasta, będzie wojna?

Boże, uchwój!, wykrzykuje Dorotea Norrström i zasłania dłonią usta. Chciałam powiedzieć: Bóg nas poprowadzi, dokąd należy. I oczywiście ochroni nas, swoje owieczki.

Kajsa uważa, że to nudne i niewłaściwe, żeby przy każdej okazji o tym mówić.

Perta próbuje coś powiedzieć, ale zaraz robi się czerwony na twarzy, zawsze taki był.

Arvid odchrząkuje – chyba nie zamierza wstać? Nie, tylko się uśmiecha i mówi, że wszystko jedno, jak to się rozwinie, to do nas na pewno nie przyjdzie, wojna, tutaj nie.

Do Norrby?, pyta Milton trochę nieprzytomnie.

Do Szwecji, mówi Arvid z uśmiechem. Do nas nie dotrze.

Goście gremialnie oddychają z ulgą. Ale Svarten burczy i mówi, że to, do diabła, nie jest powód, żeby wzdychać z ulgą. Jesteśmy sakramenckimi tchórzami, mówi, i dlatego nawet nam się należy trochę wojny, żebyśmy się wreszcie obudzili. Popatrzcie tylko, jak to się skończyło z tamtym... Kiedy tłukli szyby... Kiedy Żydzi... Co nasze gazety o tym pisały? Tylko kilka szpalt. Tak, żeby tchórzliwy naród nie musiał chować głów w piasek.

Karin unosi się lekko na swoim krześle, nachyla się nad stołem i poklepuje Svartena po ręce. Ona umie robić takie rzeczy, rozładuje każdą sytuację.

Już dobrze, mówi surowo, choć przyjaźnie. To ma być radosny dzień. I choćby nie wiem co, to wojna na pewno nie przyjdzie dzisiaj, już ja to załatwiłam.

Goście wybuchają śmiechem. Nawet Svarten lekko rozciąga usta. Kajsa uśmiecha się porozumiewawczo do Karin. Myśli, że obydwie mają tę zdolność uspokajania i pomagania. Oczy zachodzą jej łzami na myśl, ile razy pomagała Ainie w większych i mniejszych sprawach, ale nie może sobie przypomnieć konkretnych przykładów. Wszyscy tutaj są tak bardzo życzliwi ze sobą. Że też nawet taki Svarten może siedzieć przy jednym stole. To wzrusza ją jeszcze bardziej.

Georg Andersson dzwoni łyżeczką o kieliszek, chrząka i wstaje z miejsca. W tym samym momencie Edwin wywraca swój kieliszek i wszystkie spojrzenia kierują się oczywiście na niego. Edwin się śmieje. Dopiero wtedy widać, że już ma trochę w czubie. A jedyną osobą, która się z tego cieszy, jest Fredrik; jego drewniany jak kukła syn może wreszcie się trochę odprężyć. Georg Andersson chrząka jeszcze raz. Spojrzenia odrywają się od Edwina i Ainy, która zaraz zjawiała się przy nim ze ścierką. Mowa Georga jest krótka i treściwa, i oczywiście zabawna. Karin podparła swoją pulchną dłońią twarz, patrzy w górę na teścia i uśmiecha się łagodnie. Doskonały uśmiech, myśli Kajsa Örnebrandt.

...i na koniec chciałbym powiedzieć, że lepszej synowej niż nasza Karin nie można sobie wymarzyć!

Kieliszki idą w górę.

Sofia też podnosi swój. Ale nie może przestać myśleć o tym, że w Karin rośnie nowe życie, należałoby coś powiedzieć na ten temat, ona ma dziecko w brzuchu, nie wiecie o tym? Sofia widzi to dziecko jako ciemne stworzenie, nie, nie jak Murzyn, ale jak jakaś nieznaną istotą, bardziej zwierzę niż człowiek. Jakby wręcz słyszała odgłosy mlaskania i pełzania, jak dźwięki dochodzące z wiaderka pełnego czarnych raków... zanim zostaną wrzucone do wielkiego kotła z wielkim PLUSK i niemal w jednej chwili staną się czerwone i znieruchomiałe, potem słysząc tylko bulgoczącą wodę.

Poczwórny wiwat – ZNOWU – na cześć państwa młodych. Niech żyją!

Sofia chce, żeby wesele już się skończyło, żeby mogła się położyć. Ach, ależ się będzie rozwalala na łóżku! Tylko jeden jedyny raz miała łóżko dla siebie, to było tamtej nocy, kiedy Karin musiała pojechać do lekarza ze ślepą kiszka. Karin nie patrzy w stronę Sofii. Karin wygląda, jakby nie patrzyła w żadne konkretne miejsce. Za to Max gapi się, aż mu oczy wychodzą na wierzch. Sofia uważa, że on wygląda głupkowato.

Ale Max nie potrafi nic innego, tylko patrzeć i patrzeć. Najdroższa moja Karin. Czekał na to przez całe swoje dwudziestoletnie życie, właśnie na tę chwilę, ilekroć mówił: Karin moja, albo: Moja Karin, choć to nie była prawda. Ale teraz to jest prawda, i od tego kręci mu się w głowie, wcale nie potrafi, choć całowali się pierwszy raz, kiedy miał trzynaście lat, wcale nie potrafi sprostać temu wszystkiemu.

Lśniące srebra. Malutkie kokardki na gałązkach – dla niego. Trzaskający ogień w piecu. I znów toast. Nie, to nie za niego. To za nich. Za Karin. Wtedy łatwiej mu to ogarnąć.

Max Andersson nie chce, żeby wesele się skończyło. Pójdą do niego, jak zwykle, ale potem ona nie wróci do domu, już nigdy więcej nie wróci do domu, zostanie z nim, a dom w Järbo niedługo będzie gotowy, stamtąd też nie odejdzie. Fredrik siedzi i zaciska dłonie, otwiera, zamyka, Max to widzi, próbuje wymienić spojrzenia z teściem, tak chciałby, żeby Fredrik zrozumiał – choć on sam nie rozumie! Chce iść do domu sam. I nie do skrzydła budynku, tylko do chłopięcego pokoju. Chce położyć się do łóżka, jak zwykle, i tęsknić, i pisać listy. Ach, gdybyś tylko była przy mnie, moja najdroższa Karin. Poprosiłby Miliona, żeby mu zagrał na skrzypcach. Zagraj coś tak naprawdę cholernie łzawego i sentymentalnego, Milonie, żeby mi zabrakło tchu. I Milton gra; gra swoje najlepsze utwory. Dla brata.

Ale dzisiaj Max będzie spał w skrzydle domu z Karin, będzie dotykał jej ciała, a ona jego, to nic, czego by nie znał, to go cieszy, nie, przecież to nie jest powód do zdenerwowania. Stwardnieć na widok jej nagiego ciała to nic nowego, to najłatwiejsza w świecie rzecz. Ale to drugie, obudzić się obok niej następnego ranka; cały dzień razem, i następny, i następny, całe życie. Jak on... Jak on kiedykolwiek będzie mógł... żeby ona nie?...

Fredrik dalej wyczynia te rzeczy z rękami, jakby je gimnastykował. Zaciska dłonie tak mocno, aż bieleją mu kostki. Sofia myśli o *Mrugaj gwiazdko mała*, naśladowała to miganie rękami, kiedy była dzieckiem, kiedy sama śpiewała tę piosenkę, nie rozumiała nigdy „wabisz z dali oczy me”, ale tata myśli o czymś innym, to widać z daleka, on znowu jest nieobecny duchem; Sofia wyobraża sobie, że ojciec jest w lesie i poluje, myśli, że strzela do niedźwiedzia, najpierw zagania go wysoko na górę. Idzie za nim, wie, że to niebezpieczne, ale nie może się powstrzymać. Rozlega się PANG!, ptaki uciekają pod niebo, myślą, że to chodzi o nie. Ludzie dalej przepijają do siebie, Sofia schodzi z góry, jest tam chata Edwina, chce zapukać, ale nie ma odwagi. Widzi, jak on szybko pije, kto jak nie on powinien wiedzieć, do czego to prowadzi, nie musiałaby nawet pukać do drzwi, tylko wejść prosto do środka: Przestań już! Wtedy kątem oka zauważa spojrzenie Karin, która wznosi swój kieliszek do Sofii. Wzrusza ramionami. Sofia wie, co ona myśli, co by powiedziała, gdyby jej słowa mogły do niej dotrzeć: Słuchaj, chyba dalej jesteśmy przyjaciółkami? Głowa lekko przekrzywiona. Nie, nie jesteśmy przyjaciółkami, jesteśmy siostrami. I wzruszenie ramion nie wystarcza. Wszystko jest grą, ale ona też potrafi grać, dlaczego nie. Więc wznosi kieliszek, ona też, zanurza usta i myśli, że jest za młoda na to wszystko, w pewien sposób jest o wiele za młoda też dla Arvida Roslunda, choć on jest tylko o cztery lata starszy. Cztery lata to dużo czasu, cztery lata temu nie miała jeszcze nawet czternastu lat, nie miała pojęcia o niczym. Czasami Arvid szuka jej spojrzenia, ale przeważnie jest zajęty ożywioną rozmową z Jannem Önebrandtem i Svartenem. Sofia chciałaby, żeby zwracał się też do Edwina. Edwina, który ciągle napełnia swój kieliszek, jakby myślał, że nikt go nie widzi.

Kilka osób chce tańczyć, skoro już jest Milton, który może przygrywać. Edwin zjadł szybko, wypił jeszcze szybciej, przewrócił kieliszek i upuścił widelec na podłogę. Jego ruchy są kanciaste, szerokie, ludzie z uśmiechem poklepują go po plecach, uważają, że jest zabawny, cieszą się wraz z nim, nie wiedząc nawet, czy to, co on czuje, to jest radość.

Sofia widzi to wszystko, widzi, jak pastor Norrström przechodzi obok niego i rzuca przelotnie, że są jeszcze inne niezamieszkane domy, gdyby miało być tak, że on tam nie czuje się dobrze, pastor mówi to przyjaźnie, ale jej wydaje się, że Edwin nawet nie odpowiada. Sofia słyszy jeszcze, jak pastor prosi córkę, żeby „zabawiała Edwina”, na co córka niechętnie podchodzi i tylko stoi obok Edwina w swoich marszczonych rękawach. Sofia się wstydzi. Wstydzi się też za Jenny Björklundów, która zabawia go z własnej woli. Nikt z tego nic nie ma. Edwin jedynie stoi i nic nie mówi, patrzy ponuro.

Kajsa mówi do Ainy, że przecież jest dość dziewcząt do wyboru. Aina wcześniej o tym nie myślała. Kajsa mówi, że o córce pastora nie można powiedzieć złego słowa i Aina myśli o tym jak o prawdzie i cieszy się w duchu. To oddana i religijna dziewczyna, myśli Aina, nie mogąc sobie przypomnieć, czy to też słowa Kajsy. I ma piękne włosy. Chodzi do szkoły gospodarstwa domowego, choć Dorotea podkreśla, że to wcale nie jest konieczne.

Edwin uwalnia się od kolektywnego nacisku, postanowił, że nie będzie do nikogo należał, choć to nie była świadoma decyzja, to nie jest poczucie wolności ani ulgi w jego ciele, które zmierza zdecydowanie do celu gdzieś z boku sali, zawsze gdzieś z boku.

Na drodze napotyka przeszkody, najpierw grupkę, która za pomocą różnych, mniej lub bardziej dziwnych komentarzy próbuje go przy sobie zatrzymać. Dlaczego na przykład miałyby wyprowadzać się z chaty Szalonego Frassego? Zresztą to już nie jest dom Frassego Anderssona, to jego dom, a gdyby się tam źle czuł, to chyba sam by to zauważył pierwszy, o ile w ogóle w świecie materialnym można się czuć dobrze albo źle. I dlaczego nagle miałyby poświęcać czas córce Norrströma? Na pewno jest miła i porządna, pani Norrström, pastorowa, na pewno ma powody, żeby się tak nerwowo chwalić, ale co z tego? Edwin nawet nie ma ochoty myśleć, że oni chcą jego dobra. Gdy tylko dopuści takie myśli, nie będzie już miał prawa być zły czy obojętny. Oni go nie znają. Edwin wie, że to wygodna wymówka, ale nie dba nawet o to, przez kilka dni próbował dostać się do domu Malvy, ale drzwi były zamknięte, pukał i pukał, ale nikt nie otwierał, nikt na niego nie czekał. Kiedy stał przed domem, nie widział jej sylwetki w środku, klamka wysliznęła mu się z dłoni, kiedy przekroczył granicę snu, nawet nie było żadnej klamki, żadnego domu, nawet ruiny. Wołał, nie przejmował się Pertą, Svartenem czy Valterem Janssonem na nocnej przechadzce. Ale ona nie wróciła. Zniknęła, kiedy trasy były gotowe, kiedy ludzie zaczęli się schodzić, a jego nazwisko było w gazetach. To nie on wymyślił nazwę stoku, nawet nie przyszło mu do głowy, że powinien się jakoś nazywać, to ludzie zaczęli tak mówić, bo tak było – Stok Edwina; co by się stało, gdyby on chciał go nazwać imieniem Malvy... Stok Malvy. Co by się stało, gdyby o wszystkim opowiedział? Czy wtedy by wróciła? Czy ona w ogóle zniknęła? Gdyby tylko mógł być z nią tamtej nocy, kiedy się paliło. Jest tchórzem. I dlatego, że on jest tchórzem, Malva sobie poszła, a on zapomniał, jak to jest ją kochać.

Łatwo się uwolnić od tej grupy – Edwin tylko milczy i idzie prosto przed siebie, ale tam stoi znów Milton i wyciąga ramię. Też pijany, ale nie nadmiernie, ma grać na skrzypcach dla młodej pary, będzie przygrywał pięknie, aż niejedne oczy zaszkłą się łzami, a potem zagra coś wesołego, wybijając stopą rytm. Będzie grał to, co będą chcieli.

Edwinie, dokąd się wybierasz?

Chce odpowiedzieć tak jak Emilia: Gdzieś daleko! Ale jest coś winien Miltonowi: uśmiech, prawdę.

Jestem po prostu pijany.

Milton aż się krztusi ze śmiechu.

To prawda, jesteś, jeszcze jak.

Spojrzenie Miltona jest pałace. On chce czegoś, czego Edwin nie może mu dać. W pewien sposób przypomina kolejną przeszkodę: Sofię. Są podobni do siebie w tym sensie, że mają wyobrażenia na jego temat... choć wcale nie wiedzą, kim jest.

Miltona wystarczy delikatnie odsunąć na bok. Od Sofii musi się wrywać.

Jak się czujesz, Edwinie?

Dziękuję, dobrze.

Na pewno?

Tak.

Nie uważasz, że nie jesteś... całkiem sobą?

Do diabła, tylko trochę wypilem.

Arvid staje opiekuńczo przy jej boku. To takie głupie. Nagle o wiele łatwiej jest ich zlekceważyć.

Arvid obserwuje Edwina, kiedy tamten podchodzi do Emilii. Nie słyszy słów Edwina. Może on szepcze, stoi blisko niej, w pokoju jest gwarno.

Nie zrobiłam tego! Arvid słyszy prychnięcie Emilii.

To źle widziałeś, mówi jeszcze. Potem widzi, jak Edwin bierze ją za ramię.

Byłaś też w środku?

Arvid słyszy jego pytanie. Jest zaciekawiony, ale nie aż tak, żeby podchodzić bliżej.

Nie rozumiem, o co ci chodzi, mówi Emilia, jej policzki płoną.

Myślisz, że to ja podłożyłam ogień?

Jedno słowo rodzi kolejne, jeśli zaczniesz się rozmowę, czasem nie da się jej skończyć, ze stu słów może się zrobić milion... a milion słów... Wtedy już nic się nie liczy. Pomiędzy tymi wszystkimi mogą być słowa, które... Może być jedno słowo, które naprawdę... Ale pośród miliona słów... jak można usłyszeć to jedno jedyne?

Edwin rozumie, że powiedział za dużo. Dociera do niego, kiedy ona się wyrzywa:

Przestań, Edwinie. Jesteś pijany.

Sofia kładzie mu dłoń na ramieniu.

Nie przejmuj się nią, mówi cicho. Ona wszystko bierze do siebie.

Niech to diabli, mówi Edwin. Milton wyciągnął skrzypce, patrzy Edwinowi prosto w oczy, ale Edwin wyrzywa się spojrzeniem w bok, jak Emilia wyrwała się przed chwilą z jego uścisku.

Lato w Norrby

Sofia nabiera pełne płuca powietrza i zwalnia uchwyt, spada w dół zbocza, frunie... Znów wygrywa zjazd kobiet. W gazecie jej nazwisko widnieje na samym dole notki. Napisali, że kobiety w ogóle dojechały do mety, zasłużyły na brawa.

Poza zawodami zjeżdża dłuższą trasą. Tak daleko i tak długo, jak to możliwe.

Gdy tylko znajdzie się na dole, zaraz chce wracać na górę.

To już niemożliwe, Sofio, nie widzisz, że jest wiosna?

Przylaszczki i zawilce między zapomnianymi chorągiewkami. Od pasa drzew liściastych słyhać pokrzewki, piecuszki i świstunki. Sofia odbywa samotne spacerki na górę. Czasami towarzyszy jej Arvid. W sobotnie popołudnia na przykład przyjeżdża po pracy do Järbo, a wtedy Sofia nie ma tyle czasu ani spokoju, musi piec babkę, bo to jest coś, co Arvid bardzo lubi, ona musi przygotować prowiant. Jest inaczej, niż kiedy razem jeżdżą na nartach, wtedy nie mogą rozmawiać w taki sposób; Sofia lubi oczywiście słuchać, jak Arvid mówi – nie lubi tylko słuchać swoich odpowiedzi.

Na szczycie góry. Góra ma trzysta sześć metrów wysokości. Co jeszcze może opowiedzieć Arvidowi?

O jamie Hillberga i rozpadlinach, do których chce wpełznąć (czy naprawdę powinna o tym mówić?). O morzu, które sięgało kiedyś dwieście metrów wyżej niż teraz, można nawet jeszcze dojrzeć resztki brzegu. O wielkim głazie Jockarnas, który ma pięć metrów wysokości, jak zmierzono. Mogłaby powiedzieć, że ta kraina jest jej, że tu nigdy nie czuje strachu. Że należy do tej góry i ziemi u jej stóp, lecz gdy krajobraz dochodzi do Järbo i jeszcze dalej, wtedy staje się krainą kogoś innego, miejscem, w którym ciało zaczyna się inaczej zachowywać: garbić się, kulić; może to strasznie głupie, Arvidzie, wiem o tym, bo przecież ta góra wcale nie jest moja, nie o to mi chodziło – i kiedy próbuje ułożyć to sobie w myślach, wszystko zaczyna się mieszać. Właściwie pada niewiele słów, przynajmniej z jej ust, za to Arvid gada i gada, i to jest bardzo przyjemne, i na pewno ciekawe, ale czasem wolałaby, żeby po prostu posłuchali ptaków, wszystkich tych dziwnych i tak dobrze znanych odgłosów gór i lasów.

Lepiej, że babka jest zjedzona, popołudnie przechodzi w wieczór i mogą iść na tańce.

I tańczą.

I do Norrby przychodzi lato.

Wśród starannie sadzonych przez Sarę Andersson roślin wyrasta podagrycznik i trybula. Nadchodzi czas sianokosów i gospodarze pracują dzień i noc, żeby skosić trawy, wysuszyć i zwieźć siano. W całej okolicy rozbrzmiewa dźwięk kosiarek. W gospodarstwie Steenów też zwozi się siano. W tę sobotę szesnaście wozów. A wieczorem Sofia wiruje na parkiecie w ramionach Arvida. Ale to nie ramiona Arvida są najważniejsze, także jej myśli wirują w ruchu, w radości tańca. Kroki są w niej, nie musi się ani trochę wysilać, żeby pamiętać, co ma robić. Zamyka oczy. Wielu łączy jej zamknięte oczy z ramionami Arvida. I to złe połączenie. Gdyby miała paść jakaś wypowiedź, gdyby to był film, Sofia powiedziałaby: Ach, gdyby tak czas mógł stanąć w miejscu! Ale to nie opisałoby właściwie tego uczucia. Czasem Arvid oczekuje jej spojrzeń i uśmiechów. To dlatego ona zamyka oczy! Uśmiechać się może mimo to. Wielu łączy jej uśmiech z ramionami Arvida. To złe połączenie. Nie jest ważne, kto trzyma ją w ramionach; ten, kto ją trzyma, jest tylko narzędziem do tańca, do tych miękkich ruchów na parkiecie.

Björkvallen w lecie. Dziewanny i stragany. Gra w rzutki i ocean ciemnoróżowej wierzbówki poniżej wysypanej talkiem podłogi do tańca. Sofia co jakiś czas rozgląda się i sprawdza, czy nie pojawił się Milton. Już dawno go nie widziała. Jest takie zdjęcie, na którym trzymają się za ręce. Mają po czternaście albo piętnaście lat, on stoi za nią na stopniu i z powagą patrzy w obiektyw, a ich twarze wyglądają podobnie. Jego włosy są nieokiełznane, dotykała ich tak wiele razy, to nie znaczyło nic, i dlatego właśnie coś znaczy. Rozgląda się za Miltonem – żeby zobaczyć go takim, jak na tamtym zdjęciu – ale Arvid stoi na jej drodze, a za Arvidem piętrzy się góra.

Milton ma swoje skrzypce i swoje książki. Brakuje jednej, między P i S. Jego regał nie jest tak duży, żeby można było zapomnieć książkę, nawet kiedy się nie pamięta, że jej brakuje. Skrzypce czerwienią się na ścianie. Trzeba mieć dla kogo grać... A po co mieć książki, jeśli nie można chodzić na długie spacery i rozmawiać o tym, o czym one właściwie mogłyby opowiadać. Gdzieś tam pod słowami... Albo po prostu móc powiedzieć takie rzeczy jak: Och, ten Jac Tracbac!²Jakby to była jakaś rzeczywista osoba! Albo: Pomyśl, ale by było, zamieszkać w lesie Sherwood. Jakby to miejsce istniało naprawdę.

Jest pusto w domu, w obejściu, pusto w całym Norrby.

Mógłby pójść do Sofii... ale równocześnie nie może. Już nie.

Idzie nad rzekę ze swoją pustką i butelką, żeby wypełnić albo przykryć tę pustkę. Zamyka oczy i o czymkolwiek myśli, czuje w środku złość, której nie umie nadać żadnego kierunku, nawet jako pięść w twarz, czyjąkolwiek twarz.

2 Bohater głośnej powieści Clownen Jac Hjalmara Bergmana (1883-1931), zwanego szwedzkim Balzakiem.

I myśli: Max, las, skrzypce, książka, Sofia, Norrby, Järbo.

I myśli: Hitler. Wojna.

Wszystko staje się gniewem.

Siada tuż nad parowem przy Sångdammen, to na tyle daleko, że może tu mieć spokój. Kiedy mijał drogę do domu Edwina, chciał tam pójść i zapukać do drzwi, mógł to zrobić, a jednak się nie dało; wydaje mu się, że próbował, ale nie wszedł nawet pół kroku na górę... bo już na samym dole przy drodze były drzwi, potem jeszcze jedne – widział to wyraźnie – przy zwirowanym placyku przed chatą, jakby cały Edwin był drzwiami. Ta myśl pojawia się po ledwie trzech wielkich łykach, które palą w gardle, a potem nie potrafi się jej pozbyć. Obraz Edwina jako drzwi, które nie chcą się otworzyć. On nie chce mnie u siebie. On nie chce, żebym wszedł. Przez cały czas, kiedy Milton siedzi nad rzeką – ciężkie drzwi z ciemnego drewna, wydaje mu się, że je szarpie, ale powstaje tylko wąska szpara, zawiasy zgrzytają: On nie chce mnie u siebie. On nie chce, żebym wszedł. I to jest dobre na pustkę, że są słowa i obrazy, ale w tej pustce tak boli to, co te słowa i obrazy oznaczają.

Powoli i chwiejnie, jak bardzo stary człowiek, albo bardzo pijany, Milton wstaje i rusza w niezbyt długą drogę do Björkvallen, na tańce.

Milton cuchnie alkoholem i śmiało obejmuje Sofię w pasie, ledwie może się utrzymać na nogach, a ona próbuje odsunąć go od siebie. Jego koszula jest przepocona nawet na rękawach, a może czymś się oblał; trudno stwierdzić, który zapach jest mocniejszy.

To jak teraz będzie ze wszystkim?, pyta Milton.

Sofia nie rozumie, o co mu chodzi.

Miltonie, mów, powinieneś iść do domu.

Ale jak to będzie ze wszystkim?, pyta znów Milton.

Musisz iść do domu, powtarza Sofia. Nigdy jeszcze nie czuła się tak dorosła i daleka. Jego dłonie wspinają się po jej ciele jak wielkie ślepe owady. Czy to jest mój Milton?, zastanawia się Sofia. Na słowo „mój” się wzdryga. Miltonowi leje się z nosa, opiera głowę na jej ramieniu. Czy to jest mój Milton? Wciska głowę, swoje szorstkie rude włosy, w jej szyję.

Nagle staje przy nich Arvid i – jest olbrzymem, jest King Kongiem – uprzejmie, ale zdecydowanie ujmuje Milтона za ramię.

Chodź ze mną, mówi.

Milton podnosi na niego błędny wzrok.

Pomogę ci wrócić do domu, dodaje Arvid, a jego głos brzmi łagodnie; wygląda, jakby Milton miał się zaraz rozplakać; jeśli to zrobisz, nigdy ci tego nie wybaczę? myśli Sofia.

Jak teraz będzie?, bełkocze Milton i robi krok w stronę Arvida. Sofia wstrzymuje oddech – czy zamierza go uderzyć? A Arvid – czy zablokuje rękę Milтона, jeszcze zanim osiągnie cel, wykręci ją na plecy, powoli, zmusi go do ukłęknięcia? Ty pajacu, ty cholerny pijaczyno. Ale Milton tylko wali się na Arvida, a ten podpira jego padające ciało swoim. Wyglądają, jakby się obejmowali. Milton otacza ramionami duże ciało Arvida, zdaje się przy nim taki mały.

Już dobrze, mówi Arvid i wyprowadza Milтона. Idą spleceni ramionami, a Milton płacze. Sofia słyszy jego szloch jeszcze długo, długo po tym, jak odeszli.

Następnego ranka Milton Andersson pisze wiersz. Przynajmniej próbuje. Jest w odpowiednim nastroju, czuje ból w piersiach, boli go głowa... Pisze:

Grota

Serce

Pisze:

Zimno

Dotpisuje też coś na marginesie. Coś, co natychmiast przekreśla.

Nie umie tego nazwać.

Zgniatą kartkę.

Kopie ścianę, na której wiszą skrzypce.

Sofia wierzgnięciem odrzuca przykrycie, w pokoju jest duszno, to taka krucha granica między zimnem i ciepłem, mrozem, rosą, suchą trawą. Na oknie mucha, poza tym cisza.

Pierwsza myśl powinna dotyczyć Arvida. Więc myśli o nim, myśli jego imię (bo twarzy nie może uchwycić). Arvid. Arvid. Duży prosty nos. Przedziałek z boku. Szerokie dłonie. I jaki jest wysoki! Na pewno z pół metra wyższy od niej. Dłonie Milona są drobne, na tym zdjęciu, gdzie wyglądają jak rodzeństwo.

Jak teraz będzie?

To w niej narasta. Jak ją schwycił, niemal brutalnie, jak się skurczył, zrobił niezdarny i śmieszny, kiedy przyszedł Arvid i zapanował nad sytuacją. Co by się stało, gdyby Arvid nie przyszedł?

Jak teraz będzie?

Dzieci, które się bawią, myśli Sofia, nie znają się zbyt dobrze. Na przykład nigdy nie siedziała z Miltonem w kawiarni U Ulli i nie rozmawiała. Tak, jak sobie wyobraża, że niektórzy robią. Nawet jeśli teraz nie przychodzi jej do głowy nikt, kto by to robił. A właśnie, Marianne i Nils-Ake oczywiście. Łatwo ich tam razem zobaczyć – przy stoliku w rogu, nie przy barze, tylko bliżej drzwi, naprzeciwko ściany z malowidłem. Ale Karin i Maksa tam nie widuje. W ogóle prawie nigdzie ich nie widuje. Odkąd przeprowadzili się do Järbo, w pobliże kolei. Oczywiście była tam. Niezbyt ładny kolor wybrali do sypialni. A Max zrobił łóżeczko dla dziecka, tak samo koślawe jak ich dom. Karin nie jest jedyną, która ma dużo na głowie. Choć nie robiła nic innego, tylko siedziała w niewielkiej kuchni i trzymała w dłoni rękę Maksa, a kiedy mówiła, prawie przez cały czas patrzyła na niego, choć słowa były skierowane do Sofii. Ale w odróżnieniu od niej i Milтона, Karin i Max przynajmniej rozmawiają o różnych rzeczach: pogoda, ogród, audycja radiowa, której słuchali. Mówią o tym, co zrobią w przyszłym tygodniu. Mówią o kocie, którego wzięli (choć widać, że Max za nim nie przepada), o ludziach, których widzieli na stacji; tych, co wyjeżdżają, i tych, co tu zostaną. Oni z Miltonem tylko jeździli razem na nartach, budowali szałas z jodłowych gałęzi, pływali w rzece, ścigali się na rowerach, wspinali na górę, rozmawiali o książkach. Ale książki to nie rzeczywistość. Nie tak jak wojna w Hiszpanii, smarowanie nart czy skały o niemal trzydziestometrowym obwodzie. To, o czym ona rozmawia z Arvidem. Arvid wie dużo rzeczy, których ona się uczy, o których myśli jeszcze długo po rozstaniu.

Przezesuje włosy.

Jak to teraz będzie?

Mucha brzęczy i rzuca się gwałtownie na szybę, Sofia powinna pomóc jej się wydostać, ale jest coś w tym dźwięku, coś, co sprawia, że całkiem zamyka okno.

Co sądzisz o Hitlerze?

Siedzą w kawiarni U Ulli. Jeden z narożnych stolików w pobliżu drzwi. Potoki światła wlewają się przez szybę.

Myślę, że on sprawia solidne wrażenie, ciągnie Arvid, nie czekając na odpowiedź.

Pyta jeszcze, czy jest pewna, że nie chce niczego więcej. W wytworniejszych kawiarniach można wybierać ciastka z tacy.

Sofia potrząsa głową. Wie, że ma ładnie ułożone włosy. Umyła je wczoraj, rzadko jest zadowolona z tego, jak się układają. Zastanawia się, do jakich kawiarni chadza Arvid. Zastanawia się, czy powinna powiedzieć, co ona sądzi o tym Adolfie Hitlerze... Ale co właściwie sądzi? Słyszała go tylko przez radio u Svartena. Powinna lepiej pójść posłuchać do domu Örnebrandtów albo Franków, albo nawet do K.P. Janssona!... Nie wie, co by wtedy myślała. Ale kiedy słyszała go, jak mówił przez radio u Svartena, pomyślała, że brzmi bardzo nieprzyjemnie. Krzyczał, zamiast mówić, wypluwał z siebie słowa. On mnie trochę przeraża, Arvidzie.

Właśnie, może mogłaby tak powiedzieć i potem przekrzywić głowę, a on pewnie zaśmiałyby się, wzięłyby ją za rękę i powiedział: To nie jest ktoś, kogo się trzeba bać. Ale Sofia się nie boi. Nie o to jej chodziło.

Ludzi z takimi ambicjami nie sposób nie podziwiać, mówi Arvid.

Sofia zwraca uwagę, że ściszył głos. Myśli sobie, że chyba rzeczywiście narody się różnią między sobą, ale żeby cały naród był taki sam? To tak, jakby powiedzieć, że wszyscy w Norrby są tacy sami. Albo w Järbo... Chciałaby zapytać Arvida, czy on tak myśli. Czy uważa, że wszyscy w Norrby mają jakąś jedną wspólną właściwość... cechę charakteru. Nie może wymyślić niczego takiego. Mówi się wprawdzie, że mieszkańcy Järbo są nieśmiali, a ci z Sandviken czyści, ale chyba tego nie można powiedzieć o wszystkich? Choć ludzie z Järbo wychowali się w cieniu góry, a miejsce chyba jednak ma jakieś znaczenie? Ciekawe, jacy by byli, gdyby zamiast tutaj, wyrastali nad morzem? Gdyby widzieli statki, jak pływają tam i z powrotem. I niebo, i morze mogłyby złąć się w jeden świat, gdzie zawsze jest ciepło. Wtedy na pewno oni byliby inni. Przynajmniej z grubsza. Ale nawet rodzeństwo nie jest podobne do siebie. Jako przykład może wymienić Georga i Fransa Anderssonów. Albo nawet Maksa i Milтона. Ludzie nie są podobni do siebie, Arvidzie. Chociaż w gruncie rzeczy... może jednak jesteśmy?

Arvid rozgląda się po sali. Mówi, że tu jest pięknie. Järbo jest piękne, mówi. W Sandviken jest tak płasko, człowiek tęskni za pagórkami i wzgórzami. Ale przynajmniej są blisko. Wystarczy wsiąść na rower. Arvid się śmieje. Wygląda na zadowolonego.

Jeśli on mnie zechce, to się pobierzemy, myśli Sofia. Jeśli mnie zechce, będziemy razem przez całe życie.

Nie sądzę, żeby Hitler naruszył umowy, mówi Arvid. Przecież już dostał Czechosłowację. Podpisali w tej sprawie dokument.

Wydaje mi się, że można pomylić uczucie lęku z podziwem, ciągnie Arvid. W pewien sposób trudno nam zaakceptować, że ktoś może robić aż tak imponujące wrażenie.

Jego nos jest bardzo duży, myśli Sofia. A on sam jest bardzo miły. Żartuje, ale nie w taki dziecinny sposób, jak na przykład Jompa, ani tak prowokująco jak Georg Andersson. Poza tym interesuje się ludźmi. Lubi Edwina, na przykład, choć zamienili ze sobą ledwie dwa słowa. No i jeszcze to, że nie pije!

Uderzyło ją, że wszyscy zawsze wiedzieli, że Milton jest mięczakiem, a jednak się spodziewali... że ona. Dlaczego tak myśleli? Jasne, że dobrze się razem bawili, ale to dlatego, że byli dziećmi, dzieci się po prostu bawią. A teraz ona jest dorosła. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Dlaczego miałyby dostać tego gorszego?

Ale nie dostała. Dostała Arvida. Który rozprawia o polityce. Który wie różne rzeczy i chce się dalej uczyć. Wspinąć się coraz wyżej w obrębie zakładu, Sofio. W dodatku mieszka w Sandviken. Tam krajobraz jest bardziej płaski; słyszała, że im bardziej otwarta jest przestrzeń, na której się mieszka, tym swobodniejsze ma się myśli. Spojrzenie nie musi odbijać się od przeszkód. Odbijać się i wracać. Może ona ma już dość góry. Norrby. Järbo. Nigdy przedtem tak nie myślała, ale dzisiaj tak. Kiedy ma ładną fryzurę i na sobie żółtą jak słońce bluzkę, niebieską spódnicę i swój najlepszy sweter, czerwony, zarzucony na ramiona. Ma odwagę spoglądać na Arvida, ma odwagę dostrzegać, że on ma w sobie mnóstwo rzeczy, które można kochać.

A co takiego ona ma w sobie?

Potem Arvid miał opowiadać, że zakochał się w niej, kiedy zobaczył ją na trasie slalomu, będzie mówił to w czasie przeszłym: Wyglądałaś na nieustraszoną.

Ale U Ulli, w Järbo, pewnej niedzieli w połowie sierpnia bierze ją za rękę; wręcz wyciąga ją spod blatu stolika. Sofia zastanawia się przez chwilę, o co mu może chodzić.

Ale wojna, jeśli nawet przyjdzie, nic nam nie zrobi, mówi Arvid i uśmiecha się szeroko, jakby chciał połączyć całą salę.

A Żydom?, chce zapytać Sofia.

I chce jeszcze dodać: A Miltonowi?

Ale jest za bardzo zajęta próbą uwolnienia się albo pozostania w tamtej dłoni, sama nie wie czym.

Emilia i krawiec

Jego ręce na jej ciele. Przyciska ją do półek w magazynie. Dziewczyna kaszle. Tkaniny są zakurzone. Przytłumione kolory. Miała przynieść podszewkę do rękawa, a on poszedł za nią. Wcześniej pojawiały się aluzje. Teraz to się dzieje. Przedtem mógł się uśmiechać i powiedzieć na przykład coś o jej sweterku, że ładnie leży, czy może dotknąć, bo przecież interesuje się materiałami. Nie, odparła, mogę panu powiedzieć, że to jest wełna. Ona też się uśmiechnęła: Angora. Jego zdaniem coś między nimi było. Przecież sama do niego przyszła, siedziała w jego pracowni, załatwiała sprawy, odbierała telefony; można było się domyślać ciała pod jej workowatymi (oprócz białego sweterka) ubraniami, można było dostrzec zarys piersi, a on mógłby... chociaż nie, on nie jest taki... ale może ona tego chce, ona jest przecież – domyślił się tego – samotna, choć już nie taka najmłodsza. Więc kiedy ona się uśmiecha i porusza w ten sposób – tuż przed jego nosem – i ma tylko pójść po belę podszewki, która może okazać się ciężka, to jemu przychodzi do głowy, że powinien jej pomóc, a że w magazynie jest ciasno, to już nie jego wina, że jego ciało przyciska się do jej tyłka... Kiedy ma jej pomóc zdjąć z półki belę podszewki (wąskie paseczki, niebieskie i czarne, na białym tle), jego dłonie muszą dotykać jej dłoni, które trzymają belę, a kiedy dziewczyna po chwili się odwraca, uśmiecha się, naprawdę, rozciąga usta w uśmiechu i pokasłuje, on przyciska się do niej. Chce tylko krótko dotknąć jej piersi, chce tylko sprawdzić, czy ma piersi... nie, chce tylko sprawdzić, co to za materiał, wcale nie jest pewien, że to angora, może to nawet nie jest wełna, przecież on jest ekspertem od materiałów i jakości, ale nagle ona wydaje głośny krzyk – Zostaw mnie w spokoju! – ma czerwone plamy na policzkach, a potem wciska mu belę zakurzonego materiału, odpycha go i wybiega.

Emilia wybiega z zakładu krawieckiego, pędzi w dół pagórka, skręca na drogę. Na prawym policzku czerwień rozchodzi się aż do ucha, na drugim do czoła, nieregularnymi pulsującymi plamami.

Nagle sobie przypomina – rower! Rower został na górze! Ta, niemal jak zdrada, zostawić go tam u krawca, żeby tamten mógł z nim robić, co zechce, kiedy wyjdzie, może będzie w nim grzebał, może go kopnie, zarechocze, bo domyśli się, że dziewczyna się pośpieszyła... W jej kroki wkrada się wahanie. Co mama na to powie? Jakież to głupie, tak uciekać jak mała dziewczynka. Mogła go przecież tylko lekko odepchnąć, tak, żeby zaznaczyć, a potem... zostać. Mogłaby chyba... Mój Boże, przecież on nie jest groźny, nigdy by nie... Chyba by tego nie zrobił? I jeszcze ten rower! Niech to diabli. Stoi tam sobie i smuci się, że ona go zostawiła.

Emilia idzie wzdłuż szosy, ma jeszcze przed sobą kawał drogi do przejścia, kiedy zielony samochód zjeżdża na pobocze i się zatrzymuje; najpierw boi się, że to może krawiec, więc przyśpiesza kroku i wtedy słyszy głos Ottona. Opuścił szybę, siedzi w środku z kimś, kogo Emilia nie zna. Tamten jest trochę starszy, ma zabawne czarne wąsy. Marynarka w paski, jak miętowy cukierek. To wygląda jak sen. Otto promienieje radością.

Wreszcie się zaczyna, mówi. Wyobraź sobie, będę w cyrku, tournée i wszystko.

Czy to prawda?

Śmieją się razem, Otto proponuje, żeby wsiadła. Hernandez zawiezie cię do domu. Hernandez, myśli Emilia. To jest sen. Potem Otto poważnie, choć nadal pełen jest chichotu, przygody i szczęścia, pyta, co ona tu robi na drodze. Więc Emilia nie może powiedzieć nic innego, jak tylko, że rower został u krawca, nie czuje się całkiem zdrowa, dlatego poszła, zmyśla na poczekaniu. I całkiem roztargniona, śmieje się Otto. Bo już nie może utrzymać tej radości w środku. Inaczej pięknie, jak balon! Daje jej kuksańca.

Siostrzyczko, mówi, ty zawsze byłaś trochę dziwna.

Jadą z powrotem do krawca, Emilia drży, ale to Hernandez idzie po rower i wkłada go na tył samochodu; to jest sen, w którym twarz krawca ukazuje się w oknie, tak głupio wygląda z miną wyrażającą zaskoczenie; Hernandez ze swoimi czarnymi kręconymi wąsami macha do niego ręką, a krawiec z głupią miną odpowiada tym samym.

W Ovansjö rozbił swój namiot cyrk, Emilia wyobraża sobie światła pod kopułą, migające czerwono i niebiesko, widzi paradę tańczących kucyków, meksykański numer z kowbojami. Otto wystąpi jako Dalarnieńczyk, bo to, jak mówi, doda programowi egzotyki: Młodzieniec z Dalarny Otto Stone w śmiałych powietrznych akrobacjach. Wciągną go wysoko pod kopułę namiotu, gdzie z nakredowanymi dłońmi będzie wykonywał sztuki na wiszących kołach. Potem przychodzą inni skoczkowie i światowej sławy mistrzyni balansowania na linie Miss Manuela (właściwie nazywa się Ingeborg i ufarbowała sobie włosy na kruczoczarny kolor, opowiada Otto). Następnie wystąpi duński nadworny iluzjonista Fantastischer Friedrich i rodzina klaunów Family Fun, po której zaprezentuje się gwiazda Cyrku Belamyr – tygrys bengalski, Hernandez jest zręcznym treserem, a program zakończy marsz. Jutro wieczorem będzie przedstawienie, potem pojedą dalej do Norwegii i Danii.

Wspaniale, mówi Emilia. Ale co na to powie mama?

A co ona może powiedzieć? Niedługo skończę szesnaście lat, po prostu muszę to zrobić, chyba rozumiesz.

Zostawiają ją przy ogrodzeniu i jadą dalej. Powoli ciągnie rower w stronę domu, Silver wychodzi jej na spotkanie, szczeka radośnie. Kiedy samochód Hernandeza jest już niewidoczny i kurz zdążył opaść, Emilia wchodzi do domu. Czuje całkowitą pustkę w piersi, przedtem była tam jeszcze burza, tak jest lepiej, inaczej trudno zobaczyć cokolwiek wyraźnie, w pustce widzi krawca i siebie, są jak blade nieruchome obrazy, żadnych ostrych krawędzi, byłoby lepiej, gdyby coś uwierało. Teraz ma wrażenie, jakby to się jej nie zdarzyło. Próbuje zanucić coś, ale z jej ust wydobywają się jakieś niepewne dźwięki, melodia, którą rozpoznaje i której nie rozpoznaje.

A jeśli on stał w oknie i patrzył, jak zbiega w dół zboczem, jak o mało co się nie przewraca, w szerokim płaszczu, rozpiętym i powiewającym jak skrzydła?

Wszystkie kuchenne przedmioty pchają się na nią, brak mamy sprawia, że stają się nieprzyjazne i namacalne; rondle, butelki z mlekiem, sito i chochle, stojak z nożami, nosidło do drewna, miech, nawet duży emaliowany garnek w spokojnym śmietankowym kolorze z zielonym brzegiem, który jest bratem zarówno wiaderka na wodę, łyżki cedzakowej, półmiska na śledzie, jak i nocnika pod łóżkiem na górze. Wszystkie te przedmioty, wszystko to, czego matka dotyka, czym tak sprawnie się posługuje, bez niej jest nagle takie samotne i oskarżycielskie, że Emilia musi zawołać: Mamo? Musi zawołać jeszcze raz: Mamo? Znajduje ją dopiero w sypialni.

Ciii!, mówi Aina. Ojciec śpi.

Kiedy podnosi twarz, Emilia widzi, że pod jednym okiem ma wyraźnie odcinającą się czerwoną plamę.

Wcześniej wróciłam – Emilia przygotowała sobie wyjaśnienie – bo krawiec miał coś do załatwienia i musiał zamknąć. Ale mama nie pyta, tylko prosi, żeby zajęła się jedzeniem, Emilia wraca więc do kuchni. Musi wziąć patelnię i drewnianą chochlę, i oczywiście nóż. Nie ma nic.

Arvid i babka

Niektórzy uśmiechają się złośliwie, kiedy Svarten śpiewa; uważają, że nie umie śpiewać, ale to dlatego, że on się tak angażuje i śpiewa z patosem, a jeśli czegoś jest za dużo, ludzie od razu myślą, że to jest brzydkie.

Ze swoich schodków widzi Sofię, córkę Steenów, i tego tam Arvida Roslunda, jak idą na górę wczesnym rankiem w niedzielę. Svarten pije swoją poranną kawę z talerzyka. Z kropelką gorzałki. Nikt nie musi tego wiedzieć. Zresztą jakie to ma znaczenie, jeśli wiedzą. Svarten gapi się na Arvida Roslunda. Coś z nim jest nie tak. Coś jest w tym szerokim uśmiechu. Nie żeby coś ukrywał, Ale... E tam, niech go diabli. „Mamy ogień, mamy mięso i wódkę pocieszycielkę. Tu jest święto, głęboko w leśnej głuszy”, śpiewa dalej i kiwa wielkimi brudnymi paluchami u stóp; nie przejmuje się specjalnie kimś takim jak Arvid Roslund. A kobietom wystarczają tacy, jacy są pod ręką, one chcą takich, swoją drogą u facetów jest nie inaczej, tylko że faceci nie potrzebują kobiet w ten sam sposób.

Lubię babkę, mówi Arvid.

Lubię babkę... i lubię ciebie.

Lubię cię, Sofio Steen, i myślę, że powinniśmy się pobrać.

I kiedy się pobierzemy, chcę każdego dnia dostawać babkę.

Jest popołudnie, ostatni dzień sierpnia 1939 roku i można by pomyśleć, że Arvid jest pijany, ale oczywiście nie jest, ma na głowie beżową czapkę z daszkiem i śmieje się swoim wielkim śmiechem, a Sofia nie wie, czy on czasem nie żartuje, z Arvidem trudno zgadnąć, ten wielki śmiech trochę zaśłania.

Zbierali jagody od wczesnego ranka. To był pomysł Arvida, ale nie przykładał się do tego, za to ona poważnie zajęła się zbieraniem; on siedzi na kamieniu i patrzy na nią, a może śledzi jej ruchy, zgięła plecy, są obolałe, chciała się ukryć.

Tak myślę, Sofio. Powinniśmy się pobrać. Nie uważasz?

Byli przy źródelku, pokazała mu też legowisko niedźwiedzia. Kamieniołomy Nordkvista i wrzosowisko.

No... tak, mówi z ociąganiem Sofia, bo ciągle nie jest pewna, ale kiedy on przykuca obok niej i zaczyna opowiadać o domu, w którym mieszka razem ze swoją matką na Björkgatan w centrum Sandviken, wtedy dociera do niej, że on nie żartuje, i nie ma w tym nic szczególnego, wcale nie czuje się, jakby z zawrotami głowy stała nad przepaścią ani jakby weszła do wnętrza góry i nie umiała wyjść. Nagle Arvid jest tak oczywisty, jak kiedyś był Milton.

Ależ tak, jasne, mówi Sofia. Koszyk jest pełny. Arvid ma niebieskie zęby, kiedy się do niej śmieje.

Dobrze, mówi. To znaczy, że postanowione.

Sofia pamięta, że kiedyś jedna z ich krów wpadła do pieczary Hillberga, opowiada o tym. Trudno jej dojść do samego upadku, a kiedy już tam jest, opowieść wypada bardzo skromnie. Ojej, mówi Arvid, spodziewałem się czegoś więcej. Oczywiście mogłaby opowiedzieć, jak potem wydostali krowę, ale nawet nie pamięta, czy im się udało.

Gdyby mogli stać tu dłużej i patrzeć na siebie, ona i Arvid, a on w tym czasie mógł trzymać jej dłoń. Ale tego nie robi, więc Sofia szybko rusza z boczem w dół.

Weźmiemy ślub.

Wychodzę za mąż, Karin. Ja też.

Prawie nie może się doczekać, kiedy będzie mogła to powiedzieć. Gdy mijają dom Edwina i Sofia widzi, że białe róże zaczynają rozkwitać, zmienia zdanie. Nie pobiegnie do Karin, żeby jej wszystko opowiedzieć. Zachowa tę wiadomość w brzuchu jak tajemnicę, pozwoli jej wolno rosnąć, aż nie będzie jej można ukryć.

Dziecko

Nowy dom zaczyna się budować na fundamentach między domami Svartena i Perty, ale oddalony dobry kawałek od obu. Ktoś nowy niedługo się tu wprowadzi, może cała rodzina, Norrby znów się zmieni. Z każdym człowiekiem, który wyjeżdża albo osiedla się w Norrby następuje zmiana w krajobrazie. Wystarczy cytrynowożółte kimono, żeby wszystko się wywróciło. Jak to wszystko? Czy ktoś widział, jak się wywracało? Ale nawet jeśli nie upada w sposób widoczny, to jednak ten jeden mały odcień zakłóca, zmienia całe otoczenie. Na dłuższą metę to będzie bardziej widoczne, niż jest teraz.

Trzynastoletni Max całuje Karin po raz pierwszy w życiu. To wszystko, co się potem zdarzy. Stąd na cztery miesiące przed ślubem w brzuchu Karin bierze się dziecko. A ona je nosi, jakby nie znaczyło nic albo wszystko.

Wszystko, ponieważ to wydaje się takie niesamowite, niemożliwe. A nic, bo wie, zresztą sama sobie to powtarza, że to nic szczególnego.

Max zauważa największą przemianę, bo nagle spojrzenie Karin zaczęło się zwracać do wewnątrz, do niewidocznego dziecka. Kiedy się śmieje, to nie jest wcale pewne, że śmieje się do niego. Zaczął pracę w fabryce cementu i rano pierwszego września jest właśnie tam, kiedy w ciele Karin zaczynają się bóle, w domu na Oppsattarvagen, gdzie nie mieszkali jeszcze nawet miesiąca. Jeszcze nie czują się tu u siebie, to też jest nowe i obce; Max w nocy przytula się do niej, ale przeszkadza mu brzuch, zresztą już od dawna.

Jak będzie, kiedy wyjdzie to, co jest w środku?

Jest wczesne przedpołudnie, Karin wzywa Fridę Lundström, położną, która mieszka naprzeciwko kościoła. Nie, Karin nie chce, żeby Frida poszła po Maksa. Nie wie, na co mógłby się teraz przydać.

Krótko po dwunastej dziecko przychodzi na świat, już kilka godzin później Frida stwierdza, że nie wszystko jest tak, jak powinno.

Nowo narodzona dziewczynka leży przy piersi Karin, a w ciele matki szybko rośnie gorączka. Chce się cieszyć córeczką, ale nie zdąży. Dziewczynka jest zdrowa i głodna, ale ciało Karin jest chore, zatrulo się samo, jak próbuje tłumaczyć Frida Lundström. To nie jest wina dziecka ani też Karin. Mam w takim razie sprowadzić twojego męża? Nie, mówi Karin zdecydowanie. Zamiast tego Frida posyła po doktora Nordena. Przychodzi natychmiast, bada, spuszcza wzrok, zniża głos: To może pójść bardzo szybko, mówi. Dziecko zostaje ułożone w koszyku przy łóżku, choć Karin chciałaby je trzymać w objęciach. Nie rozumie, po co ma odpoczywać, jeśli i tak umrze. Teraz sprowadzę Maksa, mówi doktor Norden. Ale nikogo innego, prosi Karin. Nie chcę, żeby ludzie tu przychodzili. Lekarz kiwa głową, nadal ma spojrzenie utkwione w podłogę. Frida też ma iść, mówi Karin, a Frida Lundström prawie płacze – jest stara i wiele widziała i choć nie zna Karin Andersson zbyt dobrze, nigdy chyba nie spotkała nikogo tak radosnego i jasnego jak ona; ten jej śmiech brzmi jak najpiękniejszy śpiew. I choć Frida prawie nie spotykała Karin Andersson, tego śmiechu będzie jej brakowało.

Kiedy Frida i doktor wyszli, Karin zaczyna list.

Kochana Sofio, zaczyna. Moja Kochana Sofio.

Potem pióro zatrzymuje się na chwilę.

Dziecko się urodziło, ale ja jestem chora i chyba nie...

Czy ona to pisze?

...przeżyję tej nocy. A na pewno nie dożyję następnej.

Właściwie chciała opowiedzieć bajkę. Była sobie raz śnieżna księżniczka. Ale to nie będzie pasowało. Zresztą to najczęściej Sofia wymyśla bajki, Karin tylko umie je dobrze opowiadać; rzeczywistość jest trudniejsza do opowiedzenia, najlepiej niczego nie komplikować. Pisze więc jak jest, list wychodzi krótki. Dziecko jest czerwone i pomarszczone i śpi głęboko. Nie zdąży nawet zacząć jej kochać. Kiedy zamierza spróbować, Max staje między nimi. Kładzie się obok niej na łóżku, nic nie mówi. Podnosi list, unosi jej głowę, jej poduszkę. Uklepuje ją. Odwraca ją. Jego oczy są błyszczące i szeroko otwarte. Nawet nie spojrzął na dziecko. Patrzy tylko na Karin, na każdy jej centymetr. Ale nie dotyka. Tylko leży tuż obok i patrzy.

Ja tego nie zniosę, mówi. Wiesz o tym.

Ona nie odpowiada tak, jak powinna. Ależ tak, Maksie Anderssonie, na pewno jakoś to zniesiesz. A jemu nie przychodzi do głowy nic więcej, co mógłby powiedzieć. Wszystko już powiedział, ale wtedy to jakby nic nie znaczyło. Dlatego teraz jest tylko spojrzeniem.

W tej chwili ona żyje, jego Karin. W tej chwili leży obok, uśmiecha się, bierze jego dłoń i kładzie na swoim ciele. W tej chwili jej spojrzenie wpatruje się w jego oczy. Skóra pod jego dłonią jest ciepła. W tej chwili są razem.

Potem dziecko zaczyna płakać, a on klnie.

To nie jest jej wina, mówi Karin.

Przymyka oczy; Max chciałby otworzyć jej powieki, nie może tego znieść. Ma wrażenie, że minęło sto lat, odkąd pocałował ją pierwszy raz, to było nad jeziorem Harnen, nie planował tego, ale ona nie była zaskoczona. Śmiała się. Też chciał się roześmiać, ale skronie mu pulsowały, pamięta, jakby to było wczoraj. Dziecko płacze coraz głośniejsze, Karin wykonuje dłonią gest, jakby chciała powiedzieć: Weź ją na ręce, ale on uparczywie wpatruje się w zamknięte powieki Karin.

Bez Karin

Prosto w jesień wybiega Max, jest jeszcze zielono, a jednak zimno. Tak niedawno było lato, a teraz zamarza na śmierć. Ma na sobie cienką koszulę i robocze spodnie. Serce bije tak szybko, że równie dobrze mogłoby być nieruchome. Lód wślizguje się do jego ciała, zamienia w kamień – najpierw serce, potem cała reszta: śledziona, nerki, płuca. Gdyby ktoś go zobaczył, mógłby powiedzieć: Patrzcie no, przecież to Max. Biega po lesie o tej porze, ciągle w roboczym ubraniu. To jest Max Andersson, mówiliby. Zdumieni. Ale to nie było przywidzenie.

To jest Max!

Ludzie są tacy mędrkowaci i zarozumiali. Tak mało mają w sobie baśni i szaleństwa. Bo gdyby tylko przyjrzeni się lepiej, zobaczyliby szron i szreń, usłyszeliby chrzęst, kiedy stopa Maksa staje na lodowej powłoce, zobaczyliby kolce lodu wiszące na drzewach; kryształki lodu migoczące okrutną bielą. Wszystko jest twarde i białe, a nie, jak jeszcze niedawno, zielone z plamami złota i miedzi. Nie byłoby takiego kontrastu, może wtedy by pojęli.

Jak oni mogliby to pojąć?

Jeśli ciebie nie będzie, ja też przestanę żyć.

Na pewno, śmiała się z niego, na pewno przestaniesz.

Tyle razy upominała go, żeby opanowywał swoje uczucia. A raz – Max dobrze to pamięta – syknął w odpowiedzi: No przecież nie odbiorę sobie życia, ale i tak przestanę istnieć.

A to jest gorsze.

Ale ludzie tego nie rozumieją. Myślą, że śmierć jest najgorsza. Umrzeć. To takie niemądre. Umrzeć to przecież nic w porównaniu z tym, że trzeba żyć dalej.

Max biegnie i płacze, i nie czuje, że płacze.

Płacz, mówiła. Ale tak, żeby maleńka nie widziała, żeby się nie przestraszyła.

Co mnie obchodzi maleńka!, chciał krzyknąć. Ta absolutnie ostatnia chwila. Ona przecież należała do nich.

Teraz odchodzisz.

Teraz już nigdy nie wrócisz.

To po raz ostatni cię widzę.

To po raz ostatni mnie widzisz.

To po raz ostatni mnie widać.

Nie widać go, Maksa. Ale biegnie.

Nie ma żadnej innej drogi, tylko bieg tutaj i jeszcze dalej. Jak najdalej od łóżka, gdzie ona leży. Jak najdalej od jej zgasłych oczu. Jak najdalej od dziecka, które tylko krzyczy i krzyczy. Ale jaki to mały krzyk w porównaniu z jego. Jej krzyk jest niedorzeczny. Jestem głodna – to jedyne znaczenie tego krzyku. Chcę jeść. Chcę przeżyć.

To nazbyt śmiały krzyk. Rozpieszczony.

Biegnie przez las, w stronę Jädraån czy Ockelbo, to nie ma znaczenia.

Będę biegł bez przerwy, dopóki nie wrócisz.

O mało nie przewraca się na korzeniu. Łapie równowagę, biegnie dalej.

Byłoby lepiej, gdyby się nie kochali tak bardzo, nie byli tacy szczęśliwi. Wtedy Max nie musiałby biec. Wtedy zostałby w domu i trzymał ją za rękę, i patrzył na nią, dziękował za wspólny czas. Wzięłyby na ręce dziecko. Powiedziałyby: Już dobrze, już dobrze. Pogłaskałyby je po plecach. Potem poszedłby do sąsiedniego domu, do Mai i Johannesesa Fridlundów, i opowiedziałyby, co się wydarzyło. Karin nie żyje, potrzebuję pomocy. A Maja szybko wzięłaby dziecko z jego rąk, już ona wiedziałaby, co trzeba zrobić.

Biedne maleństwo, powiedziałyby.

A Johannes objąłby Maksa ramieniem.

Teraz powinienes się czegoś napić.

Wszystko to mogłoby się wydarzyć, jakby był jakiś porządek, jakby wszyscy znali właściwą kolejność: czas na pociechę, czas na dalsze istnienie.

Słyszałby, jak jego córeczka cichnie w sąsiednim pokoju, wzięłyby kieliszek z wódką, szybko wlał do gardła, poczuł ciepło, spojrział Johannesowi w oczy i podziękował.

Kiedy widzi te obrazy, wydaje mu się, że to nie on tam siedzi. To niemożliwe, żeby mógł tam być. Siedzieć, pić, patrzeć. Max biegnie. Max nie zamierza przestać biec, póki Karin nie wróci. Dopiero wtedy się zatrzyma, pobiegnie z powrotem, weźmie dziecko na ręce i poda Karin, uśmiechnie się do niej, do dziecka – do tej nieskończonej miłości. To jedyny możliwy obraz. On i Karin. Jeśli z obrazu zabrać Karin, obraz przestaje istnieć.

W domu, od którego ucieka, leży zmarła kobieta i krzyczące dziecko. Kiedyś zmęczy się tak bardzo, że przestanie biec dalej. Kiedyś upadnie albo potknie się na korzeniu, kamieniu, i nie odzyska równowagi. Potem wstanie. Powoli pójdzie z powrotem. Nakryje ją kocem. Weźmie na ręce dziecko. Już dobrze, już dobrze. Powoli pójdzie do sąsiedniej zagrody z krzyczącym dzieckiem. Powie: Już jej nie ma. Poda dziecko Mai Fridlund. Poczucie ramienia Johanna na swoich plecach, poczuje, jak wódka płynie mu przez gardło. Usłyszy, jak dziecko wreszcie cichnie.

II

Björkgatan i okolice

1944

Z jakiegoś powodu to musi się zacząć od Milтона.

Nie, Sofio, nie musi. A jednak zacznij się od Milтона. Zacznij się właśnie tak:

Pamięta pani Milтона Anderssona, wie pani, co się właściwie z nim stało?

To panna Illroth, właśnie umarła jej stryjenka, siedzi na krześle i wykręca swoje drobne urękawicznione dłonie na kolanach, ale nie chce rozmawiać o kwiatach. Niech pani zrobi, jak pani uważa, droga pani Roslund. Mojej stryjence było wszystko jedno, niczym się nie przejmowała... Niech pani robi, jak pani uważa, żebym tylko mogła pogadać o rzeczach, które mnie nie dotyczą.

Och, Sofia nienawidzi plotek, ale sprawa Milтона... Wiedziała, że się znali, brat panny Illroth i Milton Andersson. Słucha, choć właściwie wcale tego nie chce.

Mówią, że odebrał sobie życie, tak mówią – a teraz jeszcze, że został wypchnięty... zamordowany... Czy słyszała pani coś tak okropnego? Pani Roslund? Jak bledo pani wygląda.

Sofia biegnie za kotarę, zatrząskuje drzwi ubikacji, słyszy wołanie panny Illroth: Droga pani Roslund? Droga pani Roslund? Sofia myśli, że to brzmi jak nawoływanie ptaka. A potem wymiotuje.

Czy to musiało się zacząć od Milтона Anderssona?

Kiedy młodości minęły Sofia wraca i chce, żeby panna Illroth się uśmiechnęła, żeby się czegoś domyślała, zadała pytanie, ale ona ma poważną minę, zdjęła rękawiczki, przecież to maj, choć nie jest – zwłaszcza dzisiaj – aż tak ciepło; wygląda, jakby zapomniała to, co słyszała, albo nawet to, że wołała jak ptak. Dalej myśli o Miltonie. Może ona była w nim zakochana?, zastanawia się Sofia. Jest w tym lekka drwina. Britta Illroth powinna być zamężna w tym wieku. Z niektórymi tak już jest, ona wcale nie wygląda najgorzej – jest zgrabna, włosy popielato-blond ułożone w nienaganne loki.

Może pani sobie wyobrazić, mówi. To są najnowsze wiadomości. Takie rzeczy ludzie mówią. Choć Bóg jeden wie, jak można to udowodnić, przecież minęło już tyle lat.

Potrząsa głową. Tak, tak bym powiedziała. Biedna rodzina.

Sofia starannie obmyła twarz. Wie, że nie ma się czego wstydzić. Ale nie może normalnie słuchać, kiedy coś się jej wywraca w brzuchu albo jakby trochę wyżej, czuje to coraz bliżej gardła.

To okropne, mówi, a kiedy to powiedziała, myśli, że tak się to powinno odczuwać, chyba ona to czuje, tylko w tej chwili po prostu za bardzo ją mdli.

Ale nikt nie wie nic konkretnego, ciągnie panna Illroth. A policja oczywiście nie zajmie się znów tą sprawą. Wszyscy sądzą, że najlepiej zostawić to w spokoju.

I chyba słusznie, mówi Sofia. Jednocześnie dociera do niej, że sama tak uważa, to było dawno temu, zresztą dlaczego ktoś miałby?... Postanawia, że będzie myślała o tej sprawie dokładnie tak, jak się powinno o niej myśleć: jako o plotce. Czymś nie wartym, żeby się przejmować.

Czy tulipany mogą być?, proponuje zrezygnowana.

Panna Illroth kiwa głową. Sofia mogłaby zapytać o cokolwiek. Jaki był powód? Dlaczego ktoś miałby chcieć zamordować Milтона?, myśli.

Woli żółte czy białe?

Panna Illroth kręci głową, niemal bezradnie, więc Sofia decyduje, że weźmie te i te.

Właśnie. Jednak musi zacząć się od Milтона.

Milтона Anderssona, o którym mówią, że odebrał sobie życie w 1941 roku, kiedy wzięli go do wojska.

Dlaczego miałby chcieć odebrać sobie życie? Jaki był powód?

Nikt nawet nie wpadł na to, żeby zadać takie pytanie.

Kiedy wieść się rozeszła, w domu Anderssonów, rodziców, tylko zaciągnięto zasłony. Co robił Max, brat, nikt nie był w stanie sobie wyobrazić.

Najpierw Karin, żona. Potem Milton, brat.

Ale ludzie nie zastanawiali się dlaczego. Przynajmniej głośno. W swoim czasie wszystkiego się dowiedzą.

I się dowiedzieli. Aż za dobrze.

ZAPRASZAMY DO HOTELU DOLORES! SZCZEGÓLNIE GORĄCO ZAPRASZAMY DO RESTAURACJI POMPADOUR!

Kiedyś, marzy sobie Max Andersson, drzewa przed wejściem będą miały srebrne dekoracje. Ale w samym środku wojny nie można oczywiście żywić takich nadziei.

Srebro na drzewach, Maksie Anderssonie, żebyś tylko potem nie powiedział, że to są brzozy.

To nie są brzozy. Absolutnie nie.

Przeszłość nie wisi nade mną, Mildred, jak ciężkie ciemne gałęzie.

Często to powtarza. Mówi też dzisiaj wieczorem. Ale formułuje to tak: człowiek ma tylko jedno życie, a Bóg wie, że życie może być krótkie, życie może też nie mieć sensu, ale nie moje życie i na pewno nie dziś wieczorem.

Nie, nie mówi do Mildred nic takiego. Mówi to do Tiiny, mąż Finki, która jest w kuchni ze swoją przybraną mamą Kerstin. W odpowiedzi Tiina kiwa poufale głową. Jest tak inna od jego ponurej, ciągle naburmuszonej córki.

Mildred też pracowała w restauracji, była kelnerką, ale gdy się pobrali, skończyła pracę, a zaraz potem pojawił się Robert, ma zaledwie dwa lata, ale już widać wyraźnie, że... jest coś... coś jest nie tak z jego słuchem.

On jest głuchy, Maksie.

Wcale nie jest, tylko trochę słabo słyszy – jak zwykle tłumaczy Tiinie – nie, on po prostu wybiera to, co chce usłyszeć.

Nieprawdaż, Tiino, mam rację?

Wtedy ona przechyla lekko głowę i unosi ramiona, równocześnie, i uśmiecha się szeroko.

Nie jak ta ponura Lillemor, ona nawet nie starałaby się spojrzeć mu w oczy. Czasami Max naprawdę rozumie Mildred. Czasami gładzi Mildred po błyszczącej koszuli nocnej i próbuje pocieszyć.

Czas szybko zlatuje, mówi zwykle. Nie przejmuj się tą małą. Ona wcale nie ma złych zamiarów.

Właściwie i jedno, i drugie to kłamstwo. 1. Czas wcale nie zlatuje szybko. Przynajmniej nie tak szybko, żeby przeszłość mogła oderwać się od ziemi jak samolot i zniknąć gdzieś za chmurami. 2. Dziewczynka ma złe zamiary. Zaczął to podejrzewać. A właściwie wiedział to chyba przez cały czas.

Za mniej niż godzinę stanie w holu i wpuści pierwszych gości. Zagra hotelowa orkiestra w niebieskich aksamitnych marynarkach i srebrnych krawatach. Do tego czasu jest jeszcze tyle do zrobienia. Max Andersson krąży po całym lokalu. Ktoś powinien mu powiedzieć, że nic się samo nie zrobi od tego, że biega z miejsca na miejsce, ale Max nie może się zatrzymać. Nawet w nocy. Koszula Mildred jest tak samo gładka każdej nocy, on ślizga się po niej, niepokieszony, wciska usta w jej kręcone włosy. Zaciska palce tak mocno, żeby poczuć skórę, żeby się czegoś uchwycić, ale nawet skóra jest śliska, dłonie nie znajdują oparcia; wciska się w nią cały, choć ona mówi, że nie chce, ale jak on mógłby inaczej... Nie czuje w sobie spokoju. Dni są jak fale. Ogromne. On tonie, Mildred, pomóżże mu wreszcie! Więc ona mu pozwala, z westchnieniem. Czuje się taki mały. Czuje się niezwykły. Lillemor schodzi rano do kuchni, a on nie ma siły patrzeć na to, jaka jest niedobra i zepsuta. Ktoś oddał za ciebie życie, Lillemor Andersson.

Pomyśl tylko, mówi do Tiiny, jakie niewdzięczne jest to moje dziecko. Ona nic nie wie o życiu, nie tak jak ty, Tiino.

Tiina stoi jak przyrośnięta do lśniącego zlewu i chłonie wszystkie jego słowa. Lillemor tylko przechodzi obok. Nigdy nie wyciągnęła do niego rąk. Wyciągała je długo do Mai Fridlund, sąsiadki w Järbo, musieli odginać jej małe paluszki, kiedy przeprowadzali się do Mildred do Sandviken.

To było trzy lata temu.

Zostało jeszcze niecałe czterdzieści pięć minut.

Tutaj możecie karmić się jazzem, możecie tańczyć swinga, tu zapomnicie o ciemności, o ciężkich czasach. Życie jest za krótkie, żeby marnować je na smutki, czas za szybko ucieka, żebyśmy mieli płakać, złościć się czy rozpamiętywać.

Jest daleko od Norrby, lasu i góry. Daleko od Karin. Jest w nim tyle wiatru, robi się przeciąg, drzwi i okna trzaskają przez cały czas, otwierają się, zamykają, wybiega przez drzwi, pędzi przez las, las jest nieskończony, ale Lillemor płacze, więc zawraca, musi, choć to niemożliwe... Słyszy ją przez otwarte okno. W głowie ma to samo okno, z którego Milton kilka lat później... Obrazy mieszają się w nim. Czasem twarz Karin staje się twarzą Milтона i na odwrót. Ale on nie dociera dalej niż do okna, w którym stoi Milton i patrzy. Samego upadku nie zdąży zobaczyć. To nie ma znaczenia, czy został wypchnięty, czy wyskoczył sam. Max i tak widzi tylko okno. Nie widzi niczego między oknem i drzwiami; nic oprócz wiatru. Za trzydzieści minut stanie przy wejściu – buty wyglansowane, garnitur (krawat i chusteczka) w żywym pomarańczowym kolorze. Francuskie tapety i wypastowane podłogi. Wyciąga wyprostowane ramiona, z dłońmi zwróconymi do nieba: ZAPRASZAMY DO HOTELU DOLORES! GORĄCO ZAPRASZAMY DO RESTAURACJI Z DANSINGIEM, KLUBU SWINGOWEGO, POMPADOUR.

Mildred Strid odziedziczyła pieniądze, dom i porośnięte sosnami wzgórze przy Klangvagen. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Okazało się, że ojciec od dawna dusił pieniądze. Ale nie po to, żeby córka miała dobrze w przyszłości, to on sam zamierzał wyprowadzić się za granicę... Gdyby nie wybuchła wojna. Zamierzał osiedlić się we Włoszech. Marzył o winnicy, do której sprowadzałyby kobiety, marzył o wielu kobietach co wieczór. Nie rozumiałby, co one mówią, i to byłoby najlepsze, ich ciała miały być złocistobrązowe, jak dobrze wypieczone pierniczki, włosy czarne i lśniące, wyjmowałyby szpilki z ich grzyw i rzał. A potem one kołysałyby się na jego przyrodzeniu aż do całkowitej błogości.

Nils Strid odłożył dużo pieniędzy. Jego żona niczego nie zauważyła. W pewien sposób była dobrą żoną. O nic nie pytała. Niczego nie wymagała. Po prostu była. Jak kamienna figura. Ale figura, która wzdrygała się, wzdychając, jakby życie było uwierającym ubraniem. Te wzdrygnięcia! Na wszystko! Zapach pasty do butów, kleju i wody Aqua Vera, której Nils Strid używał. Luźno leżące monety czy guziki na odkrytych powierzchniach albo – broń Boże! – w łazience czy w pobliżu jedzenia. Zdjęcia bardzo starych ludzi w jej tygodnikach. Większa część miasta wywoływała w niej dreszcze obrzydzenia, właściwie wszystko z wyjątkiem tulipanów przy Odenplanie wiosną, salonu okryć wierzchnich Hildy Kraak na Köpmangatan, kościelnego muru i samego kościoła na szczycie wzniesienia, który uparcie nazywała czerwonym, choć był w kolorze terakoty. Jernvallen uważała za obrzydliwą nowomodną budowlę, ale budynki gospodarcze też oczywiście były nie do przyjęcia – śmierdziały świniami. Miała problemy ze słowem „sanatorium” i „położnictwo”, tak samo nie znosiła prostych, lecz życzliwych sąsiadów, rodziny Roos, a zwłaszcza ich jamnika. Trzymanie zwierząt w mieszkaniu uznawała za obrzydliwe, przynajmniej co do tego się zgadzali; jeszcze gorzej było, kiedy zwierzę wypuszczano. Ponadto pan Roos z upodobaniem raczył się tytoniem do żucia i nawet nie zauważał, że okruchy tytoniu oblepiają jego bujne wąsy (które zresztą uchroniły go przed pylicą).

Jej włosy były nastroszone jak gniazdo sroki. Córka miała takie same. Ich włosy zupełnie nie pasowały do osobowości. W jego myślach były jednością, nie potrafił zobaczyć ich oddalonych od siebie więcej niż o dwadzieścia centymetrów, choćby nie wiadomo jak próbował je przestawiać. Nie widział nigdy córki w żadnej słodkiej, kwiecistej sukience. Miały podobne białe rękawiczki, które nigdy nie były zaplamione. Córka przynajmniej się śmiała, kiedy ją łaskotał, ale potem dostawała czkawki, krztusiła się, matka zaraz musiała otworzyć okno, a on marzył, że ma skrzydła i odfruwa w dal.

I właśnie to miał zrobić. Niech tylko skończy się wojna!

Córka pracowała jako kelnerka w tej okropnej restauracji z dansingiem na Hogbovagen. Ludzie wracali stamtąd spoceni i głośni. Choć on nie wzdrygał się na takie rzeczy jak jego żona. Jego pogarda była obojętna. Wiedział, dokąd zmierza. I nie miało to być drzewo na Forsbackavagen, nie tak to zaplanował.

Dom, w którym mieszkali, nie należał do szczególnie eleganckich, jedno z mieszkań podnajmował robotnik z huty żelaza; zwykły walcownik. Nils Strid był urzędnikiem; okłamywał swoją żonę, że zarabia mniej niż w rzeczywistości, brał od lokatora więcej, niż powinien, ale dopóki żadne z nich się nie skarżyło, nie przejmował się tym.

Uciulané korony chował pod kamieniami.

Ale i tak wszystko na nic, bo razem z żoną wjechał w drzewo, przy czym sam przynajmniej zginął na miejscu, jego żona zaś wyzionęła ducha dopiero wtedy, kiedy Mildred zdążyła wziąć ją za rękę w lazarecie w Gavle i szepnąć: Nie umieraj, mamó.

Następnego dnia w restauracji nie mogła powstrzymać się od płaczu; właściwie powinna wziąć wolne, ale bała się, że straci pieniądze, jeszcze nie wiedziała o spadku (a dom na Klangvagen, jak wiadomo, nie był niczym specjalnym). Kiedy z jej oczu spadła pierwsza łza, Max Andersson akurat przechodził obok (trzeba uczciwie powiedzieć, że nigdy wcześniej nie zwrócił na pannę Strid uwagi); kiedy spadła druga, zatrzymał się przed nią, skrępowany z powodu jej wymiętej twarzy, i chciał ją prosić, żeby przestała, natychmiast, to nie pasuje do tego miejsca. Przy trzeciej łzie chciał ją zwolnić ze skutkiem natychmiastowym, ale kiedy spadła czwarta i piąta, padła też Mildred, prosto w jego ramiona, i szlochając, z jednej strony prosiła o wybaczenie, z drugiej zaś powtarzała: Tamto drzewo, tamto cholerne drzewo, po co ono tam stało? To był pierwszy i ostatni raz, kiedy z jej ust padło przekleństwo.

Jeśli Max Andersson ma jakąś misję, a można chyba się zgodzić, że ma, to jest nią największe możliwe szczęście w możliwie najkrótszym czasie. To znaczy: Szczęście jak najszybciej.

Więc kiedy spadła dziewiąta łza, Max oświadczył się Mildred Strid. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

I rzeczywiście to odniosło pożądany skutek. Mildred przestała płakać. I to by właściwie wystarczyło. Ale Mildred, która od początku miała słabość do właściciela (jak wiele innych kobiet, które mają słabość do odnoszących sukcesy mężczyzn), wzdrygnęła się, oszołomiona, lecz był to dreszcz przyjemny, a potem powiedziała: Ależ tak. Chętnie.

I tak Max Andersson po raz drugi oświadczył się kobiecie. Tym razem wyglądało to inaczej, on był też innym człowiekiem.

Dawny Max Andersson był wiejskim prostakiem.

Obecny Max Andersson jest kimś, kto świetnie pasuje do dużego miasta (niektórzy nieco pobłażliwie nazywają go swingującym fircykiem, ale on uznaje to za komplement). Marzy o marynarce ze srebrnymi wyłogami. Z niesmakiem myśli o roboczych spodniach, koszulach z kołnierzykiem, męskich rękawicach z jednym palcem. Kiedy nie jest w restauracji, chodzi w piżamie ze spinkami i nie ma czasu poprawić pamięci, przypomnieć sobie, jak było, bo to wcale nie drugi raz się oświadczał, ale dwunasty albo dwudziesty drugi, gdyż najpierw jedenaście czy dwadzieścia jeden razy musiał oświadczać się Karin, zanim wreszcie powiedziała „tak”.

Pole mleczy

Czy miała na sobie tę jasnoniebieską muślinową sukienkę? Czy była w oborze u krów w swoim fartuchu w kwieciste paski? Czy on tam wszedł bez jej wiedzy, w samym środku jej jasnego, czystego śpiewu, i zatrzymał się, a jego serce pompowało krew, waliło, jakby chciało rozsadzić jego szeroki mostek? Może przyszedł w jakiejś innej sprawie, ale ta pieśń, ta sukienka... Więc rzucił się naprzód, przerwał jej akurat w tej części piosenki, którą ona i Róża, Gwiazda i Korona lubiły szczególnie.

Czy ścisnął ją za rękę?

Te przesadne gesty. Wszystkie te pisane bez tchu listy.

Czy nie mógł przynajmniej poczekać, aż skończy piosenkę?

Sofia kuca nad ustępem w piwnicy i myśli o śpiewie Karin; to okropna kombinacja.

To była napiętniejsza rzecz, jaką słyszałem, najdroższa Karin.

Czy to on tak powiedział, Max?

Nie, on tylko wyrzucił z siebie to zaskakujące, nieprzemyślane:

Czy chcesz za mnie wyjść, Karin?

Bo wtedy jeszcze nie było dziecka. Zresztą to i tak nie byłby szczególny powód dla Maksa. Dziecko. Czyż to nie jest niepojęte?

Po tym, co się stało z Karin, Sofia żyła jakby zapomniana gdzieś pomiędzy. Musieli z Arvidem przesunąć ślub. Mogli też łatwo wytłumaczyć się wybuchem wojny, żeby to nie była tylko jej wina. Poszła na praktykę do Kwietnego Domku Einarssona, miała tam pokoik nad sklepem; za piecem i malowanym w piękne wzory stolikiem do szycia pani Einarsson. Ale Arvid się nie buntował. Po prostu spotykali się dalej, a czas, ten zły czas, mijał, potem Arvid (który na Jenwallen ćwiczył strzelanie do celu z mauzera) został powołany do wojska, dostał przepustkę, znów go powołali. I wszyscy ludzie dokoła mówili to, co chciała usłyszeć: Przecież teraz nie możecie się pobrać! Nawet matka Arvida tak mówiła na początku. Kiedy w wojnie nastąpił przełom i powołania nie były już tak częste, kiedy zaczął naukę w szkole Hermodsa, kurs dla planistów, kiedy wyraźnie robił coś z myślą o przyszłości... czyż ona też nie powinna? (Bo dzierganie nakolanników dla Finów czy oszczędzanie strategicznych materiałów to jednak było za mało.)

Nie słyszała wtedy żadnej piosenki. Tuż przedtem było całkiem cicho. Powiedziała to na nartach, w biegu, mieli przed sobą ciężki fragment trasy, słońce przygrzewało i prawie nie posuwali się do przodu, kiedy Sofia rzuciła, że właściwie dlaczego nie mieliby się wkrótce pobrać.

Pasowałoby na Wielkanoc, powiedział od razu Arvid, jakby właśnie myślał o tym samym. A potem dalej zmagali się z trudną trasą.

Sofia w ustępie. Gdyby ktoś ją zobaczył... gdyby Barbara nagle stanęła za nią – choć nie można sobie wyobrazić Barbary nawet w pobliżu drewnianej ubikacji, nawet w pobliżu lśniącej czystej muszli klozetowej, a jednak to jest ustęp, do którego Barbara też zachodzi. Sofia wstaje, płucze ręce w zimnej wodzie za drzwiami, obchodzi wszystkie wazony i wiaderka w swojej pracowni florystycznej czuje się spokojna i lekka, i pełna możliwości. Jak biała kartka. Gdyby nie to, że coś jest jednak tak wyraźnie w niej zapisane.

Skończyła wieniec dla stryjenki panny Illroth. Patrzy na zegar nad drzwiami. Wkrótce Barbara wróci do domu z cukierni Sjokvista. Żeby tylko Sofia nie musiała wtedy biec na dół i wymiotować.

Żeby tylko Barbara nie była pierwszą, która się dowie.

Ale właśnie to ona jest tą pierwszą.

Sofia nie musi wprawdzie biec na dół, ale tak długo siedzi nieruchomo na kuchennym krześle, że Barbara czuje się zmuszona zapytać, czy Sofii nic nie dolega.

Bist du krank, Sofia?3

A Sofia reaguje złością. Zdarza się, że Barbara przychodzi do jej kuchni, choć ma własną wnękę kuchenną. Że każdego popołudnia po pracy u Sjokvista przychodzi i siada, jakby Sofia nie miała nic do roboty. Że przychodzi? tak to wygląda, i węszy. W dodatku, dzisiaj, w kapeluszu. Zielonym kapeluszu z kołyszającym się na środku piórkiem. Jak jakaś wielka dama! Odświętna sukienka z ciemnozielonej wiskozy i jedwabne pończochy z ciemnym szwem.

Jestem w ciąży, mówi Sofia twardo. I zaraz tego żałuje. Dodaje uśmiech. Znow żałuje. Odwraca się od tego zielonego zjawiska, które siedzi naprzeciwko.

Aber kleine Sofia...4

Barbara zdecydowanie sięga po dłoń Sofii i poklepuje ją mechanicznie.

Dann ist es, wie ich dachte5.

4 Ależ moja droga Sofio...

5 A więc jest tak, jak myślałam.

Arvid dowiaduje się jako czwarty. Bo po Barbarze jest Otto, a po nim Edwin (który wybiera się do Linnei Larsson i akurat mija restaurację Viking, do której wchodzi Otto i Barbara). I na tym się kończy. Przepuszczalnie. O ile Edwin nie opowie o tym Linnei, która z kolei podzieli się wiadomością ze swoją młodszą siostrą Lydią, a ta się nie powstrzyma przed powiedzeniem o tym doktorowi Strömowi (a to dlatego, że bardzo denerwuje się wizytą i nie przychodzi jej do głowy nic innego), który z kolei powie o tym, zupełnie mimochodem, swojej żonie, a żona, która szyje sobie ubrania u Emilii na Storgatan i dlatego zna obie siostry Steen, zaraz opowie o tym córce, oczywiście po to, żeby przypomnieć swoje pragnienie posiadania wnuków. Córka mówi o tym tonem oskarżycielskim i triumfatorskim zarazem swojemu mężowi, no właśnie, teraz jeszcze i Sofia Roslund spodziewa się dziecka, na co mąż odpowiada: A kto to jest Sofia Roslund? Nie znam nikogo takiego. Jego żona też nie zna, tak samo jak doktorowa i jej mąż (nawet jeśli kilka razy badał panią Roslund; dla niego to nie pacjenci się wyróżniają, lecz choroby) ani też Lydia (choć ona oczywiście poznaje Sofię; czasem przychodzi po kwiaty, ale zawsze dokładnie wie, czego chce, więc nie ma okazji do porad i pogawędki), a Linnea spotkała Sofię tylko raz, przelotnie, nawet nie została porządnie przedstawiona, przynajmniej nie tak, jakby sobie życzyła jako narzeczona Edwina (on wtedy tylko skinął głową, wymamrotał: Moja siostra Sofia, a to jest Linnea Larsson).

Musiąo się począć podczas nocy poślubnej, mówi Otto, szczerząc zęby. (Przy Barbarze potrafi pozwolić sobie na śmiałość.) Siedzą w restauracji Viking w ten sam wieczór, kiedy Arvid wraca do domu na Björkgatan i dowiaduje się, że zostanie ojcem. Ale Otto świętuje co innego. Po latach przemierzania wzdłuż i wszerz regionu (i regionów sąsiednich) jako sprzedawca towarów importowanych Duro awansował na szefa sprzedaży. To mała firma handlująca przedmiotami wątpliwej potrzeby (łyżeczki do mokki, apaszki z wiskozy, kilimy, dywany z włókna kokosowego, znikopisy, przybory do sztuczek magicznych), ale Otto dostanie własne biuro, telefon i – przede wszystkim – stałą pensję. Będzie mu brakowało podróowania, ale wszystko ma swój czas, myśli wielkodusznie.

To są nowe czasy, mówi do Barbary. No i jeszcze, kochanie – robi teatralną pauzę – teraz wreszcie możemy się pobrać.

Wygląda jak Humphrey Bogart w tej marynarce z poszerzonymi ramionami (amerykańska sylwetka) – mężczyzna nie musi się wysilać, żeby dobrze wyglądać – w tle gra pianino, pozostali goście ukradkiem obserwują Barbarę i jego, przez cały czas; kiedy słyszy szept, wie, że dotyczy ich: Co to za jedni? Chyba nie są stąd? Ależ tak – odpowiada szeptem inny głos – to Otto Steen, na pewno go poznajecie, przecież musiał was kiedyś odwiedzić. Na pewno próbował wam sprzedać skrzynkę na cygara z polerowanego drewna albo magicznego słońca, albo zapalniczkę w kształcie serca. Może nawet mu się udało? A potem śmiech, który każe mu się odwrócić z pobłażliwym uśmiechem. Biedacy, co oni widzieli ze świata... Ale on!... Chce nawet wnieść kieliszek i przepić do nich, dać do zrozumienia, że wcale nie patrzy na nich z góry, Otto Steen wcale nie jest taki. Otto Steen jest dobroduszny i hojny. Ale jeśli ludzie rzeczywiście im się przyglądają, to wyłącznie ze względu na Barbarę, jej zieloną sukienkę i ciemny szew z tyłu na pończochach. A jeżeli na to nie zwracają uwagi, to reagują na fakt, że jest prawie o głowę wyższa od swojego kawalera. Może ktoś zauważa, że przypomina pewną gwiazdę filmową, tylko którą? Padają różne propozycje: Veronica Lake? Vivien Leigh? Viveca Lindfors – z jej zdrowym, zmysłowym urokiem – to nazwisko pojawia się najczęściej. Ale ta kobieta, towarzyszka Ottona Steena, ma wyraźnie większy nos, jest też za chuda – takie szepty rozchodzą się po sali, a Otto nic z tego nie słyszy, ale mimo to jest dumny.

No, co na to powiesz?, odchyła się na oparcie krzesła.

*Wunderbar!*⁶, wykrzykuje Barbara. *Dann kann ich endlich weg von deiner Schwester.*⁷

I kiedy goście restauracji Viking słyszą jej niemiecki, niektórzy wzdrygają się i odwracają wzrok. Ale Otto tego nie zauważa. A Barbara klaszcze w dłonie w tym samym momencie, kiedy drzwi zatraskują się za plecami Arvida Roslunda. Wszedł do kuchni akurat w chwili, gdy Sofia skończyła gotować kolację (zapach cebuli wywraca jej żołądek). Otto unosi swój kieliszek i trąca nim lekko kieliszek Barbary (widzi wkoło zakłopotanie i służalczość, co przyprawia go o zawroty głowy). Krzesło Arvida z szuraniem przysuwa się do stołu. Sofia odwraca się do niego z garnkiem w dłoni. Stawia go na stole, podaje mężowi chochlę. Ten zaczyna sobie nakładać (choć nie jest zadowolony z posiłku, marzy o mięsie).

Jestem w ciąży, mówi Sofia.

Ojej, odpowiada Arvid. A to dopiero.

To chyba nic dziwnego?, dopytuje się Sofia.

Trochę wcześniej, mówi Arvid. To chyba o wiele za wcześniej, Sofio?

Jest jak jest.

Sofia wzrusza ramionami. Nalewa mu do szklanki słabego piwa słodowego.

Czy to nie mogło poczekać przynajmniej, aż skończę studia? Przecież dopiero się pobraliśmy.

Sofia odwraca się.

Jest jak jest, mówi znowu.

6 Cudownie!

7 Wtedy będę się wreszcie mogła wyprowadzić od twojej siostry.

Ale tak nagle!, powtarza Arvid. Przecież nie tak było planowane.

Je szybko, talerz wkrótce będzie pusty.

Będziesz musiała dopilnować, żebym miał spokój, mówi. Za rok kończę mój kurs, wiesz o tym.

Taaak. Ale zostało jeszcze dużo czasu.

Musisz to potraktować poważnie.

Właśnie to robię.

Do tego jeszcze ta wojna.

Przecież dobrze wiem.

Stawia na stole koszyk z chlebem.

Dzisiaj też nie ma masła?

Sofia nie odpowiada. Kiedy Arvid na nią patrzy, jej twarz jest zamknięta. Tak szybko, myśli Arvid, ona już się taka zrobiła.

Prawie go jeszcze nie ma, mówi Sofia cicho. Ma tylko siedem milimetrów.

Co masz na myśli?

Dziecko. Ma tylko siedem milimetrów długości.

Rety, mówi Arvid. To nawet nie można tego jeszcze nazwać dzieckiem... Ani to nie jest żadna długość.

Sofia wyciera blat kuchenny, składa ścierkę z czerwonym monogramem; jej panięńskie inicjały z ozdobnymi zawijasami.

Wyjdę powyrywać trochę mleczy, mówi Arvid, wyciera usta, odsuwa krzesło.

Nie będziesz się uczył?

Najpierw mlecze. Jeśli teraz się tym nie zajmę, nigdy się ich nie pozbędziemy.

Tego cholerstwa, dodaje.

Nigdzie, na całym osiedlu Örtakoloni mleczne nie rosną tak gęsto, tak prowokująco skupione w jednym miejscu, jak na Björkgatan 64. Arvid postanowił sobie, że będzie im obcinał głowy, gdy tylko pokażą swoje brzydkie żółte pyski, ale wygląda na to, że im więcej ich wycina, tym więcej wyrasta nowych.

Arvid chodzi pochylony nad żółtymi ciałami i klnie.

Ogród ma całe tysiąc sto. Uprawy Sofii są starannie wydzielone: szafirki, krokusy i tulipany. Mleczne wykraczają poza granice, sięgają aż do kamiennego stołu, to idzie niesłychanie szybko, co do tego są zgodni, Sofia i Arvid; oboje uznają konieczność pozbycia się mleczy. Ale Arvid traktuje to z największą powagą.

Carl Arvid Vilhelm Roslund. Najmłodszy spośród sześciorga dzieci. Dwoje urodziło się martwych, dwoje poszło już na swoje, kiedy na świecie pojawił się Arvid. Razem ze swoim siedemnastu miesięcy starszym bratem Ovem ścigali się do upadłego wokół chaty w Dannemora. Ojciec pracował w kopalni, ale kiedy dostał pracę w dziale produkcji drutu huty w Sandviken, rodzina się tam przeniosła. Właściwie ojciec chciał być stolarzem. Urządził sobie warsztat w piwnicy na Björkgatan. Położył podłogi, zrobił izolację; kiedy tylko skończył jedno, zabierał się do czegoś nowego. Wykopywał kamienie z ziemi w ogrodzie. Układał wzory z czerwonych płyt piaskowca przed drzwiami i wszędzie, gdzie jeszcze tylko pasowało. Na przykład w kryjówce w zaroślach Arvida i Ovego, na ich wyspie; to było też jedyne miejsce, gdzie płytki mógł porastać mech – nie całkowicie, o to już zadbały dziecięce stopy, ale tak, żeby wyglądało jak najbardziej tajemniczo, choć jednak to była ścieżka, której można było się trzymać; ścieżka, która prowadziła prosto do kuchni i do matki. Zarośla znajdowały się przy płocie, w środku tata zbudował kamienny stół; to wszystko zrobił, zanim zaczął chorować i osłabł.

Za płotem rozciągał się Świat, a Świat mógł znaczyć Sandviken albo coś całkiem innego. Dannemora była częścią wielkiego zapomnienia (wczesne lata, które nie zostają w pamięci). Matka czuwała nad dwoma najmłodszymi. Wyniszczona porodami i poronieniami, napuchnięta i zdyszana. Wyglądała na dziesięć lat więcej, niż miała w rzeczywistości. To jeszcze łagodny opis. Ona była – naprawdę się stała! – dziesięć lat starsza. Ale swoim najmłodszym synom okazywała czułość, potrafiła się z nimi bawić; w cudownych, wyjątkowych chwilach szła nawet z nimi na ich Wyspę Szczęśliwości i tam wymyślała krótkie, lecz bardzo emocjonujące bajki, w których rycerze galopowali między domem i drzewami, a potem prosto przez Ortavallen. Głaskała ich po lnianych grzywkach, tak bardzo chciała dawać im łakocie, chciała dać im wszystko. Czasami zdarzało się jej wybuchać długimi skargami; i nie brzmiało to wcale tak, jakby płakała, jak myślał brat, w uszach Arvida to były oskarżenia. Przypuszczalnie przeciwko Bogu, ale Arvid brał je do siebie. Chciał, żeby mama była z niego dumna. Chciał osiągnąć więcej niż zwykłą pracę w zakładzie. A jednak najpierw trafił właśnie tam. Chociaż... Nie całkiem. Biegał między wydziałami jako goniec. Nigdy nie siedział w bezruchu. To był najważniejszy warunek. Mógł wtedy dumnie odwrócić tę sytuację na swoją korzyść, bo chciał przecież biec dalej i dalej, a kiedy przestanie już biec, to zacznie się wspinać – jak kiedyś z Ovem na wielki wiąz. I nie podda się, póki nie wejdzie na samą górę.

Ojciec Arvida stracił zęby w żrących oparach kwasów linii wytrawiania, czyli „mokrej kuźni”, jak ją nazywali. Na przerwach śniadaniowych młodszy pracownicy z produkcji drutu i innych działów gapili się na wytrawiaczy, jak moczyli kromki chleba w wodzie, żeby móc je przełknąć. Raz Arvid poszedł z nimi. Choć tego nie chciał.

To był jego pierwszy rok w pracy gońca, a kolega, który go tam zaciągnął, był starszy. Stali grupką przed oknem i zaśmiewali się, wszyscy oprócz Arvida, który z początku nie mógł, bo od razu zobaczył, że tam siedzi też jego ojciec. Ale po chwili kolega klepnął go w plecy, a wtedy Arvid się roześmiał, to było wymuszone, niemal krztusił się ze śmiechu. Czy to nie jest twój ojciec?, zapytał ktoś. Ale Arvid udał, że nie dosłyszał, udał, że nie widzi. Obrzydliwie wyglądały te rozmoczone kromki spadające na stół.

Nazywali go w szkole Mors, w ostatnim roku, zanim poszedł do pracy. Arvida, nie ojca. Arvid był nazywany Morsem, bo jego ojciec właśnie tak wyglądał. Jak można pozbyć się czegoś takiego? Ten przydomek włókł się za nim jak ogon, ale on nie nazywał tego dręczeniem, wolał traktować to jako przyjacielskie nabijanie się, sam wcale nie był lepszy. Tu chodziło o życie lub śmierć. Wszystko, co żywe, funkcjonuje na tych samych zasadach. Są rośliny silne i są rośliny słabe. Jeśli jest mało słońca, walczą o światło, a ta, która pnie się najszybciej do góry, przeżyje i zabierze je pozostałym.

Kiedy Arvid wchodzi do kuchni na Björkgatan 64, widzi dwie warstwy. Najpierw starą kuchnię. Jak wyglądała, kiedy dorastali w niej razem z Ovem. Potem obraz się zmienia, albo jego spojrzenie, i widzi nową kuchnię. Jak wygląda teraz. Stare jest nierzeczywiste. A nowe niezadowolające. Niewiele rzeczy się na siebie nakłada, z wtedy i z teraz. Zegar ścienny. Kuchenna sofa. Wędrują w czasie. Tik tak. Tik. Zegar tyka głośno, ale jest to tak dobrze znany dźwięk, że go nie słyszy. A sofa nadal jest częścią konstrukcji budynku. Jest organem domu. Sofia uważa, że to głupota wyrzucić cokolwiek, nienawidzi marnotrawstwa; on też tak uważa. Ale to nie jest marnotrawstwo, pozbyć się czegoś, co hamuje człowieka w jego drodze naprzód. To przeciwieństwo. Człowiek nie chce mieć na przykład szafy z książkami ani kompletu stołowego przed samymi drzwiami, to dopiero byłaby głupota. Nikt też nie chce mieć drzew między drzwiami a furką, między furką i drogą.

Arvid kocha dom na Björkgatan. Kocha go tak samo, jak kocha Sandviken. Oczywiście człowiek chce wyjechać, ale musi mieć pewność, że będzie mógł wrócić, a ponieważ tego nigdy się nie wie, to lepiej jednak zostać.

Przed wojną istniało wiele możliwości podróżowania – życie było nieskończonym ciągiem barwnych obrazów: Sofia, która otwiera okno, przygotowuje prowiant, pakuje plecak, rozwija koc. Właśnie tak Arvid wyobrażał sobie życie. Ale wojny nie mógł kontrolować. Bunkry i koszary. Baraki z elektrycznym światłem. Mężczyźni, którzy bez wyjątku chcieli być gdzie indziej. W domu. Daleko stąd. Ale nie tam.

Gdyby były tylko te bunkry, koszary, baraki, ale bez wojny (która nagle podeszła tak blisko), to wszystko mogłoby się zdawać przygodą, pasowałoby do jego planów. Arvid grywał z tamtymi w szachy i prawie zawsze wygrywał. A kiedy mieli gotować jedzenie w ogromnych aluminiowych kotłach, śmiał się najgłośniej. Potem leżał na twardej pryczy z dłońmi wciśniętymi między uda; czuł coś w środku, coś, co rosło, a on wiedział, że nie może temu czemuś pozwolić się rozrastać. Im więcej nocy spędził w ten sposób, tym trudniej było mu rano wstawać. Leżał tylko i chciał dalej spać; coś w jego ciele wciągało go do środka. Coraz głębiej i głębiej. Nie mógł tego zaakceptować. Jeśli nie istniała naturalna siła, która przewyciężyłaby to, musiał ją wynaleźć.

Wypróbował ją na brodatym Lundströmie. Walnął go w plecy, niezbyt mocno.

No, Lundström, chłopie, uszy do góry, to świat będzie mniej ponury.

Powiedział to po śniadaniu. W sumie nic specjalnego. Ale tu nie chodziło o słowa, najważniejszy był ton. Postawa i uśmiech. Lundström odwzajemnił uśmiech.

No, dzięki.

I wtedy Arvid zrozumiał: to nic trudnego! Bez sensu było leżeć tylko z tym czymś w sobie, kiedy tak łatwo można tym sterować. Lundström nie był nikim szczególnym. Przeszkodą, którą udało mu się pokonać. Kodem, który złamał. Kontrola. Możliwość kontroli. Nad głosem. Mimiką. Ciałem. Zrozumiał też, że może kontrolować twarze i ruchy innych ludzi – potrafił niemal przewidzieć, co będą widzieli, kiedy spojrzą na niego. To było naprawdę proste. A to, że wojna nadal robiła, co chciała, nie miało tu żadnego znaczenia. Po tym dniu – kiedy klepnął Lundströma w plecy i rzucił tamtą rymowaną, która się dobrze przyjęła, a była tak prosta – nigdy więcej już nie leżał jak do tej pory po nocach, nawet o tym zapomniał. Czasami to wraca do niego jak cień, ale on nie wie, skąd ten cień się bierze, wie tylko, że musi z niego wyjść i znów stanąć w słońcu.

Arvid robi swoje okrążenia. Ubrany w sportową koszulę i jasnoszarą sportową czapkę (z lamówką w dyskretny bordowy wzorek). Jego ulubiona koszula z dwustronnej flaneli, w równomierną granatowo-szarą kratę. W pewien sposób ujawnia też jego charakter. Choć jego charakter to równie dobrze może być garnitur z granatowej wełny, nie prążkowanej, jak u Ottona, i bez kretańskiego hollywoodzkiego krawata (ale też żaden tani przydziałowy garnitur z wiskozy). Kiedy był, jak sam mówi, młody i głupi, udzielał się w młodzieżowym klubie partii socjaldemokratycznej Pochodnia. To był dobry sposób, żeby spotkać rówieśników, wyjść z domu, ale polityka, która dorosłych ludzi traktuje jak dzieci, jest dla niego nie do przyjęcia.

Miliony mleczy. Wyobraża sobie, że to publiczność, podnosi głos, patrzy na morze głów.

Świat jest obecnie zamknięty, ale w szarych murach fortu rośnie... kwiat. Silny, o pięknej barwie... To przyszłość. To jasny błękitny kwiat przyszłości. Który będzie rozsiewał swe nasiona w świeżych podmuchach wiatru czasu.

Oklaski. Aplauz. Ludzie w różnym wieku, kobiety i mężczyźni, po prostu muszą lubić Arvida Roslunda. Kiedy człowiek jest z Arvidem Roslundem, nie może się nudzić. W towarzystwie Arvida Roslunda ma się wrażenie, że cały czas świeci słońce. Arvid Roslund to „porządny chłop”, „sportowiec”, prawdziwy „spec” od prawie wszystkiego. W wolnym czasie lubi chodzić do lasu. Lubi chatki sportowe na dużych wysokościach. Lubi skały wygrzane przez słońce, i horyzont, gdzie niebo niewyraźną granatową kreską spotyka się z morzem. Musi też łowić ryby, to absolutna konieczność. Ze skalistego brzegu, z pomostu, z łódki. Wędkarstwo muchowe, sportowe, a zimą podlodowe. W lecie, kiedy jest naprawdę gorąco, jeśli tylko zamknie oczy, może znów czuć ożywczy chłód, czuć zapach rybich łusek, a gdy wszystko się odwróci i temperatura spadnie poniżej zera, potrafi po prostu przywołać smak słonej wody, zapach torfowiska i gęstego wilgotnego lasu w lecie.

Kiedy tak krąży po trawniku, przychodzi mu do głowy, że gdyby nie mlecze, życie byłoby doskonałe. Te walki z żółtym kwieciami są poniżające. Czuje się schwyty w pułapkę i zduszony, jak zwierzę w o wiele za ciasnej klatce. Runda za rundą, a to cholerstwo nie zamierza się poddać.

To nie jest zło konieczne, to zło bezcelowe... Arvid klnie coraz głośniej. Jego przedziałek się wicherzy, włosy opadają na wszystkie strony.

Sofia przygląda mu się przez okno. Gdy jest taki skulony, jego ciało wygląda dziwnie staro. Udręczona, wynędzniała twarz, kiedy zwraca ją ku niebu. Arvid robi swoje rundy i nie pamięta, że niedługo zapanuje lato, a jeśli lato nie poradzi sobie z mleciami (co zawsze mu się udaje, Arvidzie), to nadejdzie jesień, a jeśli jesień nie da rady (nawet nie musi próbować, Arvidzie), zrobi to zima. Definitywnie. I to się skończy. Ale jak potem to nazwać, myśli Arvid, kiedy znów się odrodzi? Czyż to nie jest coś wiecznego? Co tylko odpoczywa, zbiera nowe siły. Jeśli człowiek nie wyrwie wszystkiego – każdego kawałka korzenia, każdego gniazda nasiennego – czyż nie będzie musiał za to zapłacić później?

Niebem suną chmury, gromadzą się szybko w ciemny kłęb nad głową Arvida. W jego ciele coś rośnie, coś tyka, tik tak tik, na rękach pojawiają się rany, tak mocno szarpie rośliny, ich korzenie są dłuższe niż łodygi. Tuż przed wojną nocował z kilkoma osobami z klubu sportowego w jednym z szałasów w Sneas. Na ścianie był wymalowany diabeł, wielki i czerwony. Namalował go jakiś lokalny malarz, wszyscy trochę się śmiali; nocą myszy skakały im po twarzach, Arvid nie mógł zasnąć, coś dziwnego działo się z jego snami przez tę krótką chwilę, kiedy się zdrzemnął. Tamto coś przypomina mu tę sytuację. Miał wtedy wrażenie, że już nigdy nie nadejdzie ranek.

Sofia lubi, kiedy niebo ciemnieje, lubi ciężkie i wilgotne powietrze, nie lubi nieruchomego i upalnego. Pochylona postać Arvida snuje się ze zwieszonymi rękami od rośliny do rośliny. Sofia traktuje plewienie raczej jako odpoczynek. Coś dającego nadzieję. Jeszcze tylko wyskubię tę jedną, i jeszcze jedną. Połączenie czegoś wiecznego z dokonaniem. Ciało i myśl w jedności.

Otwiera okno.

Arvid! Siadaj do listów! Ja to zrobię!

Arvid nie odpowiada.

Arvid! Słyszysz mnie?

Ależ tak, Arvid słyszy, ale on tu utknął na dobre, kiedy uda mu się wyrwać wszystko, każdy jeden cholerny badył, wtedy...

Sofia chciałaby, żeby podniósł na nią oczy, pomachał i się uśmiechnął:

Damy sobie radę, Sofio!

Inny, wyprostowany Arvid odrywa się od tego nachylnego i woła do niej:

DAMY SOBIE RADE, SOFIO!

Powiedział tak w kościele, po ślubie, zanim stanęli w słońcu na schodach. To było trochę dziwne, ale podobał jej się jego głos, kiedy mówił te słowa. To nie było pocieszenie, raczej przypominało coś, co słyszała przy okazji meczów piłkarskich czy potyczek bandy. Kiedy przegrywali, ale też, gdy prowadzili. Damy sobie radę! Nie poddawajcie się! Walczymy! Konfetti posypało się na nich, Arvid ujął jej dłoń i zeszedł po schodach, jakby nagle onieśmieleni sobą, miastem i przyszłością.

Przed przyjęciem weselnym Aina Steen zakłopotana zbierała kupony, od kogo tylko mogła, żeby wystarczyło na obiad u nich w domu. Arvid uważał, że mogliby urządzić wesele na Björkgatan, chciał pokazać dom, pokazać, że umie budować i urządzić wszystko dla siebie i dla Sofii. Ale Aina niestrudzenie chodziła od sąsiada do sąsiada, zginęła się już w sieni, czerwona jak piwonia; nie słysząc, jak jej głos zmienia się w falset, nie rozumiała, że dla niektórych brzmiało to, jakby przychodziła zła i stawiała żądania. Wcześniej Fredrik sprzedał na czarno świniaka. Aina nie była zadowolona z tej decyzji, ale Fredrikowi w ogóle to nie przeszkadzało.

Samo przyjęcie odbyło się w spokoju. Dopiero przy deserze Svarten zaczął opowiadać o niemieckich transportach i szarych kartkach cenzury (o których nikt z zebranych nawet nie słyszał) i w ten sposób złamał niepisaną umowę, żeby nie mówić o wojnie. Nie dość, że była to obrzydliwa hipokryzja, wykrzykiwał oburzony, to jeszcze nieliczenie się z ludźmi. Takie wypowiedzi były nie na miejscu także dlatego, że wśród gości znajdowała się ta elegancka Niemka, Barbara Schmidt, którą Otto przedstawił jako swoją narzeczoną. Choć może nie do końca rozumiała, co Svarten mówi? Svarten, który mówił „stop” zamiast „dziękuję”, kiedy ktoś napełniał mu kieliszek czy filiżankę; z niego zawsze można było się pośmiać. A pan młody dodatkowo pogorszył sprawę, bo wdał się z nim w dyskusję, zamiast po prostu zignorować jego słowa. Gdybyśmy nie pozwolili na te transporty, to wojna dotarłaby też i do nas, tak powiedział. Porządny z niego chłop, z tego Arvida Roslunda, może tylko trochę zarozumiały. To była sprawa taktyki, żeby nie dać się podporządkować Niemcom, mówił Arvid przez stół swoim donośnym głosem; może nieco zbyt donośnym jak na kancelistę w hucie.

Ale przecież teraz jesteśmy podporządkowani, posłuszni jak szczenięta, zaoponował Svarten. Hau hau.

Ech, szczenięta też potrafią gryźć, powiedział Arvid z uśmiechem. Kilka osób zaśmiało się wesoło, ale spojrzenie Svartena pozostało ponure. Sofia chciałaby tak jak Karin móc położyć dłoń na rękę Svartena i samym dotykiem spowodować zmianę. Chciałaby umieć powiedzieć: Już dobrze. Jak do dziecka. Ale to Arvid wznosił kieliszek w kierunku Svartena i powiedział, że chyba nie będą się teraz o to kłócić, kiedy jest nadzieja na rychły pokój... I jasną przyszłość!, dodał (jasny błękitny kwiat... miał już na końcu języka... który wkrótce...).

Hau hau, spróbował Arvid z kieliszkiem w górze.

Barbara powiedziała coś w swojej kiepskiej szwedczyźnie, czego nikt nie zrozumiał, i to jeszcze pogorszyło sprawę.

Barbara usadowiła się wysoko na kontuarze i wymachuje swoimi długimi nogami jak uczennica. Dzieli się swoimi przemyśleniami. Uważa, że Sofia powinna przenieść zegar ścienny znad drzwi bardziej na prawo, uważa, że wycieraczka w formie praktycznej kratki wygląda tanio, uważa, że nazwa interesu Sofii brzmi o wiele za smutno. „Wieńce i wiązanki żałobne Sofii”. *Warum nicht lieber etwas mit Blumen?*⁸ Jakby osoby pogrążone w żałobie miały głowę do tego, żeby zastanawiać się nad takimi rzeczami.

Barbara pojawiła się wraz ze ślubem, prawie jakby była siostrą Arvida, która kazała na siebie czekać, ale teraz zostanie z nimi na wieczność. Ale Barbara wynajęła pokój u nich z powodu Ottona. Był marynarzem na statku towarowym przewożącym rudę żelaza do Emden; ta historia była niejasna i niekompletna, ale zniemacka pojawił się w domu z narzeczoną. I bez problemu namówił Arvida, by przyjął ją pod swój dach, co mogło się wydawać nieodpowiednie; wiadomo, co znaczy kawaler. Ale wtedy żyła jeszcze matka Arvida. Barbara zamieszkała w dużym pokoju na parterze, Arvid z matką mieszkali na górze, przedpokój mieli wspólny. Barbara jest porządna, ale nie ma pojęcia o gospodarstwie domowym. Sofia nauczyła ją kilku przepisów, pożyczała jej proszek do szorowania i środek do mycia okien, zabierała ją ze sobą do pralni. Ale tamtejsze zapachy są zbyt mocne dla Barbary, dostaje zawrotów głowy, od proszku do szorowania pęka jej skóra dłoni, brzydzi ją czyszczenie ryb. Barbara przepada za nablyszczającymi szamponami, kremami do rąk i luksusowym perfumowanym mydłem Florodol. Swoje blond włosy przytrzymuje po bokach szylkretowymi grzebieniami, maluje paznokcie na czerwono, usta na kolor ciemnej czerwieni, farbuje brwi i używa perfum o nazwie Soir de Paris. Jej długie nogi nie tolerują wełnianych pończoch, jej ciało nie jest stworzone do fartuchów ochronnych i roboczych czepków, musi lśnić; satyna, szarmeza i crêpe flamisol.

Coś ci powiem, Sofio, *und du darfst nicht traurig werden*⁹.

Uśmiecha się, a jej zęby są białe jak perły i idealnie równe.

9 Ale nie możesz być smutna.

My się *endlich*¹⁰ pobierzemy, ja i Otto. Będę więc się musiała od ciebie wyprowadzić.

Barbara wdzięcznie zeskakuje z lady. Przelotnie gładzi Sofię po policzku.

Kleine Sofia. Jak ty sobie beze mnie poradzisz?

Śmieje się. W uszach ma małe zielone kwiatuszki.

Barbara Schmidt, skąd ona się wzięła? Ze swoimi spodniami w kolorze ciemnoturkusowym, swoją wieczną zabawą naszyjnikami, bransoletkami i pierścionkiem zaręczynowym. Barbara jest okazem rzadkiej rośliny na ulicach Sandviken. Porusza się jak *movie star*. To się nazywa *grace*, gracia = umiejętność kontrolowania swojego ciała i ruchów, w sposób zmysłowy, lecz godny. Jasne loki podskakują, kiedy idzie ulicą, usta lśnią czerwienią. Ale uwaga! Blond włosy i czerwone usta Barbary nie mają w sobie nic z wulgarności. Blond jest naturalny, a czerwień neutralizują garsonki i sukienki we wszystkich odcieniach zieleni. Nosi co najmniej tysiąc, co najmniej dziesięć tysięcy odcieni zielonego. Od jasnej lipy do najciemniejszej zieleni lasu.

*Ach so, mówi. Ach so, kleine Sofia.*¹¹

Kiedy słyszy, że Arvid wraca z pracy, zaraz wybiega do przedpokoju.

*Ach, Arvid! Da bist du ja!*¹²

10 Wreszcie.

11 Ach tak, moja mała Sofio.

12 Jesteś już!

Głowa Arvida sięga niemal do sufitu. Przedpokój jest wspólny, Barbara nadchodzi z drugiej strony. Obejmuje go. Całuje w oba policzki.

Ty wielki silny szwedzki mężczyzno. *Komm und hilf mir*¹³, z tym kinkietem, znów krzywo wisi. *Komm und setz dich*¹⁴ (poprawia musztardowożółtą poduszkę na sofie, uderza mocno dłonią tam, gdzie Arvid ma usiąść). *Komm und leiste mir Gesellschaft*.¹⁵

Piękna jak diabli, myśli Arvid. To żadna tajemnica, że on tak uważa, po prostu nie można myśleć inaczej.

Ach so, kleine Sofia.

Barbara spogląda nieco powyżej oczu Sofii. Ale Arvidowi, jak się wydaje, patrzy prosto w źrenice.

Arvid i Sofia byli na kolacji z Ottonem i Barbarą w restauracji Pompadour. Dla uczczenia ostatnich wydarzeń. Przede wszystkim dziecka, Barbara mocno to podkreśla, ale i tak najwięcej mówi o swoim ślubie.

A pamiętasz, jak się spotkaliśmy? Uśmiecha się.

Otto przejmuje wątek: Była księżycowa noc. Usłyszałem jakiś dźwięk, najpierw myślałem, że to ptaki. Może mewy. Albo pisklęta. Pisklęta wyrzucone z gniazda.

Kładzie dłoń na ramieniu Barbary.

Miałaś na sobie jasnozieloną sukienkę. I morze miało ten sam odcień. Płakałaś...

13 Chodź i pomóż mi.

14 Chodź tu i siadaj.

15 Chodź i dotrzyмай mi towarzystwa.

*Und du hast mich gerettet.*16

Barbara dzwoni filiżanką. Odgryza bardzo mały kawałek ciasta, nawet nie widać, żeby żuła – może tylko połyka? Chyba tak, takie małe kawałeczki można z powodzeniem przełknąć.

Arvid nachyla się ku niej, pyta, czy jej dolać, zapomina zapytać Sofię. Barbara uśmiecha się i kiwa twierdząco. Może też koniaku?

Otto widzi Maksa i podchodzi do niego, żeby opowiedzieć o ślubie.

Arvid idzie po kawę i koniak.

Sofia zerka na Maksa, boi się, że ich spojrzenia mogłyby się spotkać, ale te kilka razy, kiedy się widzieli, miała wrażenie, że spotyka kogoś obcego, nic nie wołało między nimi, nic nie mówiło, nie było nawet szeptu: Karin? Gdzie się podziała Karin? Sofia nie ma żadnego problemu z Maksem, oprócz koloru jego krawata i muszek, i apaszek, a jednak coś ją odrzuca; może nadejdzie taki dzień, kiedy to obce z niego opadnie – albo z niej – jak kostium karnawałowy.

Twój Arvid to jest prawdziwy mężczyzna, mówi Barbara. Musisz sama przyznać.

Pachnie Paryżem, Paryż ma ostry zapach.

Otto jest za niski, dodaje szeptem i pokazuje jego wzrost dłonią zawieszoną w powietrzu, Sofia boi się, że Otto może to zobaczyć. Ale ma piękne ramiona..., mówi dalej Barbara, to jest *wichtig*¹⁷, i nasi panowie to mają.

Piękne ramiona? Sofia nigdy o tym nie pomyślała. To chyba są zwyczajne ramiona?

16 A ty mnie uratowałaś.

17 Ważne.

W ogóle wy wszyscy nie jesteście zbyt wysocy, szepcze dalej Barbara. Niscy i przysadziści. Mój brat, Jan, miał prawie dwa metry wzrostu, *und schmal*¹⁸. Mimo jedzenia, które gotował mój ojciec. Jego *Spezialität war gefüllte Schweinekoteletts*¹⁹.

Czym były faszerowane?, chciałaby zapytać Sofia. Nie z ciekawości, powodem jest raczej podejrzliwość. Barbara opowiada o sobie niewiele, ale wszystko robi nader egzotyczne wrażenie. Biały dom z chińskim dachem. Posiadłość z jeziorem, pergolą i chwiejnie drepczącymi kaczkami. Te obrazy, tak samo jak wizerunek Barbary, są nie do pogodzenia z wojną.

Obrazy Niemiec, jakie Sofia zna, to dymiące zgliszcza, szary, ciężki pył i krzyczące kobiety, które uciekają przed bombowcami, trzymając pod pachą niemowlęta jak poduszki. Nie potrafi nawet wyobrazić sobie w tym wszystkim kwitnącego ogrodu, kredowobiałego domu, faszerowanych kotletów wieprzowych, jowialnego mężczyzny z patelnią.

Czuje, że mdłości jak fala nadpływają od przepony, zrywa się szybko, w tej samej chwili nadchodzi Arvid z kelnerką, kelnerka niesie tacę z kawą, taca zderza się z Sofią, ozdobny dzbanek przewraca się, kawa się wylewa, ale nie na Sofię ani na Arvida, ani nawet nie na kelnerkę, ale – zupełnie jakby podłoga w szachownicy była spadzista – prosto na Barbarę i jej zielone spodnium.

18 Szczupły.

19 Specjalnością były faszerowane kotlety wieprzowe.

Kiedy Sofia wraca z łazienki, Otto pomaga Barbarze się wytrzeć, zmienia temat, ucina przeprosiny Sofii, ucina je w połowie. Ale spojrzenie Barbary mówi wszystko, twarde i przeciągłe.

Ach so, kleine Sofia. Zapomnijmy już o tym.

Jasnowłosa dziewczynka o wielkich oczach przebiega przez salę. Max ze śmiechem biegnie za nią: Tiina, Tiina! Wszyscy patrzą przez chwilę na tę gonitwę. Barbara nachyla się z uśmiechem do Ottona, jego ramię ją przyjmuje, potem prostuje rękę.

Biedna malutka, mówi Otto.

Barbara wydyma czerwone usta.

To jest jak *ménage à trois*²⁰; nie, Boże uchwaj, to nie to. To cerata w kropki i talia kart, którą właśnie tasują. To Barbara, która zawsze zatrzymuje się chwilę dłużej w pomieszczeniach, w których przebywa Arvid. Sofia lubi grać w karty, ale kiedy rozdaje, jej ruchy stają się niezgrabne. Arvid i Barbara w każdej chwili mogą zacząć się śmiać. Bardzo jasne, albo przynajmniej bardzo zielone stają się pokoje, w których jest Barbara. Sofia jest zmęczona. To prawie nic w jej ciele powoduje zmęczenie. Mówi dobranoc, próbuje się uśmiechnąć.

*Schlafgut, kleine Sofia*²¹, Barbara gładzi ją po policzku.

Śpij dobrze, mruczy Arvid. Ma dobre karty, nie chce spuścić z nich wzroku.

20 Trójkąt małżeński.

21 śpij dobrze, Sofio.

Dyskretny wspólny śmiech prawie przeciska się przez drzwi do sypialni, ale Sofia w porę je zamyka. Kładzie się i natychmiast zasypia. Śni jej się, że w domu pod ziemią znajduje pomieszczenie pełne zepsutych ryb. Jedna z nich jest gigantyczna, Sofia nie chce jej dotykać, Aina stoi przed drzwiami i pilnuje, napomina: Musisz to zrobić, nie masz wyboru, Sofio... Jest tam też Arvid, stoi obok Ainy, surowy, wzdycha: Przecież to nic strasznego, mój Boże, weźże ją wreszcie. Wymieniają spojrzenia. Wielka ryba jest okropnie wzdęta, gładka. Sofia zauważa, że coś przeżuwa, czuje, że jej usta też są pełne zepsutych ryb; ości chrzęszczą w zębach. Budzi się, ledwie zdąża do umywalki i wymiotuje.

Sąsiedzi wypuścili rano swojego psa, który zaczyna szczekać, to cocker spaniel, Sofia nigdy nie pamięta, jak ma na imię, szczeka na wszystko, co się rusza: rowery, wózki dziecięce i oczywiście inne psy.

To dobry pies, mówi Arvid. Dobry pies myśliwski. I Zata to sakramencko porządny człowiek, dodaje, zupełnie jakby to sąsiad, pan Zetterlund, był na dworze i podnosił jazgot.

Goran Zetterlund to człowiek przyszłości, uważa Arvid. Ale ma psa, z którym jest coś nie tak, sąsiad mówi do niego złotko, chyba dlatego Sofia nigdy nie może sobie przypomnieć imienia psa.

Arvid ubiera się szybko.

Rozprawię się z tymi mleciami, mówi. Zaczęły się przenosić do Zetterlundów.

Arvid na polu mleczy z zakasnymi rękawami. Jego twarz płonie. Wykopuje dziurę. Przez cały ranek majstrował coś w piwnicy. Czy w taczkach ma piasek? Glinę? Kamienie?

Co robisz, Arvidzie?

Muszę pójść w głąb, Sofio. Muszę się do tych drani dobrać od dołu.

Sofia płucze w kuchni śledzie, wkłada je do rondla, posypuje mąką i solą, kładzie na wierzch wiórki margaryny, dolewa wody, kiedy woda zaczyna się gotować, słyszy wybuch, czuje, że podłoga się ugina, kątem oka widzi, jak trawnik odrywa się od ziemi i unosi w powietrze, zanim się rozerwie na kawałki i poszatkowane żółte ciała posypią się na ziemię. Biegnie do okna, widzi wielki dół w miejscu, gdzie przedtem było pole mleczy, Arvid stoi przyciśnięty do drzewa w zagajniku w najdalszym kącie ogrodu, nadbiega Zata w swoim pięknym swetrze, a za nim pies. Arvid jest cały czarny od wybuchu. Zata się zatrzymuje. Przed nim jest ogromna dziura.

Wtedy Arvid zaczyna się śmiać. Sofia tego nie słyszy, ale widzi, że zgina się wpół, prostuje, znów się zgina, jak scyzoryk. Widzi, jak Zata klepie Arvida po plecach, w jej oczach to wygląda jak pocieszenie. Nie może wytrzymać. Wybiega z domu. Myśli, że właśnie tak pachnie wojna.

Co to, na litość boską, mówi.

Całe szczęście, że to nie było bliżej domu, mówi Goran Zetterlund. Na jego piękny sweter spadło trochę sadzy, Sofia chce ją wyczyścić, proponuje mu, że to spierze, a Arvid nie może przestać się śmiać.

Niech to diabli, śmieje się.

Ale mlecze zniknęły, mówi Zetterlund z uśmiechem. Sofia nie ma pewności, czy uśmiech jest szczerzy. Mięśnie szczęki drgają, jakby były napięte. Pies biega tam i z powrotem nad dziurą i szczeka, podniecony.

Jeśli jeszcze mają być jakieś ziemniaki, to teraz jest najwyższy czas. Sofia robi bruzdy w ziemi. Ma dwa zamówienia do zrobienia do końca tygodnia, ojciec Jonassona i żona Lindgrena, a że Alf Lindgren był kiedyś aktywistą Partii Prawicowej, Arvid chce, żeby zrobiła dla niego coś wyjątkowego. Dziura jest wielka, to nie jest dziura, to poletko ziemniaków, to żadne poletko, musiała je spulchniać i wyrównywać, wytyczyła proste linie za pomocą sznurka. Czuje coś jak uderzenie bólu w dolnej części brzucha. Ma wrażenie, jakby się zsikała, tylko trochę mocniej. Ból jest ostry, musi się zatrzymać, kucnąć. W ubikacji widzi, że bielizna jest nasiąknięta krwią, trochę spłynęło po udzie, wyciera krew, wkłada do majtek watę, potem umyje się porządnie. Giń, myśli Sofia, to nie będzie nic strasznego. Jest pewna, że Arvid się ucieszy, kiedy mu powie... Z ulgą. Jest jak jest. Śpieszy się, robi ostatnie bruzdy, w równych odstępach wrzuca sadzeniaki.

Wśród oderwanych, gnijących głów mleczy łądygi ziemniaków wyrastają wysokie i zielone. Właśnie w tym miejscu, mniej więcej na powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych, mlecze już nigdy nie powrócą.

Jest koniec sierpnia i we Francji goli się publicznie głowy kobietom, które miały kontakty z Niemcami.

Barbara i Sofia, każda na leżaku z filiżanką kawy. Mężczyźni poszli na ryby. Kobiety mają wykopać ziemniaki i urządzić przyjęcie, kiedy mężczyźni wrócą.

Ty masz szczęście, Sofio. Arvid jest *ganz besonders*²². Kiedy sobie coś postanowi, to będzie *wirklich so*²³.

22 Naprawdę wyjątkowy.

23 Tak naprawdę.

Otto... on jest bardziej... *was soll man sagen*²⁴, niespokojny? Ale... – wzdycha i zwraca twarz do słońca – *er liebt mich wirklich*²⁵. Nasi mężczyźni, Sofio, mają *so viel Liebe*²⁶ w swoich ciałach!

Upija kawy i się wykrzywia. Mówi, że marzy o prawdziwej kawie, ale Sofia nie zauważa różnicy.

Twoje łydki są spuchnięte, zauważa Barbara i skinieniem wskazuje nogi Sofii. Potem przeciąga się; wygląda jak kot, ale zielony kot, z wąskimi zielonymi oczami. Sofia patrzy na dół, próbuje myśleć o nim „poletko ziemniaków”, ale to niemożliwe. Choć dół jest pełen naci kartoflanej, myśli o nim „dół” albo „dziura”... Potem patrzy na swoje nogi, chowa je pod krzesłem.

*Wann kommt Emilia?*²⁷

Miała najpierw poprawić sukienkę u pani Holm.

Pani Holm! Barbara się śmieje. Tę sukienkę *will ich schon sehen. Oder vielleicht auch nicht.*²⁸

Sofia chce bronić pani Holm, ale nie przychodzi jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć.

24 Jak to nazwać.

25 Ale... on mnie naprawdę kocha.

26 Tak dużo miłości.

27 Kiedy przyjdzie Emilia?

28 Chciałabym zobaczyć. Ale może lepiej nie.

Pójdę wykopać ziemniaki, mówi. Kiedy wstaje, brzuch znów jej twardnieje, czuje się ogromna i bezkształtna, choć to w środku nie ma więcej niż cztery centymetry. Wie, że tworzą się zawiązki zębów, stawy skokowe i zaczynają się kształtować organy płciowe. Serce jest już prawie całkowicie rozwinięte.

*Schon? Nein*²⁹, mówi Barbara i znów odchyła się w fotelu. Zaczekajmy na Emilię, *sie möchte sicherlich auch Kaffee*³⁰. Zdążymy, mamy na to cały dzień.

To ciągle „my”... Sofia wciąga powietrze nosem, powoli, żeby Barbara nie zauważyła. Widzi Emilię na rowerze, zalękniony wyraz jej twarzy ustępuje na chwilę nieśmiało uśmiechowi, kiedy napotyka spojrzenie Sofii. Unosi dłoń, rower się chwieje.

Ależ się przyjemnie urządziłyście, mówi głośno, zanim jeszcze weszła przez furtkę.

Zaraz zabieramy się do pracy, woła szybko Sofia; patrzy w stronę Zetterlundów, ale nie ma ich w ogrodzie.

Co takiego strasznego chciała sobie uszyć, pani Holm?

Trzeba było poprawić stan od sukienki.

Ach so! Barbara się śmieje. *Das kann ich mir gut vorstellen.*³¹

Jak się czujesz?, pyta Emilia i skinieniem wskazuje brzuch Sofii.

Dobrze, odpowiada siostra, ale w tej samej chwili brzuch znów się napina, musi wziąć głęboki oddech.

29 Już? Nie.

30 Ona też na pewno chce kawy.

31 Mogę to sobie wyobrazić.

Boli cię? Krwawiłaś znowu?

Nie, nie, to nic takiego, to tylko kawa, nie powinnam pić tyle kawy... Ale ty się chyba napijesz? Przyniosę filiżankę.

Już chce wstać, ale Barbara powstrzymuje ją: Bleib sitzen. Ich gehe³². Mówi, że i tak musi pójść Nase pudem³³. Podkreśla to tak, żeby zrozumiały, że to żart. Śmieje się sama do siebie, przypuszczalnie przede wszystkim z powodu sukienki pani Holm.

W przysłym tygodniu zaczynam w Zakładach Wełnianych, mówi Emilia.

Przeprowadzisz się do mamy?

Będę mieszkała w pobliżu fabryki.

Ale to chyba niepotrzebne. Mama tak by się ucieszyła.

Wszystko jest już załatwione, ucina Emilia.

Sofia potrząsa głową.

I tak będzie o wiele bliżej, ciągnie Emilia i myśli, że Sofia uważa ją za leniwą, zawsze uważała.

No to chyba się nie zobaczymy przez jakiś czas. Może dopiero na święta.

Ale możesz zawsze wpaść do mnie, kiedy będziesz jechała do domu.

Raczej rzadko jeżdżę, wiesz przecież. A pewnie jeszcze rzadziej będę, kiedy...

Wskazuje ruchem głowy swój brzuch. Dalej prawie nic nie widać. To takie dziwne. To życie w ciemności.

32 Siedź. Ja pójdę.

33 Przypudrować nos.

Barbara wraca z filizanką dla Emilii, teraz siedzą w trójkę i wpatrują się w dół. Słońce stoi wysoko na niebie.

Uważam, że mleczki są bardzo ładne, mówi niespodziewanie Emilia.

Sofia nie rozumie, o co jej chodzi. Skurcz w żołądku jest ostry, a jednak niewyraźny.

Nein, ihr Schlafmützen³⁴, mówi raźnie Barbara i wstaje. Najwyższy czas wykopać kartofle! Nie sądzicie?

Trzy kobiety garbią się nad dziurą, nad zieloną nacią, szarpiają, kopią, ryją, drążą piętami w ziemi, żeby się przekonać, że ani jedna bulwa nie została w ziemi. Ziemiaki są piękne i twarde. Barbara wzdycha i wierzchem dłoni przesuwając po czole. Emilia spogląda na Sofię. Sofia wie, co to spojrzenie oznacza: Barbara nie pasuje do kartofliska. Ale Sofia na to nie odpowiada.

Barbara mówi, że nie ma już nic więcej do wykopania. Barbara tak postanawia. Choć nie kopała wystarczająco głęboko. Sofia chce jeszcze zostać na kolanach i sprawdzić dłońmi, kosz jest napełniony po brzegi, ale to nie wystarczy. *Ach so, kleine Sofia*, mówi Barbara. *Ach so*. Stoi obok Emilii, obie patrzą na Sofię. Zielona sukienka Barbary niemal odbija się w jej twarzy; przez to Sofia wygląda wręcz chorobliwie.

34 Dość, wy śpiochy.

Podróż Emilii

Emilia Steen ze swoimi walizkami. Nie ma ich wiele. Duże. Małe. Okrągłe pudło na kapelusze. Marynarski worek. Zawadiacka torba wojskowa. Do tego manekin krawiecki i siatka z jedzeniem. Koc, poduszka, trzewiki do pracy, botinki, buty na płaskim obcasie ma na nogach.

Wyciąga rękę do pani Bengtsson.

Dziękuję za wszystko, mówi.

Nie ma za co, odpowiada pani Bengtsson.

Bardziej nigdy się nie zbliżyły. Helena Bengtsson ze swoimi milczącymi kotami. Śmigającymi po małym ogródku. Zagląającymi przez okno do pokoju Emilii. Emilia przywiązała się do Lesliego, dużego rudego kocura, zawsze wystraszonego, choć jest najstarszy i największy. Pani Bengtsson ma pięć kotów. Same kocury, nazwane po gwiazdorch filmowych. Tylko Leslie ma więcej niż siedem lat; siedem lat od śmierci pana Bengtssona. Mathias Bengtsson nie rozumiał zamięłowania swojej żony do kotów. Leslie był ledwie tolerowany. A więcej kotów było tylko z porcelany albo na obrazach. Miała też jednego szmacianego, bawiła się nim córka Birgitta. Birgitta, która wyjechała za granicę; pani Bengtsson nigdy o niej nie mówiła. W ogóle rzadko mówiła. Ale na wynajęcie służbówki dla Emilii zdecydowała się nie tylko z powodów finansowych. Pani Bengtsson lubi drobne dźwięki. Lubi... odgłosy.

Pokrzywniki i trzmielę miotają się między nasturcją i nagietkami; między żółtym i żółtym.

Emilia była wzorową lokatorką. Robiła, co mogła, ani za mało, ani za dużo. Przemykała się cichutko te nieliczne razy, kiedy wracała później. Pytała panią Bengtsson, czy jej czegoś nie przynieść, kiedy szła na zakupy. Ale nigdy nie umyła wspólnych schodów. Nigdy nie zapytała, czy może skorzystać z węglowego pieca, żeby sobie coś upiec. Nigdy nie przyszła spontanicznie, żeby posiedzieć (a pani Bengtsson nie uważa, żeby to ona miała pytać). Nawet nie karmiła ukradkiem kotów, jak to robiła poprzednia lokatorka. Pani Bengtsson, która myśli, że kocha dyskretne, niemal niesłyszalne dźwięki, w głębi duszy marzy o poufałości, o strumieniu krwistoczerwonych słów. Żeby Emilia się jej zwierzała; mówiła o rzeczach ważnych i nieważnych, mówiła za głośno i o wiele za dużo. Właściwie najchętniej wręcz posłuchałaby plotek. Wołałaby, żeby Emilia tupała nocami na schodach. Wtedy pani Bengtsson mogłaby usiąść z Lesliem, Errolem, Clarkiem lub Humphreym czy też najmłodszym Jamesem, i myśleć: ależ ona hałasuje, tłucze się i z nikim się nie liczy. Mogłaby się bronić, nastawić kawę, uśmiechnąć się do drewnianego nieżyjącego męża. Wzorcowa cisza nie zawsze jest najważniejsza.

Wszystkie rzeczy idą na platformę niewielkiej ciężarówki, którą Edwin – po długich negocjacjach i licznych upomnieniach, tak niezbędnych, na wszelki wypadek, przecież ciężarówki w dzisiejszych czasach to żywy kapitał, chyba on o tym pamięta – pożyczył od K.P. Perssona. Edwin ładuje bagaże w milczeniu i skupieniu. Ciebie by mogła pokochać, Edwinie Steen, myśli Emilia; chodzi jej o panią Bengtsson. Kiedy siada obok brata, myśli, jak pani Bengtsson mogła się nazywać przedtem, wydaje jej się, że to musi być smutne, nosić nazwisko po zmarłym mężu, a może akurat – ze względu na miłość – to coś pięknego?

Ależ chętnie, wyobraża sobie grzeczną odpowiedź pani Bengtsson, ależ tak, o ile istniałaby miłość.

Tylko że w tej sytuacji, ciągnie pani Bengtsson, nosi się nazwisko męża jak obcy kostium, prawie jak jakieś przebranie.

Pani Bengtsson stoi, trzymając w objęciach Lesliego, ale kocur nie chce siedzieć na rękach, pręży się, więc musi go, niechętnie, wypuścić. Macha im na pożegnanie, wchodzi do domu, zamyka drzwi. Uważa, żeby nie trzasnąć.

Jeśli sama cisza jest wyniszczająca, to jak to będzie z całkowitą samotnością?

Edwin zapala silnik. Kiedy czkawką zaczyna pracować, spogląda z dumą. Jadą przez miasto. Drzewa są tak myląco podobne. Gdyby ktoś wyciął jedno czy kilka drzew, pustka byłaby natarczywa.

Ale ona przecież nie jest sama, myśli Emilia. Ma swoje koty.

Edwin odwraca do niej twarz. Wydaje mu się, że wyruszają na wycieczkę.

No to jedziemy, mówi.

Właśnie, odpowiada Emilia i cicho wzdycha.

Edwin jedzie do domu z młodszą siostrą. Ma na głowie słomkowy kapelusz, nogawki spodni podwinięte. Szyby w samochodzie są opuszczone. Jest upalna niedziela, pełnia lata. Edwin intensywnie stara się chłonać świat. Sandviken. Lato. Ale nie jest w stanie wyjść poza to, co najogólniejsze. Szczegóły mu umykają. Zarówno te jaskrawoczerwone róże przy Odenplanie, jak i kilka pożółkłych już liści na brzozech między kościołem metodystów i siedzibą Armii Zbawienia. Kiedy mijają sklep kolonialny Larssona na Köpmangatan, Edwin się kuli. Emilia zauważa to i myśli, że jej brat zachowuje się głupio. Wie, że spotyka się z Linneą Larsson, wygląda nawet na to, że są zaręczeni, co w tym takiego dziwnego? Właśnie, tak by mu powiedziała, gdyby miała ochotę; jedyna dziwna rzecz to to, że się do tego nie przyznajesz.

Jadą Barrsätragatan, mijają nowy sklep Konsumu, gdzie przedtem stała rudera hotelu robotniczego, Kanalparken po lewej, pralnie po prawej, dalej przez most Vasterbron, przejeżdżają obok Krokiga Langbo, gdzie mają problemy ze szczurami. Kiedy mijają Barrsätren, Edwin opowiada o koledze, który tam mieszka, jest inżynierem, to kawaler – wskazuje dom; ach tak, mówi Emilia. Ciemna kręta droga prowadzi dalej do Järbo, ciągle przez las. Ale Edwin właśnie wybrał się na przejażdżkę ze swoją siostrą i myśli, wydaje mu się, że patrzą na wszystko tak samo. Ma jej spojrzenie w swoim, i jest to, dla Edwina, szczęśliwa podróż.

Emilia czuje mrowienie w całym ciele.

Z powrotem w domu.

Wyjechała do Sandviken. To i tak było za blisko, a teraz w dodatku się cofa, zamiast jechać jeszcze dalej. Choć to jest tylko przystanek na drodze, czy jak to nazwać? Dwa kroki w przód, jeden w tył. Następnym razem będzie prawdziwy skok, siedmiomilowy! Zresztą i tak nie wie, co ją tam spotka. Już samo mieszkanie tam, razem z mnóstwem innych ludzi. Zamiast pięciu chudych kotów i zegara, którego wskazówki czasem się potykają, a czasem wręcz idą do tyłu. Sandviken to jednak nie to samo, co Sztokholm czy Paryż, zresztą jest wojna i trzeba się cieszyć, że w ogóle żyjemy, myśli Emilia.

Kiedy zbliżają się do Järbo, uderza ją piękno tego miejsca, równocześnie złości się, jak to jest możliwe, tak wiele piękna w tej małej i nudnej dziurze. Majestatyczna kopuła Kungsberget zdaje się być szyderstwem. Osada leży u jej stóp i próbuje być czymś, czym się nigdy nie stanie. Emilia osuwa się na siedzeniu, ale Edwin wygląda, jakby chciał machać ręką do wszystkiego, co mijają. Sklep delikatesowy Julesa, wyroby drewniane Janssona, Salon Damski Inez. Kościół, Dom Ludowy, kino Folkan, po prawej dawny pawilon związków zawodowych; gdzie teraz naprawia się i montuje rowery, topole w miejscu, gdzie się skręca w dół do Jädraån (wydaje się, jakby rzeka była wszędzie, dokądkolwiek pojechać, gdziekolwiek się odwrócić). Korony drzew nad ich głowami, młode i stare. Koń, który zgrzyta podkowami, nabiera rozpędu, cała ta bezdźwięczna zieleń, nieruchoma tęsknota.

Edwin wjeżdża na podwórko przed domem, gdzie Emilia ma zamieszkać. Duży dwukondygnacyjny budynek z drewna. Do Norrby stąd jest kawałek. Widać ceglaną fasadę fabryki, słychać szum wody. Na schodach stoi kobieta i pali.

Hej, woła, wychodzi im naprzeciw, wymachując papierosem. Witaj!

Emilia dziękuje, kobieta wygląda przyjaźnie, Emilia chciałaby mieć więcej pewności w głosie, nie lubi, kiedy Edwin robi się taki onieśmielony w obecności obcych kobiet, zresztą przy mężczyznach też, teraz pozdrawia tamtą bez słowa, odwrócony, i zaczyna zdejmować walizki z platformy. To musi wyglądać imponująco. Cała ciężarówka na tak niewiele rzeczy. Ale przynajmniej ma rower. pomaga Edwinowi go zdjąć.

Kobieta bierze pudło z kapeluszami pod jedno ramię, drugie wyciąga do Emilii.

Irma Frölander, przedstawia się.

Emilia Steen. A to jest mój brat, Edwin Steen.

Edwin zdejmuje z głowy kapelusz, ale Irma nawet na niego nie patrzy. Ma twarz całą w piegach.

Będziesz mieszkała w pokoju obok mnie. Chodź, pokażę ci wszystko.

Emilia chce, żeby Edwin już pojechał, ale on nadal stoi z kapeluszem w dłoni. Dziękuje mu za pomoc, zaczyna iść w stronę domu, i dopiero wtedy Edwin wsiada do szoferki i odjeżdża.

Wszystko to nie jest dużo. Wszystko to absolutnie wystarczająco.

Poręcz schodów jest pomalowana na zielono. Irma pokazuje i wyjaśnia. Śmieje się. Kilka kobiet przechodzi obok nich, pozdrawia je.

To jest twój pokój. Czy masz klucz?

Emilia otwiera kopertę, którą dostała, otwiera drzwi. Pokój jest mały, ale dość jasny; bladobrazowe kwiaty pną się po ścianach. Drewniane łóżko, regał, biurko.

Jest tu wiele wspólnych pokoi, mówi Irma. Pojedyncze są małe, ale twój jest większy od mojego, u mnie prawie nie można się obrócić... A zresztą nie przeszkadza ci, że mówię ty? Przepraszam, ale jestem już tak zmęczona tym ciągłym panno taka i panno owaka.

Uśmiecha się, ma jaskrawoczerwoną spódnicę w prawie niezauważalne białe kropki.

Niektóre nie lubią, kiedy się do nich mówi na ty, ciągnie Irma. Wydaje im się, że nagle jest się tak blisko... Staje przed Emilią, tuż przed jej twarzą. Emilia się cofa. Irma wybucha śmiechem.

Na końcu korytarza znajduje się łazienka, kuchnię już widziałas, wszystko jest piękne i porządne, reszta dostaje szału, kiedy się nie utrzymuje porządku... Przeważnie każda radzi sobie sama.

Rozpakuj się teraz i rozgość, na ile to możliwe. Zapukam do ciebie jutro rano, możemy razem iść do pracy.

Irma już niemal wyszła. Zatrzymuje się jeszcze.

Czy jesteście bardzo żywi, ty i twój brat? Nie, nie musisz odpowiadać... Jestem tylko ciekawska z natury. Edwin miał na imię, tak? Nie mogę pamiętać wszystkiego, nie będę wtedy miała miejsca na te najważniejsze rzeczy.

Jestem bliżej z moim młodszym bratem, Ottonem. On jest bardziej podobny do mnie.

A jaka ty jesteś? Irma znów się śmieje. Nie przejmuj się mną, moja kochana. Po prostu się cieszę, że tu jesteś. Rebecka Forss i ja... my... To znaczy ta, co tu mieszkała przed tobą... Potem było tak pusto. Nie można do nikogo zastukać przez ścianę. Nie żebyśmy Rebecka i ja były... Ale jednak. Ech. Nie przejmuj się mną, jak mówiłam. Zobaczmy się jutro, Emilio Steen.

Tragedia w Zakładach Wełnianych (I)

Pokój Emilii.

Pod sufitem jest pomarańczowy klosz z matowego szkła. Pod kloszem stół, przy stole krzesło. Obok stołu i krzesła łóżko z wyblakłą od słońca narzutą o węzłkowej fakturze. Nad łóżkiem haftowany obrazek przedstawiający dwa psy. Bernardyny. Co ma zrobić, jeśli Irma zastuka w ścianę? Czego się od niej oczekuje?

Widzi drzwi, których przedtem nie zauważyła, za nimi jest mała garderoba. Zaczyna wieszac swoje ubrania. Wieszaki są powyginane, jeden jest ubrany w szydełkową dzianinę. Kiedy wkłada na półkę swoją stalowoszarą bluzkę, widzi, że coś migocze w kącie garderoby. Schyla się i podnosi tę błyszczącą rzecz; to niewielka srebrna broszka przedstawiająca sarnę albo jelenia – starannie owija ją w chusteczkę i wkłada zawiniątko do pustej niebieskiej szuflady nocnego stolika. Do tej samej szuflady wkłada ozdobny kajet, który Otto podarował jej na dwudzieste piąte urodziny. Kupił go w porcie w Emden, kiedy był marynarzem na S/S *Senta*. Kartki są białe, nieporozcinane. Zasuwa szufladę, kładzie się na łóżku i zamyka oczy.

Zakłady Wełniane.

Farbiarnia i pranie wełny. Płukanie, tkalnia. Maszyny folujące, piorące, strzygące, wykończalnia. Suszarnia, trzepaki do wełny, melanzarki, maszyny żakardowe i czesankowe. Zgrzeblarki, selfaktory, przędzarki obrączkowe. Przędzalnia z pasami napędowymi; hala maszyn.

Za parawanem: biurko, po drugiej stronie: maszyny. Dziewczyny w drewniakach, chustkach i fartuchach, przeważnie niebieskich albo szarych. Ale Emilia ma na sobie kostium. Wprowadzają ją do pokoju. Przez ciemne drzwi: ciemny pokój, biurko – nie ma roślin na parapecie, wieszak na ubrania. Dyplom: *Dla Carla Melina za wybitnie skuteczne działania na rzecz racjonalizacji i konsolidacji fabryki.* A może jest to karta gratulacyjna, bo pod wypisanym na maszynie tekstem widnieje jeszcze Hip hip hurra! czarnym atramentem. Mężczyzna w okrągłych okularach i z muchą w kratkę patrzy w swoje papiery, potem spogląda do góry. Pan Carl Melin.

Wszystko w porządku, mówi i spina plik papierów. Serdecznie witamy, panno Steen. Niedawno przebudowaliśmy dział kotłowy, a w przyszłym roku gotowa będzie oczyszczalnia ścieków. A więc dużo się dzieje, bardzo to wszystko emocjonujące, trudno sobie wyobrazić, że jest wojna i bieda. Dla nas to dobre czasy i wszyscy jesteśmy częścią tej skutecznej maszynerii.

Jego twarz jest lekko zaczerwieniona, brązowe włosy ma gładko zaczesane, błyszczące. Wstaje, jest zaskakująco wysoki.

Mamy dzisiaj, razem z panią, całe... Chrząka, szuka czegoś w papierach i teczkach, pod jego paznokciami widać ślady brudu, może to tytoń, chyba nie znajduje tego, czego szukał. No dobrze, mówi, około trzystu pracowników. Może pani poprosić jedną z pań, żeby oprowadziła panią na przerwę. Pani miejsce pracy, jak pani widziała, jest zaraz za moimi drzwiami. Przeważnie będzie pani przepisywała listy i odbierała telefony. Na biurku leży sterta listów, które trzeba posortować i zarchiwizować. Może pani od tego zacząć swój pierwszy dzień pracy. Zrozumie pani, jak to jest uporządkowane, kiedy pani zobaczy, jeśli nie, proszę pytać.

Uśmiecha się życzliwie i skinieniem wskazuje drzwi.

Emilia dziękuje, dyga i idzie na swoje miejsce. Za parawanem słyszy maszyny, słyszy stukot drewniaków na podłodze, nie widzi żadnych twarzy ani ciał. Na samym szczycie sterty dokumentów leży niewielka ulotka informacyjna z owcą na pierwszej stronie; owca sprawia wrażenie zadowolonej, obok niej stoi równie zadowolony mężczyzna i zabiera się do strzyżenia. *Włna owcza jest jedynym włóknem naturalnym, którego ludzie używają do tego samego celu, do jakiego zostało stworzone: mianowicie jako ochrony przed zimnem i wilgocią.* Dalej można przeczytać o zaletach wełny pod względem wytrzymałości, elastyczności, łatwości formowania, obce słowa jak „karbonizacja” czy „fiksowanie”. Dłonie Emilii delikatnie przekładają papiery; boi się je poplamić, źle odłożyć. Stopniowo stanie się częścią tego wszystkiego, przy biurku będzie się czuła jak u siebie. Wreszcie dostała dobrą posadę, poza tym dyrektor sprawia wrażenie miłego, nie jest taki stary, jak sobie wyobrażała, ma sympatyczną podłużną twarz, trochę jak koń. Za parawanem splątane głosy dziewcząt; próbuje słuchać, co one mówią, czy mówią o niej? Maszyny stukają i dudnią, przez halę biegnie niezliczona ilość cienkich nici w różnych kolorach, najwięcej białych, jest w tym pewien system, ścisły porządek, którego nie można zauważyć gołym okiem.

Irma Frölander przychodzi i zabiera ją na lunch. Idą długimi korytarzami. Irma mówi szybko, oswojona ze wszystkim, co widzą: Tutaj wełnę się pierze, tutaj grępluje, tutaj przędzie... Tkalnie są na końcu łańcucha, po nich ewentualnie wykończalnia. To jest początek tych wspaniałości: Magazyn wełny. Ależ nie, do licha, początkiem jest owca. Bee bee. Irma idzie szybko, jej głos odbija się echem od ścian. Tutaj wełnę się farbuje, dekatyzuje. To znaczy, że materiał uzyskuje odpowiednią gęstość. Irma pociera czubkami palców powietrze. Ale słuchaj, mówi, czy ciebie to w ogóle interesuje? Przecież ty będziesz miała do czynienia tylko z papierem, a papier, moja droga, nie pochodzi od owcy. Teraz musimy iść jeść, jeśli mamy zdążyć coś przełknąć. A wtedy mogę przy okazji opowiedzieć ci trochę o związkach zawodowych.

Można o dyrektorze mówić różne rzeczy, ale do związków zawodowych nie miał nigdy zastrzeżeń. To znaczy, że chyba jest nowoczesny, w odróżnieniu od swojego ojca, Carla Melina seniora. Albo może nie ma dość rozumu, żeby się obawiać. Irma śmieje się dyskretnie i pędzi dalej. Tutaj jest izba chorych. Tutaj drzwi do parku. Tutaj siedzi panna Cynamon, tak ją nazywamy, bo zawsze ma ze sobą cynamonowe drożdżówki, które piecze jej mama; jest doradcą do spraw robotniczych, miła i energiczna, ale podniesienia wypłaty nawet ona nie może załatwić, a bułeczki są niedobre, ale trzeba doceniać to, co się dostaje, nawet najdrobniejsze rzeczy. Zawsze. Panna Cynamon flirtuje z projektantem. To on odgaduje, czego potrzebują gospodynie domowe. Sam mówi, że w pięciu procentach jest to inspiracja, a reszta transpiracja. O ile w ogóle można się tym chwalić. Wszyscy wiedzą, że oni mają romans, więc i ty możesz się o tym dowiedzieć, nawet jeśli to nie jest ani trochę interesujące. Tu jest stołówka dla pracowników. Irma mówi zmienionym głosem: Kwiaty stwarzają miły klimat i chęć do pracy – wskazuje doniczki ustawione w długie równe rzędy. Na zasłonach tak samo równe pasy serduszek w kolorze piernika.

Irma wciska się między dwie kobiety i namawia Emilię, żeby też usiadła.

Dla chcącego... Irma wyszczerza się do skrzywionych kobiet. Emilia przeprasza, kiedy wzdychając, robią jej miejsce.

Niedługo minie pięć lat, odkąd tu pracuję, mówi Irma. Jeśli masz jakieś pytania, zawsze możesz do mnie przyjść.

Tylko lepiej nie słuchać jej odpowiedzi, rzuca jedna z kobiet siedzących naprzeciwko i wyciąga dłoń do Emilii. A więc to pani jest nowa u dyrektora, mówi.

Irma się śmieje, tamta wzdycha. Irma dobrze wie, o co mi chodzi. Znów zwraca się do Emilii: Klara Lilja, przedstawia się.

Emilia Steen.

Wiem. Jesteś siostrą Sofii. Ja też jestem stąd.

Właśnie, wydawało mi się, że cię poznaję.

I mieszkamy w tym samym domu, ja mieszkam kilka pokoi dalej.

Po mojej drugiej stronie, dodaje Irma. Więc możesz sobie wyobrazić, że jestem pod dobrą opieką.

To cud, że ona tak długo została, mówi Klara i wywija palcem wskazującym między Irmą i sobą. Jak długo utrzymałaś się w swoim poprzednim miejscu pracy?

Ech, to przecież nie była moja wina! Nic na to nie poradzę, że mieszkam w kraju, w którym ludzie wolą nazistów zamiast komunistów.

Klara Lilja przewraca oczami.

Tak, słuchaj uważnie, Emilio, mówi. Ale przynajmniej można powiedzieć, że Irma jest elementem rozrywkowym.

Irma śmieje się głośno. Emilia widzi, że niektóre kobiety w kolejce milkną i odwracają się.

Tydzień mija bardzo szybko, przynajmniej kiedy patrzy się z zewnątrz albo kiedy ma się bardzo dużo pracy. Irma, tak to przynajmniej wygląda, przez cały czas pomagała Emilii. Klara Lilja sprawia bardzo miłe wrażenie, ale Emilia nie miała okazji zamienić z nią choćby słowa. Nie ma takiej rzeczy, o której Irma by czegoś nie wiedziała. Stoi nachylona nad biurkiem Emilii, dyrektor przechodzi obok nich, a ona czyta w jego myślach: To wcale nie wygląda dobrze, naprawdę nie – choć się do nich uśmiecha. Irma nawet się przesuwają, kiedy widzi, że on się zbliża; idzie lekko przygarbiony i wymachuje rękami, ramiona ma lekko uniesione. Kiedy wchodzi w drzwi swojego biura, kuli się jeszcze bardziej, choć wcale nie musi. Emilia nie chce się skompromitować. Jakoś chce to wytłumaczyć Irmie, bo ona najwyraźniej tego nie rozumie.

Irma Frölander! A może by tak panna Frölander wróciła do swoich zajęć?

Dyrektor mówi to zaskakująco dobrodusznie.

Ach, ale to takie emocjonujące, że mamy nową pracownicę, nie uważa pan dyrektor?

Najgorsze, że pan Melin robi się czerwony na twarzy i idzie dalej, kiedy powinien wziąć ją za ramię albo coś podobnego. Ciemne drzwi zamykają się za nim i Emilia się czerwieni, ona też. To jest miejsce pracy, chciałaby szepnąć, surowo. To nie żaden salon. Chce wykonywać swoje obowiązki, chce to robić dobrze.

Czy masz wygodne krzesło?, pyta Irma. Czy odpowiada ci temperatura, oświetlenie? Czy nie jest za dużo kurzu, wilgoci? Same drobiazgi. Na płacę Emilia nie ma powodu narzekać, absolutnie, nawet jeśli Irma robi to za nią. Narzeka zresztą za wszystkich, choć nikt inny w dziale nie wygląda na niezadowolonego. Dla Emilii to naprawdę zaskakująco dobra praca. Właściwie na nią nie zasłużyła. Sterta papierów wcale się nie kurczy. Czarny telefon dzwoni, a na biurku siedzi Irma, Emilia denerwuje się, kiedy podnosi słuchawkę i mówi: Biuro dyrektora Melina, tak, czym mogę służyć? Ma wrażenie, że Irma w każdej chwili może zacząć się z niej śmiać. Ciemne drzwi ukośnie na wprost otwierają się, pan Melin jej potrzebuje. Tak, oczywiście, panie dyrektorze. Tak, chwileczkę, dyrektorze. Głowa boli, nogi... choć siedzi prawie po całych dniach. Po skończonej pracy jedzie rowerem do domu najszybciej, jak tylko może, potem rzuca się na łóżko. Nie może doczekać się nocy, poranka i kolejnej nocy. I tak płynie czas. Z dnia na dzień. Póki coś innego się nie pojawi, bo przecież musi. Nagle chce zapytać Irnę: Chyba musi się pojawić, prawda? Ale właściwie na sercu leży jej co innego. Chce powiedzieć, że jest wdzięczna panie Frölander za życzliwość i pomoc, to naprawdę... za dużo... naprawdę... nieocenione. Ale ona... Bo to jest tak, że... Bo wiesz, Irmo... Ja nie mogę, zwłaszcza teraz, kiedy jest wojna i w ogóle... Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie? Poza tym chcę, żebyśmy mówiły sobie na pani. Nie znamy się. A twoja bluzka jest o wiele za ciasna, Irmo, i zmięta, czy ty w ogóle masz żelazko? Możesz pożyczyć ode mnie, Irmo... panno Frölander, chciałam powiedzieć.

Dzisiaj nie wracamy zaraz do domu, mówi Irma, kiedy zabrzmiała fabryczna syrena na koniec dnia pracy. Jest taki piękny wieczór. Musimy się czegoś napić. Chodź, pojedziemy do Café Łabędź.

Café Łabędź?

Nie znasz tej kawiarni?

Tak, ale...

Nie trzeba koniecznie być komunistą, żeby tam chodzić, jeśli dlatego jesteś taka zdumiona, to jest fajne miejsce, dobre dla takich jak ty i ja...

Emilia nie rozumie, o co jej chodzi.

Poza tym to już nie jest takie straszne, być komunistą, chyba wiesz o tym. (Irma się śmieje.) W wyborach dostaliśmy całe piętnaście mandatów.

My?, dziwi się Emilia. Nie wiem jeszcze... kiepsko dzisiaj spałam...

Tylko na chwilę... Proszę. To ci dobrze zrobi, zobaczysz. Wyjść gdzieś, pomyśleć o innych sprawach. Potem też człowiek lepiej śpi.

Przez trzy sekundy Irma stoi przed nią z głową przechyloną prosząco, potem wsiada na rower i pedałuje w stronę mostu, zieleń wokół wygląda jak dżungla; odwraca się i macha ręką: No chodź! I Emilia rusza za nią.

Cafe Łabędź.

Irma ma czarną chustę w wielkie żółte róże. Frędzle są splątane. Nosi ją zarzuconą na ramiona. Kobieta za kontuarem wita ją wesoło, ma na imię Molly, Irma przedstawia je sobie, potem siada na zielonej sofie na środku sali. Kilku mężczyzn pozdrawia ją skinieniem i macha ręką. Irma mówi, że po prostu tak się złożyło, że chodzi tu wielu zwolenników lewicy. Anders i Lennart mają wręcz własny stolik, wskazuje dwóch mężczyzn. A tam zawsze siedzi Bakunin.

Irma pokazuje mały stolik w najdalszym kącie lokalu, przy którym potężny mężczyzna z brodą siedzi pochylony nad gazetą.

Ależ to jest Hugo Lindblom, szepcze Emilia.

Znasz go?

Tak sobie. Grał w piłkę z Edwinem... Chcesz powiedzieć, że on też jest komunistą? Emilia mówi to tak cicho, jak tylko potrafi.

Nie, on jest anarchista. Oni nie są tak groźni.

Irma uśmiecha się.

Dlaczego nazywają go Bakunin? Nie miałam o tym pojęcia.

Ech, to tylko my go tak nazywamy. To pisarz, anarchista, do którego Hugo jest nawet trochę podobny z tą brodą... i... no... Irma robi gest w okolicy brzucha. Rzeczywiście, Hugo bardzo utył od czasu, kiedy Emilia ostatnio go widziała.

Irma zamawia dwie szklanki jabłkowego moszczu.

Wkrótce będzie jesień, ale tego nie widać. Jest wojna, tego też się tak nie zauważa. Produkcja w Zakładach Wełnianych wzrosła. Potrzeba dużo mocnego materiału na mundury, płaszcze i koce. Kiedy wybuchła wojna, kobiety siedziały i płakały w godzinach pracy. Do jednej nawet wzywano księdza, opowiada Irma. Jej chłop dostał wezwanie, a ona spodziewała się dziecka, wtedy nikt nie wiedział, co się może zdarzyć, zresztą tego się nie wie nawet i teraz. Dania i Norwegia – czy możesz sobie wyobrazić, że to jest tak blisko? Że bomby spadają na Helsinki? A Anders, co tam siedzi, był w Storsien³⁵. Całymi dniami musiał budować drogi. Budować i burzyć, i budować od nowa. Nie chce teraz w ogóle o tym mówić, możesz sobie wyobrazić.

35 Storsien – obóz pracy na północy Szwecji, w którym zimą 1939-1940 internowano komunistów i innych działaczy lewicy.

Emilia zerka na niego. Irma zerka na Emilię. Ten jej szeroki uśmiech. Jak trzyma ramiona, jakby cała sofa należała do niej. Emilia bierze głęboki oddech. Myśli, że musi się w tym odnaleźć; wytrzymać. Jeszcze będzie czas, żeby zamknąć za sobą drzwi. Z szafy grającej dolatuje Billie Holiday. Irma nie jest kobietą, którą można by nazwać piękną, uroczą czy coś takiego. Jest wyższa od Emilii, ma pełniejsze kształty, piegowatą twarz, blisko osadzone oczy, prosty długi nos; prawie nie ma odstępów między czubkiem nosa i górną wargą. Pewnie można ją uznać za rudowłosą, ale ten blady odcień rudego dałoby się równie dobrze wziąć za blond; włosy upina byle jak, żadnych loków, falowanej grzywki ani na pazia, jak nosi Emilia.

Skąd pochodzisz?, pyta Emilia.

Ockelbo. Rebecka Forss... ta, co była przed tobą... pochodziła z Amot. Obie wyszłyśmy z biednych domów.

Ale w odróżnieniu od ciebie i mnie, jak przypuszczam, ona nie należała do przypadków beznadziejnych.

Co masz na myśli?

Te, co z jakichś niepojętych powodów nie mogą znaleźć męża.

Emilia wzdryga się.

Przecież jeszcze nie musi być za późno.

Mam dwadzieścia osiem lat, mówi Irma, a ty ile?

Dwadzieścia pięć. I po prostu jeszcze nie spotkałam kogoś, kto...

A jak myślisz, z czego to wynika?, przerywa jej Irma. Nie daje czasu na odpowiedź, macha lekceważąco ręką. Wszystko jedno. Tutaj i tak nie chodzi o facetów i małżeństwo. Ale Rebecka Forss miała inną przyszłość przed sobą, przyszłość Rebecki Forss miała wyglądać inaczej, bez urazy. Zakłady Wehiane to był tylko przystanek. Skok do następnego...

Ale przecież ona zmieniła miejsce.

No, tak też to można nazwać.

Co masz na myśli?

Irma pije duży łyk ze szklanki.

Przede wszystkim chcę powiedzieć, że Rebecka Forss była kimś wyjątkowym. Nie pozwalała nikomu się zatrzymać. Wyglądało, jakby jadła życie, rozumiesz, co mam na myśli? Wielkie kęsy. Bez przeproszania za nic.

Ale potem wszystko się zmieniło.

Irma nachyla się bliżej. Czuć od niej delikatny zapach potu.

Sześć tygodni przed twoim przyjściem do pracy Rebecka Forss umarła.

Umarła? To straszne! Myślałam... Co się stało?

Właściwie nie powinnam tego opowiadać. Ale wiesz, gdyby wszyscy tak myśleli, to moglibyśmy równie dobrze siedzieć cicho przez cały czas, i jakby wtedy wszystko wyglądało? Chcesz może papierosa? Wymieniłam się, mam teraz dużo. Lennart potrzebuje kawy, a ja chcę mieć tytoń, razem jesteśmy wspaniałą parą.

Chodźcie ze sobą?

Nie, ależ skąd, nigdy w życiu, mówiłam ci, że jestem beznadziejnym przypadkiem.

Ale jak ona umarła, Rebecka Forss? Co się stało?

Irma zwleka z odpowiedzią, zapala papierosa.

Została zamordowana.

Co ty mówisz?

Wepchnięta pod pociąg.

Ależ to straszne.

Irma zaciąga się głęboko, a potem opowiada. Tak zaczyna się opowieść o Rebecce Forss.

Rebecka Forss. Piękna jak bogini. Długie złocistorude włosy, aż po tyłek. Jak leśna rusalka. Niepodobna do nikogo. Nie chichotała z dziewczynami z fabryki. Nie należała też do tych, co lubią posiedzieć i pogadać. Zawsze chodziła własnymi ścieżkami. Wyprostowane plecy, a do tego te włosy. Wyglądała tak, jakby zawsze wiedziała dokładnie, dokąd ma iść. Może też dlatego... Może to mogłoby ją uratować, gdyby tylko... Nikt nie wiedział, o czym ona myślała! Siedziała tam przed biurkiem dyrektora i niektórzy uważali ją za snobkę. Ale nie ja. Nie, do diabła, ja ją lubiłam. Ale ona była o wiele młodsza. To nie ma oczywiście żadnego znaczenia, to raczej kwestia psychiki, tak myślę. Temperamentu! Pod tym względem jesteśmy chyba bardziej podobne, ty i ja.

Emilia jest zdumiona, że ona tak mówi, przecież jeszcze wcale się nie znają.

Była zamknięta w sobie, ciągnie Irma. Wcale nie nieśmiała. Nie była skoncentrowana na sobie. Raczej jakby nikogo nie potrzebowała. Ale jak mówiłam, wszystko się zmieniło. I zanim stało się to straszne, przyszła kiedyś do mnie, zapytała, czy możemy porozmawiać, przyszłyśmy tutaj, a ona mi się zwierzyła. Gdyby przyszła wcześniej, to może... Wtedy było już prawie za późno. Albo już było za późno.

Opowiem ci tyle, ile sama wiem, mówi. Bo widzę, że ty potrafisz to zrozumieć.

Potem ścisza głos.

Nie mogę powiedzieć, żebym nie wierzyła w miłość. Ale w naszych czasach to wygląda tak, że ona pasuje bardziej mężczyznom niż kobietom. Biedna Rebecka Forss jest na to bolesnym dowodem.

Bo oczywiście chodzi tu o miłość. Albo przynajmniej o coś, co się uważa za miłość i dlatego tak się to nazywa. Choć to jest brzydkie, a miłość jest czymś pięknym.

Rebecka Forss się zakochała. To jeszcze nic szczególnego. Tragiczne jest to, że reszta opowieści też nie jest jakoś specjalnie wyjątkowa. Kocham cię. (Irma mówi zmienionym głosem.) Proszę tylko, żebyś miała trochę cierpliwości. Pewnego dnia będziemy razem, przysięgam ci.

Rozumiesz?

Rebecka, która była taka silna. Naprawdę taka była. Miała swój świat i swoją przyszłość. I nagle przyszedł on ze swoimi obietnicami. A ona myślała chyba, że wszystko będzie jeszcze... jeszcze lepsze... większe... bardziej – sama nie wiem – żywe, jeśli wpuści go do swojego życia. Ale wiesz, jeśli jest coś, co może człowieka doprowadzić do szaleństwa, to czekanie. Rebecka miała dużo cierpliwości. Była przecież młoda. Wiedziała, dokąd zmierza, i może on mógł jej pomóc. Dostać się gdzieś wyżej. Albo dalej. Gdzieś daleko od miejsca, w którym się znajdowała. Nagle on stał się częścią jej tęsknoty. Nagle zaczęła mylić go ze swoją tęsknotą.

Ona tak o tym nie mówiła. Ale ja tak to rozumiałam. I mówiłam, jak jest, jak będzie: On, moja kochana Rebecko, na pewno nie zostawi dla ciebie swojej rodziny.

To on miał rodzinę?

Tak, wyobraź sobie tylko, mówi Irma. Na przykład dwie małe córeczki.

Irma wzdycha.

Och, biedna Rebecka.

Ale kto to potem – ?

On, to jasne.

Ale dlaczego?

Bo stała na jego drodze. Bo chciała czegoś, czego nie mógł jej dać. Bo Rebecka Forss była silna i odważna, a on był słaby i tchórzliwy.

Pokój Emilii.

Kiedy Emilia wreszcie może zamknąć drzwi do swojego pokoju, kręci jej się w głowie. Godzina jest bardzo późna. Wiesza ubrania, nie ma siły prasować spódnicy, choć bardzo się wymięła w upale późnego lata. Bernardyny na obrazku mają wywieszone języki. Nie może zasnąć. Obraz Rebecki Forss na peronie. To okropne, tak dokładnie wiedzieć, jak wygląda budynek dworca, przed którym Rebecka stoi. To okrutne, jak jej długie włosy lśnią i falują. Dokąd się wybiera? Na co czeka? Pociąg nadjeżdża z daleka, z obcych krajów. Ktoś staje za jej plecami. To dzieje się bardzo szybko. Myślała, że chce ją objąć. Rude włosy zaplątane w koła... Czy próbują zatrzymać pociąg? Czy w ogóle ją widać? Czy można zauważyć, kiedy po ciemku człowiek wpada pod pociąg?

Zapala lampę i wyjmuje z szuflady nocnego stolika zeszyt od Ottona. Otwiera go. Zamyka i odkłada z powrotem.

Stukanie zza ściany. Trzy wyraźne stuknięcia.

Waha się przez chwilę, serce jej wali, po chwili też stuka w odpowiedzi.

Zakłady Wełniane.

Trzy minuty, nie dłużej, jedzie się rowerem z hotelu robotniczego do fabryki. Na pastwisku między domem i mostem stoją dwa konie; jeden brązowy, jeden czarny. To nieoczekiwane pustkowie, samotne krzaki dzikich malin. Z góry, pod górę. Fabryka jest z czerwonej cegły. Setki takich samych okien podzielonych na małe kwadraty. Szesnaście w każdym. Wieża przypomina więzienie. Dalej w stronę rzeki rosną brzozy, klony, jodły; szeleszcząc, zanurzają gałęzie w wodzie. Jak one się utrzymują na tej stromiźnie? Wczepiają się między kamienie i wysoką złocistą trawę.

Klara Lilja pozdrawia Emilię wesoło zza swojej maszyny, pyta, czy jej się tu podoba.

Tak, oczywiście, dużo nowych rzeczy, oczywiście.

Odpowiada tak, jak powinna. Słowa wychodzą z jej ust szybkie i sztywne. Ale Klara Lilja uśmiecha się życzliwie. Czeka przy maszynie. Czy czeka, aż Emilia przejdzie na swoje miejsce? Czy może czeka na coś innego niż to sztywne, poprawne?

Dyrektor sprawia wrażenie miłego, dodaje Emilia. Kilka kobiet siedzących trochę dalej zaczyna chichotać. Klara posyła im surowe spojrzenie, potem patrzy z uśmiechem na Emilię.

Wyglądasz na zmęczoną, mówi.

Mam pewne problemy ze snem.

To przykre, ale jest duszno, a po naszej stronie rano jest słońce. Nic nie pomaga, nawet kiedy się otwiera okno.

Tutaj jest chłodniej, mówi Emilia.

Znów zapada cisza. Słyszysz jakieś szepty, a może to odgłosy z rur.

Idziemy w sobotę po pracy do Ulli, mówi Klara, często tam chodzimy z dziewczynami (ręką zatacza kolo po hali), będzie nam bardzo miło, jeśli się z nami wybierzesz.

Cieszę się, mówi Emilia. Bardzo chętnie. Dziękuję.

Idzie na swoje miejsce. Irma przemyka obok niej, łapie ją za ramię i odciąga na bok.

Wyberzemy się gdzieś razem po pracy, co?

Prawie nie spałam tej nocy. A kiedy zasnęłam, śniła mi się Rebecka.

Irma rozgląda się na boki.

Nie możesz mówić o Rebecce tutaj, szepcze. To trochę delikatna sprawa. To się stało tak niedawno.

Panno Steen, jest już pani! Proszę ze mną, mam list, który musi...

Ciemne drzwi się otwierają, pan Melin wzywa ją skinieniem.

Jeśli panna Frölander pozwoli, mówi, ale nie brzmi to surowo, w jego głosie jest śmiech.

Jego pokój prawie wcale nie jest ogrzany, mimo ciężkich granatowych zasłon. Na biurku, zauważa Emilia, stoi mały wentylator.

Czy trudno jest się wdrożyć?

Emilia nie rozumie.

Do pracy, do nowych obowiązków... Pan Melin starannie wymawia każde słowo.

Ależ nie, panie dyrektorze, wcale tak nie uważam. Bardzo tu jest miło, miły klimat.

Myślę, że pani bardzo dobrze tu pasuje. Odchrząkuje i podciąga ramiona, zaczyna dyktować. Przerywa. Poprawia muchę.

Cieszę się, że pani tu jest. To, co stało się z moją poprzednią sekretarką, było bardzo smutne. Na pewno pani słyszała?...

To rzeczywiście straszne, mówi pośpiesznie Emilia. Pan Melin znów chrząka. Jego garnitur jest za duży. Jego dłonie co chwilę chowają się w rękawach, znikają.

Czy dużo się o tym mówi, jak pani sądzi?

Tego nie mogę powiedzieć. Tylko panna Frölander trochę...

Urywa. Ale pan Melin wcale nie wygląda na rozgniewanego, wręcz przeciwnie.

Właśnie, mogę sobie to wyobrazić. Irma Frölander lubi dużo mówić. Dyrektor się śmieje, Emilia się uśmiecha.

Chcę, żeby moje dziewczęta miały dobrze, mówi. Jeśli coś pani leży na sercu, proszę się nie wahać, obiecuje pani?

Café Łabędź.

Budynek jest niebieski, jaskrawoniebieski, żadnego napisu CUKIERNIA, jak U Ulli. Zresztą U Ulli ostatnio jest też restauracją, serwuje proste dania, Café Łabędź ma tylko litery na drzwiach, tabliczka do odwracania z napisami „Otwarte” i „Zamknięte”. Na piętrze są pokoje. Mieszkania dla samotnych młodych mężczyzn. Wnętrze błękitnego budynku jest zadymione. Irma pali więcej niż mężczyźni. Odchyłona na oparcie. Nachylona do przodu. Z roziskrzonym spojrzeniem przesuwa dłońią po blacie stolika, przestawia świeczniki, talerzyki, szklanki.

Zaraz zobaczysz, mówi. Pokażę ci moje skarby.

Słońce wpadające przez okno oświetla stolik i dłonie Irmy, kiedy otwiera torbę i wyklada książki. Emilia nie zna nazwisk na grzbietach. Oprócz Elin Wagner, która na wiosnę została wybrana do Akademii Szwedzkiej. Ale Aleksandra Kołontaj, Virginia Woolf, Victoria Benedictsson, Róża Luksemburg. Nawet nie wie, jak ma wymawiać te wszystkie obce nazwiska. Niektóre książki mają wytarte grzbiety. Kilka z nich jest po angielsku, zauważyła to, kiedy zaczyna je kartkować. W wielu dostrzega podkreślenia. Notatki na marginesie, a w jednym miejscu, zniecka: *Jeśli nie potrafisz tak mówić, to znaczy, że jesteś tchórzliwą, żalną ofiarą.*

Chcę tylko, żebyś wiedziała, że one są, mówi Irma. I oczywiście chętnie ci pożyczę. Niech sobie tamte przesiadują U Ulli i gadają o biustonoszach, gorsetach Spirelli i sztucznym miodzie.

Ależ jesteś złośliwa.

Uważaj, bo dopiero mogę być.

Emilia dotyka okładek. Opowiada o Sofii, która czytała książki, choć jej nie pozwalano. Przychodziła mama i robiła jej wymówki.

Widzisz, o tym też tu jest. Irma poklepuje książki.

Ale nie było na to czasu, to dlatego, wyjaśnia Emilia.

Nie ma być czasu. Przynajmniej my nie powinnyśmy go mieć. Ojciec Elin Wagner miał bibliotekę, a ona marzyła o dostępie do książek za przeszklonymi drzwiami. Ale nie tym powinna się zajmować. Miała szyć i pielęgnować kwiaty. My przynajmniej możemy pracować. Ale Elin mogła marzyć i to ją zaprowadziło daleko.

Mój ojciec, ciągnie Irma, nie miał pięknych książek na półkach, nawet nie posiadał encyklopedii. Upijał się i zdradzał. Ale wierzył w Marksa i lubił cytować. To już dużo znaczy. A moja mama miała książkę z wierszami, którą dostała od swojego starszego kuzyna na konfirmację. Chyba się w niej kochał, napisał w książce jej imię: Dla Jenny. Pamiętam tamten charakter pisma. Można było zauważyć, jak pióro mu drżało, kiedy starał się, żeby te litery były tak piękne, jak się tylko da.

Mój tata też pił, mówi Emilia, choć usta i szczęki jej sztywnieją, kiedy wypowiada te słowa.

Czy nie żyje?

Żyje, dalej mają gospodarstwo, ale zostały im tylko dwie krowy, większość ziemi wydzierżawili.

A twoi bracia?

Ech, oni chcą czegoś innego. Otto, mój młodszy brat, był marynarzem i artystą cyrkowym, a teraz jest sprzedawcą.

Chcą czegoś innego, przedrzeźnia ją Irma, a ty, czego ty chcesz?

Nie wiem.

Coś chyba musisz wiedzieć.

Jedyne, co wiem, to... że chcę stąd wyjechać.

No to co tu robisz w takim razie?

Emilia nie wie, co ma odpowiedzieć.

Myśli o czarnych wachlarzach w oknach panny Filipsson, nawet nie wiedziała, czy miały jakiś wzór i jak on mógł wyglądać... Czy tam były kobiety, byki, ptaki czy góry? Góry i woda albo kwiaty – jakie kwiaty? A może były tylko czarne? Nie widziała nic z bliska, od środka... Żółte kimono... Odgłos jej stóp na żwirowej ścieżce... Jak mogłaby wytłumaczyć Irmie, że choć tam były dźwięki i zapachy, to jednak są to tylko obrazy. Chce opowiedzieć o pannie Filipsson. Ale co ma powiedzieć? Że zakradała się pod jej okno, żeby zobaczyć choć cień, wsiadała na rower i uciekała, gdy tylko usłyszała najmniejszy odgłos, to przecież taka głupia historia. Ale raz, kiedy tam stała i się gapiła, i usiłowała coś dojrzeć – co takiego chciała dojrzeć? – znienacka nadeszła Malva i stanęła za jej plecami... „Emilio, co tu robisz? Czy chcesz czegoś?” Miała w dłoni kurczę. Było takie żółte, to był tylko ten kolor. Emilii nie przyszło do głowy nic, co mogłaby powiedzieć. Czy to kurczę uciekło? Czy ma jakieś imię? Nie wpadła nawet na najprostsze i najgłupsze pytania. Najbardziej kretyńskie słowa – nawet tego nie powiedziała. Jaki śliczny! Albo mogła po prostu odpowiedzieć... powiedzieć, jak było... jak jest:

Nie wiem.

Wszyscy stoimy nad krawędzią, mówi Irma. I jeśli ktoś popycha za mocno, musimy się nauczyć odpychać jeszcze mocniej albo przynajmniej stać bardziej pewnie. Wiesz, można udawać, że jest się drzewem, że się ma korzenie, które przechodzą przez stopy, głęboko w ziemię...

Ale wtedy nie można się w ogóle ruszyć.

Jak to?

Mówiłaś przecież...

Nic nie mówiłam.

Irma zapala jeszcze jednego papierosa.

Zabawna jesteś, naprawdę, mówi z uśmiechem. Ale lubię cię. Ty myślisz o różnych rzeczach. A nie każdy to robi, wierz mi.

Co się stało z tamtym, co zabił Rebeckę? Siedzi w więzieniu?

Jeszcze czego. Za coś takiego nie idzie się za kraty.

Przecież ją popchnął.

Mówiąc przenośnie, zrobił to. Ale w rzeczywistości nawet go tam nie było. W rzeczywistości siedział w domu z rodziną, wcale się nie przejmował biedną Rebecką.

Nie rozumiem...

Ona skoczyła.

Nie została zamordowana?

To kwestia definicji. Róża też została zamordowana, bo stawiała wymagania wobec życia, które były prowokujące. A Virginia była samobójczynią. Może z tego samego powodu, co Róża, została zamordowana. Głód życia. Nie można się nasycić i napęcza się innym stracha.

Ale dlaczego w takim razie mówiłaś, że została zamordowana?

Dlatego, że nie można powiedzieć, że Rebecka odebrała sobie życie, bo ktoś inny je jej odebrał.

Emilia myśli o Sarze Andersson, że człowiek ma swoją odpowiedzialność, nie myślała o tym wtedy, kiedy to się stało, była za młoda i to było zbyt straszne, żeby mogła zrozumieć, ale co śmierć Sary przyniosła dobrego?

Sama podjęła decyzję, myśli Emilia. Człowiek sam decyduje o swoim życiu. I jeśli ten mężczyzna, którego Rebecka kochała, był takim idiotą, to nie miało to nic wspólnego z Rebecką, mogła odwrócić się na pięcie i odejść.

To znaczy, chcesz powiedzieć, że skoczyła, bo on jej nie kochał?

Ech, to uproszczenie. Przeczytaj te książki, to może lepiej zrozumiesz.

Irma odchyła się na oparcie. Woła w kierunku Molly. Jeszcze jedną szklanę.

Boże, ależ gorąco, mówi. A jednak mam lodowate palce. Zobacz tylko!

Wyciąga dłonie przed siebie. Emilia dotyka jej palców. Ale wydają się jej ciepłe. Mówi jednak: Rzeczywiście.

Obraz Rebecki na peronie.

Książki na stole.

Niczym się nie różnimy, mówi Irma. Rebecka była tak samo odważna jak one tutaj, jak wszystkie inne. Nie była wcale gorsza.

Emilia myśli, jak to wyglądało dla Fransa Anderssona. Dla kwiatów.

Molly podchodzi z dzbankiem.

Weź przynajmniej tę, mówi Irma i wręcza Emilii jedną z książek.

Czytam okropnie powoli, przyznaje Emilia.

I tak cię lubię. Irma uśmiecha się. Pije. Wypija wszystko jednym haustem.

A dokąd chcesz jechać tak w ogóle? Kiedy mówiłaś, że chcesz wyjechać, to o czym myślałaś?

Nie wiem, odpowiada Emilia. Po prostu wyjechać gdzieś daleko.

W takim razie musisz wyjechać, mówi Irma. Będziemy trzymać kciuki.

Pokój Emilii.

Ostrożnie, powoli Emilia rozcina kartki w zeszyście od Ottona.

Drogi.

Starannie kreśli litery, a mimo to słowo krzyczy do niej z pustej jeszcze strony. Waha się. Drogi... Ottonie? Droga Sofio?

Irmo?

Nie.

Drogi Carlu Melinie.

Pisze dalej: To był fantastyczny wieczór. Dużo rozmawialiśmy, Irma i ja. Rozmawialiśmy o innych kobietach. Takich, co nie pracują w Zakładach Wełnianych. Takich, co pisały książki. I mówiły. Przemawiały głośno przed innymi ludźmi. Tak się cieszę, że tu trafiłam. Przez pewien czas czułam się okropnie. To było jak porażka; jakbym zobaczyła już ten mały, malutki świat... i co jeszcze mogłabym zobaczyć? Byłam pewna, że tutaj będę tylko tkwiła w miejscu, na tej ziemi, i wydeptywała coraz głębszą dziurę. Przepraszam, że tak piszę. Nie chcę, żeby to wyglądało, że się w jakikolwiek sposób nad sobą użalam. Ale spotkałam Irmę. I myślę, że ona jest w pewien sposób interesująca. Dziwna, ale interesująca. I spotkałam pana, Panie Melinie. I zaczynam się zastanawiać, czy to – co na początku brałam za dół – nie jest dalszą drogą, do czegoś całkiem innego, czegoś, czego jeszcze nie widziałam, czegoś, za czym tęskniłam przez całe życie. Proszę wybaczyć, jeśli trochę przesadzam. Zobaczymy się w poniedziałek. Dobranoc.

Biuro pana Melina.

Emilia przynosi dokumenty i teczki, pan Melin wstaje, bierze od niej plik.

Biedactwo, śmieje się, ma krople potu na czole. Emilia zawraca do wyjścia. Dyrektor chrząka. Czy to wełna? Słucham, panie dyrektorze? Pani kostium. Czy jest z wełny? Tak.

Dyrektor dotyka rękawa. Emilia wstrzymuje oddech. Jego ręka łąduje na jej ramieniu.

Proszę wybaczyć, mówi i cofa dłoń, to chyba moja choroba zawodowa. Czy pani sama go uszyła? Tak.

Jaka zdolna. Jest bardzo twarzowy. Ach, dziękuję, naprawdę pan tak uważa? Nie miałam czasu go wyprasować wczoraj wieczorem, więc... Emilia urywa. Dyrektor się uśmiecha. Nic takiego nie widać, nie musi się pani niepokoić. Dziękuję, mówi znowu Emilia. Dyga. On przytrzymuje drzwi, śmieją się razem. Na twarz Emilii występuje gorący rumieniec.

Panno Steen, jest mi bardzo przykro, jeśli... Ależ skąd, wcale nie, w tej chwili przychodzę. Mam nadzieję, że nie uważa pani, że powiedziałem coś niestosownego? Zamyka za nią drzwi. Co pan dyrektor ma na myśli? Chcę, żeby dziewczęta czuły się u mnie dobrze. Nie powiedział pan nic złego.

Dziękuję pani, panno Steen. Jest pani takim oparciem. Ale wygląda pani na zmęczoną, dodaje, nie obciążam pani za bardzo pracą?

Nie, to tylko przez ten upał. Mam problemy ze snem.

Właśnie, to niesamowite, jakie piękne lato mamy. Sam śpię najlepiej, kiedy jest naprawdę ciepło.

Śmieje się krótko.

Emilia widzi fotografię na jego biurku. Przedstawia małą dziewczynkę z kręconymi włosami. Dyrektor śledzi jej spojrzenie, bierze do ręki zdjęcie.

Najdroższe, co mam, mówi. Mała Inger. Teraz jest starsza niż na tym zdjęciu. Ma już całe sześć lat. I dostała też młodszą siostrzyczkę. Kerstin. Urodziła się w maju zeszłego roku.

Ja też się urodziłam w maju, rzuca Emilia.

Doprawdy, mówi pan Melin. Maj to wspomniały miesiąc na urodziny.

Wpatruje się w zdjęcie. Uśmiecha się, jakby miał przed sobą prawdziwą córeczkę, a nie tylko jej zdjęcie.

Wie pani, panno Steen, takie maleństwa to prawdziwy sens życia.

Niewątpliwie tak jest.

Przysięgam pani, na pewno! Szkoda tylko, że człowiek nie ma czasu, żeby być z nimi w domu. Proszę wybaczyć niedyskretne pytanie, ale jak to się stało, że nie jest pani zamężna?

Pan Melin zaraz unosi dłonie do góry.

Przepraszam, oczywiście nie musi pani odpowiadać.

Chyba nie jestem jakoś szczególnie interesująca.

Pożałowała tego, ale słowo już padło. Pan Melin się śmieje.

A inne kobiety są, tak pani myśli?

Jego policzki nabierają kolorów. Znów wybucha śmiechem, ale inaczej. Jego dłonie wędrują po biurku. To niesłychane u kobiet, mówi dalej i gładzi palcem górną wargę, jakby miał tam wąsy. To tak, ciągnie w zamyśleniu, jakbyście myślały, że mężczyźni oczekują czegoś... więcej... Moje doświadczenie podpowiada, że zawsze jest coś... Najczęściej, chciałem powiedzieć, jest wiele wspaniałych rzeczy u kobiety. To nie musi być takie widoczne. A wtedy zwykle tym bardziej zachwyca.

Emilia myśli, że nie o wygląd jej chodziło. Czuje się zawstydzona słowami pana Melina. Że też z jej powodu on wdaje się w takie rozważania.

Może ma pani zbyt wysokie wymagania?, mówi dalej dyrektor, jakby już nie powiedział wystarczająco dużo. Emilia nie wie, co odpowiedzieć. Przez jedną oszłamiającą sekundę nie jest pewna, gdzie się tak naprawdę znajduje ani kim jest. W tym miejscu. Tym miejscu. Nie potrafi zdefiniować, czym jest to miejsce. Biuro. Tak, to biuro. Biuro pana Melina. Zakłady Wełniane. Järbo. Co ona tu robi? Dygnięcie. W piersiach pali. Co to tak pali?

Proszę mi wybaczyć, oczywiście jestem bardzo zadowolony, że mamy tu panią, zdziwiony, ale ucieszony, gdyby pani była mężatką, wtedy raczej...

Wysuwa dłonie z rękawów marynarki. Zresztą to nic takiego szczególnego, życie w małżeństwie. Coś się dzieje z miłością, trzeba pani wiedzieć, kiedy zawiera się taki związek, a zwłaszcza kiedy człowiek ma potomstwo. Chyba tylko w bajkach ludzie żyją szczęśliwie... Jak pani sądzi? Czy myśli pani, że można żyć szczęśliwie także w rzeczywistości? W dodatku do końca swoich dni?

Zanim Emilia zdąży odpowiedzieć – nie wie, co powinna odpowiedzieć: Mam nadzieję. Albo: Nie sądzę, żeby właśnie o to chodziło; szczęście... Nawet nie zdążyła wzruszyć ramionami: Szczęście? (to byłby niezbyt elegancki gest), czy pokręcić głową (ale to by wyglądało, jakby w ogóle nie wierzyła w szczęście) – pan Melin już jej przerywa:

Poza tym, prawie bym zapomniał, czy mogłaby pani zadzwonić do księgowego Leijona i umówić mnie na spotkanie z nim jutro po lunchu?

Café Łabędź.

Męskie głosy brzęczą. Sala jest łaką pełną owadów, motyli. I jeszcze światło, cóż za bajeczna jesień, lato nie chce się wycofać. Jedzą nadziewane filety śledziowe. Irma ma na sobie spódnice w kropczki, swoją najlepszą.

Otto dał mi zeszyt na dwudzieste piąte urodziny, opowiada Emilia, coś w rodzaju pamiętnika... albo może dziennika. Suszyłam w nim kwiatki. Brałam go do ręki, przyglądałam się białym kartkom...

Czekałam, dopowiada Irma.

Tak.

Tak samo, jak czekała Rebecka.

Nie, wcale nie. Dlaczego tak samo jak Rebecka?

Nagle gwar męskich głosów narasta, przy jednym ze stolików wybucha kłótnia, siedzi tam Lennart i ktoś, kogo Emilia nie zna.

Wy cholerne durnie, mówi obcy, cholerni zdrajcy.

Wybiega z lokalu.

Wszyscy przyglądają się tej scenie. Łąka znika. Koronki na batystowej bluzce Irmy wyglądają żałośnie.

W pewien sposób tak samo, podejmuje Irma, kiedy znów zapanował spokój.

A właśnie że wcale nie!, wykrzykuje Emilia i znów wszystko wokół się zatrzymuje. Mężczyźni spoglądają na nią z rozbawieniem. Molly wymienia spojrzenia z Irmą. Irma wymienia spojrzenia z mężczyznami. Wykonuje gest. Uspokajający. Jakby ona... jak gdyby wszyscy wiedzieli, jaka jest Emilia. Jak gdyby wszyscy wiedzieli, oprócz niej. Wygląda przez okno. Kiedy była mała, zawsze łatwo mogła się rozpłakać, ale teraz już tak nie jest. Słońce zachodzi za półokrągłym dachem Domu Ludowego. Powoli po niebie rozlewa się różowość. Oni nic nie wiedzą. Nigdy nie wiedzieli. Emilia wyobraża sobie pokój pana Melina. Tam, myśli, tam jest coś – chce to pokazać Irmie, ona tego nie potrzebuje. Prostuje plecy. On jest miły, mówi do Irmy. Ma dobre oczy.

Kto taki? Uśmiecha się Irma. Twój narzeczony?

Narzeczony? Nie, mówię o panu Melinie.

Irma prycha.

Ach tak. A dlaczego myślisz, że on jest miły?

On się o nas troszczy, mówi Emilia, o swoich pracowników, to ważne dla niego, żeby nam było dobrze.

No jasne.

Irma wytrząsa papierosa z papierośnicy. Na wierzchu ozdobiona jest kołem, w to koło wpisany jest paw – a może to sam paw stanowi koło, jego głowa bardziej przypomina węża niż ptaka.

Nie wiem, czy powinnam ci o tym opowiadać, mówi Irma. Jesteś nowa i tak ci się podoba... i... Nie.

Opowiadać co?

Obiecałam sobie, że po tym, co się stało z Rebecką... Że nie... Ale co to właściwie za obietnica?

Irma wbija wzrok w Emilię.

Naprawdę chcesz się dowiedzieć więcej?

Emilia chce odpowiedzieć, że nie wie, jak może chcieć czegoś, o czym nie ma pojęcia, ale Irma ujmuje jej dłoń, to dziwne uczucie, bardzo mocno ją ściska.

Mężczyzna, z którym Rebecka... Którego ona... Mężczyzna, o którym można powiedzieć, że zabił Rebeckę... To był pan Melin. To był twój ukochany dyrektor.

W drodze do domu prowadzą rowery, Irma próbuje niemal pocieszać Emilię, mówi rzeczy takie jak: Skąd mogłaś wiedzieć... On potrafi robić takie dobre wrażenie i...

Emilia przystaje.

Może on kochał Rebeckę, mówi. Ale przecież ma małe dzieci... Może wtedy to niemożliwe.

Nawet najgłupsza gęś chyba rozumie, że gdyby naprawdę kochał Rebeckę, to albo zostawiłby rodzinę, albo zachowałby tę swoją głupią miłość dla siebie. Zresztą jaka tam miłość... czysta żywa żądza, takie jest moje zdanie na ten temat.

Ależ Irmo!

Ech, nie udawaj pruderyjnej.

Ale tak czy inaczej nie musiała odbierać sobie życia, mówi Emilia. Mogła chyba robić, co chciała.

A co, jeśli nie mogła?

Przecież to może każdy!

Rebecka Forss nie była taka jak ty i ja. Nie umiała mówić o sprawach w ten sposób. Może w głębi duszy nie uważała, że jest kimś szczególnym. W samej najgłębszej głębi. Jak prawda, do której nie można dotrzeć. Albo jak kłamstwo. I to właściwie nie jest problem, dopóki ktoś nie przyjdzie i nie zacznie w tym grzebać. Ale pan Melin nie tylko w tym grzebał, on wręcz – przez to, że potraktował ją w taki sposób – wyciągnął to na wierzch. Ona miała nadzieję, a on tę jej nadzieję poniżył. Kiedy ją zdradził, to jakby powiedział jej: Nie powinnaś sobie wyobrażać, że możesz robić w życiu, co chcesz.

Ale właściwie tak nie powiedział?, protestuje Emilia.

Irma jej nie słucha.

Wyciągnął tę najdelikatniejszą część na wierzch, złapał ją – i zabił. To mam na myśli, kiedy mówię o morderstwie. Równie dobrze mógł pchnąć biedną Rebeckę pod pociąg. Może w pewien sposób to byłoby bardziej godne.

Pokój Emilii.

Czego chcą słowa w zeszycie? Co one chcą zrobić?

Chcą narysować pociąg, kobietę, dużego czarnego konia, który pędzi, ziemia pod nim krzyczy, nie można go zatrzymać.

Drogi Panie Melinie.

Te słowa długo były na papierze. Czarne na białym. Jest już późna noc.

Panie Melinie. Sprawa z Rebecką. To jest coś, co mnie właściwie nie dotyczy, lecz jeśli pozwoli mi Pan na szczerość, to chcę powiedzieć, że Pan jej nie zabił. Wiem, albo tak sędzę, że Pan naprawdę, naprawdę ją kochał, że strata była dla Pana bolesna. Tak, im więcej o tym myślę, tym lepiej rozumiem, że tak jest – ale nie mógł Pan porzucić rodziny. Irma zdaje się tego nie rozumieć, że rodzina składa się z dzieci, a dzieci nie można porzucać. Widziałam pańskie spojrzenie, Panie Melinie, i uważam, niezależnie od tego, co mówi Irma, że postąpił Pan honorowo. Kiedy się kogoś kocha, trzeba mieć odwagę powiedzieć o swoich uczuciach. Wszystko inne to tchórzostwo, dlatego Pan jest odważny. To, co Rebecka zrobiła potem, wykracza poza pańską odpowiedzialność. Człowiek, o tym jestem przekonana, sam wybiera swoje życie.

Biuro pana Melina.

Jeśli podejdzie pani trochę bliżej, może pani zobaczyć w tej teczce...

Jest tak blisko, że czuje ciepło jego ciała.

Rozpędzone, narowiste, rozśpiewane – czarne ciało z jego ciała wychodzi jej naprzeciw, coraz bliżej i bliżej.

No właśnie, mówi i zamyka teczkę. Emilia wzdryga się, dyrektor się śmieje, a Emilia jest piórkiem, które wolno, o wiele za wolno i tylko gnane jego oddechem i powiewem wentylatora wyfruwa przez drzwi.

Ty też idziesz po pracy do Ulli, Irmo?

Jest przerwa, wyszły do parku, w powietrzu wisi burza, wieje wiatr.

Do Ulli?

Tak, Klara Lilja mówiła, że wy...

Nie, nie my. One. Ja nie zostałam zaproszona. Ja nie bywam zapraszana.

Irma gasi papierosa na ziemi. Wysoko nad drzewami owocowymi wełna systemem rur wędruje do fabryki.

Zresztą nie lubię Ulli, mówi Irma. Tam zaraz uciszają, kiedy się mówi za głośno, ale to może tylko mój głos im przeszkadza.

Nie musisz wszędzie doszukiwać się upiórów, Irmo.

Ale byłoby dobrze, gdyby ludzie odważyli się gdzieś je przynajmniej widzieć.

Jednak chyba możesz tam iść?

Mogę, nie mogę. Może po prostu nie mam ochoty. Może tysiąc razy wolę siedzieć w kawiarni Łabędź i mówić swoim głosem o rzeczach, które naprawdę coś znaczą. Klara Lilja i spółka, jak myślisz, o czym one rozmawiają? O facetach, naturalnie.

Ale my przecież też.

Spojrzenie Irmy twardnieje.

To, o czym rozmawiamy ty i ja, to są życiowe, ważne sprawy. To takie rzeczy, że... gdybym mogła rozmawiać o tym z Rebecką, wtedy ona... Wtedy by tego nie zrobiła – nie rozumiesz tego?

Chyba jednak jestem głupią gęsią.

Tak, rzeczywiście jesteś.

Irma wstaje z ławki.

Baw się dobrze U Ulli, zobaczymy się w poniedziałek.

Irmo? Ty?...

Naprawdę tak myślę. I na pewno będziesz dobrze spała tej nocy, przynajmniej raz.

Irma stoi na wpół odwrócona plecami.

Może wcale nie chcę spać dobrze, Irmo. Może wolę siedzieć i słuchać twoich opowieści o upiorach.

Irma odwraca się powoli.

Nie mam ochoty iść do Ulli, ciągnie Emilia. Byłam tam już tysiąc razy i nigdy nie działa się nic naprawdę ciekawego.

Ty gąsko! Irma śmieje się i bierze ją pod ramię.

Niedziela.

Emilia wraca do siebie po odwiedzinach u mamy i taty. Padało przez kilka dni, pola są zalane, już za miesiąc może spaść śnieg. Droga leży przed nią ciemna i pusta. Sama nie wie, jak skręca w stronę willi Carla Melina. Dom stoi na zboczu. Osiem okien, dwa jałowce. Ciemne gałęzie zwieszają się nad dachem, cały dom zdaje się zamknięty w ciemności, naga huśtawka ogrodowa, skrzypiąc, kołysze się na wietrze. Zielone grabie oparte o maszt na flagę. Krzew pięciornika, powyginane jabłonie. Na zwirowanej ścieżce błotniste kałuże i liście.

Ukrywa się w pewnej odległości od domu. Wyobraża sobie ceratową poduszkę w mocnych kolorach na bujanym leżaku; kwiatowy wzór w kolorze bordowym i jasnej zieleni. Malwy w różnych odcieniach różu wzdłuż ściany, a ona ma na sobie tak cienką suknię, że jest niemal przezroczysta, ale ona o tym nie wie, nogi ma brązowe i gładkie. Tato, tato! Słyszy jasne głosy dziewczynek, kiedy córki schodzą po schodach, Inger i Kerstin... Jest wcześniej rano. Mają na sobie takie same bawełniane sukienki w drobną krateczkę. Kerstin toczy się na swoich pulchnych nóżkach. Tato, tato! Pani Melin idzie za nimi, niesie tacę z dzbankiem soku; dźwiczą kostki lodu... Twarz pana Melina jest opalona... Inger siada mu na kolanach... Po krótkiej chwili zganiania ją... Zasypia w ciepłe... Śni... Śni mu się...

I nagle zapala się lampa nad schodami. Emilia pośpiesznie wsiada na rower i odjeżdża; szprychy wirują szybko, coraz szybciej. Widzi coś kątem oka, coś wypada z rzadkiego lasu, przebiega przez drogę, czuje jakieś ciało pod przednim kołem, jakieś ciało, które się wygina, dziwnie miękkie, widzi kota pędzącego dalej, jakby nic się nie stało... ale Emilia straciła kontrolę, równowagę, leci w dół i pada; ma tylko dziurę w pończosze, trochę krwi na kolanie, a jest bliska płaczu. Leży na ziemi, stara się powstrzymać, dusi w sobie, dławi, i o co będziesz płakać, co to ma za znaczenie, czy płaczesz, kiedy i tak nikt nie słyszy? Wstaje, otrzepuje się, jedzie dalej. Wiele okien w hotelu robotniczym jest rozświetlonych. Co te kobiety robią w swoich pokojach? Klara Lilja, na przykład? Co Klara Lilja robi w taki wieczór?

Pokój Emilii.

Zapisała już całą stronę w zeszycie, wkrótce będą dwie; jakby nie mogła przestać. Najpierw słowa były staranne, przykładała się, żeby ładnie łączyć litery, kreski równej długości – jakby trzymała się niewidocznych linii, ale zapomina się, zaczyna paplać:

...w 1882 roku średnia długość życia dla kobiet wynosiła trzydzieści siedem lat. Ale wtedy kobiety częściej umierały w połogu. Moja siostra umarła w połogu. Wprawdzie to nie było w XIX wieku, ale... Przepraszam. (Przekreśla to, ale zaraz żałuje, tak wygląda jeszcze bardziej nieporządnie.) Otto zawsze się ze mnie śmieje, że gubię wątek. Raz weszłam do pokoju, gdzie on stał i rozmawiał z tatą, tata nalał mu wódki, stuknęli się, pamiętam, to był Nowy Rok, weszłam tam i zaczęłam mówić, ja też. To nie było nic wyjątkowego. Chyba coś o jakimś filmie, tak myślę, który oglądałam i mi się podobał. Zaczęłam o nim mówić. Ale potem nie umiałam się wyplątać – nie mogłam znaleźć drogi pośród słów. Jakbym musiała się między nimi przeciskać, jakby były za duże, zbyt wiele ich. A wtedy nie pomaga, kiedy się próbuje użyć jeszcze większej ilości słów. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się pod powierzchnią, na wierzchu był lód i gdzieś była dziura, przerębel, przez który można się wydostać. Nie wiedziałam, jak mam do niego dotrzeć. Pod lodem słyszałam ich śmiech. To nie to chciałam panu opowiedzieć. Ale przez pewien czas czułam się prawie tak samo, tutaj. Choć tego nie da się tak naprawdę wytłumaczyć i nie chciałabym tego porównywać z niczym innym. To może głupio wyglądać. Lydia, ta młoda dziewczyna w sklepie spożywczym Larssona w Sandviken – wiem, że jej pan nie zna, ale ona ma fińską przyjaciółkę, a ona w listach opisywała bomby spadające na Helsinki; nie można sobie tego wyobrazić, jeśli się tego nie przeżyło. Ona, to znaczy ta Finka, musiała zostawić swoją córeczkę, która miała zaledwie dwa lata. Ale tak naprawdę okropne jest, że ja mimo wszystko porównuję. Myślę, że gdybym była na jej miejscu, wtedy przebiłabym się przez tę warstwę obrazów, warstwę lodu – wtedy nie mogłabym stać z boku. Lennart – jeden z facetów przesiadujących w Łabędzie – pokazywał nam z Irmą

zdjęcie mężczyzny, którego żona zginęła w bombardowaniu, obejmował ją tak mocno, szarpał jej ciało, próbował wyciągnąć ręce przez śmierć. Za nim stali ludzie, chcieli go od niej oderwać. Nie mogę zapomnieć wyrazu jego twarzy. Nie mogę zapomnieć, bo poczułam zazdrość, choć nie mogę sobie wyobrazić czegoś straszniejszego niż to, co on przeżywa. Pan pewnie myśli, że zwariowałam. Nie dojdę do tego, do czego chciałam dojść. Słyszę, że i pan się śmieje, ma pan rację. Muszę zgasić światło. Dobranoc, panie Melinie. Zobaczymy się jutro.

Biuro pana Melina.

Dyrektor pyta, co robiła w niedzielę, a ona odpowiada, że wybrała się na wieś do rodziców, a w sobotę wieczorem wychodziła z panną Frölander.

Ach tak, z panną Frölander...

Pan Melin sprawia wrażenie ubawionego, jeden kącik ust mu drga, kiedy wstaje, pochyla się, jakby mógł się uderzyć o coś niewidzialnego na suficie, jak na przykład nisko zawieszona lampa, której tam nie ma. A jednak Emilia widzi, że ona tam dynda.

Nie powinna pani za bardzo słuchać tego, co mówi panna Frölander. Ona ma taką bujną wyobraźnię.

Poprawia podkładkę z ciemnej skóry na biurku.

Często się tak dzieje, kiedy człowiek jest sam, ciągnie dyrektor.

Nie wiem, czy Irma jest szczególnie samotna.

Na pewno się myślę. A jednak.

Nie mówi nic więcej, ale to JEDNAK idzie za Emilią przez drzwi, do maszyny do pisania, klawiszy, w które uderza, szybko i równomiernie. Słyszy głosy kobiet. Jakby zaczęły mówić akurat w tym momencie, w którym wyszła od dyrektora. Jakby czekały, słuchały. Jakby słyszały.

Przy wkręcaniu nowego papieru do maszyny kaleczy się krawędzią kartki, ranka krwawi, pan Melin, przechodząc, zauważa to. Szybko wyciąga chusteczkę i niezdarnie owiązuje nią niezauważalną ranę. Dyrektor odchodzi, a Emilia siedzi z grubym, zbędnym opatrunkiem na palcu, nie wiedząc, co ma teraz zrobić, jaki powinien być następny krok.

Kiedy pan Melin wraca, ona dyga z zakłopotaniem i mówi, że wypierze chusteczkę, kiedy tylko wróci do domu, zsuwa ją z palca; pan Melin się śmieje. Proszę się nie przejmować, mam jeszcze dużo chusteczek, może ją pani wyrzucić.

Chce, żeby poszła z nim do biura. Sceny nakładają się na siebie. Wchodzą jedna w drugą. Są podobne i niepodobne. Tym razem, na przykład, pan Melin nie zderza się z niczym niewidzialnym w powietrzu, ale potraça kałamarz, atrament rozlewa się na biurko.

Dyrektor klnie. Emilia stoi w bezruchu, choć wie, że powinna pomóc. Atrament kapie na podłogę. Jedyne, co mu może zaproponować, to jego własna chusteczka z niewielką plamką – kropeczką – jasnej czerwieni. Chusteczka natychmiast nasiąka granatowym kolorem. Właściwie to żadna pomoc. Także Carl Melin nie rusza się z miejsca. Wskazuje skinieniem stół, potem podłogę. Kilka razy: skinienie, spojrzenie.

Mam po południu ważne spotkanie, mówi.

Dociera do niej, że to ona ma się tym zająć. On poprawia mankiety, wkłada marynarkę. Czy powinna mu pomóc też i w tym?

Drzwi się zamykają, Emilia zostaje sama w biurze i przygląda się mokrej chusteczce. Idzie po papier. Wyciera. Potem zauważa, że na rękawie bluzki ma dużą granatową plamę.

Dzień później Carl Melin chce jej to wynagrodzić, jak mówi, i zaprasza ją na lunch. Emilia dyga i dziękuje. Za plecami, kiedy wychodzą z fabryki, słyszy pojedyncze chichoty, głosy kobiet są tak podobne do siebie; nie można ich rozróżnić. Łagodny szmer z ostrymi brzegami. Chce się obejrzeć, ale nie ma odwagi.

W parku pan Melin spogląda w górę na koronę drzewa, na którym czarne ptaki zebrały się, żeby odlecieć na południe. Nagle wszystkie wzbijają się w niebo, wzlatają równocześnie, jakby na oczekiwany sygnał. Niebo jest pełne ich odgłosów i skrzydeł. Pan Melin mówi, że nie zna się na ptakach. Ale wie, że to drzewo to wiąz.

Musiało tu stać, kiedy jeszcze mój dziadek był mały, może nawet wcześniej. Zaczyna filozofować. Zbacza z tematu. Na chwilę ląduje przy swojej matce, mówi coś o poduszkach i haftach, dalej przechodzi do podróży, którą odbył jako dziecko, na południe. Do północnych Niemiec, ściślej rzecz biorąc. Zadowolony uśmiecha się pod nosem. Emilia jest skoncentrowana na tym, żeby iść mniej więcej równo z nim. Żeby nie znaleźć się przed nim, nie odwracać się i nie czekać na niego, ale też żeby nie zostać za bardzo z tyłu... Pół kroku to optymalna odległość. Do Ulli wcale nie jest daleko, pogoda na spacer także jest odpowiednia, ale Emilia mimo to cieszy się, kiedy pan Melin proponuje jazdę samochodem. Niewielu w Järbo ma samochód. Z tyłu auto ma zamontowany duży zbiornik z gazem. Pan Melin, ku jej zdziwieniu, przeprosza za to. To psuje ogólne wrażenie, mówi.

Dla mnie liczą się tylko pozory, mówi. To brzmi, jakby coś zacytował. Oczywiście to żart, bo zaraz wybucha nagłym śmiechem. Ona myśli przy tym o fikaniu koziołków. Szybko złożyć się wpół, to trwa tylko moment, a potem ciało znów się prostuje... jakby nic się nie stało.

W samochodzie pachnie skórą i czymś jeszcze, czymś chłodniejszym. Emilia myśli, że tak właśnie pachnie bycie bogatym. Dokładnie tak. Ten zapach i wrażenie, kiedy samochód rusza naprzód, sprawia, że czuje się niezgrabnie. Pod pachami ma wilgoć, chciałyby sprawdzić, czy nie pachnie potem.

Chyba jest pani głodna? Mam nadzieję, że nie należy pani do kobiet, które nic nie jedzą?

Ależ nie, odpowiada Emilia. To znaczy: oczywiście, że jestem głodna. Dziękuję, panie dyrektorze.

A jednak nie jest w stanie jeść. Stara się. Stara się nie gmerać w talerzu. Przynajmniej nie bardziej, niż to konieczne. Widzi przed sobą talerz u mamy; jak mało zawsze na nim leżało, ale jak ważne było, żeby wszystko, co na nim leży, zostało zjedzone. Nie należy nigdy nakładać sobie więcej, niż człowiek da radę zjeść, ale czy można zawsze to wiedzieć przedtem?

Ona jest głodna. Chce zjeść całą porcję. Obawia się jednak poruszać ustami. Że pan Melin będzie na nią patrzył i śmiał się znów, tak jak przedtem. Obawia się także, czy dobrze trzyma sztucce. Wygląda na to, że on trzyma je tak samo, ale mogą być małe, maleńkie różnice, których ona, przy swoim braku obycia, nie potrafi zauważyć. Obawia się zacząć jeść, może się zapomni i będzie łączywie pochłaniać potrawę. Oczywiście pan Melin pyta, czy jej nie smakuje. Menu jest kiepskie, dodaje, zanim Emilia zdąży odpowiedzieć. Ale trzeba mieć wzgląd na to, że czasy są takie, jakie są. On jadł już nawet mielone mięso borsuka i duszone wiewiórki, czy panna Steen o czymś takim słyszała? Powtarza: Duszone wiewiórki. Na talerzu leżą szarobrazowe klopsiki rybne. Wszystko z nimi jest w porządku, ale ona po prostu nie może ich przełknąć. Odpowiada, że oczywiście, jedzenie jej smakuje. Potem myśli, że lepiej byłoby powiedzieć, że nie. Ale jedyną rzeczą, jakiej naprawdę nie lubi, jest mielona wątróbka, nigdy jej nie znosiła, nieraz się tego musiała wstydzić, wmuszała w siebie, kiedy ktoś podawał, choć była bliska zwymiotowania. W ogóle nie przepada za mięsem. Ale powiedzieć to byłoby śmiertelnym grzechem.

Pakuje jedzenie, ma pełne usta. Żuje i żuje.

Pan Melin się śmieje.

Nie musi pani udawać. Sam też nie uważam, żeby to było coś specjalnego. Człowiek tęskni za kawałkiem porządnej kiełbasy, nieprawdaż? I jajkami, w dużych ilościach. I za kawą, jedna filiżanka za drugą. A nie tymi daniami na niby i lurą do picia.

Przepraszam, mówi Emilia i rozpaczliwie chce też coś powiedzieć o reglamentacji żywności, o wojnie. Na przykład czytała w jednej z gazet, że mięso lisa nie może być wprowadzane do sprzedaży bez zbadania przez lekarza weterynarii, a podstawą wszystkich syntetycznych przypraw są trociny.

To ja przepraszam. To ja panią tu zabrałem.

Ależ nie..., próbuje Emilia, ale on unosi dłoń. Dość już. Emilia pije lemoniadę. Czy chce pani też kawę? Tutaj mają przynajmniej kawę Gevalia z prawdziwą cykorią. Uprzejmie dziękuje, choć chętnie by się napiła. Pan Melin prosi o rachunek. Ona dziękuje bardzo, a on ponownie unosi dłoń.

Niech pani nie dziękuje za nic, mówi i ruchem głowy wskazuje jej prawie pełny talerz. Emilia się czerwieni. Dyrektor przykłada serwetkę do ust.

Ale nadal podoba się pani w fabryce, mam nadzieję?

Tak, dziękuję, panie dyrektorze, naprawdę mi się podoba.

Przyjemnie to słyszeć. Pani wie, że mój ojciec był dyrektorem przede mną. Może wtedy szczególnie mocno czuje się tę odpowiedzialność, ma jakiś wzorzec do naśladowania.

Emilia kiwa głową. Nie wie, co powiedzieć.

Pani wie, że może pani zawsze ze mną porozmawiać, jeśli coś będzie... To leży w moim interesie, żeby pani była zadowolona. Pracujemy przecież tak blisko siebie. Byłoby dziwne, gdybyśmy się wcale nie znali. Nie uważa pani?

Emilia znów potwierdza skinieniem.

To dlatego na przykład opowiadam o moim ojcu i o mojej matce. Moim zdaniem nie ma w tym nic złego, że pracownik znajdzie się na tym samym poziomie co pracodawca. Proszę pomyśleć, że w ten sposób wpływam korzystnie na produkcję. Jeśli części czują się dobrze, wtedy całość też się dobrze czuje. Może pani, jeśli pani chce, opowiedzieć coś o swojej rodzinie.

Dziękuję, panie dyrektorze, ale nie wiem, czy...

Oczywiście nie musi pani. Nigdy nie powinna pani czuć się zmuszana. Pójdziemy już?

W drodze powrotnej do Zakładów Wełnianych pan Melin opowiada krótkie, zabawne historyjki, z których należy się śmiać. Na przykład o tym, jak panna Gustavsson upuściła swój pierścionek zaręczynowy do kadzi farbiarskiej. Jej narzeczony tak się wściekł, że zerwał zaręczyny. Historie z fabrycznych hal, tak je nazywa dyrektor. Mówi, że je zbiera. Codzienne sytuacje. Przyjemnie jest doprowadzać ludzi do śmiechu. A kiedy był mały, zwierza się, pisał krótkie wiersze. Miał ciotkę, która spodziewała się, że zostanie artystą, ale raczej to ona tego chciała. Sam bardzo lubi Karla Gerharda³⁶. Ten sławny koń z Troi był dzielny, ale chyba potrzeba dzielnych ludzi, czy panna Steen nie uważa? Sławetny koń, już ma na końcu języka, ale się powstrzymuje.

36 Szwedzki aktor, komik, autor tekstów kabaretowych (1891-1964). Jednym z jego bardziej znanych utworów jest Sławetny koń trojański, piosenka satyryczna o wymowie antyhitlerowskiej z 1940 roku.

Pan Melin zaparkował i wyłączył silnik, a teraz siedzi w milczeniu. Wzdycha głęboko, a Emilia rozumie, że powinna go o to zapytać. Więc to robi, pyta, czy ma jakiś problem, on odwraca się do niej, mówi, że żadnego, zupełnie żadnego. A mimo to dalej siedzi, podbródek opuszczony na piersi, Emilia rozumie, że powinna zapytać jeszcze raz.

To miło, że pani pyta, mówi pan Melin. Chodzi tylko o to, że czasami...

Znów milknie.

Ona myśli, że on myśli o Rebecce.

Czasami boli mnie myśl, że człowiek żyje tym życiem – które jest jedynym – i nie może przez cały czas robić tego, czego w głębi duszy najbardziej by pragnął.

Patrzy na nią, a ona go rozumie. Rozumie naprawdę, i mówi to, choć czuje się trochę zażenowana, a on zaraz wygłąda weselej.

Istnieją granice. (Pan Melin mówi to z nową energią.) Istnieją ograniczenia. Człowiek w to nie wierzy, ale one są. To, co wybieramy, człowiek myśli, że to wolność, ale zaraz... zaraz i tak jesteśmy schwytni. Na przykład wiem, że będę tu pracował przez całe swoje życie... A moją żoną... Ona i ja... Wiem przecież, że jest, jak jest. Ale może tęskni się za czymś innym.

Wzdycha. Znów zapada się w siebie.

Tak jakby się nie miało życia na wyciągnięcie ręki.

Emilia nawet nie zdaje sobie sprawy, że to mówi. Siedzą tak blisko siebie, że jej ramię dotyka jego ramienia. To znaczy, dodaje pośpiesznie, jakby nie było nasze własne.

Właśnie tak! Pan Melin nachyla się do niej. I człowiek czuje się takim tchórzem.

Nie sądzę, żeby pan nim był, panie dyrektorze.

Ależ tak, proszę mi wierzyć, jestem, jestem.

Emilia uświadamia sobie, że niewielu zna mężczyzn, którzy potrafiliby mówić w taki sposób. Nawet Otto nie. A może pan Melin chętnie by to usłyszał? Może wtedy poczułby się lepiej? Będzie jeszcze więcej okazji, myśli Emilia i to ją przepelnia radością. Nawet jesień przepelnia ją radością i ptaki, które odleciały w swoją stronę i uspokajające poszeptywanie kobiet za parawanem w sali. Nic nie jest niebezpieczne, myśli Emilia. Wszystko się łączy. Zapomina o wojnie. Chyba wolno zapomnieć o wojnie? Taką rzecz też chciałyby powiedzieć. Powiedzieć bez zastanawiania się.

Pan Melin wzdycha głęboko, a potem śmieje się krótko.

Tak dobrze jest porozmawiać z kimś, kto rozumie. Jestem mile zaskoczony i szczerze uradowany z tego powodu.

Już prawie otworzył drzwi, ale zatrzymuje się. Moja żona... Znów opuszcza głowę. Powtarza: Moja żona...

Co jest z pańską żoną? Chyba nie jest... chora?

Nie! Boże uchwaj. Nie, naprawdę nie będę pani obciążał swoimi sprawami. Była pani już wystarczająco cierpliwa.

Może pani... pani też może mówić.

Pan Melin wygląda przez przednią szybę. Jego policzki są gładkie, nie ma zarostu, żadnych zmarszczek wokół ust i oczu.

Powiedzmy tylko tyle, że to, co kiedyś było mostem, może potem okazać się dwoma pomostami. Czy pani to rozumie?

Chyba tak, odpowiada Emilia i myśli, że rzeczywiście rozumie.

Wspaniale! Pani rozumie wszystko.

Pan Melin śmieje się i energicznie otwiera drzwi. Do środka wpada chłodny powiew, liść, czerwony, siada znienacka na jej kolanach.

Cafe Łabędź.

Widziałam, że wychodziliście dzisiaj razem, ty i dyrektor, może powinnaś uważać...

Irmo, pomyśl, może jednak się mylisz co do pana Melina? Wydaje mi się, że ty po prostu chcesz widzieć... Może tobie coś się zdarzyło? Coś, co...

Milknie.

Irma odchyła się i splata ramiona na piersiach.

Ależ mów dalej, prosi.

Emilia drapie paznokciem blat stołu. Już są na nim rysy. Nieskończone, tajemnicze wzory w głębi drewna.

W Kungsfors była kiedyś pani Skytt, która nie mogła pogodzić się z tym, że jej mąż porzucił ją dla innej kobiety, i to zostawiło w niej tak głęboki ślad, że nawet raz splunęła za Edwinem, choć on nie miał z tym nic wspólnego. Zaczęła ubierać się na biało, przed domem ustawiła plakaty i transparenty z cytatami z Biblii, a każdy z nich mówił o zbrodni i karze...

Emilia urywa, widząc, że Irma wolno kręci głową, ma w oczach śmiech.

Skończyłaś już? A więc myślisz, że jestem szalona?

Nie, tylko chodzi mi o to... Zastanawiam się... czy coś cię spotkało. Co sprawia, że... że musisz...

Tym, co mnie spotkało, przerywa jej Irma, jest to tutaj. Szerokim gestem wskazuje na książki, potem na cały lokal, potem za okno. Tym, co mnie spotkało, jest rzeczywistość, zresztą wcale nie muszę się bronić przed twoimi głupimi oskarżeniami.

Znów potrząsa głową. Emilia chce wyciągnąć rękę po papierośnicę Army; chce zapalić, wytworzyć zasłonę, schować się za nią.

Czy tak bardzo się boisz wyrzucenia z pracy, że musisz go bronić, choć opowiadam o nim te wszystkie rzeczy?

Próbuję tylko dobrze myśleć o ludziach.

Jej głos jest słaby i żalorny. Czuję się tak, jakby zaraz miała się rozpląkać. Chce uciec jak najszybciej, wskoczyć na rower. Jechać tak szybko i tak daleko, jak się tylko da. Jak wtedy, kiedy wyprawiała się na rowerze z domu i dopiero kiedy ujechała spory kawałek, mogła wypuścić z siebie płacz, i na początku to było bardzo przyjemne, ale po chwili wydawało się tylko głupie i żenujące. Coraz lepiej umiała to powstrzymywać – wciskać głęboko, mocno, bardzo mocno: głupi dzieciaku, płaczesz przez takie bzdury! A płacz nie zbiera się w stos, wtedy człowiek nie miałby na nic więcej miejsca w sobie, on po prostu się wycofuje, to walka, którą trzeba wygrać; płacz powraca, ale coraz rzadziej, bo już wie, że to nie ma sensu. Można czuć się nierzeczywistym, ale to chyba lepsze, niż czuć się nienormalnym.

Irma siedzi z zaciśniętymi ustami i potrząsa papierosem, aż popiół fruwa w powietrzu, tylko czasem łądując w popielnicze w kolorze ambry.

Ja wierzę Rebecce, mówi. W jej opowieść. A że pan Melin próbuje ją napisać od nowa... zmienić swoją rolę... Czy on próbuje to robić, a ty chcesz mu w tym pomagać? Zawsze jest tak, że to mężczyźni muszą mieć ostatnie słowo, uważasz, że tak powinno być?

A nie można... Emilia musi wyduszać z siebie słowa, ale naciska umiejętnie, żeby razem z nimi nie wyszedł płacz ...a nie można wierzyć zarówno Rebecce... jak też panu Melinowi?

Pewnie, że można, mój Boże. Ale nie jest to zbyt mądre. Bo ich opowieści sobie wzajemnie przeczą. Zresztą ty wcale nie wiesz wszystkiego.

Irma zadziera nos do góry.

Czy jest coś jeszcze?

Ja dopiero zaczęłam.

A potem opowiada – podejmuje opowieść o Rebecce Forss.

Rebecka Forss. Przepiękna. Rudobrzęzowe włosy do pasa...

Chyba mówiłaś do tyłka? I złocistorude?

Wszystko jedno. Zaczęła się inaczej ubierać. Zaczęła wyglądać jak prawdziwa lady. To on jej kupował rzeczy, rozumiesz? Na przykład raz przysłała w płaszczu z kołnierzem z króliczego futra! I w kapeluszu z szerokim rondem. Wraz ze strojem zmienił się też jej śmiech. (Irma śmieje się, żeby zademonstrować.) To była przerażająca przemiana *indeed*.

Dlaczego była przerażająca?

Bo stała się kimś innym.

Może stała się tym, kim właściwie była?

Posłuchaj lepiej, zamiast się ośmieszać. Siedziała tam, gdzie ty siedzisz, a jej makijaż się rozpląwał. Próbowалам ją pocieszać, ale nie dawało się do niej dotrzeć. Rebecko, Rebecko, co się stało? Wszyscy wiedzieliśmy o jej aferze z dyrektorem. W tamtych czasach bywałaś niekiedy U Ulli, ale nie można było o tym rozmawiać, uważaliśmy tylko, że ona była... no cóż, że przekroczyła granicę... Żałowałyśmy żony pana Melina i dzieci. Ktoś nawet współczuł panu Melinowi. Dokładnie jak ty.

Ale to nie jest tak, że mu współczuję.

Mogę mówić dalej?

Tak, proszę.

Rebecko, Rebecko, co się stało? I wtedy, przez łzy, powiedziała mi to.

Irma milknie.

Co powiedziała?

Jestem w ciąży, powiedziała. To dziecko dyrektora. Zapytałam ją wtedy, bardzo głupio, czy jest tego pewna. Po prostu mi się wyrwało. Była w czwartym miesiącu, jeszcze wcale nie było widać. Może ktoś kiedyś powiedział, że wygląda kwitnąco, ale wszyscy myśleli, że to zasługa nowego wyposażenia; nowy kostium, fryzura, szminka.

I dlaczego ma się wyglądać bardziej kwitnąco w ciąży? Czy to nie jest też jakiś mit, żeby kobiety czuły się jak prawdziwe kobiety? Z tego co wiem, ciąża to tylko mdłości, ociężałość i podporządkowanie czemuś obcemu...

Siedziała na twoim miejscu w Zakładach Welnianych, ale na Boga, tak bardzo się od ciebie różniła. Leżała na stole i płakała. (Irma oparła się o blat, ukrywając głowę w ramionach.) Błada, wystraszona, przez cały czas rozglądała się na boki, jakby była śledzona. To było straszne, widzieć ją w tym stanie. Powiedziałam jej, że on musi się o tym dowiedzieć, powinien wiedzieć, co zrobić.

Ale on nie chciał...

W takim razie pozwól mu wziąć odpowiedzialność.

Powiedziałam, że on może załatwi to w możliwie najlepszy sposób. Wyglądała na spokojniejszą. Przestała płakać. Oczywiście ja też miałam taką nadzieję. Ale nie sądziłam...

Dwa dni później znów chciała ze mną rozmawiać.

Wtedy zwróciłam uwagę, że jest nieumalowana. Śmieszne, że człowiek zauważa takie szczegóły. Nie płakała. Siedziała wyprostowana. Ale też na mnie nie patrzyła.

I wszystko mi opowiedziała.

Opowiadała, jakby mówiła o kimś innym.

On chciał oczywiście, żeby pozbyła się dziecka. Stara śpiewka. Tyle razy słyszana, że już się tego nie chce powtarzać. Ale co my właściwie usłyszaliśmy? I jak to odbierałyśmy? Jako nieodpowiedzialne kobiety, nieprawdaż? Które powinny uważać. Jak często w takich sytuacjach myśli się o mężczyznach jako o drugorzędnych postaciach... Ktoś, kto przypadkiem się w tym znalazł i nagle... nie mając wcale takiego zamiaru, biedaczek.

Irma mówi zmienionym głosem: Znam pewnego lekarza, który... Tu masz trochę pieniędzy... Jak to się dzieje, że tyłu ich zna pewnego lekarza, który?

Rebecka nie podała żadnych szczegółów, ale odniosłam wrażenie, że pan Melin odciął się od całej sprawy... od dziecka...

Naprawdę tak myślisz?

On to zignorował, Emilio. To było dla niego zbyt kłopotliwe.

Irma wzdycha. Strzepuje popiół.

Rebecka Forss... z biednej rodziny... Praca w Zakładach Wełnianych to był jej ratunek. O jakimkolwiek małżeństwie mogła już zapomnieć. Wydaje mi się, że właśnie tak myślała. Niedługo miała skończyć dwadzieścia dwa lata. Jej przyszłość była w ruinie. Wtedy zobaczyła ogłoszenie: *Droga Panno Nieznana*. Chodziło oczywiście o posadę przy rodzinie. Żeby się tam ukryć w zamian za wykonywanie prac domowych. Przyjęła tę pracę. Właśnie miała tam jechać pociągiem. Ale kiedy stała na peronie i słyszała nadjeżdżający pociąg, coś się stało... O ile nie zdecydowała się już wcześniej, w drodze na dworzec, albo w nocy, kiedy nie mogła zasnąć. Czy ty w ogóle możesz to sobie wyobrazić, Emilio? Ona nienawidzi tego dziecka. Nienawidzi go prawie tak samo jak siebie.

Irma spuszcza wzrok. Milknie.

I wtedy...

Nic więcej. Już nigdy. Ona skacze, a on zabił nie jedną osobę, a dwie.

Pokój Emilii.

Zgasła światło dwie godziny temu, ale jeszcze nie śpi. Siada na łóżku i wygląda przez okno, prosto w ciemność, nie ma nawet ulicznej lampy, tylko niewyraźny zarys drzewa. Zapala górne światło, pokój robi się żółty, zamiast ciemności i niewyraźnych drzew teraz na szybie widać jej postać, wyciąga rękę po kajet od Ottona, atrament się kończy, musi być oszczędna.

Drogi Panie, pisze. Chciałam opowiedzieć coś, czego nigdy nikomu nie mówiłam.

Nigdy się nie całowałam. Żaden mężczyzna nigdy mnie nie kochał i ja nigdy nie kochałam żadnego mężczyzny. Siedzę w Café Łabędź i udaję. Bo komu miałabym powiedzieć, że nic nie wiem?

Nie powinnam być taka stara. Powinnam być dopiero co narodzona i mieć całe życie przed sobą. Powinnam nauczyć się śmiać, powinnam się nauczyć, jak to jest jeździć na rowerze w cienkiej letniej sukience i nie przejmować się, że spódnica podjeżdża do góry i nogi – brązowe i gładkie – są odsłonięte. Jak się z tego można śmiać, nawet tego nie zauważać. Powinnam chcieć, żeby ktoś mnie dotykał, ale tego nie chcę.

Emilia zasypia. Śni.

O czym śnisz, Emilio?

On zamurował kobiety w ścianach. Wiem, że co najmniej dwie kobiety są tam pogrzebane. Kamienne ściany są zimne, szare. Są jak nagrobki ułożone jeden na drugim. Siedzimy na sofie, a ja się zastanawiam, jak my dalej będziemy razem żyli po tym wszystkim. A równocześnie wiem, że musimy. Nie mówię nic na ten temat. On wie, że ja wiem. To było coś, co musiał zrobić, tak to tłumaczył. Nie chcę tam siedzieć, ale sofa jest taka miękka, nie mogę się ruszyć, a on jest ciepły, obejmuje mnie. Chcę, żeby objął mnie mocniej, ale on tylko uprzejmie trzyma ramię na moich barkach, jak do zdjęcia. W kamiennej ścianie jest kominek. Siedzimy i patrzymy w ogień.

Kim on jest? O kim śnisz?

Nie wiem.

Czy to dyrektor?

Nie wiem. Nie widzę jego twarzy.

Emilia budzi się z dłonią przyciśniętą do podbrzusza. Pościel jest wilgotna; wie, że musi wstać. Kiedy znów zapada w sen, zauważa, że może sterować ciałem obok swojego na sofie, steruje więc jego dłońmi tak, żeby rozpięły jej bluzkę, one nie chcą robić tego powoli, ale ona je zmusza, steruje nimi, żeby podciągnęły jej spódnicę, i choć postanawia, że mają to zrobić ostrożnie, spódnica zostaje zerwana z jej ud, bielizna zdarta, dyszenie w jej uchu jest głośniejsze, niż sobie wyobrażała...

Nie, nie!

Ogień trzaska, on wbija się w nią, ona próbuje krzyczeć, ale nie słycać żadnego dźwięku – gdyby odcięto jej głowę, wszystko byłoby prostsze, byłyby wtedy tylko ciałem. To ona decyduje – zdecydowała, że to ona będzie decydować! – ale jednak nie może sprawić, żeby to ustało, on mocno porusza się w niej, a kiedy ona spogląda na jego twarz i widzi, że ma zamknięte oczy, wtedy rozumie, że on nie rozkoszuje się nią, tylko tym, co robi w niej. Przecież ty musisz mnie kochać, myśli. Musisz przynajmniej mnie lubić.

Wstaje z łóżka, choć nie ma siły. Obmywa twarz. Próbuje przyglądać dłońią włosy, zapomniała wczoraj zakręcić, choć je umyła. Wygląda trochę nieporządnie, dłonie są ciężkie, między nogami czuje silne pulsowanie. Lustro jest małe, widzi tylko część siebie. Kiedy Irma stuka do drzwi, bluzka Emilii jest mokra między łopatkami.

Biuro pana Melina.

Emilia kładzie dwa listy na biurku, kiedy dyrektora nie ma. Nogi biurka mogłyby wyglądać jak lwie łapy, ale są proste i zniszczone. Bierze do ręki zdjęcie córki. Przygląda się bez specjalnych emocji. Dziecko. Aha. Ach tak. Od tego dziecka, Inger, jej myśl wędruje do dziecka, które nosi Sofia. Ale w stosunku do tamtego też nic nie czuje. Aha. Ach tak. Dziecko. Dziecko z kręconymi albo prostymi włosami. Dziecko, które dużo się śmieje albo dużo płacze. Dziecko, które będzie kochane albo nie. Dziecko, które będzie lubiło swoje życie albo nie. Od dziecka w brzuchu Sofii myśl Emilii idzie dalej, do Lillemor, córki Karin. Nie myślała o Lillemor Andersson odkąd – sama nie pamięta. Lillemor jest bardziej pojęciem niż imieniem i twarzą. Pojęcie to oznacza nieszczęście. Bycie nieszczęśliwym. Robi się ciemno w środku od czegoś takiego, czego nie można ogarnąć; chce zapalić lampę, zobaczyć, co to naprawdę za uczucie. Jej dłoń zaciska się na zdjęciu. Mała Inger nic nie wie, myśli Emilia. Pogarda pojawia się w tej myśli, choć ona wcale tego nie chciała. Inger patrzy w obiektyw, a Emilia nie potrafi określić wyrazu jej twarzy. Czy to jest strach, czy zdumienie, czy nadzieja. Ma na sobie spódniczkę na szelkach i bluzkę z kołnierzykiem ozdobionym kokardami. Od tej twarzy i tego kołnierzyka – a może przede wszystkim od pojęcia „Lillemor Andersson” – myśl idzie do Rebecki. Sekundy, zanim skoczy. Sekundy, kiedy skacze. Emilia już od dawna słyszy ten pociąg, od tak dawna maszyna stoi nieruchomo w tym samym miejscu i syczy, i nie rusza się, ale teraz nadjeżdża w pędzie, a pan Melin już jest gotowy, przemyka się naprzód, wygląda, jakby chciał ją objąć, ale zamiast tego popycha. Nie dlatego, że myśli o swojej małej córeczce, tylko dlatego, że myśli o sobie.

Ach, już pani jest?

Ten śmiech. Emilia pośpiesznie odstawia zdjęcie.

Listy są na biurku.

Dobrze. Świetnie.

Zdejmuje płaszcz. Jego garnitury są ciemne, zawsze granatowe. Chodzi w nich nieco przygarbiony i sztywny. Jakby był starszy, niż jest w rzeczywistości. Jego garnitur wydziela dawny zapach, który ona pamięta, choć nie wie skąd.

Dziękuję za miłe towarzystwo ostatnio, mówi.

Emilia nie odpowiada.

Chętnie to powtórzę, ciągnie dyrektor. Stoi naprawdę blisko niej.

Mam list do skończenia, mówi Emilia, spuszczać wzrok. Pan Melin przestawia zdjęcie córki. To mógłby być wyraz uczucia, ale ona wie, że chodzi tylko o porządek.

Ależ oczywiście, niech pani to zrobi, mówi dyrektor i rozkłada ręce. Nie chcę pani przeszkadzać w pracy dla dobra fabryki.

On nadal nie rozumie, że to jest naprawdę, myśli Emilia. Narusza jej sferę. Zdaje się, że ona – albo on – ma przyśpieszony oddech. Zdaje się, że ich oddechy wypełniają pokój w niepokojący lub komiczny sposób.

Czy ona tu jest?

Czy to naprawdę ona tu jest?

Wygląda na to, że to nie ma dla niego znaczenia. Jakby nie zauważał, że ona znika.

Dyrektor odsuwa zasłony.

Czasami zapominam, że jest wojna, mówi. Ale moja żona narzeka. Normalnie rzadko to robi, ale jeśli chodzi o wojnę... dziewczynki. Tak bardzo chciałyby im dać... Nie wiem sam. Wszystko chyba. Cokolwiek by to miało oznaczać. Ale ja myślę, że to dobrze, jeśli się nauczą...

To nie pasuje, żeby on stał tak blisko, żeby ona się nie odsunęła. Emilia słyszy pociąg. Jest blisko, a jednak go nie widzi. Czy to przez mgłę? A może jest za daleko? Czy ma taki sam kolor jak noc? Ale w czerwcu nie ma prawdziwej nocy. Było jasno, kiedy Rebecka skoczyła... została popchnięta... Rety, ależ Emilia się poci.

Chyba ostatnim razem nie powiedziałem nic niewłaściwego?

Dłoń kładzie się na jej ramieniu, jest nieznośnie ciężka, Emilia czuje, jakby zaraz miała się przewrócić.

Mam nadzieję, że pani nie jest na mnie zła?

Nie, panie dyrektorze.

Właściwie mam na imię Carl. Myślę, że tak chyba będzie lepiej. Czy pani nie uważa, że to głupie, tak ciągle z tym dyrektorem i panną. Wtedy tak wyraźnie widać, że... jest różnica.

Jego dłoń nadal leży. To chyba on, bo przecież nie ona, oddycha tak ciężko. A jednak ma wrażenie, jakby to pochodziło z jej wnętrza, jak gdyby nie miała dość powietrza; chwieje się, musi się złapać jego marynarki, jego ramienia.

Źle się pani czuje? Taka pani blada.

Już w porządku, mówi Emilia.

To dobrze. Myślałem – a zresztą, zanim zapomnę, chciałbym, żeby pani spojrzała na...

Podaje jej papier. Jego dłonie. Wystają – zaskakująco drobne – z ciemnego garnituru. Kiedy wręcza jej dokument, jedną ręką przelotnie muska jej biust.

O, przepraszam, mówi. Naprawdę nie chciałem. Bardzo proszę o wybaczenie.

Emilia robi krok do tyłu.

To niechący. Niech pani tak nie patrzy! Nie chciałem, żeby...

Jedna jego dłoń wędruje do wysokiego czoła, drugą wywija obronnie w powietrzu między nimi. Dyrektor się cofa, on też, staje się mniejszy. Potem idzie ku niej, rośnie, uderza w sufit, przebija go, przebija dach, Emilia widzi nad głową chmury, niebo, on bierze ją za ramiona.

Na litość boską, to było niechcący.

Potrząsa jej ramionami, łagodnie, a ona poddaje się jego ruchom. Upadnie, jeśli on ją puści. Emilia czuje, jak płacz wystrzela z przepony; kłuje w piersi jak ostre igły.

Co jest z panią? Emilio? Panno Steen. Co pani myśli, że kim ja jestem?

Czy ma zacząć krzyczeć? Irmo! Na pomoc! IRMO! Czy ma uciekać? Nie, nie uciekać. Musi... opanować to...

Przepraszam, mówi. Ma pan rację. Czuję się, jakbym miała gorączkę.

On znów się od niej odsuwa. Emilia nagle ma wrażenie, że on jest rozgniewany.

Więc powinna być pani w domu, a nie tutaj. Uważam, że najlepiej będzie, jeśli weźmie sobie pani wolne na resztę dnia.

Ona się waha. Nie wie, co powinna zrobić.

Ale pan Melin wie. Jeszcze raz mówi, że powinna iść do domu.

Jaka korzyść jest z pani w tym stanie?, mówi. Naprawdę wygląda pani żałośnie.

Café Łabędź.

Wermut z pobrzękiwaniem nadchodzi na tacy. Staje przed nimi na stoliku.

To ci dobrze zrobi.

Jest środek tygodnia.

Jesteś chora.

Powinam być w domu.

W domu?, powtarza Irma. A gdzie to jest? Tutaj chyba jest tak samo w domu jak w tamtej małej klitce.

Mogę zarażać.

Ech, i co z tego? Powinniśmy wznieść toast.

Za co?

Za to, żebyśmy stąd wyjechały.

Wierzysz w to?

Ja to wiem.

Dłoń Irmy szybko kładzie się na jej ręce. Emilia czuje działanie alkoholu, ciepło idące od żołądka.

Może kiedy wyjdziemy za mąż, mówi z uśmiechem.

Nie gadaj tak głupio. Jak sądzisz, gdzie wylądujemy, jeśli wyjdziemy za mąż? W każdym razie nie tam, gdzie chcemy. To rozumiem wszystkie głupie gęsi. Zresztą nigdy nie wyjdziemy za mąż. Przynajmniej ja nie.

Wermut jest słodki. Kawa prawie wypita. Tylko Bakunin siedzi na swoim miejscu – czasem spogląda w ich stronę. Ilekroć ich spojrzenia się spotykają, Emilia odwraca wzrok. Nie wie, jak należy się uśmiechać do mężczyzny, żeby to wyglądało przyjaźnie, nic więcej ani też mniej. Ale przeważnie on jest zajęty czytaniem, zdaje się nie zwracać na nie uwagi.

Wcale nie wierzysz w miłość?, pyta Emilia.

Nie wierzę, że miłość musi wyglądać tak, jak jesteśmy przyzwyczajeni, że powinna. Myślimy, że to zawsze musi być między mężczyzną i kobietą, prawda, ale ja myślę, że to równie dobrze może być uczucie między przyjaciółmi, rodzeństwem, bo ja wiem, sąsiadami... kolegami z pracy. (Obydwie wybuchają śmiechem.) Miłość, kiedy się o kogoś troszczysz. Nawet nie uważam, że trzeba się znać, czasem myślę, że lepiej byłoby, żeby nie... Miłość, żeby człowiek nie musiał czuć się samotny, ale nie jest pewne, czy potrzebuje tej cielesnej strony, rozumiesz, o co mi chodzi?

Czujesz się samotna?

Nie, ależ skąd. Irma się śmieje. Mam przecież ciebie.

Poważnieje.

Myślę o Rebecce. I myślę też o jej mamie. Spotkałam ją na pogrzebie. Była jakby całkiem... Nie można było na nią patrzeć. Nie, nie da się opisać czegoś takiego, takiej twarzy.

Dyrektor też tam był?

Jeszcze czego! To by dopiero było.

Irma dopija swój wermut, parska i się śmieje.

Mała, głupiutka dziewczynko, mówi i gładzi palcem policzek Emilii. Miłość to nie jest różowy puch ani łzy wylewane w poduszkę. Miłość jest silna – czyni nas mocnymi. Inaczej to oczywiście nie jest miłość.

Ale pomyśl, może on po prostu nie mógł porzucić swojej żony, próbuje Emilia, czuje, że za chwilę nie będzie w stanie się opierać. Jeśli jego żona sobie bez niego nie poradzi. A on zostaje z nią z czystej dobroci, i może właśnie to jest miłość?

Irma krzyżuje ramiona na piersiach. Wzdycha. Wyciąga papierosnicę. Bez pośpiechu zapala papierosa, zaciąga się, wydmuchuje dym, w powietrzu tworzy się kółko.

Czy myślisz, że my, kobiety, jesteśmy słabe?, pyta.

Ale co to znaczy my?, myśli Emilia.

Chyba różnie bywa, odpowiada.

Nie mam siły o tym mówić, wiesz, bo się zaraz WŚCIEKAM. A więc pani Melin powinna krzątać się po domu, o niczym nie wiedzieć i dać się tak traktować. Tak jakby ona nie zasługiwała na coś lepszego. Jakby jej największe szczęście polegało na życiu z takim sakramenckim idiotą.

I tu Irma chce postawić kropkę. A potem rozmawiać o czymś innym. Albo iść do domu. Albo zamówić jeszcze jeden – wermut, stać ją na to, i jeszcze jeden, gdyby przepisy nie były takie, jakie są, a potem wziąć do ręki jedną z tych książek, żeby czytać, podkreślać, zgadzać się ze wszystkim i mieć rozpalone policzki. Wolałyby siedzieć i czytać książkę, niż rozmawiać z tą głupiutką Emilią.

A jednak wyciąga rękę i chwyta Emilię.

Podziwiam cię, Emilio Steen. Naprawdę.

Tak mówi. To wszystko, co mówi. Dlaczego?, chce zapytać Emilia, ale zdaje sobie sprawę, jak żałośnie zabrzmiałyby jej głos.

Ale może on naprawdę jest dobry! Coś nadal w niej krzyczy. Może właśnie to jest dobrocią. Zostać. Może to jest właśnie miłość. I może to nie była też żadna zdrada wobec Rebecki. Może to było ciepło i dobrodziejstwo. Że jej pomagał. Że kochał także i ją.

Czy miłość nie może pomieścić więcej osób?, pyta Emilia.

Tak, do diabła. Miłość powinna taka być. Ale kłamstwo, Emilio, kłamstwo jest cholernie ciasne i potwornie raniące.

Emilia czuje, że jej twarz płonie. Chce już stąd jechać.

Irma odwraca się do niej, otwiera usta, mówi: Zrobiłam w tobie dziurę, przepaść. Co mówiłaś?

Co? Irma się otrząsa. Nic nie mówiłam. To chyba gorączka.

Irma bierze do ręki książkę, otwiera ją. Czyta głośno. Emilia słyszy tylko pojedyncze słowa. Jakby to był sen.

„Nasze serca... przysięgały błogość... paliły... westchnienia... tutaj wewnątrz masz oddychać... podobać... światu... Potwory pośród kwiatów... owoc... tęsknoty...”

Pokój Emilii.

Emilio? Widzę, że śniesz – co ci się śni?

Śnią mi się psy, bernardyny, ich haftowane ciała biegają po polach. Pola są żółte od polnej kapusty. Biegają jak w wodzie, nie zdążą. Nagle znajduję się w pokoju. Muszę spakować swoje rzeczy, nie wiem, dokąd jadę, ale się cieszę. Otwieram szafy i szuflady, żeby zobaczyć, czy zabrałam wszystko, i rzeczy po prostu wylewają się na mnie. Szafy, szuflady i komody są pełne przedmiotów, które nie są moje, których nie znam – albo wiem, że należą do kogoś innego: do mamy i taty, ta sukienka jest Sofii, ta lampa obszyta tasiemką pochodzi z pokoju Ottona. Mam za mało walizek. Ktoś głośno puka do drzwi, pyta, czy zaraz skończę. Im więcej pakuję, tym więcej rzeczy zostaje. To ozdoby na stół, kaptcie, niemowlęce skarpetki, garnki, rozglądam się za nowymi walizkami, nigdy tego nie zmieszczę, nigdy nie dam rady wziąć tego ze sobą.

Emilio, skończyłaś? Jedziemy?

Jadą pośród liści zrywanych z drzew przez wiatr. Kropi lekki deszcz, schodzą z rowerów. Irma się wzdryga.

Do diabła, ależ zimno się robi, mówi. Wyciąga rękę ku ramieniu Emilii, ale Emilia udaje, że nie widzi jej dłoni, szybko wchodzi do ciepłego domu.

Björkgatan i okolice

Dziecko kopie albo porusza się gwałtownie, nie sądziła, że jeszcze ma miejsce, spodziewała się spokoju. A jednak te mocne ruchy. Jak wielka ryba, która wali ogonem w jej wnętrzu. Wielka schwyтана ryba.

Arvidzie, nie śpisz?

Sofia mówi to tak cicho, że nawet gdyby nie spał, mógłby nie usłyszeć.

Kładzie jedną rękę w miejscu, gdzie czuje kopnięcia. Zamyka oczy, a płetwa ogonowa łśni, tłucze na boki.

W ogrodzie między dwiema jabłoniąmi rozwiesiła pranie; białe prześcieradła i odświeżone koszule Arvida na tle nagle czarnego i wzburzonego nieba. Jedno z prześcieradeł wiatr okręcił kilka razy, jakaś koszula prawie się zrywa. Sofia stoi w oknie i patrzy. Już nie widać konturów wokół chmur. Niebo zbliża się coraz bardziej, a ona chce je przeczekać. Kiedy chmury zaczynały się gromadzić, od razu pomyślała, żeby zdjąć pranie, ale potem zatrzymała się – jak długo już tu stoi? Bezczyinnie, z jedną ręką na wielkim brzuchu. Najpierw była zafascynowana tym, jak szybko chmury się stłoczyły i pociemniały, a potem pojawiło się coś innego. Sofia wie, że nawałnica może wszystko zniszczyć, a jednak czeka.

Co ty robisz?

Głos Arvida odrywa ją od nieba. Jego głos brzmi zrzędliwie, kiedy mówi:

Będzie łało, moje koszule zmokną.

Ojej, mówi Sofia. Ależ ze mnie gapa. Stoję tu i śnię na jawie.

Powiedziała to jak pytanie – do kogo? Arvid w każdym razie jej nie słucha. Jest w kuchni i zagląda do garnka.

Zupa cebulowa, mówi.

To tylko stwierdzenie.

Sofia wybiega do ogrodu. Koszule składa starannie i wkłada do kosza. Prześcieradła zwija i upycha. Tak zbliżone kształtem do piłki, jak prześcieradło tylko może.

I w chwili, gdy znów wchodzi do domu, niebo pęka z hukiem.

Otto i Barbara

O, pada, mówi Barbara i celuje palcem w okno restauracji Viking.

To tylko przelotny deszcz, lekceważąco rzuca Otto. Skinieniem wskazuje niebieski kawałek nieba. Czekają przy szatni. Kiedy deszcz ustaje, Otto otwiera drzwi i przepuszcza żonę. Barbara kopie lekko w stertę wilgotnych liści, jej śmiech jest cichy i ostry.

Za plecami Ottona i Barbary: stacja kontroli mięsa i sklepik spożywczy. Przed nimi: schron i plac zabaw. Nad nimi: bezlistne brzozy. Barbara marznie, ale Otto obiecuje, że przez cały czas będzie ją obejmował. Ona idzie dumnie, z wyprostowanymi plecami. Nikt nie uwierzyłby w jej historię, ich historię. Nie w to, co się właściwie zdarzyło. Mijają browar, Ottona ogarnia wielka czułość. Jak gdyby szła po cienkiej linii, po linii, otacza ją ramieniem, przyciąga do siebie.

Barbaro Steen, mówi, wiesz chyba, że cię kocham.

Barbara kiwa głową. Wiem. W jego wnętrzu panuje poruszenie i frustracja. Sandviken to pokój o ścianach, które coraz bardziej się zbliżają, duszą jednostkę; tę obcość Otto dzieli z Barbarą, i pragnienie wyjazdu, jest o tym przekonany, oni tu nie pasują, ta myśl sprawia, że czuje się szczęśliwy.

Barbara dygocze, a on ją całuje. Filmowy pocałunek na środku Odenplanu. Między sklepem żelaznym i salonem mody Lagera. Chce, żeby czas się zatrzymał, żeby z nieba spadły płatki śniegu. Chce, żeby wszyscy, dosłownie wszyscy widzieli ich, jak tu stoją na placu. I właśnie wtedy przez chmury przedziera się słońce, płaszcz Barbary jarzy się zielenią, liście na ziemi, Barbara wtula głowę pod pachę Ottona.

Tęsknisz do domu?, pyta on i wstrzymuje oddech.

Czasami, odpowiada Barbara.

Często myślisz o nich?

Barbara wzrusza ramionami. Potem kiwa głową. Spodziewał się tego. Chce przejść obok wszystkich istniejących okien. Wszystkich wolnych kościołów. Okien Thorslunda, Anderssona i Larssona. Byłoby wspaniale, gdyby Lydia albo Linnea mogły wyjrzeć. Köpmangatan została poszerzona, asfalt lśni świeżą czernią. Chciałby spotkać kogoś, z kim mógłby się przywitać. Najlepiej kogoś, kto zatrzymałby się na chwilę, żeby zamienić kilka słów. Porozmawiać o pogodzie, o czymkolwiek. Ale oni idą i idą, i nikogo nie spotykają. Jest niedziela, Ottonie Steenie, kto miałby twoim zdaniem wyglądać przez ciemne szyby w Domu Centrum? Kilku cyklistów przejeżdża obok nich, spacerują pary, które widzą tylko siebie nawzajem. Barbara zatrzymuje się, żeby obejrzeć sandałki z odsłoniętymi palcami na wystawie Oscarii. Dwa lśniące od chromu czarne samochody stoją zaparkowane przy Domu Ludowym, ludzie, którzy przed kinem Saga czekają na popołudniowy seans, kierują swoją uwagę do środka, do kina. Naprzeciwko domu Selandera, przy kaplicy stowarzyszenia Elim, dwóch facetów pije piwo z butelki, jeden z nich gwizdże na Barbarę, ma już mocno w czubie, a Otto musi ciągnąć żonę, żeby móc iść dalej; jedyną osobą, którą może pozdrowić, jest konstabl Appelgren, obserwujący pijaków i innych miejskich łobuzów, kłania się sztywno Barbarze, zawsze to coś, a potem już docierają do rynku i restauracji Viking, zrobili pełne okrążenie, i choć niebo jest niemal bezchmurne, nie jest już tak jak przedtem.

Droga do nowo wybudowanego osiedla domków szeregowych na Bagspannarvagen zdaje się niesłychanie długa. Wprowadzili się tu przed kilkoma miesiącami, kiedy Otto dostał posadę sprzedawcy w SJAB. Barbarze najpierw nie podobało się, że będą mieszkać tak blisko gazowni, ale zmieniła zdanie, kiedy zobaczyła, jak mieszkanie jest wyposażone – „wyposażenie tip-top”; tak nawet było napisane w gazecie. Drzwi prowadzą najpierw do małego przedsionka. Światło – jasne światło jesieni – rozświetla pomieszczenia, i Barbara widzi, jak brudne i zakurzone jest wszystko i... ciasne. Rzeczy tłoczą się w pudłach i na składanej półce w ścianie. Plisowana jak wachlarz roleta się zacina. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegają jakieś odgłosy. Mieszkają tutaj całymi szeregami rodziny urzędników. Każdy pokój, każdy dom jest kopią kolejnego. Składane stoły, blaty kuchenne z grabu. Zmywak i zlew z nierdzewnej stali. Barbara tęskni niesłychanie za swoim tatą i jego rozmachem, chciałaby znów siedzieć na jego ramionach i widzieć, jak dłonią wskazuje coś za jeziorem, jakby było oceanem, wszystkie wielkie jasne pokoje w domu, po których można biegać. Jak wysoko był sufit w ich rodzinnej willi? Już długo nie miała od nich wiadomości, o wiele za długo. Nie ma odwagi zadzwonić, bo tak się boi, że... Nie chce dzwonić... bo jeśli się okaże, że oni...

Barbara leży z łososiową halką podciągniętą do góry, chciałaby, żeby on otwierał trochę szerzej usta, kiedy się całują; Otto ostrożnie wyciąga język, a potem tylko dotyka jej piersi, jakby reszty ciała nie było. Prawie nie czuje jego członka w środku, zdarzało się już, że mu nie chciał stanąć; stosunki są długie, uciążliwe, a kiedy on wreszcie z niej schodzi, Barbara ma ochotę powiedzieć coś o tym, jak bardzo ją to nudzi. Ale zamiast tego idzie się umyć, mówi dobranoc i łyka tabletkę na sen.

W oczekiwaniu, aż tabletki zaczną działać, słucha głębokich oddechów Ottona. Poza tym nie ma czego słuchać (o ile Westinowie w sąsiednim domu znów się nie kłócą – zwykle to robią, kiedy ich córka śpi). Czasami Otto mówi przez sen. Ale to wcale nie jest ciekawsze. Niewyraźne, niezrozumiałe zdania. Bardziej pojękiwania. Czasami przelotny śmiech, prawie chichot.

Ciało Hermana Manna przykrywało ją lepiej, plecy miał szersze, lubiła głaskać go po krzyżu. Na początku wszystko było takie emocjonujące, cała ta zabawa w ukrywanie się, to, że jej tak bezgranicznie pożądał; kojarzyło się z sytuacją parobek i bogata panienka z powieści, które wtedy czytała. Herman Mann był tak zwanym prostym człowiekiem, raczej nie była w nim zakochana, ale w takich chwilach, kiedy leży w małym pokoju szeregowego domku w bardzo małym mieście z łososiową halką podciągniętą do góry i słucha pojękiwań i chichotów Ottona, wtedy jednak zdarza się, że myśli o Hermanie Mannie jako o człowieku, którego kochała. Gdyby tylko nie poszedł na wojnę i nie zginął w pierwszej bitwie (w Grecji, na Linii Metaksasa), jej życie na pewno wyglądałoby inaczej, choć do końca nie wiadomo. I tak nie zostawiłaby dziecka, nawet gdyby on ją prosił i błagał (a może zwłaszcza wtedy). To było niemożliwe przy jej wszystkich planach na przyszłość, jakkolwiek by wyglądały, choćby były najbardziej nieokreślone, to jednak istniały, była jakaś przyszłość, która wraz z pojawieniem się dziecka, puff, po prostu by zniknęła. Słyszała, że można użyć kapsułek z chininą albo kropli kolokwintowych. Od służącej usłyszała przypadkiem o zastrzyku, który krążył wśród dziewczyn w jej dawnej pracy. To wszystko było takie nieprzyjemne i niepotrzebne. Nawiązała kontakt z tamtą kobietą... która wiedziała... Dla Barbary to nie było nic szczególnie dramatycznego. Po prostu chciała dalej móc żyć swoim życiem. Była młoda, piękna. Bogata. Lubiła wrażenie, jakie robiła na mężczyznach. Że niemal mdleli. Zresztą nadal tak jest.

Pomyślała o ciele Hermana Manna, które przykrywało ją całą i dawało jej siłę; równocześnie. Ich związek był bardzo krótki, może dlatego pamięć dodaje mu blasku, a ona wszystko z nim porównuje. Minęło też tak dużo czasu, że to równie dobrze mogła być fantazja, gdyby nie tamte konsekwencje.

Kiedy Otto wychodzi do biura, ona zaczyna pisać kolejny list do domu, do rodziny; nigdy nie wie, co powinna napisać. Próbuje znów zasnąć, wie, że powinna sprzątać. Łatwiej było u Sofii, wtedy to wyglądało trochę jak współzawodnictwo – kiedy Sofia brała szmatę do podłogi i ścierkę do kurzu, Barbara robiła to samo. Ale Otto i tak niczego nie zauważa, więc Barbara może równie dobrze się nie przejmować, choć każdego ranka jest coraz trudniej wstać z łóżka.

Łatwe i szybkie przygotowanie posiłków, aby były zarówno smaczne, jak i pożywne oraz atrakcyjne dla oka jest jednym z najważniejszych wyzwań naszych czasów. Książka kucharska Ruth Hiller jest prawdziwą skarbnicą; kiedy Otto wraca do domu, jedzenie stoi na stole, a wszystko trwało zaledwie dwadzieścia minut. Otto już nie ma tyle do opowiadania. Kiedy jeszcze jeździł, mógł opisywać odwiedzane wioski, dodać im trochę blasku, nawet jeśli miały nazwy w rodzaju Trönö, Enanger czy Långmyra, jakby leżały na końcu świata. Ale przyjmowanie zamówień i rozmowy telefoniczne już trudniej ubarwić, tak samo jak klientów, podobnych do siebie jak dwie krople wody, czy lunche w barze mlecznym. Barbara ziewa. Otto ujmuje jej dłoń nad smażoną flądrami i sosem cebulowym. W jego geście jest coś gorączkowego, masuje jej palce. Poklepuje i gładzi.

Kiedy będzie dziecko?, pyta znienacka.

Barbara nie rozumie.

Dziecko, powtarza Otto. Powinniśmy mieć dziecko!

Barbara usiłuje połknąć jedzenie, które ma w ustach.

Chyba nie można samemu zdecydować, kiedy ma się pojawić.

Dyskretnie wypluwa kęs do chusteczki.

Ale... czy ty nic nie czujesz? Wpatruje się w nią w napięciu.

Przecież wiadomo... że powinno... To przecież pasuje. Tutaj pasuje. Zatacza koło ręką, jakby chciał jej pokazać miejsce, które ona przypuszczalnie zna lepiej od niego. Przecież musi kiedyś się pojawić!

Ale jeszcze się nie pojawiło, o ile zauważyłam.

Barbara rozgląda się dokoła, tak samo niemądrze jak Otto. Nie widzi żadnego sensu w tym nagłym dramatycznym wybuchu.

Myślałem o tym i uznałem, że powinien nazywać się Jan, po twoim bracie. Najpierw myślałem o Fritzu, po twoim tacie, ale Jan... Janne Steen, nie sądzisz, że to dobrze brzmi?

Barbara kaszle dyskretnie.

To bardzo ładnie, *Liebster*³⁷. Ale jak mówiłam, nie ma dziecka.

Ale powinno być, upiera się Otto.

Barbara zaczyna sprzątać ze stołu.

Ileż już razy robiliśmy... to? A u Arvida i Sofii – od razu się udało.

Barbara czuje złość.

*Um Gottes Willen*³⁸, Otto, co mam według ciebie zrobić?

Wstaje. Otto idzie za nią. Próbuje ją objąć. Głaszcząc jej ramiona. Gorączkowo.

37 Najdroższy.

38 Na miłość boską.

Chodziło mi tylko o to, mówi płacząco, chodziło mi o to, że przecież w końcu kiedyś musi być? Dziecko. Nasze dziecko. Ottona i Barbary.

Ale go nie ma i nigdy nie będzie.

Co ty mówisz? Przecież to jasne, że...

Mówię to, co słyszysz, Ottonie. Nie będzie dziecka, bo nie mogę mieć dzieci, i już nie mówmy na ten temat.

Ale... nie rozumiem. Barbaro. Dlaczego nie mogłabyś...?

Barbara ma już dość tego gderania. Wzdycha. Zastanawia się, czy powinna odwrócić się do niego, czy ukryć twarz. Pamięta, jak krwawiła przez te wszystkie noce. Pamięta tę krew.

*Ich kann nicht*³⁹... Nie mogę mieć dzieci. Bo zrobiłam... zabieg... Który nie poszedł... dobrze.

Zabieg?

Tak.

Kpisz sobie ze mnie? Nie mówisz chyba o?...

Barbara wzdycha ponownie. Wie, że najlepiej będzie, jeśli teraz odwróci się plecami. Otto łapie się za głowę.

Na Boga... Co ty zrobiłaś, do jasnej cholery?

Uspokój się. To chyba nic takiego nadzwyczajnego. Przecież o dziecku i tak jakoś szczególnie nie marzyliśmy?

Tamta krew, tyle krwi...

Gdybym tylko wiedział, wykrzykuje Otto wzburzony, nigdy bym cię tu nie przywiózł! Nigdy bym tego nie zrobił – nigdy! Rozumiesz?

Otto, uspokój się.

39 Nie mogę.

Spałaś z innym mężczyzną. Nosiałaś dziecko innego mężczyzny. A potem zabiłaś to dziecko. I teraz my nie możemy mieć własnego. I jeszcze masz czelność mówić, że to ja mam się uspokoić.

Rzuca się do wyjścia, wkłada buty. Barbara zostaje sama w niewielkiej kuchni, widzi przez okno, jak Otto biegnie przed siebie, a niezapięty płaszcz powiewa za nim.

Kiedy Otto wraca wczesnym rankiem następnego dnia – Barbara nie pyta, gdzie był – kładzie się przy niej w pozycji embriona, przez chwilę leży nieruchomo, potem obejmuje ją w pasie i wtula nos w jej włosy.

Opowieść o Barbarze i Ottonie musi toczyć się dalej. Otto musi dołożyć tę scenę do pozostałych. Tylko tyle. Nie potrzebuje niczego pisać na nowo. Ma jedynie spuścić zasłonę na te najnowsze obrazy; to tylko pogłębia dramatyzm ich historii, pamięta się o tym, choć słabo, uczestnicząc w nadchodzących scenach, a podczas pierwszego spotkania z Barbarą nad morzem można naprawdę zrozumieć, jak wielki jest jego czyn. Był wielki już przedtem, ale teraz jest gigantyczny, szlachetny.

Budzą się, kiedy świta nowy dzień, a życie w Sandviken, mieście stali, zdaje się niezwykle pociągające w swoim spokojnym, wręcz flegmatycznym tempie. Mężczyźni są w drodze do swoich miejsc pracy. Kobiety – a jedną z tych kobiet jest Barbara – machają mężom na pożegnanie i biorą – jak Barbara – wiadro, środki czyszczące i szczotkę. Wszystko musi lśnić, kiedy mężczyźni wrócą do domu. Słońce, które świeci także i tego dnia, nie może ujawnić najmniejszego ziarenka kurzu na najmniejszym blacie ani najmniejszej plamki na żadnym z identycznych okien szeregowych domków. A Barbara, która zamierza pracować szybko, decyduje, że jeszcze musi mieć czas na spacer do Ostra Textil, żeby kupić materiał na wieczorową sukienkę. Może zajrzy po drodze na Björkgatan 64, ale obawia się, że nie zdąży.

Na Björkgatan 64 jest Boże Narodzenie. Na drzwiach wejściowych wisi świąteczna dekoracja z igiełkami z czerwonego celofanu. W oknie wychodzącym na ulicę kiwa ręką anioł, na stole rząd krasnali stoi w odpowiedniej odległości od czerwonych stearynowych świec. Z radia dobiega wiązanka świątecznych melodii, która przechodzi w prognozę pogody i świąteczną mszę.

Aina chciałaby posłuchać Słowa Bożego, ale radio gra za cicho. Siedzą razem z Fredrikiem zakłopotani i zadziwiająco zgodni w tej, jak na ich gust, za dużej i zbyt nowoczesnej przestrzeni. Ale tylko Aina odczuwa pewną przykrość, że jeszcze nie słyhać tupotu dziecięcych stopek. Żadnych jasnych natarczywych głosików, wołających o wszystko i nic. Pewną ulgę w całej tej przykrości stanowi to, że Sofia chodzi, kolebiąc się jak wielka kaczka z brzuchem kiepsko zamaskowanym suknią ciężową w jaskrawy wzór. Stawia na stole jeden półmisek za drugim. Suszony dorsz, śledź w zalewie, pasztet z wątróbki, nawet świąteczną kielbasę. Aina próbowała pomagać, ale Sofia ją powstrzymała. To szybko pójdzie, mamusiu. Ale wcale tak nie jest, przecież Sofia porusza się tak wolno. A Emilia jak zwykle nie potrafi wykazać się inicjatywą, o wszystko musi pytać. Arvid częstuje akwawitą O.P. Andersona, choć sam nie pije, chyba chce się wkupić w łaski szwagrów, ale Aina wołałaby, żeby tego nie robił, zwłaszcza że Edwin przyniósł ze sobą dwie butelki wina z przyprawami. Potem Arvid proponuje wszystkim cygaretki, jeszcze i to, mężczyźni skwapliwie biorą, dziękują... Aina potrząsa głową tak mocno, aż Barbara ze swym dziwnie twardym akcentem musi zapytać, czy dobrze się czuje.

To wszystko nie jest potrzebne, mówi Aina, a jej głos ginie w chóralnych kolędach, przynajmniej dla nas.

*Aber das ist ja nett*⁴⁰, Aino, tak rzadko się spotykamy.

Barbara ma rację, mówi Fredrik i częstuje się, kiedy papierośnica dociera do niego. Zaczyna się rozluźniać. Gorzałka była dobrej jakości.

40 Ależ to takie przyjemne.

Trzeba też wykorzystać te niewielkie przydziałowe ilości, dodaje Arvid i spogląda na Sofię. Nalewa mężczyznom następną kolejkę. Kobiety muszą obejść się smakiem.

Aina siedzi ze sztywno wyprostowanymi plecami.

Macie tyle miejsca, mówi skrzypliwie w stronę Sofii.

Moglibyście znowu wynajmować, włącza się Emilia. Jest tak wielu potrzebujących.

Arvid opiekuńczo otacza ramieniem Sofię.

Przecież rośniemy. Uśmiecha się i skinieniem wskazuje brzuch Sofii. I chyba będzie więcej niż to jedno.

Ja nie miałabym nic przeciwko temu, deklaruje Sofia. W trudnych czasach należy pomagać ludziom.

Ci, którzy tu przyjeżdżają, powinni wiedzieć, że mają szczęście, mówi Arvid. I nie ma pewności, że będzie z nich jakokolwiek pomoc. Jacobsson z biura mówił, że niektórzy z nich potrafią tylko leżeć przez cały czas, no, to z powodu tego, co przeszli tam u siebie...

Tylko leżeć?, powtarza Aina.

Ludzie muszą na siebie pracować, mówi Fredrik.

Chyba wszyscy dużo przeszliśmy, mruczy Aina.

Może oni nie mają siły, odzywa się Emilia.

Nie trzeba się cackać i tyle, mówi Arvid. To nie jest pomoc, tylko psucie.

A potem, jak już będą mieli siłę, to zabiorą nam pracę, żartuje Otto.

Z tego co słyszałem, to jest ich co najmniej trzysta osób, dodaje Arvid. Przecież nie ma nas aż tyle, żeby nie dało się zauważyć, kiedy pojawiają się obcy. Czyli inny element. Wcale nie wiadomo, do czego to doprowadzi. Zresztą zamierzam przebudować nasz dom, zrobić z niego dom jednorodzinny. Myślę, że w tej sytuacji tak należy zrobić.

Poklepuje Sofię po brzuchu.

Otto wznosi kieliszek.

No to wypijmy za to.

Barbara staje u jego boku. Aina myśli o niej, że jest żywa, wesola i ma świetną figurę, choć ubiera się z przesadną elegancją, a jej akcentu chyba nikt nie może znieść.

Frapująca, tak myśli o niej Arvid. Wyrafinowana. On potrafi używać takich słów. Prosi Sofię, żeby przyniosła jeszcze wody sodowej. Emilia powstrzymuje ją, kiedy próbuje wstać.

Powinam się ruszać, odpowiada ostro Sofia; najpierw musi przesunąć się na skraj krzesła, potem zapiera się nogami i winduje w górę.

*Arme Sofia*⁴¹, rzuca za nią Barbara. Powinna sobie sprawić pas ciężowy. Musi jej być bardzo ciężko tak chodzić.

Aina uważa, że ona przesadza. A jak inaczej kobieta ma chodzić? Barbara próbuje przechwycić spojrzenie męża. Otto nie rozumie, dlaczego miałyby dawać jej wsparcie.

Nagle znów czuje złość. Przecież tak ma być, kiedy jest się kobietą. Ma być tak ciężko.

Mówi, że po jedzeniu chce się przejść, żeby rozprostować nogi.

Chętnie pójdę z tobą. Emilia wychodzi za nim do sieni.

O ile nie chcesz być sam?

Doszli niemal do Hedgrind, ich oddechy parują białą. Otto jest dziwnie milczący. W oknach przyjaźnie się świeci, ludzie machają rękami, jadą sanie pełne dzieci i śmiechu, choć śniegu dużo nie napadało, skrzy się lód na Storsjön. Dochodzą do pomostu i zawracają, widzą choinki, czerwone i zielone bombki, girlandy z malutkich flag, z garnków paruje, w domach innych ludzi wszystko zawsze zdaje się takie miłe i przytulne.

Ona była w ciąży, mówi nagle Otto, a para z jego ust wylatuje gęstą chmurką, wznosi się do góry i rozprasza. Kto taki?

Barbara. Z innym mężczyzną. Co ty mówisz? I nie żyje. Dziecko?

Mężczyzna też, najwyraźniej. Zarówno dziecko, jak i tamten facet nie żyją. Ależ Otto... to jest przecież straszne. W każdym razie to prawda. Nie mogę nic więcej o tym powiedzieć. Ale chyba sama się domyślasz, jak to (mówi przez zaciśnięte usta)... zostało załatwione... Dziecko nigdy nie wyszło, rozumiesz. Nie. Nie było go. Nie mów o tym nikomu. Emilia potrząsa głową.

Nie. Oczywiście, że nie. Obiecuję. Ale dlaczego ono nie wyszło, co miałeś na myśli?

Chyba sama się możesz domyślić, mówiłem przecież. Bóg jeden wie, jacy potrafią być ludzie. Ale trzeba to wszystko przekreślić i iść dalej.

Brzozowy zagajnik po lewej stronie, Jernvallen po prawej; mijają Kooperatywę. Kiedy zbliżają się do Björkgatan, Otto zatrzymuje się, żeby zapalić papierosa, Emilia służy mu jako osłona od wiatru. Otto patrzy w bok, w południową stronę, ku starej kopalni piaskowca, gdzie przedtem zimą urządzano ślizgawkę. Arvid opowiadał, że czasem nawet były tańce – to zadziwiający, ale piękny obraz, ludzie tańczyli na lodzie, ktoś z akordeonem i ze skrzypcami siedział tak po prostu w środku natury? Jeszcze dalej w tym samym kierunku jest Storsjön, Emilia nigdy o tym nie myślała, jak wielkie jest to jezioro... O ile nie porównuje się go z naprawdę ogromnymi jeziorami – wtedy oczywiście niknie, ale jednak rozciąga się przecież wszędzie dokoła nich. Dziewczyna rysuje stopą figury w cienkiej warstwie śniegu. Małe, malutkie kółka. Trójkąt. Krzyż.

Cholerna Niemra, wypluwa z siebie Otto. Emilia nadal rysuje, ale wolniej, staranniej. Przeklęta nazistowska dziwka.

Nagle Otto zdeptuje jej figury, zaczyna wymazywać je stopą.

Posłuchaj tylko!

Słucham.

Ale Otto nic więcej nie mówi.

Jego ramiona opadają.

Ech, zresztą wszystko jedno.

Znów milknie, a Emilia nie ma odwagi się ruszyć.

Ale rozumiesz chyba, mówi Otto. A może czegoś takiego nie da się zrozumieć.

Sama nie wiem, odpowiada siostra. Nie wie, co tu jest do rozumienia.

Ech!, mówi znów Otto. W każdym razie tak było. A teraz komuś to powiedziałem. I nie wiem nawet, czy mi pomogło.

Znów zaczyna iść. Emilia najpierw zamierza zostać, coś w niej krzyczy, nie chce, żeby to się z niej wydostało. Odwraca się do nietkniętej płaszczyzny śniegu i znów zaczyna rysować wzory, ale podnosi głowę, widzi, jak Otto odchodzi przygarbiony, i decyduje się go dogonić.

Nie odchodź, mówi i oplata jego ramię swoim. Nie chciałeś jeszcze czegoś powiedzieć?

Nie powinienem nic mówić.

Może musiałeś coś zrozumieć...

Co tu jest do rozumienia?

Barbara, odpowiada Emilia. Można przecież zrozumieć Barbarę.

W jaki sposób zrozumieć? Co w niej jest do rozumienia?

Nie wiem. Może smutek, próbuje Emilia.

W takim razie to jej problem. Nie mój.

Emilia patrzy z boku na brata. Chyba już kiedyś musiała go takim widzieć? A jednak wydaje się całkiem obcy.

Ech, syczy Otto. Baby. Nie pojmuję, po co mi o tym mówiła. Co ja mam teraz z tym zrobić? Co mam teraz do cholery zrobić z tą przeklętą Niemrą?

Emilia potrząsa głową. To głupie, ale nie przychodzi jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć, nic łagodzącego w każdym razie. Sofia jest lepsza w takich sytuacjach. Może nie w łagodzeniu, ale przynajmniej potrafi coś powiedzieć, skierować myśli na inne tory.

Zrywa się wiatr.

Otto otacza ją ramieniem. Jego głos mięknie, kiedy mówi:

A co z tobą, biedactwo. Mała dziewczynko.

Co ma być, odpowiada Emilia. Nie ma co się nade mną litować.

Otto zmienia wyraz twarzy, teraz wygląda jak zwykle, uśmiecha się.

Nie możemy tak się gryźć w samą Wigilię. Nie wiem jak ty, ale ja napiłbym się chętnie jeszcze jednego...

Chcę jechać do domu, mówi Aina. Jest późno. A jutro rano jest msza.

Próbowała pomagać Sofii w kuchni, ale ta jej nie pozwoliła. Siedź sobie, mamó, i odpoczywaj. Kiedy mimo to zaczęła wycierać filiżanki, Sofia się zezłościła i prawie wyrwała jej naczynie z ręki. Siadaj, mamó! Przecież nie jest psem. Spróbowała odzyskać filiżankę.

Nie wiesz, gdzie ma stać, sprzeciwiła się Sofia. Ja to zrobię, mamó!

Aina otuliła ramiona szydełkową chustą, torebkę trzyma na kolanach. Barbara próbuje ją udobruchać, ale jest w stanie rozmawiać tylko o jedwabnych pończochach (które najlepiej jest codziennie przepłukać i wieszać do wyschnięcia za palce) i drapowanych zasłonach (które tak trudno jest ładnie ułożyć).

Aina nigdy, w żadnej ze swoich ciąży, nie była tak wielka, ciężka i humorzasta jak Sofia.

Chcę tylko, żeby choć raz sobie odpoczęła, tłumaczy Sofia Emilii, kiedy są same w kuchni.

A czy ty też nie powinnaś tego zrobić?

Sofia właśnie zamierza wejść na krzesło, żeby postawić wysoko półmisek, kiedy Emilia decyduje się na interwencję.

Ale tylko to, mówi Sofia. Czy człowiek już nic nie może zrobić w swoim własnym domu?

Emilia ostrożnie odstawia półmisek.

Nie, stęka Sofia, masując sobie plecy. Niechże ono wreszcie wyjdzie.

Rozumiem, mówi Emilia.

Sofia myśli: jak też ona może to zrozumieć? Choć przecież powinna. To ona powinna być tą siostrą, która opowiada o tych sprawach. O małżeństwie. O dzieciach.

Emilia chciałaby opowiedzieć coś o Zakładach Wełnianych, o dyrektorze. Że jest miły, sympatyczny. I jakie straszne jest to, co spotkało Rebeckę Forss, chce powiedzieć. Czy wiesz, że ona odebrała sobie życie?

Ale to przecież okropnie nieodpowiedzialne?

Irma twierdzi, że tu chodzi o coś innego... że właściwie nawet nie ma się wyboru.

To najgłupsza rzecz, jaką słyszałam. Przecież nikt inny o tym nie decyduje.

Właściwie tak, też tak myślę, ale Irma mówi...

Ludzie różne rzeczy gadają bezrozumnie.

Emilia prawie słyszy, jak by to brzmiało. Słyszy ciszę między słowami. I co można z tym zrobić?

Zmywa się dalej.

Wyciera naczynia. Ale nie można tego tak zostawić.

Ściera parapet pod oknem, choć wygląda na całkiem czysty.

Przygląda się makatce na ścianie, z motywem świątecznym.

Wiedziałaś, że Barbara nie może mieć dzieci?

Dlaczego tak mówisz? Kto to powiedział?

Otto. Najwidoczniej usunęła dziecko, a potem – no właśnie, potem już nie może... Obiecałam, że nikomu nie powiem.

Ale jednak to robisz, mówi Sofia. To dziwna rzecz do opowiadania.

Pomyślałam... że może chciałabyś wiedzieć.

Nie, sio, nie chcę wiedzieć niczego takiego. Biedna Barbara. Biedne dzieciątko. To zbyt straszna historia, żeby tak po prostu sobie o tym gadać. W dodatku w sam wieczór wigilijny.

Dziecko

Jest styczeń i Sofia zbiera gałązki. Wierzba iwa, wierzba i forsycja. Tnie ostrym sekactorem. Należy zawsze ciąć przy rozgałęzieniu, żeby ślad zabliźnił się jak najlepiej, nigdy nie wolno odłamywać. W domu obskrobuje korę. Odcina trzy centymetry u dołu i wstawia gałęzie do wody. Jej zmęczenie jest z gatunku tych, których nie można zignorować, choć to straszne, kłaść się do łóżka w biały dzień. Ostrożnie wtacza się na górę po schodach. Jej ciało jest tak wyraźnie odczuwalne, a jednak nierzeczywiste. Czy to ona? To wszystko? Jeszcze trudniej sobie wyobrazić, że w środku w niej jest dziecko, wkrótce całkowicie gotowy człowiek. Który był taki spokojny przez te ostatnie dni, że nie ma nawet pewności, czy wciąż żyje.

Sofia kładzie dłonie na brzuchu. Zamyka oczy.

Brzozy z trzaskiem wyrastają wokół łóżka. Wyrastają wokół trumny Karin tamtego dnia. Pogrzeb. Niemcy wkroczyli do Polski, a na cmentarzu są długie cienie. Słyszać płacz. Najpierw płacz dziecka, potem mężczyzny, ten dominuje, a dziecko cichnie – jakby przez wzgląd na mężczyznę, jakby już wiedziało, że inaczej może być za dużo, nikt tego nie wytrzyma.

Skrzypce Milтона pod brzożami. Nie są dobrze nastrojone. Chce im powiedzieć, żeby przestały, chce powiedzieć męskiemu szlochowi, długim ceniom nad trumną. Chce powiedzieć ciału w trumnie. A potem zaczyna się śpiew. Gdyby tylko był piękniejszy, wyższy, czystszy. Sofia nie może znieść tego szeptania, niepewności. Czy to śpiewa Marianne Frank? Czy to ona próbuje towarzyszyć fałszywym tonom?

Fałszywe tony skrzypiec to dźwięki śmierci. Długi zduszony śpiew.

Brzozy stoją ciasno, z poduszki Arvida dobywa się duszny zapach. Nie ma nic wspólnego z przyjemnymi zapachami, jak tytoń fajkowy Edwina, kapryfolium, świeżo umyte włosy Karin. Raczej jak oprawianie ryby, gotowanie raków, prześcieradła, które wilgotne zostały zwinięte i zaczęły pleśnieć. Pościel, która za długo była w łóżku. Woda, kiedy kwiaty za długo stały w wazonie.

Brzuch jest wielki jak głaz. Czuje uderzenia serca; to jej czy dziecka? Chce coś powiedzieć. Chce prosić o wybaczenie za obrazy, które przechodzą przez jej ciało. Za zapach z poduszki Arvida. Odwraca ją na drugą stronę, ale jest tak samo, ściąga poszewkę, ale zapach dobywa się z wnętrza; Sofia zrzuca poduszkę na podłogę, myśli, że powinna wynieść ją na balkon, niech się wietrzy. W ścianach, w suficie są spojrzenia: Leżysz sobie, Sofio, w biały dzień? Nie masz nic do roboty? Spojrzenia każą jej wstać, róże na ścianie są lekko błękitne, jeśli wyniesie poduszkę, może o niej zapomnieć – co wtedy powie Arwidowi? Podnosi ją z podłogi i kładzie z powrotem na łóżku.

Arvid i Otto wyjechali na Trzech Króli łowić ryby pod lodem, Sofia nie musi robić obiadu. Jest kilka gotowanych ziemniaków, które może usmażyć albo zjeść tak. Poza tym piwnica jest pełna porów, pasternaku, słoików z różnymi rodzajami grochu, moszczu z dzikiej róży, sardeli, ale Sofia nie czuje się specjalnie głodna.

Siada z robótką. Skarpetki będą brązowe z niebieskim brzegiem. Bez niebieskiego paska byłyby nudne. Coś uderza w brzuchu, zasysa i wciąga do środka, jak nagły i ostry, bardzo wolno obracający się wir. Wypuszcza robótkę. Zgina się naprzód, nad bólem. Który ustaje tak samo nagle, jak się pojawił, jakby nic się nie stało. Sofia znów sięga po druty. Właściwie chciała dla kontrastu dać jakiś bardziej neutralny kolor, ale zostało jej jeszcze trochę niebieskiego z rękawiczek, które zrobiła dla Edwina pod choinkę. Znów czuje cios – ból rozchodzi się szybko, daleko w głąb; musi pochylić się do kolan. Objąć uda, wstrzymać oddech. Powoli oddychać przez nos. Kiedy ból mija, Sofia postanawia, że musi dokończyć skarpetki, między skurczami dzierga, coraz szybciej: oczko lewe, prawe, lewe, prawe.

Po upływie doby jest z powrotem w domu z małym – jest pomarszczony i ma długie czerwone zadrapania na twarzy.

Popatrz! Tu będziesz spał!, mówi głośno Sofia i skinieniem wskazuje stojący na podłodze obok stołu kosz na bieliznę, który obila materiałem.

Niedługo wróci Arvid!, mówi, i zaraz się poprawia: Tata niedługo wróci... Carlu. Głos zdaje się dziwnie mocny i ostry w pomieszczeniu. Carl to imię dla króla. Albo, decyduje Sofia, całkiem zwyczajne imię, jedno z najzwyklejszych. A jednak: gdyby to była dziewczynka, zostałaby Karin. Sofia myśli, że wtedy inaczej trzymałaby dziecko. Nie wie dokładnie jak, ale inaczej by się czuła. Kładzie Carla do kosza. Na dnie ułożyła poduszkę, choć na pewno będzie za miękko, ale rozmiar tak dobrze pasował. Poduszka owinięta w białą poszewkę z monogramem.

Ale tylko na pierwsze noce, tłumaczy małemu. Potem będzie to, co jest.

Jest przykryty odciętym kawałkiem koca. Sofia dokłada jeszcze wełniany szalik Arvida. Dla pewności. Chłopiec patrzy do góry, ale pusto, jakby w środku tych oczu nie było jeszcze spojrzenia. Sofia chrząka, na co dziecko się wzdryga. Ona się wzdryga. Buzia się marszczy, czerwienieje, mały zaczyna płakać; Sofia wie, że musi go nakarmić, minęło już pięć godzin, a wtedy szło kiepsko, położna musiała uciskać jej piersi, ścisnąć brodawki; te pierwsze krople mleka są bardzo ważne, tłumaczyła. Sofia nie pamięta dlaczego. W końcu trochę wypił i uznała, że wystarczy. To nie było zadowolające, ale tak, żeby nie umarł z głodu. Sofia bierze chłopca, przystawia go. No jedz, mówi. Piersi są twarde. Chłopiec męczy się, żeby uchwycić sutek. Sofia się poci. Nic nie leci. Próbuje naciskać tak, jak pokazywała położna. Myśli o krowach w oborze. Zamyka oczy, żeby na to nie patrzeć. Na pierś i jego czerwoną, rozszluszczoną twarzyczkę. Dobry Boże, modli się w myślach, spraw, żeby on...

I najwyraźniej on właściwie ujmuje pierś i wreszcie się udaje, ciało odczuwa ogromną ulgę, choć boli i Sofia wie, że krwawi, ale to nie może przeszkodzić; dostała w szpitalu mieszaną zastępczą z mleka krowiego, ale czytała, że nie powinno się jej używać. Chłopiec pije, póki nie zaśnie. Z jego buzi spływa biała strużka, Sofia wyciera ją.

Jednak to dobrze, że to chłopiec, myśli, kiedy mały śpi, a ona znów sięga po robótkę. Nie zostało dużo okrążeń. Nie może się doczekać, kiedy Arvid wróci i zobaczy małego, jak sobie leży spokojnie w koszu. Na pewno się ucieszy. Syn. Mały Carl.

Zgubiła oczko, musi spruć trzy rządki. Chłopiec posapuje przez sen, pokój jest zupełnie inny z tym koszem stojącym na środku. Ale jest tak, jak powinno być. Kręci jej się w głowie. Co jakiś czas krew wypływa z niej obfitymi falami; nie wiedziała, że tak będzie, ma w domu za mało waty, ale pożyczyła trochę od położnej. Zaczyna śmierdzieć. Chce popatrzeć na chłopca, ale dzierga dalej – lewe, prawe, lewe.

Choć chłopiec leży w koszu i płacze, to Sofia ma wrażenie, jakby trzymała go w objęciach, jakby jej ręce nie umiały robić nic innego, tylko trzymać, nosić, kołysać. Jej ciało się kołysze, nawet kiedy trzyma pranie, porcelaną, pudełko z szyciem. Powinna ugotować coś do jedzenia, pościelić łóżko, umyć się, ułożyć włosy, a obrus, który chciała położyć na stole, nie jest wymagłowany. Zamiast tego będzie ten w kratkę, choć ma na środku plamę. Stawia na plamie filiżankę. Wygląda dziwnie. Gdyby było lato, mogłaby postawić wazon i z łatwością znaleźć do niego kwiaty: tulipany albo maki, albo nagietki. Choć nie, mak lepiej nie. Zaraz traci płatki, wystarczy go tylko musnąć. Patera!, myśli nagle, ale przypomina sobie, że w domu nie ma ciastek – o Boże, nie ma nawet składników na babkę! O czym ona właściwie myślała? Czy raczej właśnie tak sobie to wyobrażała: babka. Na środku malutka flaga. Hip hip hurra! Kładzie na plamie książkę. Którą natychmiast zabiera.

Carl płacze.

Przestań!, mówi Sofia. Nie zamierzam cię karmić. Naprawdę nic nie dostaniesz.

Myśli o Lillemor i myśli jakby odpryskuje na Carla. To surowa myśl, dotyczy płaczu o nic albo płaczu o wszystko. Nie masz żadnego powodu do marudzenia, lepiej posłuchaj.

Ale przecież czymś musi napęłnić paterę, na litość boską. W puszcze znajduje kilka starych sucharków, zostały tylko trzy, Sofia kładzie je na paterę.

Nie! Masz w tej chwili przestać płakać!

Równocześnie słyszy trzaśnięcie drzwi.

I już Arvid zjawia się w pokoju.

Sofio?

To jest Carl, mówi niezbyt mądrze Sofia. Twój syn, dodaje tak głupio, że się sama czerwieni.

Ale, pyta Arvid, co mu jest? Czy jest chory?

Sofia nie wie, co powiedzieć.

Chyba trochę boli go brzuszek, próbuje.

Nie weźmiesz go na ręce?

Bierze go, trzyma Carla w ramionach, kołysze, uspokaja: Już dobrze, już dobrze... Arvid mechanicznie poklepuje dziecko po główce.

Mój syn, mówi, co brzmi trochę tak, jakby na końcu był pytajnik.

Poza tym był przez cały czas grzeczny, wyobraź sobie, mówi Sofia.

I tylko suchary, wzdycha Arvid, kiedy powinniśmy świętować.

Sofia na kuchennej sofie, Arvid przy kuchennym stole, Carl, wyczerpany, śpi w swoim koszu. Sofia boi się, że się obudzi i znów zacznie płakać. Ta cisza jest dziwna. Jakby zawsze tak było. Choć przecież to zupełnie nowa sytuacja. Powinni coś o tym powiedzieć. Mogliby stanąć razem, zająrzeć do kosza i zacząć chichotać. Ona próbowałaby go uciszać, ale sama nie mogłaby się powstrzymać od śmiechu.

Arvid siedzi pochylony nad swoimi podręcznikami. Sofia prawie skończyła skarpetki. Gdyby Arvid zapytał, jak było, mogłaby mu opowiedzieć, że wybrała się na porodówkę, kiedy odeszły wody, najpierw chciała pojechać rowerem, ale potem pomyślała o bólach i że mogłaby się zachwiać i spaść, więc poszła na piechotę, droga zajmuje niecałe dwadzieścia minut, ale skurcze powracały co cztery minuty, wyliczyła wtedy, że zanim dojdzie, pojawią się pięć razy. Oczywiście droga trwała dłużej, ponieważ za każdym razem musiała przystawać, więc szła ponad dwadzieścia minut i dlatego miała więcej niż pięć cykli skurczów.

Dwa razy kładła się już na śniegu. Tego by Arvidowi nie powiedziała. Nie użyłaby też słowa: ból. Nie jest tak, że położenie się na śniegu cokolwiek by pomogło, ale tak to czuła. Lodowaty chłód na dłoniach, miała ochotę jeść śnieg, pakować go sobie do spodni. Ech, nie, naprawdę nie powinna tego opowiadać. Ale wspomniałaby chętnie, że Zata wyrzwał z domu, od razu się domyślił, dokąd idzie i zapytał, czy ma zawołać Ingegerd, mogłaby towarzyszyć Sofii, ale Sofia zdecydowanie podziękowała – co Ingegerd mogłaby w ogóle zrobić? Wstydziła się, że idzie taka pochylona, czuła, że ma wykrzywioną twarz. Krzyknęła do niego, że przecież jest tak blisko, próbowała się uśmiechnąć. Ostatni kawałek, pod górę, był najtrudniejszy. Ale nie użyłaby też słowa „trudny”. Opisałaby to, patrząc jakby z zewnątrz: I wtedy wyszedł Zata i zapytał, czy ma zawołać Ingegerd, a ja mu odpowiedziałam, że to wcale nie jest potrzebne, bo jest tak blisko, potem był kawałek pod górę, a kiedy dotarłam do celu, wszystko poszło jednak bardzo szybko. Może tylko raz krzyknęłam, ale wtedy położna powiedziała mi, że bym myślała o rezultacie, a potem powiedziała, że to był łatwy poród, że inne muszą się męczyć całą dobę.

Nie, tego o krzyku też nie musiałyby opowiadać. Wszystko trwało cztery godziny i dwadzieścia minut. To może opowiedzieć. Od momentu kiedy weszła do szpitala, aż do chwili, gdy chłopiec wyszedł na świat. A pomiędzy tym trzymałam Karin mocno za rękę. Tak było, ale tego akurat ci nie powiem. Myślałam: Teraz ja też umieram. To było głupie, jasne, takie porównanie to wyraz pychy, ale jednak chciałaby to po prostu powiedzieć: że przez chwilę – kiedy bolało najbardziej – tak głupio właśnie myślałam. A palce Karin były mocne i ciepłe wokół mojej dłoni.

Teraz tylko musisz przez to przejść, Sofio. Nic innego nie możesz zrobić.

I wtedy on wyszedł, chłopiec, głowę miał nieforemną, nie pamiętam, żeby krzyczał. Łóżysko nie chciało się oderwać, więc położna musiała dość długo uciskać. Chłopca zabrała ze sobą. Przez długą chwilę leżałam całkiem przytomna, choć byłam tak bardzo zmęczona. Patrzyłam na sufit, nie chciałam oglądać krwi ani swojego ciała.

A potem ona wróciła z chłopcem i położyła mi go przy piersi, a ja nie wiedziałam, jak go trzymać. Wtedy nie płakał. Głowa, która przedtem wydawała mi się zniekształcona, wyglądała normalnie. Nie myślałam o tobie, Arvidzie. Ani przez jedną sekundę nie myślałam. Przez cały poród ani przez tę godzinę, kiedy leżałam z dzieckiem przy piersi, a ono kręciło głową i kwiliło, bo mleko nie chciało płynąć albo robiłam coś źle, położna mówiła, że się napinam, ale ja tego nie czułam. Potem zasnęłam, byłam prawie sama na całym oddziale, a kiedy się obudziłam i ona znowu zabrała chłopca, wtedy pomyślałam o tobie. Ale nie od razu. Bo najpierw pomyślałam, czy w ogóle jeszcze żyję, bo pokój był pełen światła, potem przypomniałam sobie o dziecku, a potem przypomniałeś mi się ty. Wydaje mi się, że nie myślałam o tobie dlatego, że ty nie myślałeś o mnie.

Jest bardzo zimno, mówi Arvid. Tak właśnie jest, więc Sofia mówi: Tak.

Śpi głęboko, mówi Arvid. A Sofia mówi: Właśnie, oby.

Nie powinien marznąć w swoim własnym domu, mówi Arvid.

Ech, odpowiada Sofia, wcale nie jest tak źle.

Na wszelki wypadek dołożę drewna.

Sofia starannie zawiązuje nitkę. Skarpetki dla chłopca są gotowe. Wkłada je pod stos wymaglowanych ścierek kuchennych.

Tragedia w Zakładach Wełnianych (II)

W śniegu.

Świat jest biały, Irma wiezie Emilię na fińskich sankach. Z górki, pod górkę. Przed domem lepią bałwana. Irma zbiera śnieg i formuje z niego ogromny członek, który dolepia do śniegowego korpusu.

Czy to może być dyrektorski?, zastanawia się i przygląda mu się z ważną miną. Co panna Steen o tym sądzi?

Emilia zwija się ze śmiechu.

A skąd ja mam to wiedzieć?

Ach tak, a więc nie przyciskał się do ciebie?

Zwariowałaś?

On się ciebie boi, wiesz.

Irma warczy. Idzie za nią z rozczapierzonymi palcami. Łapie ją za ramię. Emilia uwalnia się, odrywa śniegowy członek, rzuca nim o ścianę.

Aj, aj, aj, zawodzi Irma. Biedny panie dyrektorze, zrobił pan sobie krzywdę? Pomyśl tylko, może on nas widzi? Co ty, myślisz, że mógłby się rozpoznać? Przestań, już nie mam siły się śmiać. Emilia siada na schodach. Irma odwraca się do ściany, żeby zasłonić się od wiatru, zapala papierosa. Siada obok Emilii.

Jasne, że czasami można marzyć o tych zachodach słońca, mówi. O kimś, z kim można założyć gniazdo. Mieć dzieciaka albo dwójkę. Naprawdę ci się to zdarza?, pyta Emilia zdumiona. Irma pali i spogląda w stronę góry. Siedzą w milczeniu. Irma gasi papierosa i odwraca się do Emilii.

Emilio, mówi. Ty... Wiesz ty co?

Ujmuje ramiona Emilii.

Ty... Czy ty... chciałabyś za mnie wyjść?

Śmiech eksploduje, Irma schyla się i nabiera wielką garść śniegu, którą próbuje natrzeć Emilii twarz. Emilia się broni, też sięga po śnieg, chce go wcisnąć Irmie za kołnierz, lodowaty puch pali ją w dłonie.

Wtedy w drzwiach staje Klara Lilja.

Ależ wy jesteście niemądre obydwie.

Próbuje się uśmiechnąć, ale jej twarz napina się w coś, co bardziej przypomina grymas.

Właśnie, nic dziwnego, że jeszcze nie znalazłyśmy mężów, mówi Irma.

Klara Lilja ściąga wargi i idzie dalej.

Żał mi jej, mówi Emilia, kiedy Klara odjechała na swoich sankach.

E tam, nie ma powodu, żeby żałować jej bardziej niż kogokolwiek innego.

Irma otrzępuje się ze śniegu.

Zmarzłam, mówi. Prawie ciągle marzną.

Uśmiecha się.

Chodź, głupia gąsko, wchodzimy do środka. Café Łabędź.

Irma i Emilia siedzą na zniszczonej zielonej sofie w Łabędziu. Filiżanka czarnej zbożowej kawy. Każda ma po ciastku. Kiedy Anders i Lennart zagląдают do środka, Irma podnosi wzrok. Uśmiecha się, macha do nich ręką. Odpowiadają uśmiechem i kiwnięciem.

Siadajcie, jeśli macie ochotę, *boys*, mówi Irma.

Musimy się zająć interesami, odpowiada Anders i posyła Irmie spojrzenie, którego Emilia nie rozumie. Czuje ulgę. Nie może rozmawiać, kiedy oni siedzą przy stoliku.

Business, aha, mówi Irma, choć tamci już poszli dalej. Strzepuje papierosa, nie trafiając do popielniczki. Potem wzdycha i kładzie głowę na stoliku.

Czy myślałaś o tym, mówi, że wszystko mogłoby być zupełnie inne? Może jest już całkiem inne... właściwie... W swojej najgłębszej istocie... Tylko ludzie zabudowali wszystko masą gratów. Żeby nas odsunąć od prawdy.

Jestem całkiem zadowolona z tego, jak jest, mówi Emilia. Tak, z wyjątkiem wojny, oczywiście. Dla mnie samej, o to mi chodziło.

Ale chyba jednak nie jesteś?

Tak czy inaczej, nie mogę przecież wiedzieć czegoś... czego nie... wiem.

W takim razie trzeba maszerować dalej wydeptaną ścieżką, to chciałaś powiedzieć? Choć tyle kobiet idzie na dno, potykają się i nie mogą wstać, nie dochodzą do niczego... bo żadne inne drogi po prostu nie są możliwe... albo są niewidoczne.

Ale jak można widzieć coś, czego nie widać?

Chciałaś się stąd wydostać, nieprawda??

Emilia wzrusza ramionami.

Jak mówiłam, myślę, że jest całkiem nieźle. Mam pracę, mieszkanie...

A czy to wystarczy?

Emilia patrzy w swoją filiżankę z kawą.

Już nie wytrzymam. To chce powiedzieć. Już dłużej nie wytrzymam.

Czego nie wytrzymasz? Zapytałaby Irma, ale wtedy Emilia nie umiałaby odpowiedzieć.

Bardzo schudła w ostatnim czasie, mówi Irma i patrzy na Emilię niemal wyzywająco.

Ale kto?

Rebecka, przecież to oczywiste!

Emilia nie rozumie, co Rebecka ma z tym wspólnego, dlatego zawsze muszą o niej gadać.

Ona ma coś wspólnego ze wszystkim, słyszy słowa Irmy, dokładnie ze wszystkim.

W tych eleganckich ubraniach... Boże, jakaż była chuda i blada... A potem...

Irma rozpędza się. Zakłada nogę na nogę. Ma na sobie długie niebieskie spodnie i białą bluzkę. Włosy schowała pod dzierganym beretem.

Pod sam koniec. Ona prawie zniknęła. Kiedy przysłała do mnie ostatni raz... Zaraz ci opowiem...

I Irma zaczyna opowiadać. Opowiada zakończenie historii Rebecki Forss.

Rebecka Forss. Była taka piękna. Włosy popielatoblond do ramion.

Chyba do pasa, nie? Rudobrzowe...?

No, raczej takie jak twoje, a zresztą to i tak nie ma znaczenia. Irma macha ręką. Drobiazgi! Przychodziła do mnie, byłam jedyną osobą, której się zwierzała, rozumiesz. A tamtym ostatnim razem...

Czy wtedy powiedziała ci o dziecku?, pyta Emilia. Tak trudno jej połączyć te wszystkie elementy w całość.

Tak, tak, mówi Irma i znów macha dłonią przed twarzą. To było później.

Ale czy ona później nie umarła?

Droga Emilio, to chyba nie zabrzmiało zbyt miło? To było po tym, jak opowiedziała o dziecku. I zanim się zdecydowała, żeby... zanim...

Wzięła mnie na bok w fabryce, chciała się umówić, powiedziała, że chce się pożegnać... Po pracy przyszyliśmy do Łabędzia. Rebecka siedziała tutaj, gdzie ty teraz, a ja tu. Jak zwykle. Ale to była zupełnie inna Rebecka. Promieniała. Mogłam zauważyć krągłość pod sukienką, pamiętam, że sukienka była w kwiatki, to był piękny wieczór, pamiętam zapach lata, mocny, wręcz nie do zniesienia, pomyślałam, że jest tak pięknie, choć wojna i wszystko jest takie straszne, że nie powinnam się cieszyć, tylko przez cały czas być smutna... ale zapomniałam o tym, zapomniałam nawet, jak bardzo była chuda...

Wyznała mi, że pan Melin zmienił zdanie, że jego miłość do niej była zbyt wielka... Powiedział, że chce uciec razem z nią. Że nic już się nie liczy, tak mówił. Był zmęczony i chciał żyć. Mieli się spotkać przy dworcu...

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Była taka piękna. Myślałam, że jest zadowolona. Ale on oczywiście nie przyszedł.

A potem musiała pójść do domu i znaleźć ogłoszenie. Może też widziała je wcześniej, wycięła i włożyła do portmonetki albo szuflady nocnego stolika. A potem, kiedy on się nie pojawił – kiedy ją porzucił – wyjęła wycinek. To była ostatnia próba. Jak przedśmiertne drgawki.

Uch, nie mów tak.

To było na samym początku lata.

Inaczej by było, gdyby to była jesień, prawda? Albo wczesna wiosna. Lodowato chłodny lutowy poranek, kiedy zima trwała za długo, żeby można było pamiętać, że zawsze potem przychodzi wiosna. I tulipany. Rebecka uwielbiała tulipany, właśnie wtedy powinny kwitnąć najpiękniej. Mimo wszystko. A może właśnie dlatego.

Wyjęła ogłoszenie. Pamiętasz: *Droga Panno Nieznana*. Przemówiło do niej. Musiało. Na pewno zadzwoniła, załatwiła wszystko. Została serdecznie zaproszona. Może nie powiedzieli „serdecznie”. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Dla rodziny to była zarówno ujmą, jak i ulgą. Może oni by ją pokochali, gdyby tam przyjechała. Albo zadzwoniła dużo wcześniej, właśnie, chyba tak to było. Tak będzie lepiej. Że zadzwoniła tam zaraz po tym, kiedy dowiedziała się o dziecku i zrozumiała, że on go nie chce... Ustalili praktyczne szczegóły. Ustalili datę i godzinę, kiedy mają odebrać ją ze stacji. A wtedy on zmienił zdanie – jednak chciał ją zatrzymać, chciał mieć to dziecko. Rebecka była jak chorągiewka na wietrze, a cały ten wiatr pochodził od niego, nie miała czym oddychać. Spotkajmy się przy dworcu i ucieknijmy razem.

O, czuję się naprawdę jak ostatnia idiotka. Bo tamtym razem, kiedy siedziała tak i promieniała, bawiąc się swoją broszką – to chyba była mała sarenka, o ile się nie mylę – wtedy nic nie powiedziałam. Nie miałam serca... A przecież wiedziałam! Wiedziałam, że on nie przyjdzie. To było jasne dla każdego. Ale Rebecka chwyciła się nawet najmniejszego źdźbła. A ja... powiedziałam tylko, żeby uważała na siebie. To była jedyna rzecz. Boże, tak mało, właściwie nic...

Ale co mogłaś wtedy zrobić?

Mogłam jej opowiedzieć... To i to tutaj... i jeszcze to...

Wysypuje zawartość swojej torby, książki padają na stół.

Mogłabym ją nauczyć... Wziąć ją pod ramię i powiedzieć: Nie rozumiesz, Rebecko? Nie powinnaś iść tam i czekać na niego, i myśleć, że to jest jedyna rzecz, jaka ci została. Jesteś warta więcej, Rebecko. Musisz to zrozumieć.

Ależ Irmo... Pomyśl tylko, a może on chciał przyjść. A co, jeśli coś go zatrzymało. Wyobraź sobie, że on... w ostatniej sekundzie...

DAJ JUŻ SPOKÓJ! A jeśli... jeśli... i co z tego? Co to ma za znaczenie? I dlaczego to zawsze ma być wystarczające wytłumaczenie faktu, że ktoś tchórzny? Tak, ale nie mam odwagi. Właśnie to próbuję ci przez cały czas wytłumaczyć. Tchórzostwo, odwaga – zawsze o to chodzi. A ja stchórzyłam. A Rebecka... nie żyje.

Irma chowa twarz w dłoniach.

Emilia nie wie, co ma zrobić. Myśli, że czasem bardzo trudno jest wiedzieć, co jest tchórzostwem, a co odwagą. Chciałaby to powiedzieć.

Słuchaj... Irmo... To przecież nie twoja wina.

Irma nie odpowiada.

Rebecka była nieszczęśliwie zakochana i odebrała sobie życie. Była słaba, to wcale nie musi być bardziej skomplikowane.

Oczywiście, że musi, musi być bardzo, o wiele bardziej skomplikowane.

Chodź, Irmo, wracamy do domu.

Emilia uważnie zbiera książki i wkłada je do torby Irmy.

Chodź już...

Śnieg wiruje wokół nich, Emilia owija szalikiem szyję i pół twarzy.

Emilio!

Irma łapie ją za rękę.

Nie chcę dziś w nocy być sama.

Nie jesteś sama. Dom jest pełen ludzi, wiesz przecież. Będziesz mogła spać.

Emilio, chcę, żebyś była u mnie dziś w nocy, żebyś mnie obejmowała...

Gdy Emilia spogląda w dół drogi i nagle widzi, że okolona jest błękitnymi kwiatami, ogromnymi, jak błękitne drzewa na tle wieczornego nieba. Śnieg na nie pada, obsypuje je całe. Płatki śniegu na rzęsach, na ustach.

Siadaj na sanki, zawiozę cię.

Emilio, proszę...

To nie była twoja wina, Irmo, to wyjątkowo nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Emilio?

Niedługo będzie rano i wszystko będzie się wydawało lepsze...
Siadaj wreszcie.

Irma wzdycha i siada, a Emilia bierze rozpęd; lodowaty wiatr wpada jej do ust. Kąsa w twarz. Odpycha się nogą tak mocno, jak tylko potrafi, szybciej, szybciej. Niedługo Irma znów będzie musiała się uśmiechnąć, myśli. Jeśli tylko dam radę dalej tak jechać... Jesteś szalona, słyszy krzyk Irmy, zaraz spadnę. Zaśmiej się wreszcie!, myśli Emilia, odpycha się jeszcze gwałtowniej, przy zjeździe z górki trochę się boi i chce się zatrzymać, ale to niemożliwe, zamyka oczy i nie wypuszcza kierownicy z rąk. Dopiero wtedy słyszy śmiech Irmy.

Pokój Emilii.

Szszsz... Emilio? Znów masz sen? Co ci się śni?

Irma. Śni mi się, że układa listy na kupkę. List za listem, mnóstwo listów. Nie mają końca. Nienapisane listy. Mają sięgnąć do nieba, mówi Irma. Próbuję jej wytłumaczyć, że tam nie dostaną. Kiedy nie patrzy, biorę jedną z kopert, potem jeszcze jedną i chowam w kieszeni. Dlaczego to robisz? Nie wiem.

Ona nie widzi, że je wzięłaś?

Nie, ona nie widzi niczego, ona tylko układa.

Chodź, pomóż mi, mówi.

Pomóż mi!

Jeden z listów wypada z kieszeni, podnoszę go i czytam: „Jeśli cię dotknę, już nigdy nie będziesz taka sama.

Pomóż mi!”

Panna Lilja na korytarzu; papiloty we włosach, ciemnożółty pikowany szlafrok.

Ona czasem taka jest, mówi i głową wskazuje drzwi do pokoju Army.

Emilia słyszy głos Army ze środka.

Co się tam dzieje?

To minie.

Nie powinnyśmy do niej wejść?

Tak już było kilka razy, mówi Klara, nie ma się czym przejmować.

Ona nie chce, żebyśmy weszły?

Nie, nie chce.

Panna Lilja wzdycha i się odsuwa, żeby Emilia mogła podejść do drzwi. Puka.

Irmo? To ja, Emilia...

Ale Irma nie odpowiada. Emilia słyszy jej płacz, a może jęk, jakby coś ją bolało.

Irmo? Jesteś chora?

Jak się obudzimy jutro rano, będzie taka jak zwykle. Wierz mi...

Jesteś pewna? To znaczy, że mamy ją tak po prostu zostawić?

Kiedy to się zdarzyło pierwszy raz... jasne, myślałyśmy, że ona... (Klara Lilja ścisza głos)... no wiesz, rozumiesz chyba... Ale naprawdę było tak, jak mówiłam. Następnego ranka zachowywała się, jakby nic się nie stało, tak samo było też za drugim razem, nie ma powodu podejrzewać, że teraz będzie inaczej, nieprawdaż? Idź spać, sama jutro zobaczysz...

Ale następnego ranka nie wszystko jest takie samo.

Na przykład Irma nie puka jak zwykle. Kiedy Emilia wychodzi z pokoju, Irma jest już w drodze, idzie w dół, do mostu. Emilia nie wie, czy ma do niej zawołać. Nie. Zawraca i idzie z powrotem do budynku, udaje, że czegoś zapomniała. Może zapomniała swojego pojemnika z obiadem, choć ten leży w torbie. Grochówka i chrupki chleb.

Emilio, a ty dokąd?

To głos Army.

Emilia idzie w jej stronę.

Wydawało mi się, że czegoś zapomniałam... ale mam wszystko.

Emilia śmieje się do niej.

Dzisiaj jest chyba trochę cieplej, mówi.

Tak uważasz?

Odrobinę cieplej, próbuje Emilia.

No, nie wiem sama, mówi Irma, może jest.

Nasz bałwan stopnieje.

Irma wzrusza ramionami. Idą ramię w ramię przez most. Irma popycha Emilię, mocno, aż ta o mało się nie przewraca.

Kto ostatni, tego gryzą psy, woła i zaczyna biec w stronę fabryki.

Kiedy Emilii udaje się odzyskać równowagę, Irma już jest u celu.

Biuro pana Melina.

Świat jest biały, a garnitur pana Melina ciemniejszy niż zwykle. Wita Emilię po świątecznej przerwie. Jest bliski wyciągnięcia ręki, ale się powstrzymuje.

Co pani powie na lunch?, pyta. Musimy uczcić nowy rok. Musimy uczcić fakt, że koniec wojny blisko.

Niestety, dziś to niemożliwe, idę na lunch z moim narzeczonym.

Kłamstwo wychodzi z jej ust, niemal zanim zdążyła je sformułować w myślach, ale gdy tylko zostało wypowiedziane, Emilia niemal widzi tego narzeczonego. Miły, trochę nudny, wydaje jej się, że gra w bandy, że podobnie jak Otto zajmuje się sprzedażą obwoźną i dlatego, niestety, nie mogą spotykać się zbyt często. Troszczy się o mnie, nie muszę się niczego bać.

Ojej, wyrywa się panu Melinowi. Kiedy to się stało, jeśli wolno spytać?

W pierwszy dzień świąt. Nie znamy się jeszcze zbyt długo.

W takim razie proszę przyjąć moje gratulacje.

Chce do niej podejść, ale zmienia zdanie.

Powinna mnie pani poinformować.

To się potoczyło tak szybko.

Będę musiał poszukać kogoś nowego.

Jeszcze nic nie jest zaplanowane.

Mimo wszystko.

On musi jeszcze skończyć studia, kłamie Emilia.

Bo nie jest żadnym domokrążcą, tylko mieszka bardzo daleko – Emilia zmienia koncepcję – i nie gra też w bandy; zostanie inżynierem; jest bardzo wysoki, nawet wyższy do pana Melina, bardzo przystojny. Lubi tańczyć. Lubi muzykę.

Przy dyktowaniu dyrektor prawie na nią nie patrzy. Mówi szybko, nieskładnie – Emilia z trudem nadąża.

Potrzebuję tego listu jak najszybciej, mówi pan Melin.

Natychmiast się nim zajmę.

Emilia dyga.

Wygląda pani na zmęczoną, mówi dyrektor, to chyba już nie jest z powodu ciepła.

Nie, odpowiada Emilia. Nie wiem, czy jestem szczególnie zmęczona.

Kto ciężko pracuje, ten dobrze sypia.

Dyrektor wstaje; śpieszy się na zebranie. Jego twarz jest krwistoczerwona.

Proszę zamknąć drzwi, kiedy będzie pani wychodzić, mówi.

Gdy już wyszedł z gabinetu, Emilia bierze stalowe pióro z jego biurka i wsuwa do kieszeni swojego szarego żakietu.

Café Łabędź.

Irma ma na sobie okropną czerwoną spódnicę; wszystko, co ma na sobie, zdaje się o numer za małe. Sweter, jej ulubiony, ma dziurę na rękawie. Emilia zaproponowała, że ją zaszyje, ale Irma nie chciała. Zapala papierosa. Ojej, ale mi zimno, mówi i dygocze, trochę na pokaz. Dziury są niedobre z czysto praktycznego punktu widzenia, mówi Emilia.

Ech, to raczej nie przez tę dziurkę – Irma wkłada palce do dziury w rękawie, która przez to jeszcze się powiększa. Nie boję się żadnych dziur, mówi i patrzy wyzywająco na Emilię.

Zaczynam myśleć, mówi Emilia, że on może wcale nie kochał Rebecki...

Dobrze! Nareszcie. A więc jednak coś rozumiałaś z tego, co mówiłam.

Zaczynam myśleć... że może ona wszystko zmyśliła... Może chciała, żeby on ją kochał, żeby byli parą, ale tak nie było...

Dlaczego miałyby tego chcieć? Boże miłosierny... Nie mam siły cię słuchać.

Irma wstaje i idzie do baru. Anders zatrzymuje ją i pokazuje jej coś w gazecie, Irma nachyla się, czyta. Anders przekreśla stronę, znów coś pokazuje, Irma wybucha śmiechem. Emilia widzi, że to rysunek satyryczny. Widzi przedziałek Hitlera, jego ciemny wąsik. Irma siada obok Andersa, bardzo blisko, najwyraźniej nie może przestać się śmiać.

Pokój Emilii

Emilia wyjmuje z kieszeni pióro. Píše w brulionie niepewnymi literami:

Rebecka Forss.

Przekreśla. Píše: Carl Melin.

Carl. Chciałabym powiedzieć jeszcze coś, nawet jeśli nie słuchasz.

Chciałabym powiedzieć, że myślę o tobie. Może dobrze by było, żebyś o tym wiedział.

Gdybym nie była kobietą, a ty mężczyzną, moglibyśmy siedzieć i rozmawiać. Przez całą noc. Noc taką jak ta. Mógłbyś gładzić moją dłoń, powiedzieć, że jest delikatna, miękka – jakież pani ma niezwykle delikatne dłonie – i to wcale nie musiałyby nic znaczyć... Właśnie dlatego znaczyłoby tak dużo.

Czy to nie jest głupio z mojej strony, że tak mówię? Czy to głupie, powiedzieć, że jest pan miejscem, w którym mieszczą się moje marzenia?

Biuro pana Melina.

Panie dyrektorze? Czy mogę zająć panu sekundę?

Oczywiście, proszę wejść. Dyrektor spogląda na zegarek. No więc co pani leży na sercu?

Chciałam przeprosić, jeśli w jakikolwiek sposób byłam dla pana niemiła. Pan zawsze okazywał mi uprzejmość.

Ależ nie musi pani wcale przeproszać. Uśmiecha się. Wie pani, co ja myślę? Myślę, że za dużo czasu spędza pani z panną Frölander...

Emilia patrzy na swoje dłonie spoczywające na kolanach, zdają się obce, choć tak dobrze znane, wtedy uderza ją, że to są dłonie jej matki... To dłonie matki, tak mogłyby wyglądać. Emilia chowa je pod udami.

Ona słynie ze swoich opowieści, ciągnie pan Melin. Trzeba podchodzić do nich ostrożnie. Wydaje mi się, że ona żyje w jakiejś powieści.

Co pan chce przez to powiedzieć?

Chodzi mi o to, że doskonale potrafi zmyślać.

Jego gabinet ma ciemnobrązowe, chropowate ściany; jakby były włochate. Na półce leżą papiery, skoroszyty i książki, nieporządnie rzucone. Na wieszaku wisi jego płaszcz, jego filcowy kapelusz z szerokim rondem; Emilia chciałaby wtulić nos w materiał, w zapach drugiego człowieka. Pan Melin robi mały spacer wokół jej krzesła i wraca na swoje miejsce.

Jak to dobrze, że możemy tak posiedzieć i trochę porozmawiać. To wszystko było trudne dla nas obojga. Pani zaręczyny... Moje małżeństwo... (Dodaje krótki śmiech.) Dla jednego to droga w jasną przyszłość... a dla drugiego... (Wzrusza ramionami.) Ale czy życie nie jest właśnie takie? niesprawiedliwe. I głupio jest się skarżyć.

Czy stało się coś szczególnego?

Dyrektor wzdycha, odchrząkuje.

Te pomosty, o których mówiłem, pamięta pani? Człowiek buduje i buduje... Ale mostu z tego nie będzie. Zamiast tego ten drugi jeszcze odpiłowuje deski, jedną po drugiej, zostaje miejsce tylko na jedną osobę albo tylko na nią i dziewczynki – i tak tam stoją, jak na wyspie, trzymają się za ręce, jak jedno ciało.

Przykro mi, mówi Emilia, ale właściwie ją to cieszy. Gdyby była jedną z tych kobiet, o których opowiadała Irma, Różą lub Aleksandrą, którąś z pozostałych, czy wtedy nie wzięłaby go teraz za rękę? Żeby naprawdę zrozumiał... że ona rozumie...

To ja powinienem panią przeprosić, ciągnie pan Melin. Ale... tak łatwo mi się z panią rozmawia.

Emilia patrzy na jego usta, kiedy mówi. Zauważa, jak pełne ma wargi, trochę jak u kobiety; nigdy przedtem nie myślała o ustach żadnego mężczyzny, że mogą przypominać kobiece, a może nawet, zastanawia się, w ogóle nie ma różnicy? Zaczyna myśleć o podobieństwach... co jeszcze jest takiego... Jego dłonie! Właśnie! I jego kark...

Ma piękną, jakby wysmukłą szyję – o ile można tak mówić o szyjach mężczyzn... Ile on może mieć lat? Trzydzieści? Trzydzieści pięć?

A tak poza tym, jak tam pani zaręczyny? Pomyślałem, że nie widziałem u pani żadnego pierścionka?...

Zawsze zapominam go założyć... Emilia mówi to ze śmiechem, który ją samą zaskakuje. Jeszcze się nie przyzwyczaiałam. Ojej.

Jest trochę ciasny, kłamie dalej Emilia.

A to dopiero.

Teraz śmieją się oboje.

Ma pani szczęście, mówi pan Melin. A inni tu zostają. Pani tymczasem rusza dalej w podróż życia, panno Steen. Emilio, prosi ona. Może pan mówić do mnie Emilia.

Irma siedzi na krawędzi biurka i obgryza paznokiec. Emilia z pasją wali w klawisze. Pójdiesz potem ze mną do kawiarni? Nie wiem, odpowiada Emilia, nie odrywając wzroku od papieru w maszynie, od czarnych liter. Jesteś zła? Nie, wcale nie.

To co jest w takim razie?

Mam dużo pracy.

Ale idziesz ze mną potem?

Emilia wzrusza ramionami, potem kiwa głową. Irma poszła, a ona ma ochotę położyć się na biurku, nie wie, czy ma się śmiać, czy płakać. Za tymi drzwiami jest pan Melin, Carl... tak blisko... i o niej myśli. Myśli: Emilia... Wystarczy, jeśli myśli: Emilia. Jej imię, jej twarz w myślach drugiego człowieka.

Cafe Łabędź.

Irma flirtuje. To oczywiste. Stoi nachylona nad stolikiem Bakunina – Hugona! – przez dłuższą chwilę. Ten jej śmiech i jedna ręka na biodrze. Sposób, w jaki mówi: Jeszcze czego. I: Nie zrobisz tego! Wydaje się, jakby wymawiała przedniojęzykowe „r”, choć pochodzi z Ockelbo. Raz Emilia widziała nawet, jak Irma gładzi dłonią rękę Lennarta.

Kawiarnia Łabędź wygląda jakby inaczej. Może to przez światło. Łagodniejsze światło. Czyż nie jest prawie żółte? Czy ściany nie są pełne rys i pęknięć między różami? A z sofy, zielonej sofy, bardzo się kurzy. Brudno-żółte plamy na białym froncie baru. Irma kaszle, a Emilia uświadamia sobie, że przyjaciółka kaszle już od dawna, tylko ona o tym nie myślała. To okropny odgłos, jakby z głębi ciała. Pomieszczenie jest małe. Draperia oddzielająca część kuchenną; nigdy przedtem Emilia nie myślała o tym, jak ciemnoczerwona i gęsto upstrzona plamami jest jej tkanina, jak mięso.

Irma kaszle i pochyła się do przodu, tak bardzo przybliżyła się do ludzi, że muszą się cofać. Mężczyźni wcale się do niej nie garną, to ona się narzuca. Nigdy wcześniej Emilia nie zwróciła uwagi na to, w jaki sposób Irma się nachyla. I nie myślała o jej za ciasnych ubraniach, być może wybieranych świadomie. Zwykle zwraca na ubiór uwagę, na przykład razem z Sofią zawsze próbują znaleźć coś niepasującego w strojach Barbary, ale jej spódnice zawsze sięgają dokładnie pod kolano i można się przyczepić tylko, że ubiera się zawsze, jakby szła na kolację czy przyjęcie, nawet jeśli jest środek tygodnia, i kiedy Emilia się nad tym zastanawia, stwierdza, że to rzeczywiście można skrytykować.

Molly się uśmiecha, a Emilia wie, co ten uśmiech ma znaczyć: jesteś jedną z nas, ale nic o nas nie wiesz; to uśmiech, który syczy jak wąż, a Emilia go odwzajemnia, bo co innego ma zrobić, ale myśli: nie jestem i nigdy nie będę jedną z was.

Irma wraca zarumieniona, a Emilia podejrzewa, że może któryś z mężczyzn dotknął jej po kryjomu; może Rebecka sądziła, że męskie spojrzenia i dotyk to to samo co miłość, to wszystko, o czym Emilia nie ma pojęcia; zresztą wcale też nie chce wiedzieć. Anders albo Lennart, albo wręcz Bakunin, Hugo Lindblom, którzy dotykają Irmy, a Irma... Nie, chyba nie myśli, że oni ją kochają... to byłoby łatwiej znieść... Dla niej to się po prostu nie liczy. Ona uważa, że jest taka sama jak mężczyźni, ale chyba jednak musi wiedzieć, że tak nie jest? Może ktoś powinien jej powiedzieć, że się ośmiesz? Że taki ktoś jak ona może się stać nie do wytrzymania.

Może ona po prostu czuła, że jej życie nie ma sensu, mówi Emilia.

Kto taki?

Rebecka, oczywiście. Może to dlatego.

Ależ oczywiście tak jest, kochana Emilio, ale jak myślisz, skąd się bierze to poczucie? I jak kobiety mają to zrozumieć, jeśli ciągle kładą na sobie facetów jak ciężkie, duszące koce.

Rebecka Forss otulała się perfumami. Jej chichot słyhać było aż na korytarzu. Raz, kiedy przyszłam do biura, ona siedziała na biurku dyrektora.

Ty się od początku myliłaś, powiedziała. On mnie naprawdę kocha.

Nie, wcale cię nie kocha, Rebecko.

Wtedy wstała. Nie chciała słyszeć prawdy. Oskarżała mnie... Powiedziała, że jestem po prostu zazdrosna. Jeśli ktoś naprawdę nie chce zostać uratowany... co można wtedy zrobić? Jeśli ktoś nawet nie widzi, że jest w potrzebie? Przecież nie można za wszystkimi biegać... Nie można ich zmuszać. Czy można?

Tego nie wiem, mówi Emilia. Ja już nic nie wiem.

O, wzdycha Irma, nie bądź taka...

Jaka?

Taka podejrzliwa i... obojętna!

Przecież wcale taka nie jestem. Tylko nie rozumiem, jak możemy mówić, że winny jest dyrektor, kiedy to Rebecka nie lubiła siebie samej.

Winny czy nie winny – to przecież nie jest powieść kryminalna.

Ale ty nazywasz go mordercą.

Ech. Można chyba tak powiedzieć, kiedy się ma taki nastrój. Irma macha ręką ze znużeniem. Wiesz, chyba do niczego już tutaj nie dojdziemy.

Ziewa.

Tak czy inaczej, mówi, prawdziwa walka to nie walka płci, tylko walka klas... Powinnyśmy się bardziej skoncentrować na tym. Uważam, że nasze rozmowy zrobiły się takie... prywatne w jakiś sposób.

Zapała papierosa, zaciąga się i od razu zanosi się kaszlem. Brzmi, jakby miała wykaszleć wnętrzności.

Myślałam, że mówisz prawdę.

Prawdę, prycha Irma. A więc to tego szukasz... To będziesz musiała pedałować cholernie daleko na swoim rowerze.

O co ci chodzi?

Będziesz musiała jechać i jechać. Zrób to, Emilio. Zobaczymy, jak daleko zajedziesz.

Zbliża się szósta i zaczyna się ściemniać. Dom Carla Melina stoi kawałek od drogi, Emilia musi podjechać prawie aż do krawca. Czerwone markizy, w jednym z okiem majaczy jakaś postać. Czy to on? Podchodzi bliżej i widzi, że to kobieta. Przypuszczalnie jego żona. Eva Melin. Podchodzi jeszcze krok do furtki. Nie spuszcza z kobiety wzroku. Tamta zatrzymała się przy oknie. Trzyma w dłoniach duży kawałek tkaniny. Emilia kładzie rękę na furtce. Jej nogi drżą. Eva patrzy prosto na nią. Tkanina jest jasnoniebieska. Jedna dłoń puszcza materiał. Macha, niepewnie. Emilia szybko wsiada na rower i odjeżdża.

Na łóżku otwiera brulion, wyjmuje pióro; jest ciężkie i zimne w jej dłoni.

Prawda, pisze Emilia. Prawda o Rebecce. Podkreśla. Dźga papier piórem, żeby porobiły się ciemne kropki i kleksy.

Czeka na pukanie Irmy.

Dziobie piórem, aż prawie nie widać bieli kartki. Gasi światło i czeka. Nasłuchuje dźwięków z pokoju Irmy.

Panna Frölander jest bardzo samotna, słyszy głos pana Melina. Panna Frölander lubi zmyślać różne rzeczy.

Emilia odwraca się od ściany.

Ja nie pasuję do innych ludzi. Myśli, że pisze to w zeszytcie. Potem przekreśla.

Zakłady Wełniane.

Następnego ranka Irma nie przychodzi po nią przed pracą. Emilia sama idzie przez most. Zatrzymuje się na środku. Łód jest cienki, w niektórych miejscach przesącza się woda.

Kiedy Emilia dociera do lokali fabrycznych, Irmy tam nie ma. Podczas lunchu Klara Lilja mówi, że Irma przecież ma grypę. Głosy kobiet w jadalni są wysokie i dziarskie; są wyższe i bardziej dziarskie niż zwykle? Klara pyta, czy Emilia chce kanapkę, jest już najedzona, a kanapka jest z jajkiem, prawdziwym jajkiem; Emilia nie ma ochoty, ale przyjmuje poczęstunek, dziękuje, to strasznie miło, wmusza w siebie kęsy.

Próbuję schudnąć, wyjaśnia Klara Lilja.

Ale chyba ty tego nie potrzebujesz?

Oj tak. W sobotę ledwie wcisnęłam się w sukienkę, kiedy szliśmy na tańce.

Czy to był udany wieczór, dużo przyszło ludzi?

A ty nigdy nie wychodzisz?

Od dawna nie.

Idziemy potańczyć po Ulli w sobotę. Ingrid Carlsson wychodzi za mąż, musimy to uczcić.

O, czy to znaczy, że wkrótce skończy pracę?

W lecie... Pisali o nim w Allers, w rubryce *Sylwetka pastora*. O jej narzeczonym.

Klara Lilja mówi to głośniej, żeby Ingrid Carlsson usłyszała i się zaczerwieniła. Chodź z nami, jeśli masz ochotę, dodaje. Potrzebujemy trochę świeżej krwi.

Chętnie, mówi Emilia.

Wspaniale! Klara wstaje. Ale wiesz... możesz być tak dobra i nie pisać ani słowa Irmie? Klara rozgląda się po sali, choć Irmy tam nie ma.

Nie... nie, oczywiście, zgadza się Emilia i słyszy, że jej głos jest tak samo cichy jak Klary. Przecież nie muszę jej pytać o zgodę...

Tu nie chodzi o to, że mam coś przeciwko Irmie Frölander, tłumaczy Klara, ale ona ma tak wiele... – marszczy lekko nos – uprzedzeń. Mam nadzieję, że teraz nie będziesz na mnie zła.

Ależ skąd, wcale nie. Rozumiem, co masz na myśli.

Ona jest dość intensywna, dodaje Klara.

Właśnie, masz rację.

Śmieją się równocześnie. Klara Lilja przynosi dwie filiżanki kawy. Nachyla się poufale do Emilii.

Tylko nie mów, że ona dalej gada o Rebecce Forss?

Ależ tak...

To straszna historia, szepcze Klara, ale żeby próbować robić z niej coś jeszcze gorszego...

Klara kręci głową.

O co ci chodzi?

O tę całą gadaninę o tym, że sama miała sobie odebrać życie. Pociąg i cała reszta. Och, że też ona nie może z tym skończyć! Prawie wszystkie byłyśmy na pogrzebie, a mimo to ona tydzień później zaczęła rozsiewać plotki... kłamstwa... jakby to już nie było wystarczająco straszne.

Nie całkiem rozumiem.

Czego nie rozumiesz? Nie mów, że jej się z tobą udało? Myślisz, że Rebecka Forss odebrała sobie życie?

No... ale co chcesz powiedzieć... czy tak nie było?

Wielkie piersi Klary unoszą się pod sweterkiem. Splata nad nimi ramiona i cofa podbródek, aż powstaje kilka fałd.

Rebecka Forss zmarła z powodu choroby, mówi uroczyście. Tak powiedział pastor w swoim kazaniu i tak też mówiła potem jej mama. Podejrzewamy, że to był rak. Coś takiego może pójść strasznie szybko. I bardzo wychudła, jesteśmy całkowicie pewne, że tak było. A że potem pojawiają się różne plotki... Nie, jest ciężko tak, jak jest. Dlaczego młoda kobieta taka jak Rebecka miałaby sobie odebrać życie? Poza tym tutaj, w Järbo? Biedaczka, miała przed sobą całe życie. Może nie wyglądała jakoś szczególnie wyjątkowo, była raczej szarą myszką, ale miała jakiś urok, z całą pewnością. I była też zdolna. W taki sposób jak wszyscy ludzie. A taką rzecz przecież by się zauważyło... Wszystkie potem rozmawiałyśmy o tym. Takie... zakłócenie, czy jak to można nazwać, to się zauważa, prawda?

Emilia kiwa głową bez słowa.

Biedna Emilia, mówi Klara Lilja, obejmuje dłońmi policzki i przekrzywia głowę. Wpadła w sieci Irmy. To się może łatwo zdarzyć, kiedy człowiek jest tu nowy. Ona się rzuca wtedy na łup, jak jastrząb. Ale teraz zapomnij o tym i chodź z nami w sobotę. Będzie wesoło. Najpierw coś zjemy, a potem pójdziemy potańczyć.

U Ulli

Na jednej z dłuższych ścian w kawiarni i restauracji U Ulli: fresk w pastelowych kolorach. Kiedy się wchodzi do lokalu, ma się wrażenie, że postać nieco na prawo od środka to paw, ale po bliższym przyjrzeniu widać, że to kobieta. Ma bardzo małą głowę, to jej spódnica – uszyta z łątek w kolorach jasnoliliowym, jasnoniebieskim i jasnozielonym – kojarzy się z pawiem. Ramiona kobiety są ułożone wzdłuż ciała, na tle ściany; trudno odróżnić ich kontury, tło tak jak skóra ma kolor bladej żółci. Jeśli się podejdzie jeszcze bliżej – można na przykład usiąść na sofie pod samym obrazem – wtedy znów się wydaje, że malowidło przedstawia pawia.

Kobiety na sofie pod obrazem mają sukienki w jasnych i ciemnych kolorach. Z krótkim rękawem. Niektóre z paskiem w talii. Buty na niskim obcasie, ale chciałyby mieć wysoki... jednak nie, to nie byłoby dobre, ale może choć zielony lakier albo kokardkę. Sukienki tak samo życzą sobie więcej koloru albo, och, gdyby tak na przykład mieć hafty z cekinów; jest nawet sukienka, która marzy o boa, choć zaczyna się robić ciepło i wyglądałoby to trochę głupio. Sukienka Klary Lilji tęskni za miłością, tylko za tym jednym, a Emilia Steen... jej sukienka jest tak nudna, że czegokolwiek by sobie życzyła, i tak nie może się spełnić. Poza tym zamawia tylko kanapkę. I pyta bez ogródek, czy Rebecka Forss miała romans z panem Melinem, choć zebrały się tu przecież z powodu zaręczyn Ingrid Carlsson.

Dziewczyny wymieniają spojrzenia, chichoczą.

A jeśli tak?, mówi Klara Lilja nieco poważniej. Nawet gdyby tak było, co to ma za znaczenie? Mogłabym raczej podejrzewać Irmę Frölander, według mnie to ona zawsze miała jakieś konszachty z dyrektorem.

Co ty mówisz, Klaro!, wykrzykuje Ingrid Carlsson.

Mówię, jak było. Oczywiście my nic nie rozumiałyśmy z tej szarady. Wydawało nam się dziwne, że mogła potem zostać w pracy, przecież wszyscy wiedzieli, po której stronie stała.

Stoi, poprawia ją Anette Sjöberg.

Nie musimy rozmawiać o polityce, ale przecież próbowała agitować, a tego w miejscu pracy nie powinno być. Że kobiety, że my, ponoć mamy tak ciężko, a przecież jest nam teraz tak dobrze. A zresztą, gdybyśmy miały zgadywać, wybrałybyśmy raczej Ingrid Carlsson.

Ależ co ty mówisz, ćwierka Ingrid, to akurat wzięłaś z powietrza.

Gdyby dyrektor miał się zakochać w którejś z nas, to wybrałyby ciebie, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja i wszystkie tutaj.

Rozlegają się chichoty.

Wiemy, wiemy!

Ingrid się rumieni. Jej sukienka ma dokładnie ten sam odcień błękitu co jej oczy, ale ona o tym nie wie, nie wie, jak dobrze to pasuje.

To co najmniej dziwne, że jeszcze nie jesteś mężatką, mówi Anna Aberg.

Ale teraz wreszcie będę, chyba nie jestem jeszcze taka stara.

Czy wyjdę za mąż, kiedy ja będę miała dwadzieścia cztery lata!? Anna otwiera szeroko oczy.

Jasne, chciałoby się mieć dużo dzieci, mówi Ingrid i przełyka ślinę.

Jeszcze będzie dość czasu! Znów odzywają się chichoty.

Klara Lilja patrzy z macierzyńską surowością na swoją małą grupkę. Ma skończone już trzydzieści jeden lat, ale nie przejmuje się tym, co tamte mówią. Cztery lata temu straciła narzeczonego i ciągle dotrzymuje przyrzeczenia, które mu złożyła przy zaręczynach. To była ich wielka tajemnica, do dzisiaj czuje dreszcz. Obiecaj mi, Klaro, że będziesz moja nawet po śmierci – dokładnie tak powiedział, to były piękne słowa, jak na drwała Arne Bengtssona; Klara powtarza je sobie uroczyście, ilekroć upada na duchu i czuje się samotna. Ale takich kobiet jak Irma Frölander czy Emilia Steen Klara nie rozumie. No, prawie pewne jest, że Irma Frölander do małżeństwa się nie nadaje, ale Emilia Steen... że też ona jeszcze nie! Ona przynajmniej ma jakiś specyficzny urok. Ale żeby coś osiągnąć, trzeba tego chcieć, jak mawia do dziewcząt, kiedy się rozleniwiają. Jej Arne nigdy nie będzie musiał się za nią wstydzić. Jego spojrzenie zawsze jest z nią, zdaje się jej, jakby jego spojrzenie było wszędzie, to sprawia, że Klara czuje się niemal piękna. Czasem spojrzenie jest tak rzeczywiste, że musi się odwrócić, poszukać go, i nawet jeśli wie, że go nie znajdzie, już nigdy więcej, i tak się prostuje, robi coś z dłońmi lub z twarzą i myśli, że on to widzi i mu się podoba.

Jeśli rzeczywiście coś tam było, w co trudno mi uwierzyć, to raczej na pewno nie było to nic nadzwyczajnego (Klara Lilja zatacza w powietrzu półkole ramionami). Rzeczywistość rzadko jest taka jak na filmie. A przecież (jeszcze bardziej prostuje plecy, wzdycha, potem się uśmiecha)... to właśnie jest rzeczywistość (uderza lekko w stojący przed nią stół).

Słyszałyśmy, że on nie zawsze ma łatwo z żoną. Że ona jest nieco... dziwna... jeśli można tak powiedzieć. Nerwicowe skłonności; jeśli ją spotkałyście, wiecie chyba, co mam na myśli?

Kilka dziewczyn kiwa głowami. Wiemy.

I jeszcze chyba miała coś z tarczycą, nieprawdaż, Anno?

Anna mówi, że to prawda, przynajmniej ma przyjaciółkę, która słyszała, że tak właśnie było.

Ale pochodzi z dobrej rodziny, mówi Klara. Porządni ludzie z tych Nygrenów, to nie ich wina, że córka jest trochę dziwna.

Ale, pyta Emilia, wiecie, czy ona spodziewała się dziecka, Rebecka Forss?

Wyobraża sobie jednogłośny szmer całej grupy, ale kobiety zwracają się do siebie w mniejszych grupkach, między nimi dźwięczą i brzęczą śmiech i filiżanki. Patera z ciastkami stoi wysoko na stole, kiedy palce chwytają ciastko, robią to szybko, tak samo szybko zęby przeżuwiają, choć chciałyby żuć wolno, a dłonie chcą – przedtem – tak samo wolno wybierać, może wręcz dotykać i ugniatać.

Klara Lilja jest jak zwykle uprzejma, ale znudzona już tą gadaniną o kobiecie, którą ledwo знаła. Nie mogłabyś zamiast tego zapytać o mnie albo o Arnego? Klara uważa, że Emilia jest nudna. Tak, właśnie. Jak Irma, choć odwrotnie. Cieszy ją ta myśl, ale nie chce jej rozwijać. Jej głębokie westchnienie sprawia, że pozostałe kobiety znów kierują uwagę w stronę Emilii.

Nawet jeśli, to co z tego, mówi Klara Lilja znużonym tonem (a jej chłód wobec tej sprawy wydaje się dziewczętom imponujący). Przecież ona już nie żyje. Jakie to wszystko ma teraz znaczenie?

Dom Ludowy.

Zanim zaczęło się chodzenie do Domu Ludowego na tańce, wszyscy chodzili do pawilonu związków zawodowych. W zimie. Na środku sali stał tam piecyk. Kiedy dzikusy z Iglo ruszały w tan, wśród dziewcząt rozchodził się szmer. Chłopcy otrzepywali rękawice ze śniegu o piec i płatki wirowały w powietrzu, migocząc jak brokat; kto stał za blisko, zaraz był mokry, ale to szybko wysychało. Piecyk trzaskał i strzelał, czasami, kiedy tańczono blisko niego, miało się wrażenie, że gorąco się z niego wylewa.

Dom Ludowy jest o wiele nowocześniejszy. Nad estradą wkomponowaną w róg sali świecą perły naszyjnika z kolorowych żarówek. To wygląda tak wytwornie, wręcz przesadnie. To nie jest klub nocny tego rodzaju, jak w opowieściach Ottona o jego podróżach, na scenę nie wejdzie Murzynka w obcisłej jedwabnej sukni, żeby wyśpiewać z siebie całą duszę, tylko jej dłonie by się poruszały, to byłoby coś w wielkim stylu.

Emilia dostrzega Nilsa-Akego, dawno go nie widziała, ale on tylko się jej kłania; Mariannę Frank poznała innego podczas wizyty u siostry w Ameryce, jej matka twierdzi, że tamten jest bardzo bogaty. Poza Nilsem Emilia nie widzi nikogo znajomego, wszyscy jej rówieśnicy są za starzy, tylko młodzi chodzą na tańce, to jest jak prawo.

Klara Lilja nachyla się do niej.

Musisz im pokazać, że chcesz...

Czy chcę?, zastanawia się Emilia. Przygląda się młodym mężczyznom. Ich krawatom i szelkom, ulizanym włosom.

Jasne, że chcesz, widzi w spojrzeniu Klary.

Nie, nie chcę, myśli Emilia i sama jest zaskoczona siłą tej myśli, ale znów przemawia spojrzenie Klary: Oczywiście, że chcesz, niemądry dzieciaku! Nigdy przedtem Emilia nie czuła się tak niedojrzała, będąc z kimś w tym samym wieku. Nawet z Sofią czy Irmą. Nie może być dorosła, nie chce być, ale też nigdy więcej nie chce się czuć jak dziecko. Wiek, ciało i te rzeczy rządzą się własnymi prawami. Klara Lilja zdaje się tak pewna w swym obfitym ciele. Jej usta są pomalowane, ale nie za mocno. Jej sukienka ma kolor poziomkowy. Na parkiecie tłoczą się zamaszyste spódnice i męskie spodnie.

Jak to się robi?, myśli Emilia. Może nie potrafię. Może ja tego nie umiem.

Trzeba się tylko uśmiechnąć. To przecież nic trudnego, myśli Klara Lilja. Ma już dość Emilii Steen i jej nieporadności, ale równocześnie widzi swoją odpowiedzialność, przywołuje w pamięci pierwsze spotkanie z Arnem. To było na Björkvallen, a Arne był trochę niepewny siebie, jak to mężczyźni z reguły, nawet jeśli często ma się wrażenie, że jest inaczej. Wylał sobie napój na kamizelkę, Klara widziała rozszerzającą się plamę. Już wtedy posłała mu uśmiech, na pocieszenie i dla zachęty, a kiedy szedł w jej stronę, uśmiechnęła się kolejny raz, zachęcająco, gdy stanął przy niej, posłała mu trzeci uśmiech, zachwytu... Pomiędzy nimi spuszczała wzrok, lekko przekrzywiała głowę – to ważne, żeby znać te pozornie proste triki, mężczyzna powinien czuć swoją przewagę, to jego prawo, bez tego mężczyzna i kobieta nigdy nie będą mogli żyć w zgodzie. Wprawdzie ona i Arne nie doczekali małżeństwa, ale wieczorami Klara wyobraża sobie, jak wyglądałby ich dzień, zwłaszcza wspólny wieczór, kiedy on wróciłby z pracy (a wtedy Klara nie myśli o lesie, wyobraża sobie coś innego, czystsze i prostsze, co przez to wcale nie byłoby mniej męskie). Wymyśla sobie ich wspólny dom (chciałaby mieć w salonie tapety w wielkie wzory, najlepiej z gałązkami i ptakami), co podawałaby do jedzenia (na przykład omlet z piklingiem), co miałyby na sobie (żółtą jak mleczne popołudniową sukienkę). Wyobraża sobie, jak on na nią patrzy, jak jej dotyka. Czasami z przyjemnym dreszczykiem przebiega też w myślach akt miłosny, który oczywiście nie odbywa się codziennie, ale częściej niż u większości małżeństw.

Annette Sjöberg tańczy, i Anna Aberg, i Ingrid Carlsson – choć nie jest pewne, czy ona powinna. Emilia stoi sztywna i nieprzystępna, nawet nie próbuje. To smutne. Bardzo trudno jest polubić taką osobę. Nawet nieśmiałe kobiety potrafią się uśmiechać, choćby głupio i nerwowo, to też ma swój urok, ale Emilia nie wydaje się nieśmiała... Każdy śpi tak, jak sobie pościele, ale żeby w ogóle nie próbować! Klara zaczyna myśleć, że Emilia jest zarozumiała. Kręci głową. Wzór w wielką kratę w gustownych kolorach, brązowym i turkusowym, tak wygląda sukienka Emilii; materiał jest zbyt wyrazisty, żeby pasował na tańce.

Czy ty w ogóle chcesz wyjść za męża?, pyta Klara z irytacją.

Emilia nie może się zdobyć na odpowiedź. Znów to uczucie: to nie jej ciało, to nie do niej Klara Lilja mówi, to nie ona stoi w tej sali, gdzie wszyscy się śmieją i tańczą. W sali, którą tak dobrze zna, ale czuje się, jakby nigdy przedtem tu nie była. Na przykład draperia za sceną, zauważa, jak się mieni zielenią, a Nils-Ake ma włosy gęste i elegancko ułożone. Przecież ona uwielbia tańczyć! Gdyby pan Melin tutaj był, myśli Emilia, zobaczyłby, jak bardzo chcę... Gdyby tylko wszedł przez tamte drzwi...

Emilia zamyka oczy. Otwiera. Nic się nie zmieniło w ciągu tej jednej sekundy.

Ależ tak, chyba chcę, odpowiada.

Chyba? Klara Lilja traci cierpliwość. Stoję tutaj i chcę dla ciebie jak najlepiej. Jesteś dojrzałą kobietą, powinnaś mieć co najmniej dwójkę dzieci w twoim wieku... Twarz Klary Lilji zmienia kolor. Czuje się bezsilna. Czuje spojrzenie Arnego, jego oczy ściągają się w wąskie, pełne rozczarowania szparki. Nie denerwuj się tak, kochana Klaro, to ci nie przystoi. Bierze trzy głębokie oddechy, myśli: wybacz. Wybacz, Arne. Serce się uspokaja, łagodnieje, potulnieje. Arne uśmiecha się do niej uspokajająco i czule. Niektórym ludziom po prostu nie da się pomóc. Jeszcze jeden głęboki oddech, nie tak głęboki jak przedtem, jak tamto ostatnie załagodzenie. Kładzie dłoń na ramieniu Emilii.

Małżeństwo to cenna rzecz, Emilio, święta rzecz, to coś, do czego my, kobiety, powinnyśmy dążyć, dokładać starań, abyśmy mogły być szczęśliwe i – tak, ja tak właśnie myślę – rzeczywiste. W bliskości drugiego człowieka stajemy się wyraźne i prawdziwe, Emilio. Przez to, że oddajemy swoje serce.

Ale kiedy ktoś się poddaje, jak wy, kończy swój wywód Klara Lilja, to, jak sądzę, nie można się niczego spodziewać, a wtedy, tak ja to widzę, można równie dobrze nie żyć.

Pokój Emilii.

Zatrzymała się na chwilę przy drzwiach Irmy, ale Klara powiedziała, że już pytała, czy Irma czegoś nie potrzebuje, i Irma zaprzeczyła. Poza tym Klara widziała ją, jak wychodziła z kuchni, pewnie wróci po niedzieli – czasami Irma jest chora, bo nie ma ochoty iść do fabryki. Tak mówiła Klara. Zresztą Irma jest dorosła, myśli Emilia, robi, co chce.

Kładzie się na łóżku, otwiera zeszyt, ma wrażenie, jakby tęskniła za tym przez cały wieczór, do kolejnej białej strony, ścisła pióro w dłoni.

Witaj, Carl. Wie pan, to życie jest jedynym i można je skrócić; może być bardzo krótkie i bardzo puste. Tak, nawet życie w swej właściwej długości jest za krótkie, żeby utrzymać sny w zamknięciu. Tak mi przykro, że okłamałam pana na temat moich zaręczyn. I że nie wierzyłam panu w sprawie Irmy... panny Frölander. Ona chyba rzeczywiście jest straszliwie samotna. Próbuje sprawić, by ludzie uważali ją za interesującą, ale ja już nie mam siły być częścią jej fantazji. Bo niczego nie pragnę bardziej, niż być rzeczywistą.

Nie jestem osobą polityczną, proszę tak nie myśleć, ale sądzę, że mężczyźni i kobiety muszą współpracować. Że my, kobiety, mamy może taką samą wartość jak wy, mężczyźni. Czy jest pan zaszokowany? Nie sądzę. Myślę, że pan to w gruncie rzeczy rozumie. Myślę o tym, co pan mówił o mostach i pomostach, ja chyba zawsze czułam się tak, jakbym znajdowała się na tratwie, a wtedy nie ma znaczenia, czy się dobudowuje deski; jedynym efektem może być to, że tratwa staje się większa. Myślę o pana tęsknocie, żeby wyjechać gdzieś daleko; ona przypomina mi moją, to jest właściwie tęsknota do czegoś, tęsknota, żeby wreszcie to znaleźć... i przejść po tym moście. I może tak właśnie było z Rebecką? Spotkaliście się, stworzyliście swoją przestrzeń, choć to nie było tak naprawdę dozwolone. Nie wierzę w to, co mówią inni, że to nie było nic szczególnego. Nie sądzę, że można wykorzystywać ludzi w ten sposób. Człowiek stara się dotrzeć. Bo inaczej nigdy nie zaczynalibyśmy ku sobie dążyć. Ale kiedy potem człowiek dociera do celu, wcale nie ma pewności, że będzie wiedział, co należy robić.

Biuro pana Melina.

Jest jeszcze kilka rzeczy, które można by powiedzieć o biurze. Ale biuro pana Melina jest ciemne; trudno zobaczyć, jak naprawdę wygląda. Trudno dostrzec, jaki bałagan panuje w jego papierach albo że wiele jest niewysłanych listów. Leżą złożone kartki, które po rozwinięciu przypominają notatki, jest też coś w rodzaju ostrzeżeń od księgowego Leijona, wykresy, których krzywa idzie w dół, i sterty papierów mniejsze z każdym mijającym miesiącem. Pod oknem jest sofa, którą trudno zauważyć, ponieważ jest wbudowana w ścianę i zlewa się z nią, gdy się patrzy pod światło. Ale leży na niej poduszka. Można by ją dojrzeć, gdyby nie była tak bardzo brązowa. Gdyby leżała właściwą stroną do góry. To zaskakujące, bo kiedy odwrócić poduszkę – gdyby tak na przykład księgowy Leijon ją odwrócił – na drugiej stronie widać wyhaftowanego różowego konia, a wokół różowego konia różowe róże.

Carl Melin dorastał w Zakładach Wełnianych. Dosłownie poszedł w ślady swojego ojca. Ojciec wskazywał, a syn kiwał głową, pomrukując. Ojciec zawsze zakładał, że syn rozumie. Ale on w gruncie rzeczy pomrukiwał tylko, żeby uniknąć kary, i stopniowo zaczął wierzyć we własne pomruki.

Mój synu!, rozlega się wołanie, kiedy wsłuchać się w głąb ściany. To grzmiący, podobny bogom głos. WYPROSTUJ SIĘ, CHŁOPCZE. To głos i słowa wbudowane w ścianę jak sofa. Carl Melin nie potrafi myśleć o nich inaczej niż jak o prawdzie. Posiada trzeci co do wielkości dom w Järbo. O tym myśli, kiedy otwiera drzwi, żeby wezwać Emilię. Jego żona pochodzi z dobrej rodziny. Jego córki – gubi wąż, stojąc nieruchomo przed Emilią; podciąga długie rękawy niebieskiego dwurzędowego garnitur. Emilia dotyka palcami broszki na kołnierzu sukienki. Mały jeleń, ze srebra. A może to sarna?.

Czego pan sobie życzy, panie dyrektorze?

Wygląda, jakby drgnął. Jakby drzemał, a ona wyrwała go ze snu. Gładzi dłonią włosy, jakby chciał je wyprostować; nigdy przedtem nie zauważyła, że falują.

Chodzi o dostawę, którą... gdyby pani mogła przejrzeć umowę...

Natychmiast, panie dyrektorze.

Wstaje o wiele za szybko, czuje to, wyglądzia fałdę na spódnicy.

Jak się miewa pańska rodzina?, pyta, kiedy dyrektor zamknął za nimi drzwi.

Dobrze.

To dobrze, mówi Emilia.

A pani narzeczony?, chce wiedzieć dyrektor.

Zaręczyny zostały zerwane.

To przykre, mówi pan Melin.

Emilia spokojnie patrzy mu w oczy. On dotyka fotografii Inger. Ustawia ją inaczej. Przesławia ją gdzie indziej. Przenosi na poprzednie miejsce. Powinien być przepelniony mocą i ciepłem, ale przypomina sobie, że nawet nie wie, jaka jest jej ulubiona zabawka. Lalki? Myśli. Decyduje się: właśnie, lalki! Ale to nie pomaga. Szuka w pamięci jakiejś szczególnej lalki... imienia... Doris? Dolly? Czyż nie tak zwykle nazywają się lalki? Zresztą, czy ona już nie jest za duża na lalki? Może powinien jej kupić konia... WYPROSTUJ SIĘ, CHŁOPCZE... Spogląda na ścienny zegar. Chrząka. Wyjmuje umowę, pióro. Emilia staje tuż obok. Dyrektor wskazuje piórem ważne liczby, słowa. Nagle zauważa, że Emilia nie patrzy na papier, tylko na niego. Nagle zauważa, że ona szybko podchodzi zbyt blisko.

Całuje go.

Emilia Steen całuje dyrektora Carla Melina prosto w usta; jego pełne wargi dotykają jej ust.

Na miłość boską, co pani wyprawia?

Jego dłoń podrywa się do góry, jego dłoń pamięta, jakie to uczucie, uderzyć taką natarczywą, bezmyślną twarz. Uderzyć tak mocno, żeby zmięła, odwróciła się.

Odpycha ją od siebie.

Nie, Emilia nie ucieknie. Czuje w całym ciele, że ono tego chce. Czuje to nawet w sukience.

Na miłość boską, powtarza pan Melin. Czy pani całkiem postradała rozum?

Jego głos jest piskliwy. Ona nie odpowiada.

Nie spodziewałem się czegoś takiego po pani, mówi dyrektor; jego głos usiłuje zachować surowość, ale jest słaby i się łamie.

Co pan ma na myśli?

Że pani...

Co?

Dyrektor potrząsa głową.

Co pani sobie wyobraża, że kim pani jest?

Emilia rozkłada ręce. Gdyby odwróciła dłonie wnętrzem do góry, byłyby to gest wybaczenia albo zakłopotania, teraz trzyma dłonie jak noże.

Muszę panią prosić... (sprawia wrażenie, jakby marzył). Muszę panią prosić, żeby pani natychmiast stąd wyszła i nigdy nie wróciła. (Jego dłonie chowają się w rękawach marynarki.) Ojczy, co mam teraz zrobić? Odchyła głowę, patrzy na sufit, przez sufit, ale nad sufitem jest sufit, a nad tamtym sufitem jeszcze jeden... Jego ojciec nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji... Kiedy sobie to uświadamia, spada w dół i przelatuje przez sufity, jeden za drugim, zamyka oczy i spodziewa się usłyszeć szelest matczynej spódnicy, ona już śpieszy do niego, zbliża się, musi mu pomóc, ale kiedy wreszcie jest przy nim...

On odwraca się do niej plecami.

Chciałam tylko... Ja myślałam...

Jej głos jest dziwnie donośny i jasny.

To źle pani myślała.

Nie, myśli Emilia. Nie, właśnie że nie.

Wychodząc z budynku, natyka się na Irmę.

Wychodząc z budynku, myśli, że Irma złapie ją za ramię. Co jest z tobą, Emilio? Widzę przecież, że coś się stało.

Wychodząc z budynku – kiedy założyła płaszcz, kiedy patrzy na przebiśnięgi, wesołe żółte krokusy, kiedy powoli odpina rower, powoli wsiada na siodelko... Zatrzymaj się, Emilio, wróć!

Ale Irma nie woła, nie biegnie za nią, nie patrzy za Emilią, kiedy ta szybko przejeżdża przez most.

Björkgatan i okolice

GORĄCO ZAPRASZAMY DO HOTELU DOLORES I RESTAURACJI Z DANSINGIEM POMPADOUR...

Czyż Max nie sprawia wrażenia nieco zmęczonego, kiedy tak stoi przy wejściu? Czy nie przypomina zwiędłego mieczyka, czy jakiegoś innego barwnego kwiatu, który choć tak barwny, i tak nie uniknie swego losu?

Jaskrawożółta muszka wyblakła w praniu, orkiestra się skurczyła (a jej białe spodnie utraciły blask), goście się przeredzili, stopniowo wszystko się zmieniało, odkąd otwarto Hotel Miejski i miasteczko stało się miastem. Ale tylko przez kilka ostatnich miesięcy wszystko szło jakby za szybko, a jedynym wytłumaczeniem jest bliskie zakończenie wojny. Kiedy zbliżają się lepsze czasy, nie trzeba już stroić drzew w srebro. Teraz ludzie nie potrzebują ucieczki, teraz chcą pogłębienia... Max zna kilka osób, które z dnia na dzień stały się marksistami, kiedy czasy kolejny raz się zmieniają, znów będą ustawiać się z wiatrem... Ależ nie, Makska wcale to nie dziwi, nawet specjalnie nie przygnębia. Nadchodzą nowe czasy, nowe plany i projekty. Szczerze mówiąc, po pięciu latach zaczyna go męczyć stanie z rozłożonymi ramionami w pomieszczeniu pełnym fałszywego złota i imitacji marmuru.

GORĄCO ZAPRASZAMY...

Do widzenia, wujku Anderssonie, jutro wyjeżdżam do mojej matki.

Stoi przed nim Tiina i zerka spod jasnej grzywki. Dyga i chce ująć jego dłoń, ale Max przykuca i mocno ją obejmuje.

Moje drogie dziecko, mówi. Jakże ja będę za tobą tęsknił.

Wtula nos w jej włosy.

Drogie dziecko, mówi z takim wzruszeniem, że opiekunka dziewczynki, Kerstin, która podeszła do wejścia, czuje się zmuszona ponaglić małą. Ale dziewczynka nie chce się oderwać. Jest spragniona czułości, opiekunka musi ją pociągnąć za sobą.

Moje drogie, kochane dziecko!, woła za nią Max. Nie przejmuje się spojrzeniem Kerstin. Pozdrów Finlandię!, wykrzykuje jeszcze i marzy o tym, że kiedyś zdecydowałby się na podróż za granicę, dokądkolwiek, ale wtedy nie zabrałby ze sobą Mildred, a Mildred musi z nim jechać, więc następny projekt zrealizuje się jednak tutaj, musi zająć mu cały czas; powinien się zastanowić i zrobić kalkulację, czasem ma wrażenie, że głowa mu pęka od pomysłów; długo macha Tiinie ręką.

Wieńce i wiązanki żałobne Sofii

Życie socjety, to byłoby coś.

Arvid widzi nakryte stoły, przepych, widzi szybkie, rwane scenki, jak obrazy ze snu, to się kończy poczuciem rozczarowania i potem sam nie wie, czy jest rozczarowany otoczeniem, czy sobą i co w takim razie byłoby powodem: to, że mimo wielkiego wysiłku nie udało mu się zająć dalej, czy to, że żywi takie marzenia, i to w samym środku wojennej pożogi?

W każdym razie tu u nas nic się nie pali, zauważa rozsądnie Fröjdis. Jest jedyną osobą, z którą potrafi analizować swoje marzenia.

Mógłbyś zostać premierem, mówi Fröjdis, a on chłonie jej słowa.

Wtedy miałyby u swojego boku kobietę taką jak Fröjdis, wyobraża sobie radośnie. Która go słucha i rozumie.

Z którą mógłbym wymieniać pomysły. I której ciało jest po połowie wypełnione radością i rozsądkiem; to wcale nie jest taka częsta kombinacja.

Naprawdę ciepłe osoby rzadko są szczególnie inteligentne czy interesujące. Sofia ma przecież rozum, ale jest jak sucha gałąź. Arvid nie myśli tego złośliwie. Nie ma w nim złośliwości. Myśli o tym obiektywnie i spokojnie, tak samo jak dla Fröjdis znajduje słowa takie jak kwitnąca, płodna, żywa.

W jej pokoju na Kanalvagen panuje beztroski i przyjemny nieład. Jej ulubiony fotel – w którym on zwykle przesiaduje – jest pomarańczowy w żółte róże.

Tu są kolory, myśli Arvid. Nie przesadne, Fröjdis nie jest taka, raczej barwne akcenty. Arvid bardzo by się rozgniewał, gdyby ktoś powiedział coś złego o Fröjdis i jej pokoiku. Nawet jeśli nie ma w nim gniewu, Arvid może okazać złość i siłę, kiedy widzi niesprawiedliwość. Fröjdis jest od niedawna zatrudniona w biurze jako sekretarka Jacobssona; świeży powiew, zawsze wesoła i pozytywnie nastawiona, z tak jasnymi brwiami, że zlewają się ze skórą, z krągłymi, gładkimi ramionami, jak ciasto, kiedy matka piekła drożdżowe bułki. Przeważnie Arvid wykorzystuje jej pokój do nauki. Odkąd pojawił się chłopiec, to jest niemożliwe w domu. Czasami wrzeszczy przez kilka godzin, a potem, wyczerpany, zasypia w koszu, ale wtedy Arvid ma już dość; w takich warunkach nie może przeczytać ani linijki. A Sofia zupełnie tego nie rozumie. On nawet nie wie, co ona myśli, kiedy po prostu pozwala, żeby to wszystko się działo. Nie mówi Fröjdis nic o Sofii, tu jego honor wyznaczył granicę. Szanuje Sofię, nosi w sobie jej obrazy, które czasami wyjmuje i ogląda... Obraz Sofii, kiedy stoi w pełnej słońca kuchni, odwraca się do niego i się śmieje, trzyma w dłoniach babkę; właśnie wyjęła ją z pieca, ma w rękach kraciaste łapki, fartuch jest w drobne kwiatki. Ale przeważnie są to migawki z trasy narciarskiej, czasami widzi ich oboje – opaleni na brązowo, z lśniącymi białą zębami, obok siebie, nachyleni nad kijkami, raz on ma tak ogromną ochotę na śmietanę do babki, że ona śmiga na nartach do sklepu w najbliższej wiosce; obrazy się mieszają, niebo jest wysokie i jasne, ona wyjmuje też jagody, czerwone, czarne... Obrazy jarzą się, grzeją, pachną... póki nie wróci do domu i nie zobaczy, jak bardzo odbiegają od rzeczywistości.

Ciąża bardzo ją zmieniła, mógłby powiedzieć Fröjdis, gdyby był człowiekiem tego rodzaju.

A kiedy pojawił się chłopiec, zmieniła się jeszcze bardziej.

Opowiedziałby, jak zauważył to po raz pierwszy, tamtego razu, kiedy oznajmiła mu, że spodziewa się dziecka, jak jej spojrzenie w pewnym sensie skierowało się do wewnątrz, jak został wycięty z jej pola widzenia.

Nie można być naprawdę zadowolonym, kiedy kobieta, z którą się żyje, nie docenia człowieka, mógłby powiedzieć Fröjdis, a potem wyliczyłyby wszystko, co dla niej zrobił. Jak dobrze im było razem. Wszystkie przyjęcia. Kolacje. Wręcz bankiety, jak ten w Hotelu Miejskim, kiedy miasteczko stawało się miastem: polędwica à la Wellington i torcik francuski, menu wydrukowane na sandwicznej stali. Nie mówiąc już o wszystkich skałach, na jakie ją zabierał, wszystkich ogniskach, jakie rozpałił, wszystkich wspaniałych przyjaciółach i znajomych, których jej przedstawił. Miała do wyboru co najmniej dwadzieścia innych żon, z którymi mogłaby coś robić, tymczasem ona ośmielała się narzekać na biedną Barbarę, która przez te wszystkie trudne lata w Szwecji zawsze chciała dla niej jak najlepiej. Jak my wszyscy, dodałby na koniec.

Robiliśmy tyle przyjemnych rzeczy, widziałem, jak się śmiała, jak się cieszyła ze wszystkiego. Ale potem zaczęło w jej ciele rosnąć dziecko, zajęło całe miejsce, nie zostało nic dla innych rzeczy Arvid domyśla się, że to jest mądre wyjaśnienie Fröjdis. Tak ona mogłaby powiedzieć. I może wytłumaczyłaby jeszcze, że dla mężczyzn to może być przykre, ale dla kobiety jest zupełnie naturalne. Dziecko i matka należą do siebie. Kobieta zmienia się, kiedy rodzi dziecko, mężczyzna musi to potulnie znosić, to nieuniknione.

Co za szczęście, że mam Fröjdis, mówi Arvid i poklepuje jej udo, aż faluje.

Fröjdis uśmiecha się szeroko, pokazując równe zęby, a on czuje się dumny, jak ojciec ze swojego dziecka.

Sofia robi wieniec na trumnę dla pana Bergmana.

Ludzie pogrążeni w najgłębszym smutku zwracają się do niej, a ona ma wobec nich odpowiedzialność, swoje zadanie. Ale nigdy bardziej nie angażuje się w swoją pracę niż tamtej nocy w kościele, kiedy robiła dekorację z kwiatów na białą trumnę Karin. Żałoba – myśl o zmarłym i jego bliskich – oczywiście zawsze musi się pojawić przy pracy... Utrata i samotność. Bez tych składników nie można wykonać żadnego wieńca, nawet najprostszego. Pytano ją, czy nie robiłaby bukietów ślubnych, wiązanek na chrzty, czy z okazji zdania matury. Róże, gipsówka, margerytki. Ale ona nie chciała. Radości nie może oddać w taki sposób. A czerwona róża na trumnie wygląda o wiele piękniej, uważa Sofia, niż czerwona róża w ramionach kochającej kobiety.

Na dzień przed pogrzebem Karin Sofia przez całą noc pracowała nad wieńcem. Wyginała gałązki, układała je starannie, zbierała w małe, ciasno obwiązane bukietki. Odcinała zbyteczne części. Odbierała to jak obraz albo taniec, którego nie umiałyby opisać w inny sposób. Jakby gałązki, liście i kwiaty poruszały się ku sobie i od siebie, podczas gdy ona, milcząc, prowadziła w duchu rozmowę, dialog. Gdybyś ty tutaj skrzyżował się z różą... a ty znowu może przesuniesz się trochę bliżej paprotki, wtedy nawłóć pójdzie tam, zrobi miejsce dla dziewanny. Powstawał krajobraz, cały świat; kiedy zaczynało sterczeć za bardzo na boki albo do góry, Sofia przycinała, obchodziła dokoła, oglądała dzieło z różnych stron, z góry, z boku; także po to, żeby zobaczyć, czy jest odpowiednio wysoko wypiętrzone ku kościelnemu sklepieniu. Pracowała w pomieszczeniu za wielką salą kościoła. Norrström, pastor, i jego żona patrzyli na nią zatroskani, kiedy zajrzeli tam późnym wieczorem. Dorotea zapytała ostrożnie, czy Sofia czegoś nie potrzebuje, może chciałaby kanapkę z serem, filiżankę herbaty, może przynajmniej materac, bo chyba zamierza kiedyś się położyć? Sofia odmówiła stanowczo acz uprzejmie, chciała tylko, żeby oni sobie stąd poszli. Kiedy nadszedł ranek i spojrzała na swoją kompozycję, przestraszyła się, że przesadziła, że wyszła zbyt przeładowana, ale Norrström powiedział później do jednego z parafian, że po tym, ile ta biedna dziewczyna się namęczyła, spodziewał się czegoś bardziej imponującego. Dzieło było jednak tak doskonale zgodne z wszelkimi naukami o kolorach, formach i strukturach, że Einarsson z Kwietnego Domku poczuł ukłucie zazdrości. Nie dowierzał zdolnym samoukom. Według niego to był szczęśliwy traf; potem jeszcze, dlaczego nie, dodał do tego natchnienie. Kiedy później wziął ją pod swoje skrzydła jako uczennicę, zawsze starał się podkreślać wagę profesjonalizmu.

Sofia nie wie zbyt wiele o panu Bergmanie; myśli jednak, że codziennie chciał chodzić na spacery do lasu przed domem na Bollvägen, ale nigdy nie było na to czasu.

Asta Bergman wśród pochlipywań opowiadała, jak on bardzo kochał żurawiny i przenikające między liśćmi słońce, które jak reflektor oświetla kępy traw i mchu; kiedy mówiła, słyszało się, że pisuje poezję; panie w kółku krawieckim mówiły, że rymy kleci kiepskie, ale ma talent do obrazowania. Telefonistka Elsa Söderström twierdziła, że Asta pisze naprawdę pięknie, o ile człowiek nie spodziewa się rymów, z kolei była nauczycielka szkoły ludowej Viola Nordlund uznawała jej poezję za niezrozumiałą i dlatego niepotrzebną; kobieta, która ma czas pisać wiersze, to kobieta mająca za mało zajęć, ewentualnie zakochana w sobie i oderwana od świata, a to nawet jeszcze gorzej.

Zaraz po wizycie Asty Bergman Sofia poszła do lasu i nzbierała krzewinek żurawin... i tak samo słońce pomiędzy... pomyślała... świeć teraz panu Bergmanowi i jego biednej żonie... żółtych krokusów, narcyzów, ciemnożółtych tulipanów. Musi zapomnieć podczas pracy nad wieńcem, że Karl-Gösta Bergman niejedną raz flirtował z Barbarą w restauracji Pompadour, gdzie często przesiadywał z kolegami, racząc się pilznerem. Raz nawet poklepał ją po tyłku, ale Barbara tylko się tym chwaliła. Pan Bergman był starym dziadkiem, ale jego syn był przewodniczącym rady gminnej, tym najważniejszym, miał naturalnie czarne gładkie włosy, do tego szeroką szczękę, która sprawiała, że wyglądał trochę jak karykatura kogoś innego, przystojniejszego... nawet jeśli, rzecz jasna, sam wyglądał niesłychanie atrakcyjnie. Barbara o wiele lepiej pasowałaby do niego niż do Ottona, ale przecież to nie młody pan Bergman tylko jego ojciec z nią flirtował...

Użyła do kompozycji modrzewiowych szyszek i chrobotka alpejskiego. Pomiędzy te rośliny wtyka jeszcze jeden żółty krokus. I właśnie kiedy zamierza pomyśleć o Fröjdis – od Bergmana przez Barbarę do Fröjdis jest zaskakująco blisko – budzi się chłopiec. To znowu wina psa Zetterlundów. Chłopiec obudził się za wcześnie, a głos wydobywający się z małego ciała jest dziwnie potężny. Zostawiła otwarte drzwi do ogrodu, gdzie on leży w swoim wózku. Sofia postanawia, że nie weźmie go na ręce; mały łąka, wyraża głośne pretensje, ona czeka. Nie nauczył się jeszcze nie protestować, kiedy czegoś nie dostaje. Próbuja, kto dłużej wytrzyma. Kiedyś się nauczysz, myśli Sofia. Trzeba tylko spokojnie poczekać. Za kilka lat będzie już bardziej jak prawdziwy człowiek. Szczeka pies. Chłopiec jest taki bezbronny, kiedy tak leży i wymachuje ramionami, mały supełek... To nieprzyjemne... Tak jak było zawsze. Dziecko krzyczy.

Zaczekaj!, mówi Sofia surowo. Musisz się nauczyć czekać!

Ale krzyk staje się coraz głośniejszy. Twarzyczka chłopca w ciągu kilku sekund nabiera purpurowej barwy.

Pies Zetterlundów biega wzdłuż płotu tam i z powrotem.

Sofia wchodzi do domu, zstępuje po schodkach do piwnicy i swojej pracowni; uderza ją chłód, po spleceniu kilku gałązek traci czucie w koniuszkach palców, dalej przycina, owija, zanurza cały stroik w balii z wodą, chłód jest jasny i wyraźny.

W gazecie napisali, że młodzi mają radykalne poglądy na małżeństwo. Jeśli w przyszłości nie będą ze sobą szczęśliwi, rozwód nie stanowi żadnego problemu. Wygląda na to, że w pewien sposób łączy się to z utratą wiary w Boga, co z kolei najwyraźniej prowadzi do wzrostu pijaństwa, kradzieży owoców i niszczenia miejskiej zieleni. *Wykroczenia, wandalizm... straszne... powinno być ścigane z mocy prawa.* Słowa rozsypują się przed oczami Sofii; jedno może być równie dobrze tym drugim. Wszystko ma tajemnicze powiązania. Czasem wyraźne, czasem niejasne.

Chłopiec w koszyku śmieje się głośno i niemądrze do swojej zabawki, potem zasypia. Wcale nie jest ładny, nie taki, jak sobie wyobrażała swoje dziecko; porcelanowo-biały i chudy, jak lalka. Żadnego uroku. Sofia stara się zapamiętać datę wydawania nowych kuponów na środki czyszczące i proszek do prania. Arvid pewnie pojechał z pracy prosto do Fröjdis. Wróci do domu późnym wieczorem i opowie, że był na mieście z chłopakami, a może powie z facetami, to zależy, czy ma na myśli osoby zajmujące wyższe stanowiska, czy niższe (zastanawiające jest, że ci na wyższych to chłopaki, choć z reguły są starsi, a na przykład Pelle, rówieśnik, należy do facetów). Wczoraj pomstował bardziej niż zwykle na reglamentację; uważa, że Sofia skąpi jedzenia. I że to skandal. On, który tak ciężko pracuje, przychodzi do domu i nawet nie dostaje nic porządnego do jedzenia. Ona uważa, że to jak najbardziej porządne jedzenie – kotleciki z ryżu, zupa szpinakowa, zawsze też można się poratować białą kapustą. Nie wiadomo, jak to będzie w przyszłości. Sofia prawie wolałaby, żeby on tam już został, dlaczego tego nie robi? Dlaczego nie spędzi u Fröjdis Dahl całej nocy?

To Gudrun Sundin wyrwało się kiedyś coś na ten temat, a może była po prostu wyjątkowo szczerą, czasami potrafi taka być, Signe Gili nieraz ją za to krytykuje. Albo przynajmniej mówi po fakcie. Że Gudrun Sundin nie przejmuje się nigdy, czy kogoś nie zrani, nie ma w sobie empatii. Wygląda to tak, jakby Signe chciała chronić Sofię. Jak gdyby Sofia tego potrzebowała. Ale Irja Salonen zaczęła chichotać, nie mogła się powstrzymać. Fröjdis, krztusiła się ze śmiechu, co to w ogóle za imię? Irja ma bardzo trudną sytuację, Signe Gili natychmiast nachyliła się do Sofii i szepnęła, że nią nie należy się przejmować, jakby jej imię miało być wiele lepsze...

Fröjdis Dahl przyjechała do Sandviken z Norwegii w 1942 roku i niedawno została zatrudniona jako sekretarka Jacobssona (jednego z „chłopaków”) w biurze. Sofia kiedyś ją poznała, sprawia miłe wrażenie i na pewno jest bardzo pracowita; niewiele młodsza od niej. Przyjechała z całą rodziną, jej tato miał tu chyba jakieś kontakty, był przecież dziennikarzem. Gudrun powiedziała, że widziała Arvida i pannę Dahl przed jej bramą, w pobliżu pralni.

To na pewno można w pełni wytłumaczyć, wtrąciła pośpiesznie Signe Gili.

Wszedł z nią do środka, wszystko widziałam, upierała się Gudrun.

To było na spotkaniu kółka krawieckiego przed dwoma tygodniami, u Sofii w domu, na Björkgatan. Ma zaledwie dziewiętnaście lat, ta Gudrun Sundin, jej brzuch sterczy wysoko. To nie ma znaczenia, chciała jej odpowiedzieć Sofia. Ale Signe Gili kazała Gudrun przeprosić Sofię, co tamta zrobiła bez entuzjazmu.

Ja bym wolała wiedzieć, gdyby to był Hasse, bronila się, wydymając dolną wargę, jakby była urażona.

Sofia wykrztusiła z siebie, że przecież nic takiego się nie stało, ale wtedy wszystkie spojrzały na nią ze współczuciem. A Signe nazwała ją biedactwem i dodała, że faceci są, jacy są. Zwłaszcza w takim czasie, dodała i znacząco kiwnęła głową w stronę kąta pokoju, a Sofia nie rozumiała, czego to skinienie miało dotyczyć; chłopca w koszu czy tego co za oknem, świata, wojny.

Arvid nie jest z tych, co się rozwodzą; jest pryncypialny i wierny, przynajmniej w teorii. Z ociąganiem siada na łóżku Fröjdis. Zmierzcha się, za szybą kontury miasta zaczynają się rozmywać; chciałby włączyć radio, nie ma ochoty pedałowac do domu, wolałby zadomowić się w pokoju Fröjdis, rozwalić się w fotelu, zaczekać na nadejście nocy.

Właściwie to dobrze, że ona niczego nie wymaga, ale jednak chciałby, żeby wyciągnęła do niego rękę, westchnęła: Nie chcę, żebyś wychodził, Arwidzie. To nie byłoby ani wygórowane żądanie, ani kłopotliwe. Ale Fröjdis leży pod zieloną jak lato kołdrą i wygląda, jakby najbardziej ze wszystkiego chciała spać, a może zabrać się do czytania książki, która leży na jej nocnym stoliku, Katrina Sally Salminen, ludzie zaczęli ją sobie wyrywać po tym, jak autorka w wypełnionym kościele spotkała się z publicznością i mówiła o sprawie Finlandii, nawet Arvid mógł się zgłosić na ochotnika, ale nikt inny tego nie zrobił oprócz Carlstedta, który ma problemy w domu.

Prawie nie widać Fröjdis; brązowe włosy wystają spod kołdry, haftowanej w kraciasty wzór i grubej. Łóżko stoi pod samym oknem. Meble są stłoczone. Arvid siedzi na krawędzi łóżka i chce, żeby Fröjdis pogłaskała go po ramieniu, żeby zobaczyła, że coś go przytłacza, dopytywała się: O czym myślisz? Czy masz jakiś problem? Możesz mi o tym powiedzieć?

A wtedy on ewentualnie mógłby opowiedzieć...

Nie. Czy naprawdę by to zrobił?

Łóżko trzeszczy, kiedy się podnosi, droga od dywanika przed łóżkiem do wycieraczki w przedpokoju jest o wiele za krótka. Sznurując swoje nowe sztywne buty – które Sofia kupiła poza reglamentacją, a on teraz się ich musi wstydzić – zastanawia się, jak wtedy wyraziłby to, o czym myśli.

Posłuchaj, Fröjdis, to może zabrzmieć trochę dziwnie, może zupełnie niewiarygodnie, ale ostatnio coś się stało... zmieniło... a ja nie wiem, jak to powiedzieć, żeby nie wyglądało, że zmyślam...

Owija szalik wokół szyi.

Posłuchaj, Fröjdis, wiesz... bo jest tak, że co wieczór, gdy wracam do domu, wchodzę do kuchni i spoglądam na kuchenną sofę... wtedy... wtedy widzę, że leży tam mój nieżyjący brat. Ove. Leży tam, jakby wcale nie umarł.

Nie, broń Boże, przecież nie chce wystraszyć tej biednej dziewczyny! Odwraca się i widzi połowę jej twarzy na poduszce. Fröjdis wygląda, jakby drzemała, choć jeszcze nie jest nawet wpół do dziesiątej.

Ależ Arvidzie, to brzmi strasznie... Biedaku... Czy nie lepiej, żebyś został tutaj dzisiaj w nocy?

Ale ona nigdy o to nie pyta, a on i tak by nie został. On nie jest taki, Arvid. Ale nie jest też tym, który widzi nieżyjącego brata na kuchennej sofie, a kiedy wkłada czapkę na głowę, myśli, że nigdy, przenigdy nie opowiedziałby o tym, nikomu, a na pewno nie Fröjdis.

Kiedy wraca do domu, wszędzie jest cicho; brakuje mu Barbary. Ona nie spałaby jeszcze o tej porze. Mógłby wyciągnąć dla niej cointreau i club sodę dla siebie, do tego karty. Mogliby zagrać w remika albo zwykłego pokera. Raz grali na kupony i Sofia się wściekła. Arvid uśmiecha się na to wspomnienie.

Barbara była ogniwem łączącym go z innymi rzeczami, tym, co nie jest domem na Björkgatan 64 czy ciałem Sofii albo chłopcem, który jest całkiem obcy. Raz Arvid chciał wziąć go na ręce, a on zaczął płakać i wierzgać; to nie był zwykły dziecięcy płacz, zauważył to, a jego ciało było twarde i gładkie; Arvid zaraz oddał go Sofii, a potem wołał nie brać wcale. I przez to – jak i tyle innych powodów – Sofia pomrukuje, wzdycha. Wydaje mu się, że ma o wiele więcej niż te dwadzieścia cztery lata, które wkrótce skończy.

Gdyby tylko umiała trzymać kijki bliżej ciała, starała się trochę, umalować, gdyby mogła opowiedzieć mu, kiedy kładzie się obok niej, że dzisiaj na przykład spotkała się z panią Halvarsson – Arvid naprawdę starał się zachęcić ją do tej znajomości, tamta też niedawno urodziła dziecko, a Kurt Halvarsson pracuje trochę wyżej nad Arvidem – albo dlaczego nie z panią Timblad, żoną radnego? To by było coś. Fakt, że Timblad jest socjaldemokratą, nie przeszkadza mu specjalnie; Timblad to porządny facet, kiedy trzeba, potrafi zakasać rękawy, choć polityka jest dla słabeuszy; jako człowiek jest bez zarzutu. A jego żona jest wesoła i otwarta. Na pewno uznałaby, że to bardzo miłe, gdyby Sofia kiedyś do niej wpadła. Mogłyby pójść do cukierni albo do tej nowej restauracji w Konsumie. Widzi to oczami duszy. Drożdżówki z budyniem i zielone ciastka. Delikatna porcelana i pani Timblad, która wprawna dłonią nalewa Sofii kawy. Jak ona później będzie opowiadać, Sofia, też trochę ożywiona – aż on też będzie się z tego śmiał – rzeczy, które mówiła Elsa Timblad, a o których ona nie miała pojęcia.

Ale teraz stoi w drzwiach kuchni. Nie pomaga przyspieszanie kroku. I tak musi się zatrzymać i patrzeć, jak najdłużej unikać spojrzenia na sofę. Przygląda się stercie naczyń w zlewie. Wzorkom na tacy.

Każdego wieczora Arvid żywi nadzieję, że jego nie będzie. A zarazem w te wieczory, kiedy go nie było (kiedy wrócił wcześniej, a Sofia jeszcze nie spała), odczuwał rozczarowanie. Ale teraz on tu leży, Ove, i gapi się... Nic nie mówi. Jego twarz jest kredowobiała, nie ma żadnych linii, żadnych cieni wokół ust Ovego, które otwierają się i zamykają bezdźwięcznie. Ale jego ramię się wyciąga. Zawsze to robi. Dłoń jest wychudzona i jarzy się w ciemności. Do tego momentu Arvid może sobie wmawiać, że to wszystko mu się wydaje, ale nie, kiedy ta dłoń jest tak bliska i rzeczywista, kiedy chwyta jego ciało, a jego ciało nagle jest małe i wrażliwe, dłoń Ovego za to wielka, przechodzi przez niego na wylot – Arvid wie, że musi uciekać, żeby nie zostać w tym uchwycie. Ove zamierza przyciągnąć go do sofy, on to czuje, zamierza przyciągnąć go do siebie, ale to nie może się stać! Biegnij, Arvidzie, biegnij! I Arvid wybiega z kuchni, pędzi schodami na górę do sypialni, gdzie leżą Sofia i chłopiec słyszy głęboki uśpiony oddech żony, chłopca nie słyszy, nachyla się nad koszem, przybliży się bardziej, nie słyszy, czy chłopiec oddycha. Szybko odrzuca kocyk, klatka piersiowa w jasnyniebieskich śpioszkiach się nie porusza! Chwyta drobne ciało... potrząsa... a wtedy chłopiec budzi się z krzykiem.

Arvidzie, na litość boską, co ty wyprawiasz?

Sofia wyskakuje z łóżka i wrywa mu dziecko.

Budzisz go, kiedy dopiero co go uśpiłam?

On nie oddychał... szepcze Arvid.

Bzdura!

Sofia próbuje ukołysać małego, ale jej głos jest ostry, dziecko nie przestaje płakać.

No i co mam teraz zrobić?, pyta, ale Arvid widzi, że pytanie jest skierowane do wewnątrz, ona radzi się siebie samej albo wręcz samego dziecka. Arvid osuwa się na łóżko, jego ciało jest teraz wielkie, ciężkie, ledwie może sobie wyobrazić, że się mieści w tym pokoju.

Już dobrze, uspokaja Sofia, już dobrze, nie ma się czego bać.

Ale następnego wieczora i kolejnego Ove nadal tam leży. A jego dłoń staje się coraz bardziej rzeczywista, coraz silniejsza. Arvid czuje ją wokół serca, wokół płuc.

Czy nie mógłbyś zostać dzisiaj na noc, Arvidzie?

Nie rozumie, dlaczego ona nie pyta. Nie rozumie, dlaczego mimo to nie zostaje. Sofii najwyraźniej i tak jest wszystko jedno. To on opowiada przy śniadaniu:

Byłem wczoraj na mieście z chłopakami, dlatego tak późno wróciłem.

Ach tak. Aha. A co sądzisz o tym, żeby wybrać się dzisiaj do pani Timblad?

Dlaczego miałabym to zrobić?

Żeby mieć coś do zrobienia, tak myślę.

Mam dość rzeczy do zrobienia w domu.

Ona na pewno by się ucieszyła. Zresztą pani Halvarsson też.

Przecież prawie się nie znamy.

Widziałyście się w Dolores... a wtedy to wyglądało tak, jakbyście miały dużo wspólnych tematów.

To było przed Bożym Narodzeniem. A jedyna rzecz, o jakiej rozmawialiśmy, to nowe pieluszki dla dzieci.

No widzisz, mówi Arvid. Jednak macie o czym rozmawiać.

Ona na pewno też jest bardzo zajęta swoimi sprawami, poza tym tutaj ciągle przychodzi Barbara.

To przecież miłe z jej strony.

Sofia na to nie odpowiada. Prawdę mówiąc, prawie nie widywała Barbary, odkąd chłopiec przyszedł na świat. Chciałaby powiedzieć Arvidowi, że nie musi mieć wyrzutów sumienia. Może po pracy nie wracać do domu, jak długo chce. Ona naprawdę nie siedzi beczynnie, a wieczorami lubi zaciągnąć ciemne zasłony i porządkować kupony reglamentacyjne, kiedy chłopiec wreszcie zaśnie... jeśli zaśnie... Lubi łagodne światło stearynowych świec albo lampy naftowej i spokojne tykanie zegara. Czasami schodzi do piwnicy, żeby trochę popracować, ale wtedy trudniej jest słyszeć chłopca i czuje się głupio, ilekroć biegnie na górę, bo wydaje jej się, że coś słyszała albo upłynęło za dużo czasu od chwili, kiedy coś słyszała. Musi sobie powtarzać, że coś takiego udaremnia najważniejszy cel wychowania: hartowanie i wzmacnianie dziecka. Że to jest dobre dla małych dzieci, tak poleżeć i popłakać przez jakiś czas. Nie chce być taką matką jak Signe Gili, która ciągle obślinia swoje dziecko całusami i głaszcze, aż jej trzyletnia wkrótce córeczka musi się bronić. I wystarczy tylko popatrzeć, jaka ta mała Jane jest! Płaczliwa i niesamodzielna! To takie proste i logiczne, że Sofia się dziwi, jak Signe może tego nie rozumieć i jeszcze skarżyć się na gwałtowny temperament córki.

Arvid wychodzi do przedpokoju, żeby się ubrać. Inne żony odprowadzają mężów do drzwi, widział to na własne oczy. W drodze do zakładu zwykle jedzie po Pellego na Smedsgatan, a żona Pellego Stina pomaga mu włożyć marynarkę, wręcza pudełko z drugim śniadaniem, całuje w policzek i życzy miłego dnia. Chociaż jest w ciąży z ich czwartym dzieckiem, ma na to czas. I oczy, myśli Arvid, oczy, którymi patrzy.

W ich domu to Arvid musi zawołać:

A więc zobaczymy się wieczorem, Sofio!

Sofia wygląda półprzytomnie z kuchni, jakby nie spodziewała się go zobaczyć; to sprawia dziwne wrażenie.

Aha, tak, oczywiście.

A potem jeszcze:

To jedź ostrożnie.

To są najczulsze słowa, jakie może z siebie wydusić. Sofia włącza radio, Ulla Bilkjuist śpiewa: *Płynę, płynę, płynę w chmury, miłość niesie mnie do góry*. Sofia próbuje śpiewać razem z nią, choć nie jest pewna słów, więc śpiew przechodzi w niewyraźne pomrukiwanie. Arvid zamyka za sobą drzwi. Myśli, że kiedy pokończy swoje kursy i dostanie awans, przyjdzie czas na samochód, naprawdę porządny, aż jej, Sofii, odbierze mowę; nie wierzyła w to od początku, ale zobaczy, tak, właśnie, a jeszcze jak on potem zostanie... premierem, wtedy... wtedy... Arvid wycofuje się, chciałby wymazać tę myśl z pamięci. Pedałuje z dużym wysiłkiem, unosi się nad siodełkiem. Ale później, kiedy razem z Pellem zostawiają za sobą Smedsgatan i Stinę – która macha za nimi, długo, choć dzieci wieszają się jej spódnicy i marudzą – i stwierdzają, zanim przejadą przez Norra porten, że w powietrzu czuć zapowiedź wiosny, Arvid myśli: Ech, co tam, właściwie dlaczego nie?

Blisko pieca w kuchni na Björkgatan 64 wiszą suszone bławatki, przegorzan, łyszczec i naparstnica. Sofia lubi blaknięcie kolorów, kiedy kwiaty wysychają. Lubi, kiedy kolory – choćby były tak różne na początku – stają się coraz bardziej podobne do siebie, przynajmniej z daleka może być trudno rozróżnić poszczególne gatunki.

Wypełniała wazon w chacie Edwina suszkami, odkąd się tam wprowadził. Teraz widują się tak rzadko, że kwiaty wiszą niewykorzystane, a Arvid burczy i się złości, kiedy je potrąca, a ona burczy i się złości, że zaśmieca podłogę.

Uważaj trochę.

Ale jak długo one tu jeszcze będą wisiały?

Sofia wygląda przez okno i widzi, jak miasto połyka Arvida. Pamięta pierwsze poranki, kiedy wyjeżdżał do pracy – w chwili, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi, dom stawał się o wiele za duży. On w pracy, Barbara w cukierni; wszystkie pokoje należały do Sofii. Zbiegała wtedy do piwnicy, zajmowała się tam swoimi gałązkami i mchami, nawet jeśli nie miała żadnych zamówień. I kiedy starannie pozamiatała z podłogi liście i igły, wracała do kuchni, zawstydzona czytała *Hemmets Veckotidning* i *Husmodern* od deski do deski, wyłapywała zdania w rodzaju *Równie dobrze umiem dbać o swoją cerę, co o zaopatrzenie domu czy Zaprzyjżnij się z naszym chrupkim chlebem, czy też Matka to normalna, prawdziwa kobieta.*

Jak dobrze, że Hammarbyvagen jest stroma, dzięki temu Sofia mogła już z daleka widzieć Arvida wracającego rowerem do domu. Miasto go wypuszczało, pozwalało jemu i innym mężczyznom wrócić do domu na krótki odpoczynek, a wtedy kobieta powinna dopilnować, żeby obiad był na stole. Zapiekanka z kawiozem. Smażone śledzie. Omlet z piekarnika. Kalafior z sosem pomidorowym.

Ale od pewnego czasu poranki, kiedy Arvid zostawia ją w domu, wyglądają zupełnie inaczej. Dom jest tylko ochroną. Dach i ściany. Nic więcej. Chłopiec. Świat pełen mniejszych i większych zajęć. Żadnego czekania.

Sofia sortuje kupony. Lubi trzymać je w dłoni. Niedawno była z chłopcem w przychodni dziecięcej na szczepieniu. Zarówno położna, jak i lekarz byli tacy mili. Zbadali dziecko i powiedzieli, że wszystko wygląda bardzo dobrze. Zdrowy i silny, tak powiedzieli. Jakby się cieszyli z jej powodu.

Sofia patrzy na chłopca w koszyku. Mówi „chłopiec” częściej niż „Carl”, Arvid tak samo. Imię Carl czyni z niego człowieka, którym jeszcze nie jest.

A więc czym jest chłopiec?

Ciałem.

To też jest nieprecyzyjne określenie. Ciało składa się z serca. Serce to jest coś, co może przestać bić.

Ciało zawiera płuca. Które mogą przestać się rozszerzać.

Skóra. Która może zbieleć.

Oczy. Które mogą gapić się prosto do góry w twoje oczy i niczego nie widzieć.

Dłonie. Mogą leżeć płaskie, puste.

Wszystkim tym ciało może być albo nie być.

Oddech chłopca jest niemal niesłyszalny, nie jak u Arvida, w którym życie jest tak wyraźnie obecne, nawet jego stawy wydają dźwięki; trzeszczą i strzelają. Jego dłonie są zawsze ciepłe, nawet w zimie. Porusza się zamazyście, mówi dużo, przynajmniej z innymi, słowa mogą być zenująco wielkie, ale zadziwiające jest, że ludzie mimo wszystko zdają się go uwielbiać, jakby Arvid był czymś absolutnie oczywistym w świecie.

Gdyby przyszła tutaj wojna, Sofii coś by się stało (myśl, że coś miałyby się stać Arvidowi, jest niedorzeczna, nawet kiedy czasem się zatnie – choć jego ruchy są takie, jakie są)... Sofia słyszała o kobiecie, której odebrano synka i dziecko krzyczało tak bardzo, że pękł mu żołądek. Wszyscy mówią o wojnie, jakby zaraz miała minąć. Gazety piszą o wojnie, jakby lada dzień mogła się skończyć. Ale tego nie wiedzą, bo nie można wiedzieć. Przecież może się zdarzyć, że zwróci się przeciwko Szwedom? Słyszała dwóch tak różnych mężczyzn jak Timblad i Svarten mówiących o zdradzie Szwecji, i Timblad naprawdę był oburzony. Arvid go lubi, choć tamten w swojej polityce idzie coraz dalej na lewo, tak bardzo – Sofia słyszała, jak Arvid o tym mówił – że raczej nie zachowa swojego stołka po następnych wyborach. Szkoda, żeby taki porządny facet, mówi Arvid, miał takie poglądy, ale na pewno kiedyś może się opamiętać; w obecnych czasach łatwo jest zobaczyć w Ruskich bohaterów, ale kiedy wojna się skończy, będzie się pamiętało, że bolszewizm jest co najmniej tak samo groźny jak nazizm. Co najmniej. Słyszy, jak Arvid to powtarza, słyszy Timblada. Oni mają inną wiedzę. Skąd można wiedzieć, co jest groźne?

Ćwierć miliona ludzi zginęło w ataku bombowym na Drezno.

Nie da się powiedzieć, że coś takiego się zemści. Pastor w kościele już nie może tak mówić o ludziach; zresztą nigdy nie mógł.

Svarten – ze śmiechem nazywano go Kaznodzieją. Wojna była jedyną rzeczą, o jakiej mówił przez te ostatnie lata, zanim Sofia przeprowadziła się do Sandviken. *Kiedy człowiek pozbędzie się swojej moralności, zostaje niewolnikiem. Polityka neutralności to nie to samo co bezpieczeństwo.* Nie mieć żadnych poglądów to jest, do diabła, nienormalne w społeczeństwie demokratycznym. Arvid też się z niego śmiał, nazywał go moczymordą, zresztą nadal tak robi, kiedy mówi się o Svartenie. *Dyktatura obojętności. Jeśli można mówić o jakiejś winie, to byłoby nią milczenie.* Śmiech Arvida rozbrzmiewa po każdej wypowiedzi, ale Sofia rosła w szacunku dla Svartena. To on przecież powiedział, gdzie trzeba szukać Lassego z Nerigård, kiedy wpadł do Jädraån podczas spławiania drewna i nie można było znaleźć ciała. To było dawno temu, ale wiara w jego umiejętności nadal żyła w ludziach. I nawet jeśli Sofia nie zauważała jego nadprzyrodzonych zdolności, to ten szacunek stał się jej częścią.

Robi przegląd wszystkich po kolei kobiet z kółka krawieckiego, o czym one zwykle mówią... Nawet Barbara nie mówi o wojnie. Jakby jej nie było. No tak, reglamentacja, to oczywiste, najmłodszy synek Margit Svensson uwielbia pomarańcze i mówi o nich codziennie... Takie błahostki! Pragną prawdziwej kawy i słodkich deserów, najeść się do syta jajek – ale jak często człowiek obżera się jajkami, a kiedy jest deser, one go nie chcą, i doprawdy kawie z cykorii nie można niczego zarzucić! Signe Gili, która nie radzi sobie z tą sukienką dla Jane... Skarży się, że szwy wychodzą krzywe; jasne, to wina materiału, jest zbyt gładki... Na Boga, Signe, twoja córeczka może w każdej chwili umrzeć! I twój synek też, Margit! Gudrun uskarża się na brzuch, dyszy przesadnie, chodząc, kolebie się na boki. Ale dziecko może umrzeć w twoim brzuchu, zanim zdąży wyjść, a jeśli wyjdzie, może umrzeć w kołysce albo w wypadku rowerowym, albo na wojnie z Rosjanami, a może na tej wojnie, wojnie, która wcale się nie kończy, cokolwiek ludzie mówią coraz więcej i więcej ludzi ginie, to jest jak dżuma albo jakaś inna zaraza; nie można się przed tym obronić. Nagle słyszy w głowie głos mamy: *Rozwiń nade mną twe skrzydła, o Jezu. My, Szwedzi, jesteśmy tacy uczciwi, jak ktoś mógłby chcieć nas skrzywdzić?* Kiedyś powiedział tak Arvid, gdy byli zaproszeni do Pellego i Stiny, a Pelle powiedział – trochę już wypił – że zostawiają nas w spokoju, bo nie mamy żadnego znaczenia. Sofia myśli, że powinna zajrzeć do Stiny któregoś dnia. Stina ma troje dzieci, wkrótce czworo. Wtedy ryzyko utraty jest o tyle większe. Ale zarazem zmniejsza się ryzyko, że za jakiś czas ona może zostać zupełnie sama. Sofia zastanawia się, dlaczego Ingegerd Zetterlund nie ma dzieci. To nie jest sprawa, o którą można tak po prostu zapytać.

Na ulicy chłopcy grali w kulki między błyszczącymi błękitem kałużami. Kawalek dalej wylał kanał (na Seegatan ludzie chodzą po kolana w wodzie). Lokalny klub SAIK zdobył mistrzostwo Szwecji w bandy pod wodzą Einara Aska (trzy do dwóch ze Slottsbron, zwrot akcji, po którym gazety pisały, że gracze musieli w przerwie łyknąć szpinaku Popeye'a).

Chłopiec śpi niezwykle długo. Sofia dotyka jego czoła. Nie jest pewna, czy potrafi rozpoznać gorączkę. Dziecko oddycha. Kiedy człowiek ma coś do roboty, zło nie ma do niego dostępu. To nieprawda. Zło i niesprawiedliwość zawsze jakoś potrafią się dostać do środka.

Jest pierwsza, kwadrans po, wkrótce druga; Sofia wygląda na ulicę, żeby sprawdzić, czy nie idzie Barbara... Ale po tej okropnej rzeczy, którą Emilia tak po prostu rzuciła, Sofia odczuwa pewną niechęć. Otto mógł powiedzieć to jakiemuś koledze jakiegoś pijackiego wieczora, jeśli już koniecznie musiał; wtedy nie dowiedziałyby się o tym Emilia, a od niej Sofia, która wcale o to nie prosiła. Chciałyby mieć okazję pokazać Barbarze, że to jest zupełnie bez znaczenia, że to przeszło przez nią bez śladu, jak powietrze. Chciałyby wyjaśnić albo przynajmniej zasugerować, że sprawami innych ludzi w ogóle nie zawraca sobie głowy. Lewej strony nie pokazuje się nikomu, tylko ogląda w czterech ścianach własnego domu, jeśli to konieczne.

Znów zastanawia się, czy nie przespacerować się do Stiny. Chłopiec opatulony w śpiworek już jest w wózku na dworze, widzi go przez okno sieni. Ale co będzie, jeśli zapuka tam w chwili, gdy któreś z dzieci zasnęło, i Stina stanie przed nią z wymuszonym uśmiechem? Jeśli ktoś ma urwanie głowy, to jest to biedna Stina. A sen każdego dziecka musi być jak łaska. Nie ma siły na wizyty... Poza tym jeszcze jedno dziecko w tym małym zakładowym mieszkanku. Bliżej jest do Barbary, myśli Sofia. Ale wózek ma takie wąskie odporne koła, że nie da rady iść tak szybko, jak chciałyby nogi, a chłopiec może znów będzie głodny i ona nie zdąży do domu, przechodnie usłyszą jego krzyk, a wtedy nie jest dobrze brać go na ręce, bo zaraz rwie się do piersi; kiedy dziecko tak krzyczy, nie potrzebuje pocieszenia, tylko jedzenia albo suchej pieluszki, albo snu, małe dziecko potrzebuje tak dużo snu.

Sofia zatrzymuje się przed lustrem w sieni. Cienie wokół oczu i zmatowiałe włosy. Szczypie się w policzki. Spódnica jest wymięta. Powinna się przebrać, umyć włosy, powinna – zanim chłopiec się obudzi. W *Hemmets Veckotidning* Sonja Wigert definiuje elegancję jako wypastowane buty, ładne rękawiczki i zadbane włosy. Była też tam praktyczna lista, którą można się posłużyć. Wystarczy robić tylko jedną małą rzecz codziennie – mycie włosów w poniedziałek, manikiur we wtorek, skubanie brwi w środę i tak dalej – wtedy nie zajmie to tak dużo czasu. Dwieście pięćdziesiąt pociągnięć szczotką co wieczór to konieczność, jak napisali, żeby włosy były błyszczące, ale Sofia nie ma czasu nawet na gimnastykę dla gospodyń domowych; może to dlatego... dlatego Arvid nie...

Myśli, że powinna kogoś zaprosić do domu, wtedy będzie miała powód, żeby odwiedzić fryzjera czy przynajmniej przypiąć metalowymi klipsami grzywkę i włosy po bokach; odpowiednią sukienkę ma, wysoko zabudowaną granatową, w której podoba się Arvidowi, choć ma za dużo riuszek, zresztą nie jest pewna, czy się w nią zmieści... Ale jest też ta ceglastoczerwona, którą miała na sobie ostatnio w Nowy Rok, jest prostsza, ma lepszy fason. Mogliby zaprosić Halvarssonów i Timbladów, on ciągle o nich głądzi, i oczywiście Pellego i Stinę Wirenow. Mogłaby już dziś wieczorem znaleźć kilka przepisów, które by się nadawały... dobra gospodyni umie sobie poradzić, dobra gospodyni ugotuje zupę z gwoździa... W *Hemmets Veckotidning* widziała przepisy na coś słodkiego z małą ilością cukru, deser gruszkowo-żurawinowy i tutti-frutti. Ale co będzie, jeśli chłopiec nie zechce zasnąć! Jeśli będzie musiała przez cały czas biegać na górę albo siedzieć i nasłuchiwać jego odgłosów, nie mogąc skoncentrować się na niczym innym. A Wirenowie będą chyba musieli zabrać swoje maluchy? Ależ byłaby bieżanina! Może Halvarssonowie i Timbladowie nie będą się dobrze czuli, a Arvid będzie miał ponurą minę, jakby dusił w środku grzmot.

Na przyszłość Sofia mogłaby zapytać Lillemor, czy nie chce opiekować się małym.

Lillemor...

Raczej nie może chyba prosić dziewczyny o przysługę, po tym wszystkim, co...

Ale dlaczego nie? Ta chuda dziewczynka... Ona przecież musi zrozumieć, że jej wybaczymy. Stina pracowała w salonie fryzjerskim, zanim wyszła za męża, mogłaby pomóc tej biednej małej z jej rzadkimi włosami, zakręcić na wałki albo przynajmniej spleść w koszyczek. Ale ona jeszcze jest mała. Ledwo co rozumie – jaki ciężar przytłoczy ją później... Jak ta dziewczynka kiedykolwiek będzie umiała wyprostować plecy?

Halo, czy jest ktoś w domu?

Barbara w sieni! Sofia jest tak zaskoczona, że nie może się powstrzymać od śmiechu.

Jak się masz? *Und wie siehst du denti aus?*⁴²

Spojrzenie Barbary przesuwają się po suchych ciastkach na paterze.

Przydałoby się im więcej margaryny, Sofio.

Spiczasty palec wskazuje, dotyka. Dotykała też Carla, ale teraz łapie się za broszkę, swoją szarozieloną apaszkę. Powiedziała: Ojejciu, taki jestem malutki, udając dziecięcy szczebiot.

Pewnego dnia Carl pomyśli, że Barbara jest wspaniała. On też. To jest nieuniknione. Wchodzi z rozmachem do pokoju z całą swoją zielonością – Carl zauważy, jak jego mama przy niej blednie.

Potrzebujesz słońca i kąpieli. Kiedy miałam szesnaście lat, byłam z rodzicami w Ardenach, to było cudowne, potem czułam się jak nowa.

Słyszałam, że jest takie miejsce w Mariefred, ciągnie Barbara. Ale to chyba tylko dla sławnych ludzi, tak mi się wydaje. Ta straszna Rosjanka, co była ambasadorem... jak też ona się nazywa... Kołontaj?, ona często tam mieszka, jak czytałam.

Nigdy nie odzyskasz swojej figury. Barbara przygląda się jej, przekrzywiając lekko głowę. Choć masz tyle energii, Sofio, musisz pamiętać o tym, żeby dużo przebywać na świeżym powietrzu... Pomyśl tylko, jeszcze kilka tygodni temu nikt sobie nie wyobrażał, że znów przyjdzie lato. *Und Blumen! Und Bäume!*⁴³ papie dalej Barbara (jakby drzewa były tylko latem).

Ale jeśli ma się ogród, tak jak wy, wtedy człowiek ma dużo pracy. Ja mam tylko swój mały skrawek. Niewiele tam trzeba robić. Można leżeć i się wałkonic, jeśli ktoś ma ochotę. Przynajmniej jakąś godzinkę po południu. Chyba myślisz, że jestem okropnie leniwa, ale kto nie odpoczywa, nie ma na nic siły! Mogę sobie wyobrazić, że taki maluch może naprawdę wymęczyć człowieka.

A wy? Sofia wchodzi jej w słowo. Nie zamierzacie mieć malucha?

I natychmiast tego żałuje. Twardość w jej głosie sprawia, że się czerwieni.

My?

Barbara bierze jeszcze jedno suche ciastko. Pogryzając je, odpowiada:

Nie jestem pewna, czy chcemy.

Wcale się nie musi, dodaje. *Moderne Frauen*⁴⁴ same kształtują swoje życie.

Uśmiecha się.

Ależ ty nic nie jesz, Sofio.

43 Kwiaty! I drzewa!

44 Nowoczesne kobiety.

Podsuwa jej patere, Sofia dziękuje, kłamie, że już jadła. Kłamie, że je za dwoje. Kłamie, kiedy się śmieje. Ciastko w dłoniach Barbary prawie się nie kruszy, ona ledwo zauważalnie otwiera usta; po Barbarze nawet nie widać, że ciastka i jedzenie znikają z talerzy. Karin zawsze jadła łapczywie. Mam taki straszny apetyt, Sofio. Jak gdyby to miało tłumaczyć jej szybkie palce w półmiskach, w salaterkach. Ubrudzona wokół ust, pooblewana jak dziecko – to wyglądało okropnie, ale Max i tak za nią wariował; dla żadnego z nich nie miało najmniejszego znaczenia, jak ona wygląda. Jakby liczyło się coś zupełnie innego.

Czy on nie powinien już zaczynać się uśmiechać?, pyta Barbara. Jej zielony sweter sprawia wrażenie szorstkiego, pośród zielonych oczek błyskają złote nici. Wtedy one robią się o wiele słodsze, ciągnie Barbara.

On umie się uśmiechać, mówi Sofia, kiedy jesteśmy sami, uśmiecha się prawie cały czas.

Nie jest specjalnie podobny do ciebie.

Tego jeszcze nie można stwierdzić.

Sofia zauważa, że odpowiada poirytowanym tonem. Barbara sprawia wrażenie ubawionej. Barbara się śmieje.

Ach so, mówi. Kleine Sofia.

Chłopiec zaczyna płakać. Choć dopiero co go nakarmiła i powinien spać. Barbara kładzie dłoń na mostku. Chłopiec płacze tak bardzo, że traci oddech, cichnie, zaczyna znowu. Sofia czuje pot zbierający się pod pachami.

Może nie trzymasz go prawidłowo?

Sofia wyciąga chłopca w stronę Barbary, choć wie, że widać jej plamy pod pachami. Barbara macha ręką, jakby się opędzała od komarów. Wtedy Carl wymiotuje kaskadą, prosto na mieniący się złoto sweter Barbary, i zaraz się uspokaja.

Arvid zwleka, jak tylko może. Słowa w książce już dawno przestały coś znaczyć, ale on dalej uparcie siedzi przy stole Fröjdis. Przy kolacji mówiła o wojnie, jak się cieszy, że wkrótce się skończy, chciała wzniesć toast, ubrana w uroczą dwuczęściową sukienkę. Nigdy przedtem nie mówiła o swojej ucieczce z Norwegii, ale teraz śmiało zajęła się rządem szwedzkim, twierdząc, że jest niezdecydowany. Powiedziała, że nastawienie i działania rządzących odbijają się w zachowaniu jednostek, ale z tym Arvid nie mógł się zgodzić. To była ich pierwsza kłótnia. Jednostki mają chyba dość siły, żeby zaprotestować, jeśli chcą, albo jeśli istnieje jakiś powód, odparł Arvid podniesionym głosem, nadal z uśmiechem na twarzy. Fröjdis zauważyła, że to chyba nie jest takie proste – cenzura rozprzestrzenia się tak, że szybko staje się autocenzurą. Arvid prychnął pogardliwie. Powiedział, że to niemądre, kłócić się o każdy najmniejszy drobiazg. Czy uważasz, że pomaganie Niemcom to drobiazg? Nie rozumiem Szwedów – jak możecie być przyjaciółmi Norwegii i Hitlera równocześnie?!

Ależ moja droga Fröjdis...

Arvid chwyta się za czoło. Nie ma sensu dyskutować ze wzburzoną kobietą. Zwłaszcza wzburzoną kobietą, która myśli, że coś wie.

Ojciec Fröjdis jest zdeklarowanym przeciwnikiem nazistów i dlatego w Norwegii jego życie było zagrożone, nawet przed okupacją. Arvid zawsze myślał, że Fröjdis nauczyła się ukrywać swoje uczucia i poglądy, więc kiedy tak się otworzyła, nieuchronnie poczuł rozczarowanie. Jakby jakaś tajemnica została ujawniona, wtedy oczywiście przestaje być intrygująca, znika poświata; tak właśnie się poczuł. Fröjdis zaczęła płakać, tak samo nagle, jak się rozzłościła. Odwróciła twarz. I kiedy rozbieżność poglądów o mało co nie wykopała między nimi przepaści, zaczęli się kochać. Potem Arvid zajął się swoim podręcznikiem, a ona włożyła swoją niebieską narzutkę, sięgnęła po tę przygnębiającą książkę z nocnego stolika i tak siedzieli niemal przez dwie godziny.

Arvid gapi się na rozplywające się litery, próbuje się skoncentrować, podkreśla niewłaściwe rzeczy. Wyobraża sobie, że Fröjdis czuje się podobnie. Że kartki, które z pozoru tak spokojnie przewraca i tak będzie musiała – kiedy on już pójdzie – przeczytać jeszcze raz (tak naprawdę Fröjdis czyta z taką koncentracją, jakby była sama w pokoju).

Nie mógłbyś zostać tu dzisiaj na noc, Arvidzie? Wyobraża sobie jej głos; trochę płaczący i sztuczny, ale szczerze proszący. Tak strasznie byłoby, gdybyś wyszedł, a ja bym tu leżała sama i nie wiedziała, czy dalej jesteś na mnie zły. Oczywiście wcale by nie był. Nie jest zły. To nie jest wina tej biednej dziewczyny, że ma ojca zatwardziałego socjalistę, który wpakował jej do głowy te wszystkie kłamstwa o kolektywie i dyktaturze proletariatu... Zaciśnięta pięść wydaje się Arwidowi patetyczna, nie może zrozumieć, czemu by to miało służyć. Nie walczy się w ten sposób, że przy byle okazji zaciska się pięści. Zaciśnięte dłonie są bezużyteczne. To się rozumie samo przez się. Słowa w książce przed jego oczami zbijają się w jeden kłęb, ma ochotę rozerwać je siłą. Słyszysz szyderczo szybki szelest stronic książki Fröjdis, kątem oka widzi, jak kartki trzepoczą. Ogień zgasł, nawet naprawdę się nie pojawił, kiedy byli razem w łóżku; jest zimna, lodowata. A może ona też czeka? W takim razie na co? O, jakież jest głupi! Oczywiście Fröjdis czeka, żeby to on przejął inicjatywę! A on tu siedzi jak idiota! Chciałby palnąć się w czoło i zaśmiać. Natychmiast zamyka książkę. Wślizguje się z powrotem do łóżka i gryzie ją delikatnie. Ale Fröjdis nie przerywa czytania.

Ehm, to takie interesujące, Arvidzie.

On wtula głowę pod jej pachę, ona spogląda na zegar na ścianie.

Zamierzasz zostać dzisiaj na noc?, pyta.

A co ty o tym sądzisz?

Możesz, jeśli chcesz, ale jestem przyzwyczajona spać sama, poza tym wstaję jutro wcześniej.

Ja też muszę, mówi szybko Arvid i zły wstaje z łóżka.

Jeśli chcesz, możesz zostać, powtarza Fröjdis, ale nie wyciąga do niego ramion.

Czy ty w ogóle nie chcesz wyjść za mąż?, wrywa się Arvidowi.

Ależ tak, prycha Fröjdis w odpowiedzi, i na pewno to zrobię, zobaczysz. Nie myśl, Arwidzie, że jesteś jedynym mężczyzną.

Dziwka!

Na Boga, o mało tak nie krzyknął, ale się powstrzymuje, przypomina sobie o miesiączce, chłopaki i faceci lubią żartować na ten temat, przynajmniej Nygren, który ma dwie córki nastolatki i zawsze opowiada, jak trudno jest wytrzymać z trzema babami w domu; trzy tygodnie huśtawki nastrojów, potem tydzień urlopu, praca na zmianę. Ale Arvid nigdy nie zauważył żadnej różnicy u Sofii, szczerze mówiąc, nawet nie ma pojęcia, kiedy u niej przypadają te dni. Niczego nie widział też u Fröjdis, no, przynajmniej do dzisiaj.

Wychodzi bez pożegnania; kiedy stoi przy rowerze, zauważa, że zapomniał czapki, ale przecież, do diabła, nie może wrócić, nigdy w życiu, dostałby pewnie książkę w głowę; próbuje się z tego śmiać. Jedzie do domu w zmierzchu i chłodzie wiosennego wieczora klnie. I prawie zapomina, co go czeka:

Cichy dom, brat na sofie w kuchni.

Sofa trzeszczy, brat siada.

Jęczy, to brzmi, jakby próbował coś powiedzieć; Arvid chce się wycofać, ale musi podejść bliżej, musi słuchać.

Czego chcesz, Ove? Co próbujesz mi powiedzieć?

Ma nadzieję, że życzliwość wyprze strach. Dłonie brata znajdują się pod ciasno zawiniętym kocem, dopóki tam są, on nie może nic powiedzieć.

Ove, mówi. Dlaczego jeszcze nie śpisz?

Rozumie, że łagodność może pomóc. Ale jego głos tak drży, że łagodności w nim nie słyhać. Usta brata otwierają się i zamykają, ale nie wychodzi z nich nic słyszalnego, otwierają się i zamykają, tylko syk, jęki – i nagle jego dłonie wystrzelają spod krawędzi koca, wyskakują w powietrze, do Arvida, chwytają go, takie białe, przezroczyste...

O, Ove, próbuje Arvid. Odsuwa się, ale dłonie i tak go dosięgają. Szarpnię, wciskają się do środka.

Ove, mój drogi, czego ty ode mnie chcesz?

Nagle w kuchni zapala się światło i Arvid widzi Sofię, a Ove znika.

Arvidzie, czy ty piłeś?, pyta Sofia.

On patrzy na nią zmieszany, musi się zastanowić, pomieszczenie wiruje; stare w nowym.

Akurat ty, wzdycha Sofia, choć nie zdążył jeszcze zacząć się bronić.

Niee, mówi wreszcie Arvid. Nie piłem, wcale.

To co w takim razie tu robisz?

Ja... śpiewałem trochę... Cichnie i odwraca wzrok. Od sofy, od kuchni; na czym go zatrzymać?

Śpiewałeś?... Ty?

Sofia kręci powoli głową. Spojrzenie Arvida zatrzymuje się na parapecie w sieni; widzi, że farba jest spękana, trzeba ją zeszkrobać i pomalować na nowo, żeby tylko nie było czerwonych przebarwień.

Chodź, mówi Sofia, zanim znów obudzisz chłopca.

Arvid idzie za nią, idzie tak blisko, że może czuć ciepło jej ciała pod sztywną koszulą nocną.

Edwin obraca swoją filiżankę z kawą, kwiatowy wzór w pastelowych kolorach. Uśmiecha się do chłopca.

Maleństwo, mówi. Jezusie, ależ ty jesteś mały.

Widział chłopca tylko przy okazji chrzcin i teraz zaszedł zobaczyć, czy rośnie, jak powiedział; a mały naprawdę rośnie. Umie już skierować spojrzenie na jeden punkt i głowa mu tak nie lata. Przynajmniej trochę mniej. I uśmiecha się, niezależnie od tego, co Barbara sobie myśli. Jest też grzeczny, żeby tylko ciągle nie był taki głodny.

Sofia daje Edwinowi suszone kwiaty, a on mówi, że będzie trudno zabrać je do domu na motorze. Cieszy się, że znów może nim jeździć, ale musi być oszczędny. A wy nie sprawicie sobie samochodu? Puh, mówi Sofia. My nie potrzebujemy samochodu, bo po co. Jest drogi, no i nie wiadomo też, jak to będzie z wojną... przyszłością...

Spogląda na niego, szukając wsparcia, ale on wpatruje się w trzymaną w dłoni filiżankę. Pije kawę z kostką cukru w ustach, i oczywiście zaplamiał obrus. Sofia wzdycha; zaparzyła prawdziwą kawę, nawet Arvid jej nie może pić. Babki nie tknął, nie przepada za słodkim; no to zostanie więcej dla Arvida, próbuje pocieszać się Sofia, ale chciałaby, żeby przynajmniej spróbował, wyszła puszysta, choć dała do ciasta tylko jedno jajko.

To zaraz chyba będę jechał, mówi Edwin.

Został dwadzieścia pięć minut. Kiedy już stoi przy drzwiach wyjściowych, mówi:

Nie, niewiele wiadomo o wojnie. Ale chyba powinna się już skończyć...

Właśnie, mówi Sofia i nie potrafi ukryć, jak ją to cieszy. Na pewno powinna już niedługo. Ale człowiek nie wie... Bo skąd miałyby wiedzieć takie rzeczy?

Trzeba mieć nadzieję.

Edwin uśmiecha się. Sofia chce zapytać o Linneę, ale to chyba nie jej sprawa.

Laskocze chłopca w brzuszku, chłopiec się śmieje.

Jakie wesołe dziecko, mówi Edwin. Jest podobny do Arvida.

Kiedy w końcu wychodzi, Sofia wraca do kuchni i widzi suchy bukiet leżący na stole. Przez chwilę stoi, trzymając go w dłoni, potem wiesza z powrotem. Zegar tyka, Sofia patrzy na niego: wskazówki się nie ruszają; patrzy w bok: wskazówki się ruszają. Przejeżdża ścierką po stole, zgarnia okruszki na dłoń, wrzuca do ust. Myje filiżanki, stawia je na suszarce. Na dworze jest wiosna – tak właśnie myśli, kiedy wygląda przez okno. Jest wiosna, bo robi się zielono, to prosta definicja, światło odbija się w bladej trawie, w srebrzystych gałązkach wierzby. Białe autobusy, słyszała o tym w radiu, opuszczają Ravensbrück, wioząc setki więźniarek. Wiosna i pokój czyż może być większa jasność i szczęście?

Ale Sofia... Sofia słyszy nocami samoloty. Bombowce... Leży całkowicie przytomna, kiedy Arvid zasypia, i choć on jest tak bardzo obecny, ma wrażenie, że jest sama na całym świecie. Nad ranem chłopiec śpi najgłębiej, wszystko wokół niej jest uśpione; głęboki sen to stan najbliższy śmierci dla żyjącego człowieka. Dlatego nie powinno dziwić, że większość starców umiera we śnie. Signe Gili była salową, zanim wyszła za męża, i opowiadała, że czasem, kiedy zaglądała rano do starych pacjentów i widziała, że któryś zasnął, nie była pewna, czy go poznaje; w twarzach zmarłych były cechy, których nie zauważało się przedtem – krewni zawracali w drzwiach, przekonani, że pomylili pokoje, ponieważ gorycz, jaką zmarły nosił na twarzy przez całe dorosłe życie, wyglądała się. Mogło też być odwrotnie – łagodność twardniała.

Sofia w łóżku słucha odgłosów dalekich bombowców. Czy to Niemcy, czy Rosjanie? Czy się zbliżają, czy oddalają? Na niebie krzyżują się światła reflektorów przeciwlotniczych. Sofia czytała, że bombowce są niepewne. Jeśli na przykład mają zaatakować hutę, mogą się pomylić i rzucić bomby na osiedle Örtakoloni. A nawet gdyby dobrze wycelowali, to bomby mają taki zasięg rażenia, że Örtą przypuszczalnie też by ucierpiała. A skutki nie ograniczą się tylko do zabitych, sięgną o wiele dalej. Każdy człowiek zostawia co najmniej dwoje bliskich w żałobie. A niektórzy zostają sami i nie potrafią odnaleźć sensu w życiu. Ale nie można zrobić nic innego, jak tylko żyć dalej. Jest jak jest. Życie zawiera w sobie śmierć, to tylko inna twarz, która się zmienia. Gdzieś daleko krzyczą mewy. Bombowce zataczają wielkie kręgi, mkną pociski świetlne. Na Odengatan stoi wieża obrony przeciwlotniczej. I uruchamia się alarm przeciwlotniczy. Sofia musi zabrać chłopca i biec do piwnicy. Szybko.

Arvidzie!

Mmm?

Obudź się, Arvidzie. Wojna przyszła.

Mmm.

Arvidzie! Czy mnie słyszysz?

Ja tylko... Zaczekaj...

Odwraca się na drugi bok i znów pogrąża w niezmaconym śnie.

Samoloty odleciały, a on śpi nadal. Płomienie buchają za Jernvallen, to huta się pali, Sofia słyszy, jak kobiety krzyczą, krzyk Stiny słychać na odległość paru kilometrów, taki krzyk musi być słyszalny. Nie może być tak, że patrzy się na zniszczenia i słyszy tylko trzask ognia i noc, i głęboki oddech Arvida.

Ove kaszle. Arvid budzi się od tego dźwięku. Przyciska poduszkę do głowy. Ale kaszel się przez nią przebija.

Cicho, Ove, mówi Arvid, choć wie, że to niesprawiedliwe. Cicho bądź, cholerny Ove.

Arvidzie. Ty śniesz, słyszy głos Sofii. Brzmi przytomnie. Arvid otwiera oczy i widzi, że ona siedzi w łóżku.

Ktoś tu kaszle, próbuje Arvid. Czy to nie Carl?

Nie, ty śniesz, powtarza Sofia.

Muszę iść na dół napić się wody.

Arvid idzie po schodach. Stopnie skrzypią. W domu jest wiele rzeczy, które wymagają naprawy.

Ove leży na kuchennej sofie, odwrócony plecami. Jego włosy są tak samo jasne jak Arvida. Ten chce ich dotknąć, ale wolałby nie obudzić brata. Wokół sofy leżą zakrwawione chusteczki. To mamy najlepsze, Arvid pamięta, jak zawsze trzęsa się nad zawartością swojego kuferka z wyprawą ślubną. Arvid myśli, że ona złożyła tam swoje dzieciństwo i marzenia, nie przyszło mu wcześniej do głowy, że matka była młodą dziewczyną, to się wydaje takie dziwne, jakby wszyscy byli w tym samym wieku i mogli stać, i trzymać się za ręce, właśnie, w zagajniku przy płocie, który zdaje się taki duży i gęsty. To kryjówka Ovego i Arvida; idą tam roześmiani razem z mamą, jest tam ścieżka z porośniętych mchem płyt, jest kamienny stół na środku, chłopcy mają osiem, dziewięć lat, bawią się, że zagajnik jest wyspą, a trawa wokół niego to ogromny ocean. Mama się śmieje, chce, żeby wspięli się wysoko na drzewa, najwyżej, jak tylko potrafią, chce, jak mówi, żeby udawali ptaki – potem jej głos się zmienia: Ptaki?, prychna, przestańcie zmyślać. Staje się surowa, ciągnie Arvida w stronę domu, on rozgląda się za Ovem, ale brata nigdzie nie ma. Arvid zaczyna płakać, jest taki niemądry, myśli, że mama jest na niego zła. Nie chce tam wchodzić, krzyczy. Mama mocno ciągnie go za ramię. Nie mówi nic. Wpycha go do kuchni, stawia w pobliżu sofy.

Nie, mamó, ja nie chcę!

Sofa jest rozścielona, na poszewce poduszki widać czerwone plamy. Ove charczy. Arvid rozumie, że to jest Ove, ale równocześnie... Pokasztywania rozlegają się wraz z twardymi dźwiękami kuchennego zegara. Tik kaszel tak kaszel...

Już dobrze, Arvidzie, usiądź przy Ovem.

Głos mamy jest teraz łagodniejszy. Tak bardzo chciałby jej posłuchać, ale nie może. Musi znów iść do zagajnika. Myśli, że na wysokim klonie mógłby zbudować domek. Egon ma deski, które pozwoli mu wziąć.

No już. Mama popycha go lekko. Usiądź z bratem i opowiedz mu coś zabawnego.

Ove patrzy na niego. Wyciąga dłoń. Muska nią ramię Arvida, ręka jest całkiem zimna, a równocześnie wilgotna. Arvid wybiega z kuchni. Matka go woła. Ove zaraz wyjdzie, myśli Arvid. Nie potrafi się zdecydować, czy już zacząć budować domek jako niespodziankę, czy poczekać, aż Ove będzie mógł do niego dołączyć. Ove lepiej się dogaduje z Egonem od desek. Jakby mieli jakiś wspólny język. Jakby Ove z niektórymi ludźmi był jak dorosły. Arvid siada na środku wyspy. Będzie tam siedział przez kilka godzin. Patrzy na korony drzew. Kiedy zaczyna zmierzchać, czuje, że jest głodny. Wchodzi ostrożnie do kuchni. Matka stoi nachylona nad kuchenną sofą, a jej ciało dygocze. Arvid nie rozumie tego dźwięku, delikatnie dotyka jej ramienia – mamó? – i w tej samej chwili dostrzega oczy Ovego; jakby go w środku nie było. Oczy wpatrują się w Arvida, ale go nie widzą. Albo widzą na wylot. Arvid chce, żeby matka go wzięła na ręce, kołysała i tuliła jak dziecko, znów wychodzi z kuchni, ale tym razem mama nie jest zła, nawet tego nie zauważa. Przyciska twarz do twarzy Ovego. Przytula mocno jego ciało do swojego. Jednak ramiona Ovego zwisają ciężko i nie są w stanie odwzajemnić uścisku, choć to jedyna rzecz, naprawdę jedyna, jakiej ona pragnie.

Pies Zetterlundów szczeka późno, szczeka wcześniej, szczeka i budzi małego Carla. Mogłaby powiedzieć Barbarze, że nienawidzi tego psa. Gdy tylko go widzi, życzy mu, żeby zdechł.

Państwo Zetterlundowie to porządni ludzie, mówi Sofia, kiedy razem z Barbarą przechodzą obok ich ogrodu, a Barbara klaszcze w dłonie z zachwytu nad morzem szafirowej cebulicy przed domem.

Ale jeśli mają takiego psa, trzeba się jeszcze raz zastanowić nad ich oceną, mówi potem Barbara. Jaki pan, taki pies, czy jak to się mówi?

Psy chyba mają swoje własne osobowości, broni go Sofia, choć tak naprawdę w to nie wierzy. Wprawdzie każdy pies ma swój temperament, ale wszystko można poprawić za pomocą silnej ręki. Siedzę z Carlem na kolanach i rozważam różne sposoby zamordowania tego kundla. Gdybym na przykład dała mu miskę wątrobianki z trutką na szczury. Albo wzięła wiatrówkę Arvida, którą dostał od Fredrika, stoi w kącie szafy, zawinięta w koszulę... Mogłaby powiedzieć do Barbary coś w tym rodzaju. Mogłyby iść ulicą pod rękę i śmiać się z tego. Dwie kobiety, dwie przyjaciółki, równolatki. Jedna zielona, druga szara. Wspólnie prychałyby na psa, na Zetterlundów, na ich idealny ogródek. Sofia mogłaby opowiedzieć, że raz widziała Ingegerd Zetterlund, jak siedziała na schodach przed domem tylko w szlafroku i wyglądała, jakby płakała; przeszła wtedy pośpiesznie obok, żeby Ingegerd nie zauważyła, że ktoś ją widział. I te wszystkie swetry, które ona dzierga dla swojego męża! Właśnie, z tego też mogłyby się pośmiać. We wzór jeleni i statków; oczywiście są świetnie zrobione, ale czy nie wystarczyłby jeden albo najwyżej dwa?

Na dworze pada drobniutki słoneczny deszczyk. Sofia naciąga niebieski kocyk na chłopca. Koła trzeszczą i zgrzytają. Jasnozielony płaszcz Barbary jest marszczony pod biustem; na pewno wedle ostatniej mody, ale ona w nim wygląda, jakby była w ciąży. Krecioszary płaszcz Sofii jest trochę znoszony, Arvid uważa, że powinna zamówić sobie nowy z katalogu firmy Ahlen & Holm; czasami on zdaje się myśleć, że mają nie wiadomo ile pieniędzy, na płaszcz potrzeba dużo punktów odzieżowych, powinna raczej sobie uszyć, upatrzyła nawet materiał z wełny w kolorze czerwonego wina. Zastanawia się też nad kupnem taniego płótna na nową kapę na łóżko i flanelę w niebieskie pasy na pizamkę dla chłopca... Może jeszcze tego szmacianego pieska w kratkę, był taki słodki... albo drewnianego słonia na kółkach... tylko że na niego chłopiec jest za mały, na razie wystarczą te zabawki, które ma. Signe Gili rozpieszcza swoją córkę, przypomina sobie Sofia.

Wydaje mi się, że Arvid ostatnio jest jakiś inny, mówi nagle Barbara. Był u nas wczoraj i zauważyłam to od razu.

Ach tak. To jedyna odpowiedź, na jaką Sofia może się zdobyć. Nie miała pojęcia, że on do nich poszedł.

Czy dajesz mu dość jedzenia?

Sofia o mało co nie mówi, że Arvid przeważnie je poza domem, ale do tej sfery Barbara nie powinna mieć dostępu.

Wydaje mi się, że jest taki jak zawsze, odpowiada.

Ale on nie jest taki jak zawsze. Jest zmęczony... i oklapnięty... Barbara dodaje dramatyzmu: *Nicht so froh...45*.

Sofio! Barbara zatrzymuje się i chwyta ją za ramiona. Musisz się troszczyć o Arvida. Tacy mężczyźni nie rosną na drzewach, czy tak się mówi?

Nie uważam, żeby Arvid..., upiera się przy swoim Sofia.

Dobrze, w takim razie to ja się martwię.

Przechodzą obok Seefabu, gdzie między innymi produkuje się ramy do rowerów i pręty parasoli. Rowu z chemikaliami już nie ma, teraz wszystko płynie rurami, niedawno wkopywano je w ziemię, podchmieleni panowie nie muszą już wpadać do rowu i zniecka zażywać błotnej kąpieli w drodze z piwiarni do domu. I nie czuć już tego ostrego zapachu.

Dziecko nie może zajmować całego twojego czasu... To nie jest dobre nawet dla niego.

A co ty możesz o tym wiedzieć?, chce zapytać Sofia. Ma w środku masę twardo pulsujących słów. Wydaje jej się, że to na pewno słyhać. Nagle potyka się i chwyta Barbarę za ramię, żeby nie upaść.

*Aber Sofia*⁴⁶ wdycha Barbara, musisz wziąć się w garść. Pomyśl tylko, jak on ciężko pracuje po całych dniach, podaj mu coś naprawdę pysznego na kolację dziś wieczorem, to taka moja mała rada.

Twoja mała rada, przedrzeźnia ją Sofia w myślach. Wcale nie uważa, żeby Barbara miała prawo dawać jej jakieś rady w ten sposób, zwłaszcza że Otto wyśmiewa się za plecami Barbary z jej kucharskich talentów, mówi, że ona nie rozróżnia dorsza i flądry.

Szminka i uśmiech, ciągnie Barbara. To też może pomóc.

Sofia szybciej pcha wózek, pojazd podskakuje na kamykach. Huta nie jest zrujnowana, nie pachnie dymem ani spalenizną. Dolatuje ją za to zapach świeżo upieczonych bułek; na schodkach przed domem siedzą dwie kobiety pogrążone w rozmowie, wieczorami albo w niedzielę można usłyszeć śpiew, gramofon albo nawet mandolinę, kiedy się spaceruje między robotniczymi domkami.

Ciekawa jestem, czy Stina jest w domu, mówi Sofia, kiedy mijają Smedsgatan. W oknie wychodzącym na ulicę wiszą firanki w kropki.

To ta, pyta Barbara, co jej nie stać nawet na wózek dla dziecka, a jednak rodzi ciągle nowe...

Potem przypomina sobie, że Otto prosił ją, żeby kupiła popołudniową gazetę. Chce wiedzieć, co się dzieje na świecie, mówi Barbara takim tonem, jakby to było coś wyjątkowego. Na afiszach reklamowych przy kiosku widzą wielkie czarne litery:

HITLER NIE ŻYJE

Za nimi zbiera się grupka ludzi, nikt nic nie mówi, większość kupuje gazetę; niektórzy po jednym egzemplarzu z każdego tytułu, wokół słychać wielkie wertowanie. Z zakładowej stołówki wychodzą robotnicy. Do grupki dołącza przygarbiony mężczyzna w czapce, kiedy zaczyna wiwatować, wszyscy spoglądają na niego nieżyczliwie. Mężczyzna naciąga czapkę na czoło i odchodzi. Barbara chwyta Sofię za rękę. Długo tak stoją. Sofia nie ma odwagi się ruszyć.

Ach so, mówi Barbara po chwili. Puszczą dłoń Sofii i rusza krokiem tak szybkim, że Sofia z wózkiem ledwie za nią nadąży.

Arvid podejmuje to postanowienie w drodze z biura do domu. Że pewnego dnia wyprowadzą się z domu na Björkgatan. Będą mieszkali w śmietankowobiałym domu na Åsgatan, tam jest się bliżej wszystkiego. Kupi sobie taki fotel z polerowanej brzozy, jaki ma Halvarsson, i będzie w nim siedział wieczorami, słuchał koncertów radiowych, a chłopiec będzie tak duży, że będzie umiał chodzić i mówić tata. To chyba już niedługo? Mogą grać w piłkę w ogrodzie. Nauczy go robić łódki z kory, co niedziela mogą jeździć rowerami nad kanał i urządzać wyścigi łódek, no i chłopiec oczywiście będzie z nimi chodził do lasu, nauczy się odróżniać grzyby jadalne od trujących. Pozna jagody i drzewa. Arvid pedałuje szybciej, tym razem nie wybrał drogi obok mieszkania Fröjdis, jedzie przez tory kolejowe, zresztą dlaczego nie mieliby zamieszkać w Hedgrind, dlaczego to miałyby być niemożliwe? W myślach już urządza dom. Sofia będzie miała wszystkie najnowocześniejsze urządzenia. Odkurzaczy i pralkę, żeby nie musiała jeździć do pralni tak obciążonym rowerem i stać tam wśród sześćdziesięciu kobiet, w tym zapachu i gorącu. Chłopiec dostanie kręgle i samolot. Kiedy jeszcze trochę podrośnie, będą razem grali w szachy ciężkimi figurami. Widzi twarz chłopca – to obraz jego własnej twarzy, gdy był chłopcem; głęboko skoncentrowana, każdy rys to napięta struna.

Lato z wycieczkami do Öregrund i na skały. Własny letni domek, dzbanek soku, altana z bżów. Kiedy wyteży wyobraźnię, potrafi zobaczyć jeszcze żelazne łóżko z wysokimi poduszkami; ciało Sofii jest krągłe i miękkie, śmieje się, kiedy Arvid chce poczuć przez skórę kopnięcia nowego dziecka. Choć gdy spogląda na twarz Sofii, widzi tam Fröjdis, to jej ciało gładzi. W przyszłości nawet jego myśli nie będą dotykały Fröjdis.

Przyszłość, myśli Arvid. Przyszłość...

Jak jasny błękitny kwiat...

Kiedy skręca w Björkgatan, widzi wreszcie swój pokój do pracy. Widzi małe przedmioty: karty pocztowe, etui z piórem, stojak na pieczątki i – choć sam nie pali – fajkę z morskiej pianki pierwszorzędnej jakości.

Stoi na schodach, żółte okienko w drzwiach świeci jak latarnia morska. Po otwarciu drzwi powinien wionąć zapach jedzenia, powinien usłyszeć nucenie Sofii, gaworzenie chłopca. Sofia radośnie zaskoczona wyjrzy z kuchni, ubrana w fartuszek, z uśmiechem zakłopotania przeprosi za spóźnioną kolację – za chwilę jedzenie będzie na stole, obiecuje.

Weź sobie na razie kawałek babki.

Ależ Sofio, przed jedzeniem?

Jednak gdy wchodzi do sieni, w domu jest cicho. Nie pachnie jedzeniem ani świeżym ciastem. Arvid woła, ale nikt nie odpowiada. Stoi na wycieracze w przedpokoju. Słyszy płacz chłopca... szybkie kroki Sofii na piwnicznych schodach...

Jej roboczy kitel jest ubrudzony ziemią, włosy wiszą w strąkach. Na to nakłada się inny obraz: kobieta, która właśnie zjechała narciarskim stokiem; odwiązuje narciarskie buty, splota, wstaje i prostuje plecy, wygina się do tyłu, jeszcze go nie widziała, kiedy zauważa, że on się jej przygląda, zapada się jakby w sobie.

Ojej, mówi Sofia. Już wróciłeś?

Szybkim krokiem idzie do chłopca. Arvid spodziewa się, że zaraz do niego wróci. Po dłuższej chwili Sofia woła z pokoju:

Zaraz nastawię coś do jedzenia... Jest farsz rybny, można usmażyć.

Farsz rybny, prycha Arvid.

Odwraca się na pięcie, wychodzi z domu, rusza rowerem do miasta. Kanalvagen, Fröjdis.

Jak wyglądała wasza ucieczka?

Arvid rzuca to pytanie śmiałym tonem nad półmiskiem z ziemniakami, który Fröjdis mu podaje. A ona odpowiada:

Och, było, minęło.

Musiało być ciężko, jak przypuszczam.

Wiesz co, Arvidzie, mówi Fröjdis, nie mam specjalnej ochoty o tym rozmawiać.

Ach tak.

Widziałam wiele odmrożonych stóp, podejmuje jednak Fröjdis, widziałam, jak umarł człowiek. Odkłada sztucce. Umarł we śnie.

Ja też widziałem umierającego, myśli Arvid. Czy ona wyobraża sobie, że jej doświadczenia są tak wyjątkowe, że nawet nie może się nimi podzielić? Decyduje, że już nic więcej nie powie ponad: Ach tak, to straszne. Smaruje sobie kromkę chrupkiego chleba. Jedzą w milczeniu. Nagle Fröjdis zaczyna się śmiać.

Sigge opowiadał, że mówią na ciebie mors!

Spogląda na niego znad krawędzi szklanki, cała jej twarz się śmieje.

Nie wiedziałam o tym. Skąd się to wzięło?

Już tak na mnie nie mówią. To było dawno temu.

Wydawało mi się, że to dziwne.

Może ze dwóch, trzech kolegów tak mnie nazywało, jeszcze w szkole.

Ale Sigge o tym wiedział.

Chodziło o mojego ojca, mówi ostro Arvid.

Fröjdis znów zaczyna się śmiać.

Co masz na myśli, Arvidzie? Czy on wyglądał jak mors?

Arvid uderza pięścią w stół. Cholerna baba.

Ależ drogi Arvidzie, nie bierz tego tak... Mnie mój tata nazywał prosiaczkiem... póki nie skończyłam... czternastu lat co najmniej...

To chyba jednak nie to samo, myśli Arvid, ale nie jest w stanie nic powiedzieć.

Wiesz... Arvidzie, zaczyna Fröjdis, kładzie rękę na jego dłoni. Zresztą to nic ważnego.

Na jej twarzy nadal widać śmiech; pogwizduje, sprzątając ze stołu, pogwizduje przy zmywaniu; czy ona nie rozumie?... Czy ona niczego nie rozumie?

Kiedy przechodzi obok niego z koszykiem chleba, Arvid chwyta ją, sadza sobie na kolanach, potem przenosi na łóżko. Przytrzymuje ją pod sobą. Za oknem spokojnie przepływa kanał. Pomost nadal jest, ale od zeszłego lata kąpiel jest zabroniona.

No dalejże, mięczaku!

A ty co, ty cholerny...

Ove płynął pierwszy od Spången, jego jasne włosy błyszcząły w słońcu jak złoto. Arvid nigdy nie mógł go dogonić.

Zostanę tu na noc, mówi potem Arvid.

Rób, jak chcesz, odpowiada Fröjdis i odwraca się do niego plecami.

Wyobraża go sobie nad Storsjön, nad zielonymi wyspami, a potem nad ciemnoczerwonymi budynkami huty, wysokimi kominami, częściowo zasłonięty przez dym i ciemność, zbliża się z warkotem, buczeniem, hukiem, na samym początku zaledwie szept, daleko nad Bałtykiem, nie jest ważne, skąd wyruszył; skomlenie, grzmot, krzyk. Nad zabudowania fabryczne, nagły zwrot, Jernvallen, Örtavallen, leci nisko, zbyt nisko, skrzydła niemal muskają dachy, chmury nie mogą go ukryć, Sofia wyobraża go sobie jako lśniącego potwora, to błyszczące na niebie zimne od nocy stalowe cielsko ma serce, zrzuci to czarne serce prosto na nią.

Oczekiwanie zwiększa lęk. Ginie siedmiu na dziesięciu ludzi. Pokawałkowane ciała na całej plaży. W Budapeszcie pijani strzałokrzyżowcy chodzą po ulicach, polują na Żydów i inaczej myślących. Głos Churchilla: Czy jesteśmy potworami? Czy posunęliśmy się za daleko?.

Na początku wojny niemiecki samolot przeleciał nad Sandviken. Przy wieży na Odengatan dała ognia obrona przeciwlotnicza, z parapetów pospadały doniczki z kwiatami i to byli jedyni poszkodowani – kilka pelargonii i kaktusów. Sofia jeszcze nie mieszkała w Sandviken, kiedy to się zdarzyło, ale Arvid opowiadał jej o tym wydarzeniu, mówił o tym ze śmiechem, prosił, żeby sobie spróbowała wyobrazić miny staruszek w sąsiednich domach.

Ale można też widzieć inne rzeczy, Arvidzie. Okręty zatapiane u naszych brzegów. Bałtów, którzy przyplływają w nieszczęlnych drewnianych motorówkach, przemarznięci do szpiku kości, a potem zostają wydani – spróbuj sobie wyobrazić tamte twarze.

Nad niebami, tyłoma niebami, szybują te obce samoloty ze stłumionym warkotem motorów. Są jak wielkie ptaki. Ale to jest to samo niebo.

I słyhać je aż tutaj, Arvidzie. Docierają tutaj, całkiem blisko, aż pocujemy, jak to jest.

Otula się ciaśniej kocem. Dziecko śpi ciężkim snem.

To dziwne, że nikt nie rozumie, że jutro wszystko może wyglądać zupełnie inaczej. Zmiany mają do pokonania o wiele krótszą drogę niż odcinek między światłem i ciemnością.

Słyszy, że Arvid wraca do domu, późno jak nigdy, zatrzymuje się jeszcze w kuchni, słyszy, jak znów gada sam do siebie, zamyka drzwi do sypialni. Odgłos samolotu przycicha, maszyna zawraca, znika nad szkołą Olsbacka, starym sanatorium w Stensmo, leci dalej, do Gavle.

Tapety w pokoju są pokryte niewyraźnymi niebieskimi różami. Ubrania leżą złożone na krzesłach obok łóżka. Przy maszynie do szycia piętrzy się barwny stos tkanin. Trudno stwierdzić, czy chłopiec już się najadł; długo może tak leżeć, to ona musi to przerwać. Kiedy odrywa go od piersi, mały popłakuje; gdy wreszcie zasypia, Sofia śpieszy się, żeby wynieść szmaciane dywaniki, potem musi podszyć spódnice i umyć szyby. Wychyla się z kuchennego okna i widzi, jak dwóch mężczyzn idzie szybkim krokiem w dół Hammarbygatan. Mają ciemne twarze, nieznanome, guziki ich wojskowych płaszczy lśnią w słońcu, rzucają zajączki. Jeden z nich pozdrawia Sofię skinieniem... drugi macha ręką... Sofia cofa się szybko do środka, zamyka okno. Tamci przechodzą obok jałowca, furtki. Narcyzy jaśniejają ostrą bielą. Ach, na Boga... chłopiec... Sofia wybiega z domu, wyciąga go z wózka. Mężczyźni mówią coś, czego ona nie rozumie, śmieją się obcym, bulgotliwym śmiechem. Ich ciemne spojrzenia nadal ją obserwują przez rzadki ligustrowy żywopłot. Sofia zamyka na klucz drzwi wejściowe. Siedzi potem na kuchennej sofie z dzieckiem w ramionach, wygląda Arvida, choć wie, że wróci do domu dopiero za kilka godzin.

Kupiła dorsza, ale kiedy patrzy na miękką rybę w spizarni, robi się jej niedobrze. Otwiera słoik marynowanych ogórków, kroi w plasterki i kładzie na kromce chrupkiego chleba, wypija – po długich rozmyślaniach – całą szklankę mleka. Dziewczęta z Sandviken nie chcą być pomocami domowymi, piszą w gazecie, chcą pracować we własnym domu, zarabiać artystycznym cerowaniem odzieży, szyciem bielizny. Na podłodze na złożonym kocu leży chłopiec i wymachuje rączkami, jakby chciał czegoś dosięgnąć, zadowolony i niemądry patrzy w sufit, nic tam nie ma, tak długo wpatruje się w to nic, że Sofia też musi podnieść wzrok – jest tam tylko sufit, trochę odłóżanej farby, nie gorzej niż gdzie indziej. Chłopiec się śmieje, ona podaje mu zabawkę, bo nie może znieść tego braku ukierunkowania. Po chwili jego mała buzia się marszczy, wygląda jak bardzo zły staruszek, Sofia podnosi go, przystawia na chwilę do piersi, jego policzki się rozgrzewają, przytula go mocno do siebie. Chłopiec wygląda na zadowolonego, a ona nie może się zdecydować, w którym momencie jest najbrzydszy, czy kiedy płacze, czy z wyrazem właśnie takiego zadowolenia, ramiona i nogi wiszą bezwładnie, z jednego kącika ust sączy się strużka mleka.

Ale zasypia. I śpi. Głęboko już wczesnym wieczorem. Normalnie zawsze rzuca się w koszu. Wymachuje ramionami, jakby upadał do tyłu. Wciąż od nowa.

Oczy, które się otwierają, tak bezmyślnie błagalne, ale teraz wystarczy mu miętoszenie rogu niebieskiego kocyka.

Kiedy zasuwają zasłony zaciemniające, widzi mężczyznę stojącego nieruchomo pod jedną z białych latarni ulicznych. Ma na sobie długi trenz i kapelusz. Po dziesięciu minutach skręca bez pośpiechu w Ortagatan. Inaczej by to wyglądało, gdyby zabrał go jakiś samochód albo kobieta. Ortagatan zaraz skręca, Sofia nie widzi, dokąd poszedł, Arvida też nie widać. Zasuwają szczelnie zasłony. Schodzi do piwnicy, żeby sprawdzić, czy zgasiła światło, i widzi, że drzwi do ogrodu są uchylone. W pracowni, gdzie stół do majsterkowania ojca Arvida służy jej do przycinania kwiatów, widzi cień przesuwający się po ścianie – sięga do przełącznika, z trudem go naciska.

Halo!, woła. Jej głos jest piskliwy i echem odbija się od ścian. Czy jest tu kto?

Za pracownią jest jeszcze magazyn. Światło tam nie działa, już od dawna. Sofia wchodzi między rupiecie.

Powiedziałam halo! Czy ktoś tu jest?

Wydaje jej się, że słyszy odgłos zamykanych drzwi na piętrze, biegnie na górę. Chłopiec śpi tak mocno, że aż pragnie, żeby się obudził. Nachyla się nad nim, gładzi jego małe rączki, policzki. Jego powieki są cienkie, poznaczone błękitnymi żyłkami; nigdy przedtem nie zauważyła, jak bardzo są delikatne.

Arvid wraca do domu dopiero rano. Jego twarz jest rozpalona.

Chcę prawdziwej kawy, mówi. I jajek.

Sofia nie ma siły na kłótnie. Chłopiec spał dobrze, ale ona nie. Jak gdyby sypiała lepiej w te noce, kiedy mały ma lekki sen – w przerwach między jego przebudzeniami, kiedy chce jeść albo potrzebuje czegoś innego, Sofia zapada się, jakby tonęła we śnie. Teraz stawia na stole jajko i chleb żurawinowy, przyciska młynek do brzucha i miele ostatnie ziarenka kawy.

I jeszcze sera!, woła Arvid.

Tak mało zostało kuponów na ser.

Już mniej zostało wojny. Jutro chcę mieć i masło, i ser.

Zjada jajko szybko, nawet nie do końca. Jego ruchy nad blatem stołu są zamaszyste. Na chłopca nawet nie spojrzał.

Mam kogoś, wyrzuca z siebie znienacka. To jest jak mały wybuch.

Sofia wzdycha.

Wiem o tym.

Co ty mówisz?

Arvid gapi się na nią, jest tak wzburzony, że Sofia chciałaby, naprawdę, być jak Karin; chciałaby móc położyć dłoń na jego ramieniu, zaśmiać się i rzucić: Ależ Arwidzie, mój drogi Arwidzie, i co z tego, że ser się skończył? I co z tego, że masz kogoś?

To Fröjdis z waszego biura, uprzedza jego słowa. Widywano was, może... od dwóch miesięcy? To do niej jedziesz wieczorem, kiedy nie wracasz do domu. Wiem o tym od jakiegoś czasu, ale jest, jak jest.

Jego ręka odrywa się od stołu, frunie do jej twarzy, płaska dłoń na jej policzku i ustach.

Zaczynij żyć, do jasnej cholery!, krzyczy, zrywając się z krzesła. Życie z tobą to jak życie z trupem, czy ty tego nie rozumiesz?

Sofia sprawdza dotykiem, czy nie krwawi. Chłopiec oczywiście się obudził i płacze.

Nie bierz go, mówi Arvid. Masz słuchać tego, co do ciebie mówię.

A co takiego jeszcze leży ci na sercu?, myśli Sofia; osuwa się na kuchenne krzesło, choć płacz chłopca przenika jej ciało jak prąd elektryczny.

Chcę, żeby coś się zmieniło, mówi Arvid, kipiąc wściekłością. Jest tak, jakbym nie był panem we własnym domu, na litość boską.

Może w takim razie powinienes częściej bywać w tym domu, mówi prowokująco Sofia.

Przeklęta baba. Przeklęta, cholerna...

Arvid podchodzi do niej, ona przygotowuje się na kolejny cios, ale on ją mija, chwytą kuchenną sofę, unosi ją do góry, nad głową, niesie przez przedpokój, przez drzwi, Sofia słyszy, jak rzuca ją w ogrodzie. Pośpiesznie wyjmuję chłopca z koszyka. Słyszy Arvida i sofę, jakby się zmagali ze sobą; żeby tylko Zetterlundowie tego nie widzieli.

Już dobrze, już dobrze, mówi.

Ucisza jego płacz, tuli i kołysze.

Arvid siedzi na kamiennych schodkach wiodących do ogrodu i patrzy na połamaną sofę. Gdyby był babą, zaczęłyby się mazać, ale on jest mężczyzną, chce naprawiać, zbiera części. Spogląda na swoje dłonie, patrzy w głąb, widzi siebie samego, jak stoi przy trumnie Ovego, a mama go popycha; ma podejść blisko i się uklonąć, ale jemu to się wydaje niemądre – przecież Ove nie mógłby chcieć, żeby on tak stał w marynarskim ubranku i kłaniał się jak jakiś pajac. Ove, który z nich dwóch wspinał się wyżej na wysoki wiąz, umarłby ze śmiechu, gdyby zobaczył, jak Arvid stoi tutaj w niebieskich krótkich spodenkach, białych podkolanówkach i idiotycznym kapelusiku na głowie. Ove i chłopiec na sofie to nie ta sama osoba, on nie chce, żeby mama zmuszała go, by tak myślał. Ove i chłopiec w trumnie to dwaj różni chłopcy, jeden biały i zimny, a ten drugi – Arvid zastanawia się przez chwilę – ten drugi wybrał się na poszukiwanie przygód, daleko, daleko od domu, wspiął się na sam szczyt drzewa, choć to wydawało się niemożliwe, i w nagrodę dostał parę skrzydeł, a nawet Arvid – choć on, jak twierdził Ove, był takim maminsynkiem – chciałby skorzystać z tej możliwości i odlecieć w dal.

Leć, Ove, szepnął, ale nie do trumny, tylko w górę, w niebo. Potem się uklonił, tak nisko, jak tylko potrafił, a kiedy wrócił, matka go przygarnęła do siebie i wszystko byłoby dobrze, gdyby tylko nie upierała się, żeby ciągle patrzeć na trumnę i powtarzać z płaczem imię Ovego, bez końca.

Arvid pracuje cały dzień, żeby poskładać sofę z powrotem. Bardzo ucierpiała; musiał wziąć kilka desek z magazynu w piwnicy, żeby załatać dziury. Na sekundę wyprostował się, zamierzając iść do Egona po całe deski, ale on przecież umarł dawno temu. Będzie musiał pożyczyć trochę białej farby od Záty, choć wcale nie chce. Kiedy sofa jest gotowa, wnosi ją z powrotem do kuchni. Sofia patrzy na nią i nic nie mówi. Chłopak patrzy na niego, Arvid może czytać jego myśli: Kim ty jesteś? Co tu robisz? Potem chowa swoją małą niepojętą twarzyczkę na piersi Sofii.

Pójdę się przejechać, mówi Arvid.

Dobrze, odpowiada Sofia. Wygląda, jakby po jej twarzy przemknął wyraz ulgi.

W piwnicy stoi klient, kiedy Sofia schodzi tam w poszukiwaniu nożyc, które zginęły. Odruchowo się wzdryga.

Proszę się nie bać, mówi mężczyzna. To tylko ja.

Ale ona nigdy przedtem go nie widziała.

Mężczyzna chrząka.

Przepraszam, mówi. Moja mama umarła. Moja biedna kochana mamusia. Pokój jej duszy, tak się mówi, prawda?

Mówi z jakimś obcym akcentem. Sofia myśli z początku, że to fiński, ale chyba równie dobrze może to być rosyjski? Brzmi inaczej, niż kiedy Irja Salonen mówi po fińsku. Zresztą nie wie, jak brzmi na przykład polski. Albo Estończycy, których tak wielu przyjechało do Sandviken, i ich język. Valhalla została przerobiona na obóz dla nich. Sofia nie wie dużo o obcych akcentach, no, z wyjątkiem mowy Barbary. Ale, na przykład, jak mówiłby Arab, Japończyk? Nie bardzo wie nawet, gdzie te kraje leżą, oczywiście gdzieś daleko, ale czy wystarczająco daleko? Nigdy przedtem, musi to przyznać, nie myślała nawet o Polsce, zanim nie przeczytała o tym – czy może słyszała to w radiu, a może ktoś – Otto? Svarten? – opowiadał. O powstaniu. Powstańcy, którzy walczyli od środka... A Rosjanie stali z boku i czekali, aż Niemcy... Jakby nagle zaczęli grać w tej samej drużynie. Nie chce nawet myśleć, że ten mężczyzna mógłby być Rosjaninem. Nie mogłaby spojrzeć mu w oczy. A potem spustoszyli całą Warszawę, tak się przecież nazywa tamta stolica? To Otto o tym mówił, teraz sobie przypomina. On, który zawsze opowiadał tylko szczęśliwe historie. Ale to była zemsta, Sofia pamięta, że tak powiedział, właśnie o to chodziło, kiedy Polska została zdradzona. Wyobraża sobie, że ten mężczyzna, który nadal mówi o swojej matce, pochodzi właśnie z Polski. Mogłaby lekko przechylić głowę i spojrzeć mu w oczy... ostrożnie... żeby nie poruszyć w nim czegoś, co tak łatwo wzburzyć. Sofia wyobraża sobie, że jego matka zawsze go uspokajała, że była tęga, z dużymi, ciężkimi piersiami; chodziła pochylona, posapując, a kto teraz go pocieszy?

Mój ojciec zmarł na początku wojny, mówi gość niemal falsetem. A teraz moja biedna mama.

Współczułaby mu bardziej, gdyby nie był taki stary. Musi przecież mieć ponad czterdzieści lat. A kiedy zmarła matka Arvida, on prawie o tym nie mówił. Na pogrzebie wpatrywał się w kościelne sklepienie, podczas gdy Sofia przyglądała się kwiatom na trumnie; jedna z czerwonych róż trochę za bardzo sterczała.

Więc jak pan sobie to wyobraża? Wyjmuje pióro i blok do pisania. Mam na myśli wieńce.

Teraz zostałem sam, ciągnie mężczyzna, jakby nie słyszał jej słów. Czy pani też jest sama?

Nie, odpowiada Sofia. Ależ skąd. Mam męża i dziecko.

Mówi opanowanym głosem. Nie jest niemila. Właściwie nie musiała wcale odpowiadać. Może lepiej byłoby nie odpowiadać?

Tak naprawdę dzisiaj mam zamknięte, mówi. Czyż on nie powinien się cieszyć, czuć wdzięczności, że tak długo mógł mieć matkę przy sobie? Zwłaszcza jeśli są uchodźcami. A zresztą, czy nie powinna poprosić o zaliczkę? Może on nie rozumie, że taka usługa kosztuje? Sofia ma przed oczami obraz Warszawy, choć nawet nie wie, jak wygląda obraz takiego miasta. Miasta ruin... rupieci, poruszać się wśród rupieci... cichy chaos... zupełnie ciche miasto.

Czy chce pani... chce pani powiedzieć, że dzisiaj jest niedziela?

Mężczyzna patrzy na nią zdezorientowany. Jest smukły, ma okrągłe okulary, jego płaszcz jest wymięty i workowaty. Sofia chciałaby go wyprosić, Barbara zrobiłaby to już dawno.

Tak, dziś jest niedziela, odpowiada. Do tego sztywny uśmiech, niechętny. Nasłuchuje w kierunku chłopca. Powinien wkrótce się obudzić. Sofia chce, żeby już się obudził.

Niedziela... dnia... Czy to miesiąc maj?

Mój ojciec zmarł na początku wojny, mówi gość niemal falsetem. A teraz moja biedna mama.

Współczułaby mu bardziej, gdyby nie był taki stary. Musi przecież mieć ponad czterdzieści lat. A kiedy zmarła matka Arvida, on prawie o tym nie mówił. Na pogrzebie wpatrywał się w kościelne sklepienie, podczas gdy Sofia przyglądała się kwiatom na trumnie; jedna z czerwonych róż trochę za bardzo sterczała.

Więc jak pan sobie to wyobraża? Wyjmuje pióro i blok do pisania. Mam na myśli wieńce.

Teraz zostałem sam, ciągnie mężczyzna, jakby nie słyszał jej słów. Czy pani też jest sama?

Nie, odpowiada Sofia. Ależ skąd. Mam męża i dziecko.

Mówi opanowanym głosem. Nie jest niemiała. Właściwie nie musiała wcale odpowiadać. Może lepiej byłoby nie odpowiadać?

Tak naprawdę dzisiaj mam zamknięte, mówi. Czyż on nie powinien się cieszyć, czuć wdzięczności, że tak długo mógł mieć matkę przy sobie? Zwłaszcza jeśli są uchodźcami. A zresztą, czy nie powinna poprosić o zaliczkę? Może on nie rozumie, że taka usługa kosztuje? Sofia ma przed oczami obraz Warszawy, choć nawet nie wie, jak wygląda obraz takiego miasta. Miasta ruin... rupieci, poruszać się wśród rupieci... cichy chaos... zupełnie ciche miasto.

Czy chce pani... chce pani powiedzieć, że dzisiaj jest niedziela?

Mężczyzna patrzy na nią zdezorientowany. Jest smukły, ma okrągłe okulary, jego płaszcz jest wymięty i workowaty. Sofia chciałaby go wyprosić, Barbara zrobiłaby to już dawno.

Tak, dziś jest niedziela, odpowiada. Do tego sztywny uśmiech, niechętny. Nasłuchuje w kierunku chłopca. Powinien wkrótce się obudzić. Sofia chce, żeby już się obudził.

Niedziela... dnia... Czy to miesiąc maj?

Dzisiaj jest siódmy maja.

Nie wiedziałem tego?

Zapada się w sobie. Skrobie płamę, którą nagle odkrył na rękawie płaszcza.

Hitler pewnie nie żyje?

Tak, podobno.

Podobno?!

Tak, przynajmniej tak pisały gazety i mówiono o tym w radiu.

To okropne, że moja matka umarła tego samego dnia. Wstydzę się, że muszę to powiedzieć.

Przecież na to nic pan nie może poradzić.

Nie rozumiem już czasu. Przychodzi i odchodzi, a jednak jest nieuchwytny, widzę wskazówki zegarka, ale nic nie pojmuję, to czysty przypadek, mamrocze mężczyzna, że nie przyszedłem tutaj w nocy.

Sofia myśli przyjaźnie, choć z pewnym zniecierpliwieniem, że chyba jednak musi zauważać różnicę między ciemnością i jasnym dniem, niezależnie od tego, czy jego matka żyje, czy też nie. Widzi znów ciche opustoszałe miasto przed sobą. Wszystkie powyrywane deski i kamienie, pył, dziury po wybitych oknach i wyrwanych drzwiach, dziury po ludziach. Widzi, jak sama idzie przez miasto. Czy można to jeszcze nazwać miastem? Porusza się w tym zniszczeniu, jakby płynęła w wodzie. Czuje spokój, ulgę. Nie ma żadnych dźwięków, nie spotka nikogo za najbliższym rogiem, nikt jej nie zawoła. Niebo jest tak blisko ziemi. Słońce osuwa się w dół. Zaczyna myśleć, że pod zrujnowanymi murami muszą być ciała. Prędzej czy później wpadnie prosto na jakieś zwłoki... i nie zauważy różnicy między nimi i resztą rupieci. Mężczyzna postukuje palcami o blat. Wygląda na poirytowanego.

Muszę teraz przyjąć od pana zamówienie.

Znów spogląda na nią z niezadowoleniem.

Zamówienie, przedrzeźnia ją. Przecież moja mama nie żyje.

Muszę wiedzieć, jakiego rodzaju dekoracje pan sobie życzy.

Tu nie chodzi o to, co ja sobie życzę, tu chodzi o to, czego życzyłyby sobie moja matka, gdyby ktoś się tym zajął, kiedy jeszcze żyła, gdyby nie musiała umrzeć.

Wreszcie z góry dobiega głos chłopca. Mężczyzna też musi go słyszeć, ale tego nie okazuje, nadal dłużej przy swojej płamie, ale im bardziej chce ją usunąć, tym zdaje się większa.

Czy chce pan, żebym użyła jakiegoś konkretnego kwiatu? Jakiegoś szczególnego koloru?

Niech pani zrobi jak chce!

To wyszczana odpowiedź. Opuszcza głowę.

Sofia udaje, że notuje. Chłopiec płacze. Ona czeka, aż mężczyzna powie z uśmiechem: Niech pani idzie! Ale on nadal stoi tam, gdzie stał, i znów mówi o swojej matce. Jak miała na imię. Co mogła lubić, jak mu się wydawało. Nic nie zostaje Sofii w głowie. Próbuje się uśmiechać. Płacz chłopca się nasila. Przerzywa mężczyźnie, choć to ją kosztuje dużo siły, mówi, że może przyjść po kwiaty w dzień pogrzebu albo dzień wcześniej, niech zrobi, jak chce, ale musi pamiętać, żeby zwilżyć wieniec. Mężczyzna sprawia wrażenie urażonego. Płacz chłopca brzmi rozpaczliwie.

Muszę iść, mówi Sofia, mój syn...

Mój syn, powtarza mężczyzna. Potem znów łagodniej, do wewnątrz: Moja biedna mamusia...

I Sofia wybiega szybko z pustego miasta, z pośpiechu ociera się ramieniem o ścianę, skóra piecze, może nawet krwawi, biegnie przez las, gdzie jest zielono i ciasno, i wilgotno, i pełno ptaków, które krzyczą i krzyczą.

Chłopiec nie chce piersi. Sofia próbuje go przystawić, ale on krzyczy jeszcze głośniejsze, kiedy przysuwa brodawkę do jego ust. Nie jadł od sześciu godzin, jego drobne rączki młóć powietrze. Znow wciśnię mu pierś, ale on odwraca głowę z niesmakiem, jego krzyk jest piskliwy i pełen urazy. Odkłada go do kosza. Pod uliczną latarnią znow stoi mężczyzna w trenczu. Stoi jak poprzedniego wieczora; całkowicie nieruchomo. Czarny samochód mija go powoli. Zetterlundowie przechodzą obok ze swoim psem, Zata uchyla kapelusza, mężczyzna odpowiada skinieniem. Sofia widzi, że Ingegerd próbuje wsunąć dłoń pod ramię męża, ale jego ramię wisi luźno, nie przyjmuje jej, drugą ręką trzyma psa. Pies szczeka. Że też nigdy nie może sobie przypomnieć, jak to zwierzę się nazywa.

Pięć, siedem, dziewięć minut. Mężczyzna się nie porusza. Po dziesięciu minutach zapala papierosa, ale wygląda raczej, jakby tylko trzymał go między palcami, potem zaciąga się raz, wydmuchuje kółka dymu w bladej świetle latarni, trzy kółka, patrzy w górę, na Sofię, przez pnącza dymu i porcelanowy kwiat, patrzy prosto na nią. Ona nie odchodzi od okna, odrywa całkiem zdrowy listek z pelargonii, jeszcze jeden, a potem powoli cofa się w głąb pokoju.

Chłopiec jest gorący i niespokojny, nie pomaga grzechotka. Ani lalka, ani nucenie... Kiedy Sofia wstaje znad koszyka, kręci jej się w głowie. Musi przysiąść na kuchennym krześle, przed oczami latają jej gwiazdki. Myśli, że on jest czymś osobnym, ona nie może znać wszystkich jego potrzeb, wie tylko, że on czegoś potrzebuje, to nie jest to samo co miłość, kochać kogoś to ulga. Ma suchą pieluszkę, dach nad głową, miękki kocyk, a jeśli nie chce jeść, co ona może na to poradzić?

Próbuje okazać mu niezadowolenie. Mały głuptasek. Wyjmuje wczorajszy numer *Expressen*, który Arvid przyniósł z biura. Czyta o krwawej łaźni w Kopenhadze; Niemcy i duńscy policjanci, którzy otworzyli ogień z działek polowych i karabinów maszynowych do tysięcy Duńczyków, którzy ze śpiewem zebrali się na placu Ratuszowym. W Norwegii panuje nastrój nerwowy, ale optymistyczny. Sofia zmienia kolejność słów: optymistyczny, ale nerwowy. Duński artysta z cyrku Belamyr – na pewno Otto go zna! – przeżył tortury w niemieckim obozie koncentracyjnym i czeka w Szwecji na powrót do swojego kraju... W gazecie piszą, że po torturach został wysłany na budowę kanału; niewolnicza praca, która kosztowała życie czterdzieści tysięcy ludzi. Czy w Warszawie nie zginęło dwieście tysięcy? A przecież gazeta jest pełna uśmiechniętych twarzy, zwłaszcza kobiecych – nie wyjdziemy bez szwanku z tego mroku, nikt z nas. To wpływa na ludzi, brudzi ich, te niepojęte rzeczy. Obozy koncentracyjne to najlepszy przykład, choć Arvid sądzi, że relacje są przesadzone, nawet nie popatrzył na zdjęcia, które mu podsuwała. Theresienstadt: *Człowiek głodujący może myśleć tylko o jedzeniu, to forma przetrwania*. Ponad dwadzieścia tysięcy uchodźców znalazło się w Szwecji – całe zło, które w sobie noszą, w pamięci, w doświadczeniu... Jak coś takiego może nie rzucić cienia na czyny ludzi... Jak on, tamten klient, Polak... Przypomina sobie tę wizytę, jakby minęło kilka dni, schodzi szybko do piwnicy, w połowie schodów zawraca, wyjmuje chłopca z kosza, jego skóra niemal parzy, schodzi do pomieszczenia dla klientów, jakby się spodziewała, że mężczyzna jeszcze tam stoi... Zamyka drzwi na klucz. W drodze na górę potyka się na czymś, w ciemności trudno dojrzeć, co to, ale kiedy się schyla, odnajduje dłonią leżące na stopniu nożyczki. Gdy jest już na górze i chce je odłożyć do szuflady przy kuchence,

zauważa, że dłoń jest pusta.

Zamyka drzwi frontowe. Składa gazetę na kuchennym stole, na ostatniej stronie jest notka o trzyletnim chłopcu, który napił się łągu i zmarł. Zamiast zgasić światło, Sofia włącza radio, akurat nadają koncert, chłopiec zwykle lubi muzykę, ale teraz marudzi – niezadowolony – choć dźwięki są tak przytłaczająco piękne, że musi je wyłączyć, w środku walca Czajkowskiego.

Kiedy mija północ, Sofia widzi brzozy wokół łóżka. Są tak wyraźne, że mogłaby ich dotknąć, poczuć korę. Nie wie, czy one chronią, czy ostrzegają. Ich korony wyrastają przez dach, wiatr wieje prosto na nią i na Carla. Zimny powiew, okno jest uchylone, zanim zdąży je zamknąć, dostrzega mroczny cień na rogu domu, który przesuwa się do ogrodu, słyszy wyraźnie chrzęst kroków... kroki na schodach, przy drzwiach...

Przemyka się obok chłopca, otwiera drzwi garderoby na ukos za wezłowiec łóżka, wie, że Arvid ją tam odstawił, stoi zawinięta w starą flanelową koszulę. Odwija tkaninę, podnosi do góry ten cienki lśniący przedmiot, wie, jak należy go trzymać, wie, gdzie należy nacisnąć, jeśli przyjdzie co do czego... Szybko schodzi do przedpokoju. Przez żółtą szybkę widzi pochyloną ciemną głowę, widzi poruszającą się klamkę.

Klamka porusza się w ciszy. W górę i w dół, ale drzwi się nie otwierają. Ruchy coraz bardziej gorączkowe. Klamka stuka, zgrzyta; zgrzyta jej w uszach. Wycelowała broń. Jej dłoń nawet nie drgnie. Jakiś głos woła: Halo? Halo? Otwórzcie! Coraz głośniejsze i głośniejsze słyszy ten głos: Co jest, do diabła! Otwieraj!

Będę strzelać, woła Sofia w odpowiedzi, zrobię to, idź stąd.

Ależ... To przecież ja! Arvid!

Głos wykrzykuje jej imię: Sofio! Po co się zamknęłaś, do licha?

Odejdź stąd, powiedziałam! Zostaw nas w spokoju!

Ale co ci się stało? Dlaczego nie otworzysz tych drzwi?

Sofia nie odpowiada. Palec na spuście. Czuje się całkowicie spokojna.

Halo! Jesteś tam? Rozwalę te cholerne drzwi, jeśli nie otworzysz. Ty przeklęta babo, co ty wyprawiasz?

Klamka porusza się wolniej...

Przez chwilę jest całkiem cicho.

Potem słyszy jego płacz.

Arvid szlocha, pociąga nosem. Sofia widzi przez okno, jak jego wielkie ciało osuwa się na ziemię.

Jeszcze chwilę czeka, potem wolno opuszcza lufę strzelby, przekręca klucz, wpuszcza Arvida, pozwala odebrać sobie broń.

Maj 1958

Młode brzoźki stoją wzdłuż wody jak na paradzie, przypominają młodzieńców o wyprostowanych plecach. Jeszcze nie ciemnozielone, szeleszczące, ledwie z drobnymi listkami jak mysie uszy, wiosna zwleka, ale dzisiaj czuje się trochę cieplejszy wiatr. Kanał lśni w słońcu, łatwo tu zajrzeć na drugą stronę, gdzie ze swoją secesyjną werandą króluje dawny dom lekarzy. Sękaty jabłoniak na stoku w stronę Hyttgatsskolan chowają swoje białe kwiaty z lęku przed mrozem. Za nabrzmiałymi pąkami widać dzwonicę budynku dawnej szkoły; zanim miasteczko stało się miastem, odbywały się tam niedzielne msze, w pierwszą sobotę miesiąca bale po wypłacie, na których robotnik tańczył z żoną urzędnika, a w tygodniu lekcje. Okazało się, że tego jest za dużo. Budynek powinien być wyraźnie zdefiniowany. A że nie mogli się zdecydować, w końcu po prostu go zamknęli i nie było tam niczego.

Na siódmym piętrze biało-żółtego domu zwanego wieżowcem Emilia wychyla się przez okno. Otworzyła je i stanęła na stołku, żeby widzieć dalej i lepiej. Jej wzrok sięga aż za most Hyttgatsbron, gdzie plakaty zapowiadają wystawę w Malmgården; to połączenie świetlicy i galerii sztuki. Patrzy na żółtą fasadę urzędu pocztowego, kantinę pracowniczą i izbę chorych. Emilia widzi prawie wszystko. Za kantiną jest stacja kolejowa, słysząc, jak pociągi przyjeżdżają i odjeżdżają.

Wyobraża sobie więc, że wychyla się daleko z okna, wypełnia płuca powietrzem. Jak w młodości, kiedy jeździła rowerem po Norrby, tam i z powrotem, mijając głośniki na drzewie przed domem Svartena i błękitne hortensje u panny Filipsson; czarne wachlarze w oknach, smużka bladoniebieskiego dymu z papierosa, niebieskie i różowe kwiaty na borcie szlafroka, zanim drzwi się zatrzasnęły, a ona pojechała dalej. Obok ścieżki prowadzącej w górę, do chaty Szalonego Frassego, która po pożarze stała się domem Edwina. Chciała też przejechać obok rodzinnego domu, ale tam droga właściwie się kończyła, dalej był już tylko dom Georga Anderssona, a tam nigdy nie miała potrzeby zaglądać. Kiedy jechało się jeszcze dalej, trafiało się prosto w środek ciemnego lasu, prosto na górę.

Udaje, że woła coś z góry do ludzi, którzy idą przez wysypany szlakią most albo wychodzą z zakładu i podążają dalej ścieżką Traskostigen wzdłuż kanału... Ale właśnie w chwili, gdy ma sobie wyobrazić, że wołanie ich dosięgło, a oni zdezorientowani szukają źródła głosu, zapomina, co chciała zawołać... Jeszcze niesformułowane słowa odbijają się echem od ścian huty, dźwięki grzęzną w równo przyciętych żywopłotach i altanach z bzu, odbijają się i uderzają o powierzchnię Bredkanalen, który po rozstrzygnięciu konkursu ma się nazywać Kanał Dal-Brity. A potem Emilia już nie może wołać. Nawet w słońcu woda jest za ciemna. Głos opada w dół, ale myśl chce biec dalej, przez wiadukt, przez Storsjön; zatrzymuje się w biurze, na jej biurku – o rety, zapomniała przypomnieć Nyhlunowi o tamtym dokumencie i teraz to będzie leżało niezakawone. Próbuje przekonywać się, że wszystko jakoś się ułoży, ale to zaczyna jej ciążyć, chciałaby myśleć tak jak Hugo, ta cholerna huta, on nigdy nie zrobiłby więcej niż to absolutnie konieczne – jedzie rowerem do walcowni Nya Götvalsverket (gdzie przedtem było sanatorium) tak, żeby przyjechać dokładnie na czas, pedałuje w stałej grupie robotników na rowerach. Zgarbione plecy, ciężkie stawanie na pedałach, żeby przejechać przez wiadukt. A potem zjazd w dół, prosto w wielką paszczę – godzina szósta, siódma, czternasta, siedemnasta, dwudziesta druga; to wtedy następuje wymiana mężczyzn w bramie i szczęki zakładu zamykają się znowu. Ale Emilia zawsze wcześniej jest w pracy, w najlepszym razie jedzie razem z Evy Olsson. Evy pracuje przy produkcji srebrzanki, lubi swoją maszynę, ale kiedy poskarżyła się na brud dokoła, mężczyźni zaczęli jej unikać. Kobiety nie są częścią tego krwiobiegu, wiodącego do i z serca miasta, nie są w taki sam sposób robotnikami i ludźmi, może też dlatego tak trudno Emilii splunąć i zakląć: Cholerna robota. Wszyscy tylko by się z

niej śmiali, a kiedy powiedziała to Hugonowi, uznał, że to dobrze, że ona tak czuje; zakład jest przeklętą kloaką, w której cechy wyróżniające człowieka zostają wymazane – kto by chciał być częścią tego?

Emilia przypomina sobie coś, co kiedyś mówiła Irma: że to domy, a nie miasta, potrzebują kobiet. Niebo też nie. Tylko ściany i sufity. Szyby okienne, które mają być szczelnie zasłonięte firankami. Chroniącymi przed spojrzeciami z zewnątrz, ale też przed wyglądaniami na świat. Uważała wtedy, że to przesada. Że Irma narzeka. Albo uprawia propagandę. Wnętrza domów to przecież też część miasta, można je wręcz uznać za jego podstawę; Emilia naprawdę próbowała cieszyć się tą myślą.

Śpiew ostrza piły. Dudnienie walców. Dźwięki zakładu są dźwiękami miasta. Ale tego dnia rozżarzona krew nie krąży tak szybko. Dział pił, dział wiertel skalnych, walcownia, młoty parowe – nie stanęły całkiem, ale odpoczywają. Nie ma stada rowerzystów na Hyttgatsbron. Zarządcę na pewno trawi gniew. Teraz, kiedy w dodatku wycofano deputaty, puszczono robotników wolno. Choć Emilia nie powinna nic mówić. Ona pracuje z maszyną do pisania i dyktafonem. Nawet nie wie, czy dzisiaj wypadłby jej dzień pracy. Pierwszy Maja. Święto. Ludzie schodzą się parami, grupkami. Tak pięknie ubrani, że Emilii napływają łzy do oczu. Miasto jest innym miastem, niepodobnym do siebie. Nie tylko miasto stali i kart kontrolnych, czarnego jak sadza dymu i jadowicie czerwonego poblasku z pieców martenowskich. Nie tylko miasto mężczyzn, ale prawie, a w tym „prawie” jest mała, maleńka przestrzeń, i w tej małej przestrzeni Emilia biegnie do Hugona, do dużego pokoju.

Widziałam tam na dole Lindbergów, czy jest już tak późno?

Hugo poprawia krawat; w klapie marynarki ma czerwono-czarną odznakę, włosy przylizane na mokro. Emilia myśli, że jest elegancki, kiedyś będzie musiała mu to powiedzieć. Hugo wyciąga dłoń; widzi jego radość, kiedy ujmuje ją niemal natychmiast.

Jesteś gotowa, dzieciaku? woła Hugo w stronę drugiego pokoju, który jest pokojem dziewczynki (och, jak cudownie jest wejść tam rankiem i odsunąć pasmo włosów z rozgrzanego policzka).

Nie słychać odpowiedzi, więc Hugo i Emilia wymieniają znaczące spojrzenia. Zegar w kuchni wybija dwunastą.

Rusze się, leniu patentowany! woła Hugo z udawanym gniewem. Chcesz przegapić mowę?

Wtedy Lillemor natychmiast wychodzi z pokoju, a ilekroć to się dzieje, serce Emilii fika koziołka. Ta ciągnęła tęsknota za tym, żeby drzwi się otworzyły. Jakby dziewczyna nie była rzeczywista, jeśli Emilia jej nie widzi. Kiedy drzwi się otwierają, ma wrażenie, jak gdyby widziała Lillemor pierwszy raz po długiej przerwie. Dziewczyna jest ubrana w bluzkę z raglanowym rękawem i granatowe spodnie, włosy związała w koński ogon.

Lillemor Andersson dorastała w tym pochodzie. Tak właśnie lubi o tym myśleć, choć dopiero piąty raz bierze w nim udział. Max nie jest człowiekiem do takich haseł, myśli dziewczyna złośliwie, jakby myślała o kimś obcym, a wyobrażanie sobie Mildred w pochodzie pierwszomajowym budzi tylko śmiech. Mildred ze swoimi ustami, myśli Lillemor; musi walczyć ze sobą, żeby opanować chichot.

Frekwencja jest rekordowa. Prawie trzy tysiące demonstrantów, dominują ciemne garnitury. Po prawej stronie Lillemor idzie Alvin Dźwigowy, jest bardzo stary, ma zwyczaj łapać się za nasadę nosa, kiedy chce powiedzieć coś złośliwego, zabawnie wtedy wygląda. Nachyla się do niej i pyta jak zwykle, czy ma już narzeczonego i czy on miałyby szansę. Ona śmieje się, zarumieniona. Bo teraz jest inaczej. Całkiem inaczej. I nikt o tym nie wie. Absolutnie nikt. No, oprócz Mony, oczywiście, ale ona i tak tego nie rozumie naprawdę, nie rozumie też polityki, choć Lillemor tłumaczy, że polityka jest wszystkim, co ich otacza, i wszystkim, co mają w środku; właśnie tak wyjaśniał jej to Hugo. Mona i tak marzy co najwyżej o wyjeździe do Ameryki czy o przejażdżkach na tylnym siedzeniu motoru, ale jest miła i dobrze się razem bawią przy nauce.

Większość transparentów dotyczy emerytur pracowniczych. Na pozostałych można przeczytać: NIE DLA BRONI ATOMOWEJ. NIE DLA MILITARYZMU. TAK DLA PACYFIZMU. Niektóre mówią o warunkach pracy. Szkoda tylko, że tych, do których te hasła są skierowane, nie ma na pochodzie. Zarządca pewnie siedzi w swojej willi na Arsundavagen, pije z żoną kawę i wygląda na Storsjön, Norrtutt, kąpielisko, które zabrano mieszkańcom Sandviken; nadal żywe jest wśród ludzi niezadowolenie z tego powodu, Lillemor też się złości, ona też, choć wie, że jest o wiele za późno. Podnosi wzrok na Hugona, chce, żeby zobaczył, żeby wiedział, że ona też skanduje – choć na pewno nie tak głośno jak on. Chce trzymać go za rękę, ale jest na to o wiele za duża, czuje szpileczki dreszczu w całym ciele, kiedy myśli o tym, że dziś wieczorem im to powie. Powie, jak bardzo wszystko się zmieniło.

Wie, jacy są zmęczeni, przejeżdżeni i lekko nietrzeźwi, kiedy późnym wieczorem wracają od wujka Edwina. Hugo, który zwala się na składaną sofę, aż jej nogi trzeszczą. Emilia, która tłumacząc się nieustannie (przecież dziś jest święto, zresztą to tylko tak raz w roku...), przynosi jeszcze jakiś alkohol, potem siada obok Hugona, a on otacza ją ramieniem. Lillemor robi się przyjemnie, kiedy widzi, jak Emilia przysuwa się bliżej, zamiast strząsnąć z siebie jego ramię, odepchnąć. Że też ona ciągle się nie odsuwa.

No to zdrowie, maleńka, zdrowie, dzieciaku!

Hugo unosi kieliszek. Emilia podwija nogi. Potem Hugo nastawia płytę, ale niezbyt głośno, bo inaczej Emilia znów tak surowo na niego popatrzy. I chwilę później, kiedy muzyka się rozkręci – to jest ten moment! Wtedy właśnie powie im to, co chce powiedzieć już od ponad miesiąca.

Słońce zalewa światłem cały świat, wieje chłodny wietrzyk, pochód – z własną orkiestrą, gitarą i akordeonem – idzie od Jerntorget, całą Hyttgatan, skręca w Köpmangatan i w lewo w Storgatan, mija Odenplan i pomnik, który jest darem od Seefabu. Dziewczynka z poidłem dla ptaków, Lillemor uważa, że jest piękna... Pochód mija stację benzynową Texaco. Przecina Gavlevagen, przechodzi obok Norra Idrottsplatsen, i kiedy Lillemor dostrzega dach nad taneczną rotundą i wejście do Parku Ludowego, czuje w brzuchu jeszcze mocniejsze łaskotanie, nie potrafi już ukrywać radości, odzywają się mosiężne rogi i – razem ze wszystkimi – pozdrawia Thorssona i Brantinga; dwa popiersia wzniesione wśród rabat po obu stronach parkowej bramy, które spoglądają na siebie. Lillemor pragnie, żeby Sten szedł trochę dalej w pochodzie, żeby mógł na nią spoglądać; z dumą i czułością. Pochód rozsypuje się, po obu stronach sceny zostają zatknięte flagi. Na scenie stoi grupka młodzieży w białych koszulkach, trzymając czerwone i niebiesko-żółte flagi. Chór intonuje: *Jakże pięknie się uśmiecha maj.*

Pojedziemy potem do wujka Edwina? upewnia się Lillemor, kiedy Hugo wreszcie na nią spogląda.

Pewnie, że tak, odpowiada Hugo, myślałaś, że nie?

Ależ nie.

Czuje się niezręcznie z powodu swojej niepewności i krwi, która napływa jej do twarzy. Wiwaty niosą się nad Bredmossen, kiedy na scenę wchodzi Ossian Sehlstedt. Może pewnego dnia, myśli Lillemor; myśli to samo co roku, a Hugo dopełnia to uczucie przyjacielskim szturchnięciem, spojrzeniem, uśmiechem: Możesz zrobić, co chcesz, mój dzieciaku.

III

U Edwina

To idiotyczne, że nadal mówi się dom Frassego, kiedy już od ponad dwudziestu lat należy on do Edwina. Tak samo głupie jest, że niektórzy wciąż przemykają się tu niepewnie, jak Barbara; chodzi przykulona, jak po muzeum, choć przecież właśnie ona i tak wie najmniej rzeczy, które warto wiedzieć o Norrby czy Fransie Anderssonie.

Coroczne spotkania u Edwina na Pierwszego Maja to tradycja niemająca właściwie nic wspólnego z polityką – Steenowie są tak samo mało polityczni, jak religijni. To, że Emilia „wyznaje poglądy”, to tylko sprawa Hugona Lindbloma, tak uważa Sofia; według niej siostra jest tylko chorągiewką na wietrze. Kiedy zostali parą, Emilia chyba ledwo wiedziała, kto jest premierem, mój Boże.

Spotykają się z inicjatywy Ottona. Uważa, że po śmierci Ainy oddalili się od siebie, choć najczęściej to on odwołuje umówione spotkania. Cóż, jeśli nie doczekali się dziecka, to nic nie stało na przeszkodzie, żeby znów podjął swoje handlowe wyjazdy... Uważa, że po tym poprawiło się im z Barbarą. Nie tylko finansowo. Dzieci mogą też być obciążeniem. Otto widzi, jak trudno jest dogadać się z Carlem. Czasami ma wrażenie, jakby byli rówieśnikami, ale przecież nie są... a wtedy on nie wie, co ma powiedzieć; to jest tak samo żenujące, jakby rozmawiał sam ze sobą.

Otto mógłby chyba powiedzieć, że tęskni za mamą, ale ta tęsknota nie ma żadnej twarzy, dzieciństwo nie ma twarzy, nawet własnej, to tylko dłoń, która trzyma wędkę, stopa na drzewie, gałązka, która się łamie, korona drzewa widziana z dołu, przesiewająca niebo, odwrócone do góry nogami budynki, ciała. Ojciec na przykład, głos ojca, głosów nie można przekręcić do góry nogami, ale można się z nich śmiać, przynajmniej wewnątrz.

Fredrik zmarł zeszłej zimy, najpierw spędził pewien czas w domu opieki w Backbergu. Cierpiał na ostrą dystrofię i zapalenie wątroby, ale przede wszystkim na tego rodzaju starcze schorzenia, jakie dopadają człowieka, kiedy zabraknie u jego boku osoby, z którą dzielił całe życie. Tu nie chodzi o tęsknotę, ale o przyzwyczajenia. Brak rutyny niszczy wzór życia. Gospodarstwo trzeba było sprzedać; jedna z krów padła i została znaleziona w stanie rozkładu, to Janne Örnebrandt poczuł zapach i odkrył padlinę, bo Fredrik był nie całkiem obecny myślami przez ostatnie lata życia. Wprawdzie Otto nie miał zbyt wiele czasu na wizyty, ale Sofia opowiadała trochę; mówiła, że to nie ma znaczenia, czy ktoś u niego jest, czy nie, a on, Otto, sobie to zapamiętał. Ojciec napisał nieskładny testament, w którym życzył sobie w akcie ostatniej woli, żeby go pochować obok jego psa Silvera, tylko że Silver nie został pogrzebany, uciekł do lasu, wysoko na górę; pewnie zabił go niedźwiedź albo wilk.

Edwin też go oczywiście tam odwiedzał, w Backbergu. Otto zastanawia się, co oni do siebie mówili, jest ciekaw ich spojrzeń w tym – jak sobie wyobraża – chłodnym białym (albo w kolorze bladej żółci) pokoju.

Edwin ma czerwoną różę w klapie marynarki. Przez wiele lat Hugo próbował go przekonać, że tak naprawdę jest syndykalistą, albo przynajmniej komunistą, ale dalej niż do socjaldemokracji Edwin nie daje się wyciągnąć, a czerwona róża przypięta do ubrania to już niebezpiecznie daleko. Nie lubi, kiedy ludzie podchodzą i to komentują. Kiedy po raz pierwszy przyszedł z nią do pracy do fabryki drabin, podszedł do niego Ola-Wytrzeszcz, dotknął jej, ach tak, powiedział, ach tak, Edwinie. Rzadko dochodzi do dyskusji, polityka to prywatna sprawa i dlatego nie jest interesująca... Poza tym jest to oczywiście rzecz drażliwa. Szwecja wciśnięta jak cienka błona między Wschód i Zachód... Nienawiść do Rosjan wibrująca w ludziach. Lęk przed bombą atomową. Ale bez tej róży w klapie marynarki musiałyby wiecznie wysłuchiwać gadaniny Hugona, teraz przynajmniej on nic na ten temat nie mówi; jest zadowolony. Albo przynajmniej nie jest niezadowolony.

Hugo jest starym zatwardziałym syndykalistą. Edwin nawet nie wie do końca, co to takiego. Arvid twierdzi, że syndykaliści są bardziej anarchistyczni w porównaniu ze zdyscyplinowanymi raczej komunistami; nie mają tak „wypranych mózgów”; wydaje mu się, że są trochę dzikusami, nieprzestrzeganie prawa ani reguł to dla nich wolność, a przecież tak naprawdę utrudniają życie innym ludziom; czyli to wielki egoizm. Arvid jest radnym z ramienia Partii Prawicowej. Hugo nie jest idiotą dlatego, że jest syndykalistą, to tylko naiwność. Jak wtedy, kiedy zaangażował się w zupełnie bezsensowną rozmowę na temat policji państwowej. Wówczas Arvid cieszył się, że jest abstynentem, w przeciwnym razie nie zadowoliliby się tylko waleniem pięścią w stół.

Arvid wierzy niezłomnie w siłę człowieka, nie słabość, którą socjaliści widzą przede wszystkim. Jeśli ktoś samodzielnie może decydować o swoim życiu, bardziej walczy, to się wie samo przez się. Jeśli ktoś go przez cały czas prowadzi za rączkę, to jak człowiek może się nauczyć stać na własnych nogach? To, co się przytrafiło Arvidowi – a myśli wtedy przede wszystkim o tym, co się stało po wojnie, choć wolałby o tym wcale nie myśleć – jeszcze bardziej utwierdziło go w tych przekonaniach. Kiedy inni się włączają, to tylko przeszkadza. Człowiek nie ma warunków, żeby pozbyć się niepotrzebnych rupieci, kiedy inni stoją nad nim i mówią mu, co to za rupiecie i co należy z nimi zrobić.

Człowiek sam niesie swoje życie. I może wybrać, czy znosi je dumnie, czy woli narzekać i zgarbić się pod jego ciężarem i zmarnieć.

Sofia położyła czysty, wymaglowany lniany obrus. Stawia na nim zapiekankę z rybą udającą łososia. Emilia, jak zauważyła, ma ze sobą tylko bułki. Z własnego wypieku, dzięki Bogu, ale mimo wszystko. Na stole stoi wódka, pilzner i club soda. Frisco i zingo są dla dzieci. Na deser Barbara podaje nadziewane jabłka na tekowej tacy.

W chacie Edwina czas się zatrzymał.

Oprócz telewizora!

Nowiuteńki, błyszczący, budzący zazdrość odbiornik telewizyjny, który stoi w kącie, a jednak znajduje się w centrum. Mimo dzisiejszej daty i przyspieszonych wyborów już za miesiąc wszyscy mówią o telewizorze.

Carl nawet nie może jeść. To jest marzenie, które się spełniło. Christina oczywiście nie zwraca na to uwagi, jest jeszcze za mała, żeby rozumieć, co to dziwne urządzenie znaczy. Nieufność, którą odczuwają niektórzy dorośli, jest tak ograniczona i konserwatywna, to własne słowa Carla, a nie jest żadnym głuptasem, choć nie wie jeszcze wystarczająco dużo na temat różnych rzeczy... Och, to jak nieustanny ciężar: kiedy się nie wie wszystkiego, ale jednak na tyle dużo, że to zdaje się niesprawiedliwością, tak siedzieć tu razem ze wszystkimi i nie móc się wypowiedzieć. Carl wie, że to urządzenie oznacza przyszłość. To przekonanie dzieli przynajmniej z Edwinem, może jeszcze z Ottonem. Mecz Węgry-Walia będą może mogli oglądać na żywo na Jernvallen. Pozostałe mecze Mistrzostw Świata, które będą pokazywane w telewizji, obejrzą u Edwina... Jeśli będą pokazywane... Tak po prostu musi być! Nigdy w swoim trzynastoletnim życiu Carl nie czekał na nic tak bardzo jak na to!

Hugo wpatruje się w odbiornik przymrużonymi oczami. Należy do tych, którzy mogliby na telewizor wybrzydzać, gdyby był typem wybrzydającym, ale tak samo jak Carl, jest nastawiony na Mistrzostwa Świata w piłce nożnej i możliwości, jakie to urządzenie w tej sprawie oferuje. Wcale nie jest reakcjonistą. Hugo i Emilia pierwsi mieli telefon i nowoczesne mieszkanie (z elektrycznym piecykiem). Ale uważa, że przyszłość przychodzi zbyt szybko. Nie jest pewien, czy duchowi wspólnotowemu służą te, jak je określa, urządzenia separujące; z tego, co wie, to ludzie zostają wręcz wessani przez tę czarną szybkę i nie mogą się od niej oderwać. Odbiornik radiowy nie pełni tak centralnej roli, może, podobnie jak adapter, grać sobie w tle. Telefon – gdyby ktoś chciał zakwestionować jego logikę – zarówno tworzy, jak i podtrzymuje kontakty, czyli jest przez to przeciwieństwem separowania.

Sofia i Arvid stosunkowo niedawno podłączyli u siebie telefon. Ten cichy brzęk, który poprzedza rozmowę telefoniczną, sprawia, że serce Sofii zaczyna walić. Kiedy odbiera, głośno i wyraźnie mówi swoje nazwisko; słyszała, że tak należy robić. Ale najchętniej unika dzwonienia i odbierania telefonów. Barbara przekonywała ją, że telefon jest dobry do kontaktów z klientami – a Arvid się z nią zgadza – wtedy biedni pogrążeni w smutku nie muszą opuszczać domów i udawać się do jej zakładu. Tylko że oni właśnie tego potrzebują; potrzebują okazji, żeby wyjść ze swoich czterech ścian, skoncentrować się na rzeczach małych, jak choćby zasznurowanie trzewików, zwrócić uwagę na pogodę, iść w określonym kierunku, może kogoś spotkać, może nawet spojrzeć komuś w oczy. Raz telefon zadzwonił późnym wieczorem, Sofia nadal nie wie, kto to był, a Arvida prawie nigdy nie ma w domu, żeby mógł odebrać – Sofia zawsze ma wrażenie, że ten natarczywy dźwięk może zwiastować tylko nieszczęście. A w takim wypadku woli nie odbierać. Złe wiadomości i tak dotrą, prędzej czy później.

Arvid powinien być gorącym orędownikiem nowoczesności, ale nim nie jest. Przyszłość to inna sprawa. Dla Arvida przyszłość jest niejasna jak przyjemny sen... Jaśniejąca... Zapomniane poniżenia z dawnych czasów. Bieda to słowo, które nie pasuje do czystej, gładkiej przyszłości. Ale telewizory, telefony... Nie, dla Arvida to nie rzeczy decydują o kształcie przyszłości, tylko ludzki duch, najlepiej można to przedstawić za pomocą obrazu: gromada radosnych ludzi w luksusowej alpejskiej chacie... gładkie spodnie narciarskie, zaróżowione policzki... wielka przeszklona weranda i amerykański big-band, stoły uginające się od mięsa i warzyw. Ale ważni są ludzie w tym obrazie... co myślą i czują. Jak nic ich nie obciąża, nie trapi... Nie popycha w beczynność! A to właśnie mogą sprawić te nowe urządzenia: mogą odebrać ludziom twórczą siłę i pomysłowość. Czy można sobie wyobrazić bardziej ponurą przyszłość niż taka, kiedy ludzie patrzą na sport, zamiast go uprawiać? Gdyby wszyscy tylko patrzyli, to wkrótce nie byłoby żadnych sportowców. Ta myśl przeraża Arvida. Ale jeśli nie będzie sportowców, nie będzie też czego oglądać, uspokaja się; na szczęście Carl zawsze interesował się sportem, ostatnio z Janem-Olovem zbudował w ogrodzie tor przeszkód. Potrzeba ruchu jest wbudowana w człowieka, jak swego rodzaju motor. Ale Arvidowi nie umyka, że oczy Carla rozjaśniają się na widok telewizora. Powierzchnie, które uwodzą, zamiast zawartości, która inspiruje.

No to ile na niego oszczędzałeś? pyta Edwina Arvid.

Edwin umyka wzrokiem.

Dość długo, odpowiada, chce się odwrócić, ale Arvid go przytrzymuje.

To ile kosztował?

Edwin wzrusza ramionami.

Ech, daj spokój, powiedz wreszcie.

Arvid nie lubi takiego unikania, nie rozumie, dlaczego ludzie nie mogą mówić jasno i otwarcie – zwłaszcza jeśli chodzi o takie rzeczy, sprawy techniczne, które nie mogą nikogo skrzywdzić.

No, hmm (Edwin patrzy w drugą stronę)... – Chyba wyszło trochę ponad tysiąc.

A niech to. Myślałem, że pracujesz w fabryce drabin.

Arvid rechocze.

Barbara klaszcze w dłonie.

A co, jeśli ktoś go ukradnie?

No to będzie ukradziony.

Masz z niego chyba dużo radości? mówi Sofia.

Przywieźli go dopiero przedwczoraj. Zdążyłem się tylko nauczyć, jak go obsługiwać.

A czy to jest skomplikowane? pyta Hugo.

Nie. Niespecjalnie.

Nie ma chyba za dużo kanałów, mówi Arvid. Nie tak jak w radiu.

Ale przecież to wcale nie to samo, tato, wzdycha Carl.

Ile ma cali? pyta Otto.

Siedemnaście.

Wahnsinn⁴⁷, mówi Barbara z podziwem w głosie.

Carl wie więcej, ale nic nie mówi. Przegląda instrukcję dołączoną do aparatu i już nauczył się kilku magicznych słów: stabilizator, przełącznik, kolumny dwugłośnikowe. Masz tutaj coś do ćwiczenia, mówi w myślach do młodszej siostry, która z zapalem zgaduje literki i próbuje je łączyć. Kiedy weszli do pokoju, pobiegła od razu do telewizora i przeliterowała: P-H-I-L-I-P-S. Ale żeby wyszło z tego właściwe słowo... Wszyscy się oczywiście z niej śmiali. Z Christiny zawsze można się śmiać, a on musi się wstydzić.

Czy jest coś teraz do oglądania? pyta.

Możemy zobaczyć.

Edwin mierzwi Carlowi włosy.

Teraz możesz do mnie przyjeżdżać i razem będziemy oglądali mecze, mówi; obiecywał to już tysiąc razy przedtem, ale widzi, jak bardzo to chłopca cieszy. Wy oczywiście też, jeśli chcecie, mówi do pozostałych.

Tak, ja chcę na pewno, odpowiada Carl. Trochę za szybko. Wszyscy wybuchają śmiechem.

Barbara przesyła promienny uśmiech Arwidowi, ten odpowiada mrugnięciem. Zaraz potem Barbara mruga do Edwina; Edwin odwraca wzrok, patrzy w okno, Sofia głaszcze jego rękaw.

Słuchajcie, mówi Otto, proponuję toast. Za telewizor Edwina!

Za Edwina! poprawia go Sofia.

Nie będziesz miał spokoju ani na sekundę, mówi Arvid ze śmiechem. Edwin nie rozumie, o co mu chodzi.

Będziesz miał wielbicielki, tłumaczy mu Barbara i się uśmiecha.

Mamo, co to są wielbicielki? pyta Christina.

To takie panie, których Edwin się boi, córeczko, odpowiada ze śmiechem Arvid. Barbara też się śmieje. A Christina pyta zdezorientowana:

Takie jak wilki?

Wtedy wszyscy wybuchają zgodnym śmiechem. Oprócz Carla; jego siostra jest tępa i głupia, tylu rzeczy trzeba ją nauczyć, nie wystarczy mu na to czasu. I będzie miał wyrzuty sumienia, jeśli nie... Rety, ale by sobie zapalił! Z tego powodu rumieni się jeszcze bardziej, już samo to, że się rumieni – zupełnie jak dziewczyna – jest nieznośnie zawstydzające.

No a wy, odzywa się nagle Barbara, zwracając się do Emilii i Hugona, nie wygląda na to, żebyś się czegoś spodziewała, Emilio?

Zapada cisza.

Że też akurat ona to mówi, myśli Emilia. Najprostszą w świecie rzeczą byłoby powiedzieć: A co z tobą? Emilia spogląda na Hugona, czy on nie mógłby pomóc jej jakoś wybrnąć z tej sytuacji?

Jestem za stara, odpowiada wreszcie, i to jest tak bliskie prawdy, że wścieka się sama na siebie.

Asa Gimlin urodziła córkę, kiedy miała trzydzieści osiem, mówi Barbara.

Ja mam trzydzieści dziewięć, przypomina Emilia.

Znów zapada cisza.

Przecież mają mnie, rozlega się znieca głoś Lillemor. Wszystkie spojrzenia kierują się w jej stronę, jakby dopiero teraz zauważyli, że ona też tu jest, a Sofia myśli: A po co ona tu przyjechała? Lillemor kręci się na swoim miejscu, przez cały wieczór milczała, tak dziwnie jest teraz słyszeć swój własny głos; taki niezręczny i ostry wydaje się w tym pokoju. Próbuje sobie uświadomić, że jest już prawie dorosła, chciałaby to też powiedzieć: W przyszłym roku skończę dwadzieścia lat. Powinam się liczyć. Ma wrażenie, że spojrzenia jej nie wierzą. Przecież mają mnie – ach tak, a kimże ty jesteś? Albo: No i co z tego? Zasłania się grzywką. Przez sekundę wyobraża sobie, że patrzy na siebie ich oczami. Gdyby tylko Sten tu był. Wtedy wszystko byłoby całkiem inne. Ona byłaby całkiem inna.

Przecież mają mnie.

Te słowa jeszcze dźwięczą w Emilii. Teraz bez problemu może zmierzyć się z Barbarą.

Tak, mamy Lillemor, mówi, i jesteśmy niesłychanie szczęśliwi z tego powodu.

I tyle. To zrozumieli wszyscy oprócz Barbary.

No tak, ale własne?

Wtedy wszyscy zaczynają obracać tę myśl: No właśnie, ona przecież nie jest ich. Poza tym to już duża dziewczyna. Nie nacieszą się nią długo. A Lillemor nie jest z tych, co zostają, to już widzieliśmy. Poza tym jest taka niepojęta. Zamknięta w sobie. Ale co innego mogło z niej wyrosnąć, kiedy jej matka umiera tuż po porodzie, a ojciec pędzi jak rozszaławy byk między drzewa i zostawia dziewczynkę samą, dopiero co na świecie.

Jaki lęk, jaki nieopisany lęk musiała odczuwać.

To są myśli Emilii; zaczynają się tam, gdzie słowa Lillemor wybrzmiewają. A wtedy chce przytulić dziewczynę. Chce, żeby wiedziała, że ona zostanie. Chce jej pokazać, że to nie ma znaczenia, co inni myślą czy uważają. Chciałaby usłyszeć śmiech dziewczyny, chciałaby, żeby Lillemor poruszała się tak lekko jak u nich w domu. Żeby tamci zobaczyli. W obecności innych dziewczyna wydaje się niezgrabna i sztywna. Emilia chce powiedzieć, że ona wcale taka nie jest. Nie ze mną. To dlatego, że was nie zna, dlatego, że wy jej nie znacie. Wtedy właśnie Lillemor się śmieje, z czegoś, co powiedział Hugo, tak cicho, że nikt inny, nawet Emilia, nie słyszy, choć stoi tak blisko.

Co powiedziałaś? pyta Emilia szeptem.

Nic takiego, odpowiada pośpiesznie dziewczyna. W oczach ma radość.

Tajemnica, mówi Hugo; otacza ramieniem Emilię, ale ona uwalnia się od niego.

To nie ma znaczenia, czyja ty jesteś, Lillemor Andersson – należysz do siebie i jesteś wolna.

Przez wiele wieczorów szeptał jej tak do ucha, kiedy bała się ciemności w mieszkaniu, które według gospodarza miało być takie jasne. Hugo otwierał okno, ale niepokój najbardziej dręczył dziewczynkę jesienią, a wtedy na dworze było jeszcze ciemniej. Powtarzał te słowa uparcie jak mantrę, kładł nacisk na wolna, wolność. Ale to zbyt abstrakcyjne słowa, dziewczynka tylko marszczyła czoło. Było widać, że bardzo chce się rozplakać, a on tak bardzo chciał powstrzymać jej łzy.

Słyszysz? zapytał wtedy Hugo.

Nic nie słyszała. Więc potrząsnęła głową.

Nie słyszysz, jak kanał szemrze?

Nie, nie słyszała, ale mimo to skinęła, a on się uśmiechnął, i ona się uśmiechnęła, znów kiwnęła głową, bo teraz rzeczywiście słyszała – bo chciała słyszeć – jak spokojnie szumi i szemrze, jak bardzo łagodna i bardzo bezpieczna to melodia.

Dziewczyna się śmieje, a jej śmiech zupełnie nie przypomina śmiechu Karin. Kiedy Karin się śmiała, myśli Sofia, zarażała wszystkich. To była piosenka, do której inni mogli się dołączyć. Lillemor wcale nie jest podobna do Karin; jest patykowata, prawie bez biustu, małowówna. Te różnice nie powinny boleć, a jednak bołą. Ponieważ dziewczyna żyje, ale wcale nie jest tak żywa, jak byłaby Karin. Ta mała powinna mieć dość rozumu, żeby okazywać więcej ciepła i radości, żeby choć tak to zrekompensować.

Oprócz śmiechu i ciała różni się też włosami. W pewnym oświetleniu mienią się rudawo, ale przeważnie mają kolor mysi. I są cienkie. Jak Maksa. Max i Milton Andersson – wszyscy myśleli, że oni będą zawsze. Karin z Maksem. Chociaż był prostakiem. Lillemor przy nich, zamiast przy Hugonie, uwieszona jego ramienia. Emilia może byłaby tu z kimś innym, może sama, może z własną rodziną. Otto i Barbara może nigdy by się nie spotkali. Czy w ogóle byłaby wojna?

Arvid i ona pobraliby się wcześniej, jak planowali od początku. Carl miałby osiemnaście lat – Sofia nie myśli, że wtedy to byłoby jakieś inne dziecko, albo... myśli, że to byłby Carl, choć jednak nie... Nie byłoby wtedy tego idiotycznego wymysłu z Petterem Petterssonem. Może też tego irytującego wicherka we włosach, który sprawia, że zawsze sterczą mu z prawej strony.

Zastanawia się, co poza tym byłoby inne.

Poza tym wszystko. Po prostu wszystko.

Nagły mrok Arvida. Czy wtedy mogłaby trzymać dłonie w górze jak tarcze?

Kiedy osunął się na podłogę i tam leżał. Czy wtedy mogłaby podciągnąć go znów do góry? Tak samo jak wyciąga chłopca z Pettera Petterssona albo Pettera Petterssona z chłopca. A on znów staje się taki jak zwykle, jest sobą.

Arvid w łóżku, jak wielka ryba; z trudem łapiący oddech.

Wchodziła po schodach z kanapkami, mlekiem; niczego nie chciał. Tylko jęczał. Aż Sofia się zezłościła.

Barbara stała za drzwiami ze swoimi życzliwymi radami. Nie wiedziała nic o tej wielkiej rybie w sypialni na górze, ale bardzo chciała wejść i się wtrącać.

To była wielka, trudna walka.

Musiała stanąć między domem i światem. Rzeczywistością i Barbarą.

Aber kleine Sofia.

Nawet poczuła ulgę, kiedy zabrali go do szpitala. Nieobecność Arvida nie była przecież niczym niezwykłym. Ludzie zadawali pytania, ale kłamstwo nie przychodziło jej trudno. Nie, Arvid jest na zebraniu, załatwia, angażuje się, przemawia, pisze protokół Partii Prawicowej, Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej, Rotary, klubu sportowego, związków zawodowych, Zrzeszenia Zawodowego Urzędników, Związku Abstynentów, jest na rybach, jest w lesie, w górach, szuka szlaków, rozmawia przez telefon, organizuje, w lokalu na Plangatan, planuje Dzień Dziecka z Lionsami, jest w kantynie, spotyka się z Halvarssonem, Nicklassonem, Jacobssonem, nie, z Wironem już nie, on został na swoim miejscu, kiedy Arvid dostał awans, Arvid pracuje z kartami dziurkowanymi, maszynami do automatycznego przetwarzania danych, nie jest szefem, ale ma dużą odpowiedzialność, powinniście zobaczyć jego biurko – nie, Arvid jeszcze śpi, musi się wyspać, jest bardzo zmęczony. Śni o stokach narciarskich, stromych zboczach biegnących ku wielkiemu domowi z czerwonej cegły, większemu niż dom zarządcy przy Arsundavagen i bardziej nowoczesnemu; Arvid wjeżdża prosto do budynku, korytarze są długie, nieskończone. Śni o wielkich strzykawkach, o elektrodach, które mocowały mu na skroniach piękne surowe pielęgniarki ze sztywnymi kołnierzykami: Niech pan teraz zaśnie, panie Roslund. Śni o białych salach, krzyku z nieznanymi ciał w takich samych pokojach.

Takie same ciała w takich samych łóżkach. Niech pan teraz zaśnie, panie Johansson, dobranoc, panie Svensson, niech się pan uspokoi i zaśnie, nie, taki duży chłopak, teraz musi się uspokoić. Panie Fredriksson, to nieprawda – pan się myli. Nie, nie może pan rozmawiać z lekarzem. Niech pan przestanie marudzić, panie Fredriksson, i weźmie tabletkę. Cisza i spokój. Śpimy.

Mówi pan, że chce rozmawiać z Arvidem? Niestety to niemożliwe, leży w Sidsjön i nie chce, żeby mu przeszkadzano. Jest bardzo chory. Wydaje mi się, że na to się mówi wariat, umysłowo chory, stuknięty, szajbus – przepraszam bardzo... chciałam tylko... cofam to wszystko... Pojechał na ryby, nie mówiłam? Wyciąga szczupaka, niezła sztuka, nigdy przedtem nie widziałam takiego potężnego szczupaka. A może spotyka się z Anitą Strand. Ona pochodzi z Ovansjö, pracuje w sklepie samoobsługowym przy Valhalli – to już dziewiąta filia sieci Konsum w Sandviken – i stosuje dietę pszeniczną Doktora Ritta, lubi akordeon i angażuje się w ruch trzeźwości. Nie wygląda jakoś szczególnie, ma matowe włosy i tłuste ramiona, ale na pewno jest zręczna, śmiała i zdrowa, i co tam jeszcze Arvid lubi. Żywa, na pewno można o niej tak powiedzieć. Tak można określić je wszystkie.

Nie, nie jest trudno kłamać.

Trudna jest prawda.

Kiedy Arvid wrócił z kliniki do domu, Carl schował się za sofą – aż tak długo przecież nie był nieobecny, ale Carl nie chciał wyjść. Nie chciał spojrzeć na ojca, choć bardzo go łajła. Wolał znosić krzyki, niż spotkać spojrzenie Arvida. Po pierwszym razie był za mały, żeby zrozumieć, ale potem były jeszcze trzy, prawie cztery. Arvid jeździł tam i z powrotem. Póki mrok całkiem nie opuścił jego ciała i nie został, jak to się mówi, wyleczony. I znów powstała luka w życiu Sofii, czy raczej przestrzeń, rozciągnięta w czasie, do której musiała porządnie zamykać drzwi, ryglować, ale jednak była tam ta przestrzeń, o której się wie, o której – choćby była zamknięta na cztery spusty – dokładnie wiadomo, co w sobie kryje.

Zadaniem człowieka jest nieść światło i trzymać je wysoko. Kiedy Arvid je zgasił, popełnił zdradę; Sofia nie wie, czy kiedykolwiek będzie mogła mu to wybaczyć.

Barbara unosi swój kieliszek wysoko pod sufit w chacie Edwina.

Wypijmy jeszcze raz, przyjaciele! Prost!

Za rewolucję, mówi Hugo, mrużąc oko, ale całkowicie poważnie.

Żeby komuniści stracili w wyborach, odwzajemnia się Arvid.

Za więcej miejsc w przedszkolach, mówi Emilia, potem czerwieni się, kiedy napotyka spojrzenie Barbary. A tobie na co one są potrzebne?

Wypijmy za naszą mamusię w niebie, mówi Otto. Ach, jak bardzo chciałby zobaczyć jej twarz, nie taką jak na fotografiach, tylko taką jak wtedy, kiedy na niego patrzyła.

Za wszystkich, którzy są w niebie, mówi Edwin.

Arvid uznał, że to przesada. Jak to za wszystkich?

Edwin nigdy nie wie, co ma powiedzieć Arvidowi. Rozumie, że tamten woli siadać obok Hugona, żeby się z nim przekomarzać, albo przy Ottonie, z którym może gadać o rybach. Mogliby rozmawiać o nartach, on z Arvidem, ale zdania z jego ust wychodzą jakby ucięte w połowie. Ma nadzieję, że to nie wiąże się z tym, co zdarzyło się Arvidowi. Tak jakby powinien coś na ten temat powiedzieć. Jakby to leżało na drodze i przeszkadzało. Nawet do Sofii nic takiego nie powiedział; jak się w ogóle mówi takie rzeczy?

Wiesz, był taki jeden w załodze, co miał brata, który... no właśnie, on znał kogoś... Tak jak jest. Co czyni świat małym i bezpiecznym zarazem. Choć to zabrzmiałoby jak plotki, jakby się wsłuchiwał w takie rzeczy, a przecież on tego nie robi.

Załóżmy, że Edwin byłby takim człowiekiem, który stuknąwszy się kieliszkiem, prosto w oczy pyta Arvida, jak to było, kiedy był chory.

Załóżmy, że nikt z pozostałych nie usłyszałby tego pytania, że między nimi wywiązałyby się rozmowa; przyciszone, skupione głosy.

A teraz jak się czujesz?

Arvid odpowiedziałby:

Nawet już o tym nie myślę.

Ale co to się wtedy stało?

Zakłócenie równowagi. W mózgu. A może w sercu. Ale coś takiego można naprawić. Trochę zabiegów, odpoczynku, lekarstw.

Nie wierzę, mówi Arvid, w coś takiego jak chwilowa bezradność. Jednak sądzę, że są ludzie, którzy cierpią na wrodzony brak wartości. Jak te rośliny, które nie mają dość siły, by wyrastać do słońca. Albo dom zbudowany z kiepskiego budulca – prędzej czy później się rozpadnie, jeśli nie całkiem, to częściowo.

Postradać rozum, tłumaczy Arvid, to jak być zbudowanym z kiepskiego drewna.

Ale ja jestem solidny. Dlatego wyzdrowiałem. To jest dowód.

Zapomniałem Gorana Fredrikssona, który leżał w łóżku obok mnie. Zapomniałem jego oczy. Takie oczy trzeba zapomnieć. Można wybierać swoje wspomnienia. Swoje myśli. Ja wybieram myślenie o przyszłości, a nie o tym, co było.

To właśnie powiedziałby Arvid, gdyby Edwin był jednym z tych śmiałych, lubiących pytać ludzi.

Ale nie jest.

Gazety piszą, że ten nagły wybuch wiosny jest przejściowy. Rozmawiają o tym przez chwilę. Spóźnione prace polowe. Nawet jeśli takie rzeczy już ich nie dotyczą. Barbara opowiada, że Tommy Steel stracił przytomność, kiedy napadło go kilkaset rozhisteryzowanych dziewczyn (jak dziewczyny mogą się tak zachowywać? Sofię przebiega dreszcz, cytat „brutalne pieszczoty” nie może jej wyjść z głowy), SIF, klub piłkarski z Sandviken, przegrał z drużyną z końca tabeli, Harry Martinson przemawiał na wiecu pierwszomajowym w Sztokholmie... W Niemczech Zachodnich ludzie demonstrują przeciwko broni atomowej; Arvid uważa, że solidna obronność jest ważna, Ruscy mogą w każdej chwili tu przyjść; Hugo potrząsa głową, żaden Ruski tu nie przyjdzie, to tylko propaganda, żeby mieć nas wciąż pod kontrolą... Bzdura, mówi Arvid, przedrzeźnia go: Mieć pod kontrolą. Czy myślisz, że jesteśmy marionetkami? Ależ ta polityka jest nudna, protestuje Barbara. Mają wyprzedaż garsonek w Sanko, zwraca się do Lillemor... Ach tak, mówi grzecznie Lillemor; nie jest specjalnie zainteresowana garsonkami (co za dziwna dziewczyna, prawie zawsze w spodniach, a przecież moda damska jest tak fascynująca)... Widziałam niedawno dobry film, odzywa się Lillemor. *Komu bije dzwon*, chrząka, dlaczego zdania są takie krótkie, zdyszane, wszystko chce tak szybko ją opuścić.

W kinie? pyta Emilia. Kiedy?

No... przedwczoraj.

Myślałam, że byłeś u Mony się pouczyć.

Wcześniej skończyłyśmy, odpowiada niepewnie dziewczyna.

Chciałem przeczytać tę książkę, mówi Hugo, ale się nie złożyło. To jest o Hiszpanii, o wojnie?

Lillemor kiwa głową.

Chyba Norrköping zgarnie złoto, mówi Carl do Edwina.

Właśnie, przyznaje Edwin. Na pewno.

Otto szturcha Emilię w bok.

Ale ona duża się zrobiła, Lillemor. To już młoda dama.

Czy ona nie ma w oczach czegoś, zastanawia się Barbara, co przypomina Karin?

Sofia szybko włącza się do rozmowy.

Ty chyba nigdy nie spotkałaś Karin.

Widziałam fotografie...

Sofia myśli, że to jest coś całkiem innego. Fotografie. No pewnie. Jak ta z jej dłonią trzymaną przez Milтона. Albo ona i Arvid przy tamtej chacie, nie pamięta już, gdzie to było – Grövelsjön albo Sångliden, była mocno opalona, Arvid stał tuż obok, oboje uśmiechnięci, a Karin dopiero co umarła i nikt nie jest w stanie zobaczyć tej przepaści, różnicy między zdjęciem i rzeczywistością.

Wydaje mi się, że ona jest bardziej podobna do Maksa, mówi. Przez te włosy.

Skinieniem wskazuje Lillemor; dziewczyna trzyma się ramienia Hugona, a powinna Maksa; wszędzie obrazy, które nie zgadzają się z rzeczywistością.

Studiuje fizykę, mówi Emilia. Czy już to mówiłam?

Fizykę?... Boże, to musi być bardzo nudne!

Barbara przesadnym gestem unosi dłonie do policzków.

Karin najbardziej była zainteresowana zwierzętami, mówi Sofia. Pewnie chciałaby przejąć gospodarstwo.

Tak myślisz? pyta Emilia.

Czy ona nie ma narzeczonego? pyta Otto.

Ależ nie, Lillemor? Skąd, ona jest zajęta innymi rzeczami.

Na przykład chodzeniem do kina, mówi ze śmiechem Otto.

O, jak mi brakuje przyjęć, wzdycha Barbara, wznosząc oczy do góry.
*Die Feste in Deutschland*⁴⁸... Szkoda, że tego nie widzieliście...

Oj, robi się już późno, przerywa jej Sofia.

Naprawdę? Hugo uśmiecha się. A ja myślałam, że wieczór jeszcze młody.

Też tak mi się wydawało, mówi Arvid. Nagle się zgadzają.

Otto pomaga Barbarze włożyć zielonkawy popelinowy płaszcz.
Futrany kołnierz z króliczego futra, dopasowana mufka.

To musiało sporo kosztować, szepcze do niego Sofia.

Otto wzrusza ramionami.

Ech, mówi. Nie tyle, co telewizor Edwina.

Sofia myśli, że mimo swoich wyjazdów Otto jest więcej w domu niż Arvid. Ludzie chyba nie mogą tego zrozumieć.

Zajrzyj do nas kiedyś, tak dawno nie byłaś!

To Hugo ją dogonił.

Ależ tak, chętnie, odpowiada Sofia.

Zapraszamy serdecznie. Tak rzadko się widzujemy.

Wypił za dużo. Zarówno on, jak i Emilia piją za dużo.

Nie bądź natrętny, Hugo, mówi Emilia.

Sofia uśmiecha się. Nie rozumie, jak można być tak grubym jak on. Czeką na Arvida, który wdał się w rozmowę z Edwinem, czy raczej monolog, słyszy, że chodzi o nowy wyciąg narciarski, napędzany spalinowym silnikiem, który zastąpił tamten, wybudowany przez Edwina – ze starego silnika samochodowego i złomu – kilka lat temu. Sam kupił linę, brał po dwie korony za dziesięć jazd, to był kiepski interes, ale Edwin nie przejmuje się takimi rzeczami, za to Arvid lubi to roztrząsać i się napawać. Zbudowali chatę na szczycie stoku, Sofia słyszy jego głos, zaczęli też budować jeszcze jedną, bardziej stromą trasę obok, będzie miała oświetlenie... Zarówno trasa, jak i chata. Edwin markotnieje. Sofia chce zawołać Arvida. Przez krótką chwilę stoi sama na podwórku, przy szopie, mając za plecami brzozy i górę, nie odwraca się. Przybiega Christina, zarumieniona i rozbrykana, jest już późno, to widać po niebie, cieniach brzoź, górze, która dawno temu zgubiła z tyłu słońce.

Uspokój się, mówi do dziewczynki. Poprawia jej płaszczyk, jest z podszewką, o wiele za ciepły. Dziewczynka chce biec dalej, Sofia czuje to w dłoniach, ale trzyma mocno tkaninę, niezapięte guziki. Dziewczynka nie może przestać mówić, kręcić się. Barbara przechodzi obok nich i rzuca, że jej nie poznaje, zwraca się do Christiny: Ty jesteś przecież zawsze taka grzeczna, czyż nie jest taka? To wszystko mówi od niechcenia, mijając je nonszalanckim krokiem. W powietrzu unosi się obłok perfum. Sofia mówi surowym głosem: Ależ mówiłam, że masz się uspokoić. Przychodzi Carl i przytrzymuje dziewczynkę, wygląda tak dorośle w starej sportowej kurtce Arvida, którą musiała załatać na łokciach kawałkami skóry. Stoją razem i czekają na Arvida.

No chodź już.

Dobra, dobra. Zawsze to samo.

Spogląda na Ottona, ten posyła mu spojrzenie pełne zrozumienia.

Mogę prowadzić? pyta Lillemor.

Hugo rzuca jej kluczyki. Arvid się śmieje.

Pomyśleć tylko, że ona już jest taka duża.

Zobaczymy się wkrótce, woła Emilia do Sofii.

Tak, oczywiście, jesteście umówione, odpowiada Sofia.

Dziękujemy za ten wieczór, braciszku, woła Otto. Do widzenia!

To ja dziękuję, mówi Edwin, ale jego głos niknie na wietrze. Wieje chłodem. Nieco niżej leży gospodarstwo, w którym się wychowali, między domem i stodołą stoi tam lśniący czerwony traktor.

Sofia widzi, jak Edwin odwraca się i wchodzi do domu.

Lillemor mówi

Co roku u Edwina Lillemor rozgląda się dokoła i szuka podobieństw. Między Karin i nimi, między nią i nimi, między Karin i nią. Co roku wyjeżdża od niego, nie znalazłszy nic oprócz różnic.

Za oknami wieżowca na Hyttgatan jest ciemno. Neon nad Centrum Radio, sklepem na parterze budynku, świeci na czerwono. Emilia wreszcie usiadła. Lillemor zbiera się w sobie. Nawet nie zauważyła, że Hugo nie zdążył puścić płyty... Całe jej ciało pulsuje, jakby serce było w każdym zakątku.

Mówi:

Jest coś, co chciałam wam powiedzieć.

I dalej:

Nie wiem, dlaczego jestem taka zdenerwowana... Ale najpierw chciałabym podziękować za ten dzień, chcę podziękować za wszystkie dni, jakie mogłam spędzić tutaj z wami.

Nie, nie zamierzam się wyprowadzić... albo może... chyba tak... Pewnie tak w końcu będzie. Kiedyś. Ale nie wiem, czy... (Bierze głęboki oddech.) Tak czy inaczej. Rety... Dlaczego jestem taka zdenerwowana?

W każdym razie... ja mam... Sytuacja wygląda tak, że... przed kilkoma tygodniami...

Nie, nie jestem w ciąży! Cicho, słuchajcie, błagam was! (Śmieje się nerwowo.)

Poznałam kogoś.

To znaczy mężczyznę... (czerwieni się)... Przestań, Hugo... niech będzie chłopaka... ale tak chyba też nie można powiedzieć?

Ech, nie patrzcie na mnie w ten sposób, nie mogę powiedzieć już nic więcej. Przestań, Hugo!

Ma na imię Sten. Sten Malmborg. Jest synem aptekarza, wiecie kogo... Jest o dwa lata starszy, pracuje u swojego ojca, chce zostać lekarzem... Zostanie lekarzem.

Nie patrz tak, Hugo! To dobry... chłopak... Och, już sama nie wiem, jak mam powiedzieć.

Spotykamy się od ponad miesiąca... Prawie dwa miesiące, jeśli dobrze policzyć...

No, trochę się z tym kryłam, ale nie kłamałam, ja tylko... ja po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć...

Nie wiedziałam, jak to będzie. Nie wierzyłam... Ktoś taki jak on... Przyszły lekarz... i ja. Ale teraz. Teraz wygląda na to, że...

Nie, nie wiem, czy się pobierzemy. To znaczy. Jeszcze nie teraz. Ale chyba dlatego o tym mówię. Bo to wygląda na coś poważnego. I musicie się dowiedzieć prędzej czy później. Że tak wygląda sytuacja. Ech. Chyba za dużo mówię. Ale...

Ale uważam, że on jest cudowny. (Spuszcza wzrok.)

I... Ech... To tyle chciałam powiedzieć. Teraz już wiecie.

Tak, tak myślę, Hugo. Ale właściwie nie możesz pytać o takie rzeczy.

Przestań mnie łaskotać!

Hugo, przestań!

Wyglupiają się, Lillemor jest znów dziewczynką, dzieciakiem, choć właściwie nigdy nie była bardziej Lillemor Andersson niż właśnie teraz.

Hugo podnosi ją nad podłogę, wirują razem. Dziewczyna piszczy z radości. To ma być radosna scenka rodzinna. Emilia wie, że Hugo nie jest szczególnie ucieszony. Nie może być. Chłopak z Hedgrind! To... snob! Ale to słowo jest za słabe. Hugo mógłby pewnie coś jeszcze o nim powiedzieć, nazwać go kapitalistą albo przynajmniej burżujskim szczeniakiem. Ale w tej sytuacji byłoby to równie nie na miejscu. Podczas tej rodzinnej scenki. W tym wirowaniu. Po podniosłej przemowie Lillemor. Jakże ona dobierała słowa: Zostanie doktorem, to dobry chłopak, jest cudowny. Jak z groszowej powieści. Jak gdyby byli jakimś jury, które trzeba przekonać. To głupie, powinna skwitować to pogardliwie. Przynajmniej Irma by tak zrobiła. Brednie! Wariactwo!

Od uśmiechów Emilię aż bolą policzki.

Ależ to wspaniale, Lillemor; wydaje się jej, że tak właśnie się powinna odezwać.

No to musimy wznieść toast, mówi. I dodaje: Za miłość! Myśli, że zabrzmiało to ironicznie. Myśli to głosem Army.

Kiedy wypili, dziewczyna nie bardzo wie, co ze sobą zrobić, zwykle siedzi obok Emilii, otoczona jej ramieniem, ale teraz ona, Emilia, jakoś inaczej siedzi, ramiona ma wyciągnięte na boki, cała sofa jest jej, niedostępna...

Sten... zaczyna Emilia, jakby kosztowała jakiejś nowej potrawy. Sten Malmborg...

W wazonie na stole stoją trzy czerwone róże. Do jutra zwiędną, zawsze tak jest z różami, nie lubią, kiedy je się ścina.

Czy to nie zabawne, że on ma na imię Sten? mówi dziewczyna, kręcąc się wokół sofy.

Co masz na myśli? pyta Emilia.

Hugo zaczyna się śmiać. Dźwięk dochodzi z tyłu. Jak szum.

Jak ty... mówi Lillemor niepewnie. Sten...

Sten Steen! parska Hugo.

Ach tak, rzeczywiście, mówi Emilia. To naprawdę zabawne. Znów rozciąga usta w uśmiechu. Czy nikt nie widzi, że to tylko grymas? Czy Hugo nie mógłby powiedzieć czegoś o mieszkańcach Hedgrind, lekarzach... poprzekomarzać się trochę z dziewczyną... nie tylko podnosić ją, kręcić się i śmiać, jakby przez to wszystko sygnalizował radość, kiedy on po prostu nie może się z tego cieszyć.

Lillemor Andersson. Karin Lillemor Andersson. Córka Maksa i Karin Anderssonów. Urodzona pierwszego września 1939 roku. Nie słuchała wtedy radia, Emilia, nie wiedziała nic, była zajęta ogłoszeniem o kursie maszynopisania i stenografii, które wisiało w sklepiku. Nie wiedziała, że na świecie pojawiła się dziewczynka, że Karin umiera; dowiedziała się dopiero dzień później, kiedy Max biegał po lesie, aż sąsiad go zobaczył i zatrzymał, aż żona sąsiada zajęła się biednym maleństwem – jak długo wtedy płakałaś, Lillemor?

Ja nigdy nie pozwoliłabym ci płakać, Lillemor.

Ani jeden raz nie płakałaś pod moim dachem.

Em? mówi ostrożnie dziewczyna. O czym myślisz?

Ech, jestem po prostu trochę zmęczona.

Uśmiecha się. Otwiera ramiona. Lillemor mości się w nich wygodnie.

Wszystko będzie dobrze, mówi Emilia i gładzi Lillemor po plecach. Moja kochana, wszystko się ułoży. Ale ona się śmieje! Lillemor siedzi w objęciach Emilii i się śmieje.

Lillemor wyglądała, jakby tańczyła po pokojach

Szeleszczenie pod poduszką, kiedy Lillemor się budzi lub odwraca na drugi bok, to listy wydają ten odgłos. Dość dziwna kryjówka, ale ona włożyła je tam na początku i tak już zostało. Znalazła listy wśród rzeczy po Karin. Nie były porządnie poskładane i obwiązane czerwoną wstążką, ależ skąd, leżały przemieszane bezładnie w kartonowym pudle. W kartonie był też sweter (Lillemor wtuliła nos w dzianinę, ale poczuła tylko zapach dusznego strychu), zepsuty naszyjnik z pereł, cały naszyjnik z pereł (który Lillemor wsunęła do kieszeni), prześcieradło z monogramem: K.A. (niezbyt starannie wyhaftowanym). Poszewka. Halka. Książka kucharska z nieporozcinanymi kartkami. Dwie pary pończoch; jedne grube, jedne cienkie. Drobiazgi. Żadnego porządku. Nic nie było złożone ani zapakowane. Lillemor szukała perfum, fotografii. Znalazła listy. Niektóre wyglądały na nieprzeczytane, żadnych śladów łez, plam, zgięć. Ale wszędzie ten sam nieporadny, gorączkowy charakter pisma, te same niezręczne, żenujące wyznania miłosne. Zawsze podpisane: „Twój Max”. Nigdy nic bardziej fantazyjnego. Listy ociekały przegadaną romantyczną miłością.

Kochana moja Karin.

Listów od Karin nie znalazła. Kiedy zapytała o nie Maksa, próbował wyrwać jej pudło. Miał tak przygnębiającą minę, że była bliska wypuszczenia kartonu z rąk. Biedny tatuś. Póki sobie nie przypomniała, że między nimi nie było takiej czułości. Wtedy szarpnęła i pudełko wyśliznęło mu się z rąk. Już od dawna nie miała nic do stracenia, ale fakt, że miłość ojca do Karin była tak wielka, tylko wszystko pogarszał, trudno było to znieść, a przede wszystkim jeszcze trudniej zrozumieć. Dlaczego pojawiła się u nich Mildred? Dlaczego on udawał, że kocha kogoś innego? Dlaczego nie potrafił w ogóle kochać jej, córki Karin?

Kiedy Mildred wpadła do pokoju, żeby go bronić, i Lillemor zobaczyła, jak on chwyta się jej dłoni, zaczęło w niej wzbierać coś nowego i innego. I kiedy w końcu Mildred ostrym tonem rozkazała Lillemor, żeby przestała się kłócić ze swoim biednym ojcem, miarka się przebrała. Już od jakiegoś czasu oddawała się marzeniom, że ucieka z domu, i nie były to banalne dziewczęce fantazje, tylko chłodne i konkretne plany, a kiedy znalazła pudło z listami, zaczęło się w niej kłębić tyle sprzecznych myśli i odkryć, że Lillemor poczuła, iż się dusi:

1) ogromna miłość Maksa do Karin;

2) ta ogromna miłość Maksa do Karin niekoniecznie musiała być odwzajemniona;

3) ta ogromna miłość Maksa do Karin niekoniecznie musiała być prawdziwa;

4) ta ogromna miłość Maksa do Karin była tylko pojmaniem. A wielka miłość była pretekstem i kłamstwem.

Miłość jako pojmanie. Żeby nie upaść.

Gorączkowe chwytywanie się na oślep czegoś wokół siebie. Żeby znaleźć: Mildred! Mildred Strid z jej rozwichrzonymi włosami i skrzywionymi ustami.

W środku tego wszystkiego Mildred Strid, która mogła być kimś innym. Należało wybrać miłość jako wieczny smutek. Miłość jako krzyk bez odpowiedzi. Kiedy Lillemor pakowała swoją walizkę, była niesłychanie, wręcz boleśnie rozsądna jak na swój młody wiek. A ojciec zachowywał się jak pies, pod każdym względem. Nie można żyć z psem w roli ojca. Poza tym ona i tak nigdy nie mogła żyć ze swoim ojcem, tak myślała, przekraczając próg, ale kilka marzeń i trochę tęsknoty czasem wystarcza, żeby przeżyć. I Lillemor wymknęła się w noc, choć wcale nie musiała się wymykać.

Lillemor Malmborg. To wcale nie brzmi tak źle. Doktorowa poza tym. Doktorowa Malmborg, bardzo mi miło. Lillemor leży w łóżku, nie chce wstawać, zanim oni nie wyjdą do pracy. Choć oczywiście ona też będzie robiła coś własnego. Skończy studia z fizyki, nie ma nic przeciwko temu, żeby zostać nauczycielką, choć najbardziej chciałaby pracować naukowo... zajmować się astrofizyką... kosmosem... to byłoby coś niesamowitego zrozumieć wszechświat! Co się dzieje w pobliżu czarnych dziur, jak powstają gwiazdy. Bakalaureat... Magisterium... Doktorat... Przecież teraz są kobiety policjantki i nawet jeśli czasem ktoś na nie pluje, nadal wychodzą na patrole, i to daje nadzieję. Dzięki wojnie kobiety mogły pokazać, że potrafią robić różne rzeczy. Już nic nie musi być niemożliwe, jeśli człowiek zrobi wszystko, żeby to osiągnąć. Lillemor myśli, że kiedy już naprawdę będą razem ze Stenem, wtedy będzie miała więcej odwagi, żeby coś robić; chciałaby bardziej zaangażować się w politykę, nigdy nie zostanie gospodynią domową, co za okropne słowo i los! Ale odkąd spotkała Stena, zaczęła się zastanawiać, czy ona naprawdę ma w głowie jakieś własne poglądy... Sten myśli zupełnie inaczej o różnych sprawach, na przykład uważa, że nie każdy zasługuje na to samo, podczas gdy ona zawsze myślała, że wszyscy mają taką samą wartość – niezależnie od tego, skąd pochodzą – i zło na świecie bierze się stąd, że ludzie tego nie widzą. Ale to przecież słowa Hugona: solidarność i rewolucja, i te rzeczy, co ona wie o tym, co sama sądzi? Nawet jeśli czuje coś w pewien sposób, to wcale nie musi znaczyć, że to jest prawda! Zresztą to nie wina Stena, że jego ojciec jest bogaty, że w jego rodzinie wszyscy byli zamożni.

Na to ani Hugo, ani ona nic nie mogą poradzić, ani też rodzina Malmborgów. Najważniejsze, żeby było spokojnie i bezpiecznie, myśli Lillemor. Nie chce, żeby dyskutowali czy krzyczeli na siebie, jak czasem zdarza się Emilii i Hugonowi. Albo ciągle zalewali się nawzajem lepkiemi, może wręcz fałszywymi miłosnymi pieniami.

Wreszcie słyszy ich w przedpokoju. Słyszy Emilię: Czy mamy ją obudzić? Na szczęście Hugo mówi: Nie, pozwólmy jej jeszcze pospać.

Dopóki dziewczyna jest tam w tym pokoju, w łóżku, na brzuchu – jak zwykle leży, nakryta kołdrą, ze zmierzwionymi włosami... Dopóki ona tu jest... to...

To co? pyta Irma. To co dalej?

Ty tego też nie zrozumiesz, odpowiada w myślach Emilia. Nie rozumiesz, jakie to cudowne, mieć u siebie dziewczynkę.

Jest zimno. Emilia, wchodząc, mówi o tym Hugonowi, jakby sam tego nie wiedział. To zabawne, że pora roku może się spóźnić, dodaje... Że człowiek musi czekać i czekać...

Hugo posyła jej nieobecny uśmiech. Zajęty swoimi pociągami i ołowianymi figurkami. Jego palce – mały pędzelek – małe wagoniki i ludzie – małe farbki, niebieska i zielona. Siedzi blisko, pochylony... Skoncentrowany. Jego paznokcie są okropnie brudne, choć myje je starannie twardym fabrycznym mydłem. Żelazo, olej, sadza. Pod paznokciami palców, które dotykają tak małych, maleńkich przedmiotów. Malują wagon towarowy z budką hamulcowego.

Jak było dzisiaj? pyta Emilia.

He, he, rechocze Hugo. Wspaniale, rzecz jasna. A u ciebie?

Jak zwykle, odpowiada Emilia. Żadnemu z nich to się nie oplaca. Po co opowiadać rzeczy, które zawsze są takie same? Ta sama tęsknota, żeby wreszcie była sobota, sobotni wieczór. Ale choć Hugo zjadliwie wszystko krytykuje i twierdzi, że jest ofiarą kapitalizmu, ona jest w stanie odczuwać pewną radość. Z najzwyklejszych rzeczy, rutynowych. Że może wracać do domu. Że tęskni do powrotu do domu. Potrafi odczuwać radość z drobnych przemian wewnątrz i na powierzchni rzeczy zwykłych i codziennych. Zauważyć ciepło w głosie i że ono pojawia się samo z siebie, kiedy woła:

Lillemor, jesteś w domu?

Ona się uczy, mówi Hugo.

Wymieniają uśmiechy. A Emilia oddycha z ulgą. Nie musi zaglądać. Choć mimo to chciałaby otworzyć drzwi, tylko żeby sobie to potwierdzić.

Od tego dnia, kiedy dziewczynka stała za drzwiami jak cud, Emilia czuje radość, niemal przyzwyczała się do radości.

Miała wtedy pokój z wnęką kuchenną na Storgatan, na drugim piętrze. Hugo niedawno wprowadził się do niej, to nie było nic oficjalnego, raczej tak wyszło – Hugo się zasiedział, a pani Lundström, która wynajmowała jej pokój, była liberalna, poza tym lubiła Hugona Lindbloma. Emilia tak się cieszyła ze swojego samodzielnego pokoju, w pobliżu pracy, kin, cukierni Nowej; czasami chodziła tam na kawę ze Stiną Wiren. Nawet jeśli były tak różne, to zawsze było miło się spotkać, a Emilia nie miała nic przeciwko słuchaniu o dzieciach, choć sama ich nie miała. To raczej inni tak sądzili, zaczęli się użalać. Kiedy Hugo się do niej wprowadził, przeważnie spędzali czas we dwójkę. W jej pokoju było wielkie okno wychodzące na boisko, Hugo mógł z niego oglądać mecze. Razem siedzieli przy tym oknie. Kolacja i śniadanie. Przemiany w mieście. Zapach nowych budynków, nowoczesności.

Choć bardziej chyba jako uczucie niż zapach. Uczucie, które nie mogło się określić; nadal tego nie potrafi. Hugo uważa, że to dobrze, nazywa ją konserwatystką, kiedy mówi o swoich wątpliwościach. Kiedy próbuje mu wytłumaczyć, co ma na myśli – że miasto musi mieć historię, miasto po wojnie, po tym wszystkim (jakby z każdym nowym budynkiem chciało strząsnąć to z siebie) – wtedy on wymienia przykład pralni w piwnicy ich domu, mówi, że kobiety mają teraz o wiele lepiej, mają nowoczesne kuchnie, nie muszą pracować w zimnie i przeciągu, Emilio, a na to ona nie umie odpowiedzieć.

To było późne lato, kiedy dziewczynka się u nich zjawiła, wieczór. Najpierw siedziała w przykościelnym parku i czekała, póki nie upewniła się, że wrócili z pracy do domu, potem zaczęła jeszcze kwadrans, a może godzinę. Miała ze sobą owoce i kanapkę.

Emilia gotowała ziemniaki, a Hugo siedział na jasno-żółtej pluszowej sofie i czytał gazetę. Wspomnienia są ostre i wyraźne. Kolory jak w technicolorze. Emilia pamięta nawet jasnoniebieską bortę na dole firanki. Pukanie do drzwi, tak nagłe, że znieruchomiała. Automatyczne i jakby proszące słowa:

Kto idzie? O tej porze?

Kiedy otworzyła drzwi, z początku nie poznała dziewczynki.

Kiedy dziewczynka zauważyła, że Emilia jej nie poznaje, była bliska płaczu, ale rozsądnie pomyślała, że to zmniejszy jej szanse, więc przygryzła wargę i tak stała, kołysząc się w progu, aż wreszcie Emilia wykrzyknęła:

Ależ to Lillemor! I zawołała do wnętrza pokoju: Hugo, to Lillemor.

Wyraźnie było widać, że płakała. Że zagryzała wargi.

I głos Hugona z tyłu:

Lillemor? Podszedł do drzwi i powtórzył (niemądrze): Ależ...

Lillemor? Z pytajnikiem. Niezliczoną ilością pytajników.

A dziewczynka znów spuściła wzrok, dolna warga zaczęła niemal niezauważalnie drżeć.

Nie mam dokąd pójść.

Historia, która następuje po tym, jest nieskładna i niepełna, ale czego można wymagać od nieszczęśliwego dziecka? Mówiła o jakichś listach, mówiła o – jakiego to ona słowa użyła: pojmaniu? Wciąż stała w przedpokoj, światło z kulistej lampy padało prosto na nią, a mimo to wyglądała, jakby znajdowała się w cieniu. Czy on cię bił? Nie, nie. Zrobił coś... innego?... Hugo spurpurowiał na twarzy, kiedy zadawał to pytanie. Lillemor spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Coś innego? Czy on?... spróbował Hugo jeszcze raz. A ona zrozumiała bardziej z jego spojrzenia niż ze słów i zapewniła: Nie, nie!... Oczywiście i jasne były tylko jej uwagi na temat Mildred, macochy. Emilia i Sofia rozmawiały o Mildred niejednym razem, stała się – podobnie jak Barbara – obszarem, po którym mogły poruszać się dość swobodnie. Antypatia była w zasadzie odwzajemniana. Mildred nie była dobra dla dziewczynki... Tak określała to Emilia; Sofia uważała, że z dziewczynką trudno sobie poradzić, trzeba mieć trochę zrozumienia, mimo wszystko. W rzeczywistości Sofia prawie nie widywała jej po śmierci Karin, a te kilka razy Lillemor była onieśmielona i grzeczna, wcale nie tak narowista, jak Sofia chciałaby ją widzieć. Ale Mildred była wiecznie skwaszona, surowa, ubierała się w bluzki z wysoką stójką jak staroświecka nauczycielka. Gdyby jej włosy się tak nie kręciły, na pewno czesałaby się gładko, z przedziałkiem na środku. Ona nie ma za grosz poczucia humoru, stwierdził kiedyś Otto; trafił w sedno.

Sofia zwykle chciała jej bronić, że tam było coś strasznego w tle, wypadek samochodowy, ale kto nie przeżył strasznych rzeczy, zresztą, czy to usprawiedliwiałoby zadzieranie nosa i skąpstwo? Nawet Robert, który pojawił się później, nie mógł stanowić okoliczności łagodzącej. Oczywiście to smutne, ale przecież są dzieci z cięższym kalectwem.

Ale kiedy dziewczynka opowiadała o Mildred... a nie musiała wcale mówić dużo... to wystarczyło w zupełności jako wyjaśnienie. Dom bez miłości. Emilia popatrzyła na Hugona, ten skinął głową i dziewczynka mogła zostać. Już trzeciego dnia Emilia oświadczyła jej, że może zostać, jak długo chce. Wtedy skontaktowała się też z Maksem; usłyszała, że dziewczynka w ich domu rzeczywiście nie była mile widziana, dlatego on z wdzięcznością przyjmie pomoc (chciał płacić, ale Emilia odmówiła; jakoś sobie poradzą – może to dziwne, ale ona widziała w tym jałmużnę).

Lillemor wyglądała, jakby tańczyła przez pokoje – jej drobne ciało, jej zdziwiony śmiech, jej coraz bardziej zadomowione ruchy. Emilia mogła siedzieć i tylko na nią patrzeć. Jakby dziewczynka była jakimś spektaklem albo właśnie pokazem tańca, bardzo szczególnym. Choćby sposób, w jaki otwierała kuchenne szafki, wyciągała się, wyjmując talerze, szklanki. Drobne dźwięki, które wtedy powstawały.

Chodź do mnie, chcę się przytulić, mogła czasem powiedzieć Emilia. A Lillemor przychodziła, przytulała się.

A mogę prosić o całusa? I dziewczynka ich nie szczędziła, siedząc na kolanach Emilii, choć była już nastolatką.

Opowiedz coś, prosiła czasem. Jakby życie Emilii było pasjonujące. Opowiedz o tym, jak uciekłaś do Ottona do cyrku.

Wtedy Emilia opowiada o namiocie, o tygrysie, o Ottonie i obręczach – ale nie mówi, że nie mogła zostać, że Otto odwiózł ją do domu już na drugi dzień.

Ale dlaczego uciekłaś?

Dziewczynka szukała punktów stycznych i wspólnoty, ale Emilia szukała sposobu, żeby ukryć swoje słabości – nie mogła opowiedzieć o krawcu czy o panu Melinie (kiedy dziewczynka się dowiedziała, że Emilia uciekła także z Zakładów Wełnianych). Lillemor uważała to za przygodę, chciała być kimś podobnym, ale dla Emilii to było przykre i wstydlive – że zawsze wybierała ucieczkę i nigdy nie została, żeby walczyć. Ale teraz! Z dziewczynką w objęciach! Więc teraz nie mogła pokazywać tamtego, co było brudne i brzydkie. Musiała pokazywać inne rzeczy (choć trudno je było znaleźć).

Opowiedz więcej o Zakładach Wełnianych!

Emilia chciałaby mieć głos Karin i fantazję Sofii. Traciła pewność siebie, a wtedy przez cały czas była zbyt blisko rzeczywistych obrazów, wcale nie tak ciekawych i barwnych, jak by sobie życzyła. Mogła wprawdzie opowiadać o Irmie, ale to sprowokowałyby kolejne pytania i w końcu okazywało się niemożliwe. Nie chciała mieszać dziewczynce w głowie. Są takie bajki, po których dzieci nie mogą zasnąć, leżą przerażone i nigdy więcej nie mogą spać naprawdę głęboko. Z tego powodu Emilia składała na pół i chowała gazetę, zanim Lillemor rano wstała. O ile nie przychodzi akurat w chwili, gdy Hugo czyta, wtedy pyta, czy piszą coś ciekawego – to jakby rozdmuchiwać ogień, nigdy przecież nie ma nic ciekawego; tylko jedna okropność za drugą, które Hugo zaraz musi relacjonować. Bezrobocie, gangi młodzieżowe, a przede wszystkim wojna. Tu chodzi o niesprawiedliwość, Emilio, bronił się, kiedy ona kręciła sceptycznie głową. Właśnie takie rzeczy trzeba wiedzieć, żeby rozumieć, z czym trzeba walczyć, żeby nie zacząć walczyć ze sobą. Ale czy obraz świata nie staje się jeszcze bardziej wykrzywiony, kiedy się słyszy tylko o samych nieszczęściach? Ciemność sączy się i tak z każdej strony, więc dlaczego zamiast tego nie zbierać światła? Czy to źle, bronić czegoś, co jeszcze nie zostało uszkodzone?

Opowiedz, prosi dziewczynka, o tym, jak się spotkaliście, Hugo i ty!

To jest najprostsza, ale też i najnudniejsza opowieść.

No więc to było w zakładzie, naprawdę nic szczególnego.

Ale opowiedz, proszę.

Był sobie raz... Zmienia koncepcję. Nie, najpierw to było w stołówce pracowniczej, potrącił mnie przez nieuwagę, tak że przewrócił moją kawę, nawet tego nie zauważył, a potem poprosił mnie do tańca... no, oczywiście nie w stołówce, tylko w Parku Ludowym...

To było zakończenie sezonu, wtrąca się Hugo. Grupa Malmstena... *Jak pozdrowienia z zamorskich krain...* Sztuki na rowerach, ludzie gumy... Pamiętasz?

Poprosił mnie do tańca, ciągnie Emilia, i podeptał mi palce. Więc możesz sobie wyobrazić, że padłam jak podcięta sosna. (Śmieje się.) Widywaliśmy się wcześniej. Wieki temu. W Järbo. Ale ja prawie go nie poznałam...

Bo tak utylęm, mówi Hugo, podciąga koszulę i wali w swój brzuch jak w bęben.

Tak czy inaczej, mówi Emilia, w tamtych czasach nazywali go Bakunin, bo był podobny do pewnego...

To było w Café Łabędź, przerywa jej Hugo. Emilia ciągle tam przesiadywała z Irmą.

Irmą? pyta dziewczynka.

Tak, tak, potwierdza Emilia.

Byłyście takie eleganckie obydwie... Ty byłaś taka elegancka, poprawia się Hugo, uśmiecha się. Tak właśnie powiedziałem, kiedy ją poprosiłem do tańca. Że wydaje mi się taka elegancka.

Tak powiedziałaś? zapytała dziewczynka.

Wcale nie, protestuje Emilia.

Nie, przyznaje Hugo, na to byłem za bardzo onieśmielony. Ale można udawać.

Ale przecież ty nie jesteś nieśmiały, dziwi się dziewczynka.

Można być nieśmiałym tak, że tego nie widać.

Po mnie zawsze widać.

Lillemor wzdycha.

Ty chyba działasz zupełnie odwrotnie, mówi Hugo. W samym środku nie jesteś ani trochę nieśmiała. Ale ukrywasz to, żeby nikt tego nie zobaczył...

E tam, śmieje się dziewczynka, zażenowana, a Emilia się złości, że Hugo zasiewa w niej niepokój. Hugo siada obok nich na sofie. Jest o wiele za ciasno, powinien to rozumieć, ale to ona musi się przesunąć.

Opowiedz, jak wy się poznaliście, Lillemor! Ty i Sten! To by było ciekawe.

Inna Emilia. Zza gęstwiny emocji i urazy. Teraz entuzjastycznie klaszcze w dłoń.

Pomyśleć tylko, przyszły lekarz! No popatrz, jakie mamy szczęście, Hugo!

Wyobraża sobie, że tak właśnie reagują prawdziwi rodzice. Prostują się z dumą na wieść o sukcesach dziecka – nawet jeśli tylko na rynku matrymonialnym. Och, wcale nie tylko, słyszy głos Barbary, jakby akurat ona była odpowiednią osobą, żeby się wypowiadać na ten temat, przecież ona w gruncie rzeczy popełniła megalomanię. Z willi z ogrodem i jeziorem do domku szeregowego na Bågspannarvagen. Dwa pokoje – i w tym drugim miałyby mieszkać dziecko? A wy? Emilia słyszy echo głosu Barbary. Wy tylko pożyczycie dziecko. Lillemor jest tylko wypożyczona.

No, słuchajcie, mówi Emilia. Teraz idziemy spać. Ale oni jej nie słyszą. Teraz Hugo opowiada. Dziewczyna siedzi przy nim i słucha z wielkimi oczami.

Opowiedz jeszcze, prosi. Opowiedz o twoim dziadku, co pojechał do Hiszpanii...

Łazienka to jedyne pomieszczenie, gdzie można zamknąć za sobą drzwi i pobyć samemu. Emilia przed lustrem. Czasami stoi tam też Hugo. Czasami stoi nagi przed tym wielkim bladym ciałem, tym nadmiarem; stoi wewnątrz tego wszystkiego, co jest nim. Wszędzie: ciało. Którego dotyka, które ugniata. Naprawdę to robi? Czy cofa się, tak samo jak ona? Umyka przed tym obrazem. Emilia nigdy nie dotyka swojego ciała. Tak jak na przykład Annika z biura, choć to taka inteligentna dziewczyna. Nie stoi tak jak Annika i nie komentuje: Patrzcie, jak ja wyglądam! Popatrzcie, jakie tłuste uda. Choć wcale takie nie są. To po prostu ciało. Normalne ciało kobiety. Tu nie chodzi o to, żeby tak je manifestować. To dobrze, że ona się takimi rzeczami nie przejmuje. Ale chciałaby nie czuć tego przykrego dreszczu, gdy myśli: To jest moje ciało... ciało Emilii... Kiedy imię, głowa łączą się z ciałem; tymi pełnymi wgłębieniami udami, nędznymi, płaskimi piersiami, sflaczałą skórą na ramionach... Ona jest tym. Starzeniem się i płcią, tak samo, jak jest swoimi myślami. I tego nie potrafi znieść.

Narzuca szybko szlafrok; próbowała tłumaczyć Hugonowi, ale oczywiście nie umiała wyjaśnić wszystkiego. A on tylko kręcił się niespokojnie, mówił, że jest piękna, cokolwiek mógł mieć na myśli; dlaczego wydaje mu się, że te słowa mogą pomóc? Albo się zdenerwował, powiedział, że to nie ma żadnego znaczenia, że prywatne ciało jest przemijające. Liczy się nie indywidualne ciało, tylko kolektywny organizm. To, co możemy zrobić razem. I wtedy nie należy pozwalać, żeby nasze własne braki nas paraliżowały, nie należy zafiksować się na ich punkcie, bo wtedy stawiamy się z boku. Wtedy mówimy, że to, co własne, jest większe niż wspólne. NIE. To nie to Emilia chce powiedzieć. Ale jak może to wytłumaczyć? Jak może wytłumaczyć, że chciałaby umieć... coś, co Hugo najwyraźniej potrafi... Żeby w tej samej chwili, kiedy się widzi siebie, nie musieć być widzianym. Nie rozumiesz? Chodzi mi o to... że można postrzegać siebie samego jako coś tak całkowicie oczywistego, że to przestaje być czymś szczególnym. Ale nie, ona tylko potrafi wymamrotać do Hugona, że to jest uczucie, i jako takie jest czymś abstrakcyjnym, zamkniętym i przez to głupim. Myśl można gruntownie przemyśleć, odpędzić, wymienić na inną, ale uczucie... może być najpaskudniejsze i jak najbardziej fałszywe, a mimo to nie znika.

Karin urodziła dziecko. Ciało Karin było stworzone, żeby donosić dziecko. Ciało Karin było ciałem dziewczynki. Nie wystarczą te objęcia, te kolana, dwie ręce – jakby oderwane i przypadkowe; dwie ręce, które otulają kółdrą, głaszczą po włosach, nie płacz, choć ona nie płacze.

Nie mogą zasnąć, Em.

Pomyśl o czymś pięknym. Pomyśl o białych chmurkach, śpiewie ptaków, pomyśl o truskawkach z bitą śmietaną.

Emilia ma przed oczami Karin, kiedy Lillemor opowiada o Stenie. Składa ręce, śmieje się tym łagodnym śmiechem – ale to wszystko tak zwrócone do środka, jakby przede wszystkim miało bawić ją samą... Może to właśnie taki kierunek jest najlepszy, żeby człowiek nie musiał się niepokoić czy denerwować z powodu wyborów, których dokonują inni. Choć to nie z powodu wyboru jest taka zdenerwowana.

Emilia szybko szczotkuje swoje krótko obcięte włosy. Smaruje twarz kremem. Jest oprawiona w ramę lustra. Odcięta od ciała. Łatwiej to znieść.

Różnica, myśli Emilia, jednak nie polega na tym, że to Karin jest mamą dziewczynki, ta różnica to fakt, że Karin i Emilia to dwie kompletnie inne osoby. Gdy śmiech Karin zawsze rozbrzmiewał dokoła, dłonie Karin zawsze dosięgały tego, po co się wyciągały, dłonie Emilii nigdy do niczego nie dostały... bo nigdy nie wiedziały... bo nigdy tak naprawdę nie mogły się określić jako: dłonie Emilii.

Lampa świeci nad pościeloną podwójną sofą. Emilia szybko zdejmuje szlafrok, ale on i tak zdąży spojrzeć; zawsze zdąży. Zatrzymuje wzrok. A ona pośpiesznie wślizguje się pod kołdrę.

Kocham twoje ciało, wiesz o tym, mówi Hugo i całuje ją w ramię. Hugo jest miły. Ale im częściej to mówi, tym mniej jej ciało należy do niej. Myśli, że byłoby lepiej, gdyby nic nie mówił. Gdyby to nie musiało być takie ważne. Gdyby tu nie chodziło o ciało.

Ale to nieuniknione, że on go dotyka. Dotyka jej. Emilio. Całuje.

Jesteś piękna, mówi, a ona nie lubi, kiedy jego głos tak brzmi. Głęboko, inaczej. Dyszy, nie tak bardzo, ale ona uważa, że to brzmi sztucznie, jakby myślał, że powinien to robić. Kiedy jej dotyka w taki sposób, jak mu się wydaje, że powinien. Chce czegoś od niej. To się dzieje na zewnątrz. Ale czego chce ona, która jest poza tym? Chce w to wejść czy odsunąć się jeszcze dalej? Pragnie, żeby już było rano. Pora nakrywać do śniadania. Hugo i jego szeleszczenie gazetą. W tle gra radio. Zapach świeżo parzonej kawy. Przytłumione poranne głosy wymieniające proste słowa. Może on opowie, co piszą w gazecie; Emilia lubi, kiedy Hugo angażuje się w jakieś sprawy. A niech to jasny szlag trafi. Cholerna fabryka, przeklęta zasrana dziura! Wtedy staje się kimś zupełnie innym. Nie jest jakimś niegroźnym kolektywnym ciałem, tylko kimś bardzo prywatnym. On nie powinien tego lubić. Powinien zamiast tego chcieć kochać inne ciało. Jego dłoń między jej udami.

Szszsz... Lillemor może usłyszeć, szepcze Emilia i ostrożnie odsuwa jego rękę.

Ale przecież nie robimy nic brzydkiego... To przecież... (jęczy) ...coś pięknego.

Emilia nie lubi, kiedy on mówi o tym w ten sposób; robi z tego jakiś moralny albo pedagogiczny uczynek, a przecież tak nie jest. Jego mlaskanie i jęki na policzku i przy uchu. Dłoń powraca, wkopuje się pod jej majtki. Ugniatanie jej piersi. Chciałaby nie mieć piersi.

Pan Melin, zamyka oczy i myśli. Odważnie myśli: Carl... Powtarza w duchu: Carl, Carl... W biurze Zakładów Wełnianych. Jest całkiem sam, jego ramiona opadły, myśli, że nikt go nie widzi. Jego chude, niechętne ciało. Emilia musi o nim myśleć. Jak się broni, choć tak naprawdę chce. Albo: ono nie wie, że chce. Zamieszkuje w nim bardzo niejasna tęsknota. Tęsknota to nie jest wola. On w tak samo niewielkim stopniu jest ciałem jak ona. Więc kiedy go pieści, zauważa, jakie to trudne... Dłonie ani chcą, ani nie chcą. Lecz pragną, drżą... Emilia myśli o panu Melinie, kiedy Hugo ją pieści, kiedy zdejmuje pizamę, kiedy próbuje w nią wejść, myśli, że to pan Melin, który – Boże, jakie to głupie! Co powiedziałyby Irma? Oczywiście zaczęłyby się śmiać... Z tych fantazji. Z pana Melina. A najbardziej z niej. Ależ głuptas, śmieje się Irma... A wtedy już się po prostu nie da. Hugo to zauważa, wzdycha...

No co jest znowu?

Przepraszam, mówi Emilia.

On znów wzdycha.

Jestem po prostu taka zmęczona, mówi Emilia.

Ja przecież też.

Odwraca się od niej.

Ona wyciąga rękę – może chce pogłaskać delikatnie jego ramię. Kocham cię. Ale Irma ją powstrzymuje.

On nie rozumie, mówi. On nigdy tego nie zrozumie.

Ta Ingrid Goude

Storsjön wylało, a lokalny klub piłkarski spadł z pozycji medalowych. Hugo wzdycha głęboko, jakby losy SIF naprawdę go dotyczyły. Odkłada gazetę i wyjmuje karton z pociągiem Märklina, kartkuje swój podniszczony katalog. Okładkę zdobi model pociągu i tory. Tory biegną w stronę skalnej ściany, góra wygląda nierzeczywiście, jest nierzeczywista, choć można pomyśleć, że cały sens tego powinien polegać na trzymaniu się rzeczywistości tak blisko, jak się da... albo żeby odbiegać od niej, na ile to możliwe. A nie takie coś pomiędzy. Góra, która miała wyglądać jak góra, ale jej nie wyszło.

Emilia składa pranie. Biegała schodami w górę i w dół; do pralni i z powrotem. Skarpety i bieliznę Lillemor składa starannie. Swetry, bluzki i spodnie Lillemor prasuje. Otacza ją gorąco bijące od żelazka. Kołnierzykom Hugona nie poświęca za dużo uwagi, bo wie, że on i tak się tym nie przejmuje, rękawy koszuli też są pełne załamań.

Czy myślisz, że nie jestem podobna do siebie? pyta go Emilia.

Nie, małeńka, wcale nie, odpowiada, nie podnosząc głowy. Wyciągnął instrukcję. Coś nie działa, jak powinno. System napędowy, sygnalizacja, elektryczne zwrotnice. Nazywa siebie modelarzem-kolejarzem. Nie przed nią, ale przy innych, którzy też się tym zajmują. Nie ma ich więcej niż pięciu, sześciu w okolicy. Nie są to ludzie, z którymi Hugo by się spotykał, gdyby nie pociągi.

Ma być pokaz na rynku pod koniec maja. Ale to nie gra większej roli, wywołuje tylko stopniowo rosnącą gorliwość, większe zaróżowienie grubych policzków. Książki zawsze leżą pod ręką na stoliku przy sofie, mają tytuły w rodzaju *2000 lokomotyw, Od koni parowych do pociągów ekspresowych* czy *Kolejnictwo*.

Annika powiedziała, ta młoda od nas z biura, wiesz, że wyglądam na zmęczoną.

Hmm.

Słyszałeś?

Co takiego?

Czy ja wyglądam na zmęczoną?

A jesteś zmęczona?

Nie sędzę, ale dzisiaj w nocy miałam dziwny sen.

To pewnie przez to.

Ostatnio źle śpię.

No to w takim razie dlatego, maleńka.

Hugo układa tory. Wypróbowuje scenariusze na pokaz. Wystawia kilka figurek. Tak blisko torów nikt by w rzeczywistości nie stał. To wygląda dziwnie z mozaikowym stołem pod choinkami.

Pamiętasz, kiedy dziewczynka do nas przyszła?

Jasne, że tak.

Ja nawet pamiętam, w co była ubrana.

Mmm.

W czerwony sweter robiony na drutach i brązowe rybaczki – choć było tak ciepło. Pamiętam nawet skarpety, Hugo. Oj, ależ były brudne, Emilia się śmieje.

Hugo uśmiecha się w roztargnieniu.

Te włosy... i płacz... ona naprawdę próbowała...

No.

A potem została.

Noo.

Czy spodziewałeś się tego, Hugo?

Hugo nie odpowiada.

Hugo?

Co takiego?

Czy spodziewałeś się, że dziewczynka u nas zostanie?

Nie, kto mógłby przypuszczać.

Co my byśmy zrobili wtedy, bez niej?

To nie jest pytanie do niego; Hugo kręci się na swoim miejscu, trudno jest zrobić to naprawdę dobrze.

Chyba jesteś głodny, mówi Emilia; on nie zauważa jej ironii. Gdyby zechciała, mogłaby być naprawdę podła. On kiwa tylko głową, tak, czemu nie.

Mogłam się tego domyślać, mówi Emilia. Za jej plecami stoi Irma i zanosí się od śmiechu. Tłusćcioch, szepcze poprzez śmiech. Przestań! odpowiada rozchichotana Emilia.

Może być odsmażany chleb? pyta, czy wolałbyś kielbaski?

Tak, czemu nie, mówi znów Hugo.

Ale co? dopytuje się Emilia.

O co chodzi?

Kielbaski czy smażony chleb?

O, to już ty wiesz najlepiej, mówi Hugo. Emilia idzie po pomarańczowym trzcinowym dywaniku, podchodzi do patelni. Gdyby Lillemor była w domu, śpiewałaby, wyjmując rzeczy z szafki, śpiewałaby przy krojeniu chleba, smażeniu, nakrywaniu stołu.

Emilia pracuje w dziale sprzedaży zagranicznej i używa dyktafonu, odkąd go wprowadzono – szef nagrywa na woskowych walcach komunikaty i listy, które ona potem przepisuje. Jest tak wdrożona w rutynę tej pracy, że młodzi traktują ją niemal jak część wyposażenia biura, ale ona sama nigdy by nie powiedziała, że jest jedną z najstarszych. Od pojawienia się dziewczynki jej plecy się wyprostowały – gdy brakowało jej sił, gdy ktoś szorstko ją traktował, natychmiast zbierała się w sobie, myśląc: Dziewczynka! Myśląc: Kiedy wrócę do domu, będzie tam Lillemor! Ale gdy Annika powiedziała... właśnie to: niepodobna do siebie... Że to nawet już widać... że ona nie potrafi być kimś bez tej dziewczyny. To było jak cios. Jakby zniecka straciła grunt pod nogami i spadała... leciała w dół przez wszystkie warstwy siebie. I gdzieś z samej głębi dobiegał jasny i wyraźny dziewczęcy głos, prawie przekorny: Niedługo się wyprowadzę. Siksa na rowerze gna przez Norrby, ma za plecami górę, przejeżdża te niecałe dwa kilometry od siebie do domu panny Filipsson. Perta ma stodołę kawałek od domu, można tam stanąć, jeśli krzaki naprzeciwko nie ukryją jej dostatecznie, ale latem, aż do początku października, można się chować w tych zaroślach... choć już nie ma nic do oglądania, niebo nigdy nie zgasło po pożarze. Morze błękitnych hortensji. Kwiaty nie dadzą rady ogniowi. Kwiaty stają się paliwem. Lecz w magiczny sposób miały i tak powracać. Każdego lata. To magiczne i tragiczne: jako kwiaty nie przejmowały się tym, czy panna Filipsson żyje, czy nie. Powracały, i to było zarówno szyderstwo, jak i pociecha.

Emilia sprząta ze stołu; stara się nie myśleć o tym, że dziewczyna nie przyszła na kolację, bo i tak tego się nie spodziewała. Jeśli opowiedziała im o Stenie, to teraz musi mieć swoją wolność. Wkrótce skończy dziewiętnaście lat, jest w drodze dokądś.

Myśli, że powinna pościierać kurze, ogarnąć trochę mieszkanie. To nowa, ożywcza myśl, to coś dla jej rąk, chciałaby od razu zacząć.

Miasto wchodzi przez otwarte okno, kiedy Emilia wietrzy. Ciała brzoź nad kanałem, gałęzie, które wyciągają się do jej twarzy, spodziewałaby się pieszczot, ale one sięgają do gardła. Próbuje wciągnąć powietrze, ale miasto jest trumną. Emilia stoi ze ścierką w dłoni, podczas gdy inna dziewczyna – głęboko w niej – jedzie na rowerze, jedzie przed siebie... Niedługo się wyprowadzę!

Policzki jej płoną.

Hugo nuci.

Musi skończyć lokomotywę. Na Jerntorget zapłonie trzysta lampek, małe, maleńkie pociągi pod małymi, maleńkimi mostami przez túmele, przez drogi, wszystko na niby... Ale on jest pełen oczekiwania, zapachu, nie myśli o Lillemor. Może siedzieć tak pogrążony w pracy i zapomnieć. Nie! Żeby umieć zapomnieć, trzeba chcieć pamiętać. Ale kiedy Lillemor wybiega z mieszkania, on po prostu wyjmuje swoje książki, katalogi i pociągi, i niczego więcej mu nie potrzeba. Kiedy Lillemor wraca, Hugo się cieszy, ale nie dlatego, że za nią tęsknił, tylko dlatego, że ją lubi. Ale przecież można lubić całą masę ludzi! To nic szczególnego, nic wielkiego czy porywającego. Więc jak to będzie, kiedy ona odejdzie ze Stenem? Kiedy już nie będzie wracała do domu? Jak Emilia będzie mogła wytrzymać z tamtą twarzą, tak zagłębioną w coś, co nie jest Lillemor, w coś, czego Emilia nie może dzielić?

Młoda dziewczyna jedzie szybciej, chwije się, tam jest przydrożny rów, tam jest droga z Norrby, pod górę, potem trzeba tylko solidnie pedałować, do Jårbo, szybciej, coraz szybciej, obok niebieskiej fasady Café Łabędź, aż do Sandviken – to nie tak planowała!

Arbetarbladet leży rozłożona na kuchennym stole, uśmiecha się z niej szeroko ta Ingrid Goude... Taka młoda i piękna. *Nasza uwielbiana uroczą i piękną Ingrid Goude dzisiaj po południu wraca do domu.*

Słuchaj, Hugo! mówi Emilia i czyta głośno: *Przekażcie wszystkim tam w domu, że się zmieniłam. Ale powiedzcie też, że i tak jestem tą samą dawną Ingrid...* Co to w ogóle za gadanina?

Ale może tak być, mówi Hugo.

Emilia czyta dalej: *Cienki, uroczy głosik, trochę naiwny, para oczu tak samo zdziwionych życiem teraz, jak i przed dwoma laty. To jest Ingrid Goude.*

Wtedy przez drzwi wchodzi dziewczyna, a serce Emilii fika koziółka.

Kłóćcie się?

Emilia chce pokazać jej artykuł, poprosić, żeby go przeczytała – pewnie by się zgodziła... ale z czym? Nie. Pewnie uznałaby tylko, że Emilia zbyt łatwo się denerwuje, przecież to chyba nic ważnego, co ta aktorka mówi. Lillemor szpera między swetrami i kurtkami.

Czego szukasz?

Ech, przypomniał mi się ten sweter, co go dostałam od Barbary...

Ten różowy? Schowaliśmy go. Przecież ci się nie podobał.

A gdzie jest?

W komodzie w twoim pokoju. Mogę go przynieść.

Ja to zrobię.

Wychodzisz?

Idziemy do kina.

Uczyłaś się?

Przez cały dzień, wzdycha dziewczyna i szybko znika w swoim pokoju.

A jadłaś coś? woła za nią Emilia.

Dziewczyna nie odpowiada. Emilia słyszy, jak przekopuje szuflady.

A na jaki film idziecie? pyta Hugo.

Na wschód od Edenu. Właśnie ma premierę w kinie Saga.

Chyba jest niezły, mówi Hugo z uśmiechem.

Lillemor znalazła sweter. Niestety, nie możesz iść z nami, żartuje.

Ależ się Sten zmartwi, odpowiada żartem Hugo. Lillemor zawiązuje pasek, zawiązuje apaszkę na szyi, spogląda przez chwilę nieruchomo w lustro.

Emilia nawet nie patrzy, kiedy dziewczyna znów wyfruwa z mieszkania z zawadiackim: No to na razie!

Skradzione dźwięki

Nie przeszkadzam?

Edwin stoi przed drzwiami w kurtce motocyklowej i brudnych butach; zwykle Emilia nie przejmuje się takimi rzeczami, ale teraz prosi go, żeby zostawił buty za progiem.

Gość odkłada kask i gogle na półkę nad wieszakiem.

Co tam słyhać? pyta.

Emilia wzrusza ramionami.

Może chcesz coś zjeść, właśnie siedzimy przy stole.

Hugo wita go solidnym uściskiem ręki.

Do diabła, jasne, że siadasz z nami i szamiesz. Jego głos się zmienia, kiedy w pobliżu są inni mężczyźni.

Ależ cholerny pech z tym naszym SIF-em.

Słaba gra skrzydłowych, mówi Edwin.

Nie mają w ogóle żadnych porządných napastników.

W każdym razie mistrzostwa to będzie coś. Edwin drapie się po brodzie.

O ile pokażą mecze w telewizji, mówi Hugo. Niech ich diabli wezmą, że nie mogą od początku powiedzieć jasno.

Boją się, że nie sprzedadzą...

Idiotyzm! Hugo kręci głową.

Emilia nakłada Edwinowi na talerz; nie rozumie, po co tu przyjechał. Z Linneą mu nie wyszło, choć wszyscy spodziewali się ślubu, ale on sam o tym nie mówił, ani że coś się zaczęło, ani że się skończyło. Jak sobie przypomina, o tym pierwszym dowiedziała się od Barbary, to drugie z niezrozumiałych powodów usłyszała od doktora Stroma.

Byłeś też u Sofii? pyta.

Tylko do was było mi po drodze, odpowiada krótko brat. Nie mówi jednak, gdzie w takim razie był czy dokąd jedzie.

Po jedzeniu mężczyźni przenoszą się na sofę, każdy z butelką piwa. Emilia wie, jak Edwin potrafi się zasiedzieć. Otwierają się drzwi, wchodzi Lillemor.

O, witaj! woła radośnie do Edwina. Lubi Edwina. Emilia jeszcze niedawno mogła stać w pobliżu i słuchać, jak ona rozmawia z mężczyznami; podawała kawę i drożdżowe ciasto, lubiła patrzeć na nich razem. Teraz zostaje w kuchni. To jednak nie dość daleko. Słyszy, jak Lillemor mówi jasnym głosem:

W Anglii kobiety też już grają w piłkę.

W jej tonie jest jakieś nerwowe napięcie.

To chyba dziwnie musi wyglądać, mówi Hugo. Nie sądzisz, Edwinie, że to jakieś dziwactwo?

No cóż, odpowiada Edwin i wzrusza ramionami. Lillemor obgryza swoje krótkie paznokcie. Emilia wstawia talerze i szklanki do szafki. Sztućce chowa do szuflady. Sprawdza, czy begonia na parapecie nie potrzebuje wody. Stawia na środku stołu solniczkę i pieprzniczkę w jasnożółtym kolorze. Wyciera kuchenkę. Wyciera białe kafelki nad nią. W kuchni zawsze jest coś do roboty. W domu jest pracy co niemiara. Im bardziej się o tym myśli, tym więcej się odkrywa. Każdy przedmiot ma swój wierzch i środek. I kiedy już wszystkie rzeczy są wyczyszczone, można je ustawiać, a kiedy są poustawiane, trzeba zacząć czyścić od początku. Ale co Lillemor o tym wie, myśli Emilia. Dziewczyna wie więcej o piłce nożnej niż o gospodarstwie domowym.

Chodź do nas, woła Lillemor.

Nie, muszę tu wszystko dokończyć.

Ależ chodź! prosi Hugo. Tamto może poczekać.

A co on o tym wie?

I tak nie wiem, o czym rozmawiacie, odpowiada Emilia.

Możemy porozmawiać o czymś innym, mówi Edwin.

Ja to zrobię później, proponuje Hugo.

No co ty powiesz, myśli Emilia. Ten ton podkradła Sofii. Te głucho i ciężko brzmiące „co ty powiesz” i „phi”.

Lillemor wchodzi do kuchni i pociąga ją lekko za ramię.

Proszę cię... No chodź...

A Emilia marzy: Powiedz mamie. Powiedz: No chodź, mamie.

Lillemor delikatnie wyjmuję jej ścierkę z dłoni.

Potem nie zdąży, mówi ostro Emilia i wyszarpuje ścierkę z powrotem.

Na to z wierzchu albo w środku nakłada się inna scena: Dziewczynka ma uniesione ramiona, jest młodsza, ale tak samo chuda, tak samo blada. Emilia zawsze dopatruje się niebieskich cieni pod jej oczami, martwi o jej sen, jedzenie, choroby; każda gorączka w ciele dziewczynki od razu podnosi temperaturę u niej.

Chcesz, żebym wróciła do domu? zapytała wtedy dziewczynka, a Emilia wykrzyknęła: Nie, nie, nie. A może to tylko wydawało się krzykiem. Ale kiedy słowa osiadły, wiedziała, że zwlekały zbyt długo, drżały w powietrzu między nimi; chce to zaraz naprawić, krzyknąć jeszcze raz tak głośno, żeby dotarło – a może lepiej byłoby szeptać?

Nie musisz tam wracać, powiedziała, nie musisz, jeśli nie chcesz?

To było pytanie, ale dziewczynka nie odpowiedziała.

Oczywiście Lillemor czasami chodziła do Maksa i Mildred na Klangvagen, to nie jest specjalnie daleko, chciała odwiedzić Roberta, to w końcu jej brat, ale przez cały czas jej dom był w siedmiopiętrowym wieżowcu przy Hyttgatsbron. To mówiły obie, Emilia i Lillemor, ale w gruncie rzeczy żadna z nich nie miała odwagi tego czuć.

Możesz zostać, jak długo chcesz. Chcę, żebyś została.

Jak niewłaściwie i głupio brzmią teraz te słowa, teraz, kiedy pojawił się Sten i dziewczyna przez cały czas za nim tęskni.

Oczywiście Lillemor czasami chodziła do Maksa i Mildred na Klangvagen, to nie jest specjalnie daleko, chciała odwiedzić Roberta, to w końcu jej brat, ale przez cały czas jej dom był w siedmiopiętrowym wieżowcu przy Hyttgatsbron. To mówiły obie, Emilia i Lillemor, ale w gruncie rzeczy żadna z nich nie miała odwagi tego czuć.

Możesz zostać, jak długo chcesz. Chcę, żebyś została.

Jak niewłaściwie i głupio brzmią teraz te słowa, teraz, kiedy pojawił się Sten i dziewczyna przez cały czas za nim tęskni.

Lillemor wychodzi z kuchni. Kuchnia nie jest nawet osobnym pomieszczeniem, jest oddzielona tylko ażurową ścianką z ciemnego drewna. Po tej kracie mogłaby się oczywiście piąć jakaś roślina, najlepiej pasowałoby epipremnum, ale jedyną rośliną w domu Emilii i Hugona jest żółta begonia w jasnożółtej doniczce na kuchennym parapacie. Zamiast pnączy Hugo wsuwa między szczelki gazety. Kilka numerów *Arbetarbladet*, *Arbetaren*, nowy numer *SE*, gazety z artykułami, które chce zachować, ale nie ma czasu się tym zająć, i Emilia musi po kryjomu je wyrzucać, żeby nie urosły w stos.

Między kuchnią i pokojem leży, jak most, pomarańczowy chodnik. Po nim idzie dziewczyna, nonszalancko wymachując ramionami; całe jej ciało wyraża obojętność. Przechodzi pod lampą, jej kontury stają się wyraźne; kołnierz wygląda ostro na tle szyi.

Lillemor ma narzeczonego, woła Emilia do szerokich kraciastych pleców Edwina.

Ach tak, mówi na to Edwin z takim brakiem zainteresowania, jakiego się spodziewała, odwraca się do połowy.

Ech, daj spokój, protestuje Lillemor. Wcale tak nie jest.

Ale chyba tak będzie? mówi Emilia. Sten Malmborg, tak się nazywa. Syn aptekarza. Mieszkają w Hedgrind, wiesz...

Ach tak, odpowiada Edwin, chrząka z zakłopotaniem.

Zresztą mogłam powiedzieć o tym sama, mówi dziewczyna.

Właściwie to mogła sama powiedzieć, wtrąca się Hugo. Edwin znów chrząka. Hugo wstaje, żeby puścić płytę.

Czego chciałbyś posłuchać, Edwinie? pyta.

Chyba będę musiał jechać.

Polubiłeś już swój telewizor?

O tak. Ale ludzie przychodzą... Urywa. To zabrzmiało tak, jakby narzekał.

Och, jak on marudzi, myśli Emilia. To chyba miłe, że czasem ktoś przyjdzie!

Niedługo wielki dzień, mówi Hugo ze śmiechem. Został prawie dokładnie miesiąc, prawda?

No, to będzie przeżycie, na pewno... Edwin zwraca się do Lillemor: Możesz też przyjechać na oglądanie meczu, jeśli chcesz.

Chyba nie chcesz? Hugo z uśmiechem poszturkuje dziewczynę.

Ona jest zajęta swoim Stenem, wtrąca Emilia, a Hugo posyła jej znaczące spojrzenie.

Emilia spogląda na Lillemor i chciałaby zobaczyć markotną minę, minę, którą można zmienić łaskotaniem, ale gdy widzi jej twarz, rozumie, że tu żadne łaskotki nie pomogą.

Edwin żegna się z Lillemor, ona macha ręką, jej uśmiech zeszywniał.

Potem podchodzi do Emilii i klepie ją delikatnie po ramieniu.

To do zobaczenia, siostró.

No tak, mówi.

Jedź ostrożnie, ty cholerny wariacie, rzuca Hugo i rechocze.

Sail along, silvery moon, trail along lovers' lane, sail
along, silvery moon, to my love again...

Śpiewa Billy Vaughn; Hugo szaleje za nową muzyką, zwłaszcza za Elvisem Presleyem. Razem z Lillemor potrafią słuchać w kółko tych samych piosenkarzy, Paula Anki, Franka Sinatry, śpiewają razem z nimi, a głos dziewczyny wcale nie jest taki cienki, jak by się można spodziewać. Ma silny głos do śpiewu, o wiele silniejszy i czystszy niż głos Hugona. *Sail along, silvery moon*, śpiewa Hugo, jakby myślał, że dziewczyna się przyłączy, ale ona siedzi skulona, ktoś musi o coś zapytać, dotknąć jej, rozwinąć ją znowu... Emilia ze ścierką na białych kafelkach (można sprzątać całą wieczność) nie ma czasu. Ale dlaczego Hugo nic nie robi? Siedzi odchyłony na sofie z piwem w dłoni, napawa się muzyką, wciąga zapach piwa, na wydechu mówi aaaach. Hugo najbardziej kocha pociągi, piwo i muzykę. Czasami Emilia nie rozumie, gdzie się podziewa cała ta gadanina o syndykalizmie; jakby emocjonował się wielkimi sprawami tylko od czasu do czasu, kiedy ma taki kaprys, a tak to pasjonuje się małymi szczęśliwymi chwilami. Które nazywa wolnością.

Wzrok Emilii przez cały czas ciągnie do dziewczyny... A jeśli to skulenie i złość jest związane ze Stenem, może coś się stało, może zerwali albo przynajmniej się pokłócili. Ale kiedy wreszcie ona się odzywa, to nie jest to... Wcale nie...

Chciałabym, żeby było inaczej, mówi i zaczyna płakać. Chciałabym, żeby moja mama żyła i była ze mną.

Hugo schodzi ze swojej wyspy, przysuwa się do dziewczyny.

Jasne, że byś chciała, dzieciaku. To jasne, mówi i musi ciągnąć to jeszcze dalej: Żałuję, że nie mogłem poznać Karin, bardzo chciałbym, jestem pewien, że była wspaniała.

Ależ głupio to brzmi. Kim on w ogóle jest, żeby tu jeszcze zgłaszać jakieś swoje życzenia? Kim on jest, że sobie wyobraża rzeczy, o których nie może mieć żadnego pojęcia?

Emilia podchodzi do nich. Udaje, że niczego nie słyszała, udaje, że nie tak łatwo jest zauważyć lży Lillemor. Zbiera ze stołu butelki po piwie. Dźwięk, który wydają, stukając o siebie, jest wyraźny i piękny.

Czy ty nigdy nie usiądziesz... Hugo wzdycha i próbuje dosięgnąć jej ręki.

Musimy wcześniej wstać, mówi Emilia.

Mamy na to całe życie, na litość boską, czy nie możesz usiąść choć na sekundę?

Jest jeszcze robota w kuchni.

Ooo, Hugo łapie się za głowę. Dziewczyna wstaje.

Pomogę ci.

Nie, ty idź i się już połóż, mówi Emilia, choć to miło z twojej strony. Gładzi dziewczynę przelotnie po policzku, ale nie potrafi spojrzeć jej w oczy.

Hugo wyjmuje jeden ze swoich pociągów. Błyszczący niebieski, taki, z którego jest zadowolony; obraca go na stoliku przed sobą.

No to dobranoc, mówi Lillemor.

Sukienka Lillemor (I)

Dziewczynka na kolanach. Dziewczynka z całusami. Dziewczynka z tańcem w ciele.

Dziewczyna w kuchni, zatacza kręgi w swojej szerokiej szmizjerce, jakby się rozpędzała, w tym wirowaniu jest wielki niepokój... Piękna, mówi Emilia. Skąd ją masz?

Byliśmy w Sanko i Sten powiedział... albo ja kupiłam ją za własne pieniądze, ale wybierałam między dwiema, a wtedy Sten powiedział, że mogę chyba wziąć obie.

Więc on kupił ją dla ciebie? To bardzo miłe.

Nie wiem, czy ten kolor do mnie pasuje.

Bardzo dobrze w nim wyglądasz, Lillemor.

Lillemor! Dobrze jej w sukience! Od kiedy? Dziewczyna nie ma figury klepsydry, sukienki wiszą na niej jak worek. A ta! Phi. W takich bladych kolorach nie jest jej do twarzy, ona w nich ginie.

Jak się nazywa taki kolor, wiesz może? pyta Emilia.

Srebrzysty piasek, odpowiada Lillemor z dumą.

Aha.

Sama nazwałaby go szarym. Ale co ona tam wie.

Wyjmuje misę, łyżkę i drożdże. Robi to wszystko, nie poświęcając temu żadnej myśli.

Dziewczyna nie ma biustu, nie ma bioder, nie ma pupy; wcale nie jest podobna do Karin, która była krągła, pulchna, niska, a Lillemor jest wysoka; co najmniej pół głowy wyższa od Emilii. Stoi za nią i obrywa brązowe kwiaty begonii; suche płatki szeleszczą w jej dłoniach.

Emilia kruszy drożdże, wlewa mleko. Dziewczyna nie jest słodka ani urodziwa, ma zwyczajną powierzchowność; niczego jej nie brakuje, ale jest w niej jakaś niezborność, jak gdyby to, co dostała od każdego z rodziców, nie pasowało do siebie: lekko różowa cera do surowych rysów. Wielki nos do cienkiej skóry. Ciemne brwi do jasnych rzęs.

W tle gra radio, Lasse Lönndahl śpiewa *Volare*. Dziewczyna pachnie intensywnie mydłem, ale to nie ukryje woni potu. *Śpiewam, ooo, fruвам, ooo.*

Co robicie dziś wieczorem? pyta Emilia; wie, że Lillemor czeka.

Sten zaprasza mnie do restauracji, odpowiada cicho, z ulgą.

Oj, ale elegancko, mówi Emilia, odmierzając mąkę. Do Vikinga? Tak, odpowiada dziewczyna na wdechu. Pamiętaj, żebyś wzięła płaszcz, kiedy będziesz wychodzić, jest już za zimno na sam sweter. Emilia zaczyna zgniatać ciasto. Co to będzie? Jak zwykle.

Hm. Matka Stena dodaje do chleba przypraw. Jest gospodynią domową?

Tak... Emilia ugniata.

A ty kim chcesz zostać, jak będziesz duża? Co masz na myśli? Przecież wiesz... Masz jeszcze czas na naukę? Ależ tak, uczę się, wiesz, że tak. Emilia nie przerywa ugniatania.

To dobrze, mówi. To w takim razie wszystko jest w porządku.

Dziewczyna zgniata brązowe płatki w dłoni. W niej i w Emilii powtarza się to samo nazwisko, jak zaklęcie, jak przekleństwo. Sten Malmborg.

Sten Malmberg

Syn aptekarza. Wnuk cieszącego się nie najlepszą sławą doktora Storma – tego samego, który w 1882 roku kazał sobie wybudować willę, ale ponieważ akurat zmieniono system miar z łokci na metry, budynek miał zupełnie inne wymiary. Dom był mniej więcej dwa razy większy niż w planach. Babcia Stena dorastała w tych ogromnych pokojach, ale teraz dom od dawna już jest rozebrany. Sten Malmberg dorastał, podobnie jak jego ojciec Ruben, w czerwonym drewnianym domu (175 metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej) na Hamngatan, niecałe sto metrów od Storsjön; ma tam nadal swój chłopięcy pokój, kiedy zaczyna spotykać się z Lillemor. Nie jest to żaden z tych pięknych domów. Aptekarz nie należy do ludzi chełpiących się bogactwem, jest raczej skąpcem. Jego żona Hulda, z Arsundy, jest gorliwie religijna i za jedną z najważniejszych cnót uznaje umiarkowanie. Co upodabnia ją do większości kobiet mieszkających wokół Storsjön i w okolicy. Ponadto wychowała się w skromnych warunkach, można więc powiedzieć, że poprzez małżeństwo awansowała. Może to jest jedna z przyczyn, dla których zawsze elegancko ubrany i gładko uczesany Sten zakochał się w takiej zwyczajnej dziewczynie jak Lillemor Andersson. Hulda i jej sprawiedliwy mąż Ruben pasują do siebie, mimo tak różnego pochodzenia, więc dlaczego on i Lillemor nie mieliby?

Podoba mu się, że jest taka niepozorna.

Podoba mu się, że jej włosy zawsze wyglądają jak świeżo umyte.

Podoba mu się, że jest małomówna.

Podoba mu się, że jej ubrania są proste, ale starannie wyprasowane (jednak już podczas ich drugiego spotkania oświadczył, że woli, kiedy chodzi w spódnicach).

Tylko to, co słyszał o Hugonie i Emilii, mu się nie podoba. (W jego myślach występują pod określeniem „tamtych dwoje”.) Uważa, że jest w nich coś surowego (jego ojciec użyłby słowa „nieucywilizowani”), i bardzo go cieszy, że nie są jej prawdziwymi rodzicami.

A jacy oni są, pyta życzliwie, twoi prawdziwi rodzice?

Siedzą naprzeciwko siebie w restauracji Viking. Świeca. Biały obrus.

Mojej matki w ogóle nie znam, odpowiada Lillemor, ale słyszałam, że dużo się śmiała. A potem umarła, w położu, to znaczy, jakby przeze mnie.

Ale twój ojciec chyba żyje? pyta Sten, starając się rozluźnić atmosferę.

Jest byłym restauratorem, nazywa się Max Andersson, ma żonę Mildred i z nią syna, Roberta. Robert jest głuchy. Mildred mnie nie cierpi. To głównie z tego powodu uciekłam. A restauracja splajtowała.

Stenowi nie podoba się, że musiała koniecznie dodawać takie informacje. Nie wystarczyłoby powiedzieć, że ma brata Roberta? Nie mogła dodać czegoś innego? Że jest dobrym bratem, co lubi na przykład, no, cokolwiek, saksofon, albo nie, właśnie, przecież jest głuchy, ale jakiegoś szczególnego artystę może, słyszał chyba od ojca, że upośledzenie jednego zmysłu jest rekompensowane przez wyjątkowy rozwój innego, może jest świetny w sztuce kulinarnej, może on, Robert, mógłby zostać wybitnym kucharzem na przykład w Statts, zresztą dlaczego nie w stolicy, albo nie... Sten wzdycha głęboko. Nie musiała przecież wcale wdawać się w szczegóły. Tylko brat. Robert. Krótko i zwięźle. Tymczasem dochodzi ich jeszcze więcej:

Rzadko go spotykam. To znaczy Roberta. Mojego ojca też prawie nie widuję. Bo wiesz, uciekłam, jak miałam trzynaście lat.

Sten bierze serwetkę, kładzie sobie na kolanach, wygładza.

Chyba możemy już zamówić.

Mają stolik przy oknie. Zasłony są białe, ze złotymi frędzlami. Sten daje znak kelnerce, ale ta, choć stoi zaledwie trzy stoliki od nich, nie widzi go. Sten macha ręką. Ona dalej ustawia naczynia, uparcie i nonszalancko.

Zwykle mają tu dobrą obsługę, mówi Sten, chrząkając. Ale widocznie nie dzisiaj.

Nie wygląda na to, żeby Lillemor się tym przejmowała. Dotyka palcami wykrochmalonej serwety.

Trzecia próba kończy się sukcesem, ale gest Stena jest tak przesadny, że kelnerka nie może powstrzymać uśmiešku. Bezceremonialnie wyjmuje pióro zza ucha czy może z mocno utlenionych włosów; wygląda na starszą, niż przypuszczalnie jest. Lillemor uważa, że kelnerka jest piękna, fascynuje ją jej uśmiech – że też może być obojętny i służalczy zarazem.

Lillemor sama chciałaby częściej się uśmiechać. Nie podoba jej się, że zawsze jest taka poważna. Przecież właściwie wcale taka chyba nie jest?

Sten chciałby, żeby się częściej uśmiechała. Nie podoba mu się, że jest taka poważna. Ale kiedy rozstawali się po pierwszym spotkaniu, czuł ulgę, że nie jest w najmniejszym stopniu trzpiotowata – tak przeważnie odbierał kobiety; nie są w stanie spokojnie słuchać, zawsze muszą chichotać, flirtować, a zwłaszcza kiedy się napiją. Gdy jego matka się uśmiecha, robi to z wewnętrznym spokojem. Ale uśmiechy Lillemor zdają się wymuszone. Jakby jej usta stawały opór.

Sten przez całą kolację zajęty jest rachowaniem. Podlicza w duchu plusy i minusy Lillemor. Wychodzi, że jednak nie jest taka jak inne kobiety. Że będzie dobrą żoną. Sten decyduje, że te jej wszystkie niepotrzebne i dramatyczne wtręty, to chwilowa swada, świadcząca o tym, że chce być szczerą. A w tym nie dopatruje się niczego złego. Właściwie to wszystkie kobiety uważa za kłamczuchy. Nie z niskich pobudek, raczej dlatego, że chcą się wydawać interesujące. Z reguły przesadzają w drugą stronę, żeby podkreślić coś, czego mają za mało, albo czego w gruncie rzeczy nie mają wcale.

Lśniące tkaniny i zwilżone usta. Pędzelki do pudru i za dużo tuszu na powiekach. Włosy ułożone w sztuczne błyszczące loki, które podskakują, kiedy kobieta się porusza. Rozkołysane krągłe biodra. Tyłki, które wyglądają, jakby... brakuje mu określenia... falowały? Wibrowały? Nie mówiąc o tych wszystkich biustach! Tyle różnych kształtów, rozmiarów. I te dekolty! Skóra, która znienacka wygląda, nie, to zbyt łagodne słowo, jest eksponowana, nie, wywalana na wierzch! Ręce na biodrach, dyganie, mizdrzenie się, wydymanie ust. Kobiety nachylają się i dyszą, a człowiek nie może – choćby się nie wiadomo jak starał – patrzeć w inną stronę.

Nic z tych rzeczy nie znajduje u Lillemor. Plus, plus, plus.

Nagle czuje przyływ euforii.

No to na zdrowie!...

Dopiero gdy podniósł kieliszek, widzi, że sam też wstał. Stoi przed Lillemor. Jego policzki płoną. Dłoń na kieliszku jest wilgotna. Nie pamięta, co chciał powiedzieć.

Po prostu zdrowie, poprawia się i szybko siada.

Lillemor marszczy lekko nos, nagle on wydaje się jej taki wylewny. Żeby tylko nie powiedział, że mnie kocha, myśli dziewczyna. Żeby tylko nie padł na kolana. Myśli o jego matce, Huldzie Malmborg, że dobrze się rozumiały, podobało się jej, jak mieli urządzony dom, podobało się jej, że w oknach były rośliny o bardzo zielonych liściach, a pan Malmborg rozmawiał ze swoją żoną przyjaźnie i rzeczowo. Panował tam błogi spokój, a kiedy usiedli do stołu i ojciec z synem zaczęli jakąś dyskusję, rozmawiali bez podnoszenia głosu.

Myśli o tym wszystkim i z ulgą zauważa, że twarz Stena odzyskała swoją zwykłą bladość.

Co chcesz robić następnym razem? pyta.

Lillemor bierze głęboki oddech.

Bardzo chętnie poszłabym na tańce, mówi. Jeśli ty chcesz.

Przypomina sobie uśmiech kelnerki. Próbuje: same wargi się poruszają, nie trzeba pokazywać tego, co jest za nimi.

Sukienka Lillemor (II)

Sukienka Lillemor źle leży. Sukienka Lillemor wygląda, jakby opadała z jej ciała; wszystkie sukienki jej to robią, zachowują się jak namioty.

Lillemor w sukience czuje się jak w namiocie, niewygodnie. Zwykle chodzi w spodniach. Ale nie odkąd jest ze Stenem na poważnie.

Przedtem była chłopczycą. Hugo często mówi do niej dzieciaku zamiast Lillemor. To drażni Emilię. Sama była przecież maleńką i to było w porządku... póki dziewczynka też. Teraz przez to czuje się właśnie mała.

Odkąd Lillemor poznała Stena, nie ma już spodni, nie ma już chłopczycy i podobnie jak Emilia nie chce być maleńką, Lillemor nie chce być dzieciakiem.

Hugo sam już nie wie, jak ma mówić.

Kiedy wypowiada ich imiona, to brzmi tak formalnie, niemal obco. Wie, kim są Maleńka i Dzieciak. Ale Emilia! Lillemor! To mogłyby być jakiegokolwiek inne kobiety. Na przykład Emilia i Lillemor Svensson. Dwie siostry z Ockelbo, dalekie znajome jego ojca. Albo dwa osobne byty, jak Emilia Jansson, pielęgniarka, i Lillemor Ljung, córka właściciela sklepiku tytoniowo-papierniczego. Ta, co biega między regałami i zrzuca towar z półek. Stój przez chwilę spokojnie! Alice Ljung, jej matka, gania za nią, czerwona na twarzy. Klienci kręcą głowami, jakby chcieli powiedzieć, że Alice nie ma żadnej kontroli nad swoim jedynym, wytęsknionym dzieckiem. Alice ma trzydzieści sześć lat, pan Ljung Mårten, dobija pięćdziesiątki.

I tak myśli Hugona podążają swoimi drogami.

Dziewczyna, jak widzi, ma na sobie sukienkę w deseń z wisienek. Sukienka ma dekolt, jest przepasana w talii paskiem, wąskim, czerwonym. Nie pasuje do niej wcale. Ona powinna chodzić w spodniach. Nie podoba mu się drażniący jasnoczerwony wzorek. Potem mówi jej, że wygląda wspaniale, czy wybiera się gdzieś ze Stenem?

Tak, mówi dziewczyna, lekko zakłopotana. Idziemy do parku.

Nawet Hugo rozumie, że żadna dziewczyna nie może tańczyć w spodniach. Niemal natychmiast myśli jednak: A dlaczego nie? Myśli o stryju Johnie, o jego opowieściach z Hiszpanii. Och, Hugo powinien tam być razem z nim. John opowiadał, że kobiety też walczyły, to wcale nie było nic szczególnego. Żadnej różnicy. Najważniejsza była walka. Spojrzenie skierowane na wspólnego wroga. Przecież nie walczy się w spódnicy, myśli Hugo. Przypomina sobie czerwoną spódnicę Armii tamtego wieczora – nie, woli sobie przypominać ciemne wąsy stryja Johna, jak biegły łukami czy falami na policzki; stryj był dużo młodszy od jego ojca, Hugo wielbił go jak starszego brata.

John Lindblom poszedł na ochotnika też na wojnę zimową. Och, on powinien był!... Ale zamiast tego przesiadywał w Café Łabędź, wyglądał przez okno, przeglądał *Branda, Göteborgs Handels – och Sjöfartstidning* – nie, nie tylko przeglądał, on je czytał od deski do deski. Zastłony były ciężkie, oliwkowozielone. W promieniach słońca kurz mienił się jak małe gwiazdki, i tam, na wytartej sofie w kwiaty, siedziały Irma i Emilia. Pamięta papierosnicę Armii, stopy książek między nimi, pamięta, jak gestykulowała, nachylała się do Emilii, a Emilia się przed nią cofała, to wyglądało zabawnie: ich ruchy do i od siebie. John wrócił do domu, cudem wyszedł bez szwanku z dwóch wojen. Jak na ironię losu zginął w wybuchu gazu w martenie w hucie w Sandviken. Albo po prostu ot tak. Ani los. Ani ironia.

John Lindblom

Robotnik w hucie. Niewielu z okolic Järbo było w Barcelonie. Ale John walczył na froncie w Saragossie, przez pewien czas razem z pisarzem George'em Orwellem.

Nigdy nie zapomnę tego momentu po przybyciu... Kiedy wysunąłem język, poczułem smak wolności!

Od Johna Hugo nauczył się, że wolność to to samo, co bunt. I że bunt nie musi być związany z przemocą, ale zawsze chodzi o to, żeby po prostu nie zadowolili się byle czym.

Nie wierz w coś, czego nie czujesz, mawiał. Jeśli tego nie czujesz, nie jest ci potrzebne. I świat też musi czuć do ciebie sympatię, Hugonie Lindblomie, w przeciwnym razie masz prawo tego żądać!

Hugo miał na nocnym stoliku *W hołdzie Katalonii* tego wieczora, kiedy dostał wiadomość o śmierci stryja. Czytał dalej z poczuciem, że to są słowa Johna. Podkreślał, zaginał rogi. To mogły być pojedyncze słowa, jak na przykład „karminowoczerwony”, *Gwardia Szturmowa* czy *La Batalia*. Mogły to także być całe zdania, w rodzaju: *Solidarność klasowa jest fundamentem armii robotniczej, podczas gdy burżuazyjna armia poborowych opiera się wyłącznie na lęku*. Uwielbiał wyrażenie „dyscyplina rewolucyjna”, jego ołówek chemiczny wiele razy zakreślał je kółkiem; jakby te dwa słowa opisywały całego stryja, choć oczywiście wcale tak nie było.

Pogrzeb był o wiele za skromny. Hugo chciał ozdobić kruchę czarno-czerwonymi flagami. Chciał, żeby przy złożeniu trumny do grobu grały skrzypce i kontrabas. I akordeon. Chciał, żeby grano niepasujące dzikie piosenki. Miał przed oczami obraz płaczków, przypuszczalnie zaszczepił mu go stryj. (Był jedyną osobą, od której przejmował takie obrazy.) Chciał widzieć płaczące kobiety, które rzucają się na trumnę. Chciał, żeby smutek wśród ludzi nigdy nie ustał.

Na pogrzeb Johna Lindbloma przyszło siedmioro ludzi. Nie miał żony. W Barbastro mieszkał jego syn z nieprawego łoża, o którym nikt, oprócz matki oczywiście, nie wiedział. W okolicy nie był szczególnie lubiany. Uważano, że się wywyższa. Tylko dlatego, że był za granicą i „wiele widział”. Ale nie musiał się od razu tym przechwalać! Zwłaszcza z użyciem tak wielkich słów. Słów jak „nieodzowny”, „zadowolający” czy „interweniować”.

Ale Hugo kochał te słowa; nosił w sobie ich kopie, dzięki nim dorastał – były jak pożywienie!

Każdy człowiek potrzebuje innego człowieka, którego może podziwiać.

Musi mieć jakąś przestrzeń, która nie jest jego własną, ale gdzie zawsze, o każdej porze dnia i nocy jest mile widziany.

Siostry były starsze i zajęte swoimi sprawami: mężczyznami i lusterkami, pracą w Zakładach Wełnianych, U Ulli i w tkalni Frippego.

Jego rodzice byli jak zamknięte pudełka. Mieli swoje prace, których nie lubili. Przynajmniej już nie. Przynajmniej ojciec. Nawet jeśli twierdził co innego, Hugo widział, że tak nie jest – nie, po tym, co się stało, to było niewyobrażalne. Matka z kolei robiła to, co zawsze – o lubieniu tego nie mogło nawet być mowy. Od czternastego roku życia pracowała jako gospodyni u K.P. Perssona. Żartowała czasem, że więcej czasu spędza u Perssonów niż we własnym domu. Hugo miał zresztą wrażenie, że wołała być tam, wśród śnieżnobiałej porcelany i imponujących popiersi. Lubiła panią Persson. Czasami pani Persson prosiła ją, żeby usiadła na chwilę, napiła się kawy, zjadła kawałek makowca, mogły wtedy rozmawiać jakiś kwadrans – o niczym szczególnym, ale jednak – i Hugo zdawał sobie sprawę, że byłby inny, mniej pewny siebie, gdyby pani Persson nigdy nie pytała, gdyby nie rozmawiały, gdyby matka źle się tam czuła. To stanowiło pewną pociechę. Ale i tak nienawidził Perssonów, którzy odebrali mu matkę.

Nienawiść z powodu ojca była jeszcze gorsza. Ojciec dawał się wykorzystywać w swojej pracy, nie umiał się sprzeciwić. Hugo w głębi duszy wiedział oczywiście, co byłoby najgorsze, kiedy jego gniew miały się skierować przeciwko władzy, ale czasem nienawidził ojca nawet bardziej, a zawstydzenie z powodu tego uczucia dodatkowo pogarszało sprawę. Jednak czasami w swoim smutku mógł nawet czuć coś w rodzaju niejasnej dumy z przygarbionej postaci ojca, jego cichej, lecz wytrwałej obrony: Nie mogłem postąpić inaczej, Hugonie. Bo miało się wrażenie, że on rzeczywiście tak myśli. To wywoływało w duszy Hugona kłujący, szarpiący ból.

Między przedśmionkiem i pokojem w mieszkaniu Johna wisiała koralikowa zasłona w pawie. Za tą zasłoną siedział John, palił i podkręcał wąsy. Na ścianach wisiały kolorowe plakaty z różnych krajów. Na otomanie leżały gazety (Hugo pamięta zwłaszcza starannie ułożony stosik numerów *Jorden runt*).

Na podłodze i na stoliku do papierosów stały w doniczkach palmy, gałązki wiśni w błękitnym wazonie, fajansowa misa z napisem: *Un bacio solo non è mai esistito*, co – jak John wytłumaczył kiedyś zaczerwienionemu chłopcu – znaczyło: *Pojedynczy pocałunek nigdy nie istniał*.

Chodź tutaj, Hugo, posłuchaj...

I John opowiadał i opowiadał. W jego słowach nie było żadnego porządku, ale nie porządkowi te słowa miały służyć. Hugo nigdy nie miał potrzeby dopytywania się, co różne słowa znaczą; podejrzewał, że nie znaczenie jest tu najważniejsze, ale chęć opowiadania.

Hugo tak samo lubił słuchać, jak John opowiadać. Ale im chłopiec był starszy, tym bardziej pragnął też mieć coś do opowiedzenia. Albo odważyć się powiedzieć o tym, co uwierało i dręczyło go w środku. Podporządkowanie ojca, udawane zadowolenie matki, siostry, których mężowie pili, bili i zdradzali, i to, że on nie może nic zrobić – nigdy – żeby to zmienić. Przeklinał to poczucie niemocy, paliło go jak żywy ogień. Tak łatwo było zamówić ciastko w Łabędziu, to było takie przyjemne i smaczne, zakryć tę wyrwę w duszy lub smutek kwaskowatymi karmelkami albo jeszcze jedną kanapką (kiedy śniadanie już się skończyło, a mimo to czuł w środku pustkę). Jadł po prostu z rozpędu, ale co znaczył taki drobiazg – jego głód – w porównaniu z czymś tak wielkim jak świat, ludzie na świecie i bezgraniczne piękno świata, i jeszcze bardziej bezgraniczna niesprawiedliwość?

Przez pewien czas mógł zabawiać stryja opowieściami futbolowymi. To zainteresowanie ich łączyło. Lecz kiedy Hugo przestał grać w drużynie Järbo, nie wiedział już, co ma mówić i coraz trudniej mu było tam chodzić. Bo John również stawał się jakby coraz bardziej milczący. Z powodu tego wszystkiego w środku, co nie zostało powiedziane.

Sukienka Lillemor (III)

Dziewczyna stroszy włosy przed lustrem, myśli, że nikt nie widzi, choć obserwują ją i Hugo, i Emilia. Z różnych stron, z różnymi myślami, które na temat sukienki akurat są zgodne: Ona wygląda jak namiot! i: Jakież wściekle czerwone wiśnie! A poza tym myśli Hugona: Mam nadzieję, że na tym Stenie można polegać. Na pewno. Choć właściwie wcale nie. Człowiek potrzebuje fundamentu. Fundament składa się z analitycznego myślenia i dobrze znanych uczuć. Wchodzi się prosto w nie. Wtedy buduje się fundament. Powoli, powoli. A jedyne myśli, jakie można sensownie pomyśleć, kiedy człowiek się poważnie zastanowi, to myśli socjalistyczne. Jeśli nie ma się takich myśli, to znaczy, że się nie myślało, nie czuło. A Sten ich nie ma. Czyli można z pewnością zaufać mu, że stworzy dziewczynie porządną dom, ale niczego więcej nie należy się spodziewać.

I myśli Emilii: Nie odchodź, nie odchodź, nie odchodź. Ale to są nie tyle myśli, ile uczucia, choć jeszcze bardziej niż uczucia jest to krzyk.

A Lillemor w swojej okropnej sukience w wiśnię myśli: Nie odbierzesz mi Stena, nie dasz rady tego zrobić! Zaraz włożę sweter i wyjdę, zanim twoje spojrzenia wysadzą mnie w powietrze. Nie, ona tak nie myśli, ona to czuje w najgłębszej głębi, a tam nie sięga. Broni się przed płaszczem, który Emilia wyciąga w jej stronę, narzuca na ramiona sweter, mówi no to pa, z dygnięciem i uśmiechem.

Jadą rowerami. W spódnicy niewygodnie się jeździ. Kolorowe lampki na drzewach i rabatach. Sztuczny wodospad szemrze. Lillemor w swojej wisienkowej sukience, wierna swojemu zwyczajowi, pozdrawia cicho Brantinga i Thorssona. Chciałaby, żeby Sten, tak jak Hugo, też umiał się skłonić, przynajmniej skinąć, ale on chyba ich nawet nie zauważa. Wokół robi się coraz bardziej zielono. Lillemor przysuwa się bliżej Stena.

W Parku Ludowym odbywają się pokazy teatralne, przeważnie operetki albo rewie, które przyciągają najliczniejszą publiczność. Obraca się koło fortuny. Na pasiastej scenie gra zespół Wielkiego Johana. Sten trzyma ją za bardzo na odległość, trudno wtedy dostosować krok; czasami Lillemor wydaje się, że to ona przejmuje prowadzenie. Opiera głowę na jego ramieniu. Chłopak przyjemnie pachnie. Lillemor zastanawia się, jak ona pachnie. Jeden guzik na gorsie sukienki się rozpiął, ale ona nie ma zamiaru go zapinać.

Nie jest ci zimno? pyta Sten, kiedy odchodzą na bok, żeby złapać oddech. Na kwietniku obok stoi wiatrak.

Nie, kiedy mnie obejmujesz, odpowiada Lillemor, sama zaskoczona swoją odwagą; zresztą i tak jest rozgrzana od tańca. Sten zdejmuje marynarkę i narzuca jej na ramiona – zaobserwował, że inni tak robią.

Jakaś kobieta przy barze żuje gumę z otwartymi ustami. Robi to prowokująco: wyciąga gumę, owija jeden koniec wokół palca, drugi przytrzymuje zębami. Ma na sobie sukienkę w pepitkę, z odkrytymi ramionami. Gdy Lillemor spogląda na swoją spódnicę, już nie wydaje jej się taka obfita, mimo halki, która szeleści przy każdym ruchu. Wiele par na ławkach całuje się z zapamiętaniem; niektórzy spokojnie, inni bardziej gorączkowo. Drzewa nad ich głowami wyglądają, jakby płonęły. Lillemor widzi kobiety, które ciągle się dotykają; poprawiają apaszki, naszyjniki. Włosy mają przeważnie ułożone w loki albo upięte w kok francuski; dziewczyna z gumą do żucia ma krótko obcięte, wygląda uroczo. Że też ona przyszła w prostych rozpuszczonych! Nie wie, co sobie myślała. Gdyby przynajmniej związała je w koński ogon, kilka dziewczyn ma taką fryzurę; wysoko związane włosy z pastelowymi wstążkami; ale widzi też, że to wygląda infantylnie, kiedy kobiety w kucykach mają na sobie ciotkowate sukienki z riuszkami na piersiach. Wszędzie widzi umalowane kobiece usta, które się otwierają i wydobywa się z nich śmiech w najróżniejszych tonacjach: dźwięczny, piskliwy, gdaczący, ciepły, chłodny – ale śmiech! I te ruchy! Żadna nie stoi nieruchomo jak ona. Lillemor nie patrzy w stronę ściany, gdzie zebrały się te samotne, czekające i stęsknione. Nie widzi, że należy do tych wybranych, szczęśliwych. Widzi tylko usta, dłonie, włosy, zamaszyste spódnice (niewiarygodnie szerokie), plecy z dekoltem w szpic i uniesione piersi. Wyzywające lub obojętne spojrzenia mierzą ją od stóp do głów, kobiety potrząsają głowami, mają intensywnie czerwone lub bladoróżowe usta. Kobieta z gumą do żucia gładzi swój obojczyk, jej dłoń schodzi niżej, do piersi, i znów do góry. Jej chłopak wygląda, jakby zaraz miał zemdleć.

Chcesz zatańczyć jeszcze raz? pyta Sten. A może czegoś się napijesz?

Chcę, żebyś mnie pocałował, odpowiada Lillemor; nie poznaje swojego głosu, jest schrypnięty, ale słowo, które ma na myśli – wyczytała je w jakimś opowiadaniu w *VeckoRevyn* – brzmi „zdławiony”.

Teraz? pyta Sten. Tutaj?

Lillemor przesuwając palcem wskazującym wzdłuż szyi, zjeżdża niżej na ramię, dziewczyna z gumą do żucia kiwa zachęcająco, wydmuchuje wielki balon, a Lillemor przymyka oczy. Ale Sten tylko szybko całuje ją w policzek. Balon z gumy pęka – PANG! – dziewczyna śmieje się nieprzyjemnie.

W drodze powrotnej, kiedy znaleźli się między zabudowaniami fabrycznymi, Sten ujmując ją w pasie i popycha w ciemność. Dyszy. Halka szeleści, kiedy zaczyna się przez nią przekopywać.

Niech to diabli, Lillemor, przez cały wieczór mnie kusiłaś, sapie. Rozsuwa jej uda. Szarpie majtki, a ona myśli o prosiakach, które kiedyś mieli. Kupowało się je na targu, potem miały rosnąć w chlewikach na wsi. Jesienią wbijało im się nóż w serce, to było przeżycie, słyszeć ich krzyk.

Ty chcesz tego, tak? mówi Sten i to brzmi, jakby szlochał.

Prawda, że ty tego chcesz, nie? powtarza i wykonuje pchnięcia w jej wnętrzu. Jesteś taka sama jak wszystkie, nieprawda? napiera na nią, tego właśnie chcesz, nie?

Taaak, szepcze Lillemor. Stara się, żeby to zabrzmiało pewnie, tak, jak sobie wyobraża te inne kobiety. One może nawet chichoczą. Piecze ją i boli, a jednak przytrzymuje go przy sobie, przyciska jeszcze bliżej. Myśli też o królikach, kupowało się je w czasie wojny, wczesnym rankiem mężczyźni kłęczeli w mokrej trawie wokół zabudowań fabrycznych i rwali zieleninę dla głodnych zwierząt, żeby później przy okazji jakiegoś święta poderznąć im gardło i dać gospodyniom do przyrządzenia.

Kiedy się rozstają, Lillemor szumi w głowie, jakby kanał nagle ożył. Myśli, że to początek bardzo śmiałej, nowej melodii, całkiem własnej.

Zobaczymy się pojutrze, mówi Sten. Jeśli ty nadal...

Chłopak spuszcza wzrok. On nie może mieć wyrzutów sumienia z tego powodu, myśli Lillemor.

Oczywiście, mówi, cała drżąca, i ściska jego dłoń.

Przy ścianie budynku za nimi drzemią krokusy ze zwiniętymi płatkami. Noc jest chłodna, pachnie raczej jesienią niż wiosną. Lillemor odchodzi stamtąd radosna. Czuje się, jakby nabrała koloru. Płacze, jej płacz jest głośny, niekontrolowany, myśli, że to brzmi, jakby ktoś inny płakał, uważa, że to brzmi pięknie.

Zrobili to niecałe dwieście metrów od siedmiopiętrowego bloku. Kiedy się wyplakała, jej ciało nabiera miękkości. Brzozy chcą być dotykane i ona ich dotyka, nie śpieszy się do domu.

Emilia czuwa i czeka na jej kroki na schodach. Będą inne, ale Emilia tego nie zauważy, to same kroki są ważne, a nie, czy są ciężkie, czy lekkie, tylko żeby się rozległy za drzwiami i wreszcie przekroczyły próg.

Ona o tym nie wie, myśli Lillemor. Nigdy się tego nie dowie. To daje jej poczucie wolności. Nieskończonego wstydu. Jakby to było jedno i to samo: wolność i wstyd.

Ale wcześniej tego wieczora, w ich mieszkaniu, Emilia siedzi nieruchomo na sofie i nie jest w stanie normalnie oddychać.

Obicie sofy jest wytarte. Poduszki z gładkiego materiału trochę to zasłaniają. Na mozaikowym stoliku stoi zielony flakon z trzema zwiędłymi różami – że też nie widziała tego wcześniej! Kiedy bierze flakon, czuje zapach bijący ze środka. Łodygi za długo były w wodzie. I: uwaga! nic z powyższych rzeczy jeszcze się nie stało, Sten jeszcze nie i Lillemor też nie, jeszcze nie – ona też nie ma takiego poczucia, bo jej Lillemor jest niewinna, Emilia nigdy nie zawahała się użyć słowa „dobra”.

No chodźże, mamuśka, odzywa się idiotycznie Hugo. Tak mówią inni, ale on powinien mieć więcej rozumu. Wyjdźmy gdzieś, nie musimy siedzieć i gapić się w ścianę w sobotę wieczorem. Próbuje objąć ją ramieniem. Pójdziemy do tego nowego lokalu, Gwiazdny Bar.

Ale może się zdarzyć, że ona wróci, mogła czegoś zapomnieć, a tu nikogo nie ma w domu. Hugo nuci coś pod nosem. Czasami wydaje jej się taki obcy. Odległy. Emilia nawet nie słyszy, co to za melodia.

Idź tam, jeśli chcesz, mówi. Ja nie mam ochoty.

No chodź, mówi Hugo. Maleńka.

W jego głosie jest tyle czułości.

Krążyliśmy wokół tej dziewczyny jak pszczoły, mówi Hugo. Ale ona już jest dorosła. Ma swojego Stena. Wszystko jedno, co my o tym sądzimy.

Jakie „my”? myśli Emilia. Nie ma żadnego my w tej sprawie. Jest „ja”, jest „ty”, no i jest jeszcze Lillemor.

Ale ja nie chcę, mówi.

W takim razie zostaniemy w domu, decyduje Hugo. Kupiłem nową płytę, możemy posłuchać.

Jego nucenie przechodzi w śpiew. Próbuje brzmieć jak Elvis. Gładzi jej biodra, przechodząc obok sofy.

Pójdę na spacer, mówi Emilia. Wie, że Hugo nie cierpi bezcelowych przechadzek, chodzenia bez planu. Dokąd idziemy, maleńka? Ona nie odpowiada daleko, choć ma to na końcu języka. Gdzieś daleko. Nie mówi nic, tylko idzie, tak szybko, że on nie nadąza, a jeśli nadąza, jest tak zdyszany, że nie może mówić.

A może poszlibyśmy do Statts w takim razie? próbuje Hugo jeszcze raz. Do ogrodu zimowego?

Potrzebuję powietrza, nie wódki. Idziesz ze mną?

Nie, chyba nie. Ale ty się przejdź.

Jakby udzielał jej pozwolenia. Bierze swój karton, Emilia zauważa ulgę – to tego przez cały czas chciał najbardziej. Propozycja wyjścia z nią była tylko aktem miłosierdzia, a nie potrzebą. Spróbuję zamontować przesuwane drzwi w wagonie towarowym, dodaje Hugo, jakby to miało coś tłumaczyć albo coś znaczyć.

Emilia idzie Hyttgatan, dociera do sklepu z oponami, drogi krajowej, stacji Esso, mijają kompleks Lustigknopp po prawej stronie, idzie, aż słyszy muzykę z Parku Ludowego, widzi dach rotundy, łukowatą bramę i wysokie kolumny. Próbuje szukać wzrokiem Lillemor, ale wszystkie postaci są niewyraźne – młode kobiety przed wejściem poprawiają pończochy, śmieją się do siebie, trzymają żarzące się papierosy – Emilia nagle się boi, że Lillemor ją zauważy. Zawraca, idzie z powrotem Högbovagen, potem Storgatan. Po głowie tłuką jej się słowa: „Niedługo się wyprowadzę”. Im bliżej jest wieżowca, tym bardziej gniewnie brzmią te słowa, to już nie jest tylko jej głos, to jest chór głosów: My się niedługo wyprowadzimy. Odbijają się od jej wnętrza, odbijają się od Army: Przecież obiecałyśmy sobie, że stąd wyjedziemy.

To dziwne, jak ona myśli o tym czasie; jak gdyby tamten czas, jeden jedyny rok, stanowił w niej jakąś wielką przestrzeń, rozległe miejsce, niemal jak miasto, w którym zna wszystkie budynki, parki, każdą pojedynczą roślinę, jakby miała w nich udział. Jak gdyby była częścią tego czasu z Irmą. I Rebecką. To niesamowite. Carl Melin – nawet gazety o tym pisały... Jego twarz na zdjęciu (zobaczyła to zdjęcie w innym obrazie: jak Inger dotyka zdjęcia w gazecie w taki sam sposób, jak on dotykał jej fotografii na biurku; tak samo z daleka, choć muskając czubkami palców)... *Bankructwo Zakładów Wełnianych*... Doprowadził firmę do upadku. Była jakaś nerwowa wypowiedź księgowego Leijona, mówił, że on najwyraźniej nie ma pojęcia, jak należy prowadzić firmę, samo dobre serce nie wystarczy, tak powiedział, a może to tylko ona tak o tym myślała. Za to pamięta komentarz ojca, starszego pana Carla Melina, który mówił, że jest bardzo rozczarowany; to było tak głupie, że miała ochotę zadzwonić, wiele lat temu, już kładła dłoń na słuchawce telefonu, żeby powiedzieć, ale co? Mija zaporę Dal-Brity. Wydaje jej się, że słyszy za plecami kroki, idzie dalej, wydaje jej się, że słyszy ciche głosy kobiet, plusk w wodzie, stłumiony, jakby przez tkaninę – kiedy się odwraca, nie widać nikogo, tylko wieczór, miasto. Wysokie brzozy i powietrze, które jest chłodne z jednej strony, letnie z drugiej. Chce przebiec ostatni kawałek, przebiec obok domu, widzi siebie, jak to robi, biegnie w tę stronę, gdzie miasto się rozplywa w mokradła i sosnowy las.

Kiedy nocą wreszcie słyszy powracającą dziewczynę, nie wie, czy ma być zła, czy szczęśliwa; uczucie nie może się zdecydować. Chciałaby nastawić wodę na herbatę, posłuchać opowieści dziewczyny, uśmiechnąć się na coś, co Sten powiedział albo zrobił, ale Lillemor najwyraźniej nadal trwa w tym skuleniu, błądzi wzrokiem, kiedy Emilia pyta, czy dobrze się bawiła. Lillemor pyta, dlaczego ona jeszcze nie śpi, pytania się krzyżują, żadne nie doczeka się odpowiedzi. Potem Lillemor się uśmiecha i mówi, że jest nieziemsko zmęczona. Chcesz herbaty? Znowu mówią to równocześnie. Lillemor ma zwichrzone włosy, Emilia chciałaby je przygłodzić, chciałaby się cieszyć tańcem i energią, która jest w parku w majowy wieczór. Kiedy dziewczyna odwraca się, żeby pójść do swojego pokoju, Emilia widzi plamę z tyłu ma wisienkowej sukience.

Upadłaś? pyta.

Dziewczyna zatrzymuje się. Nie, ona już nie jest dziewczyną. Wpatruje się uporczywie w drzwi do swojego pokoju.

Tak, mówi. Potknęłam się o korzeń. Sten pomógł mi wstać.

To dobrze. Czy na pewno nic nie chcesz?

Jestem nieziemsko zmęczona, powtarza Lillemor. Odwraca się w stronę Emilii z uśmiechem... Prawie dyga. Prawie jest też bliska wybuchnięcia... śmiechem?

Nocny spacer

Lillemor nie zamierza zapytać Stena, czy ją kocha; nigdy w życiu. A jeśli on to powie, nie będzie go pytała dlaczego ani: czy jesteś tego pewien? Nigdy nie zamierza robić z siebie takiej idiotki.

Jest mu taka wdzięczna, że albo nic nie mówi, ledwie trzyma ją za rękę, albo obejmuje ją mocno, przyciska do ściany i nazywa słowami, które z romantyzmem nie mają nic wspólnego. Nie zniosłaby ust, które by szeptały gładkie, śliskie słówka w jej ucho. Gdyby mu się wyrwało: Jesteś dla mnie wszystkim! musiałaby go chyba spoliczkować. Tak myśli Lillemor i sama się z siebie śmieje. To śmiech, którego nie poznaje, ale podoba się jej. Że może tak brzmieć.

Była ze Stenem w kinie. *Wojna i pokój*. Sten uważał, że film był przeladowany, ona nie mogła się skoncentrować, w ciemnościach Sten wziął jej rękę i wsunął sobie do spodni.

Kilka godzin później Lillemor przechadza się po pustym mieście, przygląda się swoim odbiciom w wystawach, mija je po kolei: Zakład fotograficzny Wiklunda, manufaktura Nilssona, Radio Anderssona. Piramidy puszek w Konsumie. Wystrój cukierni Lorrys w kolorze złota i nugatu, akwarium dzielące pomieszczenie mieni się zielonkawo. Niedawno padał deszcz, neony świecą na niebiesko i czerwono, odbijając się migotliwie w ciemnym mokrym asfalcie. Przy żelaznym ogrodzeniu Domu Ludowego można jeszcze wyczuć obecność młodzieńców, którzy zatrzymali się na chwilę po ostatnim seansie. Zanim się rozeszli, z ich ust wydostawał się dym i śmiech. Lillemor minęła chłopaka ze swojego roku; kiedy zęgnęła się ze Stenem, poczuła ulgę, że tamten nie zatrzymał się na pogawędkę. Nadchodzi noc, Sten już chyba śpi, cieszy ją myśl o jego uspiętej twarzy, jego głębokim oddechu, że ma kołdrę i poduszkę, że może śni o niej albo przynajmniej o niej myślał tuż przed zaśnięciem.

Och, gdyby tylko mogła tak po prostu zostać w mieście, nie czując wyrzutów sumienia! Chciałaby, żeby nie było domu, który pragnie jej powrotu, wołałaby, żeby Emilia na nią nie czekała. Najlepiej, kiedy ludzie wiedzą o człowieku wszystko albo absolutnie nic. Emilia wie tak mało, ale wystarczająco, żeby powstał z tego jakiś obraz i żeby ten obraz był całkowicie fałszywy.

Lillemor chce się zachwycić tym, co pokazują wystawy Domu Rzemiosła, sklep z płaszczami Didnera, firanki Stenlunda... Próbuje patrzeć na siebie oczami Stena. Tak, jak on widziałby ją w tej sytuacji, jako tą, która odrzuca głowę do tyłu i śmieje się, która sięga do jego spodni, jakby się częstowała, myśli, nie przejmując się, co sądzą inni.

Czyż nie jest właśnie taka?

Musi taka być.

Zarzuca włosami. Wysuwa do przodu jedno biodro, podpira się ręką w pasie. Pamięta obrazy, sama może być takim obrazem. To wcale nie znaczy, że nie byłaby żywa – wręcz przeciwnie! Nigdy chyba nie była bardziej żywa niż teraz.

Przechodząc przez park Jansy, myśli, jak ponure są tulipany bez słońca, które zwraca na nie uwagę. Na białych ławkach brakuje ludzi. Fontanna drzemie w gładkim stawie. Sten potrafi powiedzieć, że ona doprowadza go do szaleństwa, udaje rozgniewanego, czasami Lillemor nie ma pewności, czasem myśli, że on naprawdę się gniewa. Ale to dlatego, że jest do tego przyzwyczajona. Bo mieszkała przez tak długi czas w takich spojrzeniach – Maksa i Mildred – które zamykały ją, spychały w głąb siebie samej. I jeszcze myślała, że te spojrzenia mają rację. A potem spojrzenia Emilii... Które też odbierają jej wolność, choć w inny sposób.

Lillemor Andersson chce być gdzie indziej, chce mieć własne miejsce, nie wiedząc, jak ono mogłoby wyglądać. Może jak mieszkanie Mony na Baldersplan, mniej więcej. Powiedziała, że do niej idzie, może powinna, ale Lillemor tak się zmieniła, że już nie może wytrzymać z Moną. Co ona powiedziała ostatnio? Że Lillemor wygląda na zmęczoną, jest niepodobna do siebie? Tylko dlatego, że jest szczęśliwa i ma kogoś na poważnie, podczas gdy Mona dalej łązi za Kennetem Quistem, choć on w tak oczywisty sposób nie jest nią zainteresowany; zresztą sam wcale nie jest interesujący. Nie wystarczy dać chłopakowi do rąk gitarę, żeby był interesujący. Chciała coś odburknąć, okazać złość, ale zamiast tego osunęła się na twardą brązową sofę Mony i nie mogła się ruszyć. Ty? Lillemor? Co się dzieje? Jakby Mona – która nie ma o niczym pojęcia – mogła ją pocieszyć. To było straszne. Poza tym zapytała o gumki. Uzywacie przynajmniej gumek? Och, na litość, Lillemor musiała się stamtąd wyrwać. A wtedy Mona pokręciła głową, jakby coś było z Lillemor nie tak... A więc tam już nie może iść.

Długo siedzi w parku za kościołem, przy pomniku Staffana, spogląda na nowo wybudowane mieszkania nad sklepem *Owoce i słodycze*, ale wszystkie pomieszczenia są ciemne, ani jednego świecącego na pomarańczowo kwadratu w całym uśpionym mieście. Widzi sarnę na szczycie wzniesienia, przygląda się chwilę jej zawilej drodze między nagrobkami. Delikatna mgła podnosi się z ziemi, trawa pod jej stopami zdaje się przezroczysta. Na zegarze kościelnej wieży widzi, że zbliża się poranek; chodzi już od kilku godzin, mogłaby tak chodzić dalej. Z ulgą myśli, że właśnie coś takiego robią zakochani ludzie, mają prawo to robić. To niemal to samo, co grzebanie w talerzu i wzdychanie albo przewracanie się na łóżku z podobnymi westchnieniami i bolesną tęsknotą. Można robić takie rzeczy, kiedy jest się świeżo zakochanym! Lillemor marznie. Idzie pod klonami na Storgatan. Dochodzi do budynku zarządu huty; zawsze ma wrażenie, jakby była za granicą, kiedy stoi na tym wzgórzu i patrzy w dół na miasto. Siedziba zarządu wygląda po amerykańsku, nie ma nic podobnego w Sandviken. W dole leży zakład. Nie wygląda na tak duży, jaki jest w rzeczywistości. Pomarańczowoczerwony. Kanciasty. Niski, z płaskim dachem, kominami, które sterczą w niebo, dym w różnych kolorach, od białego przez ogniście żółty do czarnego. Dobrze wiadomo, że zakład pożera miasto, ma je w swoim brzuchu, jak potwór, ale tego się nie zauważa. Zakład przecinają na wylot tory kolejowe. Lillemor mogłaby się rozplakać, ale z jakiego powodu? Trzyma ręce w kieszeniach. Wieje słaby wietrzyk. Gdyby tylko wszędzie nie było tak cicho, mógłby to być równie dobrze dzień, a przynajmniej nie noc. Nie, nie jest jej zimno. Krew krąży w ciele. Krew płynie i szumi pod skórą. Słuchaj, laleczko, masz może fajkę? Męczyzna pojawia się znikąd. Jego granatowa kurtka jest brudna, a kędzierzawe włosy sterczą wokół głowy jak obłok.

Wygląda jak ktoś, kto nie ma się gdzie podziąć i ona nie zamierza się go bać. Tylko spokojnie potrząsa głową. Myśli, że powinna się uśmiechnąć, ale zaraz zmienia zdanie.

Słuchaj, mówi znowu mężczyzna. Takie eleganckie paniusie chyba nie powinny spacerować same o tej porze?

Wewnętrzna Lillemor – ta, która naprawdę nie boi się niczego – mogłaby powiedzieć: A dlaczego nie? Albo: No i co z tego? Gdyby to Mona zobaczyła, zmroziłoby ją z wrażenia. Albo Sten. Sten pokochałby ją jeszcze bardziej, gdyby wiedział dokładnie, jaka ona jest. Choć i tak z jej ust nie wydostają się żadne słowa. To tak jak z tą krwią. Pędzi rwącym nurtem, a wcale tego nie widać. Gorąca, czerwona i potężna. Takie same są wszystkie słowa Lillemor. Nawet nie potrafi spojrzeć na tego mężczyznę w taki sposób, jak postanowiła. On chwyta ją za ramię, niezbyt mocno, raczej jakby je obejmował. Są w Ameryce. W tej samej chwili, kiedy on dotyka jej ramienia, dociera do niej, że nie ma między nimi różnicy, są podobni, są jednym i tym samym.

Zabieraj się do chaty, mówi mężczyzna. *Adios!* Zostawia ją, schodzi ze wzgórze, obok drogi, po trawie, zaraz pochłonie go zakład, godzina jest taka, że mogłaby teraz wrócić, choć już nie może – nie wolno jej – nazywać tego miejsca domem.

Emilia nie spała całą noc. Kiedy zbliżała się trzecia, chciała wyjść, ale Hugo wciągnął ją z powrotem do łóżka, przecież zawsze wszystko idzie dobrze, Emilia nie pojmuje, jak ludzie mogą trzymać się tej dewizy tak bardzo. Tak samo może przecież nie pójść dobrze, może akurat powinno się próbować temu zapobiec? Dzwoni do Maksa. To wyjątkowa sytuacja. Hugo stoi obok i wzdycha.

Posłuchaj, spróbuj się uspokoić. To mówi jego spojrzenie, kiedy w słuchawce rozlega się sygnał. Nigdy przecież nic złego się nie dzieje.

Chciałam tylko zapytać, czy ona jest u ciebie, wyrzuca z siebie pośpiesznie. Tak, właśnie, Lillemor. Powiedziała, że przenocuje u koleżanki, ale...

No to chyba tam jest.

No tak, ale...

Przecież to już dorosła dziewczyna, ciągnie Max, jak szydercze echo słów Hugona. Jakby dorośli nie potrzebowali ochrony czy troski. Jakby dorośli ludzie nigdy się nie bali.

Albo jest ze Stenem, mówi dalej Max, słysząc wyraźnie, że co innego go zajmuje. Sofia opowiadała, że podpisał umowę z Järbo Nya Mekaniska, chodziło o jakiś automat do wyrobu pierniczków, który podobno mógł produkować pół miliona pierniczków dziennie. On ma pomysły, ten Max. Może zawsze taki był, ale ona go nie zna. Nadal myśli o nim, jakby był z Karin. Tylko że wtedy nie byłoby tu dziewczyny. Choć teraz i tak jej nie ma.

Poznałeś Stena?

Musi o to zapytać, choć wie, że przeszkadza.

Taa, odpowiada Max. Przyszedł tu raz z Lillemor, poznaliśmy go wszyscy.

Jak chłodno on to mówi. Bez serca.

A jakie on sprawia wrażenie? wyrywa się jej. Musi powtórzyć pytanie, bo głos jej się łamie.

Mildred uważa, że to porządny chłopak, chyba była pozytywnie zaskoczona, tak sędzę.

I to wszystko, co on mówi na ten temat Max Andersson. Który napisał do Karin dwieście trzydzieści cztery listy przez te trzy lata, kiedy byli razem (choć trudno ustalić jakąś granicę, w pewien sposób prawie od zawsze byli razem). To ponad siedemdziesiąt listów na rok. To trzy linijki dziennie. Gdyby przyjąć, że każdy list miał czternaście linijek, średnio licząc.

Porządny. Pozytywnie zaskoczona. A co ją obchodzą słowa Mildred? Emilia żałuje, że o to zapytała. Że jej głos stał się piskliwy czy niski, czy jaki tam był. Żałuje, że się przejmowała. Że w ogóle wpuściła tę dziewczynkę.

Dziękuję, mówi; wygląda, jakby dygała, odkładając słuchawkę.

Hugo nie spuszcza z niej wzroku. Co się dzieje? mówią jego oczy. Słuchaj no, Małeńka? Jakby to z nią coś było nie tak.

To kiedy my go poznamy?

Ten okrzyk wyrывa się jej, gdy tylko Lillemor wchodzi przez drzwi. Nie: gdzie byłaś? Nie: jak to dobrze, że już wróciłaś. To zabrzmiało źle, Emilia chce to cofnąć. Byliście tacy niespokojni, dodaje.

Źle rozkłada akcenty. Kiedy my go poznamy? Byliście tacy niespokojni.

Mówiłam przecież, że będę nocowała u Mony.

Wtedy Emilia zauważa, jak Lillemor wygląda. Włosy, ubranie, wszystko.

Ale co ty robiłaś? Wyglądasz strasznie.

Dziewczyna cofa się spłoszona.

Piłaś? pyta Emilia. Jeszcze pogarsza sprawę. Tym bardziej że dziewczyna nie odpowiada. Byłaś na prywatce? próbuje załagodzić to wrażenie. Ostatnio wszyscy niepokoją się o młodych. Czytała o tym w gazecie. Nigdy przedtem młodzież nie miała takiej swobody jak teraz.

Chodzi tylko o to... próbuje. Widujemy cię codziennie... a kiedy cię nie ma...

Kiedy cię nie ma... powtarza Emilia, nie wiedząc, co chciała powiedzieć. Patrzy na sosnową boazerię w przedpokoju, jasne tapety, które przechodzą do dużego pokoju; nie ma żadnych granic. Jedno przechodzi w drugie, a papierowe tapety w jedynym dużym pokoju są okropnie wyblakłe, Lillemor jakby zlewa się z nimi.

Tak bardzo chcielibyśmy go poznać, Lillemor.

Czy teraz akcent był dobry?

Wiem, wiem, mówi Lillemor. Mam sprawdzian, muszę się pouczyć.

Przed jej pokojem krąży Emilia. Zupełnie inaczej zabrzmiałoby zdanie: Przed jej pokojem krąży matka. Wtedy może ten idiotyczny niepokój byłby uzasadniony.

Buty Lillemor

Jest spóźniona, to pierwszy ranek, kiedy Hugo wychodzi z domu przed nią, Annika pewnie znów będzie spoglądała znacząco, jakby Emilia zaczynała tracić coś, coś niezbędnego, żeby ludzie mogli ją... jeśli nie szanować, to przynajmniej w każdym razie: dostrzec...

Chce się nachylić do drzwi Lillemor. Chciałaby coś usłyszeć. Usłyszeć, jak dziewczyna ją woła. Chce wyłamać drzwi. Są zamknięte na klucz, a Lillemor jest w niebezpieczeństwie. Ostrożnie naciska kławkę. Słyszy krzyk dziewczyny:

Czego chcesz?

Nic takiego, mamrocze.

Stara się myśleć rozsądnie, myśleć, że Lillemor jest tam przynajmniej, właśnie teraz jest w domu, ale właśnie teraz to słaba pociecha, bo już za sekundę właśnie teraz będzie czymś zupełnie innym. Tylko wspomnieniem. Wśród milionów. Nie, ma się tylko garstkę wspomnień w porównaniu z tym, czego się nie zapamiętuje. Ale może te wszystkie utracone wspomnienia gdzieś są? Czy te nieobecne nie wpływają na człowieka tak samo jak te, które zostają? Wszystko to, czego nie ma i się nie zdarzyło. Marzenia też, czy może należałoby nazwać je dziurami. Ostrożnie zamyka drzwi mieszkania, żeby nie przeszkadzać, boi się, że dziewczyny tam nie będzie, kiedy wróci z pracy. Tak się boi, że buty Lillemor, ciemnobrązowe, zwyczajne, nie będą tam stały jeden obok drugiego, zwrócone do siebie niskimi obcasami.

Wreszcie się pojawił. Sten Malmberg. Nagle. Choć nie tak całkiem nagle. Jasne, że to było zaplanowane. Zaproszenie. Piątkowy wieczór. Emilia stoi w kuchni od powrotu z pracy, pod pachami klei się od potu. Nie ma odwagi spojrzeć w lustro.

A więc to jest Sten, myśli.

A więc to jest twój Sten, mówi Hugo. Próbuje udawać ojca. Właśnie podchodzi do niego, udaje, że chce go obejść dokoła, ale nie, śmieje się i wyciąga rękę, to był oczywiście żart, kiepski żart, bo jest trochę zdenerwowany.

Jestem Hugo. Witamy w naszym domu.

Tak, witamy, mówi Emilia; naprawdę chce, żeby uścisk jej dłoni był tak mocny, jak się da, ale tylko szybko muska jego rękę. Witamy w naszej małej rodzinie! O mało co jej się to nie wyrwało! Co my w ogóle robimy? myśli, wieszając ulster Stena z wielbłądziej wełny (czy nie jest o wiele za ciepło na coś takiego?), widzi jego wypolerowane buty obok butów Lillemor. My nie mamy do tego prawa. Nie mamy z tym nic wspólnego.

Kiedy pojawiła się ta myśl, dalszy ciąg wieczoru jest tylko męką i ulgą. Spogląda na Lillemor i myśli: Ona nie jest nasza. I to pali ją w środku, to ją mrozi na lód, i może rozmawiać ze Stenem bez drżenia głosu, bez najmniejszego drgnienia dłoni, kiedy podaje dalej półmisek z zapiekanką z makaronu.

Tak my jadamy w piątek wieczorem, mówi. Czy w Hedgrind je się inaczej?

Hugo trąca ją stopą pod stołem.

Jestem tylko ciekawa, dodaje. Lillemor posyła jej ostre spojrzenie.

Cholera, oni są jacyś dziwni, myśli Sten. Komuniści, tego się domyślił. Że też dał się na to namówić. Ale on jej jeszcze pokaże. Już ona mu za to zapłaci. Szczypie Lillemor we wnętrze uda, zastanawia się, jak jej to powiedzieć, kiedy będą mieli chwilę spokoju, albo szepnąć do niej, nawet jeśli tamtych dwoje siedzi w tym samym pokoju. A kiedy zostaną sami – wyobraża sobie dalej – Lillemor zacznie się o niego ocierać: Daj mi go teraz, Sten; tak będzie jęczeć. A on wtedy, on naprawdę...

Jeszcze zapiekanki, Stenie?

Nie, dziękuję. Nie smakowało panu?

Ależ skąd, tylko...

Może wziął sobie za mało żurawiny?

Dziękuję, ale naprawdę nie jestem już głodny, pani Lindblom.

Panno Steen, poprawia Emilia.

Boże święty, myśli Sten.

Lillemor nagle zaczyna chichotać. Hugo też. Emilia i Sten patrzą zdezorientowani, najpierw na tamtych, potem odruchowo na siebie.

Sten i Steen! Hugo się śmieje, a usta Lillemor są zaskakująco duże; Emilia już jej nie poznaje.

Po cieście rabarbarowym Stenowi zaczyna się śpieszyć.

Zobaczymy się jutro? zwraca się do Lillemor.

A kto jutro gra? pyta Hugo.

Sten nie odpowiada, pyta o łyżkę do butów.

Orkiestra Rolanda Nyberga, mówi zamiast niego Lillemor. Emilia długo szuka, zanim udaje jej się znaleźć łyżkę.

Poza tym ma być jeszcze jakaś parada, dodaje dziewczyna.

Cudownie byłoby być znowu młodym i iść potańczyć, mówi Emilia.

Przecież możemy iść na tańce, odpowiada Hugo. I aż tacy starzy chyba nie jesteśmy?

Może też się wybierzemy, uśmiecha się porozumiewawczo. Byłoby miło, prawda, Lillemor? Gdybyśmy tak poszli wszyscy razem?

Lillemor powinna się roześmiać, chce się roześmiać, ale kiedy widzi spojrzenie Stena, powstrzymuje się i tylko wykrzywia twarz.

Dziękuję za kolację, mówi Sten.

Wszystkiego dobrego, mówi Hugo.

Sten posyła Lillemor jeszcze jedno spojrzenie, ona mówi, że za chwilę wróci, szybko wsuwa stopy w buty i wychodzi ze Stenem.

Weź, proszę, apeluje Emilia i wyciąga rękę z płaszczem, ale Lillemor nawet nie patrzy w jej stronę. Może przynajmniej sweter? próbuje dalej Emilia, ale na to dziewczyna też nie zwraca uwagi i Emilia stoi tak ze swetrem wyciągniętym w pustkę. Jasnoróżowy sweter z perłowymi guzikami.

Miała szminkę, widziałeś? mówi Emilia. Tak gwałtownie zeszkrobuje resztki z talerza Stena, że porcelana aż krzyczy.

Jest, jak jest, mówi Hugo. I to jest takie niemrawe, tak cholernie tchórzliwe i nic nie mówiące, że Emilia ma ochotę rzucić w niego talerzem.

Przecież oni nie są twoimi prawdziwymi rodzicami, mówi Sten do Lillemor, kiedy przystają kawałek od wieżowca. Co cię obchodzi, jeśli się pogniewają?

Ale ja nie mogę...

Normalnie zawsze możesz.

Lepiej spotkajmy się jutro, Sten.

Hmm. Może tak.

Sten kopie w ziemię swoim eleganckim butem.

Sten? odzywa się prosząco Lillemor.

No dobra, to się tak umawiamy, mówi Sten, w takim razie może zobaczymy się jutro...

Zaczyna iść.

Sten, nie idź, prosi dziewczyna.

Ale Sten idzie. Powoli. Z rękami w kieszeniach.

Sten! woła za nim Lillemor i dogania go w mgnieniu oka. Hej, ty? Gładzi go po ramieniu, łopatce, po szyi. Czy to wystarczy?

Nie, nie wystarczy. Sten patrzy w drugą stronę. Jego ciało nadal jest w ruchu, idzie, oddala się od niej.

Lillemor próbuje go całować, ale jego usta są niechętne.

Głaszcząc go w okolicy rozporka, długo, on wreszcie odwraca się do niej.

Czy ty jesteś moja? pyta.

Tak, Sten, przecież wiesz.

Zaczyna miętosić jej piersi.

Nie, nie tutaj.

Dlaczego się przejmujesz, co tamci sobie pomyślą?

Proszę cię, próbuje Lillemor.

Nie bądź taka trudna, mówi Sten; ciągnie ją nad kanał, nad samą wodę, podwija spódnicę.

Leż, Lillemor. Leż.

Ktoś nas może zobaczyć, szepcze dziewczyna. Ale kiedy spogląda w górę na blok, widzi skrawek zieleni krzaków i brzoź, próbuje dojrzeć okno na siódmym piętrze, a gdy Sten przyciska ją do ziemi, nie widzi już nic oprócz jego twarzy.

Emilia w oknie. Hugo na sofie.

Daj jej spokój. Poradzi sobie.

Emilia spogląda na brzozy, które stoją pokryte świeżą zielenią i próbują odbijać się w mętnej wodzie. Dlaczego on się w ogóle wtrąca do tego, gdzie ona stoi, co go to obchodzi? Gałęzie brzoź kołyszą się niespokojnie. Lokomotywa jest nasmarowana, lampki się palą. Czasami dolatują ją małe, malutkie słowa: platforma, cysterna, chłodnia, wagon towarowy. Słyszy drobne zdania rzucane w swoją stronę, ale tylko dlatego, że jej strona jest jedyną, jaka tu jest możliwa. Słuchasz mnie? dobiega ją jego głos. Dlaczego nie słuchasz? Słucham, mówi Emilia. Dlaczego się nie interesujesz? Interesuję się. Hmm, mówi Hugo. Ona to słyszy. Słyszy go. Wyobraża sobie jego usta, niezadowolone z jej powodu, którego nie można pogodzić z zadowoleniem, jakie dają mu modele pociągów. Że też ona się musi tak zachowywać, kiedy on tylko próbuje być miły, niech to diabli.

Jakaś kobieta idzie, targana wiatrem, przez Hyttgatsbron, rękami musi przytrzymywać spódnice. Przypomina... Ależ tak, naprawdę wygląda jak... Emilia staje na palcach, żeby lepiej widzieć, chce przywołać Hugona, pokazać: Czy to nie jest? Przecież ona wygląda jak?...

Hugo, zobacz, to chyba Irma?

No, a niech to piorun, Irma Frölander... Czyż nie tak by powiedział? Otoczyłby ją ramieniem. Na chwilę. Żeby zaraz potem lekko ją popchnąć. Już byłyby w drodze. Zajęłoby jej niecałą minutę zbiegnięcie po schodach, w mniej niż pół minuty mogłaby być na moście, to byłaby najprostsza rzecz na świecie złapać Irmę za ramię...

Wtedy kobieta się odwraca i to już nie jest Irma, nawet jej nie przypomina. To tylko spódnica. Taka czerwona.

Układ sterowania działa doskonale! wykrzykuje Hugo.

Emilia zostaje jeszcze przy oknie, nie ma w tym niczego szczególnego; nadjeżdża pociąg pośpieszny, widzi lśnienie rdzawoczerwonego wagonu, słyszy śpiew szyn, zastanawia się, dokąd on jedzie. Ludzie wysiadają, wsiadają, pociąg jedzie dalej. Myśli o ciałach, które są właśnie takie – jak ten pociąg. Które właściwie nigdy się nie zatrzymują, przynajmniej nie na dłużej niż kilka minut. Hugo mówi dobranoc, przyjdiesz zaraz się położyć? Za chwilę, odpowiada Emilia. Nie umyła jeszcze formy z zapiekanki, nie wytarła stołu. Hugo pociąga ją lekko za ramię, ale nie na tyle mocno, żeby poszła z nim. Co jest, maleńka? Wzdycha. To życzliwe westchnienie. Hugo jest dobry. Grzywka opada mu na oczy. Gasi lampę. Wtedy lepiej widać wszystko za oknem. Uliczne lampy zapalają się na moście, roztaczając miodowożółty blask, ale nie sięgają aż do ścieżki, którą właśnie ktoś idzie... Serce chce być spokojne... jak można uspokoić serce? To młoda kobieta, jej postawa zdradza wiek: przygarbione plecy, zwieszona ramiona kołyszą się na boki, powłóczy nogami, jakby tak naprawdę nie chciała iść dalej. Co ona robi na dworze tak późno? Rozgląda się dokoła, poprawia włosy, sukienka źle leży, wygląda trochę... tandetnie. Jak te młode kobiety w mieszkaniu na Storgatan; te, które mieszkały nad zakładem krawieckim Jonssona – Emilia podejrzewa, że Hugo lubił je oglądać, sama widziała ich ciała odbijające się na cienkich firankach, czasami wyglądały, jakby się obejmowały. Kobieta zbliża się do budynku, zdaje się, że marznie... Dopiero kiedy skręca do domu, Emilia poznaje Lillemor. Przez całą drogę na górę słyszy kroki, słyszy, jak nie chcą iść. Stopy Lillemor w ciemnobrązowych butach. O Boże, one nie chcą! Emilia biegnie do drzwi, otwiera je, zanim Lillemor zdąży to zrobić. I zanim zdąży zdjąć buty, Emilia krzyczy:

Nie możesz być z tym Stenem!

Lillemor zastyga nieruchomo. Hugo toczy się w ich stronę – do kogo on się właściwie toczy? Zatrzymuje się na środku podłogi, w gotowości.

Przecież nie możesz nas opuścić dla kogoś takiego.

Najgorsze jest to, że dziewczyna nic nie mówi, nie krzyczy nic w odpowiedzi. Tak głupio wtedy wygląda Hugo, który stoi tam, jak tarcza, kiedy ona sama się nie broni. Gdyby tylko mogła zacząć wierzgać i młócić swoimi szczupłymi ramionami. Trzymaj się z daleka, cholerna jędzo, tak chciałabym mieć inną... mamę...

Wtedy Emilia zaczyna płakać. To nie jest spokojny, łagodny płacz, przy którym chciałoby się ją objąć, tylko płacz, który wybucha, szaleje, który chce ją zgiąć do ziemi.

Emilio, uspokój się, odzywa się Hugo. Ale dalej stoi w miejscu. Bo on stoi tam, żeby chronić dziewczynę, a nie, żeby chronić Emilię.

Słuchajcie, mówi znowu, usiądźmy może i napijmy się herbaty.

Ale Emilia podchodzi do dziewczyny, tak łatwo jest ominąć Hugona, on tylko się odsuwa, co to za ochrona? Emilia bierze dziewczynę za ramiona, odwraca do siebie:

Co ja mam zrobić? szepcze. Potem głośniej: Co mam zrobić, żeby znów było dobrze? I już całkiem głośno: Lillemor, co ja mam począć?

Lillemor stoi, nieruchoma, Emilia zaczyna ją całować, rozmazuje swoje nieznośne łyzy na jej twarzy, na sukience, w której Lillemor próbuje wyglądać pięknie, którą włożyła dla Stena. Wreszcie Hugo decyduje się wkroczyć, wreszcie rozumie, po co on tu w ogóle przyszedł i stanął w tym miejscu. Delikatnie odrywa dłonie Emilii od ciała Lillemor, poprawia nawet sukienkę dziewczyny, ujmując czepiające się ręce Emilii i zwraca się do dziewczyny, szeptem, jakby nikt inny nie miał tego słyszeć:

Idź się położyć, dzieciaku... Lillemor...

Nie, mówi Lillemor jasnym, dźwięcznym głosem, ja tylko chciałam wziąć sweter.

Dziewczyna zapina sweter, jakby demonstracyjnie wolno, ale to tylko wrażenie.

Przyjdiesz potem do domu?

Emilia właściwie nie ma siły pytać, ale jest jak dziura, z której ciągle coś się wylewa. Czy naprawdę dziury tak działają? Jak coś może płynąć z czegoś, co jest puste? Lillemor zapina ostatni guzik... Nie musiała zapinać tego ostatniego guzika, gdyby naprawdę chciała stąd iść, nie musiałaby...

Będę znów nocowała u Mony, mówi.

U Stena! myśli Emilia.

Nie jesteście jeszcze małżeństwem, wylewa się z dziury. Uważajcie, co robicie.

Mówiłam przecież, że przenocuję u Mony.

Please stand by me

Sandviken ma swój powiew wielkiego świata. Kiedy Ingrid Goude ze swoją przyjaciółką z Hollywood pokazują się w oknie wystawowym, mieszkańcy miasta stoją na ulicy i gapią się w zachwycie. Bycie miss jest bardzo męczące, jak można przeczytać w gazecie. Nakładanie porannego makijażu zajmuje sześćdziesiąt pięć minut. Umie pozować, umie wyglądać naturalnie.

Emilia odkłada gazetę.

Hugo, czy nic nie można zrobić?

Tak głupio woła do niego. Przez tych pięć metrów kwadratowych, które ich dzielą. A mimo to on nie słyszy.

Hugo... Co można zrobić?

Z czym?

Podnosi niechętnie głowę znad swoich torów. Dwanaście wygiętych. Dziewięć prostych. Dwie zwrotnice.

Wydaje mi się, że to idzie za szybko, mówi Emilia i podchodzi do niego.

Ale co?

Lillemor i Sten. Oni są jeszcze tacy młodzi.

No cóż, mówi Hugo. Lillemor skończy niedługo dwadzieścia lat, a on jest chyba trochę starszy?

Lillemor jeszcze nie ma dziewiętnastu, poprawia go Emilia, wpatrując się w pomarańczowy dywan. Odkurzała go wczoraj. Starannie. Ale co z tego za pożytek, jeśli nie usunie się też brudu z framugi drzwi, szaf, parapetów – kurz zbiera się wokół nóg stołu, ścierki robią się czarne od tego, czego nie widać gołym okiem. I w tym wszystkim człowiek chodzi, przez cały czas.

Chciałabym, żebyś mógł to zrozumieć, mamrocze Emilia.

Co mówiłaś?

Emilia wciąż stoi na dywanie. Jak ona teraz będzie mogła się ruszać? Ktoś musi przyjść i jej pomóc. Dziewczyna musi przyjść i wziąć ją za rękę, poprowadzić. Chodź tu, Em. Chodź, niech cię obejmę.

Szczupłe ciepłe ramiona wokół jej szyi.

Ciociu Emilio, chodź wreszcie!

Proszę, powiedz mamó, możesz chyba powiedzieć mama, tylko jeden jedyny raz.

Chciałabym, żeby Lillemor tu była, głupio odzywają się jej usta.

Zamyka oczy. Słyszy skrzypienie sofy. Czy on wstał? Może idzie do niej? Kiedy otwiera oczy, widzi, że on się położył na sofie, na wielkim brzuchu leży książka. Engine & Tender. Ingrid Goude patrzy na nią z okładki nowego numeru *SE*, mówi: *Człowiek wraca do domu, ale to już nie jest jego miejsce. Nie ma się już nigdzie swojego miejsca. Powiedziało się komuś żegnaj i to był ostatni raz.*

Hugo czyta poranną gazetę: W katastrofie lotniczej pod Casablanką straciło życie sześćdziesiąt pięć osób, w tym piętnaścioro dzieci. SIF jest na jedenastym miejscu w tabeli. W artykule o książce Elin Wagner *Budzik* jest napisane: *Kobiety powinny realizować swoją własną linię, ale nie żądać przy tym tak wielu praw, tylko więcej myśleć o swoich zobowiązaniach.* Dziesięcioletnia dziewczynka chce wyjechać na lotnisko, niżej Hugo widzi ogłoszenie: *Student Sten Malmborg i Lillemor Andersson zamierzają zawrzeć związek małżeński.* Nie może tego ukryć przed Emilią, choć tak bardzo by chciał, więc pokazuje ogłoszenie, kiedy tylko weszła do kuchni, nalała sobie kawy i chce usiąść.

Aha, mówi Emilia, ale chyba nie musisz z tego powodu wyglądać jak siedem nieszczęść?

Idzie do łazienki, zamyka za sobą drzwi. Hugo spogląda na swoje dłonie – wykręca i odwraca je nad blatem stołu. Wydają mu się gigantyczne. Te gigantyczne dłonie wyciągają jedną szufladę po drugiej, żeby wreszcie znaleźć nożyczki, którymi powoli wytną ogłoszenie. Serce mu wali, kiedy chowa ogłoszenie do portfela, a potem wkłada kurtkę. Emilia nadal jest w łazience, Hugo postanawia, że zostawi ją w spokoju.

You and I will be as free, as the birds up in the trees. Oh, please, stay by me, Diana.

Płyta się obraca, przy adapterze siedzi Lillemor z *Geometrią płaszczyzny*, musi czytać zdania po kilka razy: *Geometria płaszczyzny zajmuje się badaniem figur geometrycznych płaskich*. Za pięć minut otworzą się drzwi na ukos za jej plecami. *Figura geometryczna musi być wyobrażona, a nie rzeczywista*. Ostatnią minutę niemal odlicza. Myśli, że powinna wyłączyć adapter, drży wewnątrz. Gdyby to był Max, minąłby ją po prostu. Bez słowa. I to byłoby najlepsze. A co zrobiłaby Karin?

Obydwie myślą to samo, kiedy Emilia wraca z pracy do domu i widzi dziewczynę w fotelu wypoczynkowym, w wąskiej spódnicy, z nogą założoną na nogę. Co w tej sytuacji zrobiłby inny człowiek? Ktoś stojący bliżej. Albo bardziej z boku. Kto nie musiałby ryzykować tak dużo. Ktoś, kto ponadto umiałby się z tego śmiać. Obsmiać to.

Nie mogłaś nam najpierw tego powiedzieć? wydostaje się jednak z Emilii. Dlaczego musimy dowiadywać się z gazety?

Lillemor wstaje, odwrócona w kierunku muzyki.

I love you with all my heart and I hope we will never
part. Oh, please, stay by me, Diana.

Kochana Lillemor... Emilia próbuje złagodzić swój ton. Skąd się to bierze, że ta łagodność jest taka trudna i zdaje się tak fałszywa? Chyba nie jest tak, że wpadłaś... w tarapaty, bo jeśli tak...

Tak nie jest, przerywa jej Lillemor. Zaczyna poruszać się przy muzyce, nie do taktu, wykonuje ledwo zauważalne ruchy. Na podłodze leży książka z rdzawą okładką. Taniec powinien być bardziej wyrazisty albo żaden. Musi być jeszcze coś, co Emilia może powiedzieć. Musi być jeszcze coś do powiedzenia, coś bardziej prawdziwego.

Nie chcę już dłużej was ranić, odzywa się głos Lillemor. Tak cicho, a jednak twardo.

Co masz na myśli?

Sama chyba rozumiesz.

Nie, Lillemor... Nie rozumiem. Przecież nas nie zraniłaś?

Nie kłam, syczy Lillemor. Nie mogę tego znieść.

Ja już dłużej nie wytrzymam, dodaje.

Jeszcze może przez cztery sekundy Lillemor stoi całkiem nieruchomo przed Emilią, zanim wybiegnie. A mimo to Emilia nie daje rady jej zatrzymać. Coś jest nie tak z jej rękami. Płyta gramofonowa obraca się przez cały czas, kiedy Emilia słyszy kroki dziewczyny dudniące echem na klatce schodowej.

Hold me darling, hold me tight, and squeeze me baby with all your might. Oh, please, stay by me, Diana.

Emilia i Irma

Na wiadukcie, przy budynku kąpielowym, przy terenie dworcowym, przy zakładowej kantynie pod symbolem żelaza stoją mężczyźni w szarych płaszczach i palą papierosy; jest dziesięć po piątej, Emilia skręca w Hyttgatan, na moście przystaje na chwilę. To najpiękniejsze miejsce w Sandviken. Szczególnie kiedy słońce migocze na wodzie, a zieleń zanurza się w nurcie, można sobie wyobrazić, że się jest w innym kraju, że kanał jest rzeką. Emilia trzyma się barierki i patrzy w dół w ciemną błyszczącą powierzchnię. Chce widzieć odbicie swojej twarzy, ale do lustra wody jest za daleko. Wcale nie ma pewności, czy stopy znalazłyby grunt, gdyby wpadła, może tam wcale nie ma dna, może to najgłębszy, nieskończony kanał świata. Robotnicy, którzy go wykopali, wśród nich Dal-Brita (silniejsza od mężczyzn, robotnica na kolei, pielęgniarka i pierwsza położna w okolicy), może mieli swoją tajemnicę: kopiemy nocami, we śnie, kopiemy, kopiemy. Powierzchnia wygląda tak spokojnie, woda płynie dostojnie błotnistym nurtem do zapory, przez kraty w zakładzie, i kończy bieg w Storsjön. Przy kratkach kiedyś topiło się szczury. Przy zaporze topiło się koty. Emilia myśli, na co Hugo mógłby mieć ochotę na kolację. Myśli o wirze w wodzie, który wciąga głęboko, coraz głębiej... Ona nie umie pływać. Co się dzieje z takim ciałem, które ląduje w głębokiej wodzie? Zanim wydano zakaz kąpieli w kanale, chłopcy robili sobie pomosty z młodych brzoźek i żerdzi, po których mogli wydostać się na brzeg. Więksi chłopcy wrzucali młodszych w sam środek nurtu, sami musieli się ratować. Jak długo można walczyć, utrzymywać się na powierzchni? Czy jest jakaś oddolna siła, która wciąga, jak to właściwie działa? Czy ktoś by usłyszał? Czy chciałoby się tego?

Smażone filety śledziowe, marchewka, ziemniaki. Powinno być dobre. Musi tylko dotrzeć do domu. To nic trudnego, jednak ona nadal stoi, jeszcze bardziej wychyla się przez barierkę. Nie woda byłaby najgorsza, nie głębia ani samo tonięcie, ale moment upadku przedtem. Przejeżdża pociąg, w dźwięku szyn, parskaniu lokomotywy słyszy jakieś wołanie, które miesza się z odgłosami kolei, gwizdkiem konduktora, to brzmi, jakby ktoś wołał jej imię.

EMILIA!

EMILIA STEEN! HALO! CZY TO TY?

Odwraca się i najpierw widzi kapelusz z kokardą i fioletowymi piórami. Ale niemodny, myśli. Jakby czas stanął w miejscu. A potem widzi Irmę.

Mój Boże! Tak mi się wydawało, że to ty! Strasznie długo się nie widziałyśmy!

To naprawdę Irma; naprawdę ona i naprawdę nie. Podchodzi do Emilii. Wyciąga ramiona.

No, rzeczywiście, całe wieki, mówi Emilia; próbuje brzmieć tak jak Irma, taki sam podniesiony głos, ten sam gest ramion, ale zatrzymuje się niepewnie na tym, co nie jest Irmą: kapeluszu i obcisłym kostiumie w kolorze khaki, w którym wygląda, jakby się wybierała na safari, jakby była turystką. Stoją naprzeciw siebie, Irma obejmuje Emilię. Emilia nadal trzyma rękę na barierce mostu.

To niesłychane, mówi Irma, niemal potrząsając Emilią, niezbyt mocno, a jednak to zdaje się trochę przesadne. Mieszkasz teraz w Sandviken?

Tak, odpowiada Emilia. Udaje jej się powiedzieć, choć zawiłe, że dziwi się, jak mogła wcześniej nie spotkać Irmy, przecież wie, że tu zamieszkała...

Wyjechałam na jakiś czas, ale teraz wróciłam, wyjaśnia Irma. Albo raczej my, tak powinnam powiedzieć. Putte, ja i dzieci.

Dzieci?

O, Alice i Christer. Alice ma osiem lat, Christer pięć i pół. A ty? Masz dzieci?

Taaa... zresztą nie, nie mam dzieci.

Robi się czerwona na twarzy. Irma się śmieje.

Nie, nikt nie musi mieć.

Wyjmuje papierośnicę; szara blacha szcerniała, czerwone pnące kwiaty wokół pawia wyblakły, ale to jest ta sama; ta sama co wtedy. I to jest jeszcze straszniejsze niż te różnice. Bo między papierośnicą a kostiumem w kolorze khaki jest most, dystans, którego nie można pokonać, choćby nie wiadomo jak się chciało.

Dobrze ci się układa? pyta Irma.

Tak, dziękuję, odpowiada Emilia, próbuje się uśmiechnąć; myśli, że powinna chyba coś dodać, ale nawet nie ma na to czasu.

I mieszkasz gdzieś tu w pobliżu?

Tam. Emilia pokazuje na wieżowiec przed nimi.

Nieźle, uśmiecha się Irma. Mieszkasz tam sama?

Mieszkam z Hugonem.

Hugonem? Mówisz o tamtym Hugonie?

Tak.

O Bakuninie?

Emilia kiwa głową zażenowana.

To niesłychane, świetnie. Ależ mnie to cieszy.

U ciebie też świetnie... dzieci i wszystko.

Chcielibyśmy właściwie mieć jeszcze jedno, ale... Irma wzrusza ramionami. Putte dostał dobrą posadę w hucie, więc... Było tyle zamieszania z przeprowadzkami, to tu, to tam. Dość długo mieszkaliśmy w Sztokholmie. Ale można też mieć dość wielkiego miasta... Tego tłoku chociażby... Człowiek zaczyna tęsknić za odrobiną spokoju.

A gdzie teraz mieszkanie?

Irma tylko kiwa głową gdzieś w bok. Emilia patrzy na nią pytająco.

W Hedgrind, uściśla Irma. Tak się złożyło, dodaje i śmiejąc się, zdejmując rękawiczki, które skręca w dłoniach.

Pracujesz gdzieś?... pyta Emilia.

W domu, jak to się mówi. A ty?

Ja jestem w zakładzie, jak wszyscy inni... Tylko że w biurze oczywiście.

Świat jest mały. A może to Sandviken jest małe, śmieje się znowu Irma. Bywasz czasem w Järbo? pyta i po tych słowach robi się poważnie, to się czuje, ale można udawać, że się tego nie zauważa, można uśmiechać się szeroko, choć napięte mięśnie boją, i powiedzieć tak po prostu, że ciągle ma się tyle do roboty tutaj; i w ten sposób zdecydować, że to teraźniejszość jest najważniejsza.

Właśnie, tak to bywa, zgadza się Irma, potem zapada cisza, a Emilia nagle się boi, że Hugo będzie tędy przejeżdżał na rowerze, że je zobaczy, zatrzyma się, już słyszy jego rubaszny głos, widzi, jak się wciska pomiędzy nie.

Tak, tak, mówi Irma. Jak to się mówi? Dużo wody upłynęło... To nawet pasuje, kiedy się stoi akurat w tym miejscu.

Obydwe się śmieją.

Potem znów robi się cicho.

Chyba muszę do domu, przygotować kolację, mówi Emilia; właśnie podjęła decyzję. Dystans między Zakładami Wełnianymi i Hyttgatsbron jest naprawdę za duży, dziwnie by wyglądało, gdyby zaczęły o tym mówić...

Właśnie kupiłam sobie apaszkę.

Irma wyjmując z torebki pudełko, otwiera je, rozwija bibułkę i wyciąga coś błyszczącego i barwnego. Myślałam, że będzie na lato. Piękna, prawda?

O tak, naprawdę.

Tylko teraz wydaje mi się, że nie jestem przekonana, miałam wątpliwości już w sklepie... Ale teraz, kiedy widzę cię... Pasowałaby ci, Emilio, lepiej niż mnie. A tak chciałabym ci coś podarować.

Przykłada apaszkę do twarzy Emilii.

Popatrz tylko, mówi. Naprawdę do twarzy ci w tych kolorach.

Ale chyba nie zamierzasz naprawdę?

Ty tego nie widzisz, ale jak przyjdiesz do domu i obejrzyysz się w lustrze, kiedy Hugo cię w niej zobaczy...

Nie, nie mogę, protestuje Emilia.

Ależ tak, już zdecydowałam, ona jest dla ciebie, doskonale w niej wyglądasz.

Ale ja nie chcę...

Ale ja chcę. Weź ją!

Irma nachyla się do Emilii, żeby zawiązać apaszkę na jej szyi, Emilia próbuje się bronić, Irma zawiązuje za mocno, na podwójny węzeł. No, właśnie tak, mówi. Ten żółty kolor, i wzory, elegancko wygląda, to naprawdę jak dla ciebie...

Ależ Irma, to na pewno jest...

Przestań wreszcie, na litość boską! W głosie Irmy pojawia się złość. Potem przechyla głowę: *For old times' sake*.

W takim razie dziękuję. Emilia się poddaje. Dziękuję bardzo. O mało co nie dyga.

O rety, ja też muszę się śpieszyć, mówi Irma. Dzieci czekają.

Zakłada z powrotem rękawiczki. Emilia bierze rower, który stoi oparty o barierkę. Irma unosi dłoń. Uśmiecha się. Rusza w przeciwną stronę.

Mija Fredriksplan, idzie wzdłuż Stationsgatan, Satragatan. Wiatr jest trochę chłodny. Apaszka była dość droga, właśnie sprowadzona z Anglii, ale to nie ma znaczenia. Putte byłby ubawiony, gdyby mu o tym opowiedziała. Nagle czuje, że jeszcze nie chce wracać do domu. Dzieci i tak dobrze się bawią z Claire. Niczego im nie brakuje. Może z czystym sumieniem wybrać okrężną drogę.

Może po prostu iść, iść i iść. Jak to dobrze, że Emilia i Hugo są razem, myśli. Bardzo dobrze. Najlepiej. Ma ochotę się rozplakać. Bzdury! Przecież ona już nie płacze. Powinna się śmiać, tego potrzebuje. I iść.

Więc Irma idzie. Fredriksgatan, Arsundavagen wiodącą za miasto, na południe, przechodzi pod wiaduktem kolejowym; pod ogromnym niebieskim transparentem socjaldemokratów, obok nowo wybudowanego szpitala. Nieważne, że trzewiki ją obcierają. Zdejmuje kapelusz i pozwala, by wiatr rozwiewał jej włosy. Nie miała żadnego powodu, żeby wypytywać Emilię o jej sprawy albo żeby opowiadać. Zawsze ma się masę życzeń i marzeń, trzeba się cieszyć z tego, co naprawdę wychodzi – a coś przecież wyszło. Mogły się minąć, udawać, że się nie widzą. Ale się zatrzymały. Wiele więcej nie można się chyba spodziewać? Irma naprawdę ma szczęście. W samym środku tego wszystkiego spotkała Puttego. W jego oczach była małą ptaszyną, tak o niej mówił.

Chciał ją trzymać w dłoniach i ogrzewać, jak powiedział. Dwadzieścia lat starszy, wdowiec, dorosłe dzieci. A Irma była pisklęciem, które chce, żeby ktoś się nim zaopiekował, na zawsze.

Irma! Mała drżąca ptaszyna?

Nie potrzebuje się tłumaczyć. Jeśli jest wybór między życiem a śmiercią, jeśli jedynym sposobem, żeby opowiedzieć się za życiem, jest odciąć jakąś część siebie, wtedy trzeba to zrobić. Odciąć to, co sprawia, że ludzie krzyczą za nią różne rzeczy, kiedy wraca do domu z tańców, i biegnie, ale oni są szybsi, biegnie w stronę kanału, to był niesłuchanie nudny wieczór, ale potrzebowała wyjść z domu. Być gdzie indziej.

Stój, cholerna bolszewicka kurwo!

Oni krzyczą, ona biegnie.

Co ty sobie myślisz, kim ty w ogóle jesteś?

Jeden z nich ją dogonił.

Jakie to uczucie – albo kompletny brak czucia – kiedy ktoś rozrywa cię na kawałki. Od środka aż na wierzch. Nie pamięta, ile czasu upłynęło, zanim przyszedł Putte i ją uratował. Miesiąc? Rok? A gdyby nie trafił się Putte, to pewnie byłby to Bóg, więc już lepiej wybrać Puttego, z nim przynajmniej można zjeść kolację i spać u jego boku. Kiedy nie ma go w domu, a często się tak dzieje, Irma godzinami leży pogrążona w letargu, między snem i jawą. Ma oczywiście dzieci. Są coraz większe. A jak one kochają Claire! Nadal! Bywają takie wieczory, że nawet bardziej garną się do niej. Ale Claire musi wracać do siebie, mama musi przejąć opiekę, raz Alice zaczęła nawet płakać i Irma też o mało co się nie popłakała. Ale nie można tego robić, kiedy jest się matką. Tak samo jak matka nie może wyjmować z łóżek swoich głęboko uśpionych dzieci – najpierw Christera, potem Alice – i kłaść ich przy sobie w łóżku, żeby sama mogła zasnąć. Są potem zupełnie zdezorientowane, kiedy się budzą. Rozglądają się naokoło, jakby ściany jej pokoju były obce.

Alice, która długo mówiła nie, kiedy Irma chciała ją przytulić. Wie, że dzieci ją kochają, to nie o to chodzi, albo... nie wie, czy ją kochają, ale chyba jej potrzebują... Czyż nie? Dużo jej nie było – nie, nie tak jak nie ma Puttego... Ale często jest za bardzo zmęczona, nie miała siły, kiedy Alice przynosiła jakieś koraliki albo rysunki: Mamo! Popatrz tylko! Albo: Mamo, proszę, zapleć mi włoski! W końcu przestała przychodzić. A małe dziecko po prostu nie kładzie się obok i nie daje przytulać, długo. Małe dziecko chce do lasu, na przykład, iść nad wodę, patrzeć, jak statek *Emma* płynie tam i z powrotem, machać ludziom – dzieci potrafią robić takie rzeczy, ona też to umiała przedtem, długo to umiała, choćby rzucać kamienie do wody i patrzeć, jak idą na dno. Mamo, a gdzie one są, kiedy ich nie widać? Leżą na dnie wśród ryb i wodorostów i są zadowolone. Na pewno, mamo, a czy nie jest im smutno? Nie, one się cieszą, bo właśnie tego chciały. Oby tylko nigdy nie przestała zadawać pytań, Alice. Pytania są najważniejsze, ważniejsze od odpowiedzi. Ale zawsze trzeba próbować, nawet jeśli się nie wie, trzeba próbować. Musi to gdzieś zapisać: Pytania są najważniejsze. Strach jest emocjonujący. Wszędzie ma karteczki. Nazywa je przypominajkami. Putte dostaje przez nią szału. Raz zapomniała zabrać Christera z Biblioteki Miejskiej, choć wyszła tylko na chwilę... I pomyśleć, że kiedyś kobiety musiały mieć specjalne karty, żeby móc wypożyczać książki. A zamężne kobiety nie miały przydziału alkoholu w sklepach monopolowych Systembolaget. Teraz świat jest lepszy, powinna w to wierzyć. O, tak chętnie uściskałaby Emilię, porządnie. Ale takiego człowieka nie da się uściskać. Zresztą, może na tym polega jej problem z dziećmi. Że ona nie wie. Że ona nie udaje, tak jak Putte, że wie. Właściwie to okropne, ale wiosna jest taka cudowna. Delikatna zieleń, tak mówią wszyscy. Wiosna oznacza nadzieję, ale także coś

innego. Nieuchronność. Przekorę. Pory roku się nie podporządkowują. Nie robiły tego w czasie wojny ani też w tym roku... Czeremcha zawsze pokrywała się białymi kwiatami, pachniała, drzewa wiśniowe zawsze są tak niezrównanie różowe, niedużo brakuje, żeby zaczęły kwitnąć bzy, czasami fiolet jest tak intensywny, że oczy bolą, a potem wszystko eksploduje. Wszystko musi rozkwitnąć, tłoczyć się, rosnąć, a potem tak samo szybko więdnąć. Wszędzie, w całym mieście, ludzie będą wyglądali przez okna i mówili: Jaka delikatna zieleń! Co za oszałamiające zapachy! Potem wysokie, przejrzyste, jesienne nieba. Potem białe pustkowia. Które topnieją, które czynią ziemię wilgotną i brązową, charakter słońca się zmienia, światło jest bardziej żółte. Głosy ludzi rozbrzmiewają w chórze. A jednak człowiek ma wrażenie, jakby był sam ze swoimi myślami. Wydaje mu się, że jest jedynym, który patrzy i nagle odkrywa, że drzewo wiśniowe w ogrodzie znów pokryło się czerwienią. Jest sam ze swoim smutkiem, że wszystko znów będzie pachniało jesienią; deszczem, liśćmi, ziemią. Sam z radością ze zbliżającego się lata, mocnymi zapachami, od których kręci się w głowie. A jednak za tym wszystkim kryją się inne myśli. Choć są nieświadomione, nie mają jeszcze wyraźnych konturów. Inne obrazy kryją się, czekają za tym, co widzą wszyscy inni. Człowiek ma je niemal na języku. Inny kolor, którego właściwie nie widać. Inna forma dla tego, co istnieje. Irma idzie i idzie, aż dociera do osiedla domów jednorodzinnych w Örta... Czy to nie tu mieszkała siostra Emilii? W tym czerwonym domu przy skrzyżowaniu? Irma widzi w ogrodzie chłopca. Wędruje chaotycznie to tu, to tam... Długie nogi... Długie ramiona. Chwyta gałązkę, zgina ją, aż się złamie...

Carl w ogrodzie

Chwyta gałązkę. Zgina ją, aż się złamie. Carl Arvid Roslund. Trzyznaście lat i pół, prawie. Jest koniec maja. Gałązki są po to, żeby je łamać. Szyby są po to, żeby je wybijać. Choć nie robi tego specjalnie. To się po prostu dzieje. Tak z niczego! To jest poza jego kontrolą! Potem kładzie się płasko na brzuchu przed Sofią: Jestem Petter Pettersson z Forsbacki, powtarza to jak zaklęcie, póki w środku znów nie zapanuje spokój. Zaczął to robić, kiedy miał pięć lat. A powinien przestać to robić już dawno temu. Jestem Petter Pettersson z Forsbacki!

Zajmuje pół podłogi w kuchni. Sofia jest zażenowana. Przecież to już prawie dorosły chłopak! Bez przekonania próbuje podciągnąć bezwładne ciało albo udaje, że tego nie widzi. To kwestia przyzwyczajenia. Zarówno rozbijanie rzeczy, jak i jego reakcja. Kiedy tak rzuca się na podłogę, chowając głowę w ramiona – gdyby to tylko była zabawa, pociągnęłyby go za ucho. Arvid jest zdania, że chłopiec wie, co robi w obu przypadkach. Jest zdania, że Carla należy karać. Tylko że nigdy nie ma go w domu, kiedy chłopca trzeba podnosić z podłogi.

Kiedy Carl był mały, można było się z niego śmiać. To było zabawne i niewinne, od razu zapominało się o przewinieniu – przynajmniej traktowało się je bardziej wyrozumiale. Przecież poza tym to był taki porządny chłopiec. Prawie zbyt grzeczny, myślała czasami. Jak wtedy, kiedy Lars, najstarszy syn Berggrenów, wrzucił jego czapkę do ogniska, a on tylko stał i patrzył. Miał wtedy sześć lat, a Sofia pomyślała, że mógł przecież tamtemu oddać. Gorzej, kiedy chłopiec staje się nastolatkiem, wtedy jest trudniej. Carl jest na granicy. Pomiędzy wszystkim. Jego głos przechodzi z falsetu w bas; łatwo można zacząć się śmiać.

Carl idzie do ogrodu, szarpie gałązki na drzewie, nie zamierza ich odrywać, wygina je powoli, nie zamierza ich łamać. Przechodzi pod konarami: czereśnie, śliwy, jabłonie. Wszystko będzie kwitło. Wszystko uschnie. Wszystko się połamie.

Kiedy rozbija się szyba albo porcelanowa figurka, albo w najlepszym razie talerz, kiedy już poleżał na podłodze – zdaje się wtedy, jakby coś w nim się psuło w środku – potem niczego nie pamięta. Na twarzy jeszcze ma lzy, ale nie przypomina sobie, skąd się wzięły; tylko niejasne i przykre wspomnienie ciała leżącego na podłodze. Wtedy sięga po kredki i blok. Jest Carlem Arvidem Roslundem, który rysuje Indian i komiksy piłkarskie; nie kopiuje z *Rekordmagasinet* czy *Vilda Vastern*, on się inspiruje: ciała w bójce, ciała, które się rzucają, skaczą, kopią piłkę, strzelają bramki, ramiona wyrzucone w powietrze; silne, sprężyste ciała o precyzyjnych ruchach. Jest Carlem Arvidem Roslundem, zdolnym chłopcem, który zostanie kimś, może zostać kimkolwiek, ale oczywiście w zakładzie, miasto jest granicą, on nie zamierza się przenosić, nigdy w życiu.

Lubi Samotnego Wilka z tygodnika *Levande Livet*, ale denerwuje się, że Sofia zobaczy zdjęcie blondynki w najnowszym numerze, *Martha Marek była oszałamiającą pięknością, ale też diabłem w ludzkiej postaci*, nie wie, co to znaczy, boi się zacząć czytać tekst, a nuż mama przejdzie obok, nachyli się i zapyta, co takiego czyta. Ale ona tego nie robi. Pyta o szkołę; czy odrobił lekcje, a on przecież zawsze je odrabia. Jest najlepszy w klasie, najlepszy w całej Murgcirdsskolan. Jej dłonie zbierają jakieś drobiazgi, nuci jakieś urywki pieśni: *Kto się w opiekę, Czas kwitnienia, co nadchodzi*. Światło w kuchni jest przyjazne i łagodne. Ale wtedy przychodzi cholerna Christina i psuje cały obraz. Wchodzi prosto w światło, zasłania. Ciągnie Sofię za rękę; żąda i wymaga. Albo czasem, kiedy on akurat leży na podłodze, kiedy właśnie ma wstać – kiedy tak wyraźnie widzi przed sobą, jaki zaraz będzie spokojny i posłuszny – słyszy jej piskliwy, marudny głos: Co robisz, Carl? Mamo, co ten Carl robi? Ale w jej głosie nie słyhać takiego podziwu jak u innych młodszych siostr...

Carl! Zaczekaj! Co ty robisz?

Chłopiec idzie szybciej, dokoła, dokoła czerwonego domu. Zaczyna biec, ona go dogania, jest szybsza, niż można by przypuszczać.

Odejdź, wredna gówniario. Tak mówi w środku. Nie. To Petter Pettersson mówi takie rzeczy w środku, choć nie, Petter Pettersson wykrzykuje to na głos.

Odejdź, zaszana gówniario!

Taki jest Petter Pettersson. Ostry typ. Ale ona nawet nie zaczyna się mazać, wzrusza tylko chudymi ramionami i odchodzi na bok. Przykuca i zabiera się do zrywania pierwsiońków pod krzakami malin. Metodycznie i starannie, zbiera je w bukiet. A on krąży i krąży po ogrodzie; łamie, kruszy, wygina. Widzi przechodzącą obok kobietę, która zagląda ciekawie ponad żywopłotem. Ma na głowie idiotyczny kapelusz ze sterczącymi piórami.

Co się tak gapisz?

Takie rzeczy mówi Petter Pettersson z Forsbacki. Ale Carl może to powstrzymać, jeśli naprawdę mocno się postara. Cicho bądź, Petter. I Petter milknie. Kobieta unosi dłoń.

Dobry wieczór, mówi.

Dobry wieczór, odpowiada Carl i kłania się.

Wreszcie mamy piękną pogodę, mówi kobieta.

Carl uważa, że trochę wieje chłodem, ale kiwa głową; chciałby powiedzieć coś o mistrzostwach piłkarskich, to jedyna rzecz o jakiej myśli, zostały jeszcze tylko dwa tygodnie, ale jej kapelusz jest dziwny, zresztą ona pewnie w ogóle nie interesuje się futbolem. Chłopiec postanawia więc kopnąć piłkę, która leży kawałek dalej, żeby kobieta znów nie próbowała go zagadywać, ale ona już poszła i zanim zdążył dotrzeć do piłki, z kuchennego okna wychyla się Sofia i wzywa go gestem dłoni.

Kto to był? pyta.

Nie wiem... Jakaś pani.

A co mówiła?

Tylko pozdrowiła.

Czyli nic nie zbroiłeś?

Nie, mamó, ona tylko powiedziała dzień dobry.

Czy Christina jest z tobą?

Tak, kłamie, chociaż wcale jej nie widzi, choć wcale go nie obchodzi, czy ona nie wybiegnie na ulicę i nie zostanie przejechana, a najlepiej, żeby uciekła gdzieś daleko i nie chciała wrócić do domu. Carl widzi wyraźnie – a może to jest wizja Pettera Petterssona, choć raczej nie – jak Christina idzie i idzie, i nagle dociera do takiego kraju, świata, gdzie wszystko wygląda zupełnie inaczej. Widzi bażanty i rozpadliny skalne, i wielkie czerwone konie. Tam nie jest tak jak w jego komiksach. Jego komiksy są blisko rzeczywistości, różnią się tylko odcieniami, ale świata Christiny – tego, do którego ona dociera – nawet nie można opisać, taki jest piękny.

Sofia splata wieniec

Łodygi tulipanów są gładkie i szorstkie, przypominają szerokie zielone wstążki. Sofia splata je, ma nadzieję, że Signe Gili będzie zadowolona – umarła jej przyjaciółka, jej ręce drżały, kiedy o tym opowiadała, skurcze wokół ust, przyjaciółka mieszkała sama, Sofia notowała jak zwykle, z szacunku dla osoby w żałobie rzadko podnosi wzrok.

Skończyła i idzie zrobić rundę po ogrodzie, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Sprawdza też szyby w oknach, patrzy, czy Carl nie kopał piłki w rabatach. Podnosi z ziemi gałązki. Widzi, że narcyzy i tulipany stoją w równych rzędkach, krokusy rozczapierzają swoje suche białe płatki, próbuje je zwinąć, zawsze jest coś dodatkowego do zrobienia. Pamięta, jakby to było wczoraj, kiedy raz zapomniała obciąć szare łodygi maku i Barbara zwróciła jej uwagę, jak smutno wyglądają. Liście leżały przyciśnięte do ziemi, a kiedy się je podnosiło, roilo się tam od małych stworzonek, zrywały się do ucieczki, rozbiegały w panice, a jednak o wiele za wolno, łatwo można byłoby je rozgnieść stopą. Barbara ma tylko niewielki skrawek ziemi, jej jest łatwiej. Trzeba zawsze być o krok przed, regularnie robić obchód. Po wojnie kartoflisko nie daje porządnych plonów; nać zółknie, choć Sofia nawozi, okopuje, plewi. Na razie jeszcze wygląda dobrze, ale chwasty i zaraza niedługo obejmą tu władanie. Tak było przez ostatnie lata. Niezależnie od tego, co ona robi. Trochę podobnie ma się sprawa z chłopcem. Tak łatwo byłoby odczuwać tylko dumę z niego. Gdy przynosi do domu coś innego niż najwyższe oceny, wtedy czuje prawie niechęć. Ale w przyszłym roku będą tu rosły truskawki, niech Arvid mówi, co chce. Ziemia musi odpoczywać, próbowała mu to wytłumaczyć, ale on chce mieć ziemniaki, to jest kartoflisko, Sofio. No pewnie. Albo dziura. Kawalek ziemi wysadzony w powietrze.

Sofia klęka przy malinach i obcina bękarty; tak je nazywa. Musi je wycinać aż do samego kamiennego stołu. Jeśli się ich nie przypilnuje, można potem gorzko pożałować. Maliny chcą tylko się rozrastać na wszystkie strony. To samo dotyczy tego zdradzieckiego wiązu. Zagajnik jest miejscem zabaw dzieci, pozwolili mu rosnąć. Ale wiąz – jego chciałaby ściąć. Odrosty szybko stają się tak grube, że trzeba będzie kopać i piłować, żeby się ich pozbyć. Odrośle bzu sterczą jak strzały pośród piwonii, chabrów i margerytek; gdzie tylko mogą się zaczepić. Sofia obawia się, że Signe się zasiedzi. Zawsze ma tyle na sercu. Zwłaszcza że jej córka Jane już zaczęła się spotykać z chłopcami. Sofia zwleka jeszcze chwilę na schodach domu. Na draperii jest plama, widzi to przez szybę, słyszy jakiś trzask, słyszy, że coś wyrasta z ziemi za jej plecami. Wpatruje się w plamę. Ma kształt serca. Brązowe koślawe serce. Z tyłu za nią gałęzie i korzenie wiją się jak węże. Korzystają z okazji, kiedy ona nie patrzy. Nie zamierzają się poddać.

Mamo! Pojadę rowerem na boisko.

Carl po drugiej stronie draperii. Sofia szybko wchodzi do środka, zamyka drzwi, nie oglądając się za siebie.

Tylko wróć do domu przed dziewiątą, mówi. Niepotrzebnie. Carl zawsze wraca do domu na czas. I pozbieraj potem swoje gazety. Tego też nie musiała mówić. Oboje to wiedzą. Sofia idzie szybko na górę, musi poszukać nowej draperii. Carl sznurkuje buty. Ma wielką ochotę zapalić, futbol to tylko pretekst. Wybiera się do kiosku, gdzie kupi paczkę lucky strike'ów. Każde sztachnięcie to ulga i męka. Gdyby matka się dowiedziała, to... Chciałby móc dokończyć: toby mnie zabiła. Ale ona nie zrobiłaby tego. Przypuszczalnie nawet nic by nie powiedziała. I oczywiście ojciec też nie. Jan-Olov uważa, że to głupie, kiedy on zawsze sprawdza, czy jego ubranie nie pachnie dymem, zanim wróci do domu, jego rodzice pilnują go jak wściekli, Carl powinien być wdzięczny – do cholery, dodaje Jan-Olov, a Carl nie potrafi mu tego wytłumaczyć. Że to tylko jest w spojrzeniach, w ruchach, nigdy w słowach – przecież nie mógłby tego tak powiedzieć.

Ktoś puka do drzwi, Carl otwiera, a w progu stoi Edwin. Klepią się z radością po plecach. Obaj raczej ostrożnie, nie tak jak Hugo, od jego klepięcia człowiek może paść jak długi.

Wychodzisz? Może cię podwieźć? Wybieram się do Hugona i Emilii.

Edwinie, czy to ty?

To Sofia woła z piętra.

Jej szybkie kroki na schodach.

Tak późno przyszedłeś?

Ma ręce pełne zielonego materiału.

Jadę zaraz dalej, wpadłem tylko, żeby dać to Carlowi...

To bilet na mecz Węgier z Walią – to mecz inauguracyjny, do diabła. Carl wiedział, że to będzie możliwe. Choć jednak wcale nie wiedział.

To chyba będzie niezłe, mówi Edwin.

O, dziękuję, dziękuję bardzo! To będzie tak... cho... to będzie coś fantastycznego! Do pioruna... do diabła.

Ma usta pełne przekleństw, często się tak dzieje. A może to Petter Pettersson tak ma. Zauważyła spojrzenie Sofii. Przesuwa ręką po włosach. Może jakiś jeden źle leży. A może dlatego, że są takie proste, ale przecież o tym wie, a ten wicherek, co można na niego poradzić?

To jedziesz ze mną? pyta Edwin.

Carl domyśla się spojrzenia Sofii, nawet nie potrzebuje się odwracać.

Wezmę rower, odpowiada.

Jedź z Edwinem, jeśli chcesz, mówi Sofia, ale on wyczuwa coś w jej głosie; przecież tam coś jest? Trzeba słuchać dokładnie, zastanawiać się, a mimo to nie ma się pewności, że się dobrze słyszało.

Ech, pojedę rowerem, mówi Carl. Ale dziękuję, Edwinie.

Zastanawia się, czy się nie uklonić.

Spojrzenie pali go w kark.

Pozdrów Hugona i Emilię, mówi.

A wybierasz się do nich?

Sofia zaczyna szybko zrywać draperię w sieni.

No to pozdrów ich też ode mnie.

Wiesza nową, zieloną; jest ciemna, w sieni robi się ciemno.

Pragnienie papierosa jest tak wielkie, że chłopiec już nie może się doczekać, kiedy będzie pedałowal jak szalony, zamknie oczy i przejedzie prosto przez skrzyżowanie, jak to zwykle robi. Serce będzie miał w gardle, w całym ciele. I ciągle będzie myślał o meczu, jakie to będzie uczucie... być tam... Jasna cholera, myśli Carl, na pewno Jan-Ove będzie zdruzgotany. Jego rodziców nigdy na nic nie stać.

Wsiada na rower, przez chwilę jadą z Edwinem obok siebie. Gdy zbliżają się do skrzyżowania, Edwin woła: Tylko uważaj! potem przyśpiesza i znika.

Sofia właśnie zamierza zamknąć drzwi, kiedy widzi samochód Signe; jako jedyna z całego kółka krawieckiego zrobiła prawo jazdy. Sofia nie rozumie, do czego auto się może przydać; to głupota udawać, że w tym mieście są takie duże odległości, zresztą dla zdrowia lepiej jest jeździć rowerem albo chodzić piechotą. Schodzi szybko na dół po wieniec, zadowolona, że Edwin nie został, bo co ona by mu mogła podać? Przypomina sobie kraciasty koc na jego sofie. Zejść w dół z boczem pośród brzoź i delikatnych różowych orlików Sary Andersson albo białych róż czy ogrodu przybranego w liście. W jednym miejscu na świecie czuć się jak w domu. Nie, decyduje, jednak nie lubi, kiedy tak przychodzą bez zapowiedzi. Przystaje przed lustrem, przesuwa dłonią po włosach, po spódnicy, jej spojrzenie jest surowe, poprawia bluzkę. Samochód Signe skręca na podjazd. To zastanawiające, jak niektórzy dużo mają na sercu. Ona nie rozumie takich ludzi. Widzi, jak jej dłoń wyjmuje z zielonego tła ciemnożółtego tulipana z żyłkowanymi na czerwono płatkami.

Telewizor Edwina (I)

Telewizor stał się przeklętym brzemieniem. Nagle wszyscy chcą go odwiedzać. On stoi w sieni i wita gości. Jednego za drugim. Kiwiają głowami pod kapeluszami i cyklistówkami, uśmiechają się w nowy sposób.

No, serwus i dobry wieczór temu domowi, czy przypadkiem nie przeszkadzamy?

Ale nie przejmują się tym, nawet gdy przeszkadzają. Przechodzą dalej, czasem ktoś poklepie go po plecach, czasem przyniesie flaszkę wódki, najczęściej tylko ćwiartkę, którą szybko opróżniają pozostali. W niedzielę wieczorem jest Sportextra i wtedy jest najwięcej ludzi; wypełniają sofę, przynoszą sobie kuchenne krzesła, siadają na podłodze, czasem stoją nawet pod ścianami.

Słuchaj, jak się to robi? woła ktoś czasem. Wystarczy tylko nacisnąć to tutaj?

A czy to dziadostwo nie wybuchnie?

Czy ono może wybuchnąć? jak blisko trzeba usiąść? Obraz znów znika!

I tak dalej.

Na początku byli pod wrażeniem, zachwyceni. To graniczyło z podziwem, Edwin był w samym środku, w blasku telewizora.

Ech, do diabła, Edwinie, co za sakramenckie urządzenie.

Przepijali do niego, kiedy aparat był wyłączony, mogli nawet wznosić toasty za przyjaźń, za Edwina. I za to, że mogliśmy tu przyjść, rzecz jasna. Jakby ich zapraszał. Jakby prosił o to zainteresowanie czy też wypychanie.

Bo im bardziej swojsko oni czują się u niego, tym dalej od telewizora łąduje on. Siedzi w części kuchennej, czasem z kubkiem kawy z procentami; to zmieniło się w jakieś nerwowe wyczekiwanie, bo on nie chce wprawdzie być w strumieniu światła, ale nie chce też siedzieć w cieniu. Człowiek jest w cieniu tylko wtedy, kiedy ktoś lub coś go zasłania – nigdy, kiedy jest sam. Kiedy wygląda przez brudne okno, ma wrażenie, że nie może się ruszyć z miejsca, jakby wraz z ich przybyciem tracił dostęp także do reszty swojej niewielkiej zagrody. Nie może nawet iść do szopy czy do brzóz; nagle oni obejmują w posiadanie wszystko, co jest jego, nawet to, co jest niczyje, jak góra czy powietrze.

No, Edwin, co jest z tobą, do diabła! Chodź tu i siadaj!

Ciągną go, niechętnie robią miejsce. To ma wyglądać jak życzliwość.

W takiej sytuacji bardziej niż w każdej innej, bardziej niż kiedykolwiek, Edwin pragnie słów. Wielu, głośnych. Żeby po prostu przychodziły. Przychodziły i były takie, jak są. Żeby miały gdzieś, co będzie potem.

Chata Edwina jak spelunka. Szalony Frasse został z pojawieniem się telewizora całkowicie zapomniany, o ile ktoś pamiętał jego, jaki był, a nie tylko to, co tu się stało. Mrok w chacie rozjaśnił blask telewizora – to tylko kilka godzin wieczorem, czy to jest powód, żeby narzekać, podnosić głos jak jakaś kłótliva baba? Ale dla Edwina teraz w tym domu panuje mrok – przez to migotanie, chorobliwe światło, butelki mężczyzn, ich głosy, zapachy.

Max zaczął też zaglądać, kiedy i tak bywał w Nya Mekaniska, stawia kolejki, tak przy okazji.

Cholera, Edwin, co jest, siedzisz tu i się dąszasz?

Max ze swoim rzadkim jak u подростка wąsikiem próbuje wzięć Edwina za ramię, potrząsnąć, ale Edwin jest ciężki, nieprzystępny. Rękawem flanelowej koszuli pociera kuchenne okno, żeby lepiej widzieć, ale brud jest na zewnątrz.

Chyba powiesz, kiedy będziesz chciał mieć spokój, nie?

A on odpowiada, jasne, pewnie, że powiem. A może tylko kiwa głową?

Rozmawiają o Miltonie, jakim był mistrzem skrzypiec, choć szczerze powiedziawszy, za rzadko ćwiczył, żeby naprawdę coś z tego wynikło – był uważany za mistrza głównie dlatego, że jako jedyny w Norrby umiał grać na skrzypcach. Zresztą Edwin nie ma ochoty gadać o Miltonie, przynajmniej nie w taki sposób jak Max. Max mówi o Miltonie, jakby był jakąś żalosalną figurą. Kimś do śmiechu. Jasne, czasem można się było na niego wkurzać, ale on nigdy by... jak ci mężczyźni tutaj... Nigdy. Milton stawał z boku. I zaglądał do środka. I patrzył w taki sposób, że się robiło prawie nieprzyjemnie. Gdyby odwrócił wzrok, można by było zawołać go do środka.

Max Andersson chce rozmawiać o wspomnieniach, ale też sam chce je wybierać. Ze wszystkiego, co było, zrobić coś śmiesznego. Zrobić z nich idiotów. Pamiętasz, pamiętasz, jak było, jacy my byliśmy. Ale to były piękne czasy, nie?

Jakby ten czas nie istniał w nich nadal.

Miasto jest ozdobione setkami flag. Kiedy Edwin zbliża się do stacji i widzi siedmiopiętrowy blok, myśli o Miltonie na swój własny sposób. Myśli, że to niemożliwe, nie ma siły, żeby on wyskoczył. Nie sam z siebie. Tak myślał od początku, jeszcze zanim zaczęły krążyć te nowe pogłoski. To też już było dawno temu. Kiedy się mówiło, że Milton wcale nie został zamordowany, tylko że tak naprawdę został wypchnięty. Wychodziło na jaw coraz więcej szczegółów. Coś o czapce. Czapce Milтона. Którą znaleziono w piwnicy budynku, z którego wypadł. Edwin nie wie, jak tam było wysoko. To dziwne, zaczęto się zastanawiać, dlaczego czapka od munduru tam leżała, na podłodze w piwnicy. Z nazwiskiem Milтона w środku. I było coś jeszcze. Kłótnia. Kilku świadków. Ktoś stracił czapkę z głowy Milтона, ktoś włókł go po schodach. To Edwin tak o tym myśli. Nikt już nie będzie grzebał w tej sprawie. A że to się zdarzyło w stanie gotowości bojowej, najłatwiej wytłumaczyć wszystko nerwami. Milton był wątpy i nieprzystosowany. Więc najłatwiej jest tak powiedzieć. I na tym poprzestać. Ale on był wytrwały, Milton Andersson, i miał w sobie ufność. To jedyny dowód, jakiego Edwin potrzebuje. Człowiek nie skacze z okna, jeśli mocno w coś wierzy – obojętnie, w co – po prostu tego nie robi.

Ale pozytywne cechy w sytuacji zagrożenia mogą chyba zniknąć z człowieka, myśli Edwin, i może już nigdy nie wracają.

Edwin parkuje motor.

Dłoń Milтона na jego kolanie. W szatni po treningu. Teraz sobie przypomina. To było całą wieczność temu, zaraz po pożarze. Dłoń spoczywała całkiem nieruchomo. Uniosła się i zniknęła. Ale jej ciężar czuł jeszcze długo. Edwin nie wiedział, co powiedzieć. To było chyba jak zwykle, ale też coś niezwykłego. Kiedy pozostali wyszli, zrobiło się tak cicho i Edwin potrzebował czegoś – to takie okropne, potrzebować czegoś więcej, takie okropne, że nawet nie umiał tego sformułować.

Nie ma jej, chciał powiedzieć. Nie ma jej, a ja nie wiem, co się wtedy robi.

Milton składał i rozkładał dłonie; wewnątrz dłoni, wierzch.

Dzięki, powiedział Edwin.

Ech, odparł Milton. To nic takiego.

Wziął swoją torbę, czapkę i zostawił Edwina w spokoju.

Edwin przeszedł jedno piętro, potem jeszcze jedno; myśli, cholera, powinienem pójść do tamtych w pokoju, podeprzeć się pod boki i ryknąć: Chcę mieć spokój. Na trzecim piętrze zmienia zdanie, nie potrafi wydusić z siebie odpowiednich słów. Chcę, żebyście poszli. Nie, to też nie jest dobrze, to brzmi, jakby zaraz miał się rozplakać, tamci tylko by się śmiali.

Edwin uciekł ze swojego własnego domu. Na czwartym piętrze zaczyna sobie wmawiać, że to zaplanował, że Emilia i Hugo przecież go zapraszali do siebie, na piątym myśli, że idzie do tamtych do pokoju, z szerokim uśmiechem: Słuchajcie chłopaki, jadę do miasta, ale możecie zostać, jeśli chcecie, czujcie się swobodnie. I że dodaje: Gnoje jedne.

Edwin i Emilia

Szura nogami w prog. Buty ma jak zwykle za bardzo ubłocone jak na dom siostry. Kiedyś przecież taka nie była. Czyż nie siedziała razem z nimi – czasem się nawet napiła – nie opowiadała różnych rzeczy? O dziewczynce, o pracy, sprawach związkowych, którymi zaczęła się interesować, kiedy dostała tę posadę w zakładzie. Teraz to już było jak wspomnienia.

Edwin, tak jak Otto, chciałby trochę z nią pożartować. Chciałby, tak jak Karin, opowiedzieć jakąś historię, żeby mogła zapomnieć... Żeby mogła zapomnieć o sobie, myśli Edwin, gdy Hugo podaje mu piwo.

Czy nie wolelibyście wyjść gdzieś zamiast tego? pyta Emilia; podparta dłońmi w pasie, przypomina mamę. Pierwszy raz Edwin myśli o tym, że oni mogliby przypominać swoich rodziców.

Nie, mówi. Trochę za szybko to padło, nie wie teraz, co jeszcze miałby powiedzieć.

Lepiej nie, mówi i spogląda na swoje stopy, skarpety w kratkę. Nie zostaną długo.

I oby tylko nie dłudo, żartuje Hugo. Czasami przypomina trochę Arvida.

Zrobicie, co chcecie, mówi Emilia i rusza w stronę kuchni.

A co wyszło z tym... tymi związkami, próbuje ją zatrzymać. Przez chwilę Emilia patrzy na niego, jakby nie rozumiała. No z tamtym, co mówiłaś... że chcesz...

Ech, Sture Hedlund został wybrany, przerywa mu Emilia.

A ty nawet nie kandydowałaś, rzuca Hugo.

To nie miało sensu, mówi, w jej głosie słycać niezadowolenie. Próbowaliśmy protestować, że musiały odejść prawie same kobiety, kiedy zaczęły się cięcia, ale nic nie wskórałyśmy, nikt nas nawet nie słucał.

Mówiłyście za cicho, wtrąca Hugo z uśmiechem. Nie można się tak po prostu poddawać.

Ech, mówi znów Emilia.

Idzie do kuchni. Otwiera i zamyka szafki. Wstawia rzeczy. Choć czasem, kiedy Edwin tam zerka, widzi, że ona nic nie robi, że po prostu przestawia rzeczy, wynajduje sobie zajęcie.

Jakby uciekała, myśli Edwin. Mógłby jej to chyba powiedzieć... Pamiętasz, jak pierwszy raz uciekał z domu? Tylko dziesięć metrów dalej, siedziałaś schowana za szczebelkowym wózkiem Ottona, pamiętasz? wszyscy mogli cię widzieć!

Hugo podchodzi do adapteru.

To jest sakramencko piękna piosenka, mówi.

Emilia hałasuje w kuchni. Rondle. Konserwy. Gulasz BOB i kiełbaski piwne.

A gdzież to jest Lillemor? pyta Edwin.

U Stena, mówi Hugo.

Albo u Mony, woła Emilia z kuchni.

Hugo przewraca oczami.

Płyta startuje z trzeszczeniem. Hugo zaczyna nucić.

Have I told you lately that I love you? Could I tell you
once again somehow?

Mogę jednego?

Emilia podkrada Edwinowi papierosa. Hugo uśmiecha się.

Aha, widzę, że zaczęłaś palić?

Odpowiada mu grymasem.

Irma dzisiaj ma na sobie czarną spódnicę z kontrafałdą. Bluzkę z bufiastymi rękawami. Z daleka wygląda bardzo schludnie. Kiedy stanie się bliżej, widać, że trzeba obrębić rękawy bluzki, u spódnicy odpruwa się zamek. Irma nachyla się do ucha Emilii. Typowi faceci, szepcze. Przypała najpierw papierosa Emilii, potem swojego.

Choleera, mówi, oni są tak zajęci sobą, że nie odbierają nawet najoczywistszych sygnałów. Można chodzić koło nich i mrugać czerwonym światłem, a i tak nic z tego... Potrząsają głowami i równocześnie strzepują popiół. To coś okropnego. Nawet nie pytają, co ty byś chciała. Chcę, żeby dziewczyna tu była, mówi Emilia. Ech, wzdycha Irma. To nie dziewczyny ci brakuje. Tęsknisz nie tyle za nią, ile za sobą samą. Widziałem, że mają się pobrać, mówi Edwin. Army już nie ma. Army takiej jak kiedyś już nie ma. Są na razie tylko zaręczeni, mówi Emilia. Hugo wzdycha. No co? rzuca zaczepnie Emilia. O co ci chodzi, przecież nic nie mówiłem. Chyba już pójdę, mamrocze Edwin. Ale zostań jeszcze. Emilia mówi to szorstkim tonem. Mogę iść do pokoju Lillemor, jeśli chcecie jeszcze posiedzieć.

Pod jej stopami coś trzaska, droga przed nią jest okolona niebieskimi kwiatami. Edwin wstrzymuje oddech, widzi, jak jej dłoń gładzi płatki, jak wrywa jeden kwiat. Czy ona znów tu jest?

Nie potrafi zinterpretować tonu, jakim Malva to mówi. Tak jakby nie zdawała sobie sprawy, że ja ją widzę. Malva cofa się w głąb pokoju. Edwin jest osłonięty przez mrok, widać tylko Emilię. Stoi przy furtce, odstawiała rower na bok. Stopą rozgrzebuje żwir, który przedostał się poza ogrodzenie. Robi kilka kroków w stronę domu, potem zawraca. Dobranoc, mówi Edwin. Do zobaczenia.

Emilia wyjmuję apaszkę i zawiązuje sobie na szyi. To coś, co musi zrobić. To, co się musi zrobić, może być czasem zwyczajnie małe i głupie. Bardzo mała jest różnica między byciem dzielnym i byciem tchórzem, czasami trudno tę różnicę zauważyć.

Opowiada o tym przy śniadaniu. Że spotkała Irmę. Mówi, jakby to nie było nic szczególnego, przy krojeniu chleba.

Irmę Frölander? Na pewno?

Dostałam to od niej.

Gładzi dłonią tkaninę, myśli o tym, jak żywe ma kolory i że wzór przedstawia gondole, małe sylwetki ludzi w białych kapeluszach. Hugo idzie w jej stronę, Emilii wydaje się, że on się toczy. Wielka gładka kula. Albo ogromny balon. Cała ta przestrzeń. Ta nieskończoność, która jest nim.

Jest piękna, mówi, nie przyjrawszy się jej nawet dobrze. A co tam u Irmy?

Wygląda na to, że wszystko dobrze... Czy naprawdę uważasz, że dobrze w niej wyglądam?

A więc dalej tu mieszka? To dziwne, że tak długo się jej nie widziało.

Wyjechała na jakiś czas. Uważam, że te kolory są trochę za jaskrawe.

A gdzie mieszka?

W Hedgrind.

Hedgrind? No, no, nie najgorzej, trzeba przyznać.

Rechocze sam do siebie.

Powinam ją chyba oddać, mówi Emilia.

Nie, jest ci w niej do twarzy. Zaproś ją kiedyś do nas, co?

Zaprościć ją... tutaj?

Dlaczego nie? Byłyście tak blisko ze sobą.

Ale to było sto lat temu.

Może znów zostaniecie przyjaciółkami, nie poddaje się Hugo. Emilia nie rozumie tego rozradowania w jego głosie.

A dlaczego miałybyśmy nimi zostać?

Bo wy... Ehm, mogłoby być miło po prostu.

Emilia nie odpowiada.

Ja też bardzo chętnie bym się z nią spotkał, dodaje Hugo.

Lubiłem Irmę, ciągnie, kiedy ona nadal nic nie mówi.

No to w takim razie, syczy Emilia, może wy się spotykajcie.

Młoda dziewczyna jedzie rowerem, pędzi coraz szybciej i szybciej. To koszmar tak jeździć, kiedy nie ma się celu. Człowiek krąży, czuje się głupio. A jeśli ktoś ją zatrzyma, zacznie wypytywać? Wtedy można się poczuć jak jedenastoletni dzieciak, kiedy się odpowiada: Chcę tylko pojechać gdzieś daleko. Daleko. Zwłaszcza kiedy ciągle siedzi się w miejscu.

Do twarzy ci w kolorach, myśli. Naprawdę jest ci do twarzy w kolorach.

Pomarańczowy dywan jest latającym dywanem. Jeśli na nim usiądzie, wyfrunie przez okno.

Leć, dywanie, leć.

Niedługo się wyprowadzę. Wkrótce już mnie tu nie będzie.

Irma nakrywa jej dłoń swoją, pali ją rozczarowaniem: Ależ kochana Emilio, dalej niż tutaj już nie dotarłaś?

A co z tobą, Irmo? Hedgrind?

Prycha pogardliwie. Potem tego żałuje. Chce powiedzieć Irmie, że jest zadowolona, że dotarła tu, gdzie chciała. Prosto w objęcia Hugona, tak widocznie miało być. Miała zostać oblana kawą. Miała zostać przytłoczona jego wielkim ciałem. Czy on nie zdaje sobie sprawy, jaki jest ciężki? Wysapie przepraszam i przewraca się na bok, ale jego przepraszam jest szorstkie i rozczarowane.

E tam, mówi Sofia, przestań użalać się nad sobą.

Moja droga, mówi Irma, czy naprawdę nie zamierzałaś dotrzeć dalej?

Nie, nie zamierzałam.

Emilia krzyżuje ramiona na piersi.

Nie od tamtego pukania do drzwi. Nie, odkąd dziewczynka stała tam z wyciągniętymi ramionami. Nie, to były wyciągnięte ramiona Emilii. Nie dziewczynki! Nie! Emilii!

Dziewczynka cofnęła się, przestraszona. W przedpokoju był ogromny cień, twarz ciemna i załęknioma, a Emilia wciągnęła ją do światła. Wabiła jak czarownica: Chodź no tu, chodź do mnie... Chodź, to dostaniesz miłość! Wejź do komórki, wejź do komórki serca, ale wyjść już ci się nie uda.

Irma stoi bardzo blisko, a kiedy człowiek stoi tak blisko, trzeba albo uderzyć, albo uciec, albo pocałować.

Nie masz już niczego, co by cię tu trzymało, szepcze.

Mam dziewczynkę...

Ona nie jest twoja.

Bo to nie ja ją urodziłam? O to ci chodzi?

Opowiedz, proszę, opowiedz mi o Irmie, jaka ona była, błaga dziewczynka.

Nie wiem, co mam powiedzieć.

Opowiedz, jak spotkałyście się znowu!

Była jakby irma. Unikała patrzenia w oczy, stała w cieniu. Przestrach na twarzy...

A ty co wtedy zrobiłaś?

Nic.

Zupełnie nic?

Tak.

W mieszkaniu jest cicho. Deszcz bębni o szyby, gdyby otworzyła okno, nie słyszałyby dźwięków życia miasta – szmeru samochodów i donośnych głosów. Gdyby otworzyła okno, nie usłyszałyby plusku rzeki; spieniona woda, która przebija się przez miasto, spada głośnymi kaskadami, porywa ze sobą wszystko, rośnie w siłę. Ale może człowiek przyzwyczai się też do wodospadów i prądów rzecznych, przyzwyczai do osunięć skał i tornad, i wybuchów wulkanu.

Hugo wraca z pracy. Powoli, posapując, rozsuwa zamek błyskawiczny kurtki, zdejmuje buty. Oj, oj, oj, postępuje. Jak stary człowiek. Łojoj.

Zatrzymuje się, zaskoczony jej widokiem.

O, witaj. Nie wiedziałem, że już jesteś w domu.

Będą pulpety rybne, mówi Emilia, ale musisz trochę poczekać.

Co za paskudna pogoda.

To chyba dobrze, że człowiek i tak pracuje cały dzień.

A te biedne panusie z Hedgrind... Hugo podchodzi bliżej z uśmiechem na twarzy... Jak one mogą wyjść kupować apaszki w taki dzień? Szczypie ją w bok.

Ech, mówi Emilia. Przestań.

Żartowałem tylko. Wiem przecież, że Irma nie jest taka.

Chyba jednak się zmieniła.

Trudno mi to sobie wyobrazić.

Miała taki głupi kapelusik z piórami, mówiła też jakby inaczej.

W sercu jest taka sama.

Jej mąż jest chyba jakimś szefem. Ma niańkę do dzieci... Pewnie też oddaje swoje brudy do pralni.

Nie Irma, upiera się Hugo. Nie po tym, co przeżyła.

Co masz na myśli?

Hugo nie odpowiada.

Co ona takiego przeszła, o czym mówiłeś?

Nie zaczynajmy znowu, maleńka.

Nie zaczynajmy czego?

Hugo nie odpowiada.

Po prostu nagle mam wrażenie, że znasz ją o wiele lepiej niż ja.

Wcale niczego takiego nie powiedziałem.

Byłeś w niej zakochany?

Przestań, maleńka.

Przestań nazywać mnie maleńka!

Hugo podnosi rękę, jakby chciał się bronić. Wszystko jest takie idiotyczne. Przecież chce zająć się przygotowaniem posiłku, a może wcale nie chce, między tymi możliwościami jest cała masa alternatyw.

Co ona takiego zrobiła, Irma, żeby zasłużyć sobie na coś takiego? pyta Hugo.

Zasłużyć na co?

Że jesteś na nią tak diabelnie wściekła... Co ona ci zrobiła?

Przecież wcale nie jestem na nią wściekła.

No nie, wcale.

Wiesz co, mówi Emilia, w takim razie możesz zjeść na kolację kanapkę, tylko nie zapomnij grubo posmarować masłem!

Nie, ona tego nie mówi, Hugo też nie powiedział tamtych rzeczy. Trzyma ręce uniesione do góry w geście obrony. Wszystko jest takie idiotyczne. Wygląda jak skopany pies. Ma takie smutne oczy. Emilia nie może tego znieść. Wyjmuje dwie puszki z zupą gulaszową i włącza kuchenkę.

Pociągi Hugona

W dużym namiocie na Jerntorget pod koniec maja prezentowany jest największy w całej Europie model kolejki. Zajmuje powierzchnię 18 x 5 metrów i tworzą go pociągi z ośmiu krajów. Trzysta lokomotyw, tysiąc wagonów, tysiąc metrów torów, sto dwadzieścia sześć transformatorów, trzydzieści pięć prostowników, siedemset przycisków kontrolnych, sześćset lampek. Udział Hugona to siedem lokomotyw i pięćdziesiąt dziewięć wagonów. Kilka ołowianych figurek o wysokości 2,7 centymetra: mężczyzna w szarym płaszczu, kobieta w czerwonym kapeluszu, zawiadowca, kobieta w jasnoniebieskiej spódnicy machająca chusteczką. Przyniósł też kościół, analogową obrotnicę, kilka choinek, lamp ulicznych, pięciu robotników, dwa konie, ławki, inne drzewa, folię na jezioro i hiszpańską willę.

Lillemor stoi przy regale w Sanko i upuszcza czerwoną szminkę do swojej kopertówki. Maluje się nią, gdy widzi, że Sten już jest przy Fredriksplanie, jedzie rowerem z apteki. Lillemor rzuca kamienie do wody, chce mu coś opowiedzieć, ale kiedy on już jest przy niej, nie chce czekać, wszędzie jest jasno, a on się do niej przyciska i jest tak twardy, że ona nagle myśli, że go kocha, musi go kochać – kocha go!

Kocham cię.

Myśli tak, kiedy on się w nią wbija. Stenie Malmborgu, jesteś małym chłopcem. A ja muszę cię kochać, bo inaczej uciekniesz w swoją stronę.

Bzy mogą rozkwitnąć w każdej chwili. Lillemor tęskni do kwiatów na Świętego Jana. Na Malmgatan kwitną już niezapominajki, bładoniebieskie z jasnoczerwonym oczkiem. Wieczory mogą być tak piękne i jasne. Nie trzeba się bać, że się zacznie marznąć.

Sten trzyma ją mocno za ramiona, czuje jego palce aż do samych kości. Gdyby mu o tym powiedziała, zepsułaby wszystko.

To pani Hulda Malmborg zajmuje się sprawami praktycznymi. Nawet wybrała też odpowiedni kostium dla panny młodej. Okazało się, że nie będzie ślubu kościelnego, więc inne rzeczy pasują; prostsze, ciemniejsze.

Cisków kontrolnych, sześćset lampek. Udział Hugona to siedem lokomotyw i pięćdziesiąt dziewięć wagonów. Kilka ołowianych figurek o wysokości 2,7 centymetra: mężczyzna w szarym płaszczu, kobieta w czerwonym kapeluszu, zawiadowca, kobieta w jasnoniebieskiej spódnicy machająca chusteczką. Przyniósł też kościół, analogową obrotnicę, kilka choinek, lamp ulicznych, pięciu robotników, dwa konie, ławki, inne drzewa, folię na jezioro i hiszpańską willę.

Lillemor stoi przy regale w Sanko i upuszcza czerwoną szminkę do swojej kopertówki. Maluje się nią, gdy widzi, że Sten już jest przy Fredriksplanie, jedzie rowerem z apteki. Lillemor rzuca kamienie do wody, chce mu coś opowiedzieć, ale kiedy on już jest przy niej, nie chce czekać, wszędzie jest jasno, a on się do niej przyciska i jest tak twardy, że ona nagle myśli, że go kocha, musi go kochać – kocha go!

Kocham cię.

Myśli tak, kiedy on się w nią wbija. Stenie Malmborgu, jesteś małym chłopcem. A ja muszę cię kochać, bo inaczej uciekniesz w swoją stronę.

Bzy mogą rozkwitnąć w każdej chwili. Lillemor tęskni do kwiatów na Świętego Jana. Na Malmgatan kwitną już niezapominajki, bładoniebieskie z jasnoczerwonym oczkiem. Wieczory mogą być tak piękne i jasne. Nie trzeba się bać, że się zacznie marznąć.

Sten trzyma ją mocno za ramiona, czuje jego palce aż do samych kości. Gdyby mu o tym powiedziała, zepsułaby wszystko.

To pani Hulda Malmborg zajmuje się sprawami praktycznymi. Nawet wybrała też odpowiedni kostium dla panny młodej. Okazało się, że nie będzie ślubu kościelnego, więc inne rzeczy pasują; prostsze, ciemniejsze.

Może trochę się pośpieszyli, ale właściwie dlaczego nie, dzisiejsza młodzież; Hulda uważa, że są czarujący w swojej naiwności, nie chce ich ograniczać, w swoim czasie zrozumieją, że życie to nie taniec.

Lillemor i Sten w ogóle nie rozmawiają o małżeństwie. Sten szczerze jest przekonany, że to nie jego sprawa. Przypuszcza, że tak właśnie to wygląda. Człowiek rżnie, oświadcza się, potem ocierają się z drugą osobą swoimi podbrzuszami, aż się dopasują. Kiedy się oświadczał Lillemor, zrobił to bardzo rzeczowo, sztywno; czasem lubi patrzeć na siebie jak na średniowiecznego rycerza; powiedział, że oczekuje się od nich zawarcia związku małżeńskiego i że Lillemor przypadła pani Malmborg do gustu, więc nic nie stoi na przeszkodzie. Lillemor myśli o oceanach, które są w każdym człowieku, myśli o tym, ile jest Stena, którego dopiero niedawno zaczęła dostrzegać, są jeszcze całe miliony do poznania i zrozumienia.

I to jest pasjonujące.

Wyciąga kieszonkowe lusterko, poprawia szminkę; Sten się z niej śmieje. Krzywo ci wyszło, mówi, wyglądasz jak usmarowana. Lillemor myśli o tej jego nieśmiałości, która przykrywa siłę, i całej twardości, która skrywa czułość, i zupełnie się w tym gubi.

Dziewczynka w swojej bezkształtnej sukience, ze swoimi jasnymi, fruwającymi włosami – zawsze pachną jak świeżo umyte.

Tego wieczora, kiedy wraca do domu, chce się napić herbaty. Tak, proszę, chętnie, mówi, mam ochotę się napić. Idzie do kuchni przed Emilią. Emilia jest tak zdenerwowana, że wpada na futrynę – tak, mają tam miejsce na kuchenne drzwi, ale zawsze mówili, ona i Hugo, że wtedy mieszkanie wydawałoby się mniejsze, bez drzwi jest więcej przestrzeni i światła.

Dobrze się bawiłaś dziś wieczorem? pyta Emilia.

Tak, mówi dziewczyna, chowając twarz za kubkiem.

Ze Stenem wszystko w porządku? (Jej słowa balansują na linie.)

Tak, wszystko w najlepszym porządku, odpowiada świergotliwie. Wcina kanapkę. Łapczywie jak dziecko.

A ze ślubem i całą resztą? znów skradają się słowa Emilii. Drżą, chcą się inaczej poruszać. Rzucić się naprzód. Skoczyć z góry. Przecież widzi... czuje, że coś się stało. Jeśli ktoś zna tę dziewczynę, to jest to ona.

Mama Stena się tym zajmuje, mówi z uśmiechem Lillemor, prawie nie muszę o niczym myśleć.

Pociąga za długie rękawy bluzki.

Lillemor? zaczyna ostrożnie Emilia. Wiesz... Lillemor?

No – co takiego? Dziewczyna nawet nie podnosi wzroku. Emilia waha się. Tak? mówi znowu dziewczyna. Jej spojrzenie nie patrzy na nic konkretnego. Jej dłoń chce się czymś zająć i znajduje solniczkę, odkręca i zakręca jej tekową pokrywkę.

Przepraszam, nic takiego, mówi Emilia.

Dłoń dziewczyny się uspokaja.

Może chcesz zjeść coś porządnego? Zostało trochę z kolacji.

To mi wystarczy.

Schudłaś trochę, nieprawdaż?

Gdzie tam! Dziewczyna się śmieje. Hulda – to znaczy mama Stena – mnie wręcz tuczy, muszę ci powiedzieć. Chyba uważa, że Sten powinien mieć naprawdę tłąstą narzeczoną.

Nic się nie bój, mówi Emilia i uśmiecha się. Wreszcie kładzie dłoń na rękę Lillemor. Jesteś taka piękna.

A jak człowiek jest gruby, to już nie jest piękny, tak myślisz?

Lillemor uwalnia dłoń.

Nie o to mi chodziło.

Jest tam coś... myśli Emilia. Co to jest, Lillemor? Czy coś się stało?

Ale tak to zabrzmiało, mówi Lillemor.

Znów odkręca tekową pokrywkę. I zakręca.

Moja mama była tęga, mówi i unosi podbródek.

Nie, tego bym nie powiedziała, wcale nie była tęga.

Właśnie że była!

A ty skąd możesz to wiedzieć?

Słowa wyrwały się, zanim zdążyła je pomyśleć.

Lillemor przerywa zabawę solniczką, jej dłoń zawisa pięć centymetrów nad blatem stołu.

Wybacz, Lillemor...

Ech, mówi Lillemor. Przecież masz rację. Skąd ja to mogę wiedzieć.

Może jednak nic nie wyjdzie z tym Stenem. Może naprawdę coś się stało. Już widzi, jak usiądą z Hugonem obok siebie i będą o tym rozmawiać, kiedy on wreszcie wróci z pokazów na rynku. Kiedy zgasną lampki, ten jednostajny odgłos pociągu, który krąży i krąży.

Czy to prawda? Tak sądzisz?

Wyobraża sobie jego radość i ulgę. Czy wyciągnie coś do picia? Prawie jakby to świętowali, trochę nieładnie. Ale ona jest jeszcze taka młoda, Lillemor, jeszcze się trafią lepsi chłopcy.

Będą mówić szeptem, żeby Lillemor nie słyszała. Dziewczynka. Dzieciak. Niech się wyśpi. To jest ważne. Musi dać sobie radę z tyloma rzeczami.

Kiedy Hugo wreszcie wraca, wygląda na zmęczonego, ale pogwizduje. Trzyma przed sobą karton ze spakowanymi pociągami i figurkami.

Emilia zaraz jest przy nim, tuż obok.

Wiesz, co się stało, szepcze, zauważyłam... że coś jest nie tak. Między Stenem i Lillemor, o to mi chodzi.

Hugo przerywa pogwizdywanie, wzdycha i mówi:

Wszystko jedno, czy to przez Stena, czy nie, ale ona nie zostanie u nas. Jak nie wyjdzie ze Stenem, pojawi się jakiś inny – czy to będzie ci bardziej odpowiadało? Tak sądzisz?

To jasne, chce odpowiedzieć Emilia. To Sten nam ją wyrwał. Ale Hugo ciągnie dalej:

Nie będziesz lubiła żadnego z nich...

Dlaczego tak mówisz? Dlaczego jesteś taki złośliwy?

Ale przecież to prawda.

Jasne, że to ma znaczenie, skąd on pochodzi. Dla ciebie chyba też. Musi mieć.

Ale ja nie chcę, żeby ona została, mówi Hugo, podnosząc głos, to jest chyba największa różnica. Ja chcę, żeby miała swoje własne... i żebyśmy ty i ja... żeby było tak jak przedtem.

Chcesz, żeby ona się wyprowadziła?

Wiesz dobrze, o co mi chodzi.

Nie kochasz jej...

Ależ Emilio, wiesz dobrze, że tak nie jest.

Nie, wcale tego nie wiem, ty nigdy jej nie chciałeś, przyjąłeś ją tylko, żeby uniknąć awantury.

Wtedy Hugo ciska karton trzymany w rękach, pociągi i ołowiane figurki rozsypują się po podłodze, lokomotywa rozpryskuje się na kawałki, mężczyzna w szarym płaszczu toczy się pod sofę razem z jednym kółkiem. Lillemor leży w swoim pokoju i wszystko słyszy, słyszy trzaśnięcie drzwi, kiedy Hugo znów wychodzi z mieszkania. Długo tak leży, patrzy w sufit, myśli o Marilyn Monroe, myśli o scenie, kiedy ona pływa w basenie, Marilyn, tam i z powrotem w przejrzystej niebieskiej wodzie; nie pamięta, co to za film, może to nawet nie była Marilyn, widzi tylko ciało przecinające wodę, tam i z powrotem, lampy dokoła, i okna, spojrzenia, nie jest sama, choć jej się wydaje, że jest.

Dłonie Hugona

Gwiazdka mała tam wysoko, powiedz mi, powiedz mi. Czy wreszcie przyjdzie ten, kto spełni moje sny? Przecież wiesz, kim on jest.

Alice Babs śpiewa w radiu, a Lillemor powinna się zastanowić, zanim weszła do kuchni. Powinna włożyć coś z długimi rękawami, nie tak przyjąć w samej koszuli nocnej, jakby jej było wszystko jedno – może naprawdę jest jej wszystko jedno. Nie mówi dzień dobry, tylko osuwa się na krzesło, wyciąga rękę po koszyk z chlebem...

Lillemor! wykrzykuje Emilia, co ty robiłaś?

Lillemor wzrusza ramionami, próbuje nabierać kaszę na łyżkę.

Hugo! Widziałeś, jak ona wygląda?

Hugo wszedł do kuchni, potężnie ziewając, drapie się po głowie. Wrócił do domu dopiero o dwunastej. Musi dostać jakąś cholernie dobrą szansę, żeby znów wszystko naprawić. Kiedy widzi wielki siniec na ramieniu Lillemor, najchętniej schowałby twarz w dłoniach. To dziwna reakcja. Głowa mu pęka. Wstydzi się tego, że brakuje mu tchu po przejściu od sofy do kuchennego stołu.

Co ty robiłaś? pyta, bardziej jakby zaciekawiony niż zaniepokojony.

Uderzyłam się, odpowiada Lillemor.

Ale jak? pyta Emilia.

Upadłam, wyjaśnia Lillemor. A co?

A co? Człowiek nigdy tak po prostu nie upada!

Głos Emilii jest piskliwy.

Czy to Sten? Czy to on?...

Ależ Emilio, wtrąca się Hugo, przecież mogła się przewrócić, jak mówi.

Czy to Sten? powtarza Emilia, czy on cię uderzył? Bije cię? Nie możesz chyba być taka głupia i pozwalająca...

Chwyta Lillemor za ramiona. Kładzie dłonie akurat na siniakach. Dziewczyna pojękuje, ale Emilia zdaje się tego nie słyszeć.

Nie możesz być taka głupia. Nie możesz być tak zaślepiona.

Emilio, przestań już, zostaw ją w spokoju.

Emilia puszcza dziewczynę i odwraca się do Hugona.

Co za świetne rozwiązanie wszystkich problemów, po prostu schować głowę w piasek.

Hugo ujmuje dłonie Emilii. Trzyma je mocno. Trzyma i trzyma.

Do diabła, maleńka, nie możemy się tak zachowywać.

Słyszą, jak drzwi wejściowe zatrząskują się delikatnie. Emilia chce pobiec w tamtą stronę, ale Hugo jej nie puszcza.

Musimy wypuścić ją na wolność. To najważniejsze ze wszystkiego.

Dobrze! To znaczy, że możemy się nie zauważać. Od tej chwili, Hugo, nie przejmujemy się tym, co drugi robi, i zobaczymy, jak ci się spodoba taka sytuacja... taka wolność.

Ależ Emilio... proszę cię.

Ty nie masz kręgosłupa, syczy Emilia w odpowiedzi. Tylko udajesz emocje. Jesteś taki sam jak twój ojciec.

Nie mieszaj do tego mojego ojca!

Hugo puszcza ją, a ona od razu pędzi na klatkę schodową. Czy Lillemor wybiegła tylko w koszuli nocnej?

Lillemor! woła Emilia. Kochana, najdroższa Lillemor, wracaj! Widzi, że na wieszaku brakuje płaszcza. Biegnie do okna, ale nigdzie jej nie widać.

Jest jeszcze wcześniej, słońce wpada już między firanki w kuchni, ale nie sięga sofy. Hugona budzi krzyk. To brzmiało jak IRMA; najpierw się boi, że to on wołał, ale potem widzi, że Emilia wierci się przez sen.

Hugo nie mógł zasnąć przez pół nocy, on, który zwykle zasypiał, gdy tylko zamknął oczy... Leżał i chciał zamordować tego cholernego Stena. Szedł wzdłuż kanału, wyobrażał sobie wiadukt, prosto przez zakład – najkrótsza droga do Hedgrind – ale nie doszedł dalej niż do zapory Dal-Brity. Słyszy coś z dołu. Światło jest mętne. Hugo kiepsko widzi, nie wie, co tam się dzieje.

Halo, jest tam ktoś?

Jeszcze na Högbovagen zdecydował, że będzie prowadził rower – tak cholernie się chwiał – aż do fabrycznych budynków, które stały tam, zanim w tym miejscu powstał wieżowiec. Nowe miejskie centrum z mieszkaniami nad lokalami sklepowymi... Nagle całkowicie wytrzeźwiał, ale nadal nie rozumiał, co widzi. Wydawało mu się, że to odgłos jakiegoś zwierzęcia, ale spódnica była taka czerwona i leżała odwrotnie na ciele... Niepewnie spoglądał w dół, próbował przestawić wzrok, jakby to z jego oczami było coś nie tak, a nie z tym obrazem. Dopiero gdy ciało zaczęło się poruszać... stawać na nogi... zobaczył, że...

Cóż to u licha – Irma?

Wyciągnął do niej rękę, ale ona jej nie widziała albo odepchnęła, albo po prostu stał za daleko, już nie pamięta.

Głupio powtarzał jej imię. Dotarła do ścieżki. Nie próbowała oczyścić spódnicy z ziemi i drzazg, nie myślała o tym, żeby ją poprawić... Zastanawiał się, jak mogła upaść tak fatalnie...

Potrzebujesz pomocy?

Żadnej odpowiedzi.

A wtedy się rozgniewał albo zirytował – tak, właśnie tak było. Zwłaszcza że ona szła coraz szybciej, a on wołał za nią, że może podwieźć ją do domu, albo przynajmniej mogą iść razem.

Irmo?

A ona zaczęła biec... Czy on biegł za nią? Czy ona biegła szybciej? Do siebie, do swojego pokoju nad pralnią chemiczną Epego; wiedział, że ona tam pracuje, pamiętał albo właśnie sobie przypomniał, że spotkał kiedyś grupkę chłopców... łobuzów... tak o nich pomyślał czy myśli teraz. Nie zaczepiali go, ale on mimo wszystko zszedł na bok, żeby nie... Z takimi nigdy nie wiadomo, śmiali się niepewnie i za głośno... Chude ciała, które próbują wyglądać na szerokie... Bądźcie twardzi, chłopaki... Na Storgatan... Poniżej głównego biura... To było tam... Idzie prosto dalej... prosto przez zakład, noc... Idzie lub biegnie – nie, wziął samochód. Wie, gdzie mieszkają Malmborgowie... Cholerny aptekarz... Jakby ich nie sprawdzał. Wie, że ze słupów przy bramie obłazi farba. Zabije tego gnoja. Zrobię to, Em... Maleńka?... Ona płacze, nie powinien jej budzić, nawet nie jest pewien, czy śpi.

Maleńka, szepcze, próbuje ją objąć. Ona wykręca się, przesuwa bliżej krawędzi sofy.

Wcale nie zamierzałem cię dymać, do diabła, syczy Hugo. Wstaje, idzie do kuchni, stoi przez chwilę, nie wie, co ma zrobić, wyjmuje chleb i margarynę, smaruje sobie kromkę, smaruje jeszcze jedną i jeszcze, jest wpół do piątej, zagląda do Lillemor, brzask, świat jest najpiękniejszy o brzasku.

W tym domu inny dom. W tym poranku inny poranek. W tym Hugonie inny Hugo. To poranne światło – właśnie takie! – na siniaku Lillemor, a on może nie pozwoliłby jej odejść.

Znów idzie do łóżka, choć nie może zasnąć jeszcze raz. Emilia się budzi i przysuwa do niego, kładzie mu głowę na piersi. Wtula nos w jego szyję. Hugo poklepuje ją po ramieniu, coś ściska go w piersi.

Chodź, musimy wstać, mówi, chce zacząć dzień. Ona dalej leży. Obejmuje jego ciało, a to powinno go uszczęśliwiać.

No chodź, mówi Hugo.

Hugo mówi

Po drugiej stronie ulicy powstaną nowe domy. Budynki fabryczne mają zostać rozebrane i zastąpione siedmiopiętrowymi punktowcami i dłuższymi budynkami o trzech piętrach – jak lustrzane odbicie, ale zamiast zdrowej żywności, sklepu radiowego i perfumerii będzie spożywczy Konsum, zegarmistrz i sklep farbiarski. Na przyszłą wiosnę mają być gotowe. Tutaj się planuje. Tutaj się wyburza. Tutaj się buduje.

Wiosna przeszła w lato. Nareszcie. Miasto stali przygotowuje się nie tylko na wielkie święto piłkarskie, są jeszcze Dni Północy i Dzień Dziecka; wszędzie pełno flag i chorągiewek. Jerntorget zamienił modele kolejek na wesołe miasteczko. Niedługo wszystkie okna wystawowe zajmą piłkarskie maskotki i czapeczki, a cukiernie będą prezentować boiska piłkarskie z zielonego marcepanu. Nie ma obawy, że telewizja odbierze publiczność stadionom, choć u Anderssona sprzedaż telewizorów wręcz eksplodowała w ostatnim tygodniu.

W niebieskiej czarze, która ma kształt muszli, siedzi na stole syrenka. Wokół niej znajdują się otwory, w które powtykane są żółte kwiaty. Żółte kwiaty (choć o jaśniejszym odcieniu) zdobią też bortę obrusu. Zwykle Emilia nie zwraca sobie głowy takimi rzeczami, ale Hugo musi przyznać, że to ładnie wygląda.

Emilia smaży wątróbkę. Hugo lubi wątróbkę. Emilia nazbierała też pokrzyw na zupę, na pierwsze danie.

Zwykle jedzą tylko jedno, ale Hugo tak lubi zupełnie pokrzywową. Jajka się gotują. Gra radio. Dwa miliony Francuzów strajkuje. Latem będziemy ubierać się na czerwono, mówi Emilia. Jasnoczerwony, ceglasty, ale też żółty.

Aha, mówi Hugo.

No i jeszcze morski błękit, dodaje Emilia. Lubisz ciastka z manny?

Tego nie wiem, mówi Hugo.

Zajmij się swoimi pociągami. A ja wszystko przygotowuję.

Hugo na sofie. Mają ją od dawna. Jest zniszczona, ale czy aż tak, żeby ją wyrzucić? Czy musi zacząć wyłazić włosie, muszą się połamać deski? A może niektórzy uważają, że mebel odsłużył swoje, kiedy w sklepach pojawiają się nowe modele? Nie wyjmuje pociągów. Może są już dokończone, myśli, ale przecież nie dlatego się nimi zajmował; wykonanie modelu pociągu nigdy nie było najważniejszym motywem.

Dzisiaj w Kungsgården jest wieczór tanga i walca, woła Emilia. Można pojechać autobusem. Masz może ochotę?

Przecież wiesz, że kiepski ze mnie tancerz, odpowiada Hugo.

Właśnie dla takich urządzają te wieczorki!

Nie sądzę. Ludzie jeżdżą tam, żeby się pochwalić, co potrafią.

Nudziarz, słyszy Hugo jej głos. Słyszy, że powiedziała to żartem, ale on nie umie się przyłączyć.

Wystarczy chyba to, co jest, mówi Hugo i wstaje. W wielkim lustrze łazienkowym widzi swoje ciało; równie dobrze mogłoby należeć do kogoś innego. Choć on go dotyka i czuje ten dotyk, i tak jest to nie do pojęcia. Chciałby do niego zawołać. Zawołać do czegoś, co jest w środku, co musi być nim. Przez chwilę jakby miał wrażenie, że to coś w środku mogłoby odpowiedzieć: Tak, tu jestem, Hugo! Jeszcze jestem. Tylko że tyle rzeczy się stało, pamiętasz chyba? A gdyby tak odpowiedział ojciec? Hugo widzi ich obu w tym samym odbiciu. Ciało ojca nie przesłania jego ciała... Nakłada się na nie... Albo rzuca się wewnątrz jak ryba. Z trudem łapie powietrze. Nie chciałem tego, woła z głębi, nie chciałem cię rozczarować. Hugo opada na sedes. Wszystko, dosłownie wszystko trzeszczy pod nim; meble, ludzie. Wszystko, dosłownie wszystko przypomina mu o tym, że istnieje, że jest aż nazbyt cielesny i powinien nieustannie przeproszać. Wyciera dłonie, na ręczniku jest nadruk *Sandvikens Jernverk*, zgniata go w kulkę i rzuca na podłogę.

Emilio, mówi, wchodząc do kuchni. Nie mam pojęcia, co znaczy morski błękit.

Emilia spogląda na niego pytająco.

Powiedziałaś, że morski błękit będzie modny, ale co to właściwie za kolor? Moim zdaniem to trochę dziwne, że nagle modny jest jakiś kolor, a ludzie nawet nie wiedzą, jak on wygląda.

Tak, tak, ty i twoje teorie, mówi Emilia. Jedzenie zaraz będzie gotowe. Chcesz piwo?

Hugo siada przy kuchennym stole. Wypija szybko trzy łyki piwa, które nalewa mu Emilia.

To nie jest wina mojego ojca, że te cholerne niemieckie pociągi jeździły przez cały nasz kraj...

Wiem, Hugo, przepraszam za tamto wszystko.

On tylko prowadził pociąg, ciągnie Hugo.

Wiem, powtarza Emilia.

Piwo łśni złocistoczerwono. Hugo pije kolejne dwa łyki.

John, mój stryj, wiesz który, mawiał, że jeśli czegoś się nie czuje, to to nie jest nic warte. Mówił, że jeśli świat nie ma dla człowieka sympatii, to należy tego od niego żądać. Człowiek ma przecież do tego prawo. Ale założmy, że świat cię nie chce, co możesz wtedy zrobić? Nie można wymagać niczego takiego.

Wiesz, mój ojciec kochał swoją pracę... Wydaje mi się, że kochał ją tak bardzo, że zapominał o sobie. Ale z drugiej strony nie sądzę, żeby zdawał sobie sprawę z istnienia takich możliwości: zapomnieć albo pozostać sobą... On nawet nie wiedział, co to jest.

Wydaje mi się, że John nie do końca miał rację z tą wzajemnością...

Hugo opróżnia butelkę. Firanki trzepoczą w przeciągu, Hugo myśli o ciężkim zielonym aksamicie, migoczących drobinkach kurzu, ołówku, który zakreśla kółkami słowa i zdania. Boże, czy tylko w młodości człowiek jest możliwy?

Tyle jest różnych spraw, maleńka, mówi szorstko i chce wstać od stołu. Jest tak sakramencko dużo rzeczy, których potrzebuję (chce położyć dłoń na sercu), których nie dostaję.

Wodzi palcami po syrence. Ma drobne, prawie niezauważalne pęknięcie zaraz poniżej talii.

Och, maleńka, mówi i wdycha z ulgą. Naprawdę potrzebowałam to powiedzieć.

Emilia stoi do niego plecami. Powoli zwraca twarz w jego stronę. Dłonie nadal opiera o zlew. Widzi, że okno jest strasznie zabrudzone.

Więc czego chcesz? pyta.

Ton jej głosu go zaskakuje.

Potrzebuję... zaczyna Hugo, bierze głęboki oddech. Wydaje mi się, małeńka, jakbyśmy żyli każde w swoim kraju.

Irma bierze Emilię za ramię i mocno trzyma. Ty też mogłabyś coś powiedzieć, mówi. Ty też byś potrzebowała.

Ale czego chcesz, co ja mam zrobić?

Rozpadam się, mówi Hugo, jeśli nigdy mnie nie dotykasz.

Może nie mogę, mówi Emilia.

Co chcesz przez to powiedzieć?

Ja nie mogę, Hugo.

Emilia zamyka okno. Gdzieś tam za szybą jest jej Lillemor, ktoś, dla kogo mogłaby umrzeć. Gdzieś tam... i nagle Sandviken zdaje się takie ogromne, tyle miejsc, w których może się ukryć ktoś, kto nie chce być znaleziony.

Więc tak po prostu wszystko rzucasz? słyszy głos Hugona.

Tak, odpowiada Emilia. Tak, chyba rzucam.

Pokój Lillemor jest urządzony w trzech kolorach: jasnoszarym, morelowym i żółtym. Na kwiecistej narzucie z falbaną leży czerwona poduszka. Na półce leksykony. Pasiasty kot z porcelany. Zdjęcie Arnego Hodina i psa-kosmonauty Łajki. Wiele z tych rzeczy dziewczynka wyprosiła: Czy mogłabym sobie to pożyczyć? Bierz, Lillemor, nie musisz pytać.

Nawet jeśli większość przedmiotów w tym pokoju należy do Emilii, to Lillemor tak je lubiła, że stały się jej... Swetry, książki, bibeloty. Emilia chciałaby się dziwić tym wszystkim rzeczom, myśleć, że należą do kogoś innego. Myśli, że Hugo nigdy by nie wiedział, gdzie są torby czy zimowe ubrania, gdyby dziewczyna kiedyś go zapytała... Zresztą nawet rzeczy Lillemor, on nie wie, nigdy tego nie wiedział. Listy od Maksa do Karin, które tyle razy czytała ukradkiem, tylko po to, żeby z jednej strony zastanawiać się nad stałością tego nieodwzajemnionego uczucia, a z drugiej przypominać sobie o samotności Lillemor, przez którą ona była tak potrzebna.

Wczesny ranek, dziewczyna nie wróciła do domu, dziewczyna już nigdy więcej nie wróci do domu; Emilia wychodzi i budzi Hugona, siada na brzegu sofy, bierze go za rękę.

Przykro mi, Hugo, mówi, ale muszę stąd odejść. Tak po prostu jest.

I ja nie mogę z tobą iść? O to ci chodzi?

A czy naprawdę chciałbyś tego?

Nie, odpowiada Hugo. Nie, nie sędzę.

Edwin i Göte

We Francji władzę objął de Gaulle, w Szwecji dalej rządzą socjaldemokraci, odnotowali wzrost zaufania, komuniści i ludowcy też powrócili wzmocnieni.

Na Kungsberget buduje się nowy stok narciarski tuż obok trasy Edwina. Nowiuteńka chata u szczytu bije na głowę stary szałas pasterski Jana-Oli. Zostanie porzucony. Zielen zapowiada, że stok Edwina znów będzie zarastał; jest tak gęsta, że śpiewa i pachnie, nawet nie można nazwać jej okrutną, to ludzkie dłonie dają i odbierają.

Tego wieczora na początku czerwca nie ma wielu chętnych na telewizję w chacie Edwina. Tylko trzech najwierniejszych, z czego jeden to Max, drugiego nazywają Wargą, a trzeci, Jeppe, przyprowadził ze sobą kogoś nowego.

Czy to będzie *all right*?

Jasne, Edwin kiwa głową, czy może wzrusza ramionami, mógłby równie dobrze powiedzieć: E tam. Ale opór go opuścił; czy w ogóle kiedykolwiek był?

Drapie się po krótko ostrzyżonej głowie. Przestał już się uśmiechać, mówić zapraszam.

To jest Göte Frid, wyjaśnia Jeppe, mieszka w Gastrummet przy stacji.

Na mistrzostwa będzie tu pełno ludzi, mówi Wargą.

O tym Edwin nawet nie pomyślał, myślał tylko o Hugonie i o chłopcu. Cholera, klnie w duchu. To siedzi gdzieś bardzo głęboko. Zrezygnowany, robi krok do tyłu, wpuszcza całą czwórkę.

Serwus, mówi Göte i wyciąga wielką dłoń; jego uścisk jest mocny, mimo chłopięcego wyglądu. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat. Włosy falowane, lśniące od brylantyny.

Warga skinieniem wskazuje telewizor, jakby z dumą, i poklepuje Edwina po plecach. Całe szczęście, że nie mają ze sobą wódki (Warga należy do dobrych templariuszy), a w telewizji nie pokazują nic specjalnego, tylko program o podróżach, który nikogo zbytnio nie interesuje, więc nie zostają długo.

Kiedy wychodzą, Göte znów ściska dłoń Edwina; ten uścisk i to jego spojrzenie stanowią zaskakujące połączenie, jakby nie pasowały do siebie.

Potem Edwin ma problemy z zaśnięciem, już od dawna samotność tak mu nie dokuczała; jakby była ognistą kulą w brzuchu. Trzeba coś z tym zrobić, ale to niemożliwe. Krąży przez chwilę wokół domu Malvy, ale to jest już inny dom, teraz mieszka tam młode małżeństwo, spodziewają się dziecka; łatwiej jest budować tęsknotę na ruinach niż na czymś niemal nowo zbudowanym. Gdy wreszcie udaje mu się zasnąć, śni o grubej pokrywie śniegu wokół domu. Śnieg topnieje powoli i ukazują się zarysy jakiegoś zwierzęcia; powinno być nieżywe, leżało przecież pod zaspą śniegu z dachu, ale ono się rusza, jest całe i zdrowe, Edwin widzi, jak ucieka w stronę góry.

Następnego dnia po pracy Göte Frid przychodzi sam. Przyjeżdża na zielonej damce. Stoi przed drzwiami i sprawia wrażenie zalęknionego.

Mam radio tranzystorowe, pomyślałem, że może chciałbyś je kupić.

Zacina się. Wzrok ma spuszczone. Wyciąga aparat do Edwina.

To tylko chłopak, myśli Edwin. Który ma nudne życie.

Wejdz, to będę mógł się temu przyjrzeć.

Göte idzie tuż za Edwinem. Obojętnie prezentuje odbiornik. Naciska guziki. Ustawia pokręta. Dłubie przy antenie. Dźwięk wcale nie jest od tego lepszy. Edwin mówi, że raczej nie potrzebuje radia. Ma przecież telewizor.

Ale mogę się nad tym zastanowić, dodaje, kiedy widzi, jak Göte zwiesza głowę. Obraca w palcach kapsel, który leży na stole w ciasnej kuchni. Wiele razy przesuwa dłonią po lśniącej wadze.

Chcesz pooglądać telewizję? pyta Edwin.

Göte kiwa niedbale głową.

Jasne, mówi, i tak nie mam nic lepszego do roboty... Idzie za Edwinem do pokoju, potem staje, jakby czekał na zaproszenie. Kiedy Edwin nic nie mówi, podchodzi do sofy i siada. Edwin sadowi się obok niego.

Węgierska reprezentacja piłkarska wczoraj przyjechała do Sandviken, mówi Edwin. Ten Tichy, środkowy napastnik, wygląda obiecująco.

Göte obraca popielniczkę na stole.

Nie znam się za bardzo na futbolu, mówi.

A co w takim razie lubisz?

No... bo ja wiem... może samochody, odpowiada Göte. Nie wiem. Maszyny i takie rzeczy chyba.

Ale telewizor też go najwyraźniej nie interesuje. Siedzi i stuka w blat stołu zapalniczką; wygląda na drogą, ciężką. Edwin czuje przypływ czułości. Ten smutek w twarzy chłopaka jest tak cholernie wyraźny, przygnębiająco wyraźny, każdy może to zauważyć. Nosi w sobie dużo problemów, myśli Edwin, dlatego przyszedł. Potrzebuje porozmawiać, ale nie potrafi tego z siebie wydusić.

Słuchaj, mówi Edwin. Może chcesz się czegoś napić?

Göte wzrusza ramionami. Potem kiwa głową i mamrocze coś pod nosem.

Edwin napełnia kieliszek. Göte pije łąpczywie. Nie stukają się. Milkliwość Götego niezbyt się poprawia, ale to nie szkodzi.

Mimo grającego telewizora słysząc szelest brzoź. Znienna Göte Frid kładzie głowę na kolanach Edwina. Podwija nogi, ramiona krzyżuje na piersiach. Serce Edwina bije mocno, a on powoli gładzi chłopca po lśniących włosach.

Ślub dziewczyny

Cztery dni po tym, jak Göte Frid zapukał do drzwi Edwina, na miasto stali i okolice pada lekki deszcz. Dziewczyna właściwie nie wygląda jak panna młoda, ma na sobie granatowy kostium i białe rękawiczki. Jest to jednak letni ślub i dziewczyna wygląda poważnie. Nawet kiedy fotograf żartuje, kiedy konfetti wraz z deszczem spada na nich z nieba, jej myśli nie są zbyt radosne. Goście są zaproszeni na kawę do eleganckiej willi Malmborgów nieopodal pomostów, łódek i wysepek.

Jest siódmy czerwca. Lillemor ma ochotę się rozpłakać, kiedy widzi, jak wystrojona jest Emilia, jaka sztywna. Lillemor trzyma swój wielki, świeży od rosy bukiet na wysokości brzucha. Myśli, że jeśli nie zacznie się śmiać, to może się też nie rozpłaczę. Trzyma się Stena, który nie odwzajemnia tego uścisku.

Większość zaproszonych podejrzewa, że Lillemor jest w odmiennym stanie. Nie należy do nich Hugo. Stoi razem z Maksem, pokój przechyla się w drugą stronę, ku Malmborgom – nieliczni goście krążą wokół kanapeczek i faworków pani domu. Hulda Malmborg zbiera najwyższe oceny za swoje talenty gospodarskie, ale przyjęcie nie jest udane z powodu tego dziwnego kwintetu w składzie: Hugo, Emilia, Max, Mildred i Robert. Rodzina panny młodej. Tamci. Robert jest bez wątpienia słodkim chłopaczkiem. Jedna z ciotek Stena podchodzi do niego, nachyla się i pyta, kim taki miły chłopiec zamierza zostać, jak dorośnie. Jest urażona, gdy nie uzyskuje odpowiedzi. Kiedy Mildred ze stężoną twarzą tłumaczy, że chłopiec jest głuchy, ciotka się gniewa; czy nikt nie mógł jej o tym powiedzieć wcześniej? Hugo Lindblom zwraca uwagę swoją otyłością. Emilia Steen, ciotka, mogłaby być całkiem normalna, gdyby tylko spróbowała konwersować czy choć trochę się rozluźnić... Ale panna młoda wygląda sympatycznie. Oczywiście jest onieśmielona, ale na pewno miła i porządna, przecież pani Malmborg wzięła ją pod swoje skrzydła.

Lillemor wie, że musi do końca stać dumnie wyprostowana; to nieco przesadna myśl, ale ona nie umie jej odpędzić. Kiedy Sten dowiedział się o dziecku, wyglądał niemal, jakby przyjął to z ulgą – szybki ślub ma logiczne wytłumaczenie. Lillemor sądziła, że są tacy nowocześni, ona i Sten, ale też odczuła ulgę; przecież on mógł się zdenerwować, uznać, że to jej zaniedbanie. Oczywiście Sten tak właśnie uważa, to idiotyczne stawiać się w sytuacjach, kiedy oceny innych ludzi mogą zmienić człowieka. To okropne, że moralność może rozsypać się w pył z powodu maleńkich przewinień. Sten robi w myślach przegląd zalet Lillemor: jej włosy, jej szczerość i oczywiście ten zadziwiający zachwyt jego matki. Gdyby nie wiedział o tym, co się stało, gdyby nie stało się to, co teraz wie, mógłby patrzeć na nią z tą samą wyrozumiałą czułością co przy ich pierwszych spotkaniach. Ale teraz widzi jej ciało, wie, co się skrywa pod tym nienagannym kostiumem, wie, czego jej ciało chce, wydaje mu się, że wie wszystko o Lillemor i jej ciele, a taka pewność nie może podniecać, prędzej budzić obrzydzenie u człowieka, który jest przerażony swoją własną śmiertelną cielesnością. Wszystkie kobiety są z tej samej gliny, zupełnie nierealne byłoby próbować znaleźć kobietę należącą do tego – wymierającego – gatunku co jego matka. To nowe czasy. Sten Malmborg lepiej czułby się w dawnych czasach.

Sofia, która siedzi w domu i przyszywa guziki do letniego płaszczyka dla Christiny, żywi podejrzenia co do stanu Lillemor od chwili, gdy przeczytała o zaręczynach. Tak bardzo chciałaby jej wybaczyć, pomóc jej przez to przejść, ale cień brzoź jest chłodny, tak po prostu jest, nic nie może usprawiedliwić ani wynagrodzić śmierci Karin.

Powinna być burza, ale niebo się nie śpieszy, a może chce tylko wyświadczyć uprzejmość? Czy nie rozumie, że jest duszno? Hulda Malmborg otwiera okna, ale to nie pomaga na ucisk w skroniach, na pot, który spływa środkiem pleców. Czuje się gruba. Emilia widzi, jak głowa Lillemor opada; cerę ma przezroczystą, kiedy zdejmuje rękawiczki, widać na dłoniach żyły jak grube fioletowe sznury. Prostuje plecy. Dotyka brzucha tak wiele razy i zaraz szybko zabiera dłoń – jakby brzuch ją parzył – że nie można się nie domyślić, jak się sprawy mają. Max się nie domyśla. Dla niego dziewczyna jest kimś nieznanym. I na zawsze jest tylko dziewczynką. Choćby nawet zamężną. A ma tyle samo lat co Karin wtedy...

W oknie salonu stoją rzędem różowe pelargonie. Hulda Malmborg na pewno docenia, że kwitną akurat teraz. Emilia najchętniej rzuciłaby się na obrus, porcelaną, ozdobne kółka do serwetek, obrazy, które nigdy nawet nie próbowały wisieć krzywo. Co można zrobić, kiedy jest się dzikim kotem, któremu nie wolno być dzikim kotem? Który zawsze wyciera buty na wycieracze, ale mimo to tak cholernie się boi, że nabrudzi? Emilia zamyka oczy i odjeżdża na rowerze z willi Malmborgów, przejeżdża w takim pędzie przez zakład i miasto, że nawet nie zauważa żadnych szczegółów, tylko podstawowe kolory, proste kształty. Pedaluje przez Järbo, mija Cafe Łabędź, jedzie w stronę Zakładów Wełnianych, przy moście zauważa Irmę – ta unosi do góry dłoń jak policjant; kiedy Emilia się zatrzymuje, wyciąga do niej ramiona.

Chodź tu! Coś ci powiem. Muszę ci coś powiedzieć!

I radość chciałaby być w Emilii, a nie niepokój, i chciałby być okrzyk: Tak, opowiedz! Proszę! Ale Emilia musi jechać dalej, dalej i dalej, szprychy dźwięczą, pedałuje z powrotem przez zielone trójkąty lasu, czarne koła, niebieskie prostokąty, dojeżdża aż do dziewczyny, tam zsiada z roweru, odsuwa z jej policzka pasmo włosów.

Wiesz, ile jesteś warta, Lillemor, mówi. Wiesz o tym, prawda?

Lillemor myśli, że nie może się rozplakać, bo jeśli zacznie płakać, wszystko z niej wypłynie, a nie może, ona nie może... Muszą tu zostać, ona i dziecko. Jej uśmiech zastyga sztywno. Emilia przelotnie muska jej dłoń. Jakiś kieliszek podzwania, to Max zamierza wygłosić mowę. Kochana Lillemor, Stenie...

Sofia odkłada płaszcz, przeciąga się. Gasi światło w kuchni i wygląda przez okno. Nie ma pod niebem nic oprócz domów, ogrodów i pojedynczych ludzi, którzy kulą się pod przyjaźnie kropiącym deszczem. Jakaś kobieta przejeżdża na rowerze w przezroczystym czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym i zydwestce. Arvid został u Anity Strand, w domu jest spokojniej, kiedy go nie ma. Wtedy dom na Björkgatan 64 należy do niej; im lepiej go poznaje, tym więcej ma miejsca na swoje myśli, a jednak jest o wiele za ciasno – może ona potrzebowałaby mniej przestrzeni, równie dobrze może tak być.

Jutro, szepcze Carl przez sen... Jutro się zacznie!

Widzi pierwsze zagranie. Piłkę, która leci daleko, daleko – łukiem do nieba, wszystkie twarze jak na komendę zwracają się w tamtą stronę – gdzie ona wyląduje, jak dalej potoczy się gra? Widzi Nackę Skoglunda, widzi pozostałych piłkarzy – Nissego Liedholma, Kurrego Hamrina – zupełnie jakby biegał obok nich po trawie na stadionie Råsunda; Meksykanie będą musieli szybko ganiać, jeśli chcą nadążyć. Jedyne, co mąci radość, to fakt, że pewnego dnia wszystko się skończy: mecz finałowy zostanie rozegrany, chorągiewki i plakaty pozdejmowane.

Sofia chciałaby pogłaskać go po czole, otula kołdrą, choć powietrze w pokoju jest ciepłe i duszne.

W domach, gdzie są telewizory, właśnie wybrzmiały ostatnie dźwięki teleturnieju. Sten i Lillemor tańczą w Stats, on prowadzi ją sprawnie, nie jest wybitnym tancerzem, ale robi to, co powinien, a ona wiruje albo udaje, że wiruje, to nie ma znaczenia.

Sofia siedzi jeszcze przez chwilę przy łóżkach dzieci, choć ciasto drożdżowe wyrasta, dziurawe skarpety czekają na zacerowanie, trzy talerze na mycie, gałazki i liście w piwnicy na sprzątnięcie.

Hugo stoi ze słuchawką telefonu w dłoni. Kręci głową.

Może gdzieś wyszedł, mówi Emilia.

Edwin chyba nigdy nie wychodzi wieczorami?

Mógł się zasiedzieć u Önnibrandtów...

W sobotę?

Daj na razie spokój, przecież zobaczycie się jutro.

Hugo siada w fotelu, zakłada nogę na nogę. Emilia chce mu jeszcze nalać, ale on zasłania kieliszek. Potem chowa twarz w dłoniach.

Wszystko będzie dobrze, próbuje pocieszać go Emilia. Dla nas obojga.

Naprawdę? Jesteś pewna?

Na pewno będzie dobrze, odpowiada sam sobie. Jego głos nabiera mocy. A czy mówiłem, że może wyjadę na trzy tygodnie urlopu do Hiszpanii? Kto wie, może już tu nie wrócę.

Śmieje się krótko.

Potem poważnie.

A ty, małeńka, gdzie ty się podziejesz, biedactwo?

Lillemor i Sten tańczą i tańczą, Lillemor kręci się w głowie, chce odrzucić ją do tyłu i śmiać się.

Hugo kolejny raz dzwoni do Edwina.

W chacie Edwina rozbrzmiewają sygnały.

Göte Frid biegnie przez las, biegnie do samochodu – dopiero co kupionego mercedesa, który czeka w miejscu, gdzie góra się kończy. Sosnowe gałązki trzaskają pod jego stopami. Widzi przed sobą srebrzysty błysk samochodu, trzeszczące siedzenie, zapach skóry, dłonie na kierownicy, sprzęgło do góry, gaz do dechy, przyspieszenie, już słyszy dźwięk rozpedzonego silnika.

Na podwórku przed chatą Szalonego Frassego, w pół drogi między samochodem i drzwiami, leży Edwin Steen. Obok niego pudełko śniadaniowe i *Arbetarbladet*. Wyjechał z fabryki drabin do domu za piętnaście piąta, potem zatrzymał się na chwilę u Önnibrandtów, jak zwykle, ale niezwykle krótko (na co tamci mieli zwrócić uwagę, gdy tylko zamknął za sobą drzwi), potem przystanął przy skrzynce pocztowej, wyjął gazetę (najwięcej piszą w niej o Dniu Szwedzkiej Flagi, jest też artykuł o radykalnym pacyfizmie. Per Anders Fogelström pisze: *Czego nam brakuje – także w nas samych – to duch rewolty i ludzie rewolty; tacy, którzy nie przestali wierzyć w możliwości, jakie daje życie.* Sara Lidman: *Każdy człowiek ma powód, aby lękać się śmierci*).

Czarny volkswagen Edwina wspina się pod górę. Zaparkował i wysiada, kiedy słyszy jakiś okrzyk:

UCIEKAJ!

Uciekaj, do cholery!

Odwraca się, nie poznaje tego głosu, który dochodzi z szopy, zaczyna iść w stronę Götego, próbuje się roześmiać, Göte chce się z nim bawić, ale wtedy widzi wystającą lufę strzelby. Zawraca i zaczyna biec w stronę chaty. Wtedy Göte Frid strzela. Kula trafia w dół pleców po lewej stronie. Edwin z okrzykiem bólu pada na ziemię. Göte wybiega z szopy, wsadza z powrotem szybę, którą wcześniej tego dnia wymontował, zauważa, że portfel wysunął się z tylnej kieszeni spodni Edwina, przetrząsa go, ale nie znajduje większej sumy. Przez chwilę stoi nieruchomo. Potem rusza pędem przez las do samochodu, który zaparkował na Stocksbovagen, jedzie z powrotem do Gastrummet, gdzie zjada późny obiad. Jest sam w sali, oprócz kelnerki, wszystko wygląda zupełnie normalnie, jak będzie później opowiadała w gazetach: „może tylko jadł trochę za szybko”. W nielicznych domach w okolicy, które mają włączone telewizory, właśnie zaczyna się teleturniej. Dwie godziny po zakończeniu programu w mieszkaniu Emilii Steen i Hugona Lindbloma dzwoni telefon; to jeszcze ciągle jest ich wspólne mieszkanie i wspólny telefon, choć tylko nazwisko Hugona widnieje na drzwiach i w książce telefonicznej. Örnebrandtowie usłyszeli strzał – najpierw nie zwrócili na to uwagi, ponieważ już dzisiaj po południu słyszeli dwa strzały, które uznali za ćwiczenia strzeleckie na górze, ale potem Janne Örnebrandt przypomniał sobie, że Edwin pożyczył od niego piłę ogrodową, choć tak naprawdę to Kajsa Örnebrandt wychodziła z siebie z ciekawości, kiedy zobaczyła obcą damkę przy drodze do domu Edwina. Kiedy Janne Örnebrandt dotarł do chaty i znalazł ciało, myślał, że Edwin jest tylko ranny, ale jak miały napisać poniedziałkowe gazety, zarówno *Arbetarbladet*, jak i *Gefle Dagblad*: *Kiedy spróbowałem z nim porozmawiać, wtedy wszystko stało się jasne.* Wtedy i oni, i kilku innych sąsiadów przypomnieli sobie nieznanego szarego mercedesa,

pędzącego z szaloną prędkością po szutrowych drogach Norrby.

Hugo natychmiast dzwoni do Sofii, ale jak zwykle nikt nie odbiera. Wyciąga kluczyki, ale Emilia staje mu na drodze. Zaraz wrócę do domu, mówi, przecież nie zostawię cię teraz. Emilia mówi, że to ona musi prowadzić. Pokój się kołysze. Myśli o tym, żeby dostać się na pomarańczowy dywan; on jest mostem między poszczególnymi częściami, które ewentualnie można nazwać pokojami, choć dla tak małej przestrzeni potrzebne są inne określenia. Myśli o utrzymaniu równowagi. Hugo mówi, że ją podwiezie, ale ona potrząsa głową, mówi coś, czego on nie może zrozumieć, coś, że to one dwie są siostrami. Zaczekam tutaj, mówi wreszcie Hugo.

Göte Frid krąży bez celu po okolicy w srebrzystym mercedesie, którego kupił za tysiąc z kawałkiem, znaleziony w jednej z szuflad Edwina. Nie wie, dokąd ma się udać. Ulice nie mają końca, a jednak są o wiele za krótkie. Jedzie do Ockelbo, przy Kalltjarn wyrzuca strzelbę w lesie. Jedzie do Uppsali, Söderhamn. Nie dojedzie tam, dokąd chce. Nad Götem i jego samochodem zbierają się ciemne chmury. Już następnego dnia wcześniej rano zostanie schwytyany przez policję na Drottninggatan w Gavle.

Ostatnia myśl Edwina

Przesadą byłoby twierdzić, że ogród Sary Andersson nigdy nie był piękniejszy niż w tamten wczesny letni wieczór, kiedy Edwin leżał na podwórku przed chatą Szalonego Frassego i się wykrwawiał. Ale to, co najstraszniejsze, musi też mieć odrobinę blasku, rozjarzyć się magią w samym środku rzeczywistości, trzeba jeszcze pozwolić sobie na tyle szaleństwa, żeby widzieć rzeczy, których nie ma, kiedy rozsypują się podstawy człowieczeństwa, czy też „dobra”, jak woli to nazywać Sofia – jedno słowo nie jest wcale lepsze od drugiego, żadne z nich nie opisuje dobrze tego, o co naprawdę chodzi; zresztą nie można też tego oczekiwać.

Ostatnia myśl Edwina nie dotyczyła jasnoróżowych orlików Sary Andersson ani białych piwonii, które wcale nie kwitły piękniej niż jakimś innym wczesnym latem. Nie dotyczyła też ognisćie zabarwionego nieba ani likieru porzeczkowego o temperaturze pokojowej, ani nawet ciepłych nóg Malvy oplecionych wokół jego nóg. Tak piękna i uroczysta, jak tylko można sobie wyobrazić tę ostatnią rozedrganą myśl. Nie dotyczyła też sióstr ani trasy narciarskiej, dzieła jego życia.

Nie, ostatnia myśl Edwina Steena dotyczyła Götego Frida. Chłopaka z falą w wybrylantynowanych włosach: ile starania on wkładał w tę fryzurę.

Otto włącza radio. Barbara mości się w jego objęciach. Poświęciła dzień na uszycie nowego pokrycia sofy, coś bardziej eleganckiego trudno sobie wyobrazić – ciemnozielony materiał, wygląda jak w osty, ale nie jest. Ależ nam jest dobrze, prawda? grucha. Otto kiwa głową, przyciąga Barbarę bliżej do siebie.

Arvid zdecydował, że przenocuje u Anity. Po chorobie podjął kilka ważnych decyzji; chodziło w nich o to, żeby nigdy niczego się nie wstydzić i zawsze zajmować miejsce, którego się potrzebuje. W ten sposób można utrzymać na dystans ciemność, może nawet śmierć, lęk, życie.

W apartamencie ślubnym w Statte (który opłacili pan i pani Malmborg – pierwotna udana kombinacja) Lillemor rozbiera się przed Stenem, ale on odwraca głowę, mówi, że już nigdy nie będzie w stanie dotknąć jej ciała. Tego ciała. Lillemor czuwa przez całą noc z dłońmi na brzuchu, z listami w pudełku w torbie obok szafy (wreszcie zostały obwiązane czerwonymi wstążeczkami). Myśli: dziecko dziecko dziecko – moje dzieciątko, dla ciebie będę szła przez życie z podniesioną głową; wie, że to brzmi niemądrze, i tak nigdy tego nikomu nie powie; słyszy moment, kiedy Sten zapada w sen, i wtedy ma wrażenie, jakby go nie było, a ona chce objąć to małe dziecko, które ma w środku, i to jest w pewien sposób straszne, że nie może tam sięgnąć.

W przyszłości będzie się starała nie przejeżdżać rowerem obok wieżowca przy Hyttgatsbron, a jeśli kiedyś to zrobi, to nie pozwoli sobie wejść w myślach na siódme piętro. Nie ma tam już nikogo, kto mógłby przypominać.

Lillemor Malmborg nie zostanie doktorową. Sten nie skończy studiów medycznych, właściwie nawet trudno powiedzieć, czy je kiedykolwiek zaczął, ale ona będzie miała syna i będzie go kochała, to jedyne, co może zrobić – sama z synem pozwala wszystkiemu wpływać i wypływać, krótkie chwile, jakby zamknąć oczy i skoczyć, jest tam miłość Emilii, ona wchodzi prosto w chłopca, tak samo muzyka z adapteru Hugona i polityka; wszystko tanecznie wchodzi w tego chłopca, a on pewnego dnia będzie mógł oddać to Emilii.

Christina jęczy przez sen. Sofia cicho podchodzi do jej łóżka – dziewczynka śpi tak głęboko, jej włosy skręcają się od potu; w tej samej chwili, kiedy sięga po lalkę, która spadła na podłogę, Sofia widzi brzozy nad trumną Karin, niespokojne ruchy listowia ku niebu, grę cieni na górze za nimi, zaraz potem widzi przez okno Emilię pędzącą na rowerze, widzi wyraz jej twarzy i myśli, że powinna odrzucić lalkę i biec, biec w drugą stronę, ale ostrożnie kładzie lalkę obok dziewczynki i tak cicho, jak tylko potrafi, idzie ku drzwiom.

Telewizor Edwina (II)

Telewizor został. Tak samotnie wygląda, kiedy tam stoi z kamionkowym wazonem pełnym suszonych kwiatów na głowie. Brązowy przedmiot zbierający kurz, nikt z rodziny go nie chce, choć Carl próbuje, uważa, że to mogłaby być piękna pamiątka, dająca też rozrywkę... albo korzyść, tak by powiedział, gdyby ktoś zapytał go o zdanie. Sofia mówi „nie” głównie ze względu na innych. To przecież nie była wina telewizora. Tylko że ludzie nie potrafią siedzieć cicho; kiedy coś o kimś wiedzą, zaraz muszą się tym podzielić i jeszcze przeinaczyć. Te opowieści innych ludzi, czy nie mogliby dać sobie spokoju, muszą je wietrzyć publicznie, tak żeby każdy widział: plamy, pęknięcia; komu to ma służyć?

Ale w wypadku Edwina nie ma niczego takiego, co można by wywiesić. Trzymał się na uboczu, ale nie dlatego, że coś ukrywał, tylko po prostu widział daremność innych zachowań.

W gazetach sugerowano, że Edwin był bogaty. To nieprawda. Za to, co Edwin z trudem uzbierał, morderca kupił u Stena Sundina używany samochód i z resztą pieniędzy w kieszeni pojechał się obsprawić. Zjadł lunch. Pojeździł trochę po okolicy. Pochwalił się samochodem przed pewną rodziną z Kungsfors, goszczącą przejazdem w Gasthemmet. Podwiózł ich kawałek drogą do Ockelbo, żeby pokazać, co jego auto potrafi. Potem znów pojechał do domu Edwina. Znalazł strzelbę, z której wystrzelił na próbę kilka razy na podwórku. A potem zobaczył nadjeżdżającego Edwina i ukrył się w szopie.

Zastanawiające, że pojechał tam jeszcze raz, co do tego Sofia i Arvid się zgadzają, ale po cichu, w pomrukach, bo co dobrego wyniknie z mówienia o czymś, czego i tak nigdy nie da się zrozumieć?

Telewizor był towarzyszem Edwina, kiedy wracał wieczorem do domu, mówi Sofia.

Edwin najbardziej lubił być sam, mówi Arvid.

Zawsze najbardziej się cieszył, kiedy wracaliśmy do domu, mówi Sofia.

Jednego w ogóle nie poruszają, a właśnie to najbardziej dręczy Sofię. Że morderca i Edwin spotykali się dzień czy dwa w chacie. To też gazety musiały źle zrozumieć. Jeśli był ktoś, kto potrafił rozpoznawać ludzi, to był to Edwin. Nigdy nie wpuściłby do domu kogoś takiego.

Telewizor został na miejscu jako część wyposażenia, kiedy dom został wystawiony na sprzedaż.

Zajęło to kilka lat, były nawet plany, żeby spalić to nieszczęsne miejsce, póki pewna młoda kobieta, przybyła z daleka, nie objęła chaty w posiadanie. Nie miała nic wspólnego z tą okolicą, nie знаła historii domu. Zachwyciła się brzoźami, kwiatami i górą. Oczywiście wkrótce miała się wszystkiego dowiedzieć, ale wtedy już zdążyła się zadomowić, a białe róże właśnie zaczęły kwitnąć.

Koniec

Człowiek trzyma w ręce małe przedmioty. Podnosi je do okna. Świat jest tłem. Albo: przez małe przedmioty widać świat. Albo: świat znika. Małe przedmioty są większe niż świat.

Sofia podnosi rzeczy dziewczynki z podłogi. Gładzi ich powierzchnie. Patrzy na przedmioty, jakby ich nigdy przedtem nie widziała. Wszystko lśni i jest takie wyraźne. Wzorek na tapetach w sypialni na przykład. Najpierw widzi, że te błękitne kreski to wcale nie muszą być róże, równie dobrze mogą to być inne rzeczy: drogi, domy, labirynty, małe zwierzęta podobne do psów albo smoków. Prasuje czarną sukienkę tak powoli, jak tylko potrafi – w każdej chwili żelazko może wypalić dziurę, zacząć dymić, ale ona odrywa je w najbardziej odpowiednim momencie.

Przy kuchennym stole siedzi dziewczynka i koloruje koła i prostokąty. Chłopiec buduje w ogrodzie skocznnię do skoku wzwyż, choć dawno powinien przyjść do domu i się przygotowywać.

Mieliśmy obejrzeć mecz u Edwina, mamó, mówi, jakby miał do niej pretensje.

W niej wszystko jest rozświetlone, puste, niczego nie jest w stanie tak naprawdę uchwycić, wszystko przelatuje. Podszewka sukienki szeleści, ten dźwięk ją fascynuje. Dłonie dotykają przedmiotów, jak gdyby te przedmioty nigdy przedtem nie były dotykane. Przedmioty czują się w dłoniach tak, jakby dłonie nigdy przedtem niczego nie czuły.

Sofia wyciąga rękę po kredkę, która upadła na podłogę. Daje ją dziewczynce.

Musimy się przygotować do wyjścia, mówi.

I coś w tym my rozbrzmiewa w niej śpiewem. Tak głośno, że wręcz nie może tego znieść.

Bierze dziewczynkę za rękę. Przechodzi obok portretu Edwina, który postawiła na zielonej komodzie przed kuchnią. Stoi w cieniu. Trzeba zapleść dziewczynce włosy; Sofia robi to tak starannie, że mała zaczyna się niecierpliwić.

Zostaw już, mamó, mówi.

Czy tak to ma się skończyć? Na dziewczynce? Ma pociągnąć swoją mamę do drzwi, do ogrodu, razem mają zabrać chłopca, który siedzi jak głaz i ma pretensje, tęskni albo nie potrafi zrozumieć – w dłoniach ma narzędzia, których nie chce wypuścić. Nie wie, na kogo ma być wściekły. Nawet Petter Pettersson nie umie się wściekać, kiedy sprawy tak wyglądają. Ale zaraz do ogrodu wychodzi Arvid, staje przed nim w słońcu, z ramionami po bokach, wystarczy jego spojrzenie, żeby chłopiec znów się wyprostował, przecież nie ma wyboru, choć jego dłonie się drapią, jakby śwędziały. Arvid ujmuje głowę chłopca swoją wielką ręką. Gdy przechodzą obok poletka delikatnej ziemniaczanej naci, Arvid odwraca się do Sofii:

Widzisz, a jednak będą ziemniaki, choć w to nie wierzyłaś.

„Ludzie wplatają się wzajemnie w swoje opowieści jak w gałgankowe dywaniki. I tam zostają. Zużywają się.

Ale są częścią.

Pierwotny pomysł był może czymś innym niż rezultat, a może jesteśmy doskonali – doskonała opowieść o wszystkim, o niczym. O życiu takim, jakie się stało. Ale nigdy o tym, czym zamiast tego mogło się stać.

Jestem wpleciona w twoją opowieść. Nie wydostanę się z niej”.

Emilia odkłada pióro i rzuca szybkie spojrzenie w lustro. Widzi odbicie pomarańczowego dywanu, który zwinięty stoi pod ścianą. Walizki są spakowane. Dzwonek do drzwi. Otwiera.

Przecież nie musisz dzwonić.

Nie wiedziałem... mówi Hugo, patrząc w podłogę.

Na schodach ona znów zaczyna płakać, a on obejmuje ją ramieniem.

Nie wiem, co powinienem powiedzieć, mówi. Emilia myśli o Sofii. O tym, żeby trzymać małe przedmioty pod światło. A potem wolno ruszyć naprzód.

Lato 1958

Odprowadzili ją na dworzec, Sofia z dziećmi. Na czarno, cała trójka, tylko Christina ma białe kropki na sukience, a skarpetki Carla są w zieloną kratkę.

Emilia osłania oczy dłonią. Sofia uparła się, że weźmie jedną z walizek – nie można się jej sprzeciwić, a Carl jest już prawie młodym mężczyzną, o wiele za grzecznym jak na swój wiek, ale nie chce trzymać siostry za rękę.

Ona teraz szuka literek, wzdycha Sofia. Wszędzie.

Emilia uśmiecha się, wskazuje budynek dworca.

Tam masz litery, mówi, przykucając przy dziewczynce.

S-A-N... literuje Christina.

Dobrze, chwali ją Emilia.

Chodźmy już, przerywa im Sofia. Co będzie, jeśli spóźnisz się na pociąg...

Przecież jeszcze nawet nie stoi.

D-V-I...

Ale pomyśl, że przyjedzie, a ty nie zdążysz wsiąść!

Co to znowu za literka, Carl? pyta Christina, spoglądając na starszego brata.

Ka! odpowiada chłopiec z irytacją.

Jak w Carl, mówi dziewczynka.

Nie, zaprzecza brat.

Mała podejrzliwie ściąga brwi.

Ale dlaczego nie?

Ależ tak, jak w Carl, wtrąca pośpiesznie Sofia.

I jak w Christina, stwierdza dziewczynka z zadowoleniem.

Przecież nie tylko ja będę wsiadać, mówi Emilia.

Idąc wzdłuż kanału, myśli o tych wszystkich gratach, które ludzie tam wrzucali, wszystkie zagubione rzeczy, i o żadnej się nie wie, bo żadnej nie widać. Rowery, książki, klucze. Szczury. Koty. Ciała. Spogląda w stronę mostu. Dziś wieczorem zapłoną tam lampy jak każdego innego wieczora. Siedmiopiętrowy blok jest niemal schowany za zielonymi drzewami.

Masz wszystko? pyta Sofia, z pewnością po raz piąty.

Emilia kiwa głową.

E-N, kończy Christina.

I co to będzie razem? pyta Emilia.

Sandviken, rozjaśnia się dziewczynka.

No jasne, wzdycha Carl.

Właśnie jedzie pociąg! Co będzie, jeśli czegoś zapomniałaś...

To znaczy, że to nie było nic ważnego... Emilia próbuje się zaśmiać.

Ale mimo wszystko, upiera się Sofia. To byłoby niepotrzebne.

Christina podchodzi za blisko torów, Sofia dogania ją. Emilia czeka na Carla, który wlecze się za nimi.

Czy mam ci coś ponieść? pyta chłopiec.

Nie trzeba, ale dziękuję.

A dokąd ty jedziesz?

Ależ Carl! woła Sofia od pociągu, przecież mówiłam ci sto razy!
Chodźcie już, wy guzdrały!

Lepiej się pośpieszmy, mówi Emilia.

Zrobiłam kilka kanapek... Sofia otwiera torebkę i wyjmuje paczuszkę, starannie owiniętą w chusteczkę.

Dziękuję, to bardzo miłe.

Ech, mówi Sofia. To przecież nic takiego... Możesz napisać czasem kilka linijek, jeśli znajdziesz trochę czasu.

Napiszę. Uważaj na siebie, Sofio.

Tak, tak, pośpiesz się!

Emilia wsiada do pociągu. Odzywa się gwizdek konduktora.

Sandviken, mówi Christina, wskazując budynek dworca. Świat, mówi Emilia i macha ręką w stronę wiaduktu, Huty Stali, Gavle, dalej...

Pociąg powoli rusza. Emilia widzi, jak dziewczynka się wyrывa, ale Sofia trzyma ją mocno za rękę.

Sierpień 1938

To był ostatni dzień lata, choć oni o tym jeszcze nie wiedzieli. Karin rozłożyła koc, a Otto kąpał się w rzece. Po wyjściu z wody otrząsał się jak pies. Karin i Sofia jedzą kanapki z kiełbasą, które przygotowała Sofia. Sofia je powoli, obgryza dokoła, dokoła, okrężnie, aż zostanie to, co najlepsze, sam środek. Otto drażni się z nią. Wyglądasz jak królik, mówi. Karin żartobliwie pochlipuje w jego stronę. Uśmiecha się złośliwie. Jesteś taki głupi, mówi. Taki dzidziusz z ciebie. Potem mierzwi mu wilgotne włosy, a on nie wie, czy ma się złościć, czy cieszyć.

Emilia na bosaka schodzi do rzeki. Edwin idzie za nią. Zerwał kwiatek, pyta ją, co to za jeden.

Nie wiem, odpowiada siostra. Nie wie, czy ma iść jeszcze dalej, czy powinna zawrócić do pozostałych.

Przejmę chatę Szalonego Frassego, mówi Edwin.

Naprawdę? rzuca Emilia.

Pora odejść z domu, dodaje Edwin.

Tak daleko nie odejdiesz, przecież to prawie ściana w ścianę.

Ale jednak, mówi Edwin. Przynajmniej przez drogę.

Tak, tak, przyznaje Emilia. Jasne.

A ty? Co ty planujesz?

Ale z czym?

Na przyszłość. Co chcesz zrobić?

Ech, ja się wyprowadzę gdzieś daleko. Może do Paryża... Albo do Afryki...

Siada na brzegu. Pół metra niżej pluszcze rzeka, na jej powierzchni unosi się kilka liści. Edwin dalej trzyma w dłoni kwiat. Łodyga jest trochę zgięta, ale płatki mają intensywny kolor; rósł całkiem sam, jasnoniebieski, tuż przy drodze.

Edwin, chodź! woła Sofia. Powiedz coś Ottonowi!

Patrzą w tamtą stronę i widzą, że Otto wspina się na wysoką lipę.

Zawisa na gałęzi głową w dół na zgiętych nogach.

No przestań już się wygłupiać! Złaż w tej chwili!

Sofia chce wstać, ale Karin otacza ją ramieniem, szepcze jej coś na ucho i Sofia zaczyna się śmiać. Zaśmiewając się, obie padają na koc, zapominają o Ottonie na drzewie. Otto buja się w tę i we w tę, z głową w dół, z opuszczonymi ramionami. Emilia patrzy na niego, macha ręką, ale on tego nie widzi. Patrzy więc na siostry, które leżą przytulone na kocu i krztuszą się ze śmiechu. Edwin siada obok niej. Podaje jej kwiat. Emilia potrząsa głową.

Zwiędnie, zanim dojdziemy do domu, mówi.

Edwin kładzie kwiat na jej kolanach.

Nie szkodzi.

Podziękowania dla

Anne-Marie Högberg, Archiwum Gminy Sandviken

Åkego Hofvenstama

Britt Sjöberg

Mathiasa Äberga

Annemarie Höglund

Bernta-Olova Anderssona

Rolfa Larssona

Axela Sjöberga

Ollego Thäströma

Alfa Janssona, Smedsgården, Sandviken Muzeum Techniki,
Sztokholm Fundacji Gunvor Göransson Fundacji Larsa Bucana,
Fundacji Helgego Axrsona Johnsona.

Cytaty lub pojedyncze słowa zaczerpnięte zostały z:

Sandvikens Tidning

Arbetarbladet

Gefle Dagblad

Kaja Annebranta

Carla Björka

Victorii Benedictsson

Marii-Pii Boethius

Fredriki Bremer

Molly Johnson

Joela Järbinga

Sylvii Plath

Viktora Rydberga

Szczególne podziękowania dla

Bossego Hedbloma, Archiwum Gminne Olgi Sjöberg oraz Very –
nikt nie nauczył mnie tyle co ona.